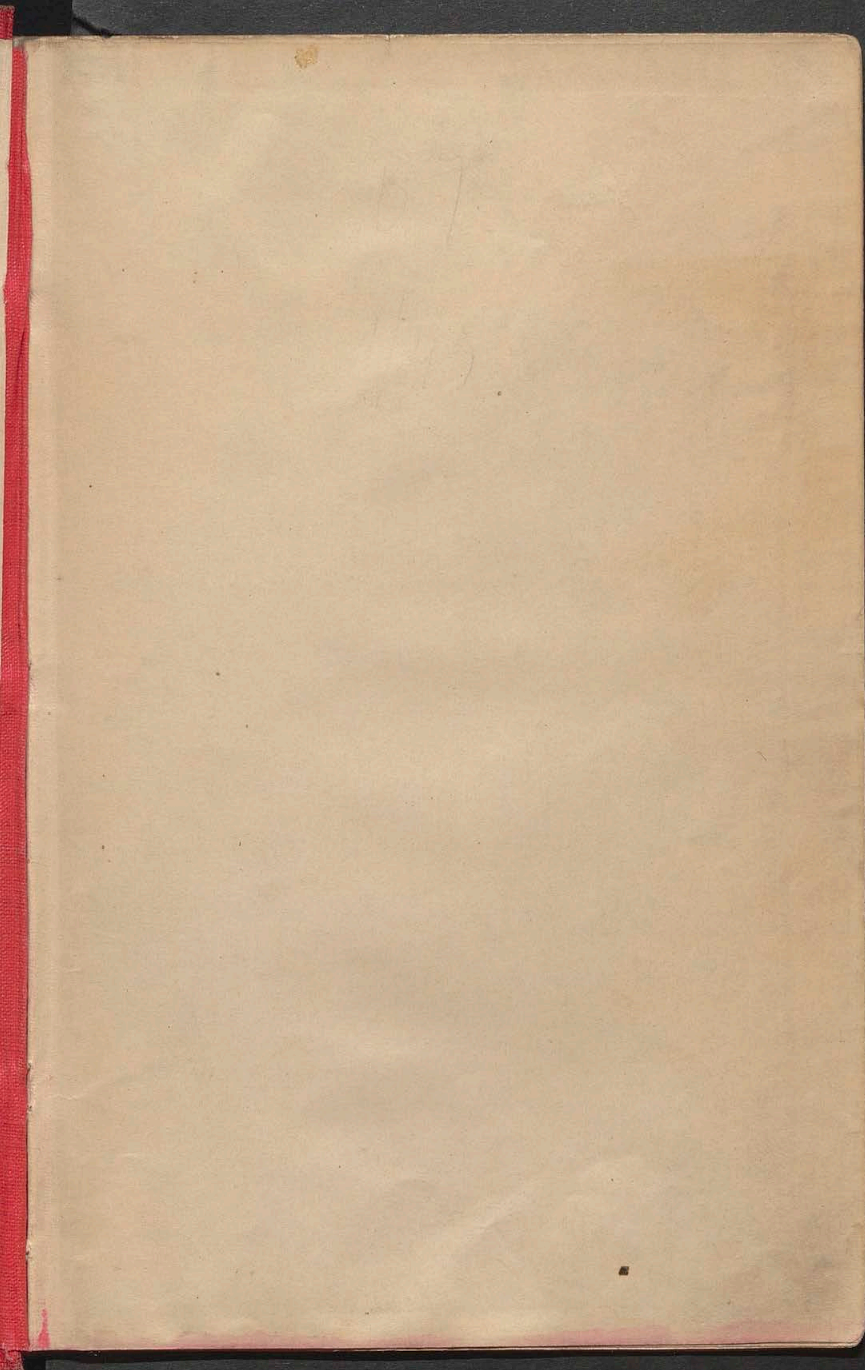
NA

-12

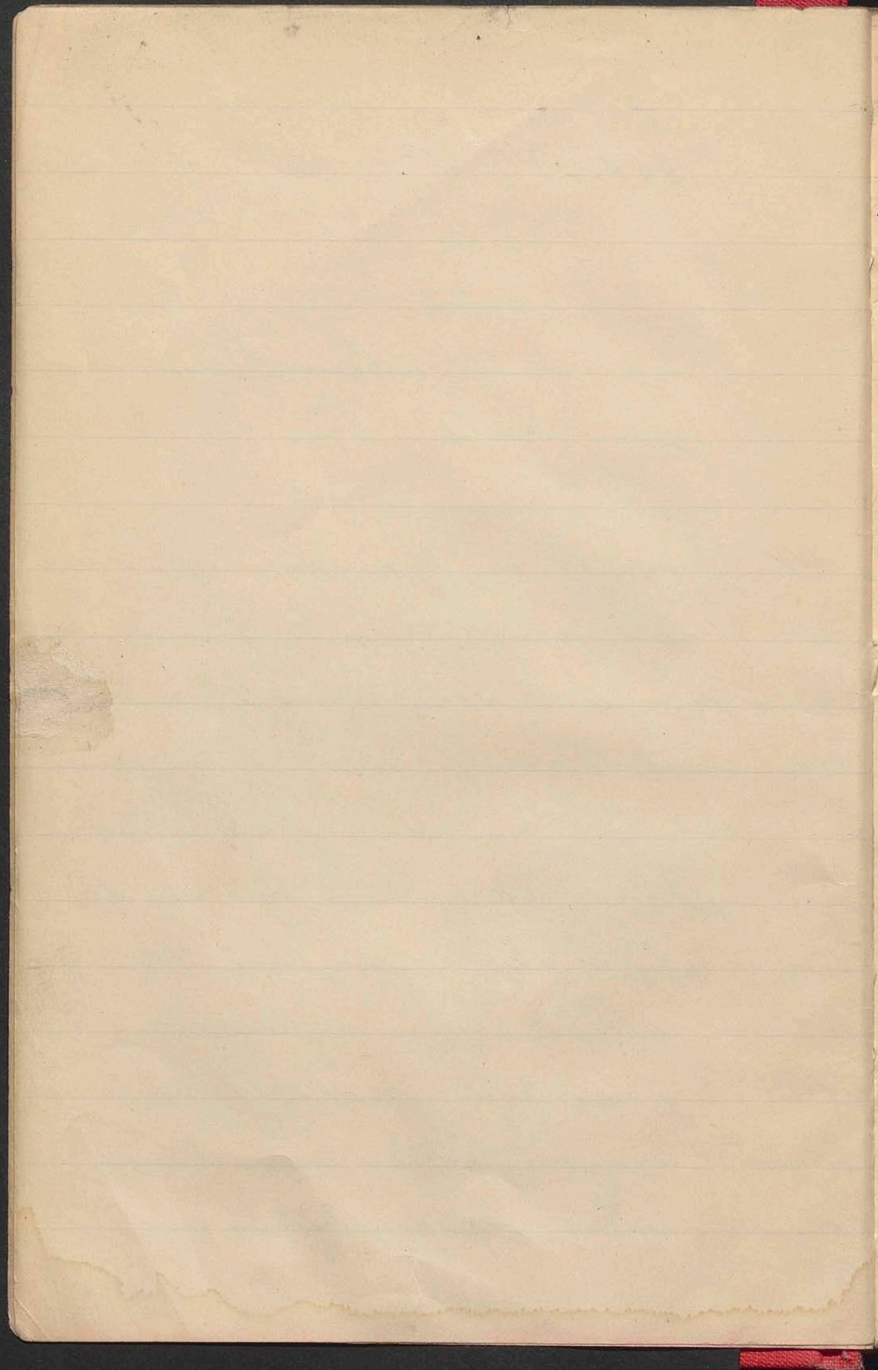


Joan VIII 1–12.

Mar Rodziewicz

I

Gedras wyszedł na swój nocny dyżur, wstą-
-pił do rządcy, zabrał klucze od bram, i rozpoczął
monotonną wędrówkę, wśród zabudowań gospodarsk.
i fabrycznych. Chłop był młody, atletycznej budowy,
ale kaleka, gdyż mu maszyna zmiażdżyła lewą
rękę, i skazany był w skutek tego na służbę
mało płatną, i napół próżniaczą. Od trzech
lat był stróżem nocnym u pana Zaremby,
który przy miasteczku posiadał folwark, i fabrykę
odlewów żelaznych i narzędzi. Gedras przybył nie-
-wiadomo z kąd – już kaleka – papiery miał w po-



=rządku — stanął na służbę — i odtąd spełniał ją sumiennie, żyjąc jak niektóre zwierzęta — tylko w nocy, znając wszystkich i znany wszystkim, a nie żyjący właściwie z nikim.

Tego dnia rządca, słysząc, że zdejmuje klucze z gwoździa u drzwi, rzekł doń, nie podnosząc oczu od rachunków.

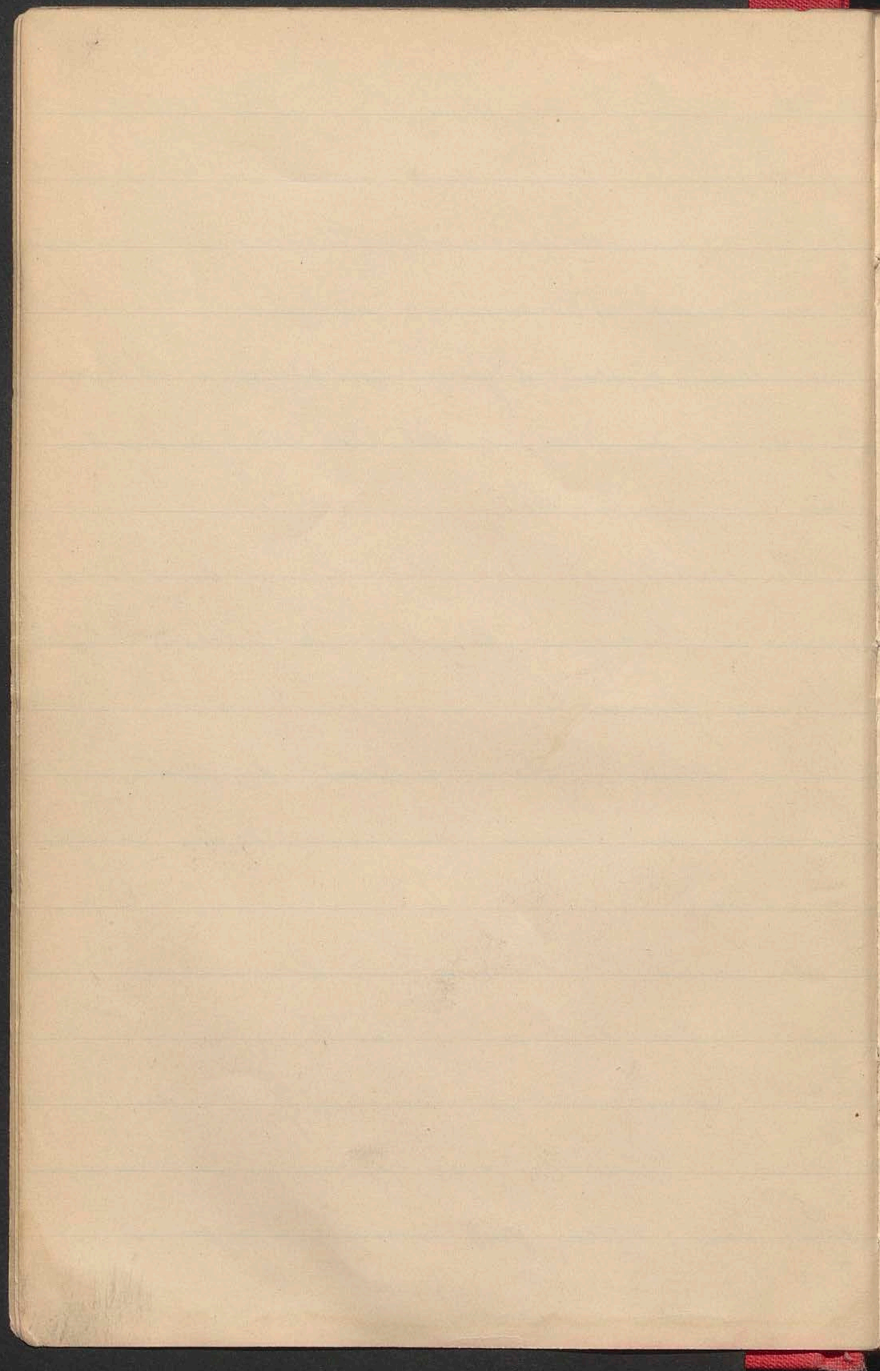
— Nie odchódź od dworskiej bramy, bo pewnie goście z pociągu przybędą do pałacu. Jutro chrzciny panienki.

Jędrus skinął głową, sekundę się zatrzymał, patrząc na ścienny kalendarz — jasno lampą oświetlony.

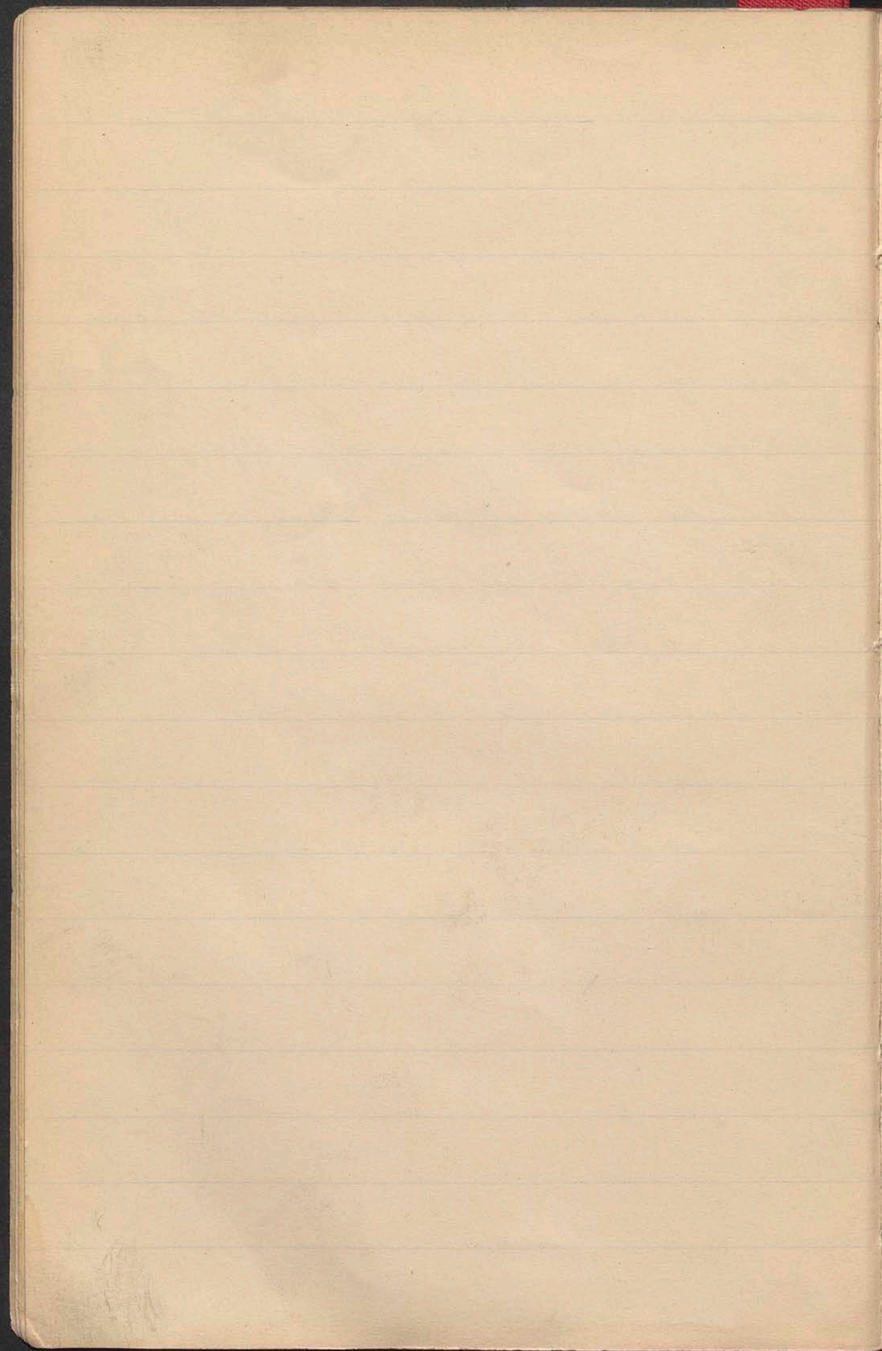
— To jutro 26 kwietnia? rzekł.

— No, jutro. Więc co? odparł rządca.

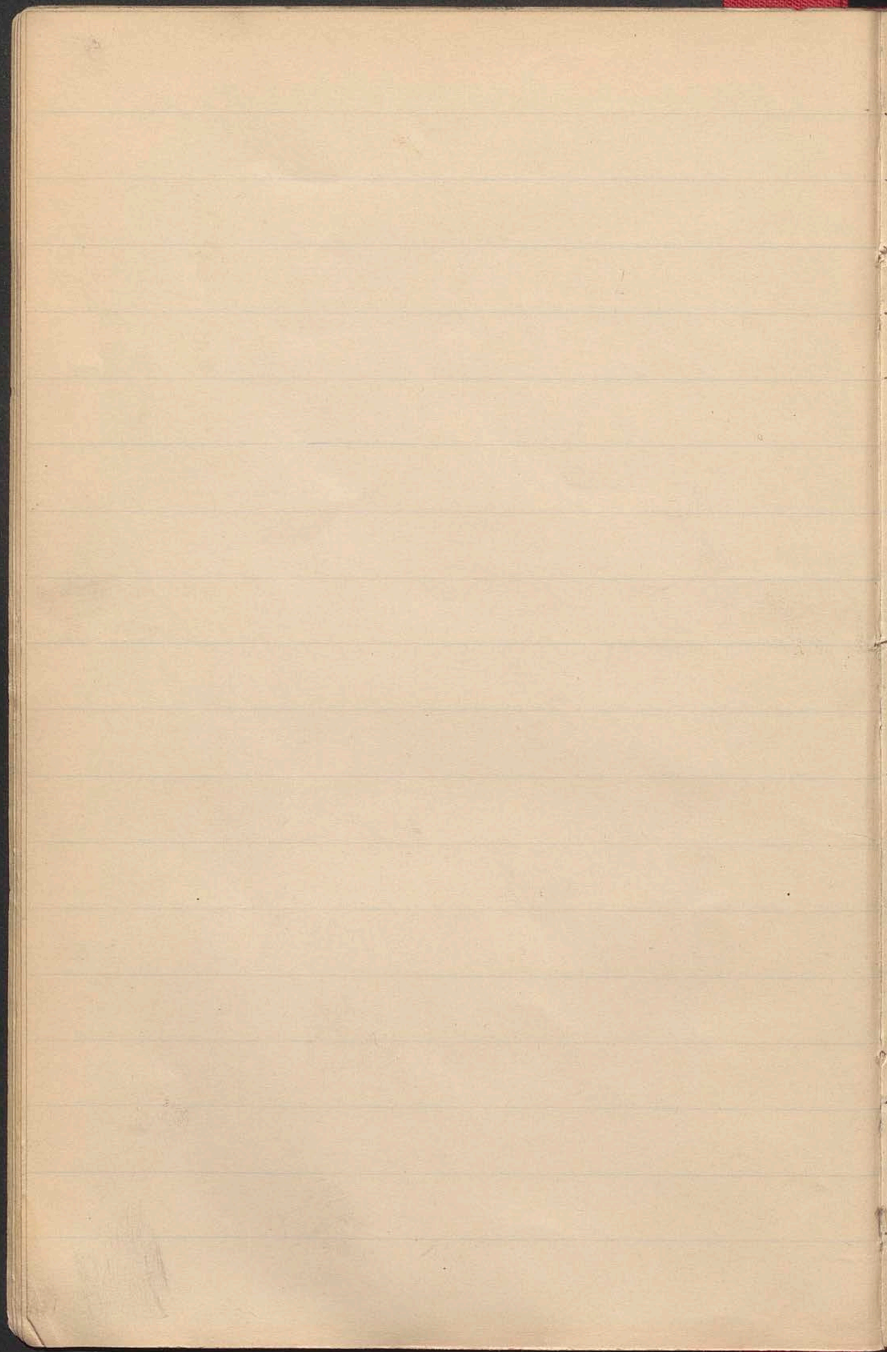
Jędrus poczerwieniał, coś zamruczał, i spiesznie wyszedł. Kłekotka jego odezwała się raz i drugi — coraz dalej, rządca już zapomniał szczególnego



pytania. Duży, ciemny cień stróża posuwał
się zwolna od budynku do budynku.
Pałac był oświetlony, jeszcze się bawiono w sa-
-lonie, i służba się snuła, więc Gedras w swej
wędrówce go minął, i skierował się ku spo-
-czywającym - czarnym gmachom fabrycznym.
Robotnicy przychodzili co rana z miasteczka,
nie było tam żadnych mieszkań, palacze dyżurni
nocowali tylko przy kotłach, które odpalano
przed świtem - reszta fabrykantów przychodziła
na sygnał parowy o 6ej rano.
W kotłowni było jeszcze ciemno i cicho, ale
gdy Gedras minął ślusarnię ujrzał w oknie
światło - i wszedł do środka. Nie było tam
nic nadzwyczajnego: dwaj ślusarze Józef Nowik
i Hilary Arcimowski, stali przy warsztatach
swych, opodal jeden od drugiego, i kończyli
jakiś zapewne pilny obstalunek. Obaj mało



lampki – wśród cieni wielkiej sali – ledwie odświe-
-tlały schylone głowy, i ręce pracujących.
Zresztą Sędras znał ich dobrze, i rzekł.
– Długo jeszcze zabawicie?
– Jak się uda. odparł Józef Nowik, szpakowaty
krępy majster, zajęty polerowaniem i dopasowywa-
-niem jakiegoś trybu.
Drugi nic nie odparł – piłował coś zawzięcie, i
gwizdał. Sędras spojrzał nań przelotnie, i jakby
z niechęcią oczy odwrócił. Nie lubił Blilka
Nowik ozwał się wesoło:
– Przesiedzę choć do rana, ale zarobię pięć rubli.
To ~~odo~~ młyna tego dzierżawcy ze Sławek. Dobry
człek – tak prosił, żeby na jutro wieczór
dostał – bo mu młyn stoi.
– A to jutro nie wyspieszycie?
– Jutro u mnie święto. Chrzciny.
– Oho, razem z panienką? A też dziewczyna?



— Aha. Baśka będzie.

— Dużo ich u was.

— Dosyć. Będzie dychto trzy pary.

— Ciężko nakarmić pewnie.

— Ot! Nie głodne tymczasem. Co robić jak Bóg daje.

Ahlek się roześmiał szyderczo.

— Niechno ładne będą - to i potem głodne nie zaznają.

Bóg daje dla chłopców na uciechę.

— Jak dla jakich chłopców i nacó. mruknął

Nowik

— At - bab dla wszystkich jest do syta.

Nikt mu nie zaprzeczył. Wiadome było w fabryce,

że Ahlek pomiatać dziewczętami mógł, bo szły

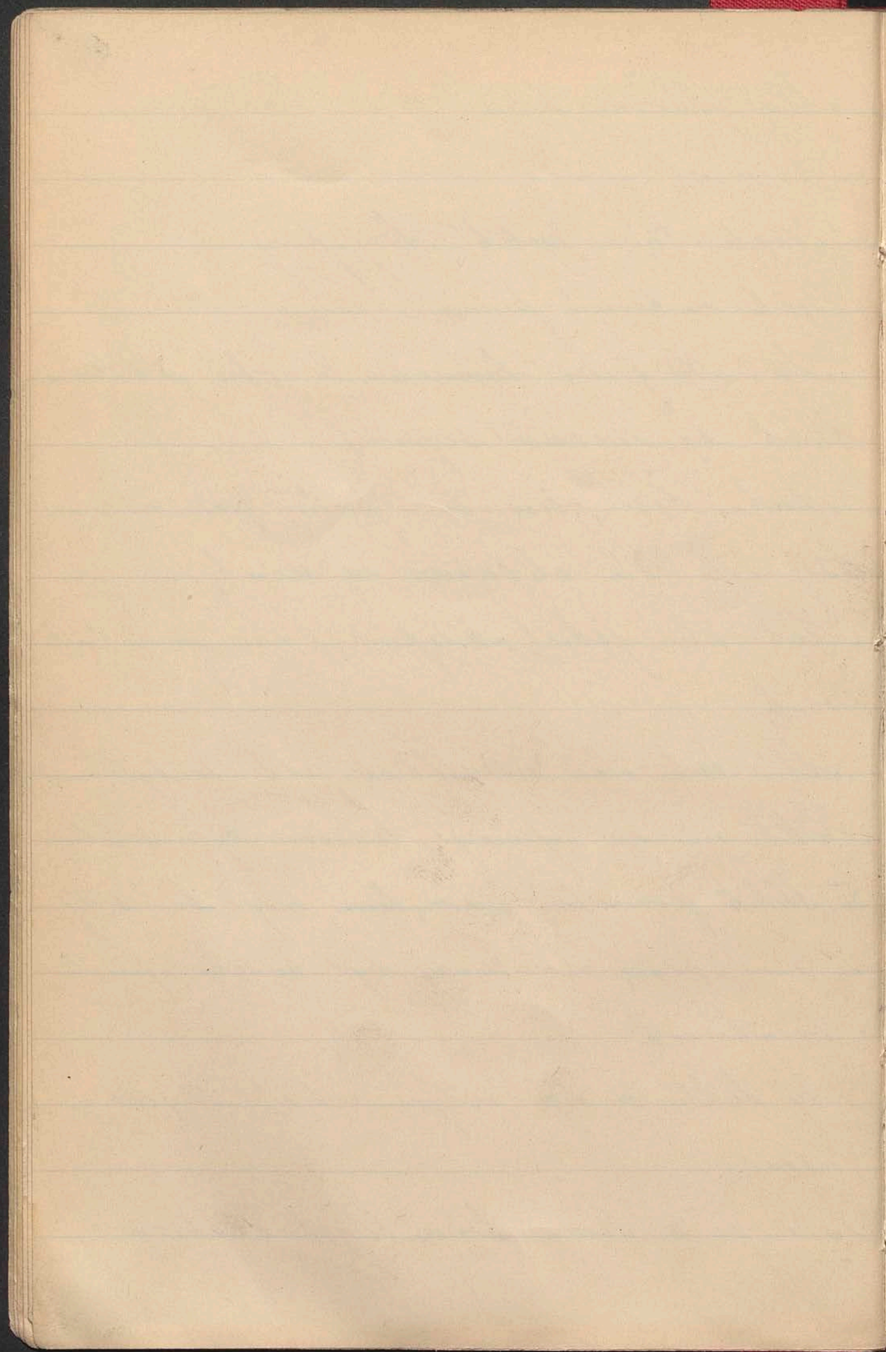
za nim bandą, choć znany był hulaka, i pijak -

i awanturnik.

— Ty także do tego młyna robisz? spytał go

Jedras.

— Nie - ja za Siwca kończę, bo rękę okaleczył.



— Dziw, że ci się chciało drugiego wyręczyć.

— Niech mnie w okazyi zastąpi

Jędras posłyszał dzwonek u bramy, i wyszedł spiesznie. Myślał, że to od pałacu dzwonią, ale do furty fabrycznej ktoś kołatał. Wyjrzał tedy i zobaczył wyrostka — syna mechanika.

— Czego? począł parlamentować.

— Czy Filek tutaj? odparł chłopak zdyszany.

— Tutaj. Czego chcesz?

— Mnie trzeba do niego na moment.

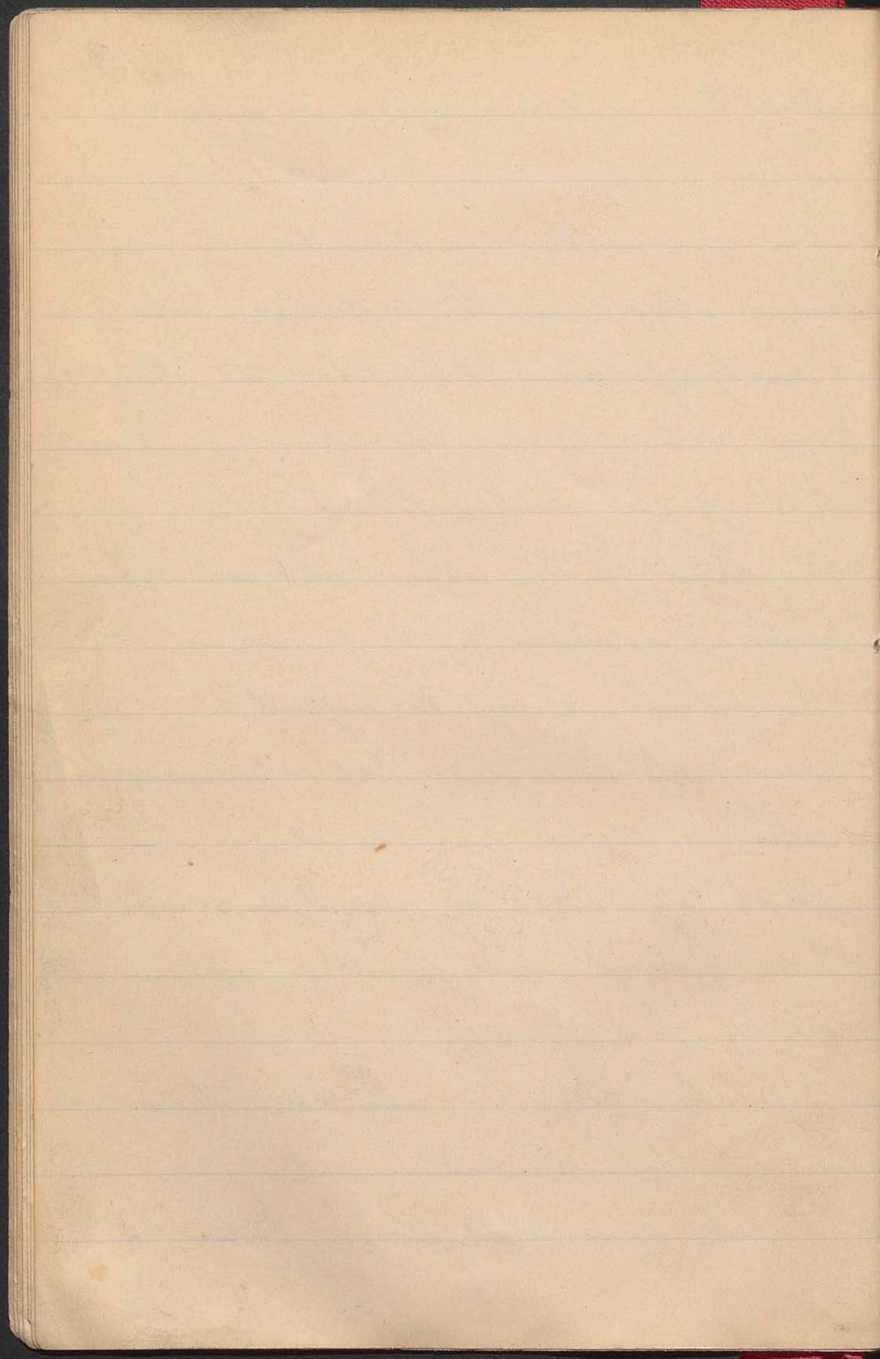
Jędras furtę otworzył — i poprowadził chłopca do ślusarni.

— Filek! wyjdźno tu — coś ci rzekę. zawołał chłopak.

Ślusarz głowę podniósł, poznał go — oczy mu złe zabłysły.

— Czegoś tu? Gadaj. Nie mam czasu twoich sekretów słuchać! krzyknął.

Chłopak się zawahał, potem podszedł do niego



i począł zdyszanym szeptem.

— Zośka prosi — żebyś przyszedł — do nas. Zachoro=
=wała — i matka ją chce wypędzić.

— To niech wypędzi. Mnie co do tego.

— Ona strasznie płacze — i prosi, żebyś ją ratował.
Matka też powiada, że jak przyjdziesz, to jej
nie wygoni.

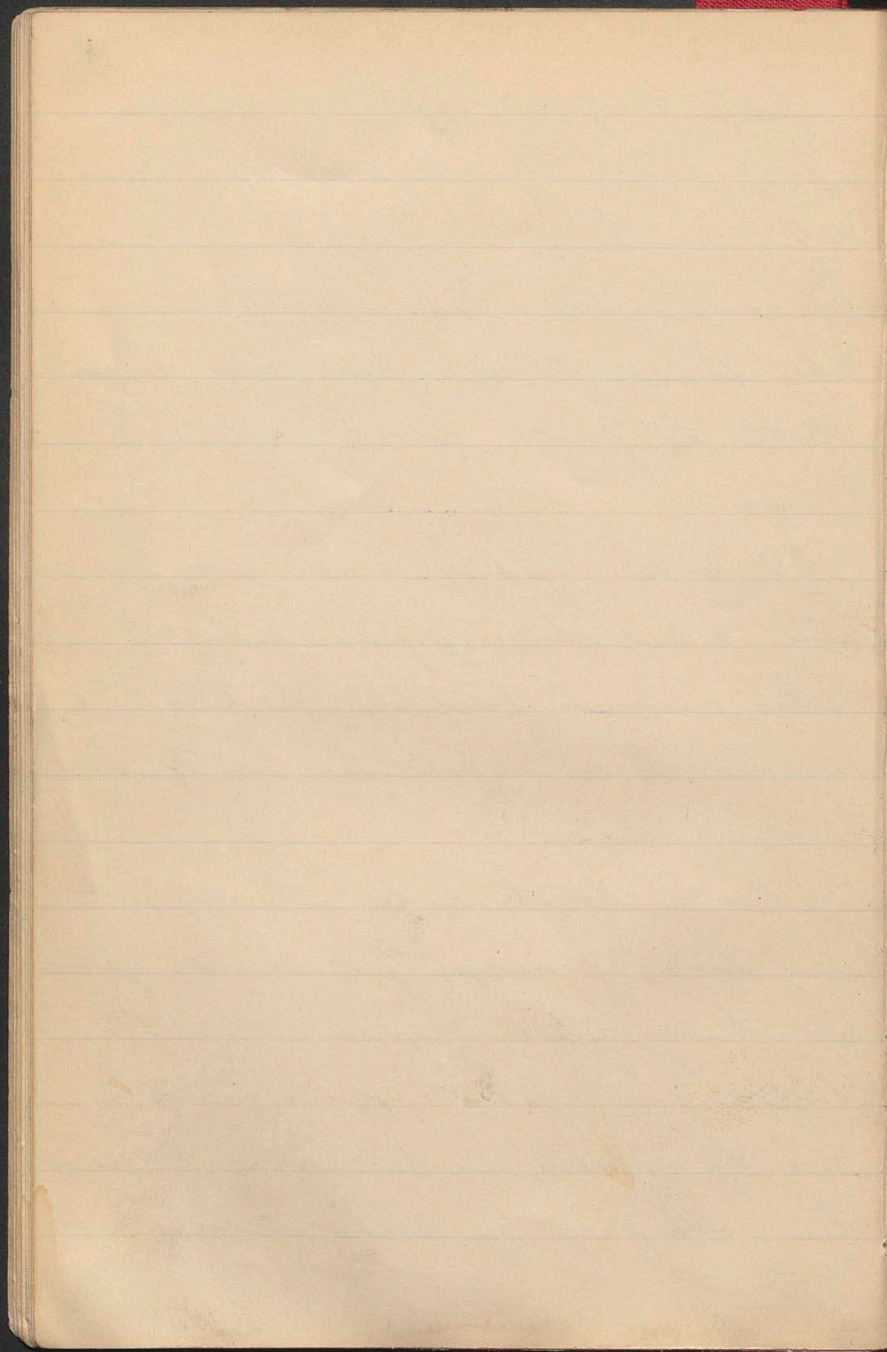
— Idź do stu djabłów. A mnie co za mus, czy
interes do was chodzić i godzić baby.

— Mus, nie mus — ozwał się Nowik — ale po
sumieniu — to ci wypada tam iść. Zgubiłeś
dziewczynę poczciwą.

— Jakem zgubił to szukać nie myślę, ani pil=
=nować takich poczciwych. Jak wam się spodoba=
=ła — to wy ją sobie znajdźcie.

Chłopak stał — patrzał na niego.

— To ty naprawdę nie pójdziesz? spytał innym
tonem, skupiając się jakby w sobie.



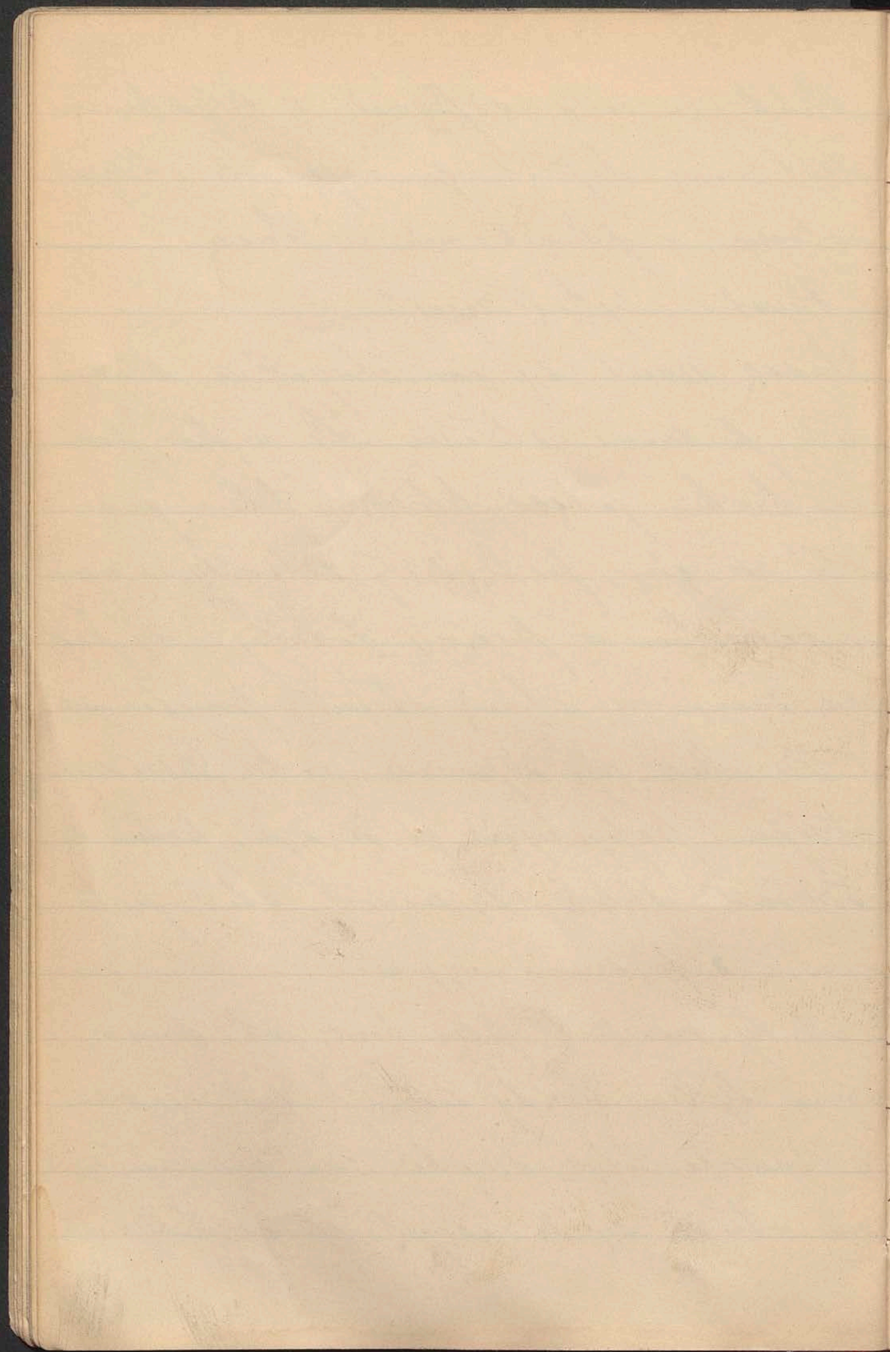
Wilek za całą odpowiedź, z błyskawiczną szybkością kopnął go nogą. Ale chłopak uskoczył, i plunął mu w twarz

— Hycel! syknął zajadle

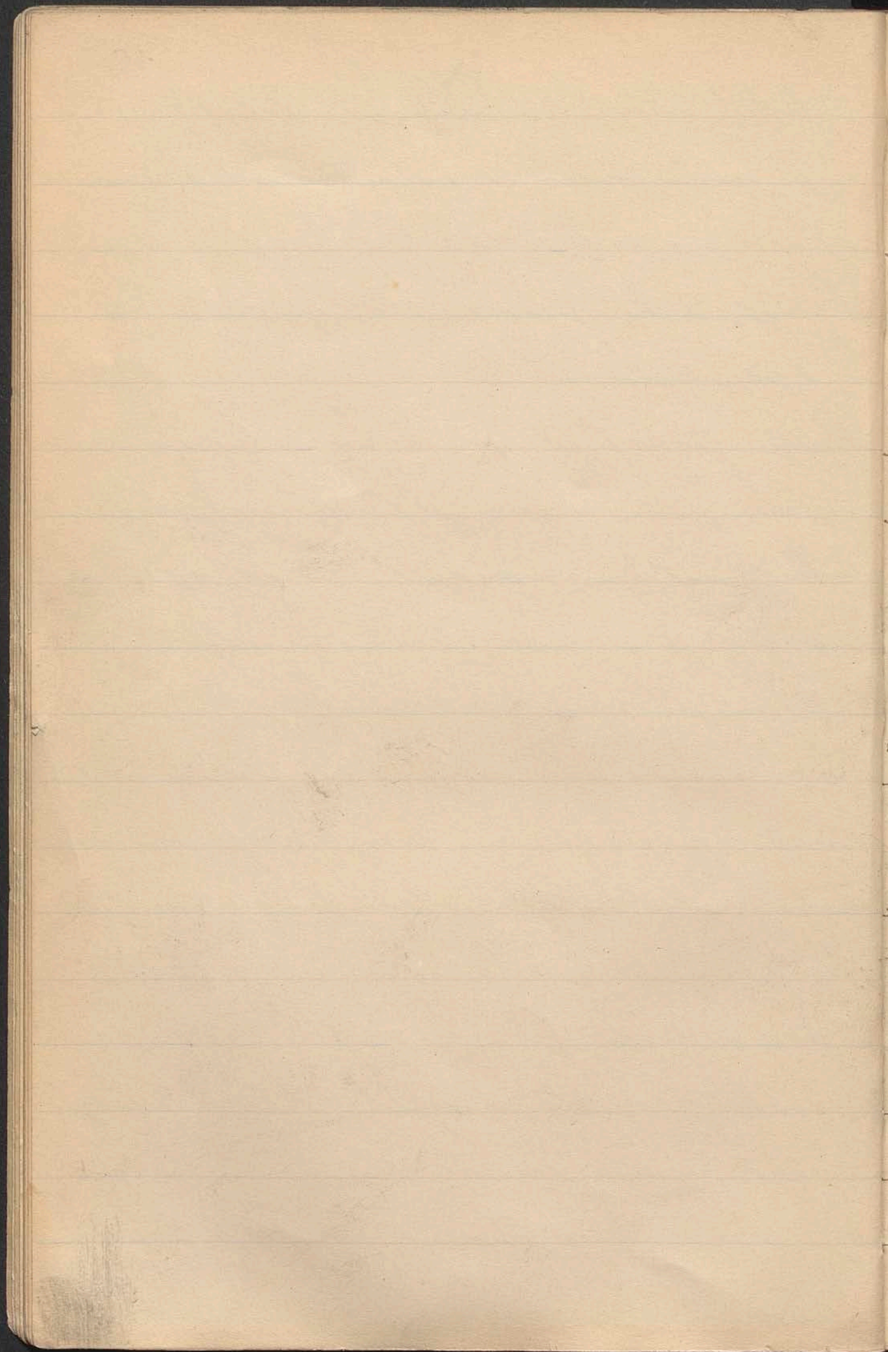
Ihesak rzucił się nań, chwycił za włosy- jął pięściami okładać. Ale w tem poczuł na karku jakieś kleszcze które go unio- =sły w górę, potrząsnęły, zdławiły, i cisnęły z rozmachem w próżnię. Zatoczył się padł na ziemię - na chwilę stracił przytomność.

— Idź! Masz jego odpowiedź! rzekł Gedras do chłopca, popychając go do drzwi; potem się odwrócił. Wilek się zerwał - stał przed nim, i pięściami wygrażał.

— A ty, mańkut, psia krew, jak śmiesz mnie tykać! Won ty sam. Spuścili cię, psie, z łańcucha, żebyś szczekał na podwórzu, a nie wtrącał się do naszych spraw. Żebyś nie



kaleka, żebyś ~~popamiętał~~ [poznał] mnie!
— Ja ciebie i tak znam. Mnie do twoich spraw nie interes — ale na burdy nie pozwolę. Wychodź — albo pracuj, jeśli nie chcesz, bym cię u rządcy meldował.
Antek popatrzał nań krwią zabiegłemi oczami — nic nie rzekł — wrócił do swego warsztatu — zebrał narzędzia, i wyszedł. Gedras szedł za nim, gdy go Nowik z cicha zawołał.
— Dogoń chłopca i [illegible].
Stróż ruszył ramionami z obojętnością — jakby mówił: poza obrębem fabryki — ja nic nie pomogę, i Nowik został sam.
Po długiej chwili Gedras wrócił.
— Poszedł?
— Zemknął. Furtę chłopak zostawił otwartą — przecie go nie dogonił.
— Aleś ty [illegible]. Jak szczeniaka za kark podniósł



Musiałeś ty mieć moc — jakeś cały był.
Teraz usiadł, zapalił papierosa.

— Słabszym był wtedy — rzekł powoli. Moc nie w rękach, a pięść ślepa rzecz i niesprawiedliwa być może.

— Na Bilka słuszna była.

— Zdarzyło się. Ale taka moc często słabszego ukrzywdzi — przed silniejszym stchórzy. Nie wielka sława. Nie pożałowałem ni chwili, gdy mi ją precz odcięli.

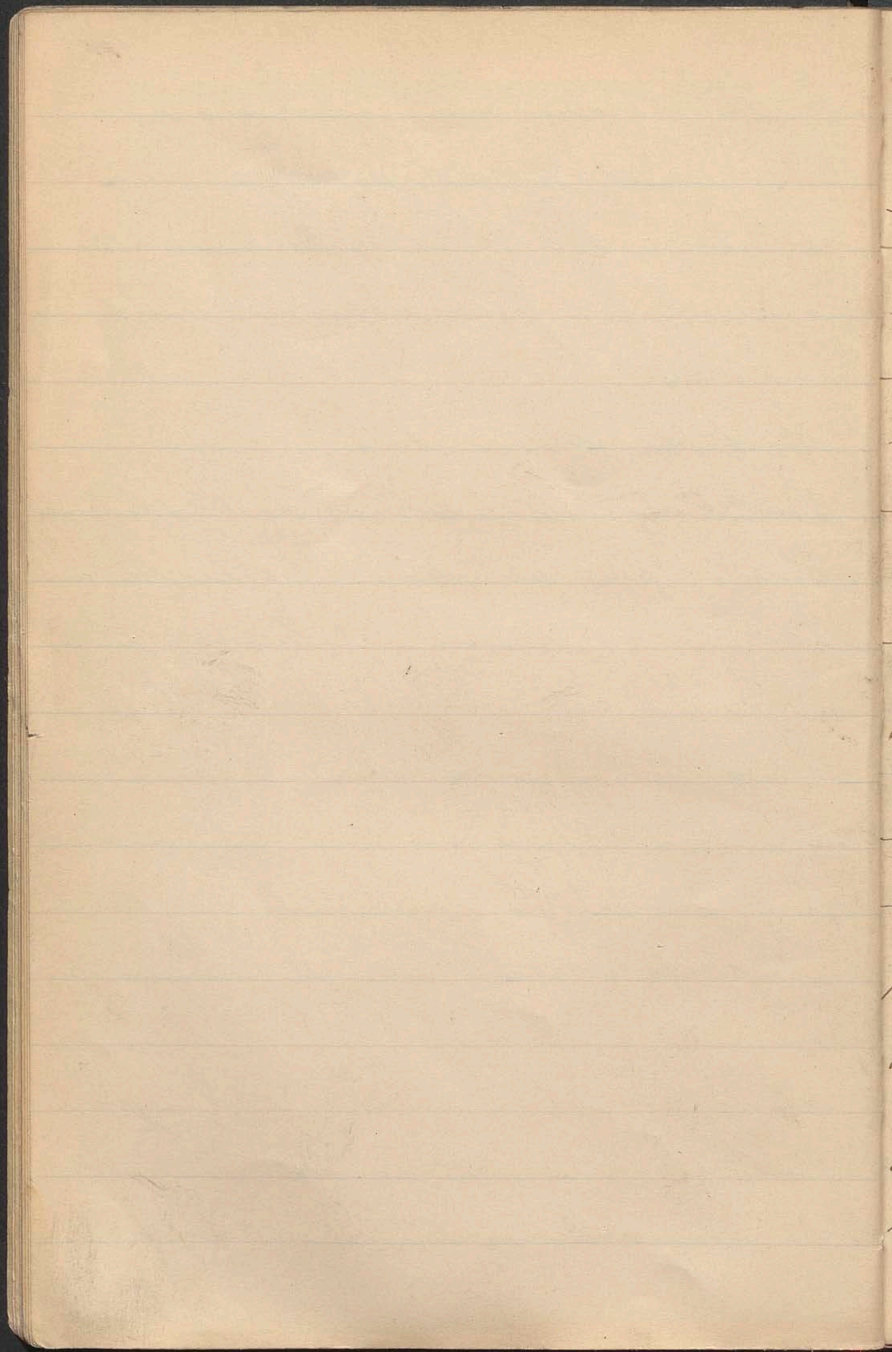
— Gadasz! Jabym ta nie chciał na twojem miejscu być. Szczęście, żeś nie familijny, dlatego mędrkujesz.

— Ja też się doli nie skarżę — tylko moje kalectwo nie ta ręka. Nie cała zgryzota — nie mieć czem robić.

— Albo co?

— Bywa gorzko nie mieć dla kogo robić.

— Ot — bieda — to się dzień. Ja ci zaraz kuzyn naraję-



Wszystkim dziw, żeś taki młody i jak mnich żyjesz w kawalerskim stanie.

— Ja nie kawaler. Pięć lat temu - akurat dziś ten dzień - żona mi zmarła.

— A-a - zdziwił się Nowik. Myślałem, żeś kawaler nigdy o sobie nic nie powiesz.

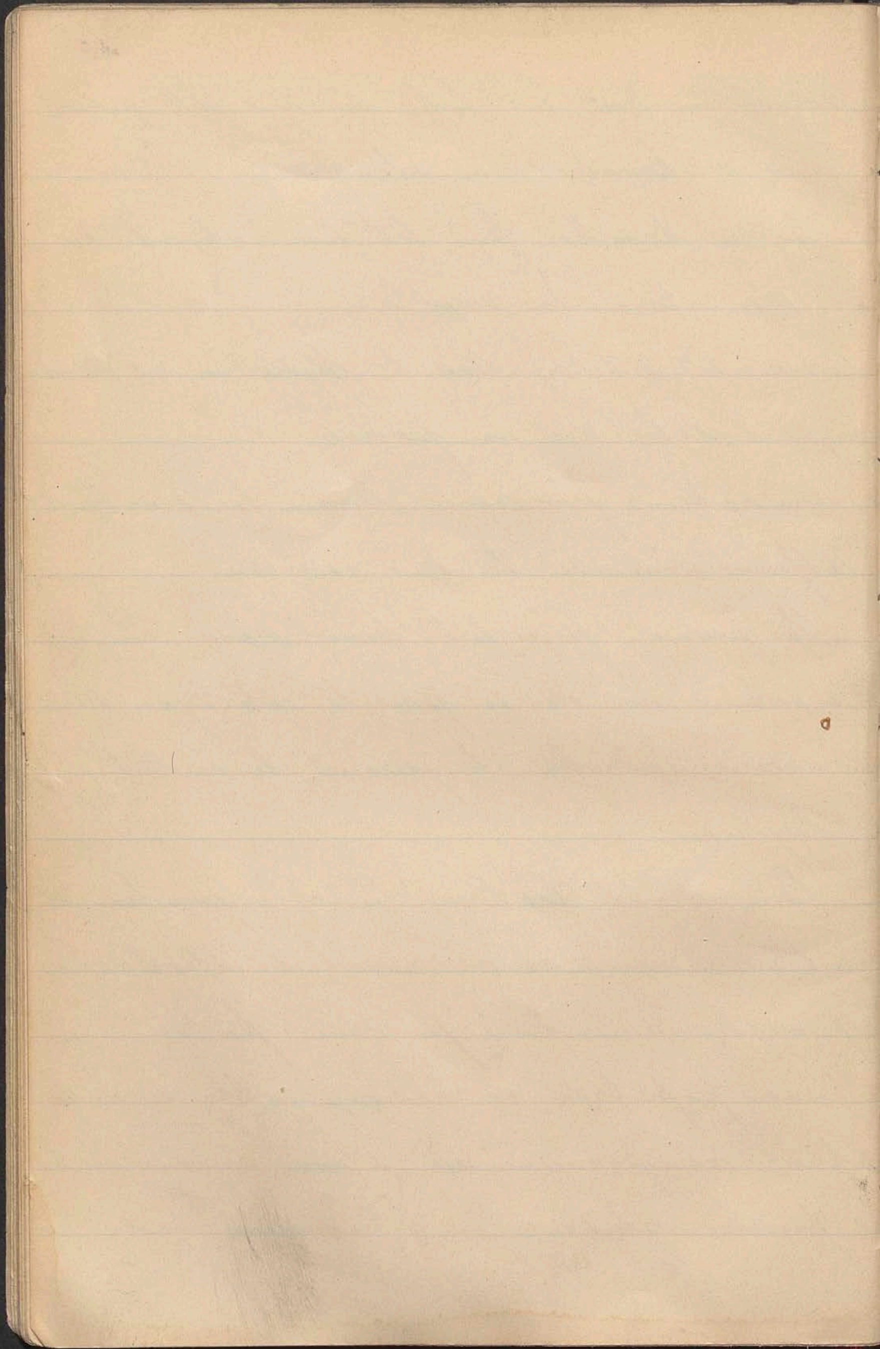
— Nie ciekawe powiadanie. Niema jej - i nie będzie. Wspomniałem - że to dziś rocznica.

— No pewnie - pięć lat - kawał czasu. Już ci próchnieć nie warto przez to całe życie. Kawaler a wdowiec bezdzietny - to jedno. A ile ci lat?

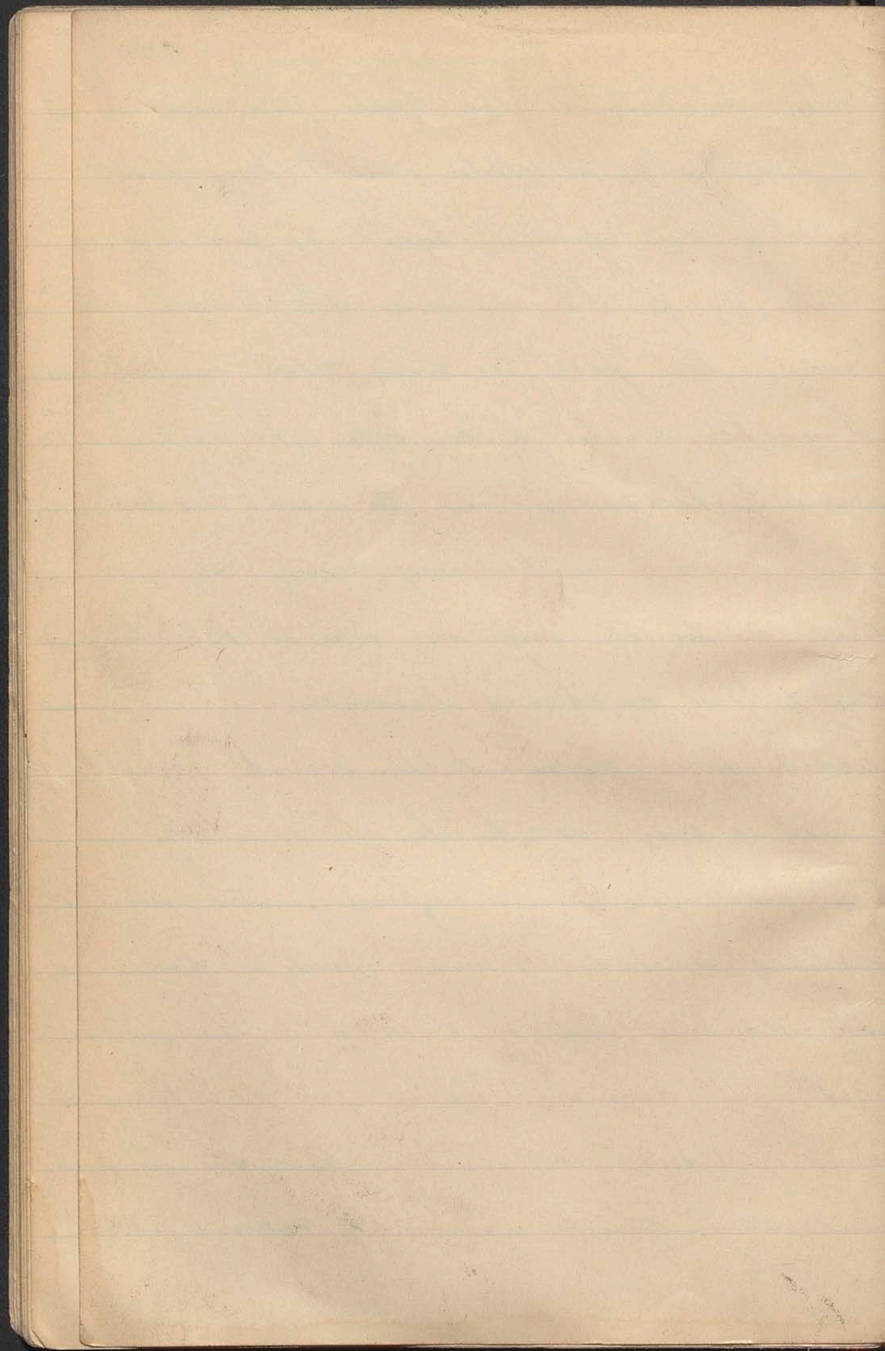
— Trzydzieści.

— Bierz Wiktę Żorkównę! Ja ci wystaram - ot jutro u mnie na chrzcinach się spotkacie. Przyjdź - ludziom się po dniu pokaż.

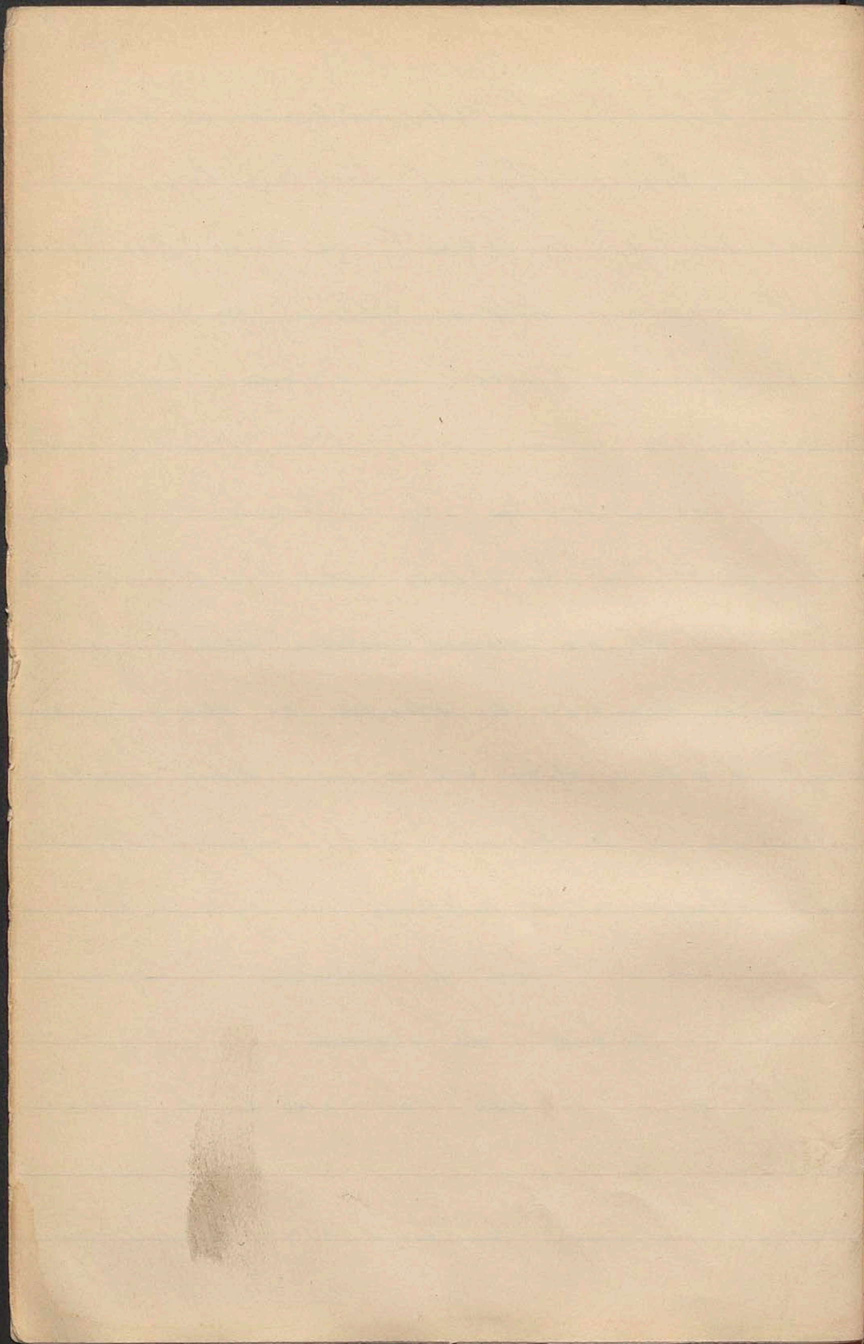
Tedras popatrzał na mówiącego, jakby się wahał, chciał coś powiedzieć, ale słowa nie wymówił, i prędko wyszedł. Nowik ramionami ruszył.



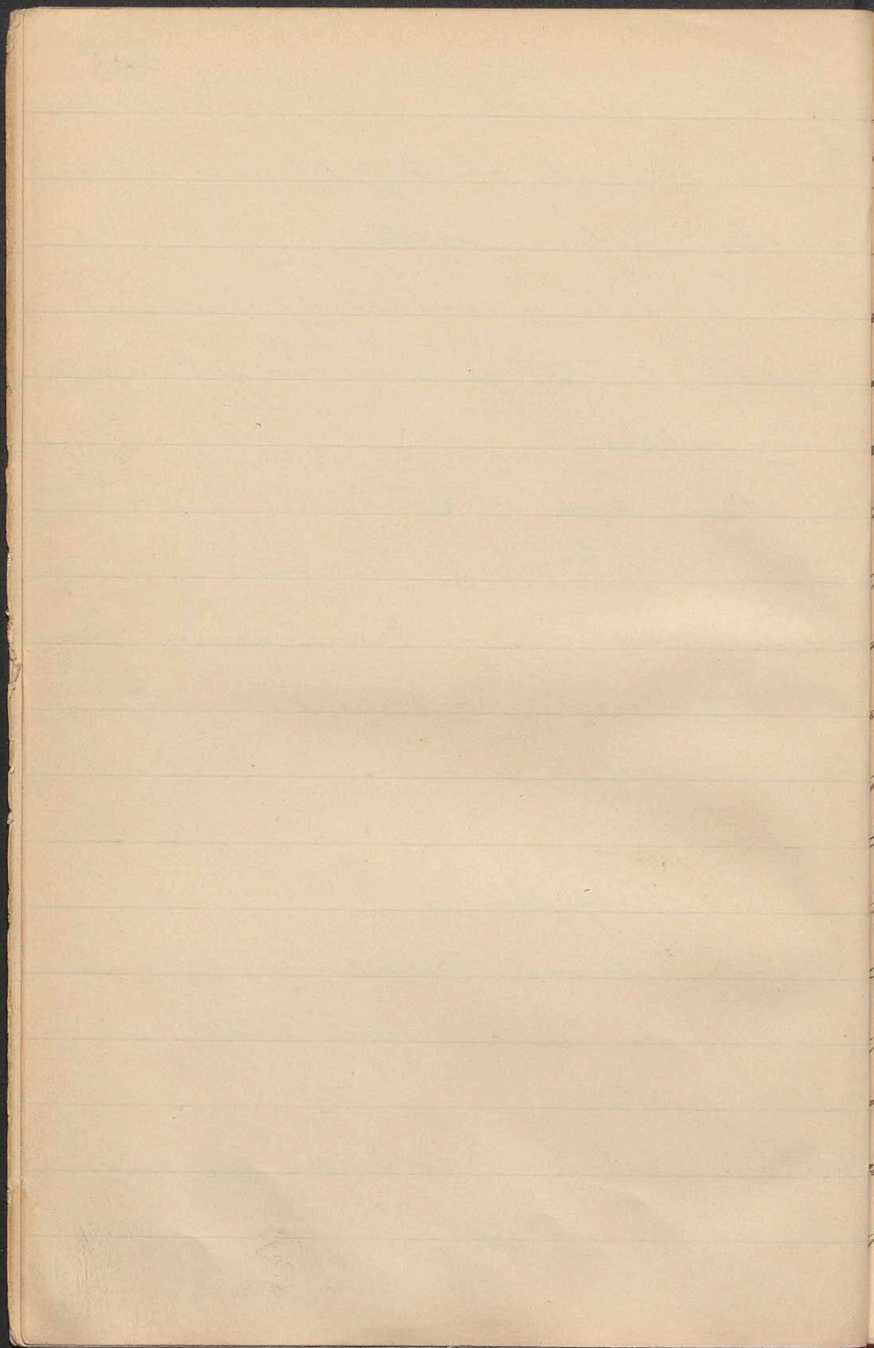
— Temu biednarza do tłoka trzeba — zamruczał stróż wyszedłszy z warsztatów ruszył drogą prosto w najdalszy kąt gumna, obejrzał się parę razy za siebie, czy go kto nie widzi, skrył się za węgieł stodoły, i tam padł na ziemię. Leżał nieruchomy, jak martwy, słychać tylko było ciężki oddech. Od miasteczka zbliżał się po szosie turkot — potem dzwonek u pałacowej bramy zadźwięczał. Stróż się zerwał — biegł na służbę, byli to goście z kolei — na chrzciny panienki.
Zajechało przed pałac kilka dorożek, wszczął się ruch i gwar — dorożki puste odjechały — stróż bramę zamknął — i rozpoczął znowu swoją monotonną wędrówkę. W miarę postępu nocy gasły wszelkie odgłosy i światła. Już i Nowak odszedł — już pociemniał pałac — już ostatni pociąg przeszedł — rozdarłszy powietrze gwizdem — zadudniwszy głucho po moście naprzeciw fabryki.



tylko klekotka Gedrasa rozlegała się od czasu do czasu, lub w stajniach parsknął koń.
Gedras zmęczył się. Usiadł na ziemi pod murem, objął ramionami kolana, złożył na nich głowę i tak, skulony, zdawał się drzemać. Nagle głowę podniósł: – za murem – szosą, ktoś szedł. Kroki były powolne, wlekące się – ustawały, czaiły się może – po złodziejsku. Stróż uszu nastawił – czatował – patrzał na wierzch muru, spodziewając się, że zechce tamtędy się wdrapać, ów spóźniony gość.
Nagle kroki ustały, coś, a raczej ktoś upadł i zajęczał, zawył, zaskamlał, jak trafiony strzałem pies w łęgach. Nic ludzkiego nie było w tym okrzyku – ale był tak przejmujący, że Gedras się zerwał – i pobiegł do bramy.
– Ktoś ginie! myślał, otwierając furtę, i ręce mu się trzęsły ze zgrozy.
Wyjrzał na drogę – pusta była i głucha – opodal



pod murem - w mroku - leżał jakiś przedmiot
Był to człowiek skulony, skręcony jak zmata-
nieruchomy - zapewne martwy.
Jędras się sekundę zawahał, czy nie obudzić
rządcy - ale dotknął go znowu - ów jęk - rzucił
się tedy naprzód.
Na skraju drogi, w kałuży, leżała kobieta
łachmanami ledwie okryta. Na widok zbliżającego
się człowieka, starała się dźwignąć, uciekać zapewne,
ale nie zdołała; poderwała się na rękach, i
opadła z głuchym jękiem:
- O Jezu.
- Co tobie? spytał Jędras.
- Ratujcie. Umieram! wybełkotała, wijąc się po ziemi;
potem się wyprężyła, i dziki żałosny jęk wy-
szedł z gardła.
Chwilę się wahał, czy ją dźwignie swą jedyną
ręką - czy iść po pomoc, a potem się schylił



spróbował, i aż się zdziwił, że człowiek może być tak lekki. Pod ramionę ją wziął – okaleczonym ramieniem przytrzymał za nogi i poniósł. Zajmował przy bramie – malutki domek o jednej stancyi – tam ją wniósł i na swym tapczanie umieścił. Potem zapalił lampkę – i przyjrzał się swej zdobyczy. Było to prawie dziecko – drobne, wątłe, bose, w szmatach obłoconych i podartych. Z twarzy sinobladej – patrzały nieprzytomne, zgrozy i osłupienia pełne, wielkie oczy – czarno obrączone. Z pod chustki wysypywały się na twarz, potem zlane kosmyki ciemnych włosów. Oczy były rozwarte, ale nic nie widziały z otaczających przedmiotów – patrzały w jakąś straszną, czarną otchłań – widziały już – śmierć. Wreszcze wstrząsały całem ciałem, zęby szczękały – ręce odrzucone, wpijały się palcami w próżnię, jakby się konwulsyjnie

chciały uchwycić życia. I znowu zawyła przeciągle, żałośnie. Pochylił się nad nią, i nagle odskoczył przerażony. Zrozumiał - że to dziecko - miało zostać matką.

Przez chwilę zdrętwiał z wrażenia, twarz mu się skurczyła, zbielały usta - potem - postawił kompot na stołku, i pobiegł do mieszkania rządcy, i począł stukać w okno.

- Co tam? rozległ się po chwili zaspany głos.

- Proszę pana! To ja, stróż.

Rządca się zerwał - przyskoczył do okna, otworzył lufcik.

- Co? Pali się?

- Nie, proszę pana - ale u mnie kobieta rodzi.

- Co? Jaka kobieta? Pijanyś, szelmo!

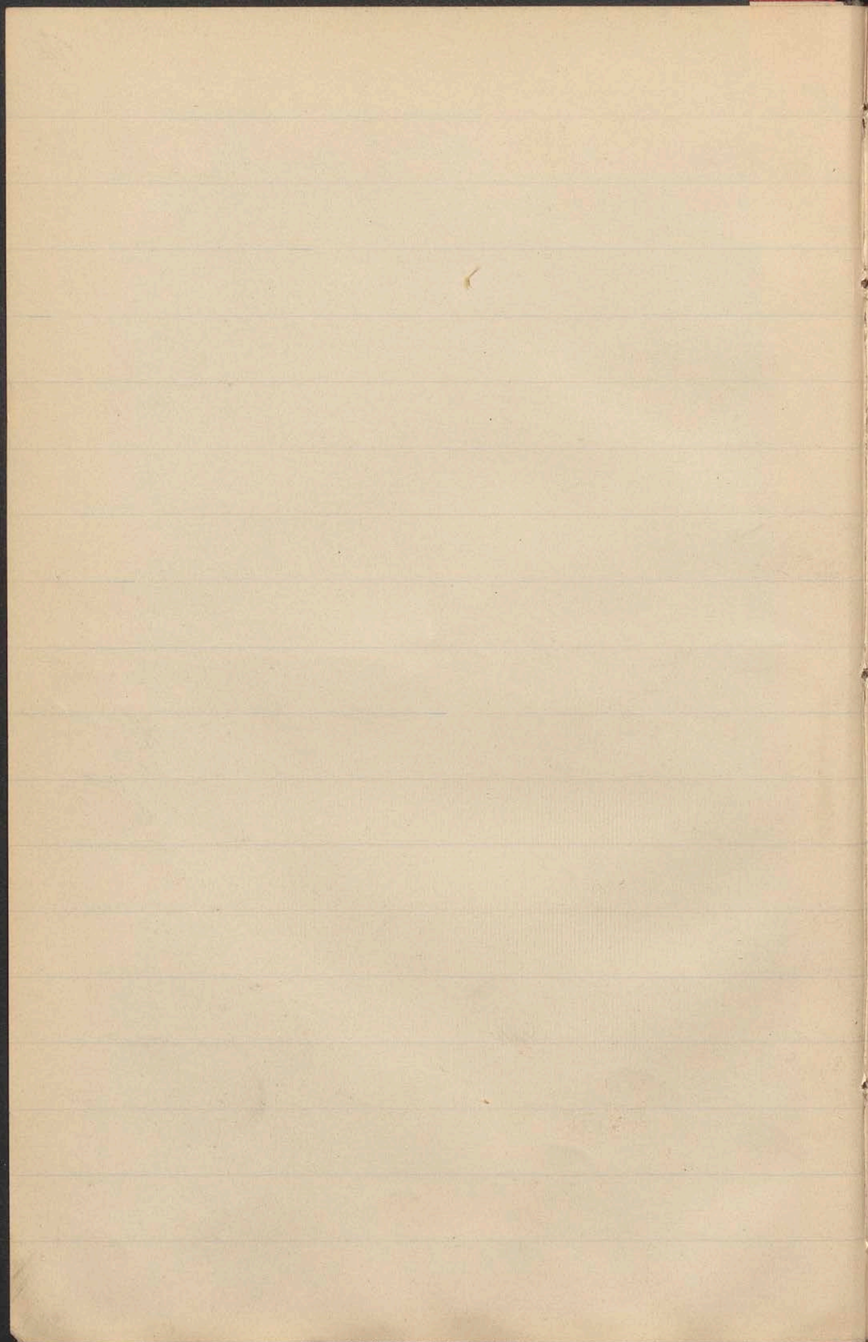
- Proszę pana. Znalazłem za bramą! Co robić?

- Idź mi do stu dyabłów. Budzi mnie dla takiej bredni. Kto ci kazał zbierać po drodze baby rodzące!

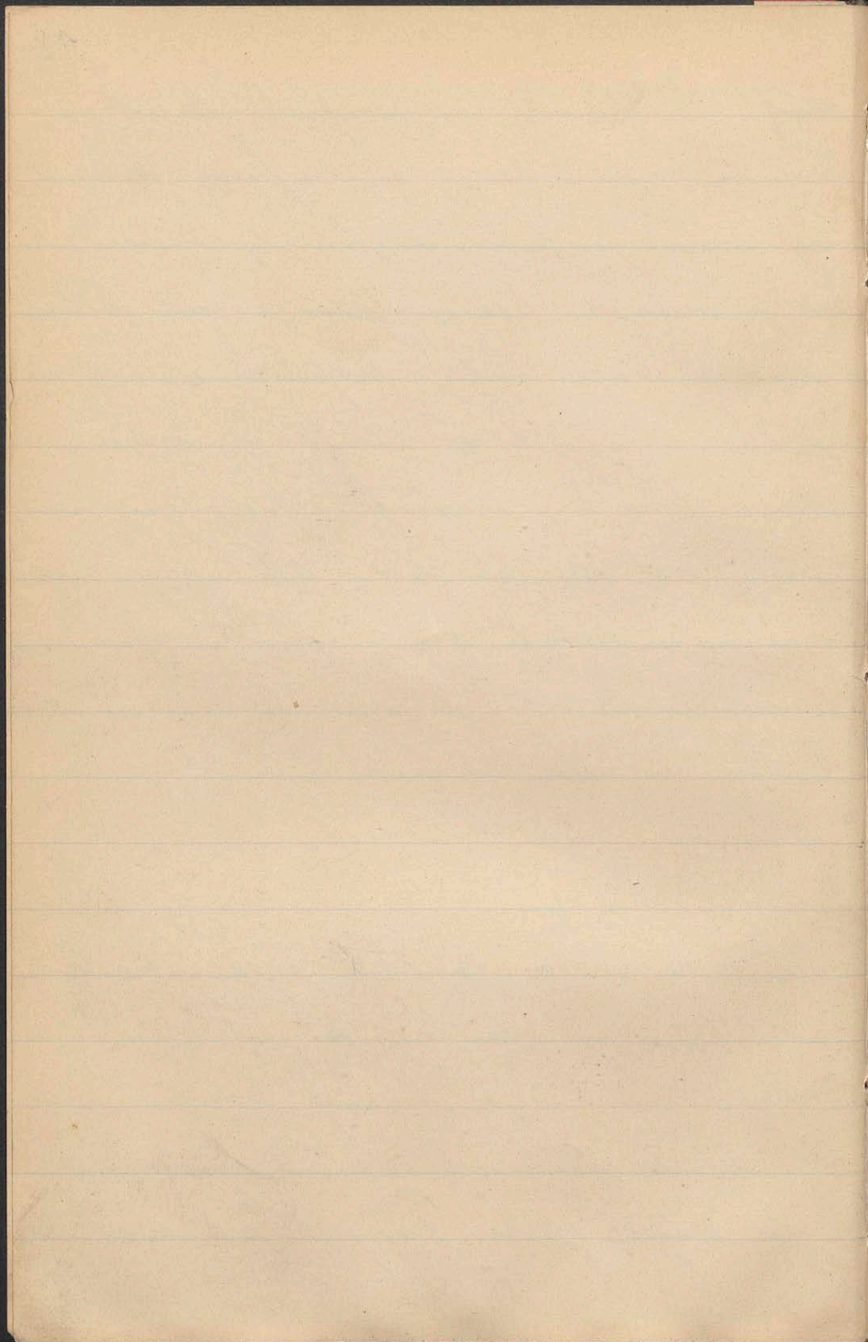
I do mnie z tem przychodzi! Jakiś sobie to zwlekł - to sam pilny! A to mnie huncwot - wystraszył!

Lufcik ~~się~~ zamknął z paszą - i snać uspokoił żonę, bo po chwili rozmowy - zaśmieli się oboje - i rządca legł, światło zgasło.

[illegible] pozostał bezradny pod oknem. Połajanka rządcy, a potem śmiech - opamiętały go. Prawda - sam sobie biedy napytał - teraz nie wiedział - co robić. Budzić pastuszej gospodyni nie śmiał - innej kobiety nie było we dworze, on sam pojąć nie mógł, jak położnicy ratować - poszedł do swego domku, ale nie było strasznie wejść. Pomyślał, żeby do miasteczka po kobietę skoczyć, ale nie wolno mu było wydalać się w nocy - po za obręb obejścia - więc stał na drodze wahający, przerażony, rozglądając się wokoło. W tem posłyszał odgłos koł[illegible]



ruch – to palacze rozpoczynali pracę.
Zaspani, zmęczeni raczej – niż wypoczęci półgodzin-
nym snem na ziemi, krzątali się leniwie, ziewa-
jąc i mrucząc pacierze. Jeden wrzucał polana
w czeluść, drugi tłukł podpałki. Nawet się
nie obejrzeli, gdy stróż stanął we drzwiach.
– Wiecie, co mi się przytrafiło! Poratujcie, ludzie
zawołał. Słyszę – na szosie ktoś jęczy – wyszed-
łem – patrzę – kobieta leży. Podniosłem – jak drewno
przyniosłem do izby – a ona rodzi.
Palacze na razie zdumieli.
– Któż ona? Jaka?
– Nie wiem – nie znam!
– Eee... pewnie mechanikowa Józia – jeden się
zaśmiał, a drugi obojętnie dorzucił.
– Rodzi – no to będą chrzciny.
Ale ich ten wypadek rozbudził, zajął.
– Po drogach szelmy ziębią – jak suki! splu-



nął młodszy.

— Nieznana, mówisz – toć mechanikową znasz?

Któraż to być może! rzekł starszy.

— Żona z fabryki ni z czeladzi. Mała – czarna – od tyła – dziecko! Jęczy, że aż mi straszno wejść – i co poradzę. Ja tu ciebie, Wiktor, zastąpię – skocz po jaką babę – ty wiesz gdzie która mieszka – mnie nie wolno odejść.

— Zdurzał ty – ani myślę – oburzył się młodszy palacz. – Mam po akuszerki biegać! A toć mnie cała fabryka na pośmiewisko poda – a moja żona co? To już wtedy do domu i nie zachodź.

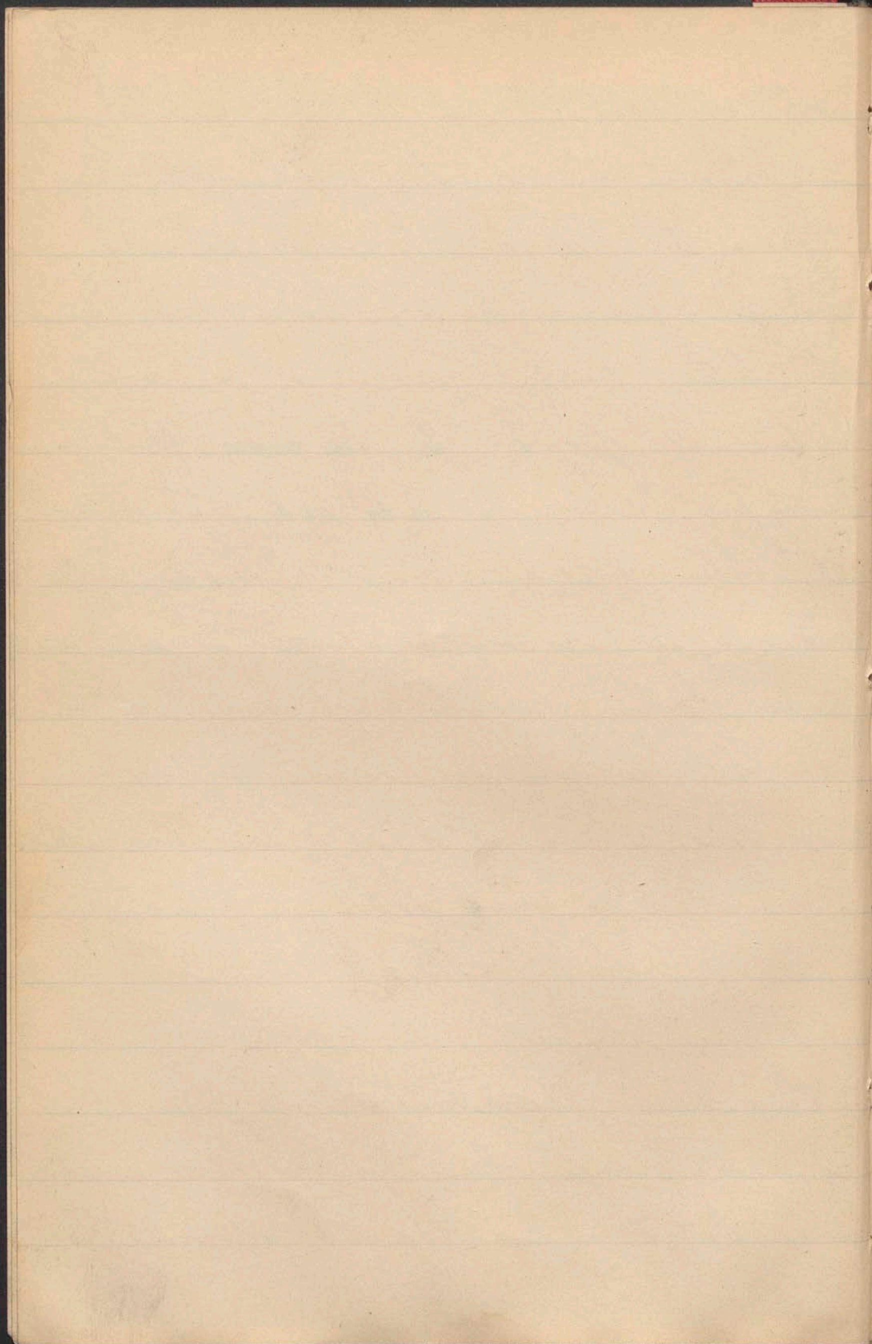
— No – to co ja mam robić!?

— Idź do rządcy, i melduj.

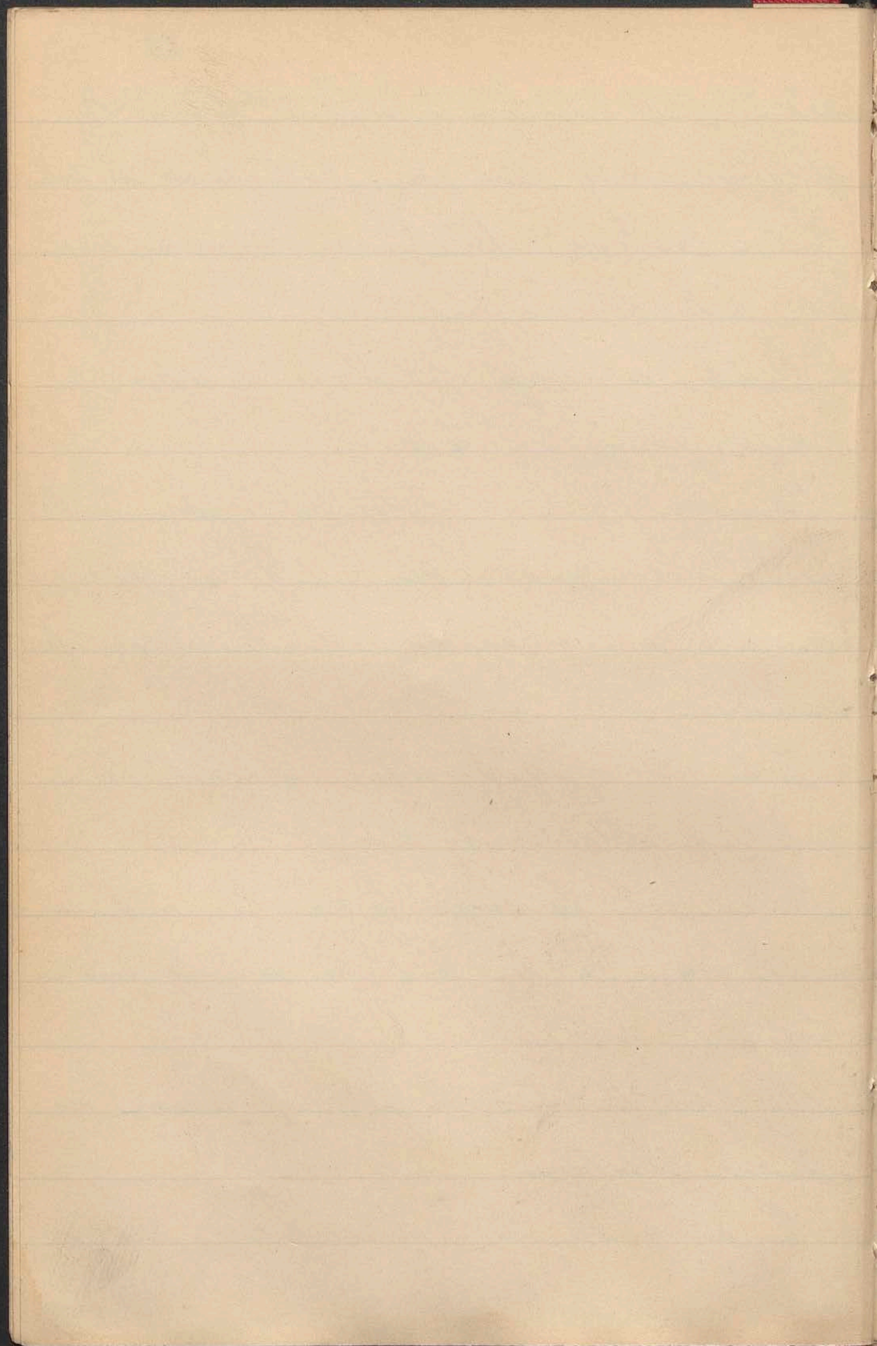
— Byłem! Wyłajał, i przepędził.

— Boś durny! zdecydował starszy palacz. Pocoś ją brał z drogi. Musi być łajdaczka ostatnia

— Ja brałbym i psa, żeby tak skomlił! Co



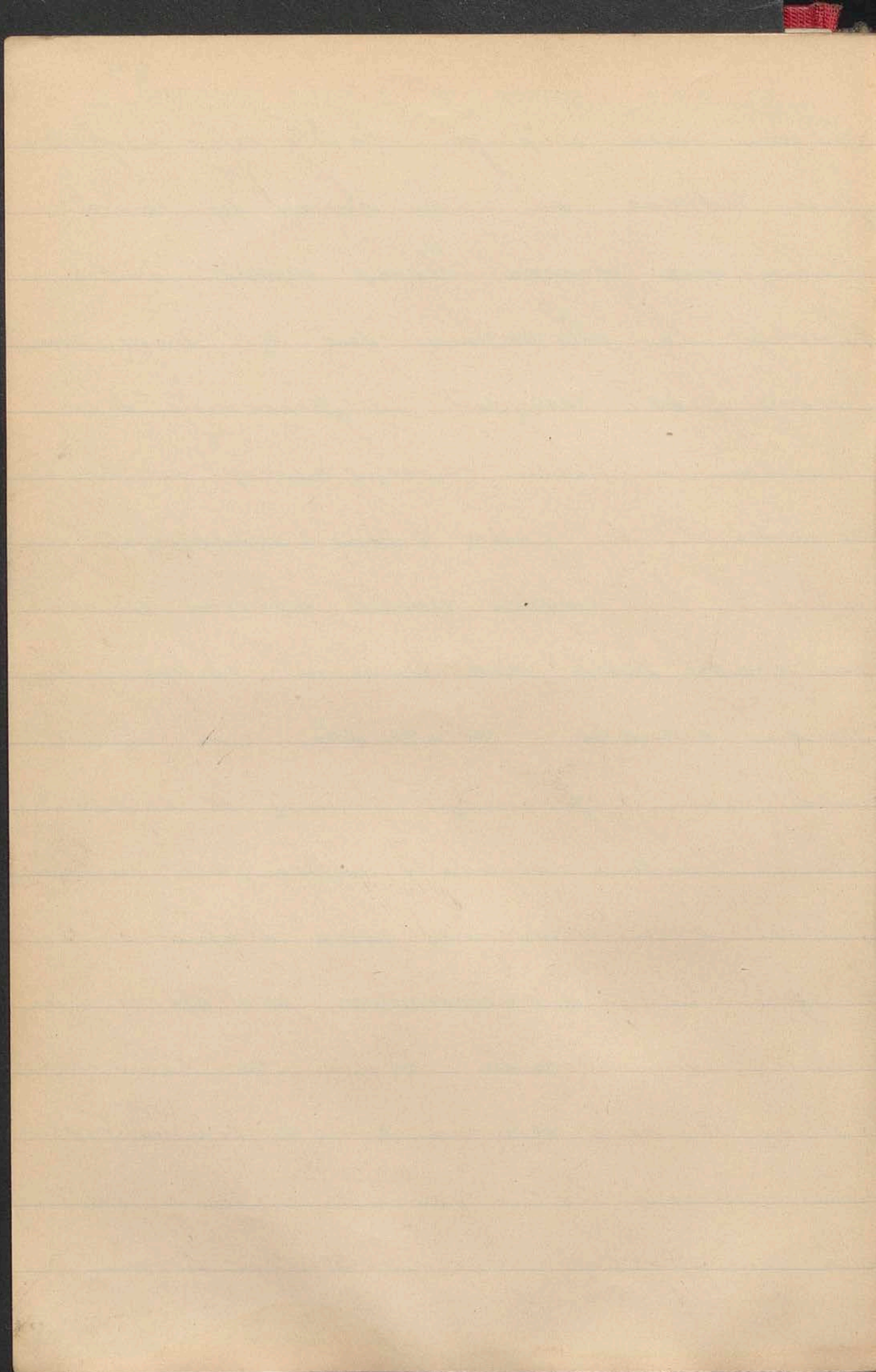
wiedziałem. A chciałbym i wiedzieć, tobym też sprzątnął - żeby koń nie potrzebował na drodze.
Jakże zostawić? - Pijaka na brzeg się ściąga żeby pod kołami nie był.
— Pijak - co innego. Przytrafi się upić naj- porządniejszemu - a taka....
— Idźcie wy po babę - Antoni! Natarczywie rzekł Jędras. Dam wam rubla, i babie ile zechce - ale tak nie można bez ratunku człowieka zostawić.
— Jaki to człowiek - tfu! splunął stary pelcer - a młodszy się zaśmiał.
— Jędras - coś ty bardzo hojny. Może ciebie sumienie gryzie - a ta wiedziała, gdzie - do kogo idzie. Stróż się zatrząsł.
— Nie kpij, Wiktor. Nie godzi się! Proszę was z duszy - poratujcie.
— Nu, daj rubla - to i tytoniu kupię przy tej



okazyi, i mojà starą sprowadzę. Dadzą jej rublą-one znające kobietą!
— Dam! Oto macie! odparł Gedras, wydobywając woreczek z pieniędzmi.
Odliczył srebrem dwa ruble — palcem je starannie obmacował, schował — nie kwapiąc się, zbierał do wyjścia — szukając czapki, podpasując kożuch, dając Wiktorowi rozporządzenia, co do kranów i wentyli.
— Idźcie już! nalegał Gedras.
— Oto — nie pilnego. Widać, że ty raz pierwszy w takiej okazyi. Będzie jeszcze moja siedzieć nad nią cały dzień — obiadu mi nie zwarzy.
A gdzie moja fajka?
Marudził jeszcze długą chwilę — wreszcie poszedł.
Gedras go przez furtę przeprowadził, i wrócił pomagać Wiktorowi. Czas mu się wydawał bardzo długim — a wreszcie i rzeczywiście — minęła

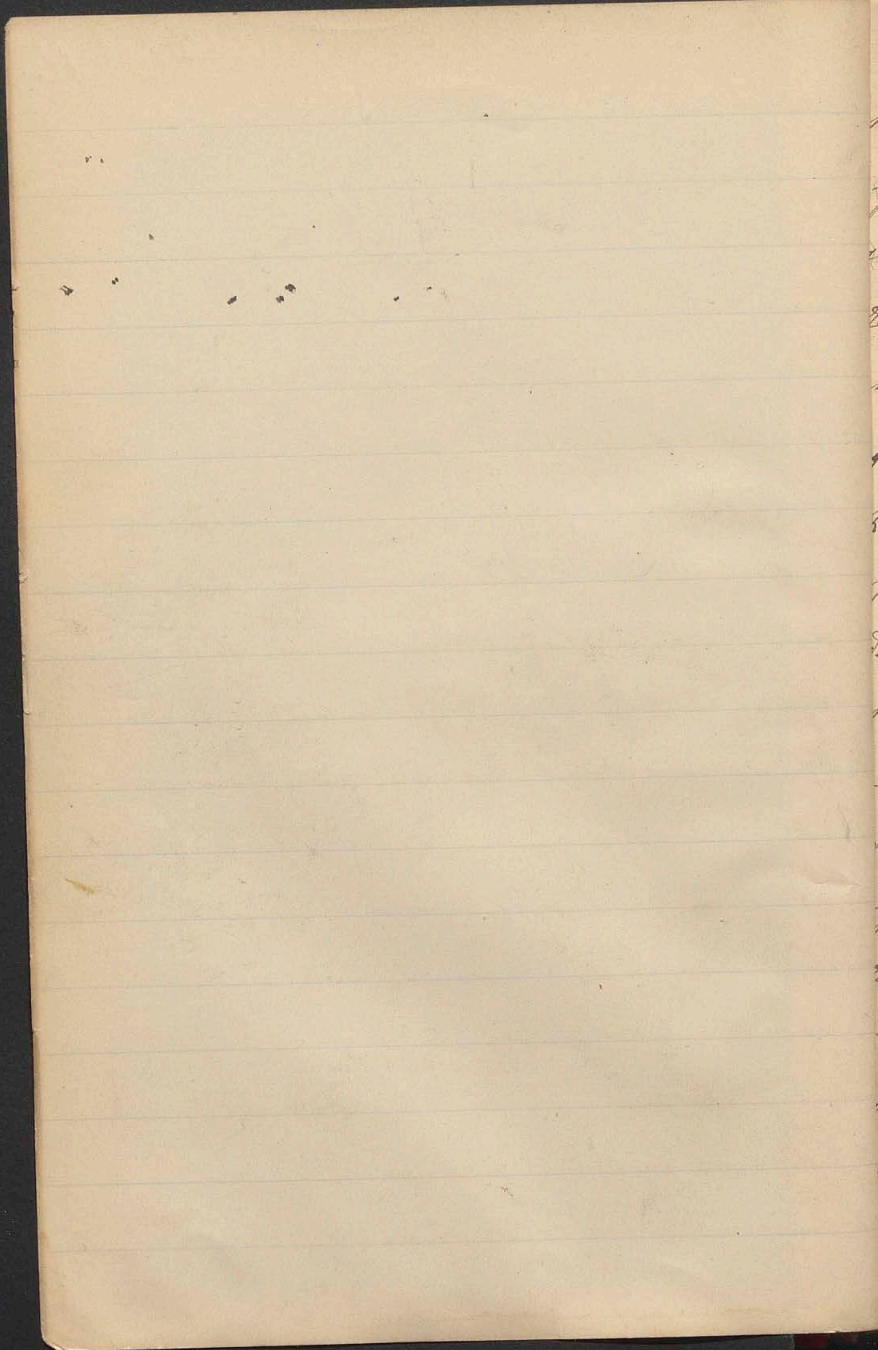
godzina jedna i druga - kotły były rozpalone - para zebrana - na niebie czyniło się ranek - palacz nie wracał. Tedros wyszedł do bramy - otworzył ją. Robotnicy już szli drogą - dygnął parowy gwizd - zaczynał się pracowity dzień. Nareszcie na końcu roboczej czeredy nie kwapiąc się, ukazał się palacz z żoną - opowiedzieli już wypadek - kto tylko mijał stróża, rzucał mu gruby żart lub pytanie - rozlegały się drwiące śmiechy i przezwiska. Ten jakby nie słyszał - poprowadził kobietę do swej budy. Weszli. Lampka dogasała, kopcąc, ale już izba pełna była wiosennej zorzy słonecznej - i w tym blasku złotoróżowym - jak czarna plama, jak brudna szmata - leżała na ziemi kobieta z głową odrzuconą sztywnie, z wyprężonemi w skurczu rękami - wpół naga - bez życia już i skargi.

- Co jej? zagadnął Tedros - stojąc w progu.

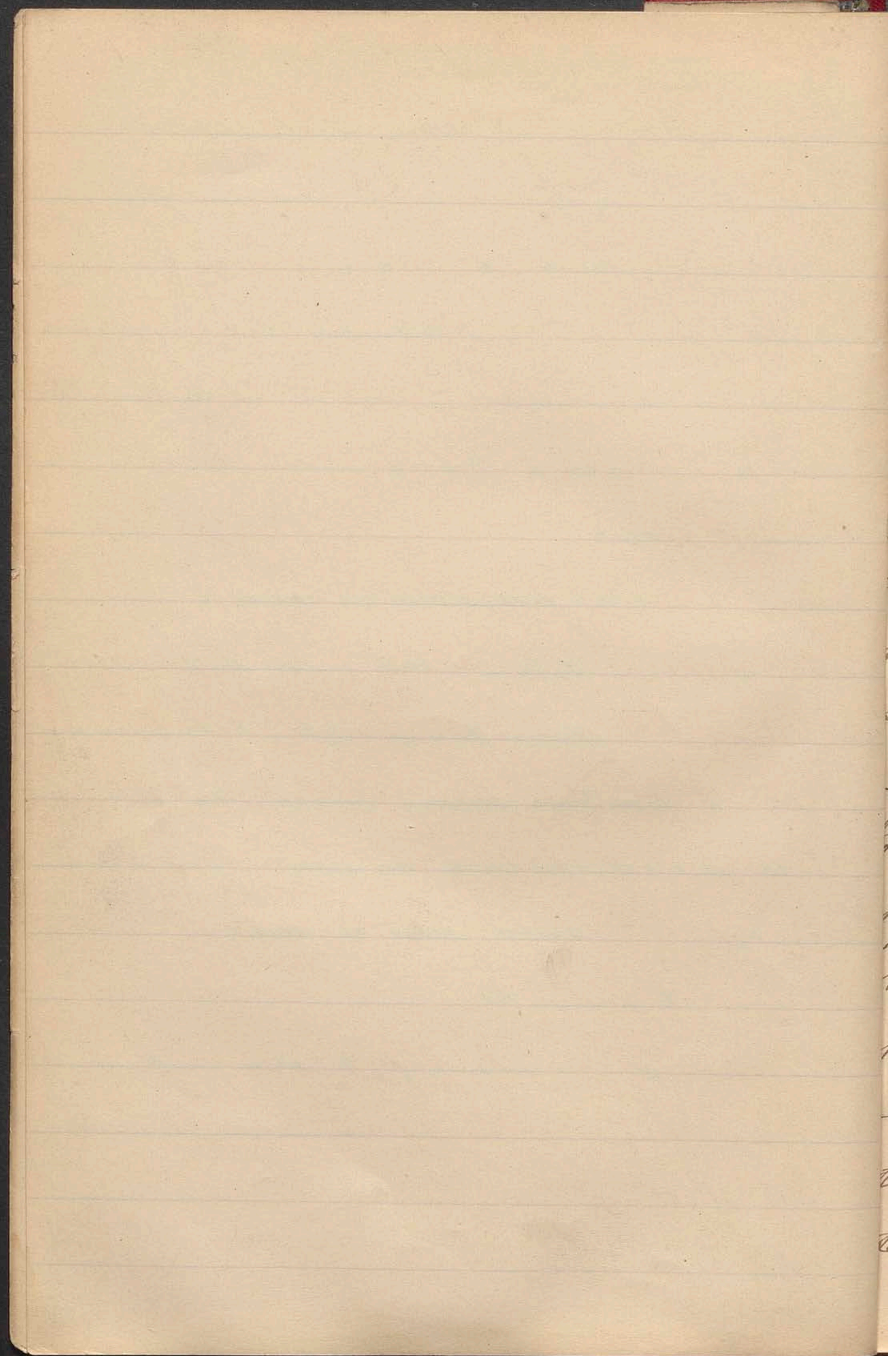


– A toć już trup! krzyknęła baba – i przypadła na ziemi.
Jędras oparł się o futrynę drzwi, i zdrętwiał.
– Jezus, Marya! wołała baba przerażona – a dziecko jeszcze żyje. Może i jaby docucić jeszcze można. Leć po doktora – po gospodynię od pańskich dzieci.
Jędras rzucił się na oślep do pałacu. Już się niczego i nikogo nie bał, ani się wahał. Już nie rządca chory potrzebował ratunku – już w jego chacie była wielmożność śmierci. Na alarm trupa poruszyli się wszyscy: rządca, gospodyni, lokaje – nawet brat pani, przybyły na chrzciny, a doktor z ogrodu. Po chwili tłum otoczył domek stróża – i wewnątrz było pełno ludzi i gwaru. Doktor odstąpił pierwszy – nie miał co robić. Popatrzał na zmarłą – z troską na te pierzynie – sztywną, białą, bez kropli krwi – obrażoną – na

pastwę oczu motłochu i wzgardy ludzkiej – otarł
ręce, dobył portmonetkę – wyjął rubla.
– Na pogrzeb! rzekł, rozglądając się, komuby ofiarę
doręczyć. Usunęli się wszyscy.
Wtedy Jędras z tłumu wystąpił, ściągnął ze siebie
kożuch – i okrył nim trupa, potem klęknął –
i przeżegnawszy się, począł cicho pacierz.
W izbie nagle ucichł gwar, tłum się cały prze:
:żegnał, jedna z kobiet zdjęła ze ściany gromnicę
zapaliła. Żółty płomyk chybotał się i kopcił –
a słońce coraz wielmożniejsze – zalewało izbę – i była
chwila jasnej ciszy.
Brzęk szabel wezwanej policji przerwał skupienie.
Dozorcy fabryczni i folwarczni zapędzili gapiów
do roboty, doktor, położywszy na stole rubla
wyszedł – zostało kilka kumoszek, rządca, Jędras
i policja. Zaczęło badanie świadków. Opowiedział
po raz setny wypadek. Zmarła była wszystkim



nieznaną – nikt jej w nocy nie spotkał
Przeszukano odzież – nie znaleziono ani pieniędzy,
ani papierów – tylko z prawej dłoni, kurczowo
zaciśniętej – wydobyto z trudnością jakiś szmatek
na zerwanym sznureczku. Był to szkaplerz Serca
Jezusowego – i medalik Ostrobramski. Zerwała snać
z szyi – w agonii.
Policya spisała protokuł, i odeszli. Zajęcia
domowe odwołały część kobiet – już tylko został
rządca, Jędras, i gospodyni dworska, stara Jankowska
– A cóż z dzieckiem będzie? rzekła, zaglądając –
w garść szmat, leżących na ławce pod piecem.
Jeszcze żyje. Trzebaby prędko ocucić – nim
zestygnie. Dziewczynka!
Jędras rozwinął szmaty, rozległ się cichy pisk, ujrzał
drobinę nagą, siną – otwarte – a nie jeszcze nie widzące
oczy – przypadł u ławy na kolana, i nie wiedząc
co robić, by to życie utrzymać, jął je rozgrzewać



oddechem.

– Toć żyje. Jadłoby! wyjąkał.

– Ale – posyłaj że po mamkę! urągała Jankowska.

Och, ochrzcij prędzej z wody – bo zamrze lada moment.

– Toś by narobił, och! wybuchnął rządca.

Teraz koszt pogrzebu, cyganina, ambaras.

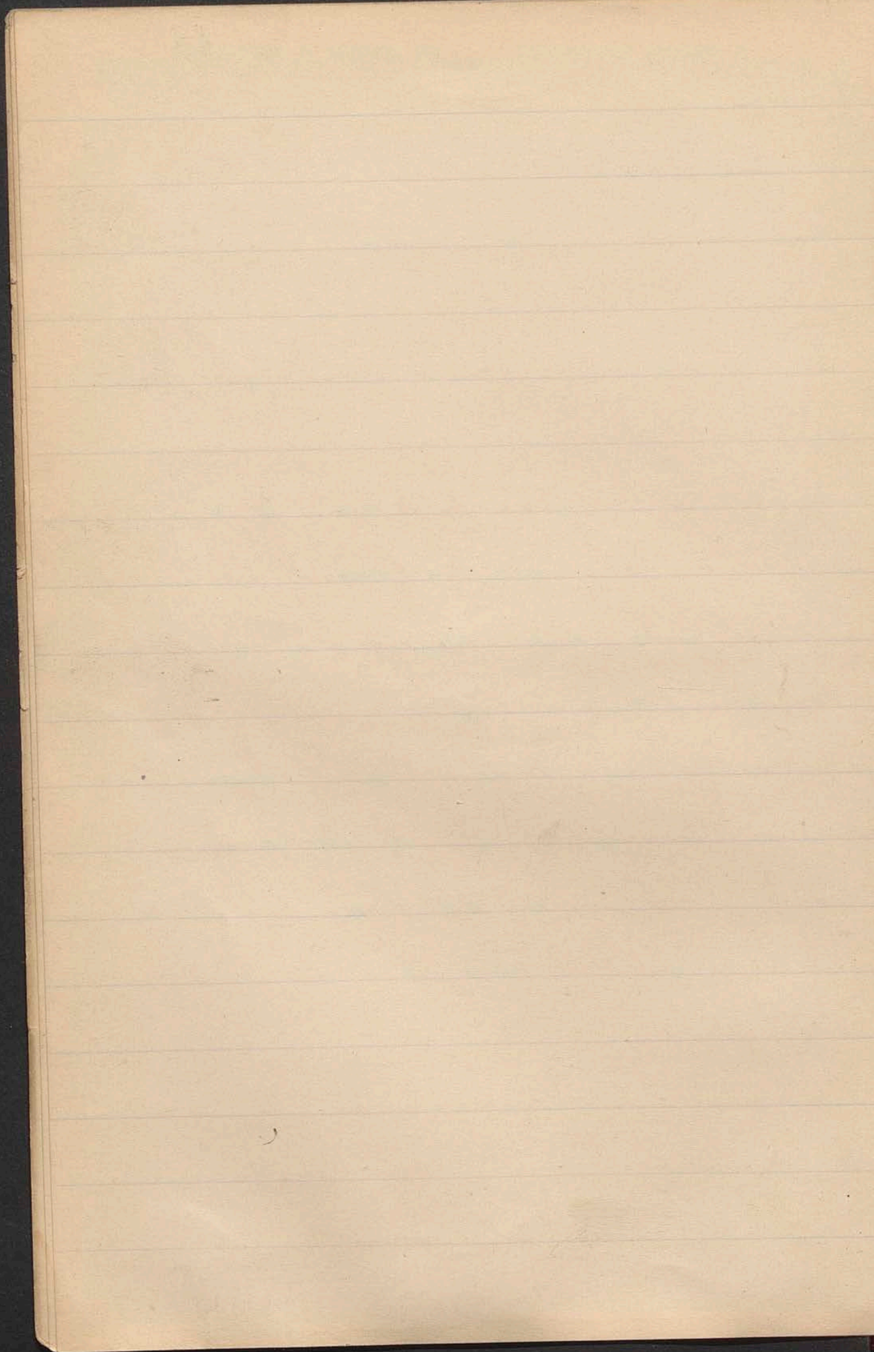
Pani się zestraszyła podobno – w sam dzień chrzcin – taki paskudny wypadek. Pewnie cię każą ze służby zaraz wygonić. Z dziesięć rubli to kosztować będzie – licho wie zaco i poco – wydatek.

– Ja sam zapłacę – ja sam! rzekł Łodras. To dla mnie Bóg zesłał. Ja go pochowam – a to wychoduję – niech żyje. Od Boga mi to, od Boga.

Był bardzo blady – wargi mu się trzęsły, urywane padały słowa.

– Zfiksował! ruszyła ramionami Jankowska.

Lokaj z pałacu wpadł, wzywając rządcę. Stara też się ruszyła – i wyszła – mówiąc.



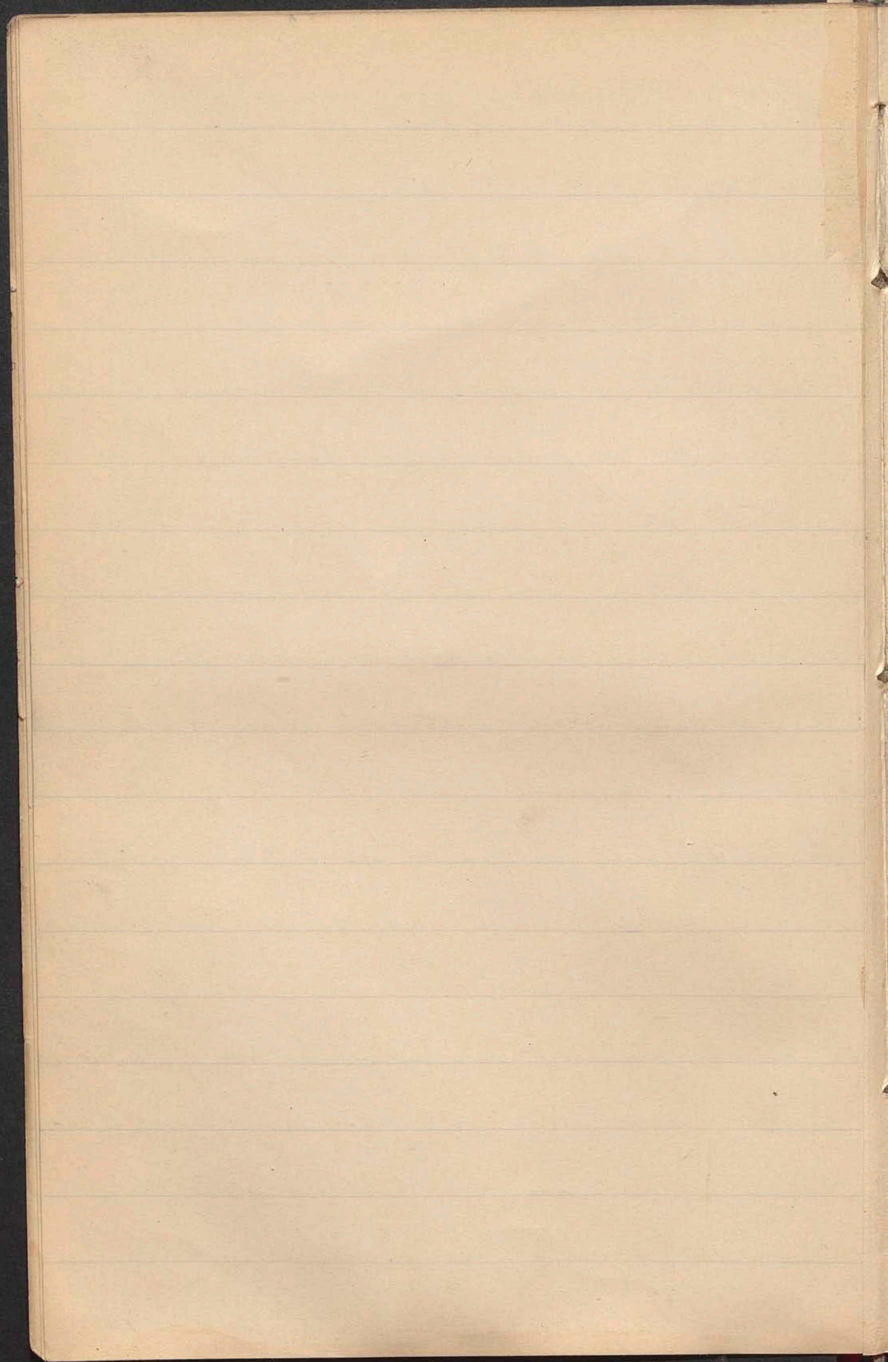
– Po chrześcijańsku ci radzę – odrzuć, a to grzech będziesz miał – jak tak zemrze.

– Przyślijcie mi kapkę mleka! zawołał za nią błagalnie Gedras.

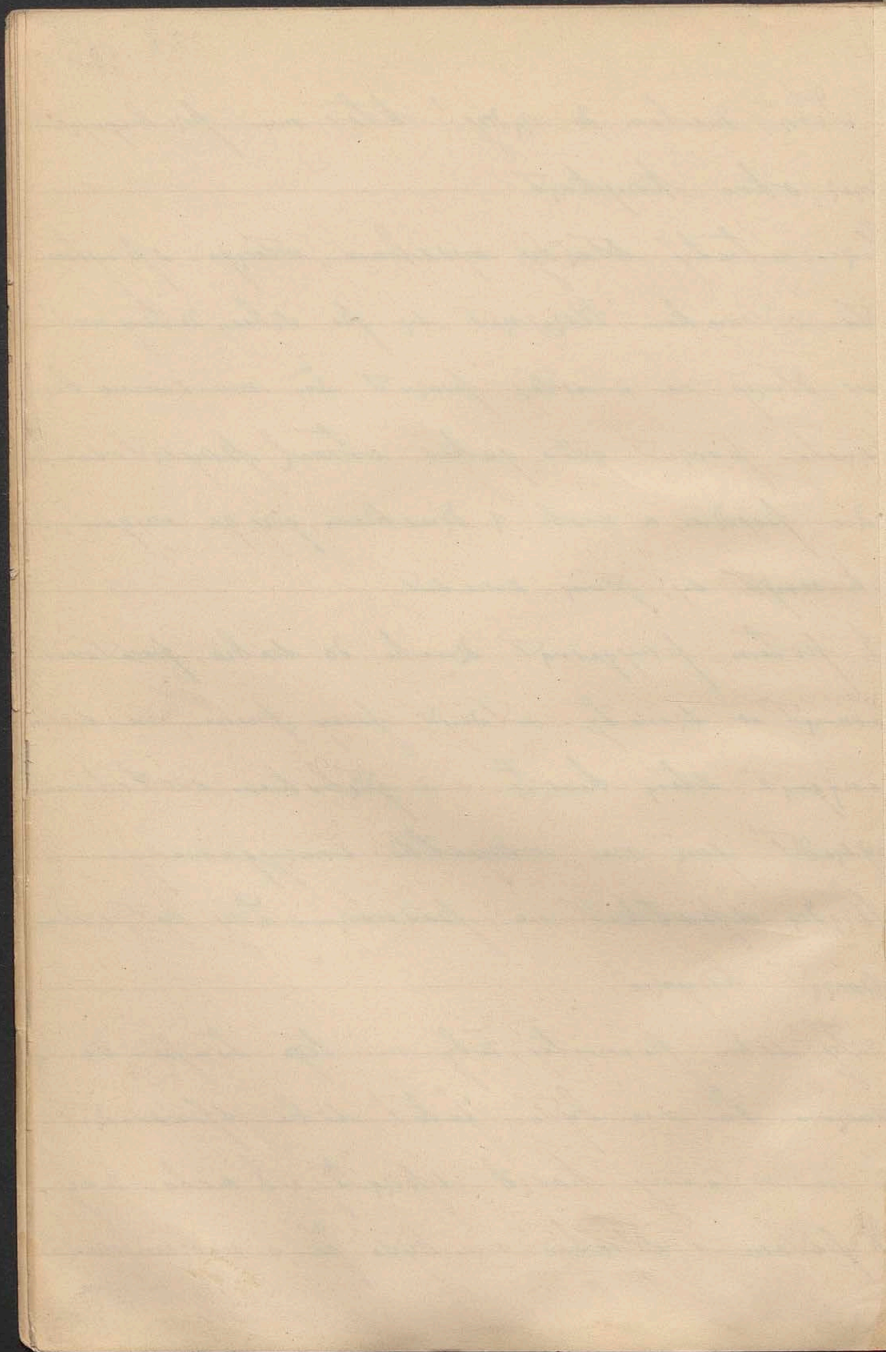
Pozostał sam, i zrozumiał, że oprócz ciekawości próżnej nic od ludzi mieć nie będzie. Położył tedy dziecko napowrót przy ciepłym piecu, pobiegł do pachta po mleko. Dano mu butelkę ciepłego jeszcze. Trudno mu było dać sobie radę jedną ręką, ale wreszcie udarłszy kawałek koszuli, zrobił smoczek, wziął dziecko na kolana, i spróbował poić.

– Pij, niebożę, pij – nie zmieraj mi, szeptał. Toć Bóg cię tu mi zesłał – jakże masz zemrzeć. Ja tyle pokutował – żyj – Maniuś!

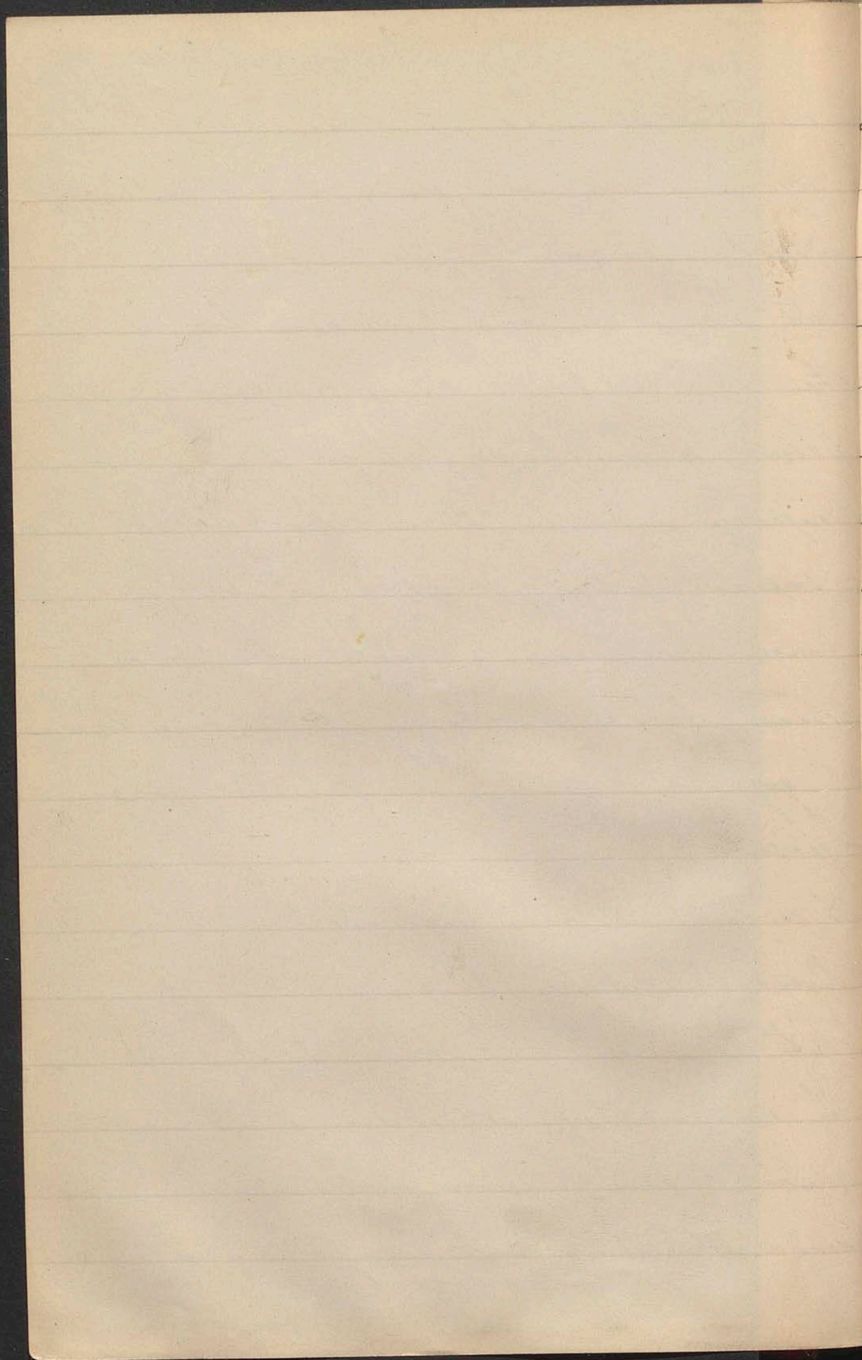
Po twarzy puściły mu się gorące łzy, padały na twarzyczkę dziecka – były jego pierwszą w życiu kąpielą. Rozległo się mlaskanie – maleństwo chciało żyć – piło. Przez łzy Gedras się począł uśmiechać.



– Idź, duchem do rządcy! ktoś mu, przebiegając przez okno krzyknął.
Groza utraty służby, wydalenia, włóczęgi – odprzytom-niła człowieka. Rzucił się po izbie, zatrzymał oczy długo na zmarłej, poczuł, że mu zimno bez kożucha, poczuł głód, jakiś strach przyszłości – gdzie pójdzie, co zrobi z dzieckiem, gdy go wygonią – skurczył się, głowę zwiesił.
A potem, przygarnął dziecko do siebie, pocałował – zawinął w szmaty – ułożył przy piecu, na siebie naciągnął starą kurtę – i z głębokiem odetchnieniem wyszedł – już na wszystko zrezygnowany.
Rządca spotkał na podwórzu. Zły był, i odrazu począł krzyczeć:
– Ty sobie pamiętaj, żeby mi tego trupa do wieczora tu nie było. Jakoś sobie sprowadził – to na własny koszt sprzątaj. A cicho – żeby w pałacu i słychać nie było. Ja o niczem wiedzieć



nie chcę, ani ambarasu z władzami. Marsz!
O wydaleniu nie było mowy. Jędras odetchnął
i odszedł spiesznie.
Wrócił do stancyi, przebrał się odświętnie, wziął z ku-
ferka pieniądze – drzwi za sobą zamknął na klucz –
i poszedł do miasteczka. Kupił trumnę, zamówił
u znajomego kolonisty konia i furę – wydobył w poli-
cyi świadectwo potrzebne, i około południa, zziajany,
w śmiertelnej trwodze o dziecko – stawił się na
plebanii. Proboszcz właśnie po summie śniadanie
pił, gdy Jędras stanął u progu – z papierami
w garści.
— A co tam? Co wam potrzeba.
— Przyszedłem o pogrzeb prosić.
— Kto taki?
— Ja nie wiem, proszę dobrodzieja. Dziś w nocy
nieznana kobieta u mnie w izbie zmarła przy
porodzie. Świadectwo od policyi już mam. Pan kazał



do wieczora trupa ze drogi uprzątnąć. Zapłacę
ile dobrodziej każe.

– To mniejsza – ale jakże to? Kto? zupełnie nieznany?

– Powiadają, że może z pociągu wysiadła – w nocy.
Nikt nie zna. Z drogi podniosłem – i u mnie zmarła.

– A wy kto? Nie znam.

– Ja stróż nocny z fabryki pana Zaremby. Gedras.

– Katolik?

– Tak.

– Jakże, że cię nie znam. Nie pamiętam ciebie, ani
z kościoła, ani ze spowiedzi. Nie dawno tu jesteś?

– Już trzy lata.

– U spowiedzi bywasz?

Gedras milczał, z oczami wbitemi w ziemię.

– Nie bywasz? Czemu? łagodnie ksiądz spytał.

– Poco! wyrwało się głucho z piersi człowieka.
Nie godzi mi się do Boga chodzić. On nie – jaki ja.

Ksiądz uważnie na niego popatrzał.

– Dawnoś już u spowiedzi nie był?

– Pięć lat.

– A przedtem bywałeś?

– Bywałem.

– A lepiej ci tak – nieumytemu tyle lat.

– Jak się kto w błoto ubroczy – to go nic nie obmyje.

Zapanowało milczenie.

– Pokaż papiery! rzekł ksiądz. I o spowiedź jakoś tę kobietę znalazł. A dziecko? Nieżywe?

– Jeszcze żyło jakem rano wychodził, ale tyle godzin. Już chyba nie zastanę.

Było coś łamiącego się w głosie, ksiądz dosłyszał.

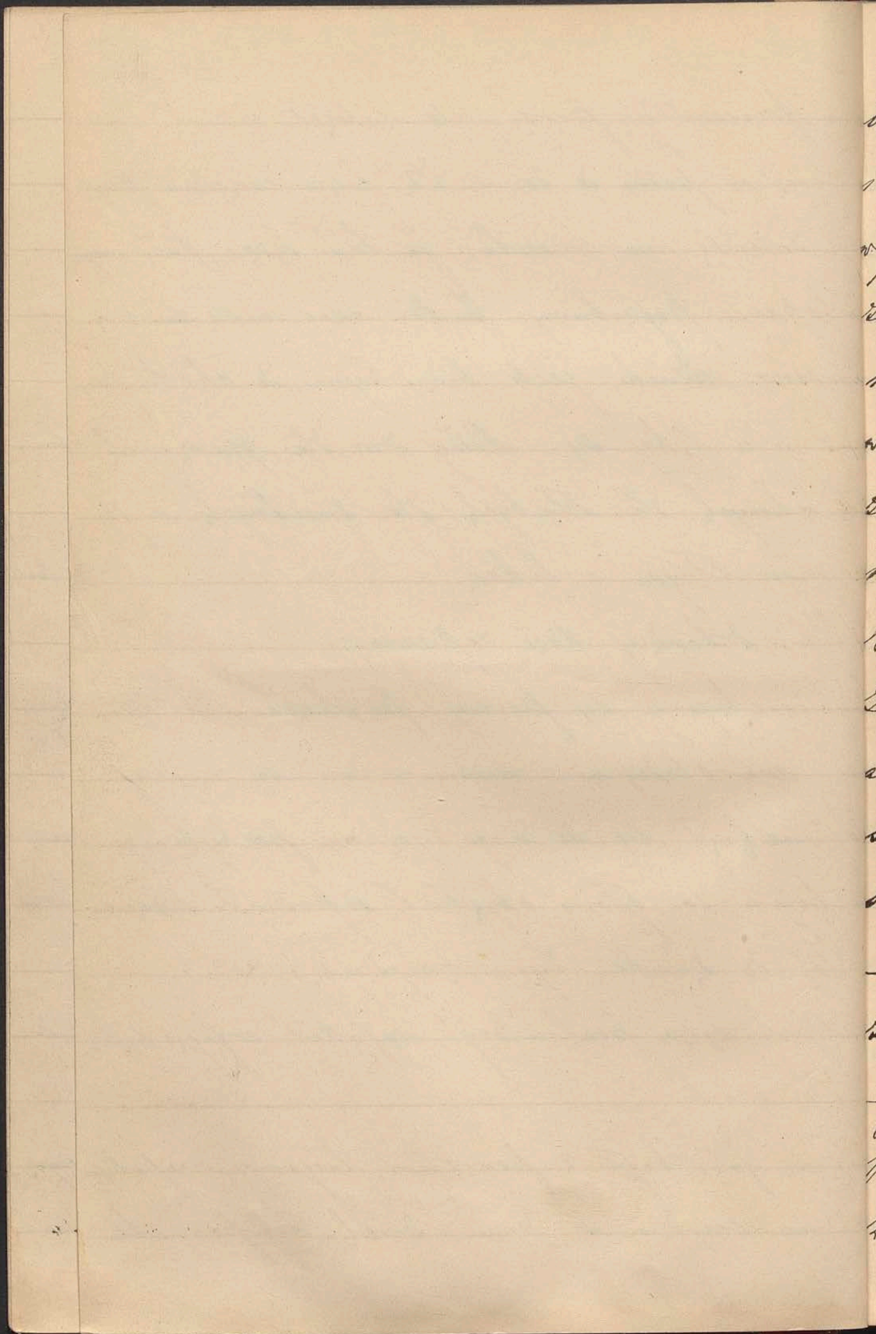
– No, a jak jeszcze zastaniesz żywe. Toć ochrzcić trzeba? Cóż z niem zrobisz? Masz żonę?

– Nie! Sam jestem. Jeśli żywe zostanie – to będzie moje. Uchowam!

– Dobrą masz duszę! Zostawi ci je Bóg – zobaczysz.

Jędras oczy podniósł. Patrzał na księdza, jakby

nie pracowały piersi – ale milczał.
– Teraz ci pilno do domu. Idź! Przed wieczorem przywieź zmarłą na cmentarz. Ja tam będę – każę mogiłę wykopać – pogrzebiemy. Jutro rano mszę za nią odprawię. Dziecko – jeśli będzie żywe, do chrztu przynieś. Nie lękaj się – Boży dom dla grzesznych, dla chorych, dla słabych, dla smutnych – a ja w nim sługa i lekarz.
– Ile dobrodziej każe zapłacić?
– Porachujemy się później – po chrzcie. Nie lękaj się – nie obedrę cię – wezmę co mi się należy!
Uśmiechnął się do niego życzliwie, pochylonego do kolan, za głowę objął – i odprawił słowem.
– Idź do dziecka. Żywe znajdziesz!
– Niech będzie pochwalony! wyjąkał cofając się tyłem.
– Na wieki.
Teraz już biegł z powrotem, targany niepokojem czy nie znajdzie w domu dwóch trupów. Ale



dziecko żyło, i piszczało z głodu. Nakarmił je
i czekał aż zmarło. Izbę uprzątnął, zwłoki ubrał
w jakieś szmaty, które na dnie kufra chował po
żonie, ułożył na tapczanie, świecę zapaloną i krzyż
na stoliku postawił. Nie śmiał ruszyć jadła,
wiąc się chlebem posilił, i stróżując tym
zwłokom, przesiedział parę godzin obok dziecka
na ławie, wyczekując trumny i furmanki.
Na widok trumny – nadbiegła garstka gapiów.
Gadali, przypatrywali się, krytykowali, dziwili;
ale nikt pomódz się nie kwapił. Gedras
sam kobietę na pościeli z wiórów umieścił,
obrazek święty w ręce włożył – zagwoździli ~~to~~ wieko.
– Na cmentarz ksiądz nie przyjmie, zobaczycie!
zdecydowali gapie
– Jest za murem spory plac, cholerników.
Przecie kędyś zakopią! odparł kolonista, ładując
z Gedrasem trumnę na wóz, i zaciął konia.

Wóz się potoczył szybko. Jędras uczepił się drabiny - zdając znowu dziecko na opatrzność. Chmurno było, deszcz mżył, wiatr napędzał słotę. Kolonista zapalił fajkę, i rozpoczął rozmowę.

- Myślicie dziecko chować?

- A coż! Nie wyrzucę.

- Oddacie na mamki chyba.

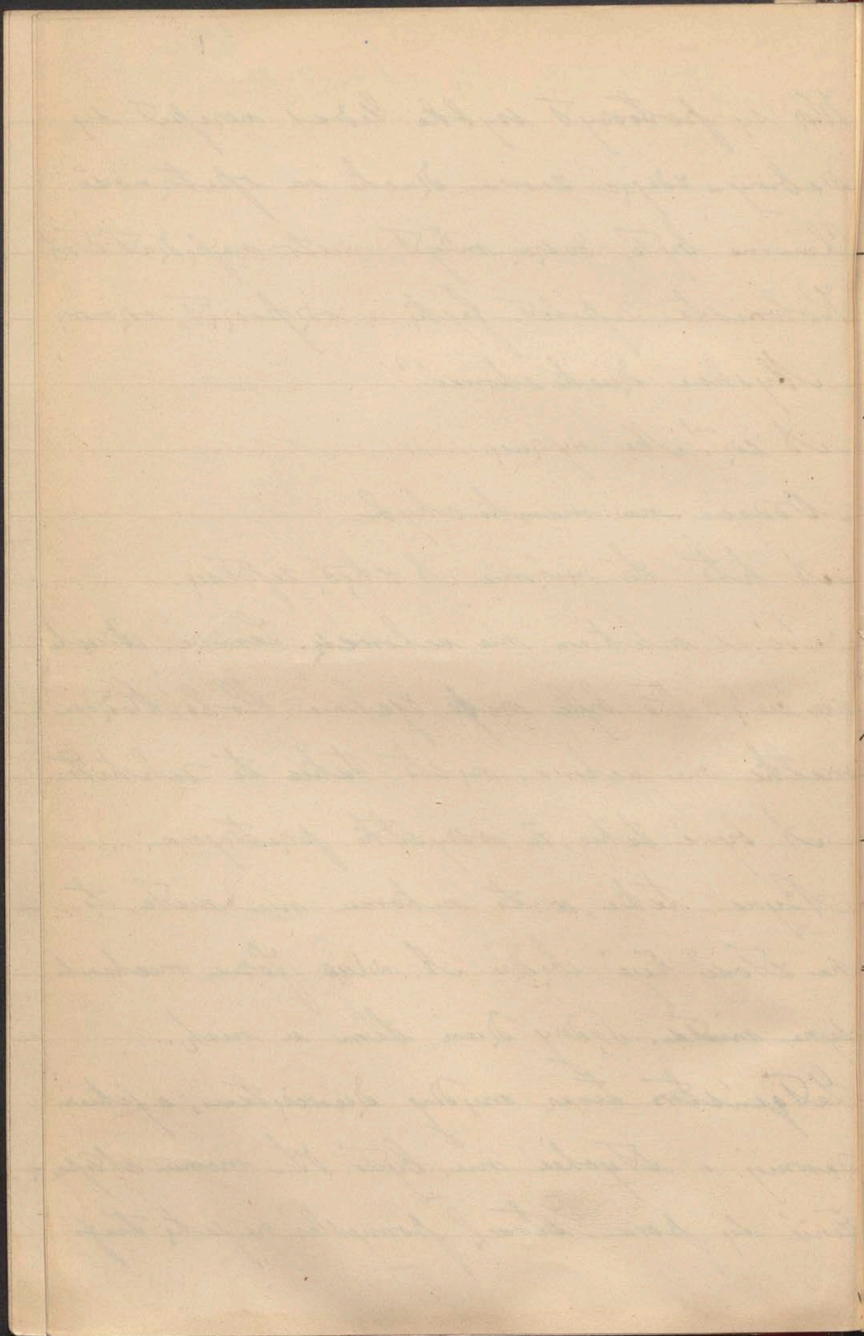
- A kto to weźmie. A zkąd zapłacę.

- Toć i mlekiem nie uchowacie. Zamrze. Dziecko nie cielę. Od byle czego zgaśnie. Hoho! Rodzona matka nie uchowa często - takie to delikatne.

- A bywa takie, że wszystko przetrzyma.

- Bywa - takie, co to nikomu nie miłe, to na złość żyć będzie. A wiecie Józia, mechanika syna miała. Sądny dzień tam u nich.

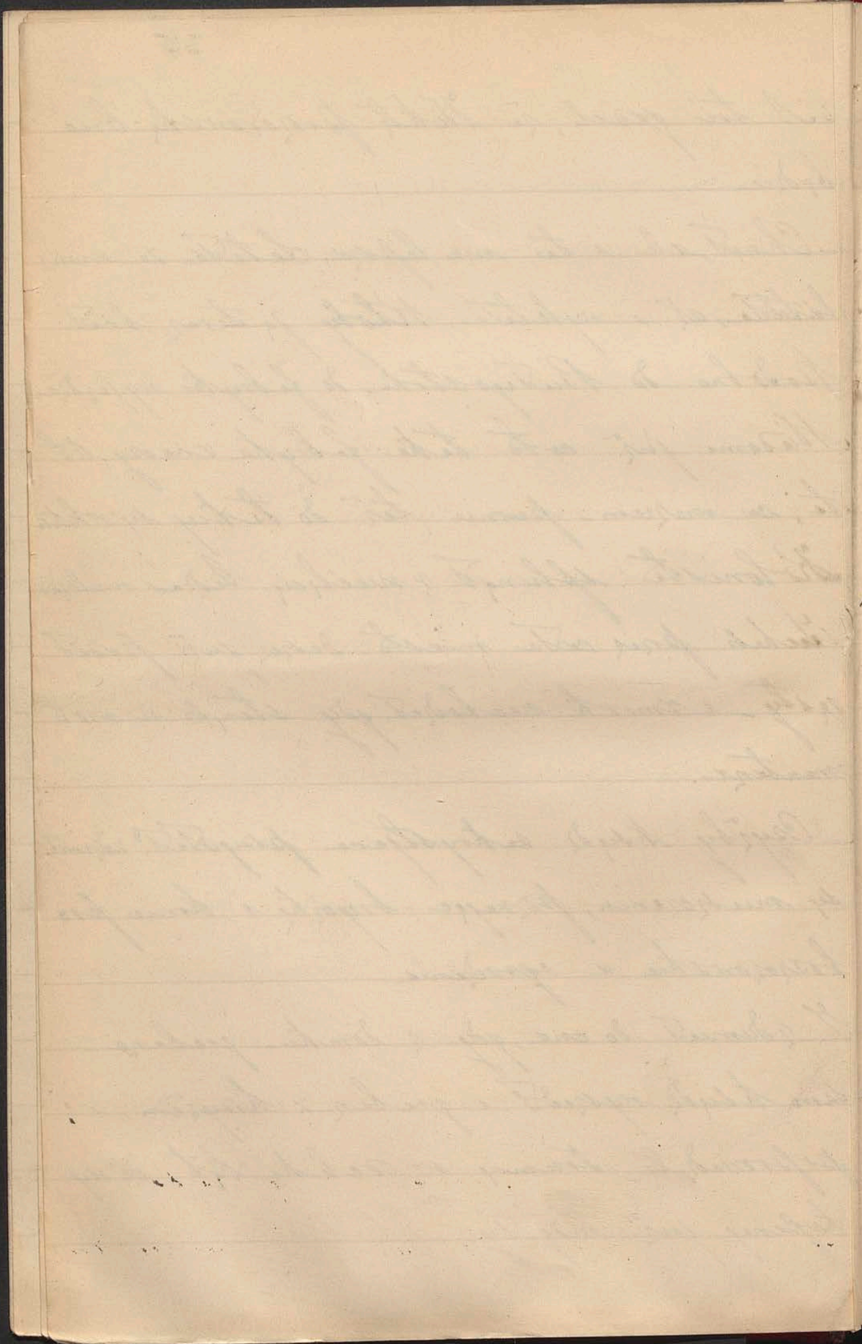
Zatajeństwo teraz między dziewczętami, o jakiem dawniej i słychać nie było. Ot - memu chłopcu żenić się pora - strach pomyśleć na jaką trafi.



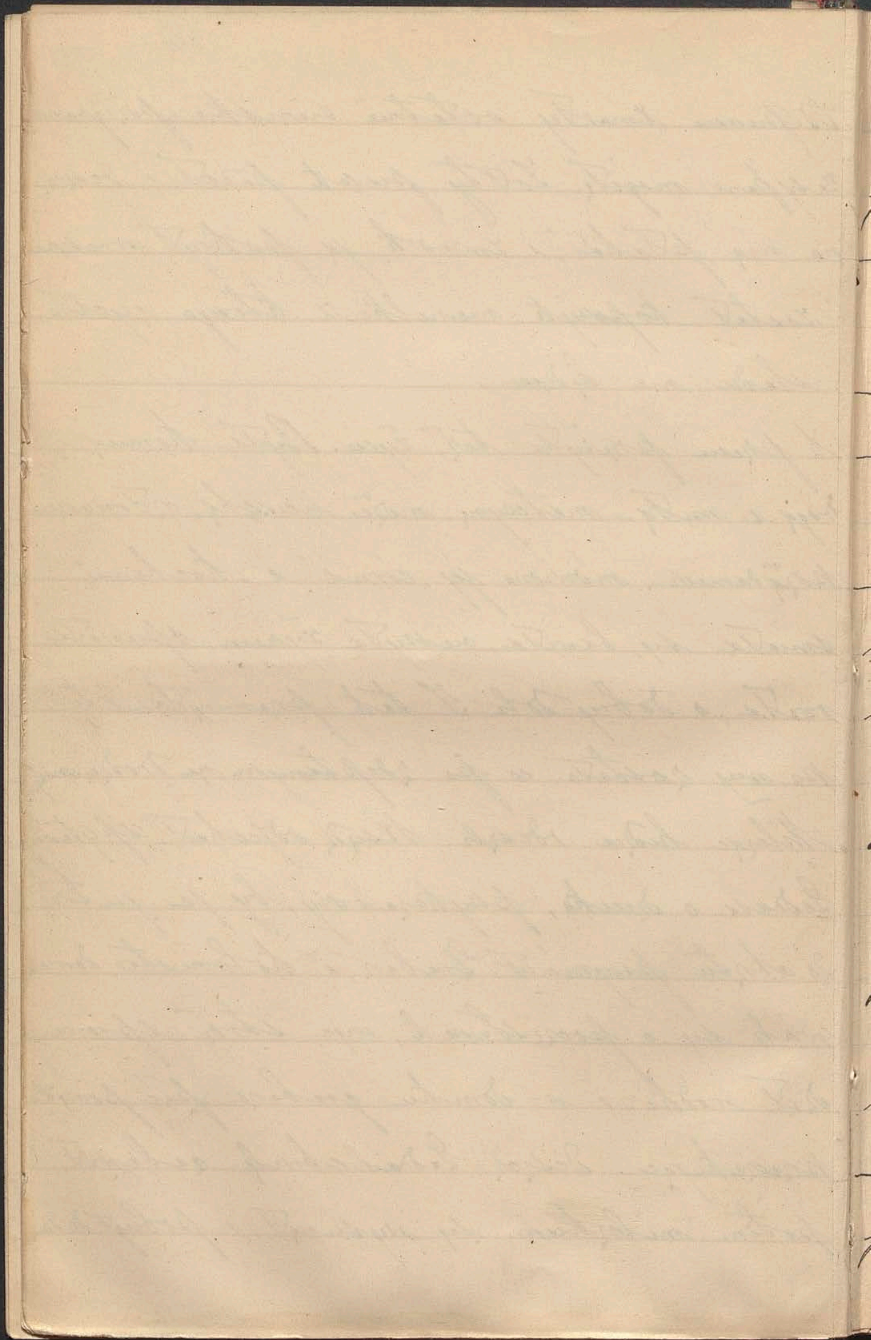
— A toć gadali, że Wiktę Proszorowską brać będzie.

— Chciał, ale i ta nie lepsza. Latała za nim, latała, aż i wylatała. Ktoby ją teraz brał. Podobno do Białegostoku do fabryki wyjeżdża. Wiadomo już co od taka fabryka znaczy. Oto ta, co wczorem — pewnie też do takiej się okkta.
Kolonista sphungł z niechęcią. Gedras milczał. Jechali przez całe miasto — deszcz już padał gęsty — i zmrok nachodził, gdy stanęli u wrót cmentarza.

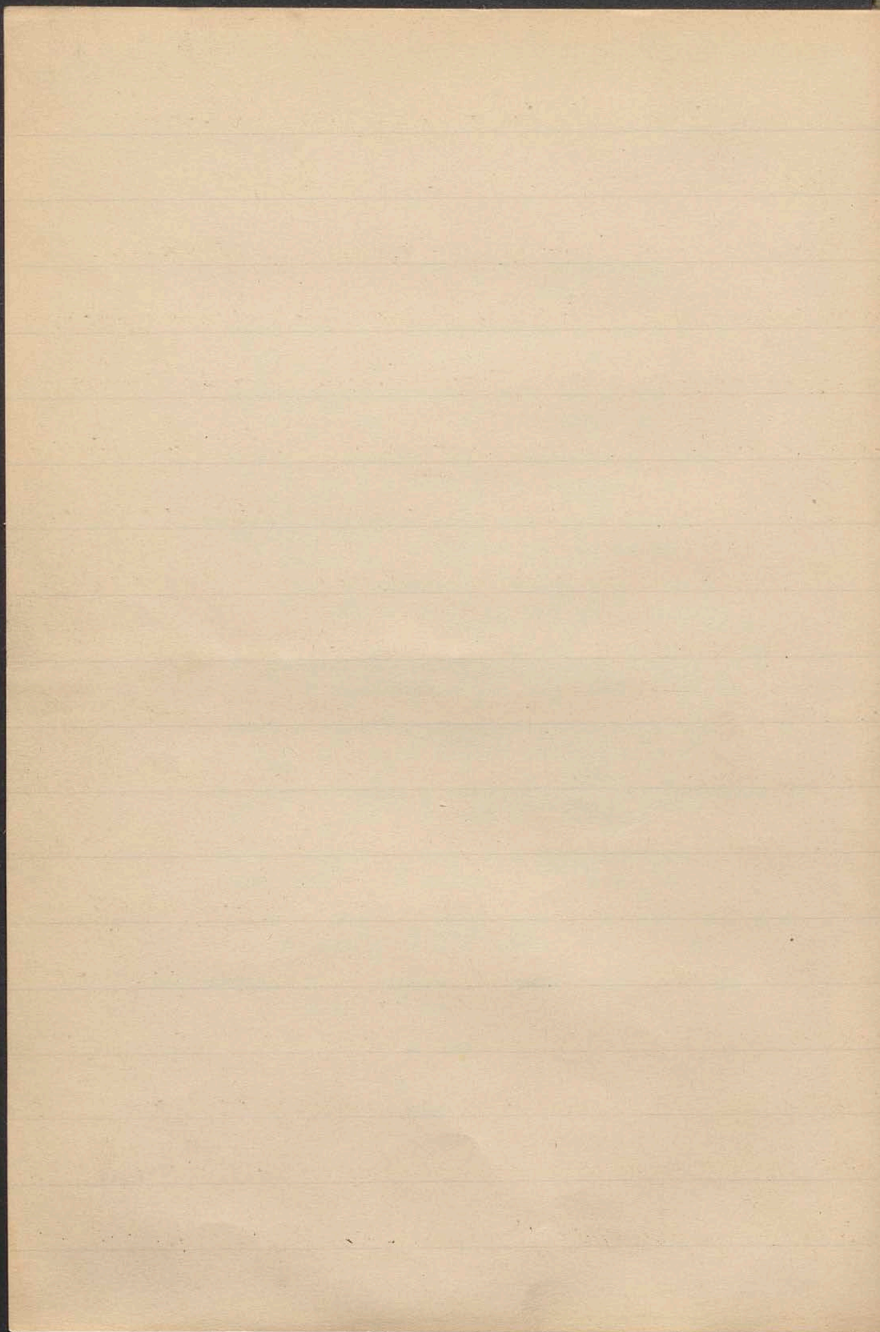
— Czyżby ksiądz sakrystjana przysłał? zdziwił się mieszczanin, poznając bryczkę i konie proboszczowskie u ogrodzenia.
I zdumiał do cna, gdy z domku grabarza sam ksiądz wyszedł, i grabarz z krzyżem — i poprowadzili trumnę w dalki kąt, do wykopanej już mogiły.



Odśpiewano zmarłej ostatnie ziemskie pożegnanie,
zasypano mogiłę. Żółty piasek padał, i deszcz
na nię płakał, i zmrok ją pokrył wreszcie
i został kopczyk niewielki, z którego rychło
i śladu nie będzie.
A przecie przeżyła też życie. Była komuś
drogą i miłą - matczyną może uciechą, ojcowskiem
pożądaniem - mówiono jej „córuś" i „kochanie"
śmiała się, bawiła, cieszyła życiem, śpiewała,
roiła o dobrej doli. I tak przeminęła, i tyle
po niej zostało, co po zdeptanym na drodze motylu.
Milczące ludzie odeszli. Ksiądz odjechał, spytawszy
Gedrasa o dziecko, przykazawszy, by je jutro
do chrztu przyniósł. Grabarz i kolonista doma-
wiali się o poczęstunek, więc stróż sprowa-
dził wódki - i w domku grabarza pić poczęli
przeczekując deszcz. Gedras chwilę zabawił,
potem milczkiem się wysunął, i pobiegł do domu.

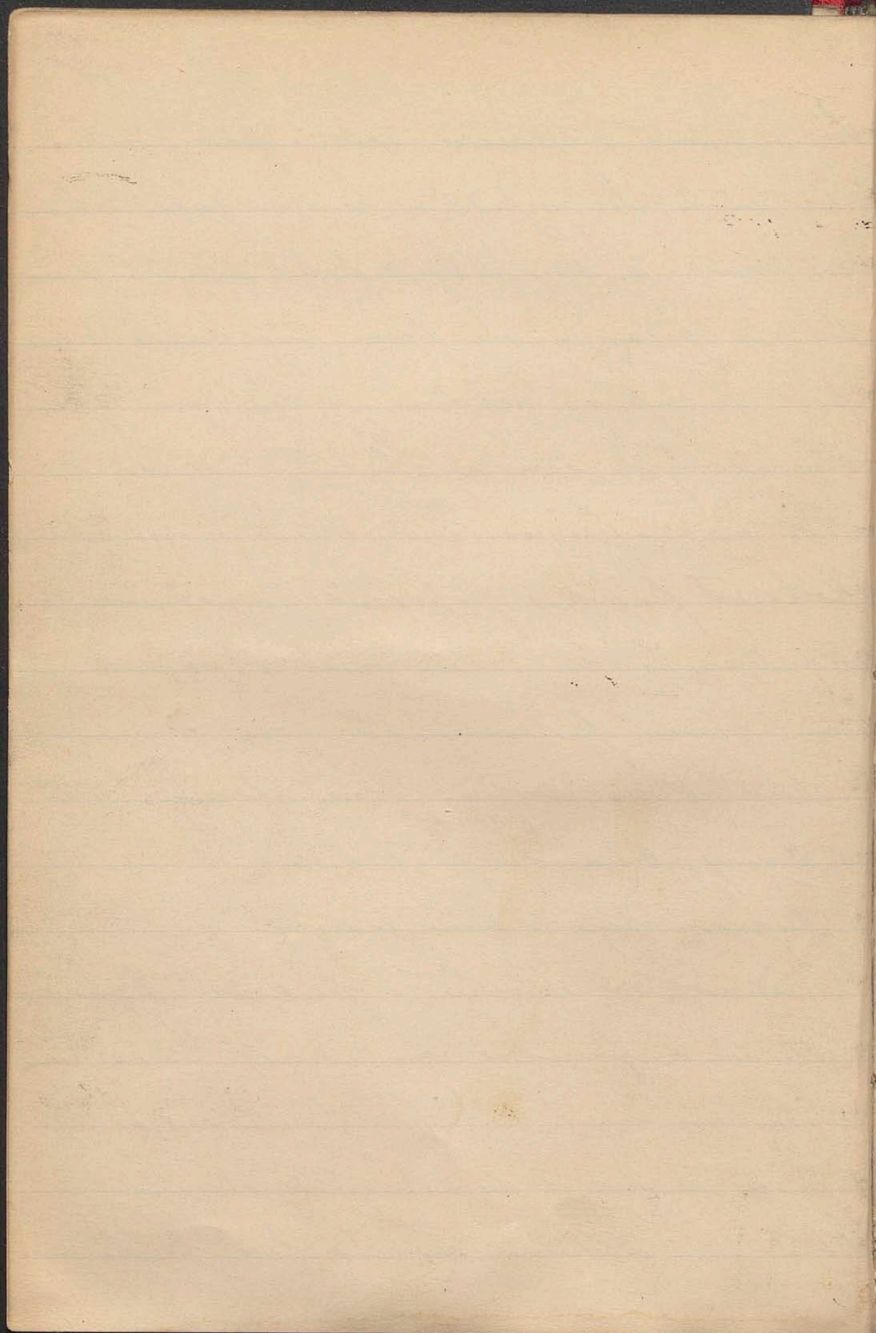


Czekała go nocna służba. Jak zwykle o
przepisanej godzinie wszedł do rządcy po klucze
— Aha, jesteś! Posyłałem po ciebie sto razy.
Gdzie się włóczysz. krzyknął nań rządca.
— Chowałem tę kobietę.
— A to nie wiesz, że dziś w nocy magazyn okradli?
Jędras skamieniał.
— Nie wiesz! Naturalnie! Ty po drodze włóczęgów
zbierasz, a z pod nosa ci mosiądz wynoszą.
Wiesz ile wynieśli? Dwa pudy. Ktoś ma
zrobiony klucz, i gospodaruje jak u siebie,
a ty niby wartujesz. Masz pięć rubli sztrafu —
a jeśli nie odkryjesz — kto ukradł — to precz
pójdziesz. Daję ci tydzień czasu!
Jędras stał, i kombinował. Potem zabłysły mu
zajadle oczy.
— To chyba Wilek, proszę pana. Dziś w nocy
pracował w ślósarni do późna. On tego nigdy

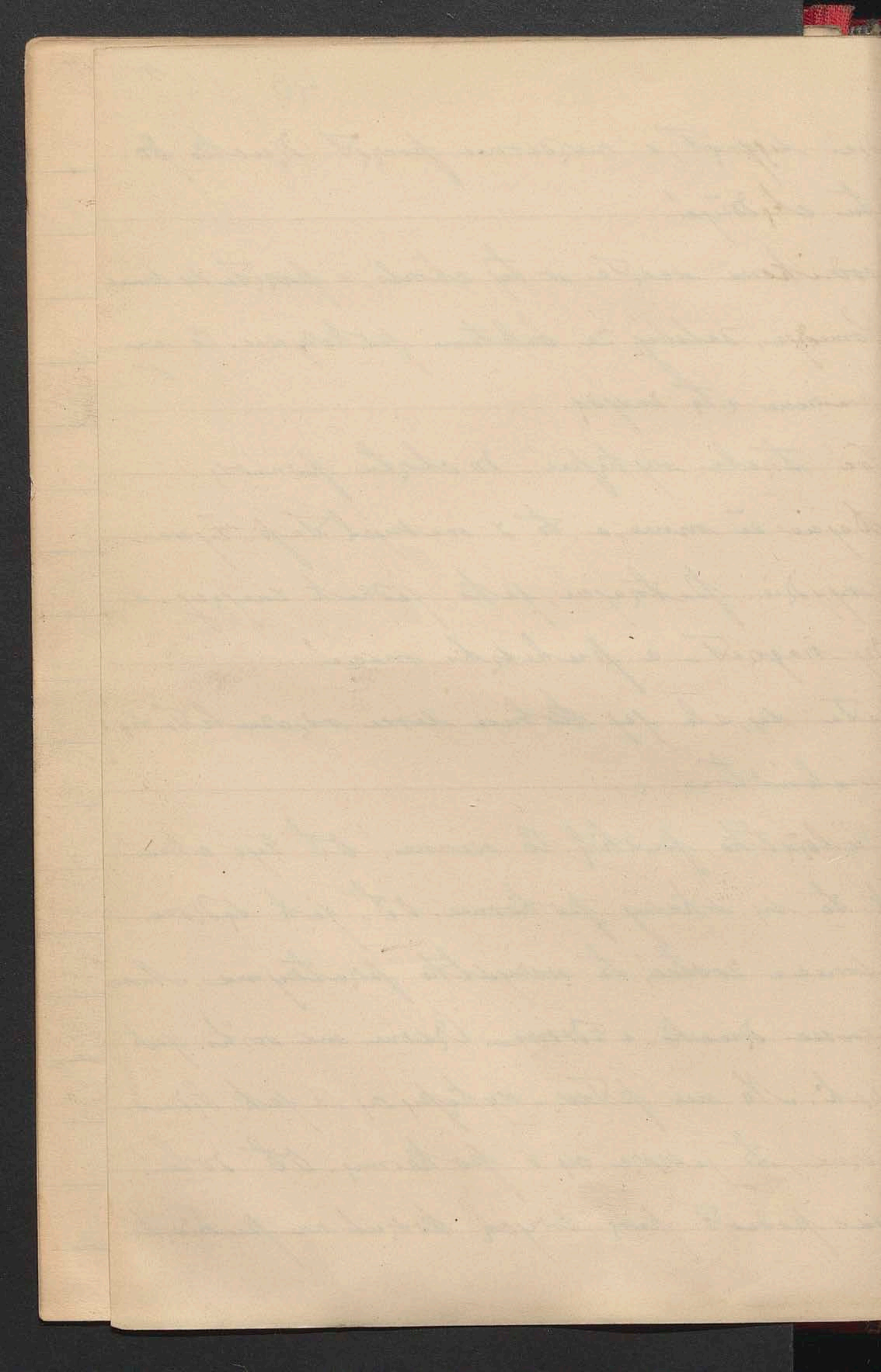


nie robił. Gadał, że za Sirce odrabie. Mnie się
to wydawało podejrzane. Ja dojdę.'
– Warto! Bo inaczej możesz się wynosić.
Gedras poszedł wprost do fabrycznego magazynu
i począł oglądać jak wyżej drzwi, zamki, okna –
drogę wokoło. Przeświadczenie miał, że to Chilek
był sprawcą, bo już parę razy się zdarzyło, że
z warsztatów to i owo ginęło, i w fabryce szep-
tano, że Chilek na pijatykę do szynku Leizora
nosi różne fanty, miewa zawsze kredyt u Żyda.
Przypomniał sobie Gedras, że po rozprawie z ch[...]
od mechanika, Chilka już u bramy nie widział –
został tedy prawdopodobnie w obrębie fabryki –
i potem przez mur się przedostał. Począł tedy
trochę dalej – i obszedłszy mur wokoło – w łące
za oborami znalazł drabinę, porzuconą, jakby ją
ktoś nogą strącił, a pełzając po ziemi, znalazł
i rzemyk od paska z przerwaną sprzączką. Schował

to skrzętnie, odkładając dalszy posiłek do dnia.
Noc zeszła bez wypadków. Co czas jakiś stróż
wstępował do swej izby, zapalał światło, i zaglą-
dał do poduszki na piecu. Gdy dziecko piszczało
poił je ciepłem mlekiem, gdy znajdywał śpiące-
słuchał tylko oddechu, otulał, i odchodził.
Tak mu zeszło do rana. Odnosząc rządcy klucze
pokazał pasek, i poprosił o uwolnienie na
cały dzień. Zwykle bowiem miał obowiązek-otwie-
rania bramy pałacowej-dla gości.
— Dziś cię nie uwolnię. Przecie chrzciny-kto
u bramy będzie. burknął rządca.
— Poproszę kogo, co mnie zastąpi.
— Zaczynasz się włóczyć, i opuszczać" fuknął
rządca, ale że formalnie nie zabronił, Jędras ~~jednego~~
ogrodnikowego-wziął na swe miejsce-siebla jej
zapłacił-i począł się zbierać do odejścia.
Ubrał się odświętnie. Znowu do kuferka po pie-



rączkę sięgnął, i niezdarnie począł dziecko do chrztu chędożyć.
-Ogrodnikowa weszła w tej chwili, i poczęła się śmiać
– Komedya, dalibóg za biletami pokazywać. Co wy wyprawiacie z tą znajdą.
– Toć trzeba wykąpać – do chrztu poniosę.
– Dajcie że mnie, a to z waszych łap – żywe nie wyjdzie. Patrzajcie, jaki jednak znający – i wody nagrzał – a pieluszki macie!
Śmiała się, ale jej kobiece serce rozczuliło się do maleństwa.
– Niebożątko, pisklę. Co winne! Ot – żyć chce! Jak to się skarży pokornie. Ot – jak sądzone na świecie zostać, to wszystko przetrzyma. Naczej niegorsze dziecko – i zdrowe. Czarne ma oczki jak żuczek. No nie płacz – wykąpię cię – a jak będziesz grzeczna, to jeszcze cię i pokarmię. Ot dola!
Jędras podarł parę swych koszul na pieluszki.



i przyglądał się kąpaniu, uczył się na niańkę.
Ogrodnikowa rozczuliła się, przemogła zupełnie wstręt cnotliwej mężatki i matki; do dziecka wystąpiła, i gdy ~~dziecko~~ było wykąpane i spowinięte, dała mu ssać na drogę do chrztu.

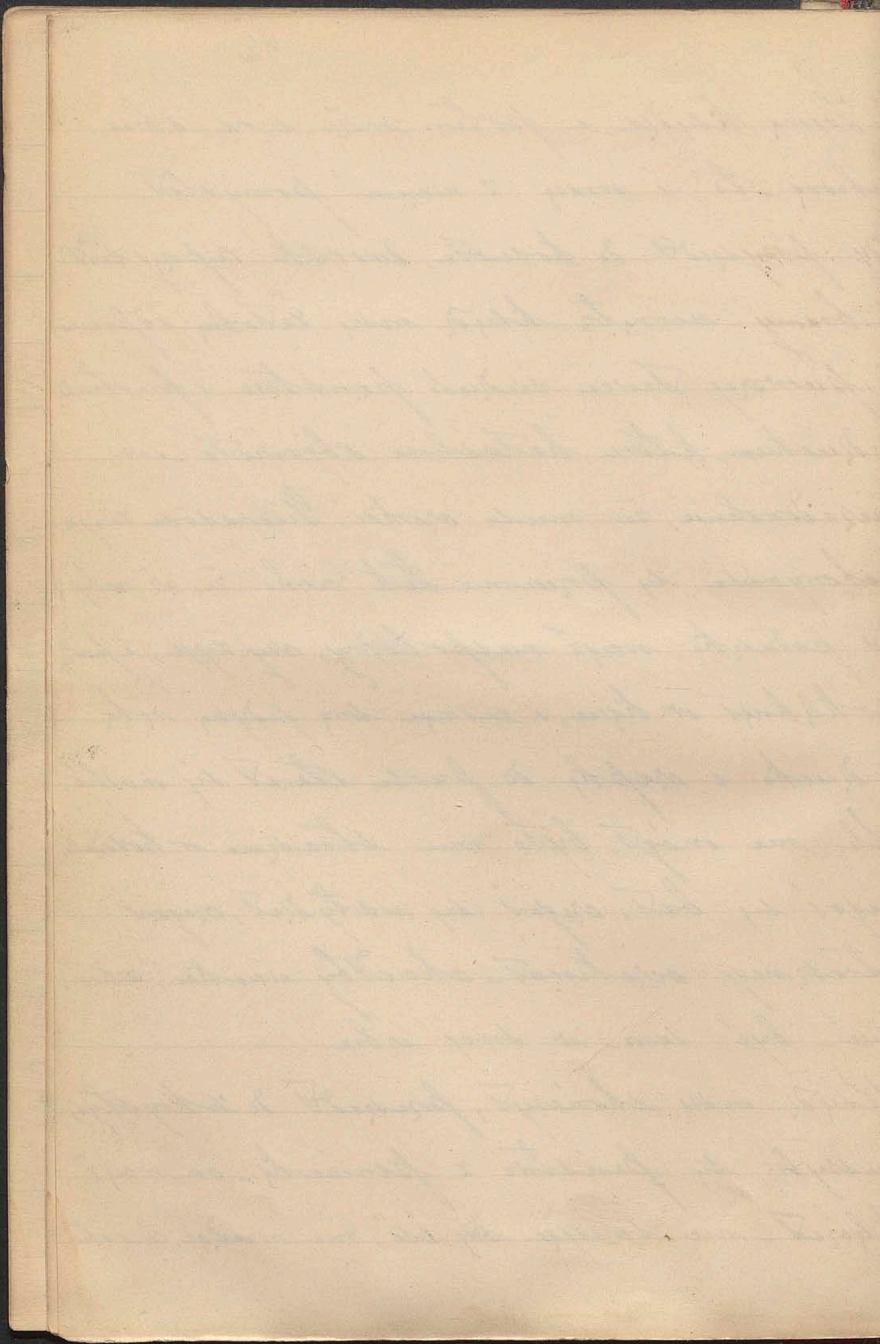
– Sami poniesiecie? A któż kumą?

– Nikogom nie prosił. Dość się naurągali – burknął Gedras.

– Że kumę każda stanie. Takie trzymać, to się bydło wiedzie – rzekła ze śmiechem.

Stróż nic nie odparł, nasunął czapkę na uszy – poduszkę z dzieckiem otulił kożuchem, i poszedł. Na drodze wyminął go powóz, wiozący panienkę do chrztu. Chrzestni rodzice siedzieli na głównem siedzeniu, przed nimi – na rękach wystrojonej piastunki – dziecko w fali koronek i batystów. Gedras przeprowadził wzrokiem pański cug, i kroku przyspieszył.

– Zajmą księdza, a potem może i na obiad
zabiorą – to i wrócę z niczem – pomyślał.
Gdy przyszedł do kościoła, dworski zaprząg stał
u bramy – wewnątrz ksiądz mszę żałobną odprawiał.
W pierwszej ławce siedziało państwo i piastunka
z dzieckiem, które hałaśliwie objawiało swe
niezadowolenie, że musi czekać. Giedrasowa znajda
zachowywała się przeciwnie tak cicho, że aż uchy-
lił poduszki, wciąż niespokojny, czy żyje, a potem
poklęknął w kącie, i cisnąc swą jedyną ręką
i dziecko i czapkę do piersi, starał się modlić.
Ale nie mógł, było mu straszno w kościele,
czegoś się bał, czegoś się wstydził, czegoś
strasznego oczekiwał – chciałby uciekać, skoń-
czyć – być sam – w swej izbie.
Ksiądz mszę skończył, przeszedł do zakrystyi,
ruszyli się państwo z panienką – on wciąż
klęczał – nie śmiejąc ~~się~~ iść, nie wiedząc, co robić.



Zakrystjan wyszedł na kościół, rozejrzał się i prędko do niego podszedł.

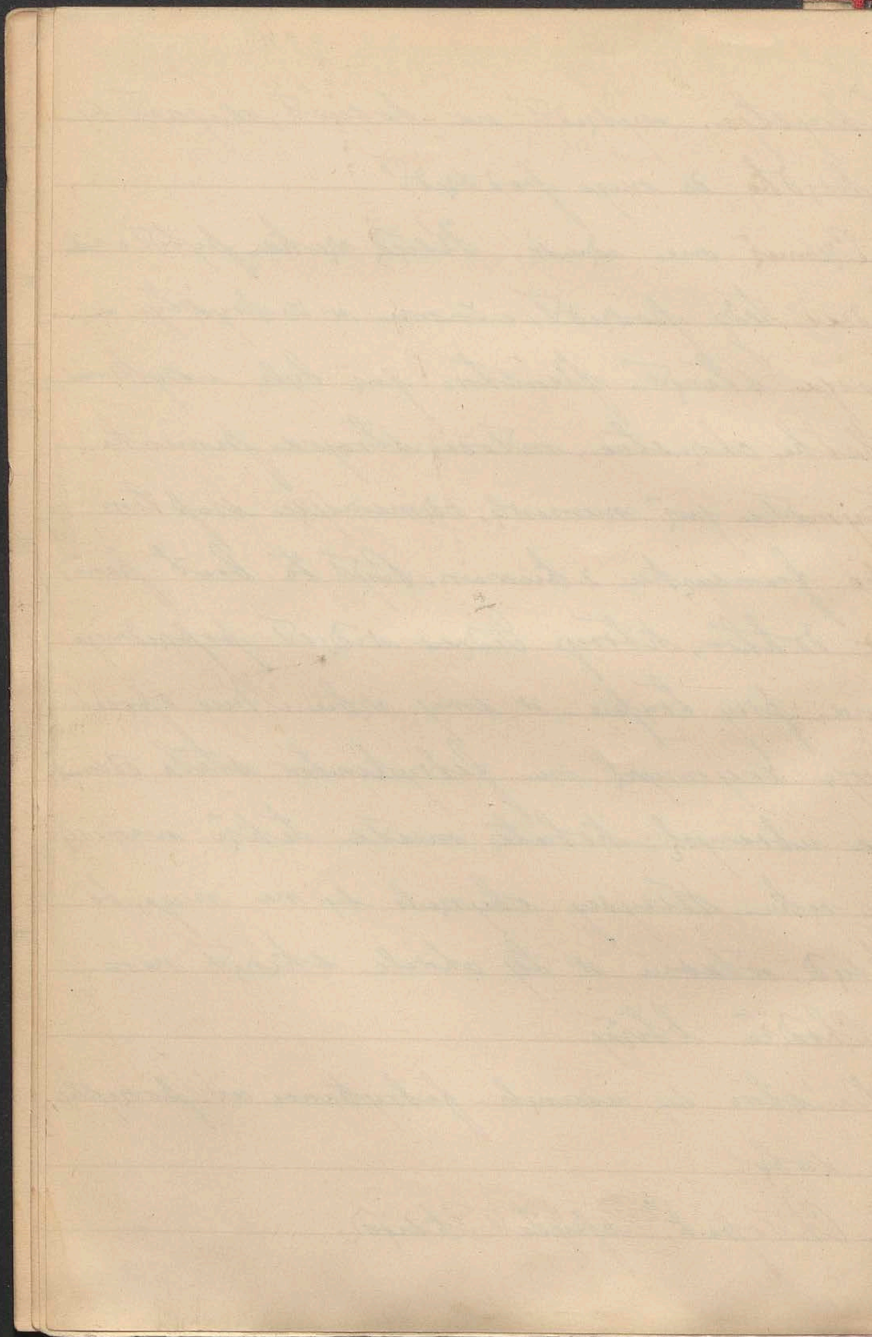
– Czemuż nie idziesz? Ksiądz czeka, pytał o ciebie.

Jędras tedy poszedł, i znowu w zakrystyi u proga stanął. Państwo już byli wszyscy razem. Matka chrzestna, młoda, strojna panienka trzymała już niemowlę, rozmawiając szeptem po francuzku z kumem. Był to brat pani, ów doktór, którego Jędras widział poprzedniego dnia przy trupie – w swej izbie. Nieco opodal dwoje znajomych mu fabrykantów, świeto odświętnie ubranych; kobieta miała także niemowlę na ręku. Wszyscy obejrzeli się na niego, bo ksiądz, właśnie w tej chwili – skinął nań.

– Chodźże bliżej.

Państwo się usunęli – fabrykanci, coś poszeptawszy ze sobą.

– Chłopak? spytał ksiądz.



— Dziewczynka! odparł cicho.

Tedy się ksiądz obejrzał, skinął na wystrojoną Jankowską, piastunkę „panienki".

— Potrzymajcie z nim! rozkazał krótko, biorąc do ręki książkę, i rozpoczynając ceremonję.

Jankowska poczerwieniała, otworzyła usta, ale bez innego protestu, wzięła znajdę na ręce.

— Jakie imię? spytał ksiądz Gedrasa.

— Marya.

— Jakie imię? spytał panienki.

Zawahała się, ale miała polecenie rodziców.

— Marya! szepnęła

Zwrócił się do fabrykantów.

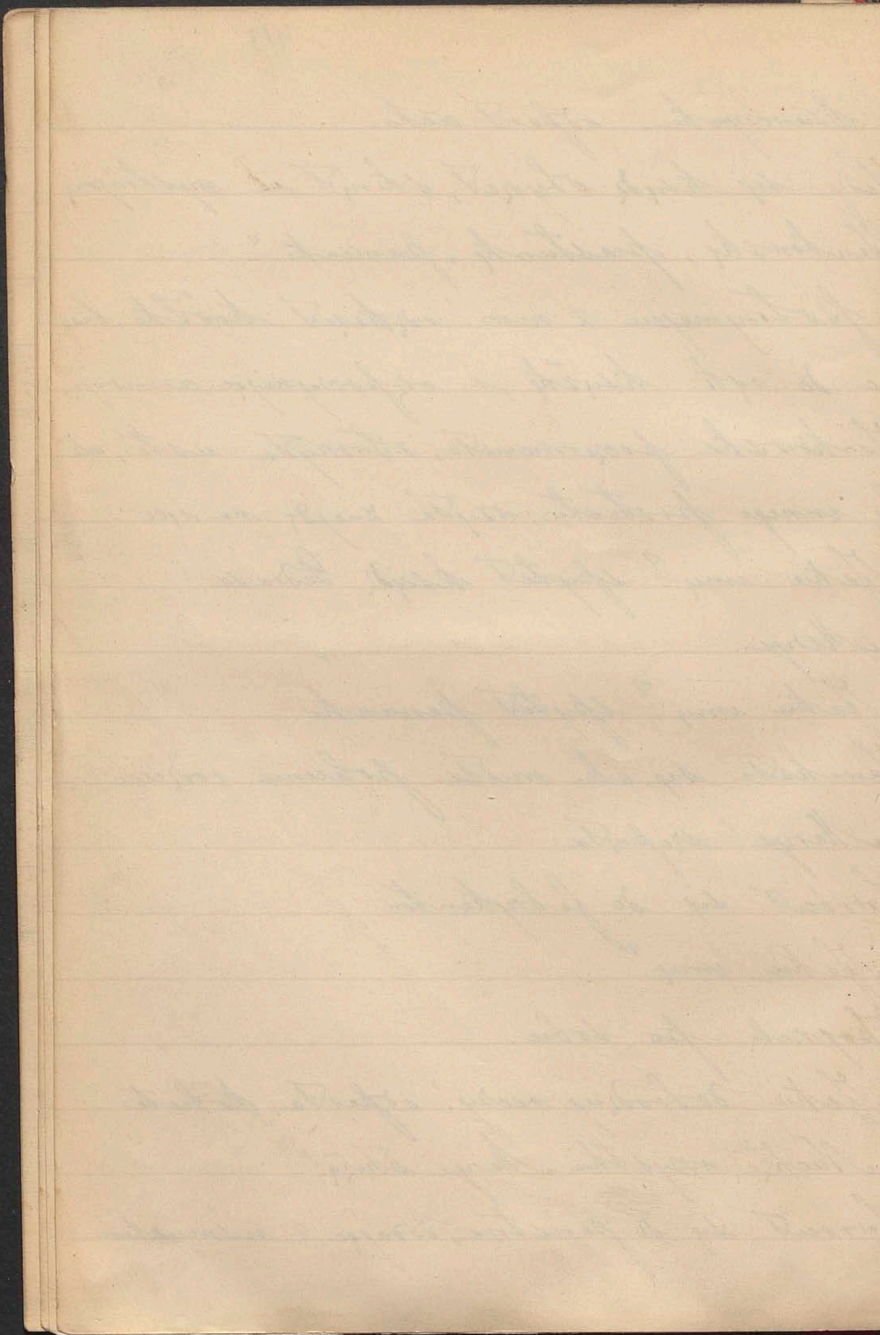
— Jakie imię?

Spojrzeli po sobie.

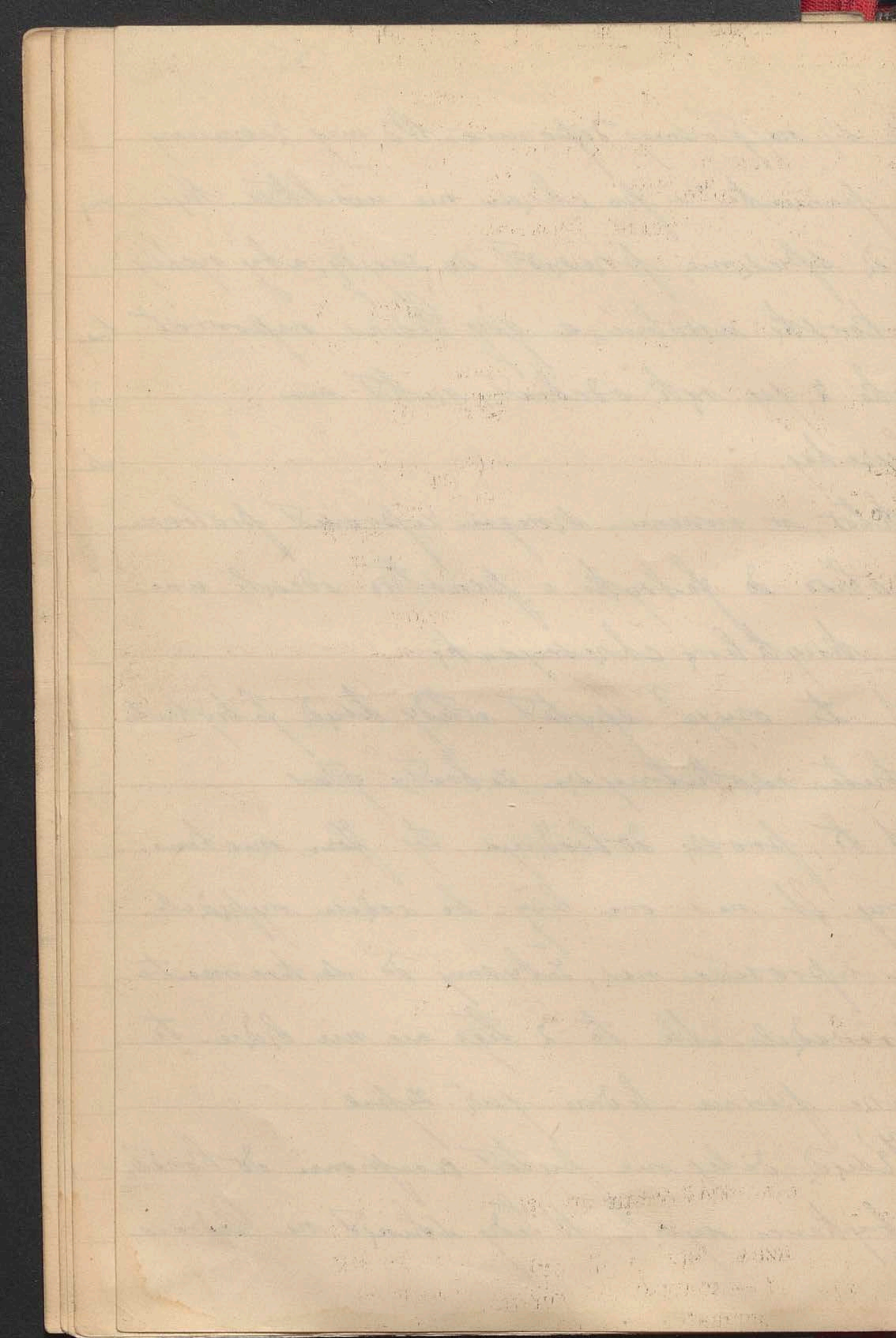
— Jakie dobrodziej raczy! odparła kobieta.

— Niechże wszystkie Marys służą!

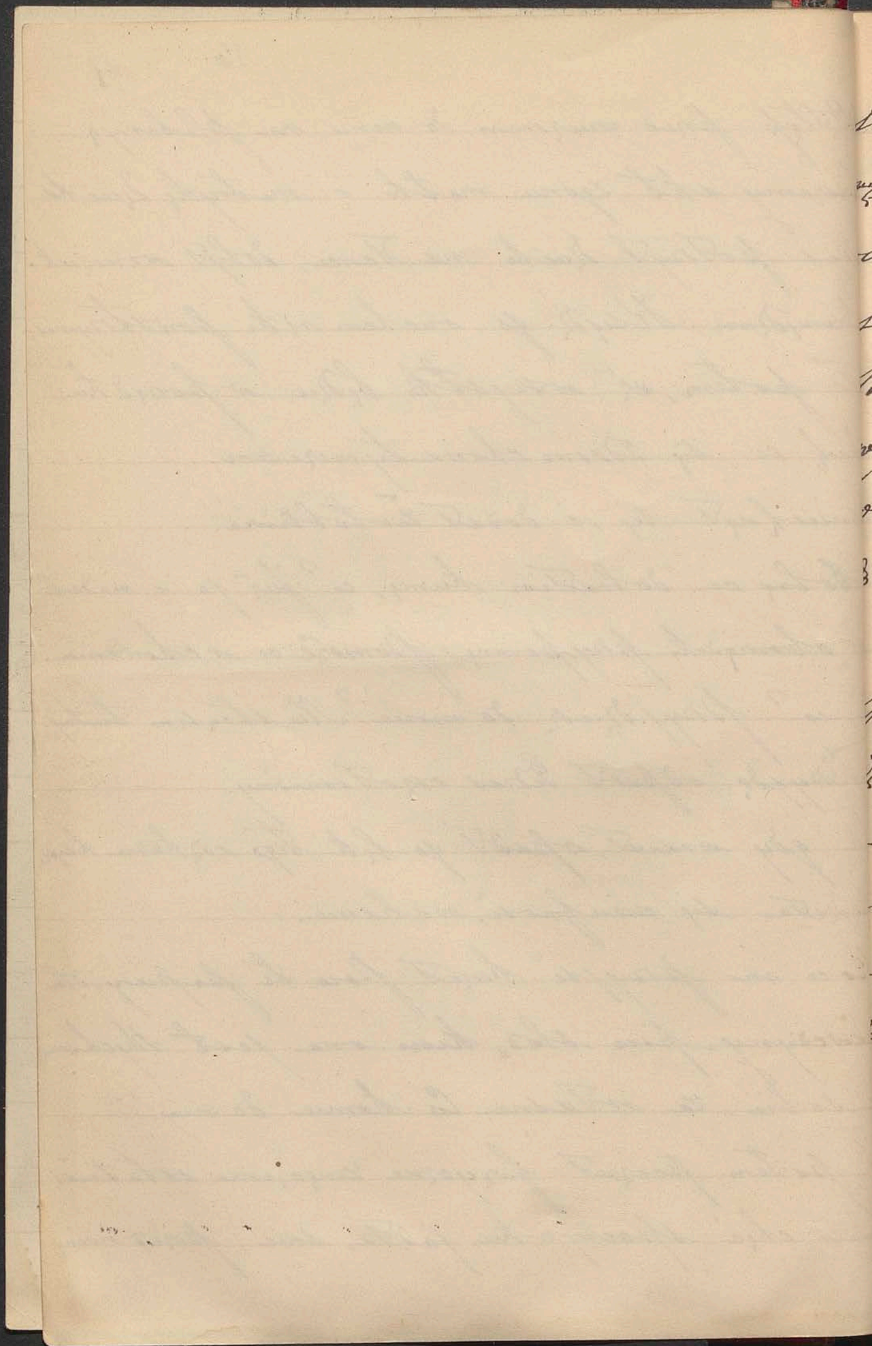
Zwrócił się do państwa, dodając z uśmiechem



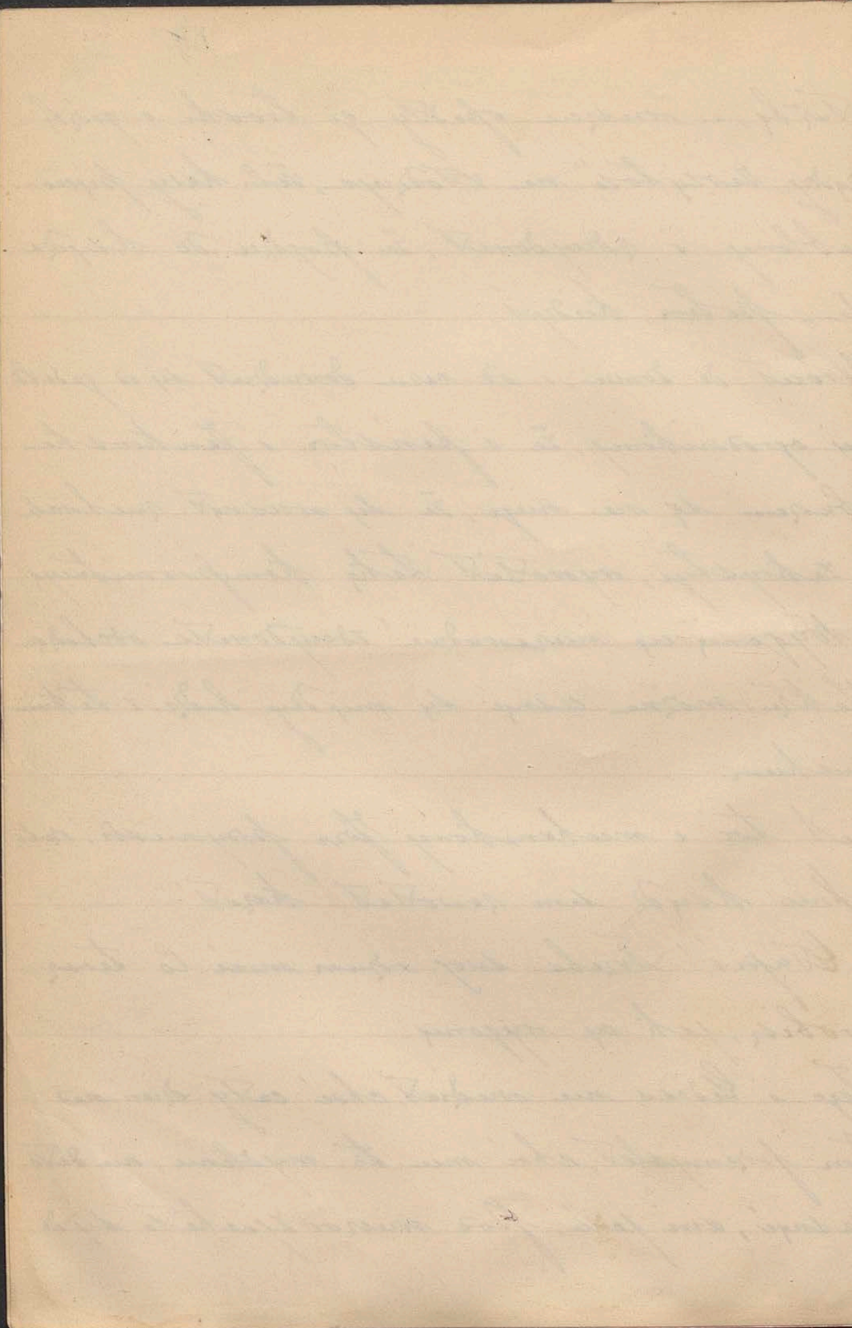
— Ta się najgłośniej dopomina. Od niej zaczniemy.
Ale „panienka" i po chrzcie nie umilkła. Więc
ksiądz spiesznie przeszedł do znajdy, aby rychlej
Jankowską uwolnić, a gdy Gedras napowrót
dziecko z jej rąk odebrał, rzekł mu.
— Zaczekaj.
Doktór, w imieniu szwagra zaprosił proboszcza
na obiad do fabryki, i państwo odeszli – unosząc
krzykliwą chrześcijankę.
— A to czyje? spytał wtedy ksiądz fabrykantów.
Kobieta rzeźwiej zabrała głos.
— A to, proszę dobrodzieja, tej Józi, mechanikówny. U nas one leży – bo rodzice wypędzili –
więc uprosiła nas, żebyśmy do sakramentu
doprowadzili. Ale to z tego nic nie będzie – to
zemrze pewnie – ledwie już zipie.
— Ksiądz dalej nie pytał, ceremonii dokonał,
fabrykanci wyszli. Wtedy skinął na Gedrasa



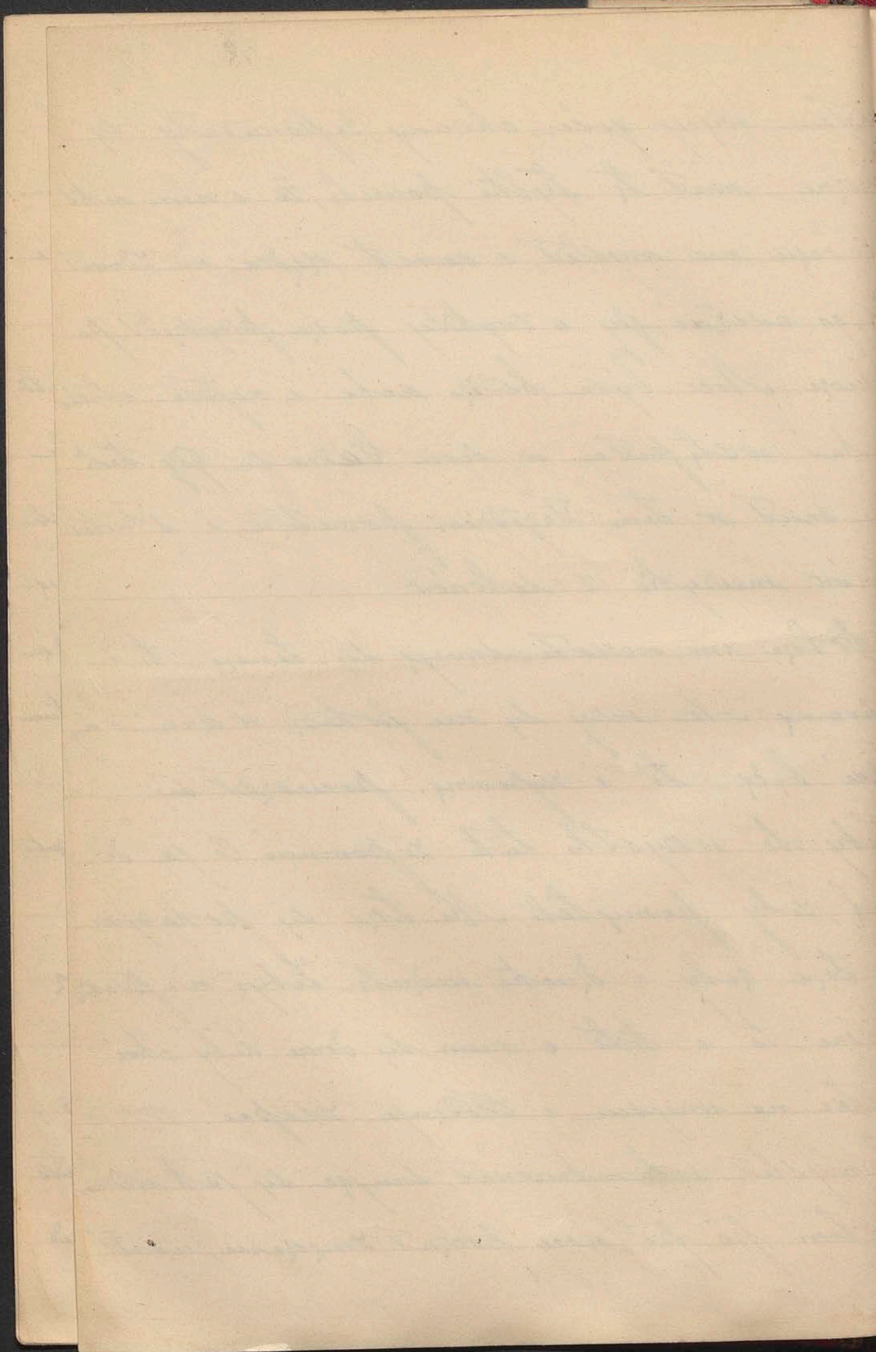
– Wstąp przed wieczorem do mnie na plebanię –
Spiszemy akt zgonu matki i metrykę dziecka.
Jędras położył dziecko na ławce, dobył woreczek
z pieniędzmi. Ksiądz go ruchem ręki powstrzymał.
– To potem, aż wszystko będzie w porządku.
Niech ci się zdrowo chowa tymczasem.
Uśmiechnął się, i dodał żartobliwie.
– Dobrą ci dobrałem kumę, co? Już ja i nadal
jej obowiązki przypomnę. Pomoże ci w chowaniu.
No, co? Przyjdziesz do mnie? Nie stracisz tutaj.
– Przyjdę. – odparł Jędras oszołomiony.
Ale gdy wracał, opadł go lęk, tego rozkazu księdza
zbudziła się nieufność, wahanie. –
Poco mi przyjść" kazał. Poco te papiery, dla
dziewczyny – poco śledz[ić] kim ona jest. Wychowam
ją sobie – za własne. Co komu do niej."
A potem poczuł fizyczne zmęczenie ostatnich
chwil, chęć spoczynku, padł na sianie, przed nocą



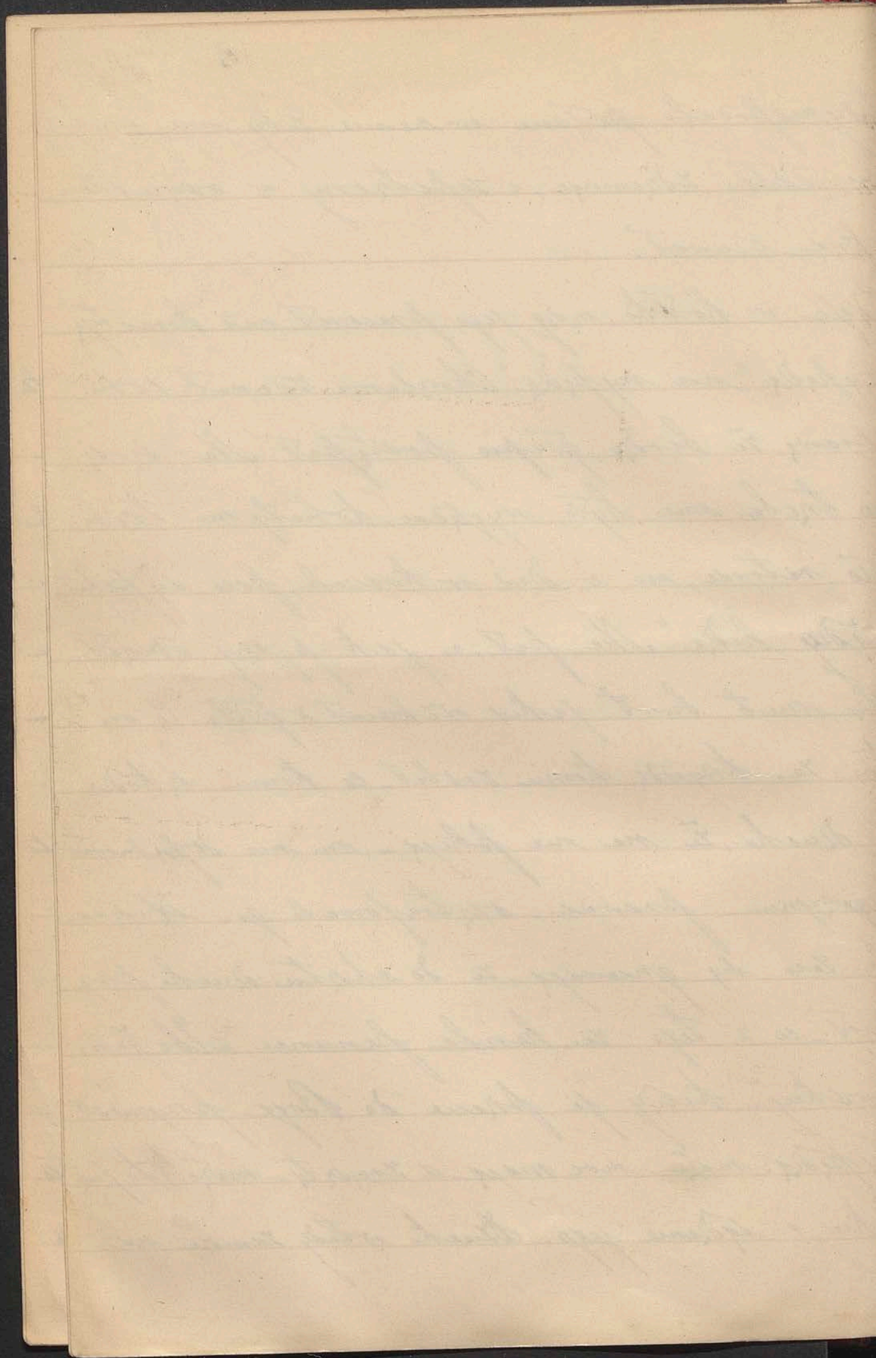
służbą, a wreszcie opadły go troski o groźby rządcy, tkliwość na złodzieja, żal kary pięciorublowej - i zdecydował, że pójdzie do księdza - potem, kiedyś.
Wrócił do domu, i od razu dowiedział się od gadatliwej ogrodnikowej, że i państwo i Jankowska oburzeni są na niego, że się wcisnął zuchwale do zakrystji, wywołał taką kompromitację.
- Wygonią cię niezawodnie! zdecydowała odchodząc. Jakże można cisnąć się między ludzi, z takiem ruchem.
- A toć i mechanikowej Józi przynieśli: rzekł, - nie ksiądz sam zawołał - kazał.
- Głupiś! Trzeba swój rozum mieć. Co teraz zrobisz, jak cię wygonią.
Tego i Tedras nie wiedział, choć cały dzień nad tem przemyślał, choć mu to myślenie, nie dało zasnąć, ani jeść. Pod wieczór zjechało się do



pałacu więcej gości, chrzciny rozpowiadały się
hucznie — miał to tylko pociechę, że o nim nikt
na razie nie myślał, i nawet rządca nie zdarzał
się go urażać, gdy o zwykłej porze, przyszedł po
klucze. Noc była bardzo cicha i ciepła — otucha
jakaś wstąpiła w serce Szadrasa, gdy tak
się snuł w tem błogodnem powietrzu, i słuchał
tonów muzyki z salonów.
— Dobrze im, wesoło — śmieją się — tańczą — to i
zapomną. Na oczy się nie pokażę w dzień — w nocy
spać będą — to i zapomną! pocieszał się.
— Żeby to wszystko tak zapomnieć. Co ja do
nich, żeby pamiętali. Nie trza się pokazywać —
nie trza żeby i dziecko widzieli. Żebyż nie płakało
głośno — to i kto o niem się dowie. Żeby choć
zostać na miejscu, i złodzieja złapać!
Rozmyślał i kombinował, snując się jak widmo.
Potem po północy poczuł zmęczenie, usiadł



tedy nie dopodał patałce w cieniu, żeby mu muzyka
nie dała zdrzemnąć, i zapatrzony w oświetlone
okna - czuwał.
Ciągle, w kółko, mózg jego pracował nad kwestyą
wypędzą „nie wypędzą." Chwilami zdawał sobie
sprawę, że bardzo głupio postąpił. Na święta
nie trzeba mu było wyglądać, kobiety nie trzeba
było ratować, no i dziś w kościele, poco się pchał
między ludzi." Nie pił, a jak pijany odurzał.
Ale wnet bunt jakiś wzbierał z głębi. Co on
tem za krzywdę komu zrobił - co komu szkodzi
to dziecko, że na nie płują - on nie dopilnował
magazynu - prawda - oszrafowali go - słusznie
ale zaco się gniewają - że do chrztu dziecko przy.
niósł - co z tego za hańba panience, albo Jan.
kowskiej - kiedy je przecie do Boga przyniósł.
Wypędzą: może - moc mają - a zresztą - może to już
takie i sądzenie jego. Dziecko wtedy zamrze na

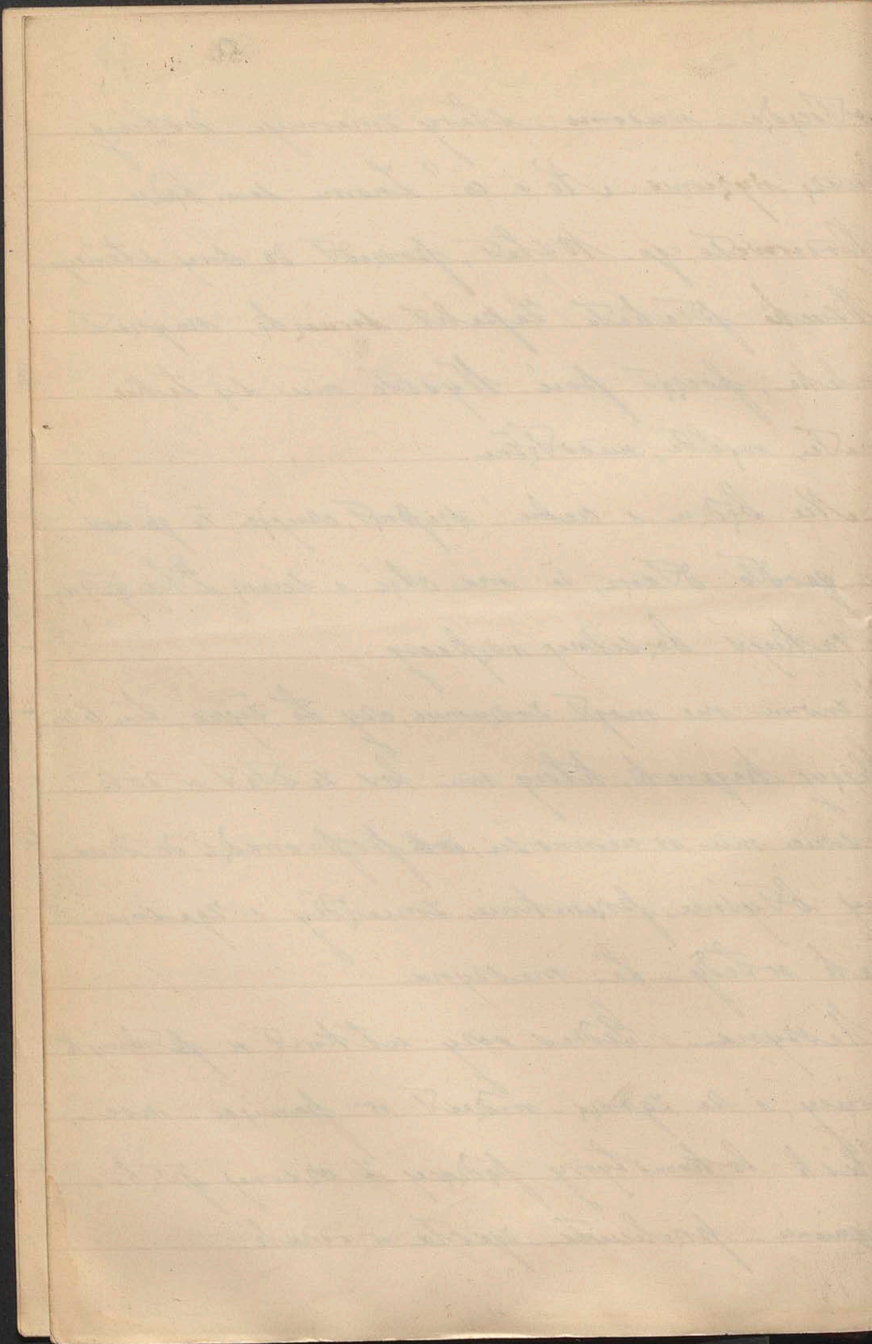


w Łodzi – wiadomo – stary zmarnieje – dobiegnie
duszę wyzionie. No i co? Znowu sam będzie!
Poderwało go. Wstał, poszedł do swej stancyi.
Dziecko płakało. Zapalił świeczkę, nagrzał
mleka, począł poić. Wydało mu się takie
małe, wątłe, niedołężne.

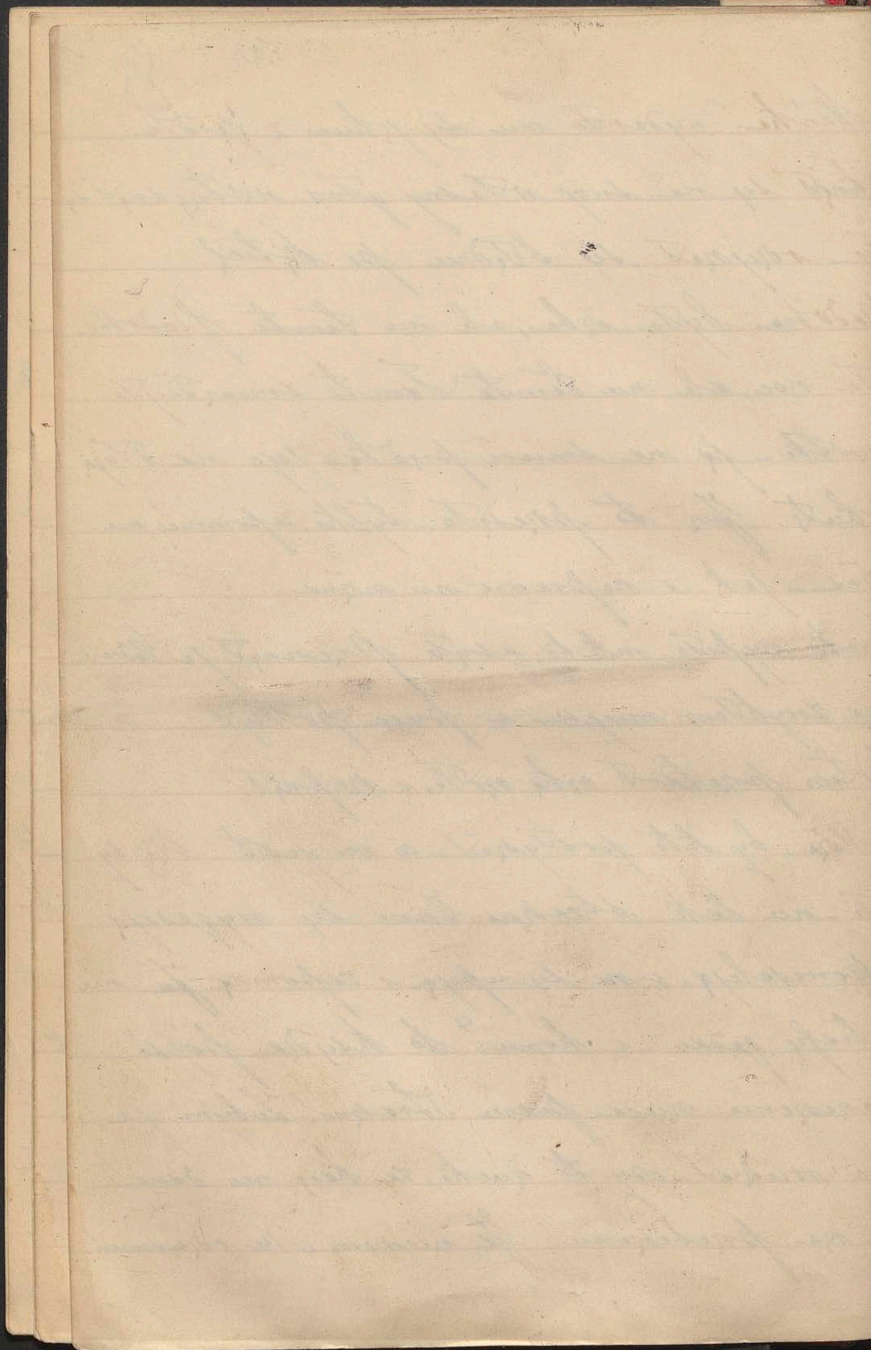
– Nie będzie i ciebie! szepnął, czując, że go coś
za gardło dławi, że ma chęć o ściany ~~łbem~~ głową
z jakiejś bezsilnej rozpaczy.

I znowu nie mógł zrozumieć, czy to życie, ten ledwie
tlejący kaganek, który mu los zesłał w doli –
zaświeci mu w ciemności, ~~[illegible]~~ poprowadzi do dnia –
czy błyśnie, przemknie, zmiażdży i zgaśnie –
jak w Łodzi – ta maszyna.

Maszyna... Jednak oczy utkwił w płomyk
świecy, i ze zgrozą – widział w pamięci – noc –
blask lokomotywy pędzącej z czarnej głębi –
nagle – przeleciała – zgasła w oddali.



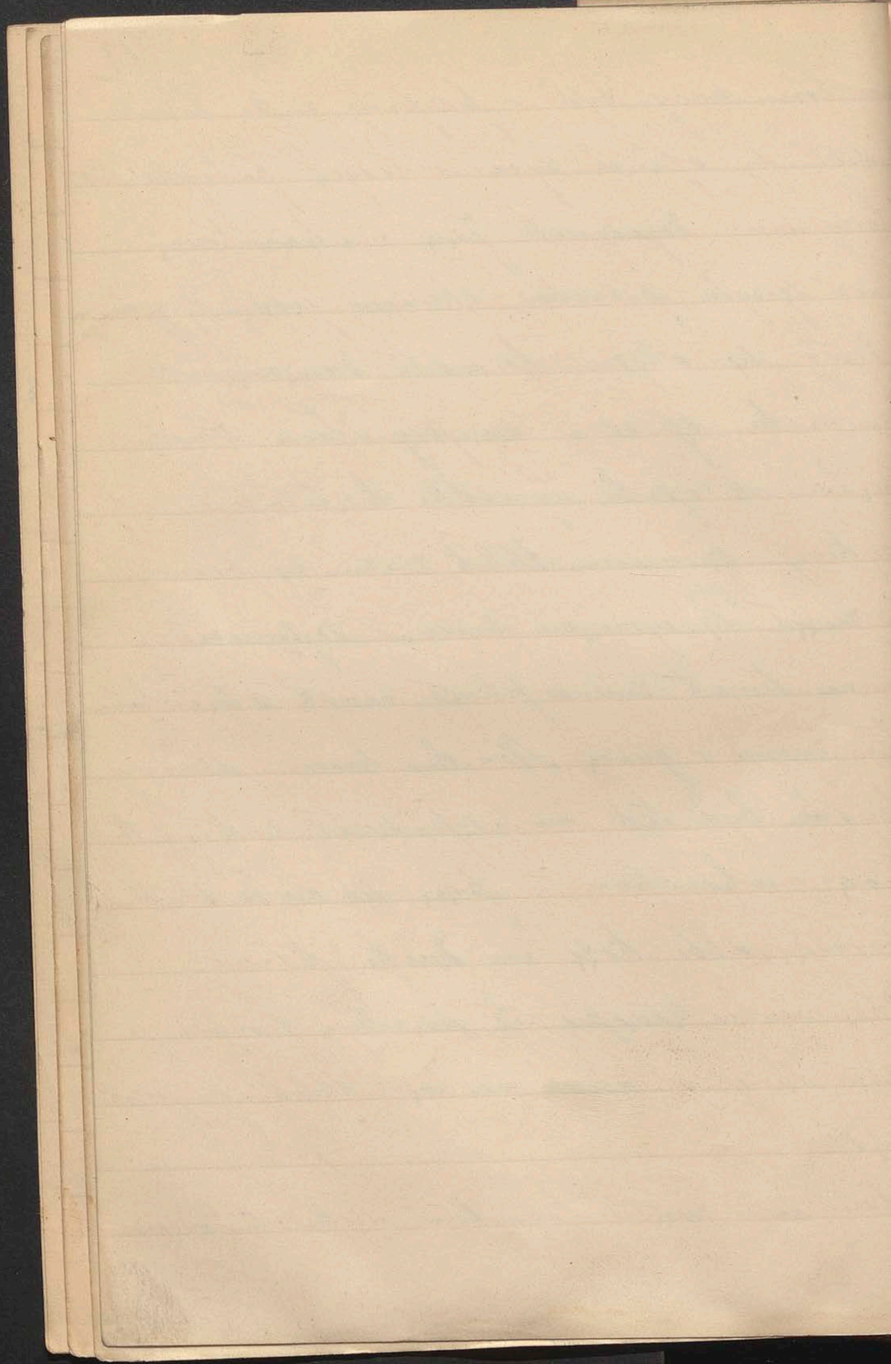
– Marika! wydarło mu się jękiem z gardła.
Ocknął się – na swój własny głos, wstrząsnął się cały – rozejrzał się błędnie po kątach.
Podobna była izba, ale nie tamta. Podobna była noc, ale nie tamta. Tamto zmiażdżyło wszystko – ją na śmierć prędką – jego na długą pokutę. Już to przeszło – tylko zapomnieć nie można – jak i naprawić nie można.
Dziecko wypiło mleko, usnęło. Przewinął je Jędras i na zwykłem miejscu u pieca położył.
Potem przetarł ręką czoło, i zasępnął.
– Może – by kto posłyszał – co mu jest – lżej by było – nie tak straszno. Inni się wygadają – i powesełeją, inni się upiją – i zapomną. Ja nie potrafię gadać – i komu? do księdza pójść – rozgrzeszenia nie da – pewnie. Straszno! Żebym ja choć wiedział – czy to dziecko – za karę mi dane – czy na przebaczenie! Ja nie wiem. Nie rozumiem.



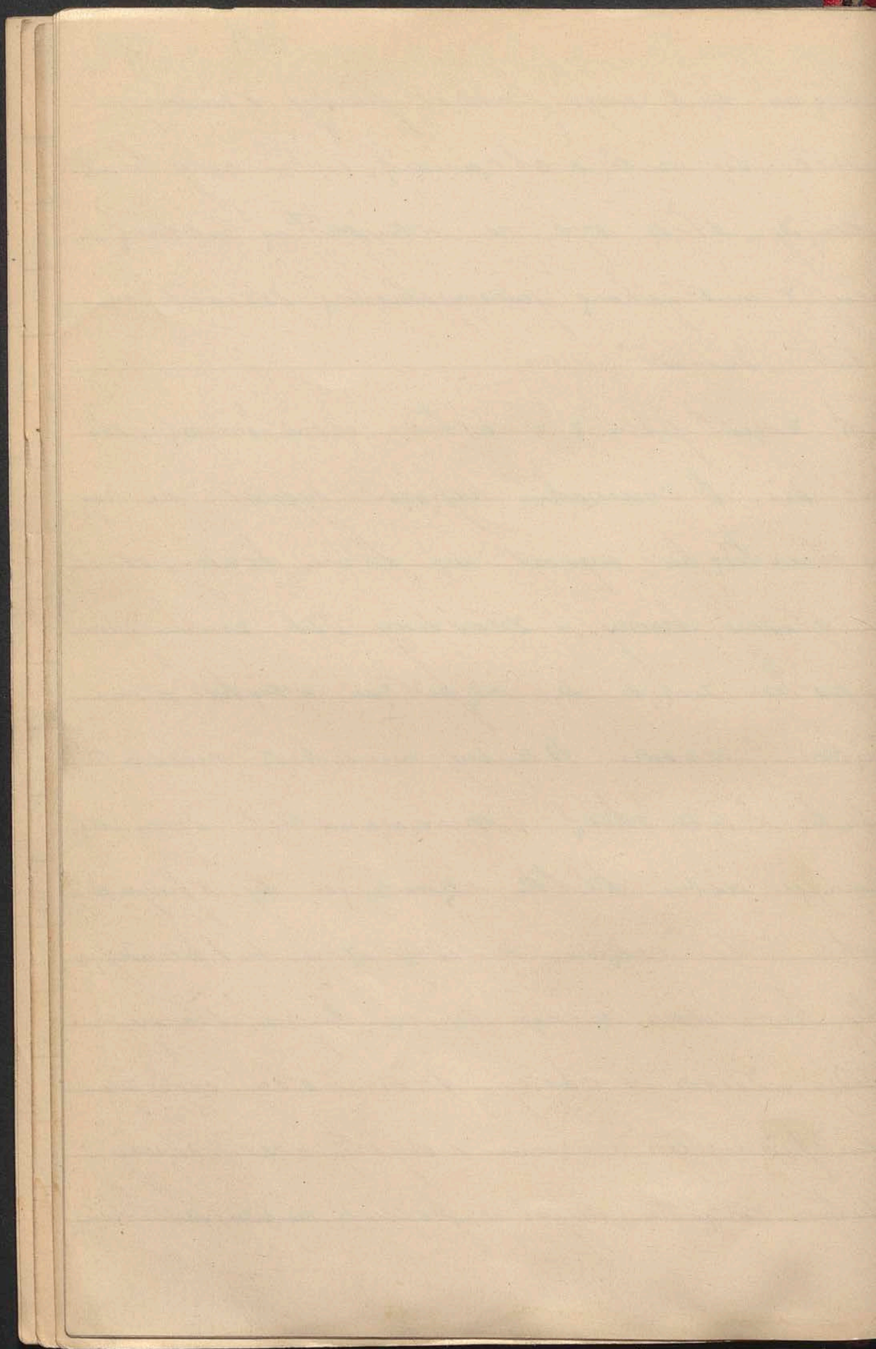
II

Filek rzeczywiście mosiądz ukradł, ale się nie
bardzo tej nocy obłowił, gdyż Lejzorowa - utrzy-
mująca szynk, dom zabaw, zajmująca się zarazem
paserstwem i stręczycielstwem - dała mu
za tę zdobycz tylko trzy ruble. Pieniądze Filek
zaraz następnej nocy przehulał, i zostawił
w szynku, gdzie baraszkował do rana z pięknemi
nieznajomemi trzema kobietami, które przybyły
statkiem z Kijowa pod eskortą syna Lejzoro-
wej. Gdy przyszedł na robotę dowiedział się, że
kradzież już spostrzeżono, i że osztrafowano
Gedrasa. To go ucieszyło niezmiernie.
- Ma pies za swoje! wrzasnął z tryumfem.
Dalej zaś nie rozmyślał o tym epizodzie swej zło-
dziejskiej praktyki, bo był spokojny, że się udało,

powtóre senny był i przepity, a po trzecie
musiał się opędzać zgrai młodych fabrykantów,
którzy mu dogadywali żoną mechanikową.
Wśród zgrzytu pilników ślusarni, jeszcze zgrzytliwiej
podźwięły się ohydne koncepty, dwuznaczniki-
przezwiska, sprośne szczegóły. Starsi słuchali
obojętnie, chłopaki wyrostki kształcili się w tej
szybkowej szermierce. Ahlek zrazu się bronił, po-
tem zaczął się cynicznie śmiać, i odpowiadać.
Wreszcie temat zniecierpliwił nawet ołaskanego
z tem życiem i gwarą Nowika, seniora ślusarzy.
- Pyska byś tak nie rozpuszczał, rzekł, a to
doniosę mechanikowi, i przez sąd cię do ślubu
doprowadzą, albo każą na dziecko płacić.
- Oho, niechno zaczepią - to pożałują. Powiem ja
lepsze rzeczy w sądzie! warknął Ahlek, ale jednak
ucichł.
Z kolei sala zaczęła komentować wypadek Gedrasa,



natrząsać się z niego. Podczas pauzy obiadowej
odeszła się wieść o chrzcinach, dała nowy temat
do gawędy - stróż był na wszystkich ustach - i
każdy z niesłychaną jednomyślnością dodawał mu
tytuł „durnia."
Tak zeszedł jeden z mnóstwa monotonnych robo-
czych dni. O zmierzchu zajęczał sygnał - na dro-
dze ku miasteczku wyroił się tłum brudny, osmola-
ny, głodny, biedny - i złośliwy. Szli zrazu groma-
dą - potem zaczęli się rozpełzać, wsiąkać w mia-
steczkowe mrowie. Wszyscy mieszkali niedaleko
fabryki, w żydowskich i mieszczańskich domkach.
Zajmując ciasne klitki, rozwalające się oficynki -
zwykle cała rodzina w jednej izbie, subarendując
kąty kawalerom, cisnąc się na kupie starzy i
młodzi, zdrowi i chorzy - swoi i obcy - całe życie
w niespełnionym marzeniu o czystej i całej odzieży,
o syłym żołądku, wygodnej pościeli, cieple, dostatecznym



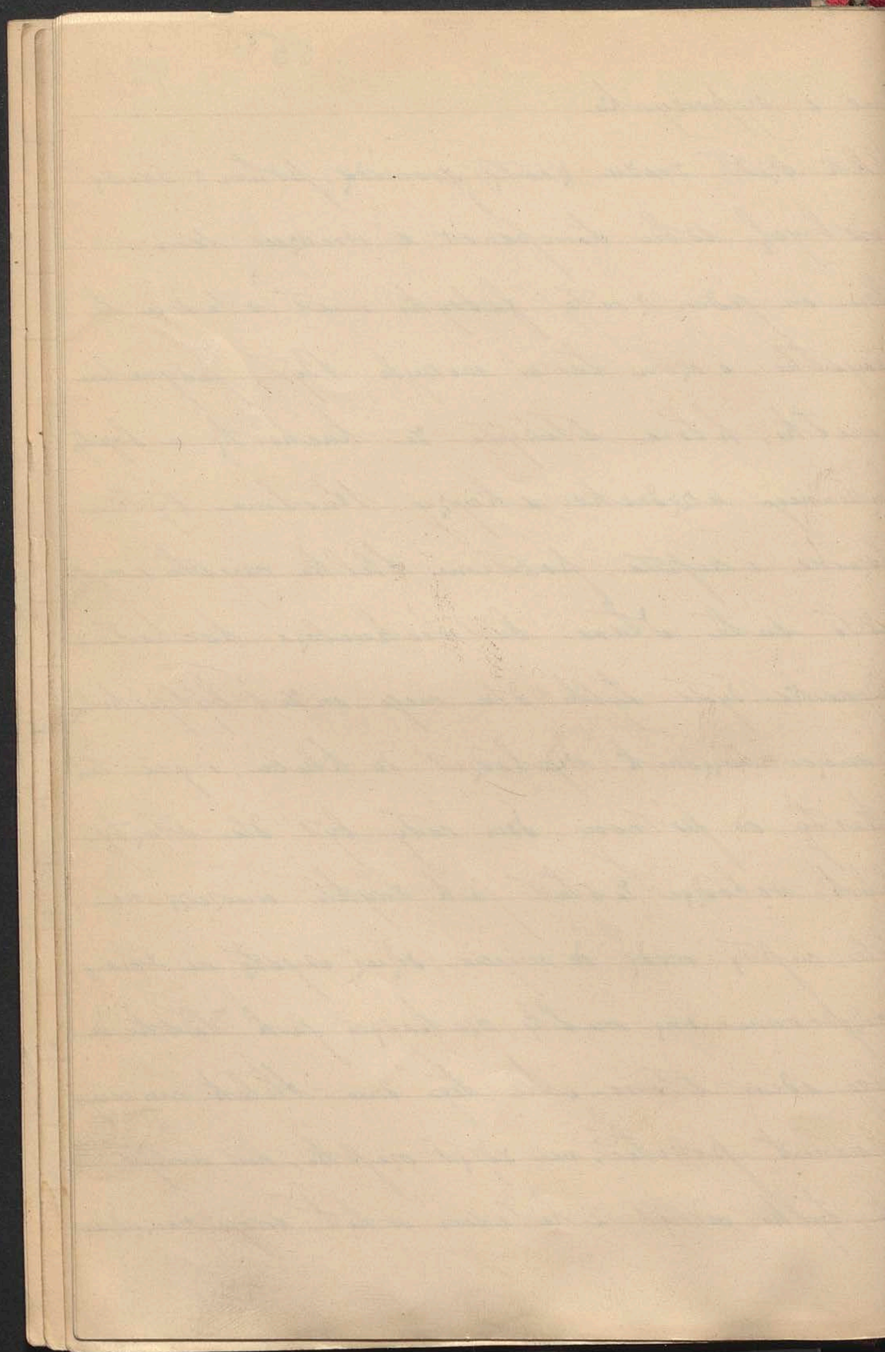
śnie i wypoczynku.

Antek szedł zrazu z całą gromadą, potem z bandą podobnych sobie kompanów, a wreszcie sam.

Może on jeden z całej fabryki miał właśnie to wszystko - o czem tamci marzyli. Był jedynakiem u matki, która służyła za kucharkę u bogatego bezżennego urzędnika akcyzy. Kuchnia była obszerna i ciepła, posłanie Antka czyste i miękkie, jadło suto. Stara bałwochwalczo kochała jedynaka, żyła tylko dla niego - on zaś był jej kitem.

Co wieczór urzędnik wychodził do klubu, i grał tam w karty do północy - dom cały był dla służby.

Antek wchodząc, zastał jak zwykle wieczerzę na stole, ciepłą wodę do mycia, odzież czystą na zmianę i rozpromienioną matkę, czekającą jak łaski dobrego odeń słowa. Ale tego dnia Antek nie raczył jej nawet powitać; nie zdjął czapki, nie umył rąk, tylko cisnął z hałasem w kąt swoje narzędzia,



i usiadł za stołem.

— Wódki przynieś! burknął.

— Zjedz co ciepłego. Masz kiełbasę z kapustą.

— Wódki daj - nie gadaj, bo pójdę do dyżorowej!

Stara na tę groźbę, bez protestu postawiła na stole butelkę. Felek wypił szklankę, i po chwili zaczął się udobruchać.

— Masz cygaro? spytał. Stary przecie choć tego nie zamyka, ani ze sobą zabiera.

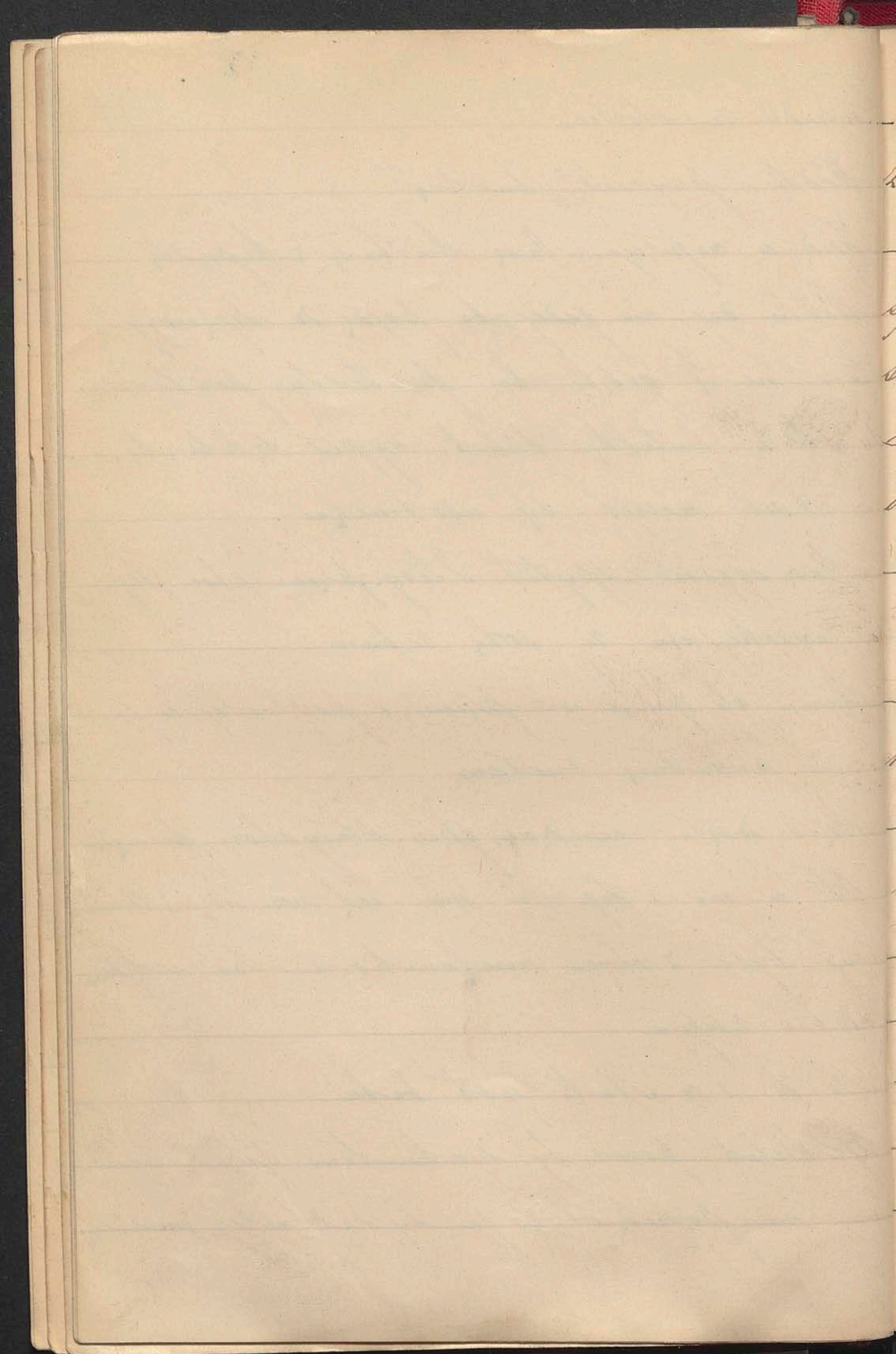
— Mam - ale zjedzże coś przecie, i posłuchaj, co ja dziś za awanturę miałam.

— Możeś dostała nareszcie, gdzie stary chowa pieniądze.

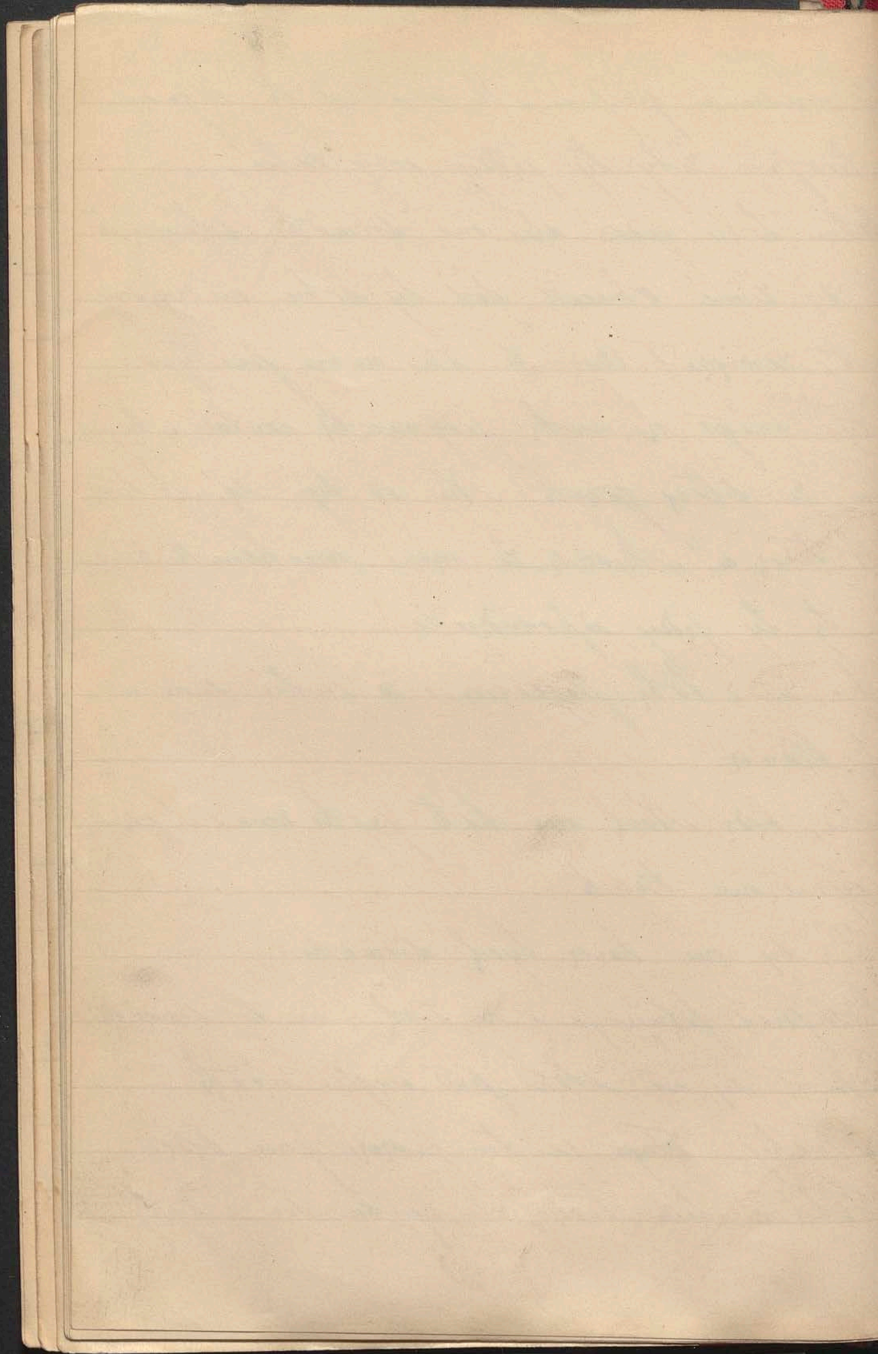
— Eh, co mi z tego. Toć mnie ich nie wezmę. U mnie dzisiaj była z rana mechanikowa. Toć ich tyła podobno zlepła.

— No to i co. Mało jest baba.

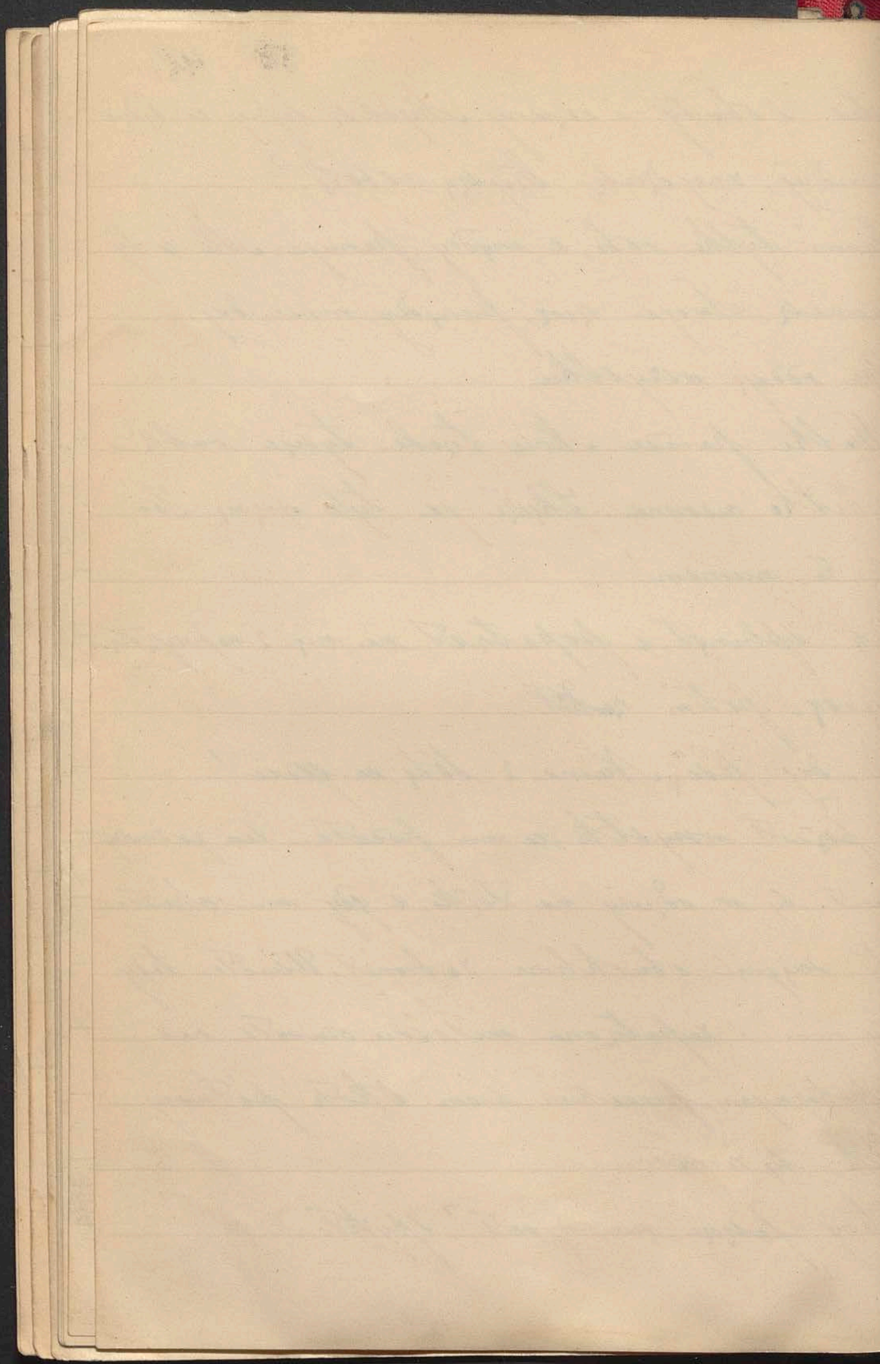
— Oj Felek, pocoś ty synku tam łaził, i niceś mnie nie powiedział. Co ja się nasłuchać musiałam.



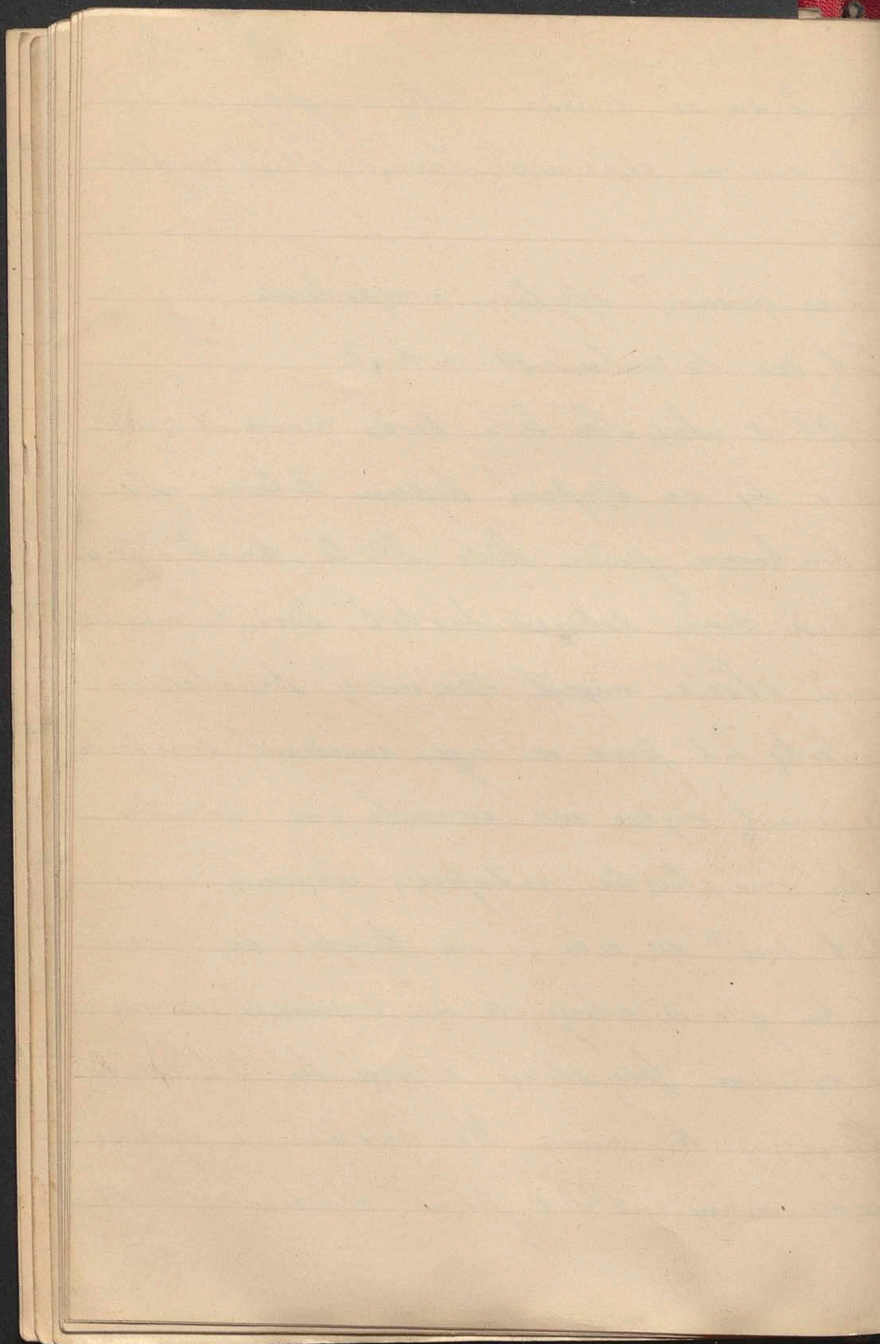
– Coś musiała, głupia. Nie miałaś to sagana
z ukropem, żeby tej jędzy oczy zalać. –
– Dobrze tobie gadać – ale oni świadki stawią, że
tyś się żenić obiecał. Toś ty sobie, niedorzeczny,
świat zawiązał. Czyż to dla ciebie partya.
Tybyś mógł rzeźniczkę jedynaczkę dostać. My już
o tem ze starym gadali. Nie od tego są. A teraz.
– A teraz, co? Myślisz, że mnie mechaniki złapią.
Coś ty tej jędzy odpowiedziała?
– Ano, że z tobą pogadam, i że jutro sam u
niej będziesz.
– Aha, będę! Niech im kat jajko zniesie! odezwał
się cynicznie Antek.
– To się nie boisz tych świadków?
– Głupiaś. Plunę ja i na niej i na te świadki.
Rozparł się na stole, pił ciągle wódkę.
– Cichaj – długo ja tu jeszcze gnić będę.
– Albo ci tak bardzo źle, synku. Toć i by ty



jesteś i obuty i odziany. Myślisz lepiej ci będzie
gdzieindziej, znajdziesz lżejszą robotę.
— Durny tylko robi, a mądry panuje. Ale co ty
rozumiesz. Twoja rzecz, pieniądze mnie daj.
— Toć oddaję wszystkie.
— Wielka parada. Mnie trzeba tysiąc rubli.
— Matko cudowna. Skąd ja tyle wezmę. Toć
wiesz, że niemam.
Antek splunął, i popatrzał na nią z najwyższą
pogardą. Potem rzekł.
— No, daj jeść. Niema z tobą, co gadać"!
Gdy pożarł wszystko, co mu podała — sen go zmorzył.
Rzucił się w odzieży na łóżko, a gdy mu chciała
buty ściągnąć, obcesowie zabronił. Usiadła tedy
przy nim i zapatrzona miłośnie, czuwała nad
niespokojnym, pijackim snem. Około północy
Antek się zerwał.
— Stary jeszcze nie wrócił? spytał.



Nie. Co on ci szkodzi. Tutaj nie przyjdzie.
Antek nic nie odpowiedział. Ziewnął, wziął czapkę i
wyszedł.
— Zaraz wrócisz? spytała niespokojnie.
— Jak mi się zechce! odmruknął.
Poszedł w ulicę. Noc była bardzo ciemna, z rzadka
paliły się na słupach kopcące latarnie, ulice
źle brukowane, pełne były błota, puste i głuche.
Niekiedy zdala dobiegał turkot dorożki, gwizdanie
nocnego stróża, mignął spóźniony przechodzień
z latarką, lub pies, włóczęga rewidował śmietniki.
Po domach nigdzie nie świeciło już światło —
takie miasteczka zasypiają wcześnie.
Antek szedł bez celu, i nie śpieszył się. Kierował
się ku głównej ulicy, ale nie zamierzał na nią
się wynurzyć. Przystanął, słysząc turkot dorożki
zmierzającej ku niemu. Koń zwolnił na wybojach
bocznej ulicy, i Antek poznał chlebodawcę matki.



w porodzie. Przeprowadził go z tym wzrokiem.

– Bestya, piechotą nie raczy' mruknął, a gdy

dorożka minęła, splunął za nią.

– Zdechniesz tyż – a ja cię przecie dopilnuję' rzucił

z wściekłością, i zawrócił do domu.

Gdy przyszedł do kuchni, zastał matkę już rozebraną

mruczącą pacierze. Czekała tylko na niego, by lampę

zgasić. „Pan" już wrócił, dom był zaryglowany

starannie, drzwi z mieszkania do kuchni, mocno

zatrzaśnięte. Ta niedbałość urzędnika o dom, gdy

z niego wychodził, to skrzętne ryglowanie, gdy wracał –

upewniało Kilika w mniemaniu, że pieniądze nosił

przy sobie. Zaś pieniądze te Kilek postanowił

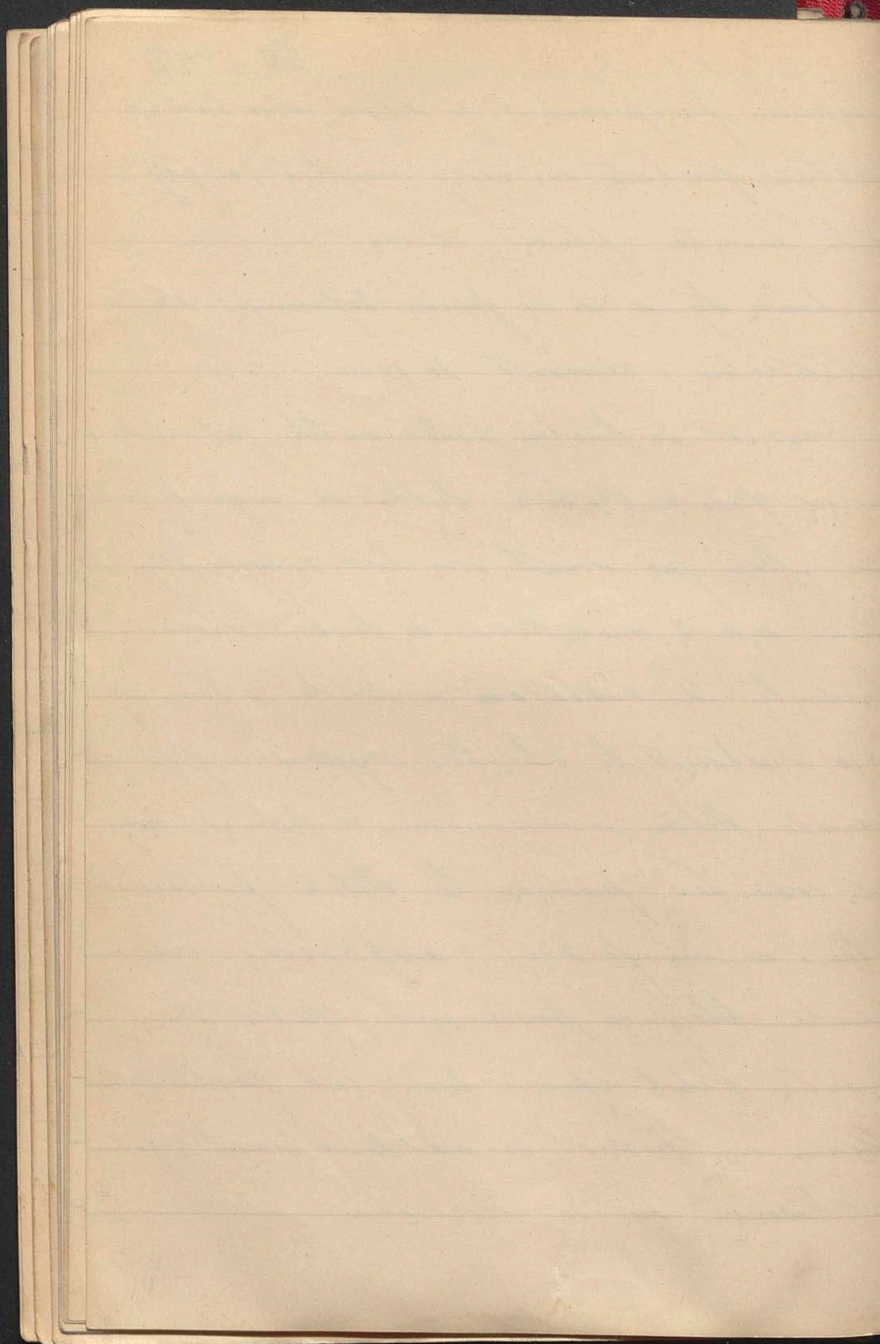
dostać, i na nie połowił z cierpliwością i wytrwaniem

człowieka który co postanowił – spełni.

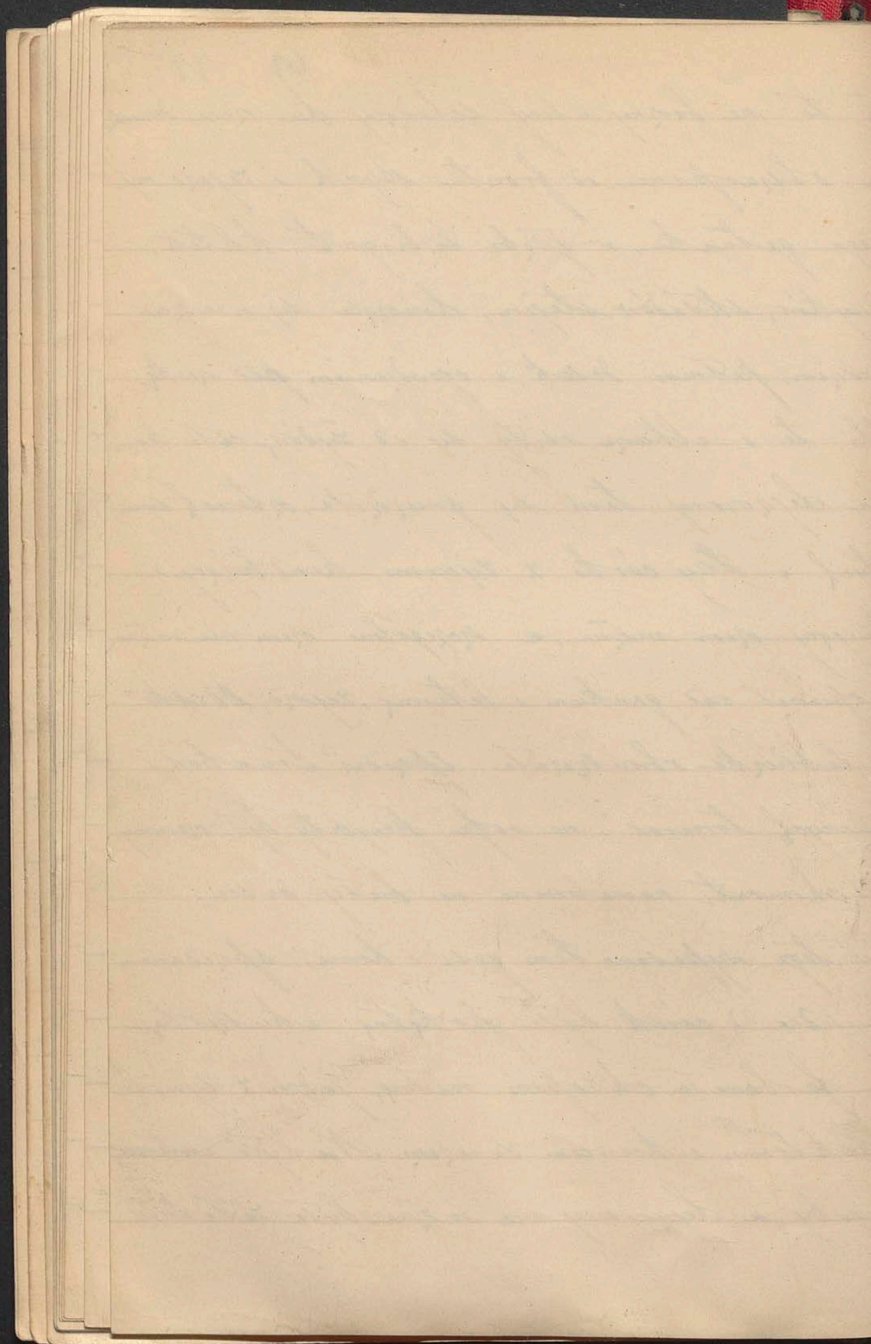
Nazajutrz Kilek spędził dzień jak zwykle, ale

wieczorem nie poszedł do matki – wprost z fabry-

ki skierował się do Szczurowej.

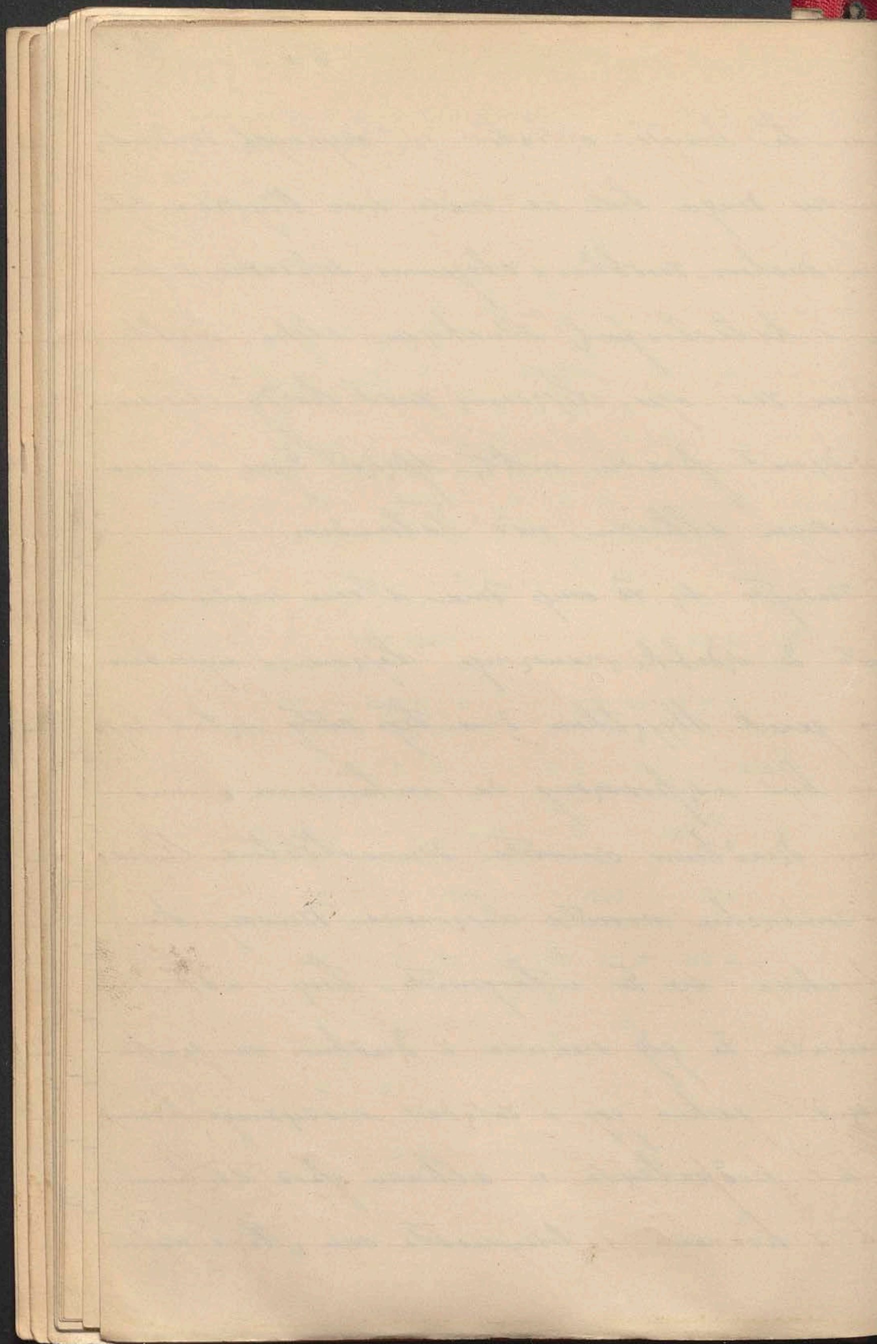


Było to na bocznej ulicy, schodzącej ku rzece, domostwo stare, obszarpane,- od frontu szynk i zajazd niższego gatunku, w głębi labirynt, klitek, alkierzyków, składów, stajen, kończące się wreszcie podwórzem, pełnem desek, i ogrodzeniem pod rzeką. Klitki te i alkierze roiły się od Żydów;- cała liczna rodzina Lejzorowej tam się gnieździła, czterech synów, żona tych i trzy córki z zięciami,- handlujący i pośredniczący czem można, a szczególnie czem nie można. Szyld opiewał nad gankiem i latarnią „zajazd Odeski" obok tabliczka obwieszczała sprzedaż trunków i bakalijnych towarów" - na rogu przybity był czerwony but i chomont,- namalowane na białej desce. Oprócz tego wypasano tam gęsi i konie, sprzedawano deski, jedna z córek była pokątną akuszerką,- druga farbowała chłopom wełnę, jeden z synów był faktorem i krawcem zarazem. Nie było interesu, któregoby u Lejzorowej nie można było załatwić.

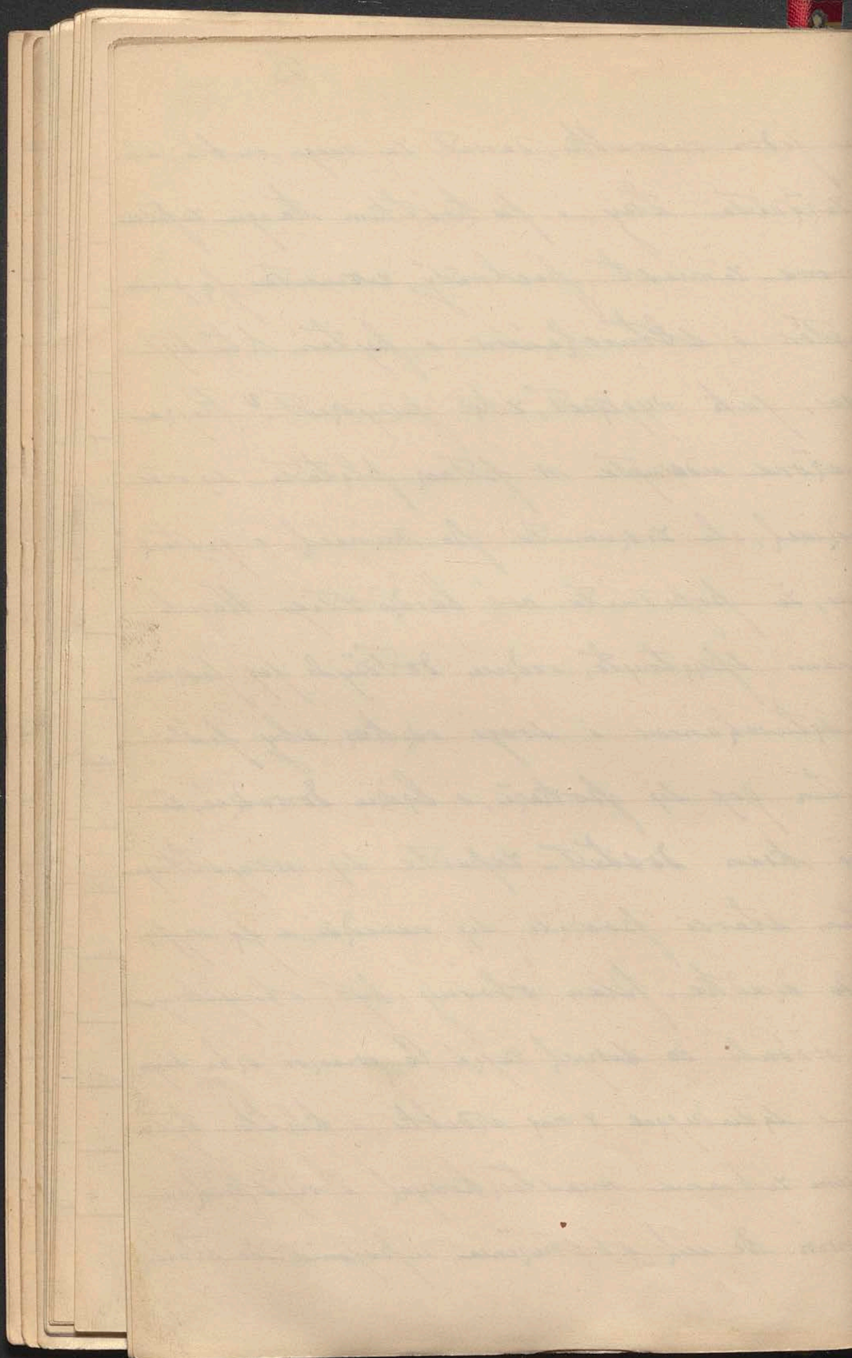


Rodzina ta liczyła członków już czynnych dwudziestu, dorzuciwszy drugie tyle na małe dzieci. Ożywiona była jednym duchem zarobku i zbogacenia, solidarna w powodzeniu i katastrofach, słuchająca ślepo matki, wielbiąca zaś ojca. Lejzorową znał każdy. Lejzora nie widywał prawie nikt, spędzał życie w najzaciszniejszym alkierzu nad Talmudem.

Otóż zdarzyło się, że owego dnia słońce wiosenne zajrzało do izdebki „naucznego" Lejzora, i wywabiło go na ganek. Wyjątkowo dnia tego cały sztab Lejzorowej był rozproszony za interesami, i nad starym dziadkiem czuwała dwunastoletnia Rojza. Gdy o zmierzchu wróciła Lejzorowa, dziewczynka pochwaliła się, że utargowała trzy ruble, i powiedziała, że gdy siedziała z dziadkiem na ganku, przyszedł jakiś goj, i zażądał mosiężnego kranu. Ona zaś podpatrzyła w alkierzu pod łóżkiem worek z kranami, i przyniosła mu. No, i wybrał



sobie jeden niewielki, dawał za niego rubla, ale
na żądała trzy – i po krótkim targu zapłacił
lejzorowa zamiast pochwały, zarzuciła ją gradem
rzymysłów i szturchańców, i pytań: kto był
ten goj, jak wyglądał, zkąd przyszedł? Rojza
przerażona uderzyła w płacz, plątała się w od-
powiedziach, ale zrozumiała po minach i gestach
rodziny, że popełniła coś bardzo złego. Worek
z kranami sprzątnięto, rodzice dołożyli jej jeszcze
parę szturchańców i srogi rozkaz, aby jeśli
kiedy ten goj się pokaże, i będzie dowodzić, że
od niej kran dostał – zaparła się wszystkiego.
Potem starzy poczęli się naradzać, a ją wypę-
dzono do dziadka. Plan obrony był obmyślony –
ludzi wrócili do swych zajęć. Co wieczór izba szyn-
kowa i sąsiadujące z nią izdebki, i klitki były
miejscem zebrania miasteczkowych i wiejskich
szumowin. Do ich obsłużenia, uspojenia, do szuchania



mówią, do wyzyskania tej zgrai, cały klan
Lizorowej był potrzebny i gremjalnie występo-
ł do szynku. Gdy Chilek się zjawił z roboty-
ści już było pełno, i on się w szynku nie zatrzy-
mał, jako stary bywalec poszedł do jednego
gabinetów." Ale tam czekało go nieprzyjemne
spotkanie. Jakaś kobieta rozłożyła na stole
zed szmat, córka Leszorowej je rozłożyła-
odbywał się zajadły targ o te łachmany.
Trzy ruble! Kpiny! A co ja zrobię z trzech
bli, - to lisowie na trumnę wystarczy, - a przecie
kościele każą zapłacić. A zkąd wziąść na
ki taki poczęstunek, - a mnie co zostanie,
tyle mordęgi! O szaletiście Tajga, - toć te same
rale warte dziesięć rubli, - a jedna sukienka
ście sami na Wielkanoc szyli, - raz włożona!
pięcie piętnaście, dobrze - ani grosza mniej!
córka wzięła w ręce korale, - Chilek je poznał.

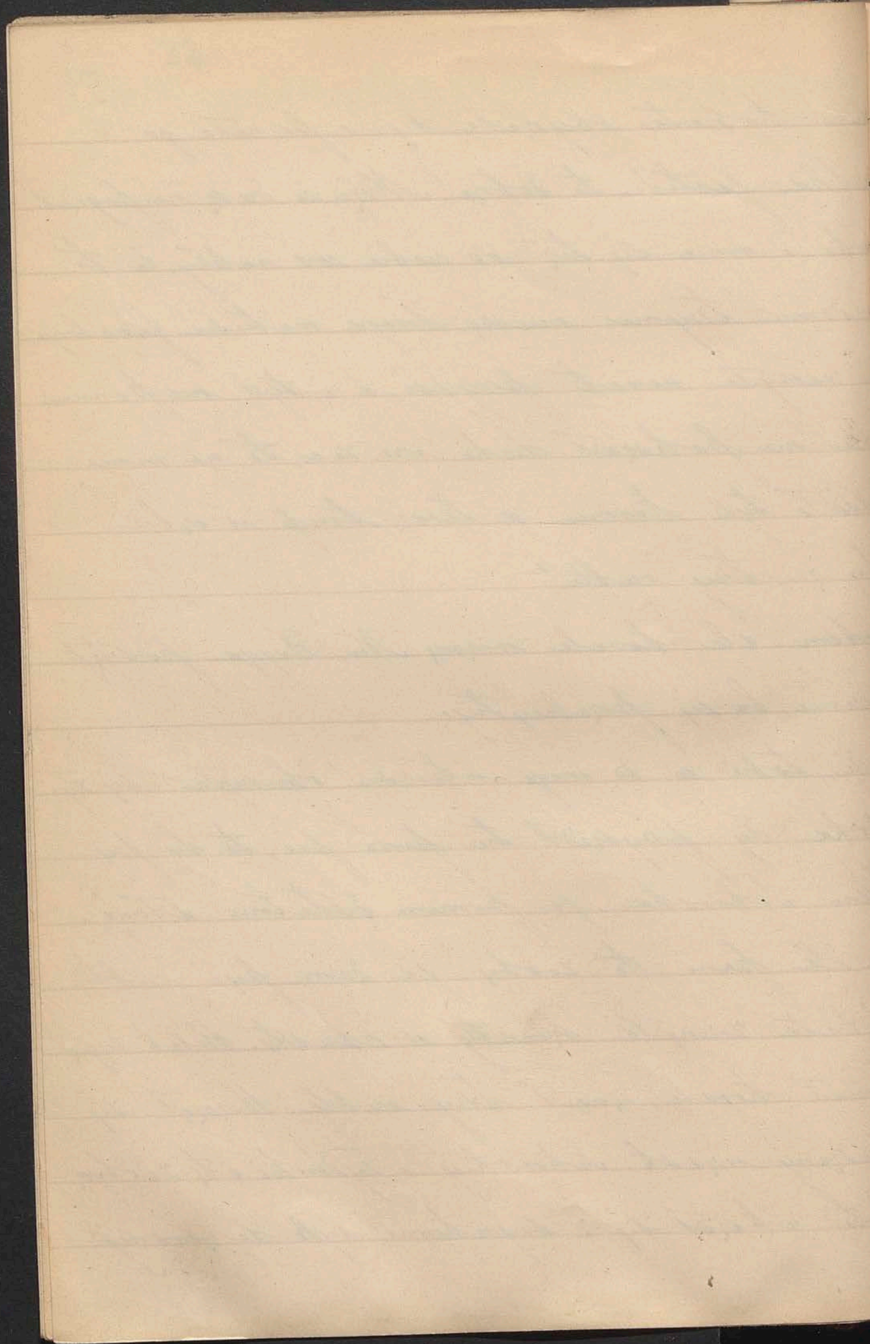
ale i kobieta obejrzała się - i poznała go.

- Aha, jesteś - to dobrze! Może co dasz na pogrzeb córki - i mnie się też od ciebie coś należy, że to w domu trzymać muszę. Twoja matusia fanaberya nie raczyła nawet przyjść, a i tyś, nieboraku, nosa nie pokazał. Licho wie za co, to na mnie spadło tyle kramu, a teraz trup w izbie. Daj ze trzy ruble!

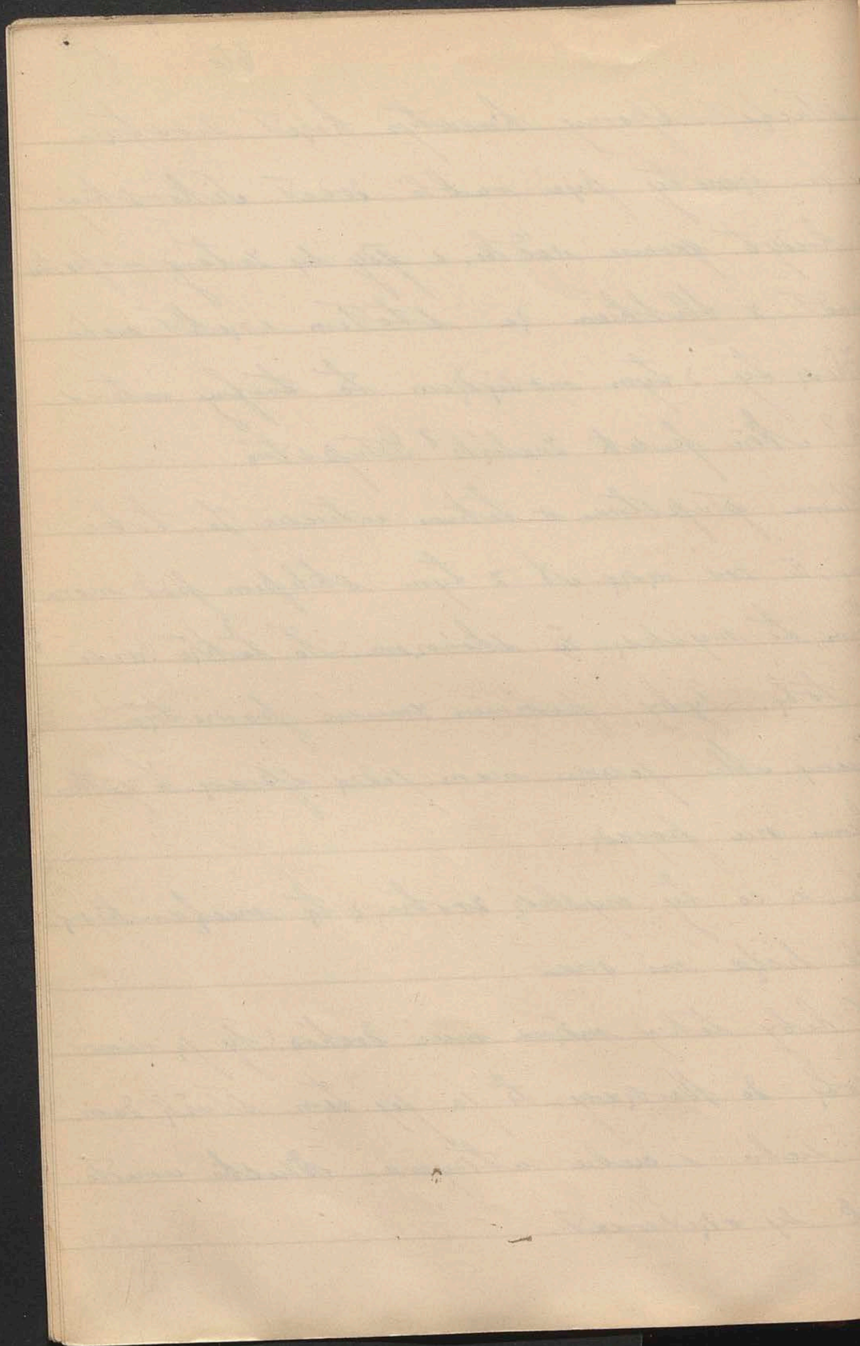
- Dam - ale korale wezmę! Ne, Łajga postąp w cenie, bo cię przelicytuję.

- Ne, tobie co do mego interesu! oburzyła się żydówka. Ty przyszedł tu piwo pić, to ty pij. Pani Sikorska - ja powiem ostatnie słowo - je dla pani to zrobię - ja dam - pięć rubli.

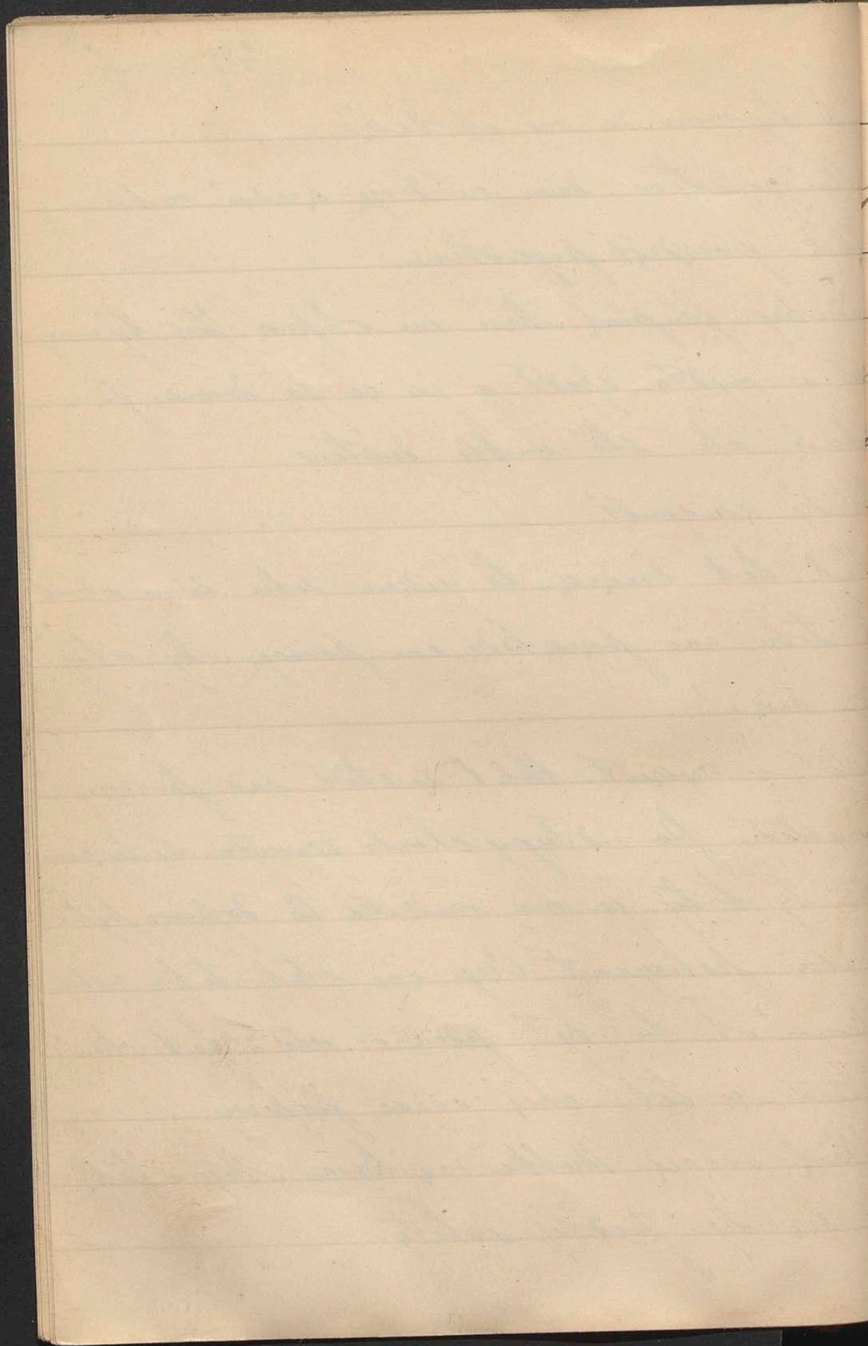
Kobieta zwinęła szmaty w chustę. Antek sięgnął, porwał korale, rzucił trzy ruble. Wszczął się zmieszany wrzask - Sikorskiej i żydówki o tę zdobycz. Nato ukazał się z szynkowni syn dziedzicowej.



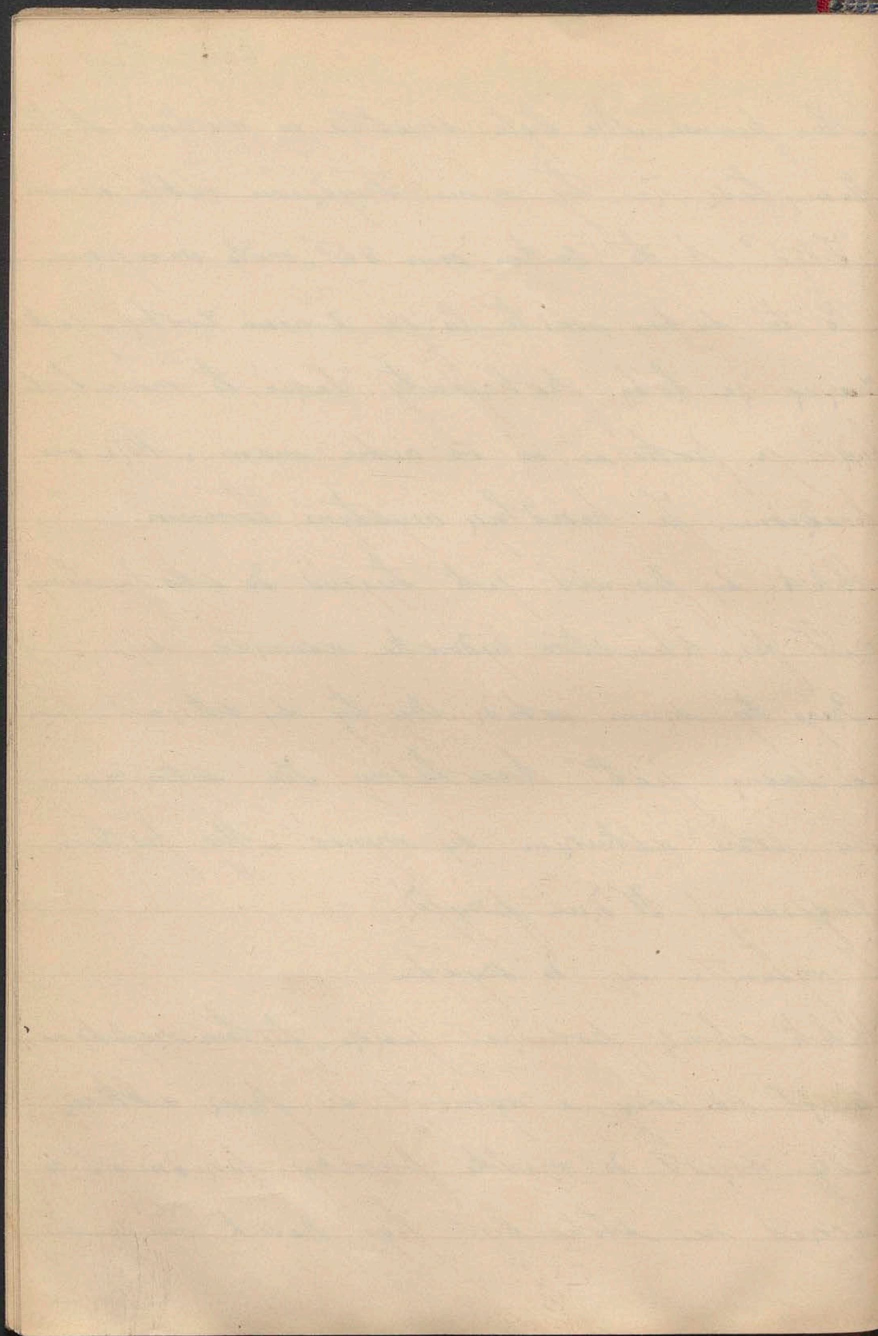
wystrzelał spornej kwestyi, kazał siostrze
dać ze szmaty pięć rubli, dodał Sikorskiej
na kredyt garniec wódki, i gdy się zatarg uspokoił
usiadł z Skitkiem za stołem - i rzekł cicho.
- Wiesz ty - z tym mosiądzem to trefny interes.
- Co? Może pasek znaleźli? Głupstwo.
- Niema głupstwa w takim interesie. Ja tobie
mówię, że coś węszą. A z tym sklepem pod mona-
sterem, to myślisz, że skończone. To także wisi
nad tobą. Tyby powinien zmienić powietrze.
- Zmienię. Ale jeszcze mam jedną sprawę. Z gołemi
rękami nie pojadę.
- Nie, a co ty myślisz zrobić z tą mechanikówną.
- Na licha mi ona.
- Z baby takiej można mieć dochód. Ty ją namów
ze sobą do Warszawy - to ja jej tam służbę dam -
że i siebie i ciebie utrzyma. Dziecko umarło!
Skitek się uśmiechnął.



– A ty mnie za nią ile dasz?
– Nu ja tobie dam na drogę dziesięć rubli.
Antek gwizdnął pogardliwie.
– Szukaj głupich. Mnie nie okpisz. Już tyżeś my
był i mydło zjadł – a ja ci ją dowiozę, gdzie
zechcesz – ale sto rubli dostanę.
Żyd się roześmiał.
– Jak tak bredzisz – to jedźcie sobie sami w świat.
Ja tobie ani przeszkodę, ani pomogę. My wtedy
będę kiedzie!
Wstał, i wyszedł. Antek został nad piwem – i
rozmyślał. Po długiej chwili zjawiła się Lejzorowa.
– Oj ty tutaj – ja nie wiedziała. Co dopiero pytał
ciebie policyant. Czego oni stali takie ciebie
ciekawe? A tu był jeden od nasz z fabryki –
i gadał – co tobie chcą oddać papiery.
– Niech oddają. Wielka mi kara. Mogę i tak
żyć, bez tej podłej roboty.



— Nie, pewnie. Nie tyle światła, co w oknie. A ty pamiętasz, że ty mnie trzydzieści rubli winien.
— Skąd? A to sukno com dał, mało wam jeszcze.
— Co to sukno warte. Co ja z niem zrobię — jak zacznę za tobą pokryjomu łazić, to mnie trzeba będzie je pokazać, że od ciebie mam. Może ono kradzione. Ja handluję czystym towarem.
Antek się porwał jak tygrys do skoku. Zaryczał przekleństwo, żydówka usunęła się.
— Czego ty szum robisz. Czy ty się skręcił. Tam za ścianą jest kwartalny. Idź! syknęła. Ty sobie oknem się wynoś! My potem pogadamy! W dzień przyjdź.
I wysunęła się do szynku.
Antek chwilę posiedział jeszcze, potem czapkę nasunął na oczy, i wyniósł się przez okien.
Gdy wszedł do matki pierwszy przedmiot co ujrzał na stole był jego pasek — ów zgubiony



przy kradzieży mosiądzu.

pobladł, chwycił go, zwrócił się do matki:

— Zkąd to masz! zaryczał.

Kobieta pomyślała, że się tak mocno zdziwił.

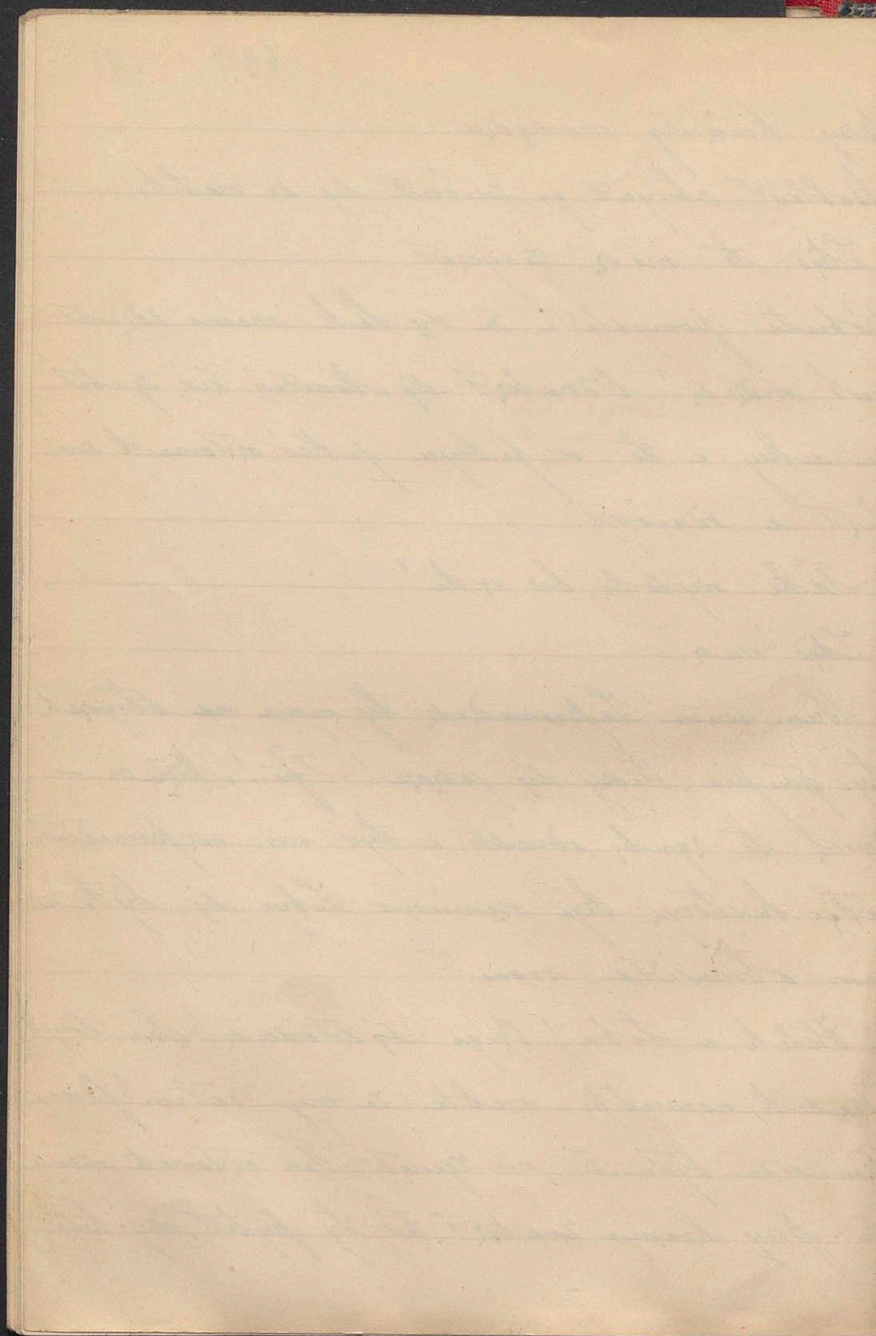
— A widzisz? Odnalazł się. Mówiłeś żeś zgubił na ulicy, a to w fabryce jakiś człowiek znalazł i odniósł.

— Taki wysoki, bez ręki?

— Zkąd wiesz.

— Wiem, wiem! Zaprowadzisz ty mnie na stryczek, ty głupia. Cieszy się jeszcze! Tfu! Może ci we dwóch tę zgubę odnieśli, a tyś im rozpowiedziała całą historyę tego rzemienia. Żebyś się była na nim obwiesiła — wrono!

— Wilek, co tobie! Czego się złościsz! Toć twój pasek, nowiutki — rubla za niego dałam! pewnie, żem rada była, że nie zginął. Ten człowiek mówił, że przy bramie znalazł, żeś ty pytał, czy kto



takiego nie widział, więc znalazłszy, że do miasta szedł, to po drodze u mnie zostawi. Nic zatem nie chciał.

— Sam był — nikogo więcej?

— On sam przyszedł, ale też zastał Adasia mechaników, co wstąpił z pokazania metki spytać czy przyjdzie? Oj, Antek — mnie czegoś straszno jakoś tej dziewczynie tę krzywdę trzeba zagodzić.

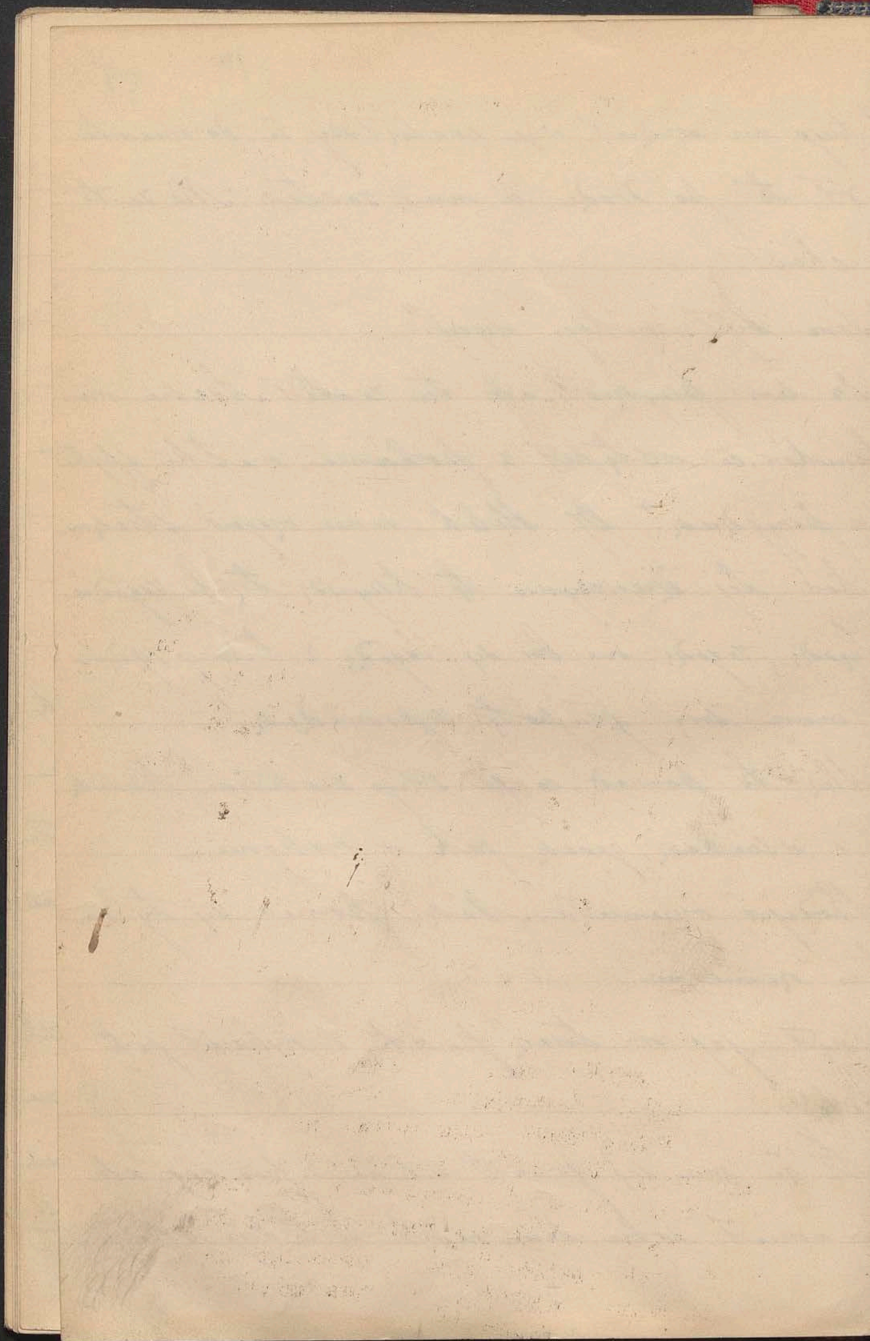
— Zagodź, zagodź — nie bój się. Zagodź z turmy, gdzie ty mnie swą głupotą zaprowadzisz!

— Alež to powiedz, co ja złego zrobiłam! Rzucasz się i wściekasz, gadasz jak w malignie.

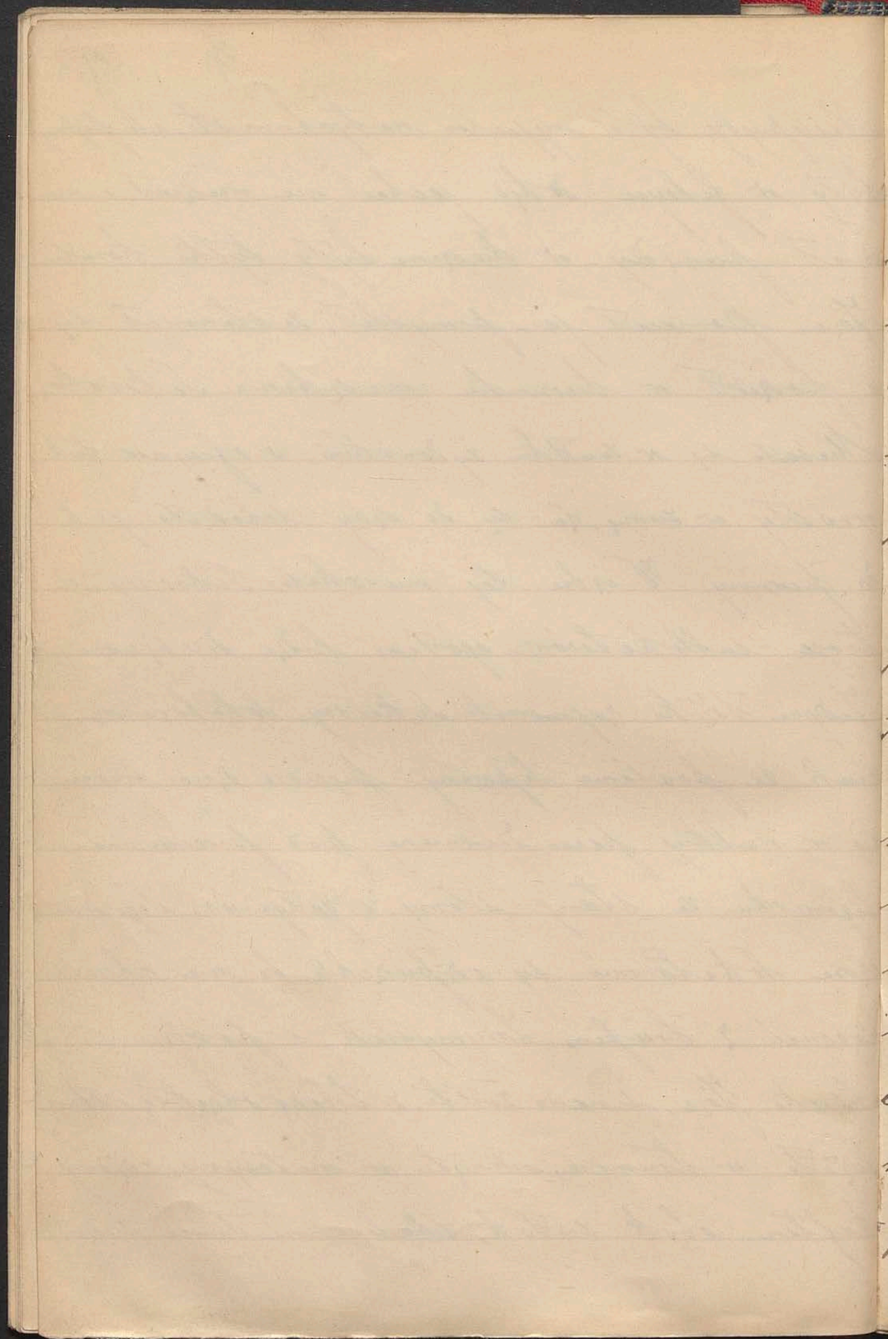
— Bodajeś oniemiała. Masz — powieś się ty na tym rzemieniu!

Cisnął jej w twarz pasek, i wyleciał, jak oszalały.

Czuł, że mu się grunt usuwa z pod nóg, ale nie umiał sobie sam radzić w takiej okazyi.

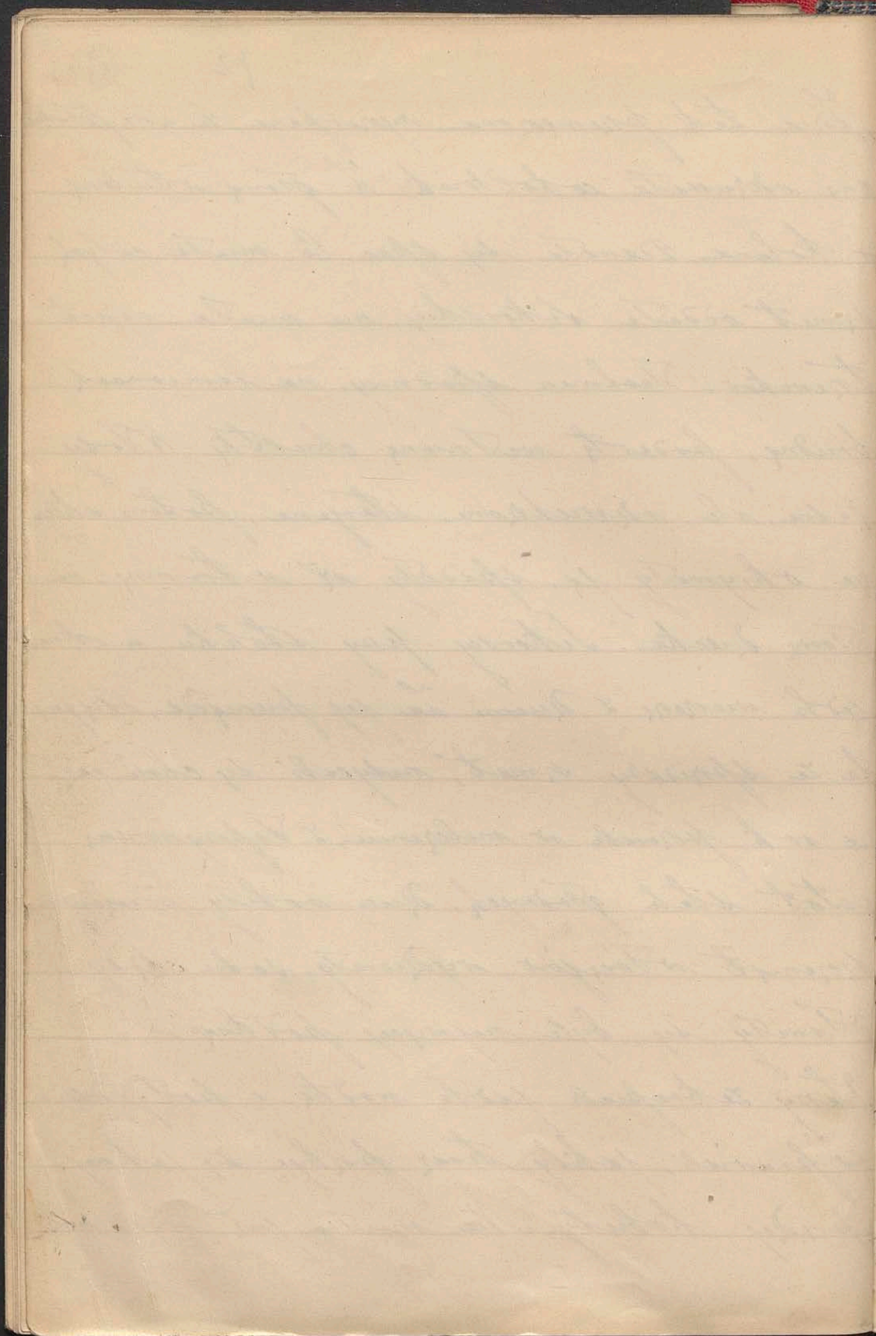


Najlepiejby było wyjechać natychmiast, ale pierwej
było w fabryce, dokąd jechać nie wiedział, i nie
miał pieniędzy - w kieszeni były tylko korale
Józi. Pomacał je - pomyślał, zastanowił się
i poszedł w kierunku mieszkania Sikorskich.
Mieściło się w zaułku żydowskim, w oficynie tak
wrosłej w ziemię, że się do izby schodziło jak
do piwnicy. W izbie tej mieszkali Sikorscy, i
troje sublokatorów - ogółem ludzi dziesięcioro.
Jedyne łóżko zajmowali Sikorscy, lokatorowie
mieli za posłanie tapczany - pięcioro dzieci mieściło
się w wielkiej pace drewnianej pod piecem, na
legowisku ze starej słomy, i gałganów. Tego wie:
czora lokatorowie się rozpierzchli, bo nie chcieli
nocować z trupem. Przymyślali, i poszli.
Dziecko Józi, sinawo żółte, z twarzą obrzękłą i starą,
leżało w trumnie, owinięte w matesyny, różowy
kaftan - obok zwłok, skulona na ławce siedziała



Józia, tak przemęczona, wyczerpana, że ani płakała, ani odczuwała cokolwiek. Z głową wtuloną w kolana, zdarzała się spać. Co miała całych szmat oddała Sikorskiej, nie miała nawet trzewików - łachman spódnicy, na ramionach brudną, podartą wełnianą chustkę. Włosy jasne, ale rozwichrzone, potargane, potem sklejone, okrywały ją, spadały aż w trumnę - na głowę dziecka. Sikorscy przy stoliku u okna jedli wieczerzę z dziećmi. Za jej pieniądze, osiągnięte ze sprzedaży szmat, nasycali się choć raz na rok, pożerali w milczeniu, z łapczywością istot stale głodnych. Dzieci robiły wrażenie szczeniąt w tłoczygór, wydzierały sobie kęsy - dławiły się, byle najwięcej połknąć.

Starzy zakrapiali jadło wódką - i półgłosem rozprawiali, jakby teraz pozbyć się jakoś prędzej kobiety. Nie miała już więcej nic



do rana, starała się cytarem, i narażała ich tylko na gniew mechaników. Postanowili tedy przetrzymać ją tylko do następnego wieczora, a potem wygnać.

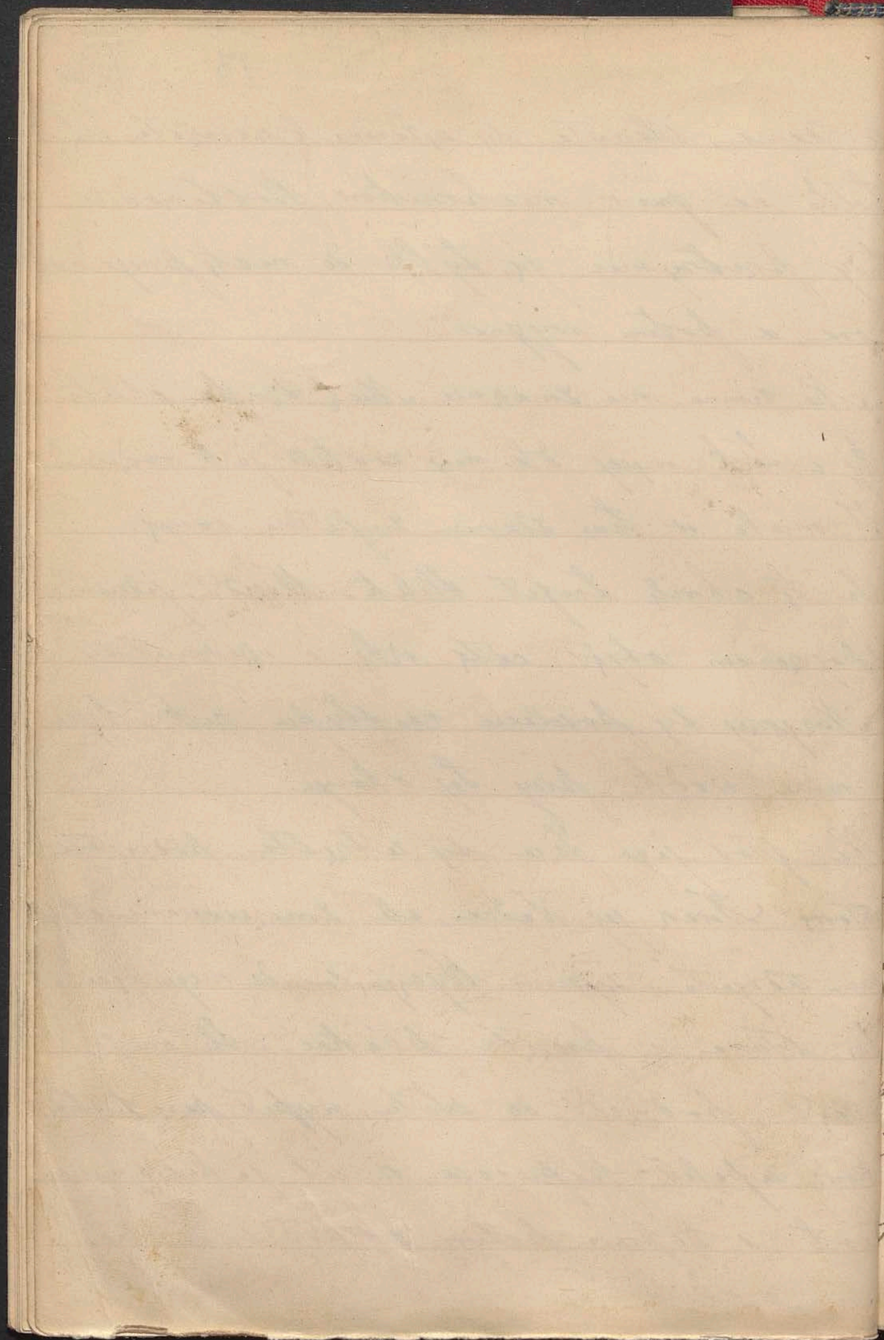
— Nie zimno, nie zmarznie. Niech sztuka chleba. My i tak więcej dla niej zrobili jak rodzice.

I mieli w tem zdaniu zupełną racyę.

Na tę chwilę trafił Bilek. Wszedł, jednem spojrzeniem objął całą izbę, i roześmiał się.

— Nie gorzej się posilacie na stypie — rzekł. Dajcie i mnie wódki przy tej okazyi.

Na głos jego Józia się zatrzęsła, podniosła głowę. Twarz jej ładna, ale zmizerowana okropnie zadrgała życiem. Wyciągnęła do niego ręce bez słowa, i poczęła płakać. Ale on ją minął, podszedł do stołu, wypił parę kieliszków, zapalił papierosa, rzucił jakiś cyniczny żart, i dopiero potem zbliżył się do niej.



— Czego tu, głupia, płaczesz. Zbyłaś kłopotu i tyle. Ależ bachor paskudny, dobrze, że go zakopię. I tyś do śmierci podobna. Masz — wypij wódki, i nie rycz, bo plunę, i pójdę.

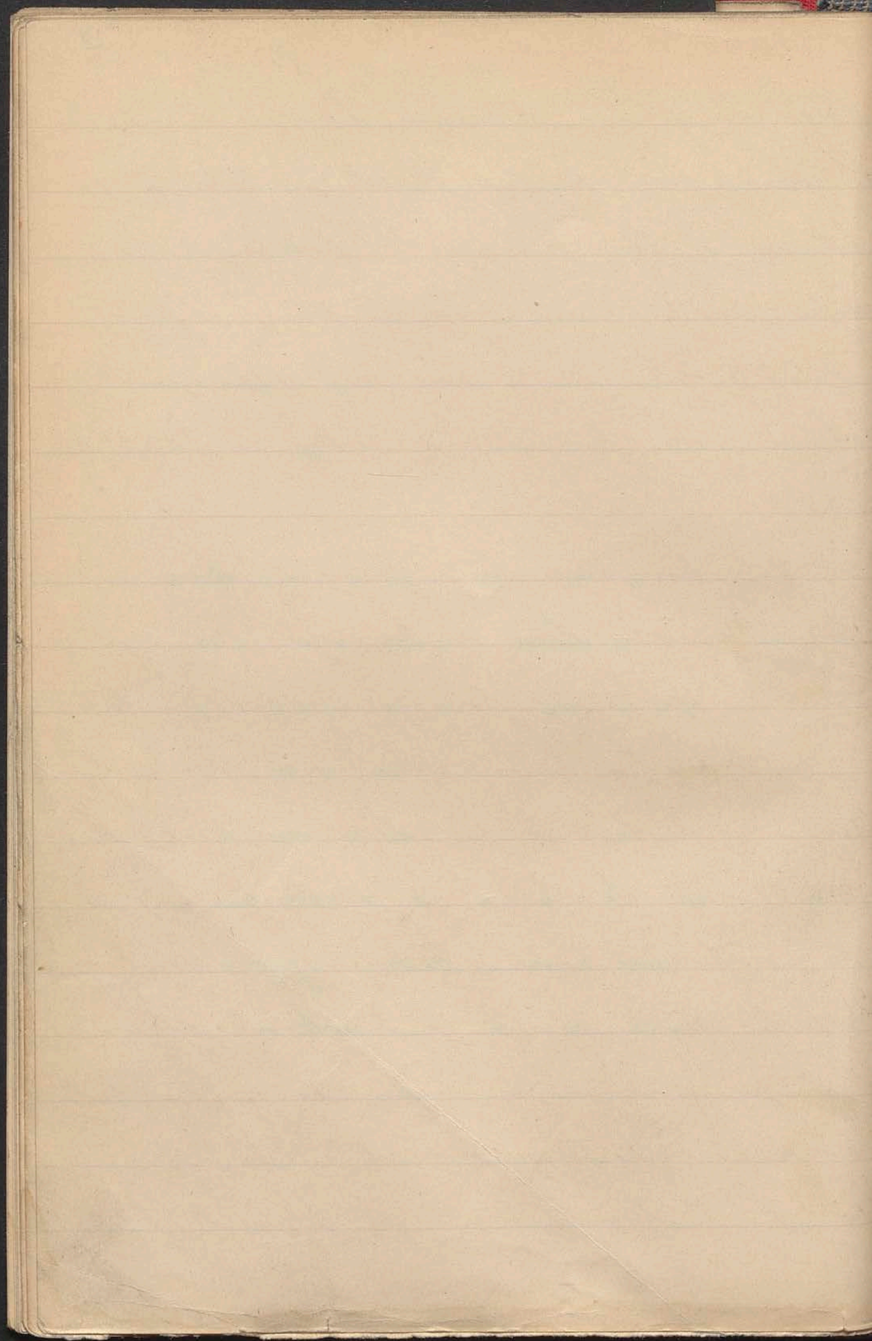
— Wilek! Tyleś dni o mnie nie wspomniał! jęknęła. Nie pomyślał w jakiej ja biedzie przez ciebie.

— Może i pomyślał, kiedy przyszedł. ~~[illegible]~~

— Co ja zrobię teraz, nieszczęsna. Rodzice nie przyjmą — gdzie się podzieję. Tylko się utopić!

— Nie lamentuj, bo mi zbrzydniesz! Wiechno tego bachora uprzątną, to już z tobą nie bieda. Trzy ruble dałem, korale twoje odebrałem. Nie bój się — nie porzucę ciebie. Masz — wypij, i jedź.

Kobieta wzięła do rąk kieliszek, ale spojrzała na trupa, i nie mogła wypić, zęby jej szczękały. Łzy rzuciły się do oczu. Wilek się żachnął, sięgnął po jakiś łachman, i cisnął na trumienkę. Potem



usiadł obok Józi, i spytał z cicha.

— Była tu u ciebie Lejzorowa?

— Była, namawiała za mamką.

— Coś powiedziała?

— Twojam jest. Toć mnie nie dadzą na pomiewiadły. Uśmiech się, Uliek, mój złoty.

— Jużci — byleś mnie słuchała. Ja z tąd jutro wyjadę.

— A coż ja.

— Zabiorę ciebie.

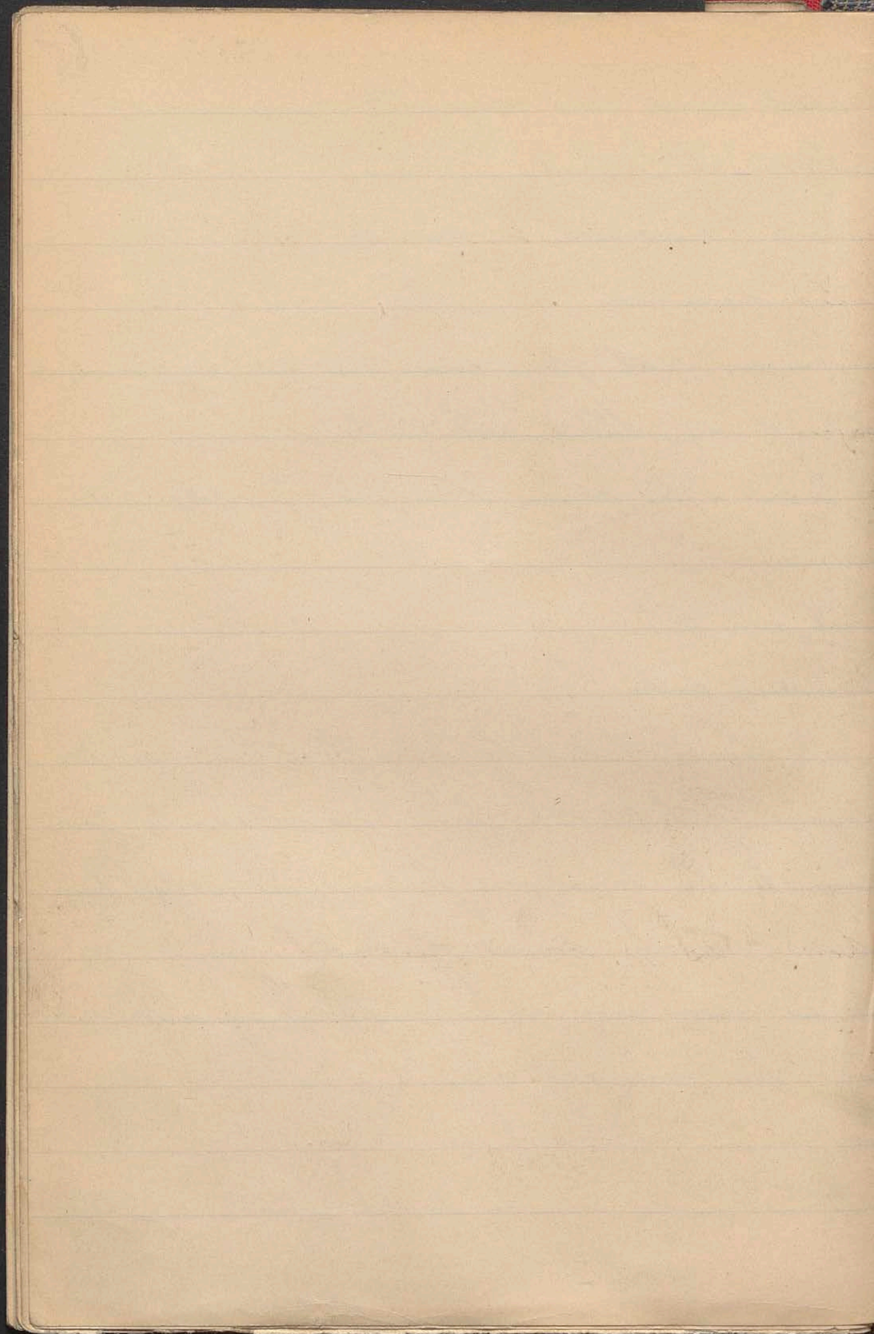
— Naprawdę. Jakiś ty dobry. Ja z tobą w piekło gotowa, jaktobie całe życie rada służyć. Ja wiedziała, że ty mnie nie porzucisz. A dokąd pojedziem? To ty rzucasz fabrykę?

— Co mi mają oczy wypiekać. Pojedziemy do Warszawy.

— I tam weźmiemy ślub?

— Weźmiemy

Józia rzuciła mu się do rąk, całowała je, obłewała



Dzami. Zapomniała o przebytej niedoli.

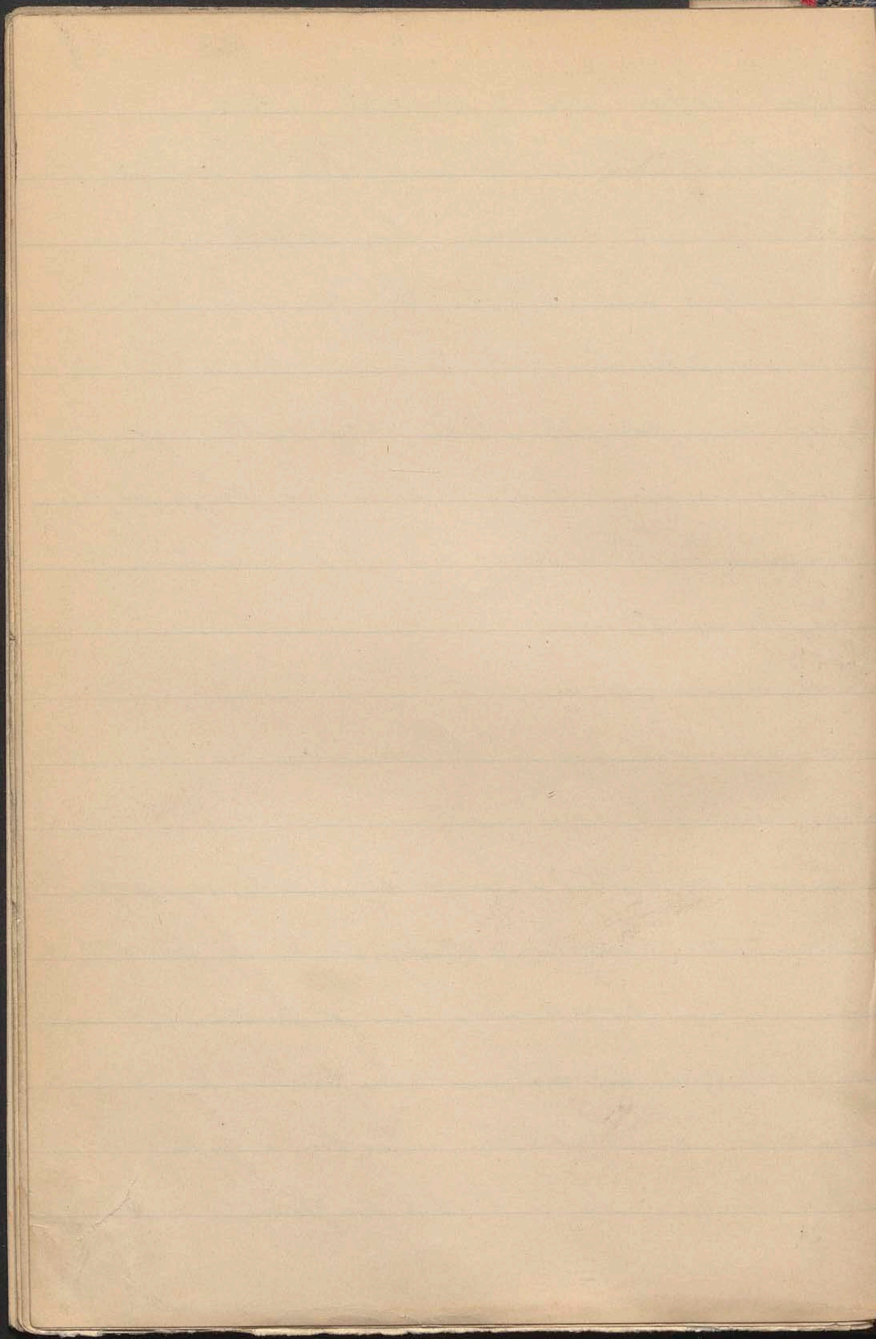
— Oj, Antek — będę ci pracować, będę ci dogadzać, będę ci służyć. A znajdziesz tam robotę?

— Żeby tyle biedy. Tylko ty pamiętaj, że jak cię bezrozumna zbuntuje — to z nami koniec. Ja tu więcej nie przyjdę. Masz trzy ruble, ogarnij się i jutro w nocy żebyś była na stacyi, na pociągu. Rozumiesz? A słowa nie piśnij nikomu! Nu, bywaj zdrowa.

Zatrzymała go za rękę

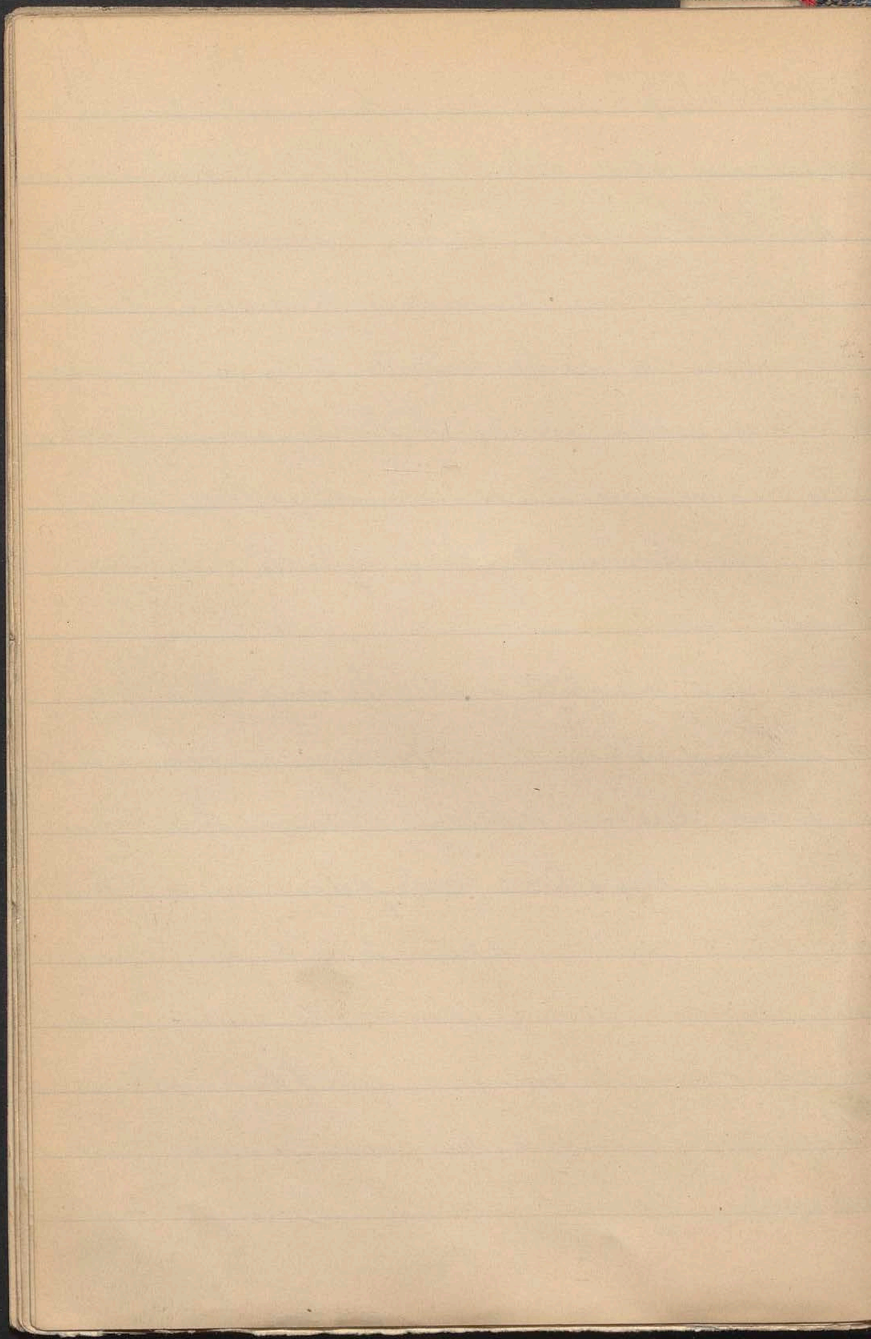
— Antek — możebyś jutro rankiem na pogrzebie był. szepnęła nieśmiało.

— Jeszcze co może! obruszył się, i rękę wyszarpnął. Podczas tej poufnej rozmowy, Świdersccy położyli się spać, dzieci połokowały się w pudle — izba napełniła duszne powietrze, i chrapanie — lampka dogasała. Józia została wkrótce w zupełnej ciemności, owinęła się w kłębek na ławce, i czuła przyszłe

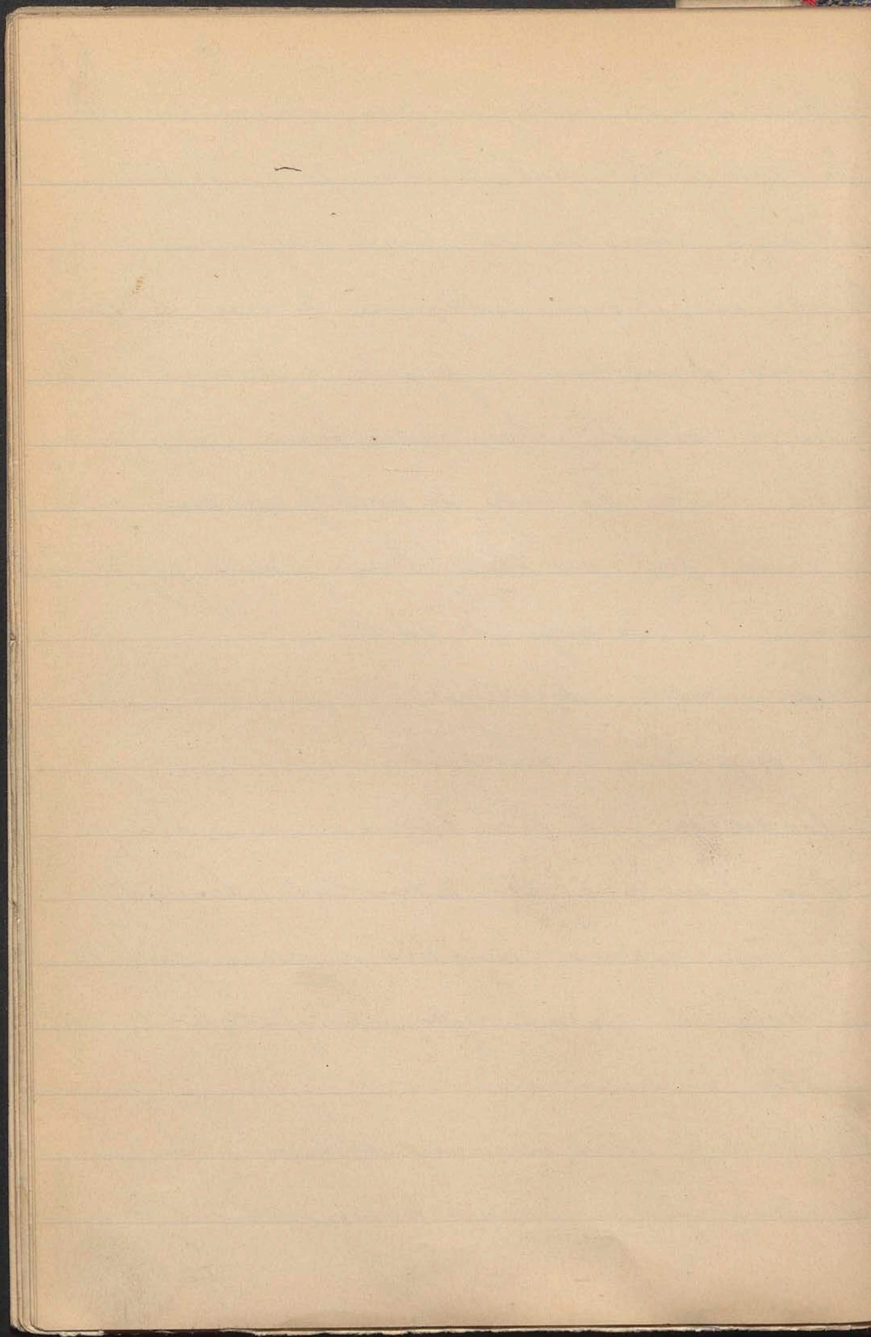


życie. Widziała siebie we własnej izbie, żoną ślusarza,
gospodynią wśród własnych sprzętów; rozmyślała
jak będzie zarabiała szyciem i praniem, jak będzie
na męża oczekiwać z wieczerzą, jak będzie kiedyś
przyjmować u siebie rodziców, albo jak we dwoje
zebrawszy grosza, odwiedzą tutaj znajomych. I ukojona
dobrą nadzieją - usnęła wreszcie, wszystkich swych
bólów nie pomna - z głową wspartą o trumnę
dziecka. — — —

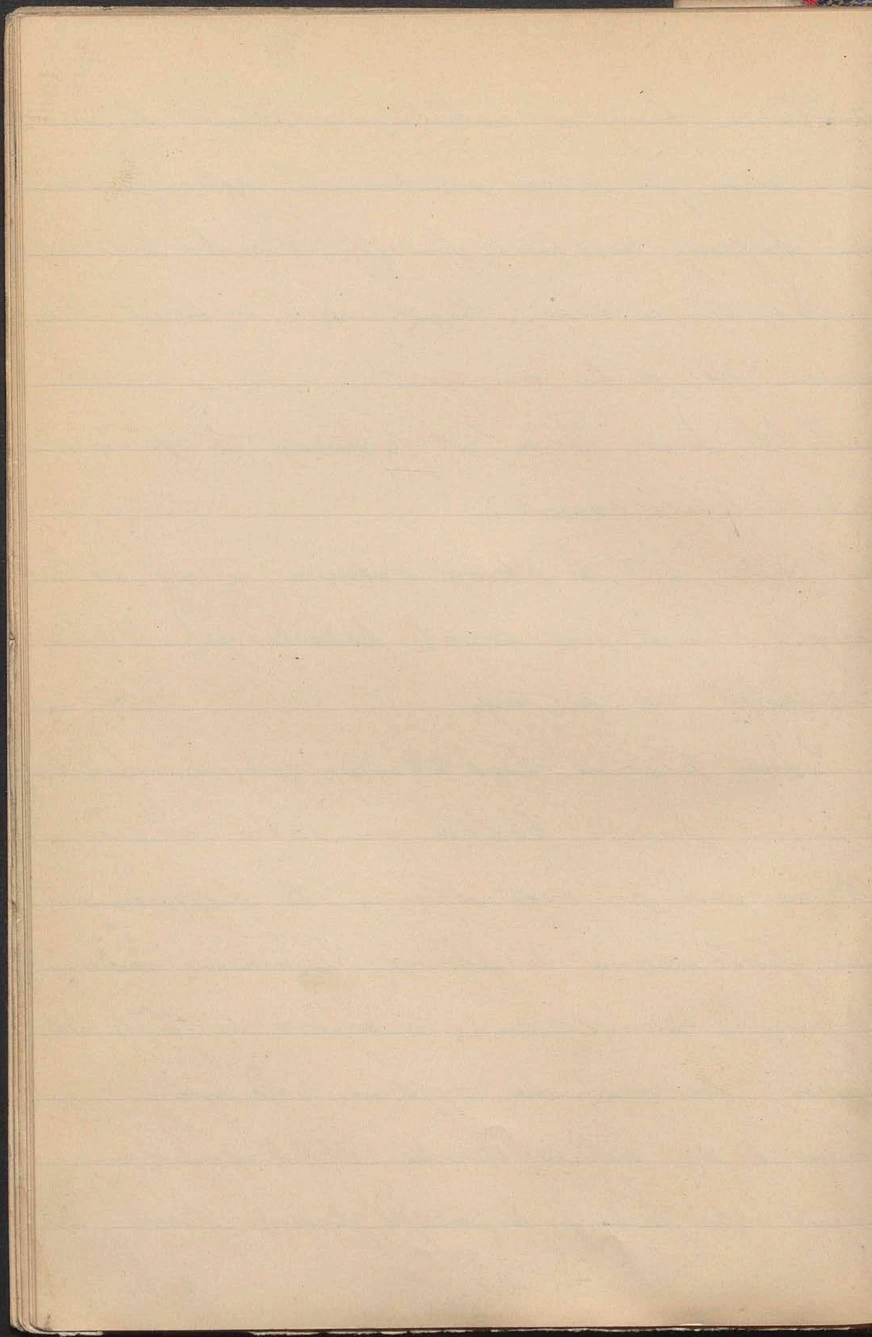
Kilek zaś nie spał wcale tej nocy. Spędził ją
w jednym z alkierzyków Dejzorowej - na rozmowie poufnej
z synem szanownej matrony. Rozmowa była chwilami
burzliwa, a bezustannie zakrapiana wódką, to też
gdy Kilek szedł o świcie do fabryki - wzrok
miał szklanny, twarz spuchniętą, a chód ciężki.
Jędras otwierał bramę, i spotkali się.
Ślusarz się obejrzał, że byli sami - i rzekł ze zło-
wieszczym syknem jadu w głosie.



— Myślisz mnie zakopać, psie! Niedoczekanie twoje.
Ale ja ci to popamiętam — ja ci odpłacę —
zobaczysz. Wymotam ci kiszki — ty szpiegu!
Jędras ani drgnął, jakby nie do niego mówiono.
Spojrzał pogardliwie na pijaka, i pobrzękując pękiem
kluczów odszedł ku mieszkaniu rządcy.
Antek wziął się niby do roboty, ale znać było —
że o nic już nie dba. Drgnął jednak, gdy dozorca
zbliżył się do niego, i rzekł.
— Arcimowski — do rządcy.
— A czego tam? burknął.
— Powie ci, jak tam będziesz.
— Oho — będzie ci ciepło. zaśmiał się kamrat.
Antek się sekundę zawahał, wreszcie poszedł.
— Mechanik pewnie naprosił! poczęto szeptać
na sali, i śmiać się.
Antek też spodziewał się sprawy o kradzież, i
po drodze przygotowywał obronę, gotów był do



zrobienia burdy w ostateczności. Stracił też na razie rezon, gdy wbrew oczekiwaniu rządca podsunął mu papiery, zarobione pieniądze, i rzekł łakonicznie:
— Masz tu, co twoje. Możesz ruszać w świat. Tutaj niema dla ciebie miejsca.
— Jakto, proszę pana! A jakiemże to prawem! zaprotestował bezczelnie.
Ale rządca był to chłop olbrzymi, młody - i obeznany z charakterem swych podwładnych. Wstał i zbliżył się do niego.
— Jakiem prawem? Boś złodziej, gałgan i pijak. wymówił powoli, patrząc mu ostro w oczy.
A nie dość ci mego słowa - to pójdziemy po potwierdzenie do policji. Rozumiesz! Zabieraj papiery i pieniądze, milcz i wynoś się. Jeśli jedno słowo piśniesz - nie wyjdziesz stąd wolny.
Zmierzyli się sekundę wzrokiem. Filek odwrócił oczy, sięgnął po papiery, przeliczył pieniądze, pędem wyniósł się



z żądzą mordu, ale stchórzył, ruszył ku drzwiom.

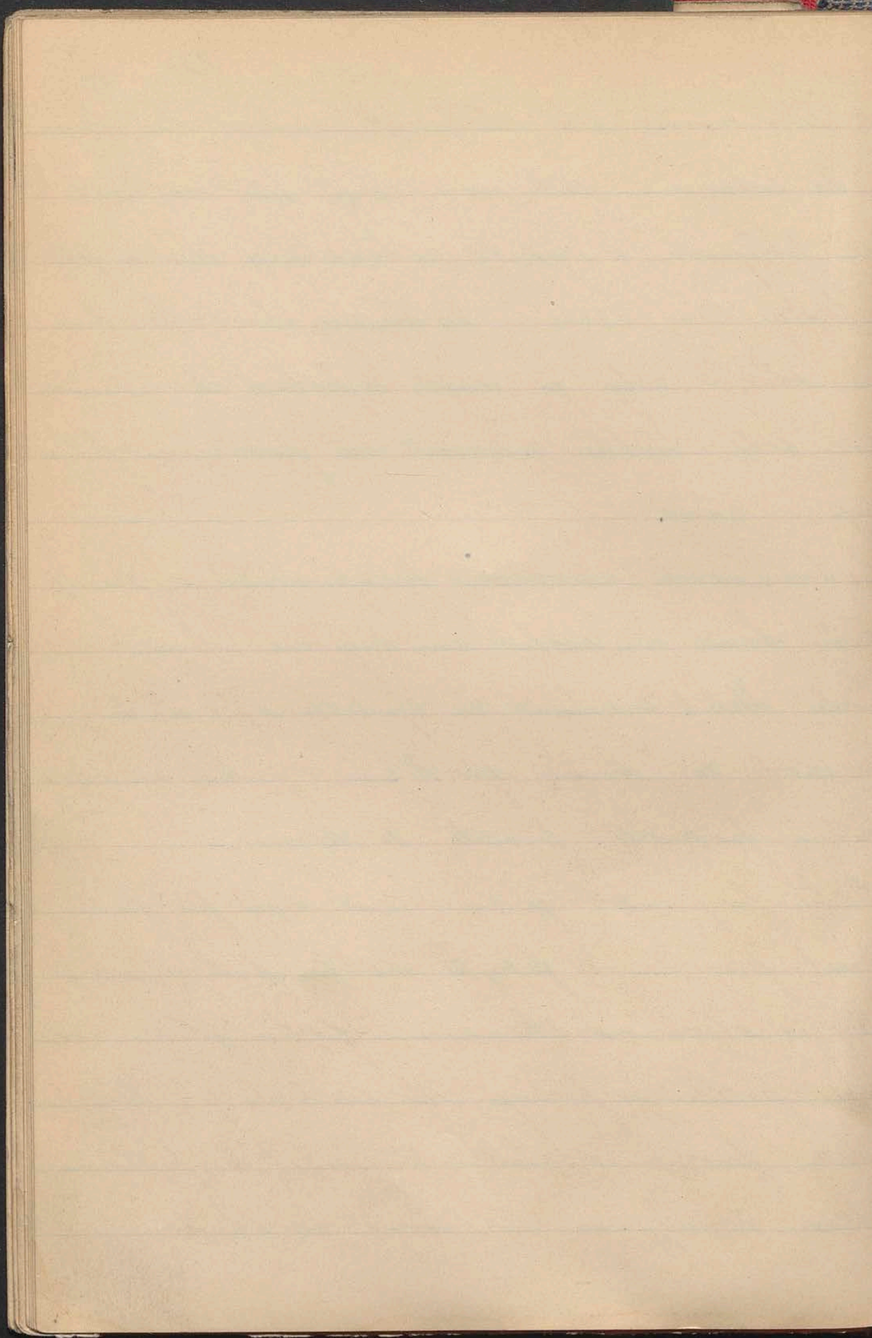
— Do zobaczenia — jak was rżnąć będą! warknął na pożegnanie, i wyszedł, zatrzaskując drzwi za sobą.

Rządcy krew uderzyła do twarzy, chciał krzyknąć na stróżów, żeby go wzięli do policyi, ale zapanował nad sobą, i tylko zadzwonił na posługacza fabrycznego, i rzekł.

— Arcimowski uwolniony. Przeprowadzić do bramy, żeby burdy nie zrobił, ani czego nie ukradł.

Ale Stilek zrozumiał, że zrobiłby się awantury — wyszedł za bramę spokojnie, z nikim nie rozmawiał, i poszedł prosto do Lezorowej.

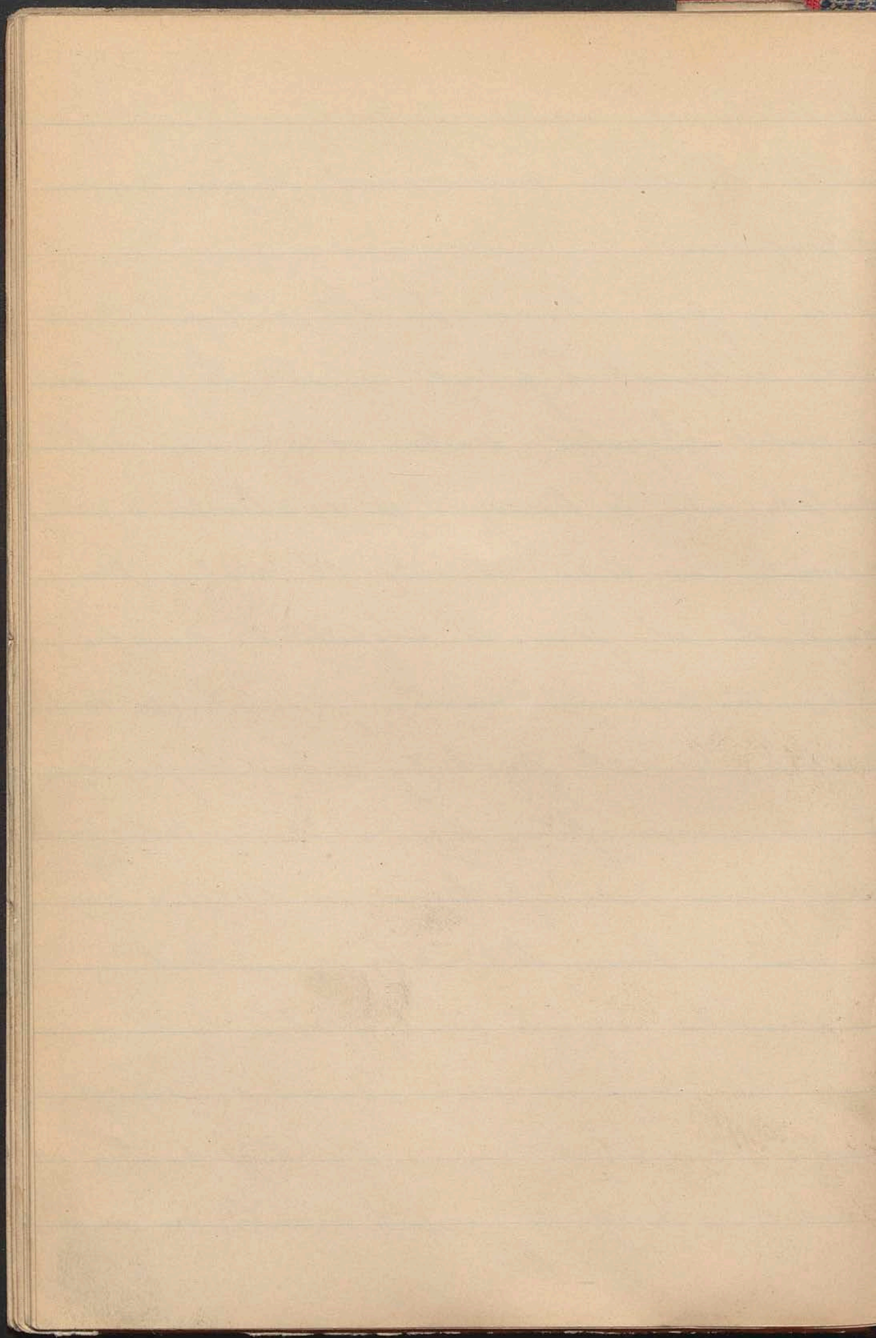
Od tej pory nikt go nie widział więcej. Po paru dniach przyszła do fabryki matka, pytając o niego. Gdy ją objaśniono, skamieniała, potem głośno zawodząc poszła do policyi. Nie znalazłszy i tam śladu, poczęła obchodzić znajomych, rozpytywać, badać, dowiadywać się — równie bez skutku.



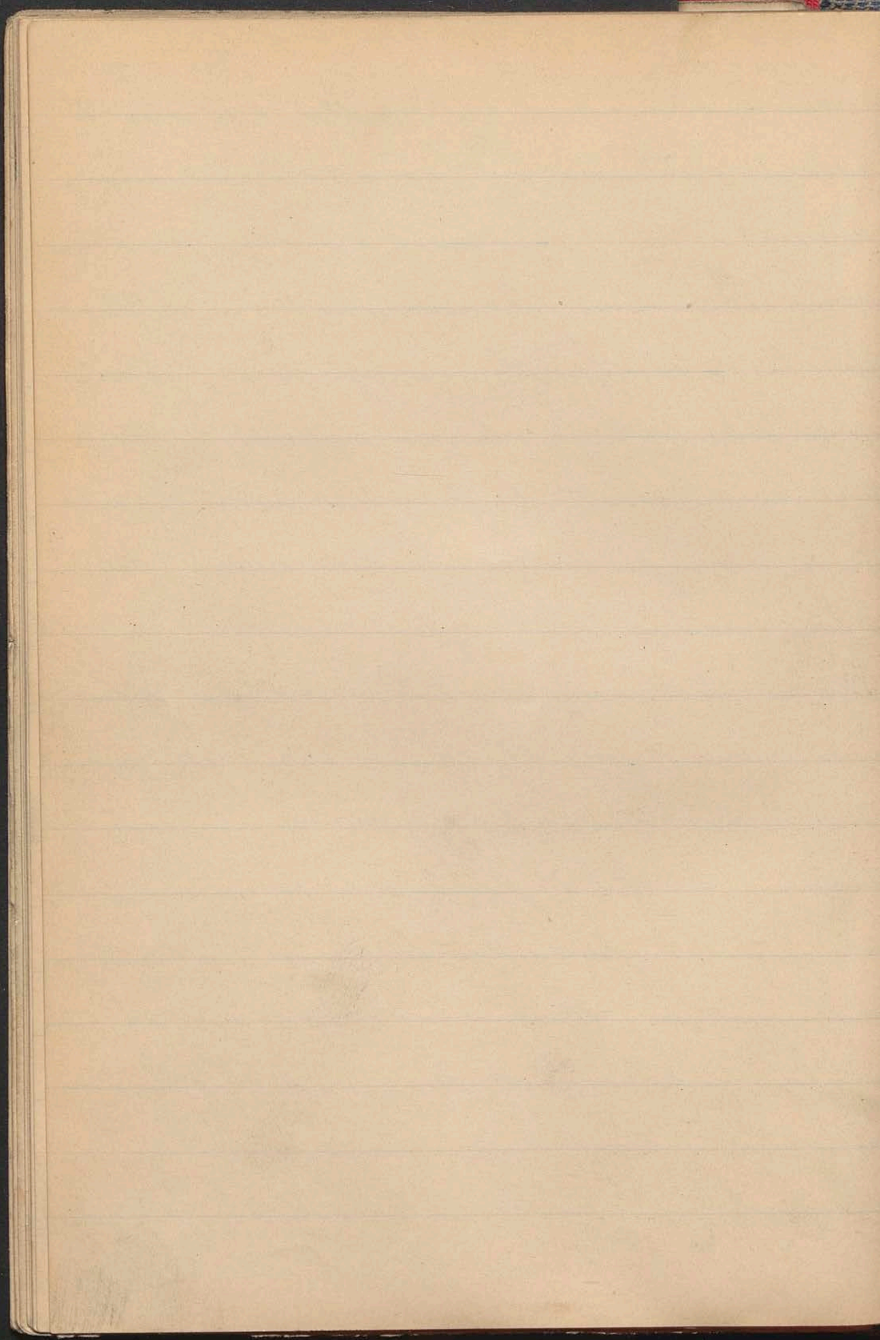
W ostateczności udała się do Lejzorowej, ale i żydówka udała kompletną nieświadomość, dodając zarazem filozoficznie.

— Czego się pani Arcimowska tyle turbuje? Czy to mały chłopczyk? Z fabryki wydalili, to jemu wstyd się zrobił. Pojechał szukać roboty — może do Białegostoku, może do Odessy. Czego się strachać o młodego człowieka — on sobie da radę! Od mechanikom gorzej — ta ich Józia — to utopiła się podobno. Tyszę — za żelaznym mostem gdzieś chłopi trupa znaleźli. To jest paskudny interes — a pani synek to jeszcze na pana wyjdzie! U niego dobra głowa. Niech pani siedzi spokojnie, on się zjawi — ojoj — co jemu za bieda — taki dobry rzemieślnik!

Arcimowskiej przybyło otuchy, i odtąd tylko czekała wieści, lub przyjazdu syna. Zbierała dla niego pieniądze, i smakołyki, szyła dla niego bieliznę — i czekała. Nizały się jej jak różaniec, wieczory w

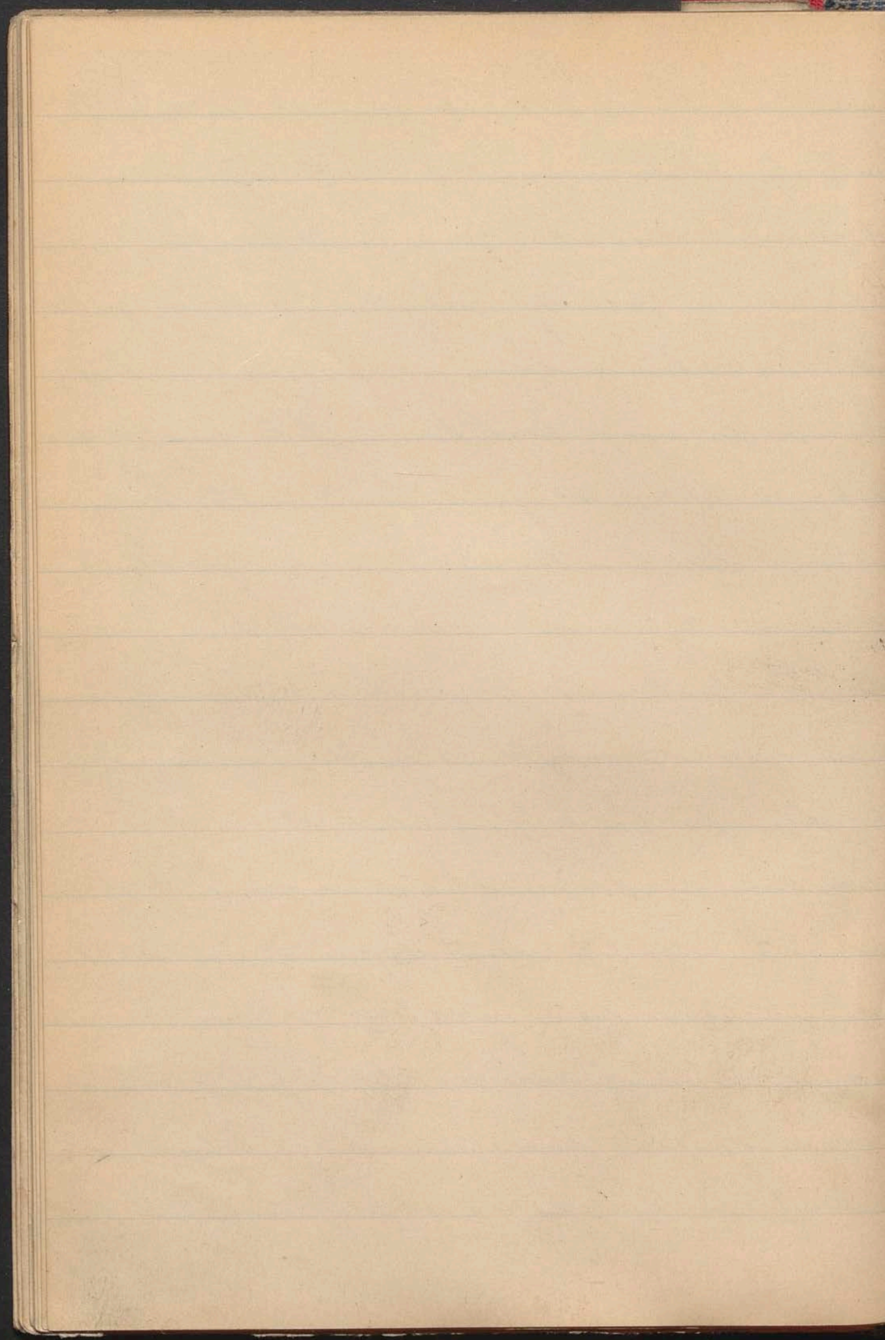


ciągłem nasłuchiwaniu czy nie idzie, dnie monotonnego pytania listonosza, czy niema dla niej wieści.
Wszyscy potrosze zapomnieli o Filku, przestano mówić o zniknięciu Józi mechanikówny, tylko Arcimowska czekała, tylko mechanikowa modliła się za duszę córki, a obie nie wiedziały, że tych dwoje ni po robotę poszło, ni w nurt po śmierć, ale, że oboje pochłonął rynsztok uliczny, którego ujściem katorga lub szpital.
Minęła tak wiosna i lato i listopad zasnuł niebo i ziemię płachtą zimnej wilgoci, gdy pewnego razu jakaś kumoszka wpadła do Arcimowskiej z nowiną, że Filek powrócił, że go widziano u Dejzorowej. Stara poleciała do szynku, nieprzytomna ze szczęśliwości. Rzeczywiście Filek był, ale jaki strojny, jaki elegant warszawski — jakie miał białe ręce i twarz — niedopoznania zmieniony
Przywitał się z matką dość łaskawie i protekcyo-

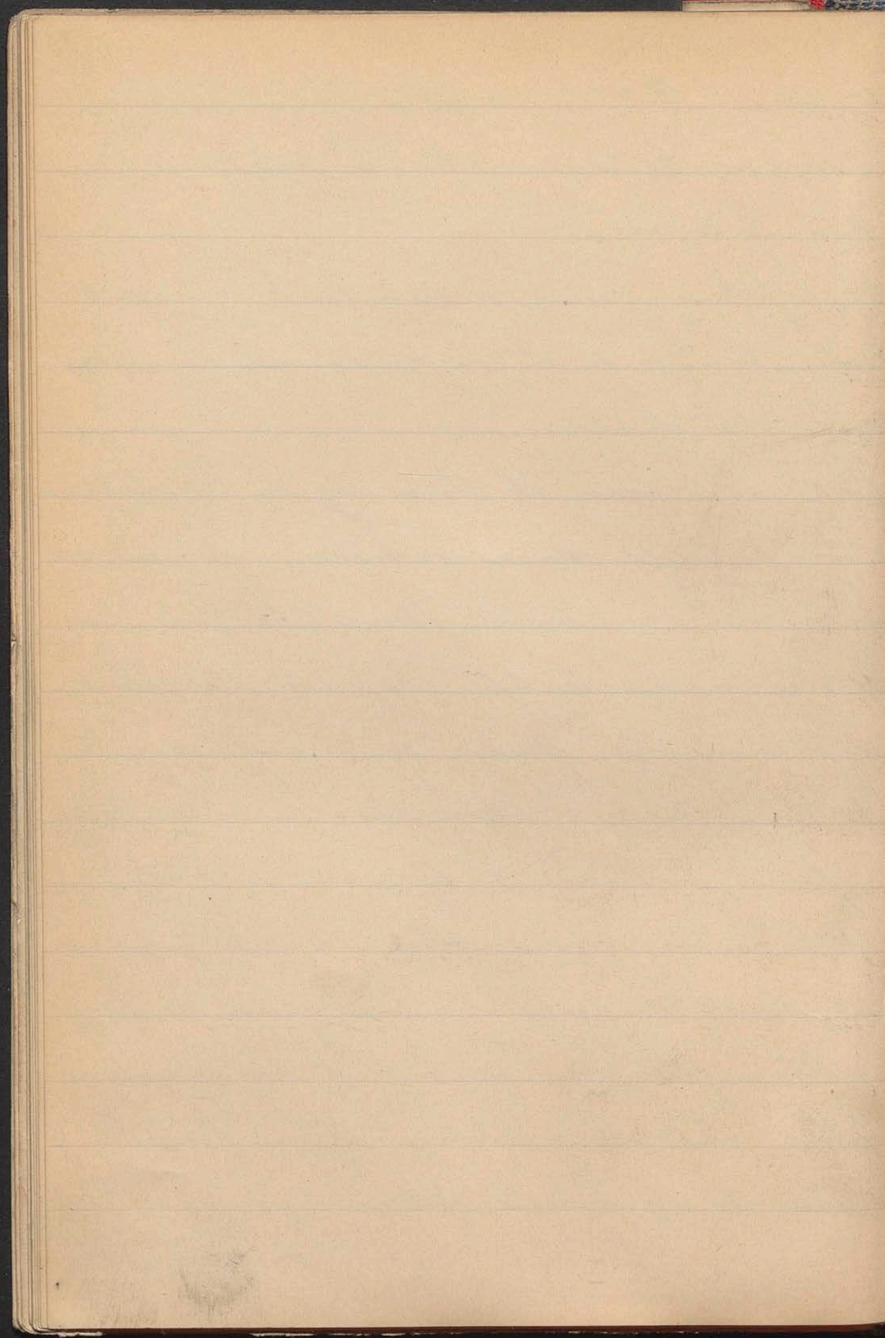


-nalnie, i dalej rozpowiedział gromadzie ciekawych łyków, że ślusarkę rzucił, że jest magazynierem w fabryce koronek, i że go zarząd przysłał na wywiady, czy nie dostałby fabrykantek. Obiecywał złote góry, dziewczętom zręcznym i umiejącym władać igłą. Czereda leszczowej krytykowała taki niepewny zarobek, on się zapalał, gwarantował rubla dziennie wyliczał koszt utrzymania, wreszcie pokłócił się z Żydem, i zapowiedział, że on łaskę czyni, jeśli tu te propozycje przywiózł - a nie do rozumniejszych ludzi - i wyszedł z matką, oznajmiając, że pojutrze pojedzie dalej.

Doczekała się Arcimowska syna, ale mało się nim nacieszyła. Tyle, że raczył sypiać i jeść u niej wieczorem. Cały dzień gdzieś się włóczył, odwiedzał dawnych znajomych, wstąpił też do fabryki Zaremby, w czasie obiadowej pauzy rozmawiał z kolegami - o wielkich warszawskich zarobkach, i miejskich przy-



=jemności. Wypytywał też o miejscowe sprawy
— A ten bezręki zawsze stróżuje? zagadnął w końcu
— O ten się zakorzenił!
Gdy robotnicy wrócili do zajęć, Wilek wyszukał
Jędrasa. Znalazł go w drwalni, ładującego na wóz drwa
do dworskiej kuchni.
— Jak się miewasz. W złości my się rozstali - ale
od tej pory ja rozumu nabrałem, i przekonałem
się, że tyś mi usłużył. Przyszedłem podziękować.
Dalibóg - myślisz, że kpię - naprawdę mówię. Wypło-
=szyłeś mnie z tąd, gdziebym zgnił przy warsztacie.
Znalazłem łatwiejszy i lepszy chleb na świecie. Gotówem
ci piwa postawić. A ty zawsze się mordujesz?
— Ręka mi nie odrośnie. Dobrze i tak, że jeszcze
mogę na chleb zarobić. Mnie już nie szukać lepszego.
— Można głową więcej zarobić jak dwoma rękami.
Jakbyś chciał kiedy łatwego i sytego kawałka
chleba to się do mnie zgłoś.



Jędras zbył milczeniem propozycję. Podejrzliwy z natury do Antka miał niechęć zaległą, i szczególną nieufność; ale że przeczuwał w nim złą godzinę, więc po namyśle rzekł.

— W złości my się rozstali, bo każdy chleba kawałka pilnuje, a ja przez ciebie tylko co nie został na bruku. Broniłem się. Tybyś to samo zrobił.

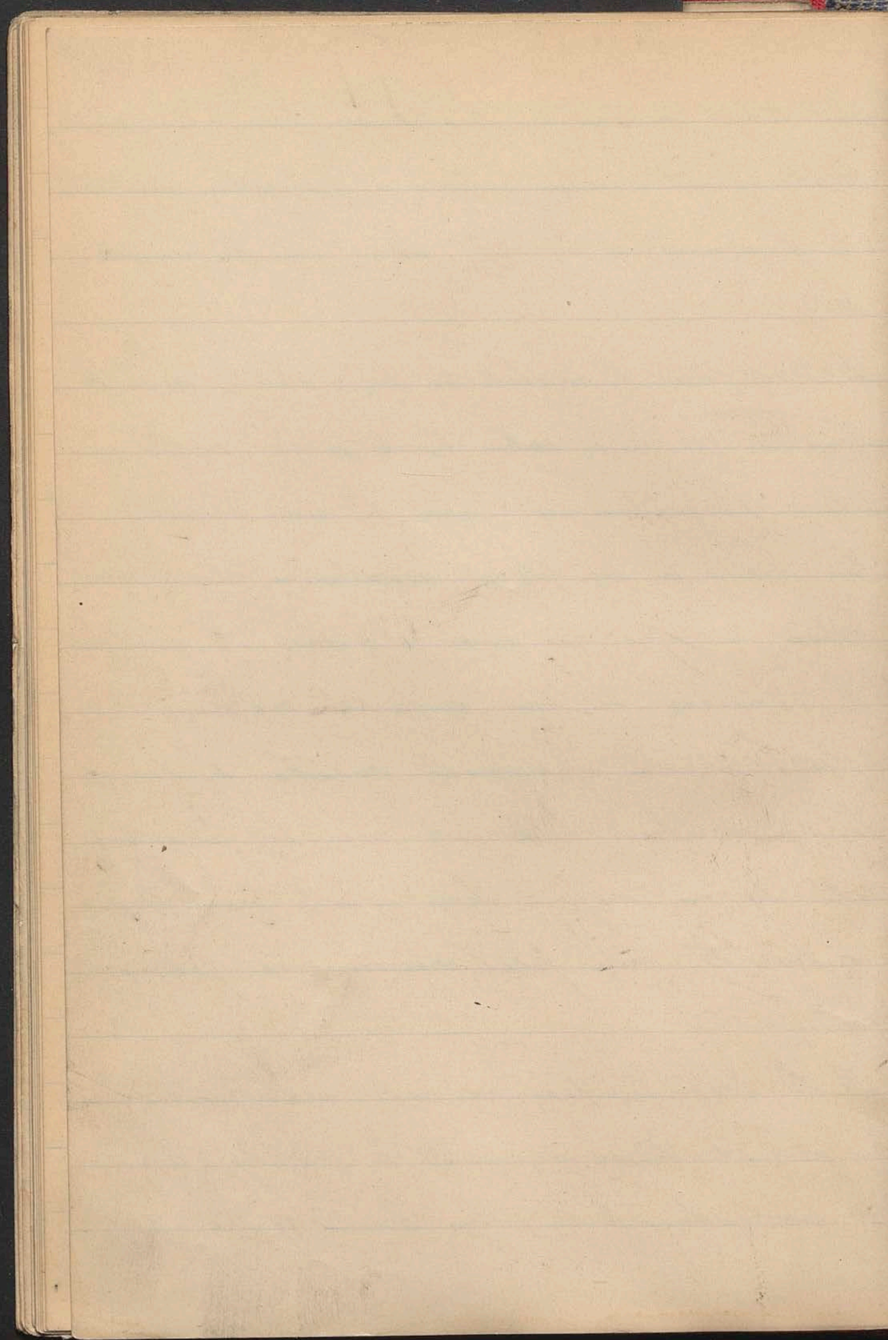
— Toć mówię, że bez złości wróciłem, a chcesz dowodu to chodź ze mną na piwo. Funduję - ile strzymasz. Jak odmówisz, to mi despekt zrobisz.

Ale Jędrasowi ta uprzejmość wydała się dziwną.

— Ja nie odmawiam, tylko jak wiesz, bez pozwolenia wydalić się nie mogę, a teraz robotę mam. Poproszę rządcy - to może przed wieczorem na godzinę przylecę.

— No to dobrze. Czekam na ciebie u Deszczowej.

Gdy odszedł Jędras rozmyślał, że możeby i przyjąć ten poczęstunek, że z tym być w zgodzie, ale go



jakiś lęk ogarnął, i został.

Zmierzch prędko nastąpił, a z nim jego stróżowanie.

Już była zupełny wieczór, gdy go ktoś pukaniem wezwał do furtki. Był to jeden z fabrykantów.

— Wiesz, dzisiaj Thilek ugaszcza dawnych znajomych. Tak tam piją i hulają — że ha! przysłali po ciebie, żebyś wstąpił na godzinę do kompanii.

— Powiedzcie — toć ja na służbie.

— Ja cię zluzuję — a potem wróć, jak byś się nacieszył! Idź.

Sekundę Tedras się znowu zawahał, ale się oparł.

— Bawcie się wesoło. Mnie nie wolno odejść!"

Posłaniec przyniósł tę jego odpowiedź do szynku. Thilek zaklął, ale po chwili jakby o tem zapomniał. Poił kompanów — wszyscy byli podchmieleni — mało kto już na fundatora zabawy uważał.

On się wyślizgnął do alkierza, poszli — prędko szeptać z synem Dejzorowej.

– Nie przyszedł, bestya. Trzeba samemu ryzykować.

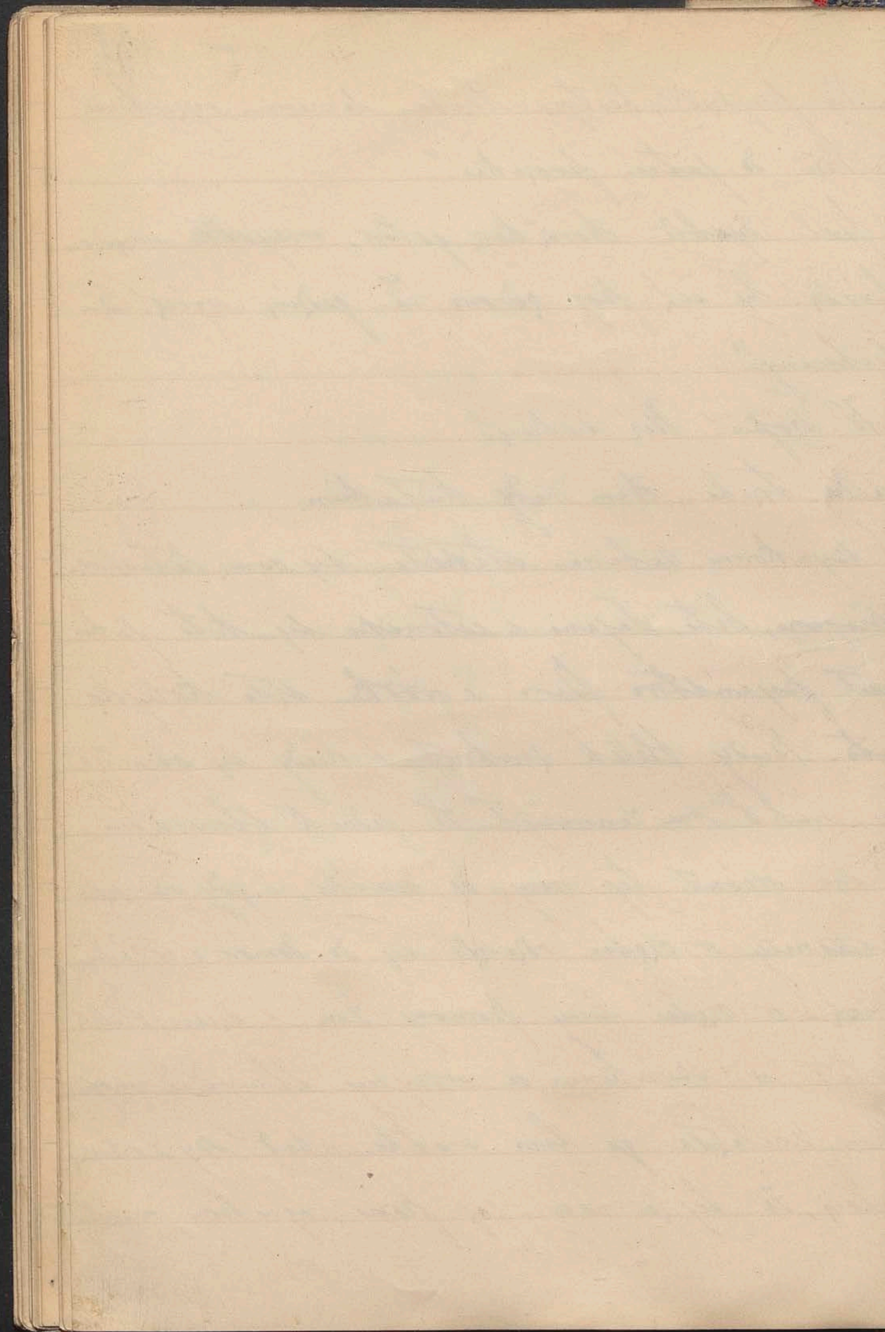
– Może do jutra poczekać?

– Żal dyabli. Worek mam gotów, wszystko urządzone. Pójdę. Ty idź spać zdrowo. Za godzinę wrócę. Gdzie łachmany?

– W szopie! Weź siekierę!

– Nie trzeba. Dam rady kułakiem.

W szynkowni zabawa stawała się coraz hałaśliwsza. Śpiewano, bito, łajano i całowało się – kto jakie miał pijaństwo. Piwo i wódka szło kolejką, ~~stało~~. Kiedy Antek zniknął, i kiedy się odnalazł – tego nikt nie zauważył – to jednak stwierdzono, że nie wracał tej nocy do matki, i gdy nareszcie biesiadnicy w części rozeszli się do domów o własnych siłach – w części przy pomocy żon i dzieci; Antek został w szynkowni, co wszyscy stwierdzić mogli. Rano znalazła go tam matka, wpadłszy z okropną wieścią, że tejże nocy, jej pana, ograbiono na ulicy

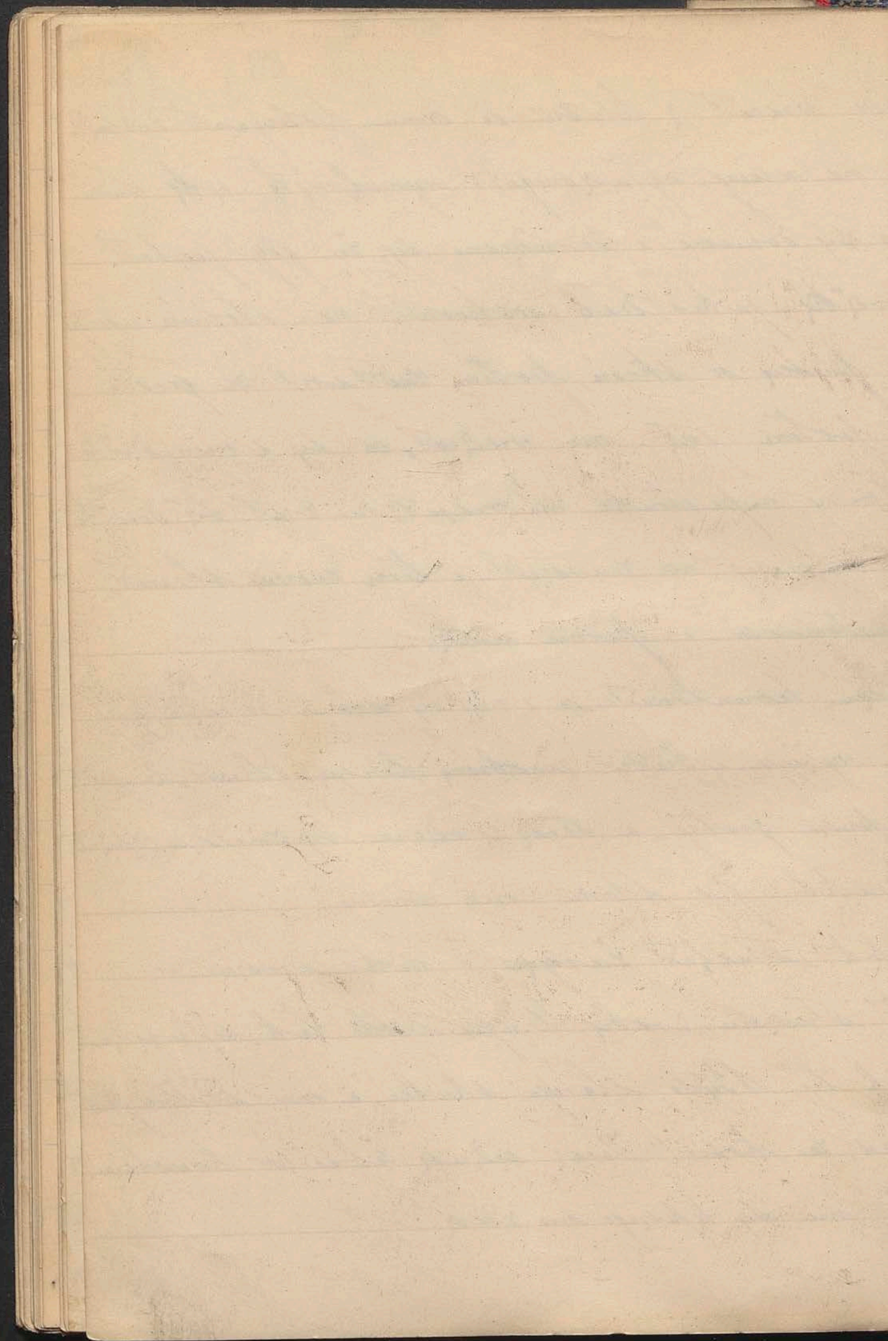


gdy wracał z klubu do domu. Policyant znalazł go na ulicy, ogłuszonego, z wywichniętą ręką. Ledwie go się docucono, i dowiedziano się, że gdy siadał do dorożki — jakiś drab wskoczył na stopień, uderzył go pięścią w skroń, potem zadławił za gardło — a potem już nie wiedział, co się z nim działo. Twarzy napastnika nie widział, nie znał też dorożkarza, a raczej nie zauważył — i teraz znowu stracił przytomność — i pewnie umrze.

Stara lamentowała, co z nią się stanie w razie, gdy nie wyżyje. Miała zarobioną pensyę, obiecał, że jej zapisze grosy — a teraz rodzina się znajdzie, zjedzie i nikt jej słowa nie usłyszy.

Aleck słuchał ziewając, i rzekł wreszcie:

— I słusznie zrobią. Głupi tylko tak się urządza jak ty. Było starego skubać, a nie służyć jak pies, za kości! Teraz będziesz żebrać w kruchcie. Na nic się lepszego nie zdasz!



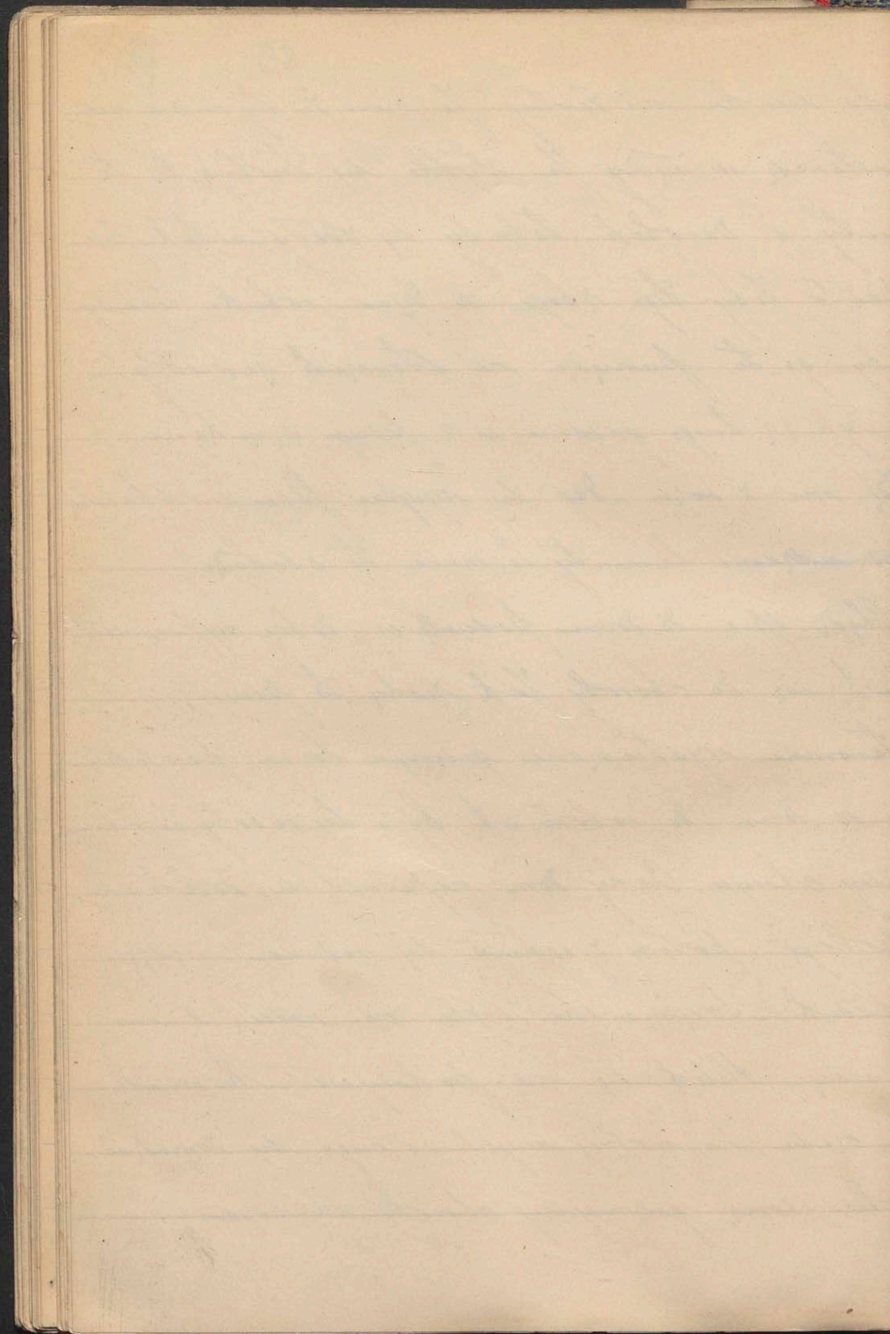
- Aj, synku nie żartuj! Ja wiem, że ty mnie nie zostawisz w nędzy. Ja tylko się turbuję, że te grosy i zarobek, toby się zdały - a tak - przepadło. Żeby tego zboja za życia robaki toczyły żeby go te pieniądze na stryczek zawiodły!

- Tyle z twego gadania, co z psiego szczekania. Idź mi z oczu - daj się wyspać. Pocoż mi skamlesz nad uszami lamenty. Co mnie to obchodzi!

- Chodź spać do domu. Pościelę ci - dobrze wypoczniesz!

- A idź do choroby. Jak zechcę - to przyjdę.

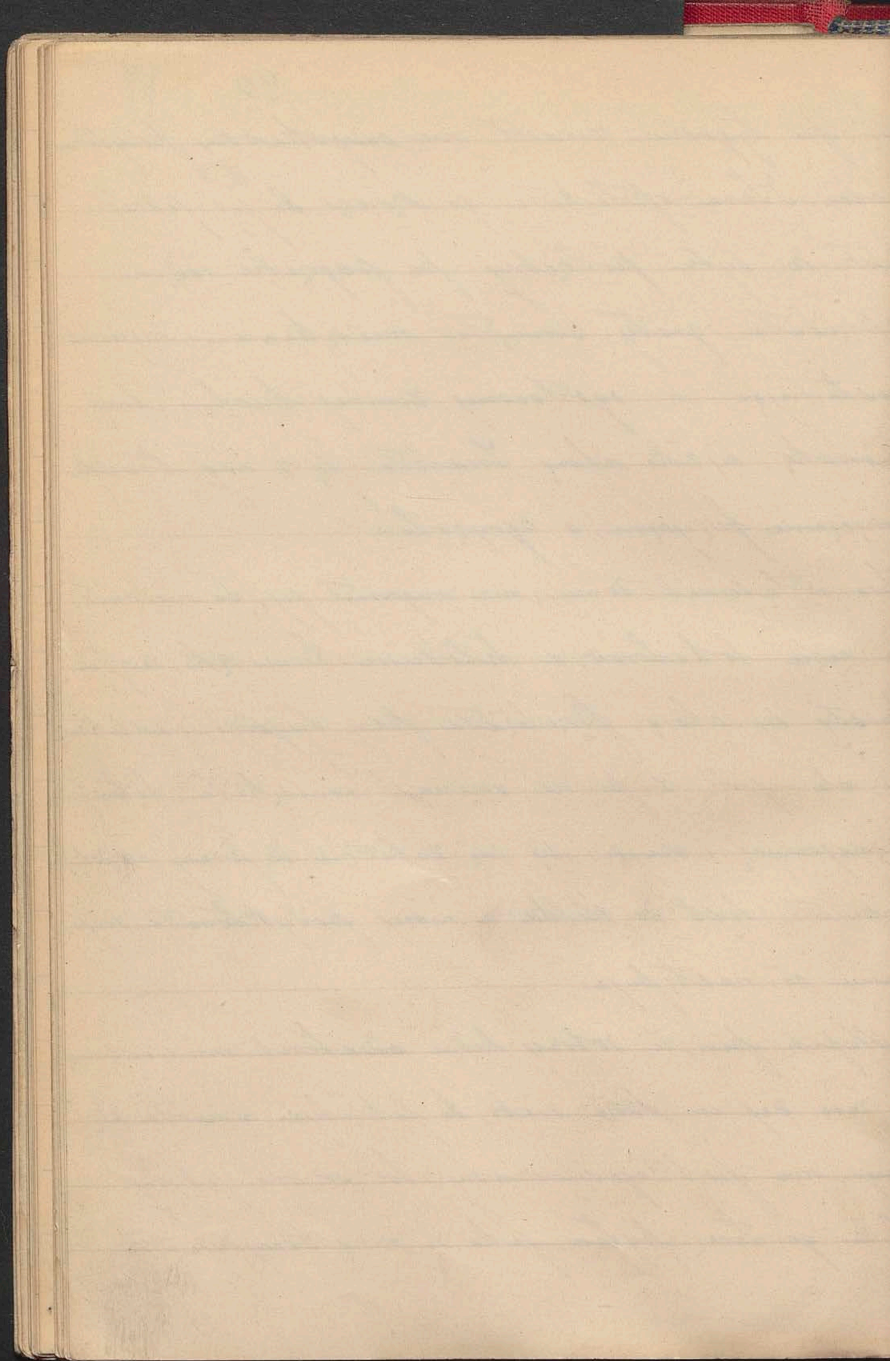
Starowina wystraszona groźnym tonem, powlekła się do domu - do roboty. A było tej roboty co niemiara przy chorym. Cichy dom napełnił się doktorami, policyą - potem zjechała się rodzina - wstąpić po spadek. Szczmorska była na nogach dniem i nocą - tylek się nie pokazywał. Nie miała ni czasu, ni wolnej myśli - o niego się dowiedzieć - wobec coraz groźniejszej choroby chlebodawcy.



Aż po tygodniu zmarł - nie odzyskawszy przytomności. Stara opłakała go szczerze, bo jej jednej był do bytu potrzebny - po pogrzebie rodzina sprzedała graty, zwinęła mieszkanie - i wyjechali, zostawiając w ogołoconej, zimnej kuchni Łocimowską ciężko chorą. Zwaliła ją z nóg troska zmęczenie fizyczne, i zgryzota.

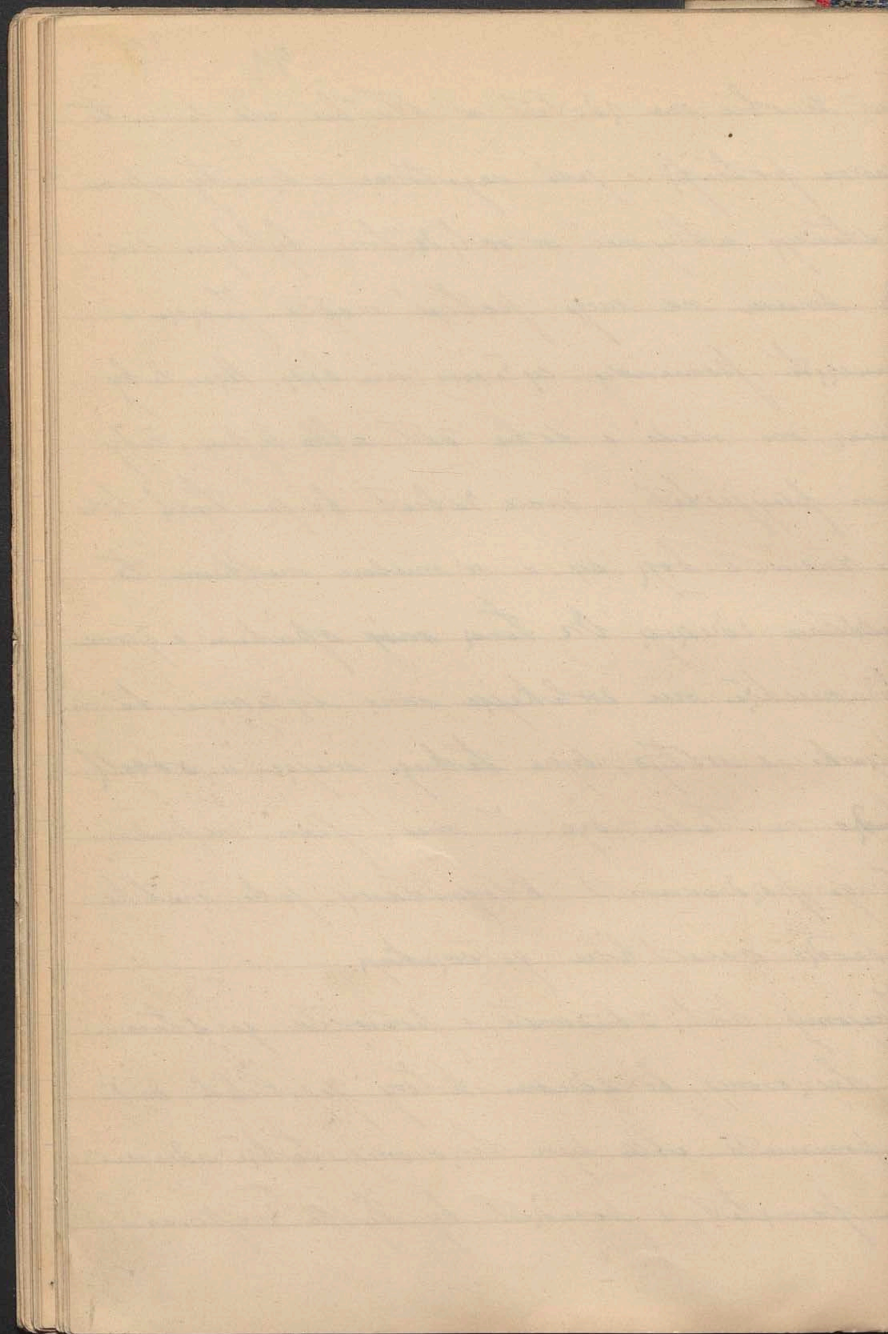
Żyd, właściciel domu, nie rugował jej, bo nie miał na razie lokatorów, a litościwe kumoszki, zaopiekowały się chorą. Przeleżała parę tygodni, i zwlekła się, ale już zupełna ruina. Zamieszkała „kątem" u znajomych, i czując się już zupełnie do pracy niezdolną napisała list do Wilka, a raczej podyktowała znajomemu co następuje:

- Napisz pan, że dobrzy ludzie odratowali mnie od śmierci, zaco daj im Boże niebo, bo jakżebym umarła bez niego, nie pobłogosławiwszy - toć on mi jedyny! I że go teraz pytam, jako ze mną zdecyduje - że

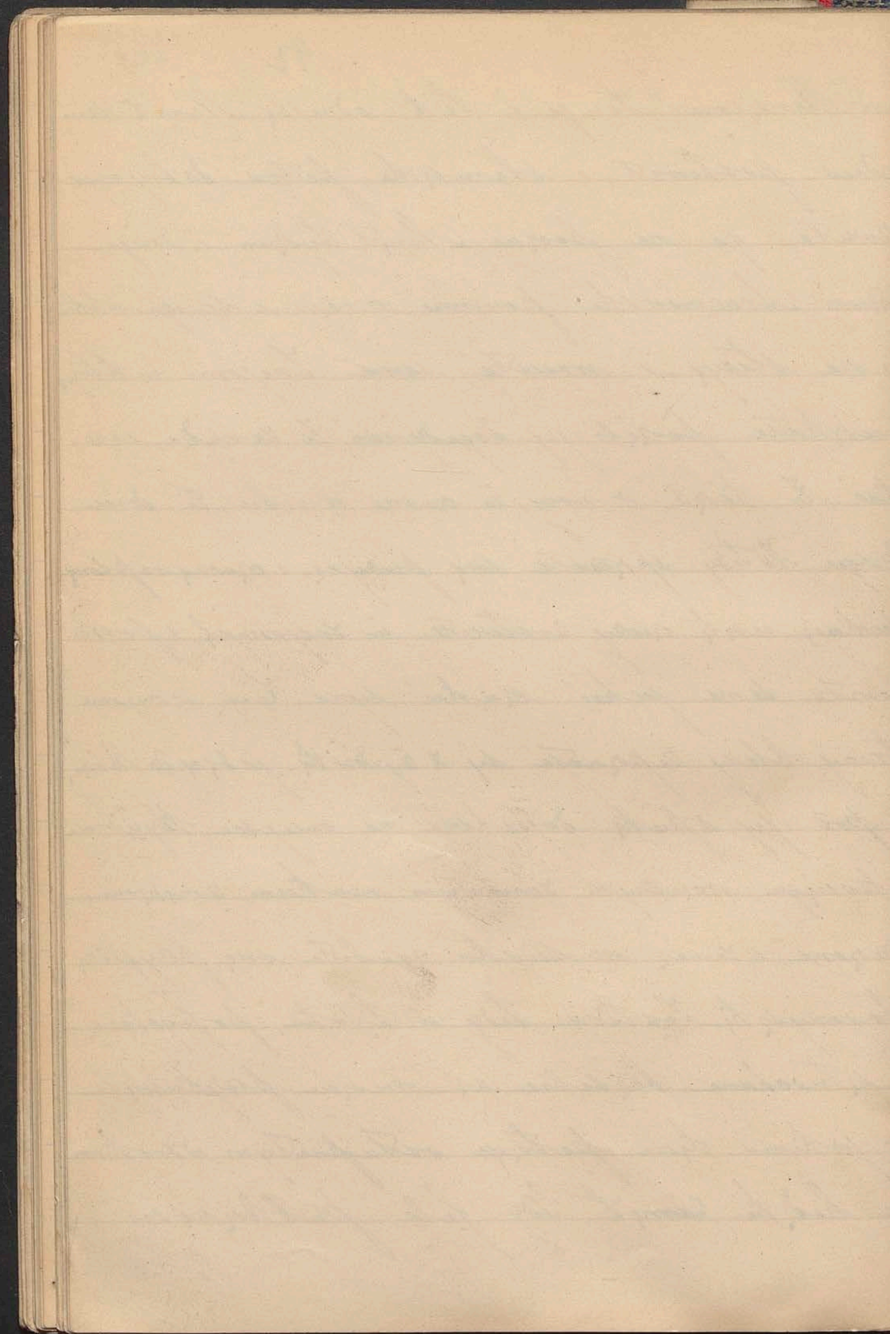


już zarobić nie zdołał w służbie, ale jemu to jeszcze potrafię i jeść nagotować i szmaty uprać - i stancyę utrzymać w ochędóstwie - byłebym już do śmierci na niego patrzeć mogła. Jeszcze i wnuczęta poniańczę - ciężarem nie będę. Więc, żeby teraz mi wieść o sobie dał - albo lepiej, żeby sam przyjechał, i mnie zabrał - bo ja tych kolei nie znam - i boję się - a w mieście wielkim to zupełnie zdurzeję. On teraz mój opiekun i głowa - to niechże nie odkładając mną się zajmie, bo mi nijako i wstyd, syna takiego mając, u obcych ludzi na łasce być. I niech pan napisze - że go pozdrawiam i błogosławię - jako matka - i bardzo niecierpliwie go oczekuję.

Znajomy list zbudował, i poniosła go stara, do Lejzorowej, bo adresu, który jej Witek dał - zapomniała. Ale syn Lejzorowej - także adresu nie pamiętał, i poradził, by tylko napisać:



„w Warszawie" to go i tak odnajdą. Nawet sam adres postawił, i staruszka, pełna dobrej myśli, rzuciła go na poczcie. Minął tydzień i drugi – codzień Arcimowska pomimo mrozu i śniegu wlekła się na stacyę – i wracała sama. Znajomi u których mieszkała poczęli jej odgadywać, że zawadza, naszczekać, że kaszle w nocy, że ciasno w izbie, że drwa drogie. Wtedy sprzedała swą pierzynę, i czarną reps[?]ową suknię, resztę rzeczy zostawiła u znajomych, i postanowiła sama jechać szukać syna. Zaraz w wagonie trzeciej klasy zapoznała się z żydówką, jadącą do Warszawy i pod jej opieką dojechała na miejsce. Wyglądnęła z pociągu wczesnym zimowym rankiem, zmęczona, odurzona, i zaraz w ścisku, zgubiła swą przygodną towarzyszkę. Została tedy w tłoku, popychana i szturchana, bezsilna, aż wreszcie przykucnęła w jakimś kącie, patrząc osłupiałym wzrokiem na ludzki ~~zamęt~~. Gdy fala publiczności



przestąpiła, zbliżył się do niej posługacz.

— A wy tu czego czekacie?

— Ja do syna przyjechałam.

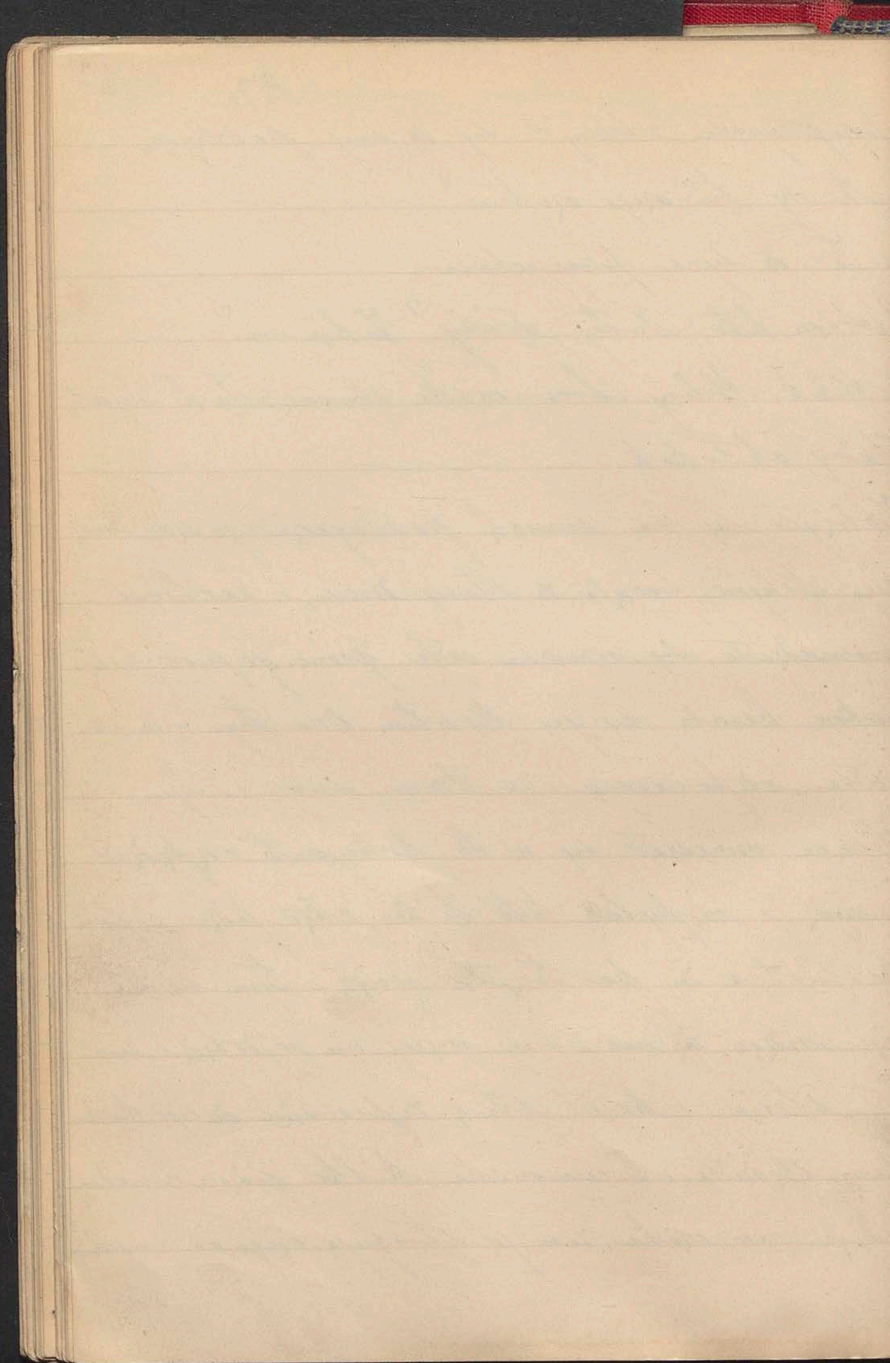
— A on kto? Tutaj służy? Jakże mu?

— Wilek, Wilary Arcimowski, ślusarz. Taki wysoki, ładny chłopak.

Zbiegło się na śmiech posługacza jeszcze dwóch jego kolegów, poczęli ze starej drwić, i żartować — zgromadziło się wreszcie całe grono gapiów pracowników, bawili się jej kosztem. Ona tego nie rozumiała, rozpowiadając ze łzami swoje dzieje.

Wreszcie wmieszał się w to policyant, rozpędził gawiedź, i rozpytał, kto taka, zkąd jedzie, czy ma paszport, a że powtarzała wciąż o tym synu, wnet widząc, że nic z niej więcej nie wydobędzie, zawołał stróża i kazał starą zaprowadzić do cyrkułu.

Tam, spędziła Arcimowska kilka godzin, nie rozumiejąc na co czeka, za co ją strofują, czego od niej chcą.



Była głodna, zmęczona i nieprzytomna. Nareszcie po południu jeden z policyantów kazał jej iść za sobą. Zwlekła się z ławy siłą woli - i poszła. Bardzo zimno było i wietrzno. Chłód ją odrazu przejął do kości.

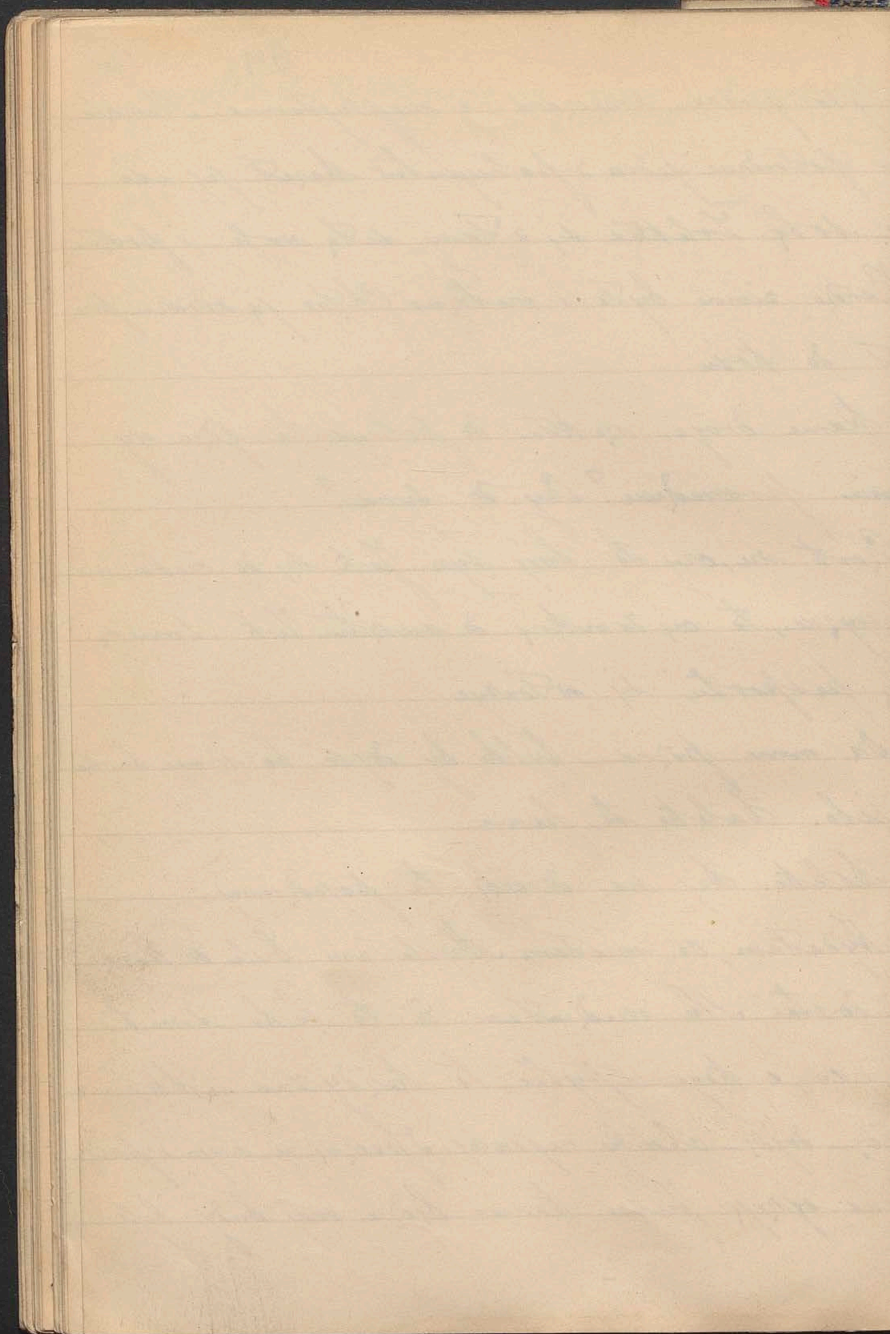
— Panie drogi — rzekła do policyanta, gdzie wy mnie prowadzicie? Czy do syna?

— Czort wie, czy to twój syn. Jak się do ciebie nie przyzna, to cię zamkną do aresztu. Jak śmiesz bez paszportu się włóczyć.

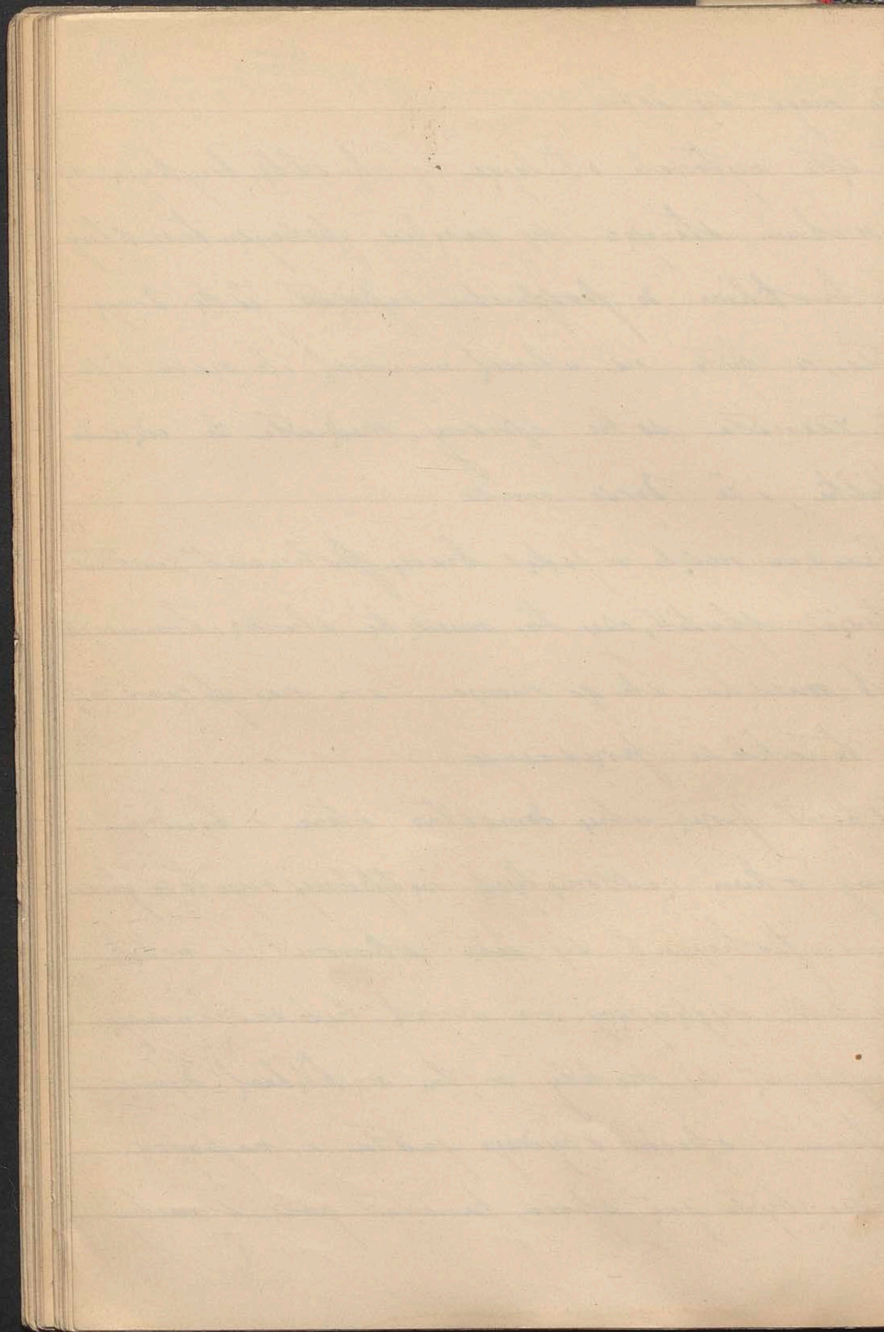
— On mnie pozna — tylko by dojść, bo mnie bardzo słabo. Daleko to, panie.

— Daleko. Daj na dorożkę, to pojedziemy.

— Wydałam, co miałam. Myślałam byle do Warszawy się dostać. Nie wiedziałam, że to taki świat. U nas o kogo spytać, to każdy zna. Ale dojdę — dojdę — choćby najdalej. Odpocznę u niego i posilę się — i ogrzeję. Juści końce będzie mej biedy — byle



do niego się dobić.
I szła wytrwale, otulając się chustką, borykając się z wichrem, starając się nadążyć policyantowi, który ją bardziej do pośpiechu naprzód. Jaką drogą szła, co było na ulicach mijanych, ile czasu szła — nie zdawała sobie sprawy — wiedziała, że idzie do Stilka, i że dojść musi.
Nareszcie weszli w jakąś bramę. Policyant zawołał stróża — spytał, czy tu mieszka ślusarz Draniowski.
— A mieszka — ale go niema. Tam na przeciwko w tancklasie przesiaduje.
Wskazał przez ulicę domostwo stare i brudne — i szereg okien zasłoniętych wątpliwej czystości firankami. Policyant się tam skierował — i weszli do sali — wyglądającej na szynk lub restauracyę.
Lampy już się paliły — mętne w kłębach dymu tytoniu i oparów ohydnego jadła i napojów.
Gości było już sporo, panował gwar, śmiechy,



szczęk talerzy i szkła. Wśród mężczyzn pijących i jedzących, snuły się w roli służebnic, dziewczyny rozczochrane i zuchwałe, z oczami szklannemi od bezsenności i trunków.

Na widok policjanta z za bufetu wynurzyła się spasiona postać właścicielki zakładu, o wybitnym typie semickim. Podeszła z uprzejmym uśmiechem, pytając co rozkaże, zapraszając na przekąskę. Policjant wypił parę kieliszków, i rzekł.

– Jest tu u was Arcimowski?

– Nie uważałam. Rzadem bywa. A co pan od niego chce?

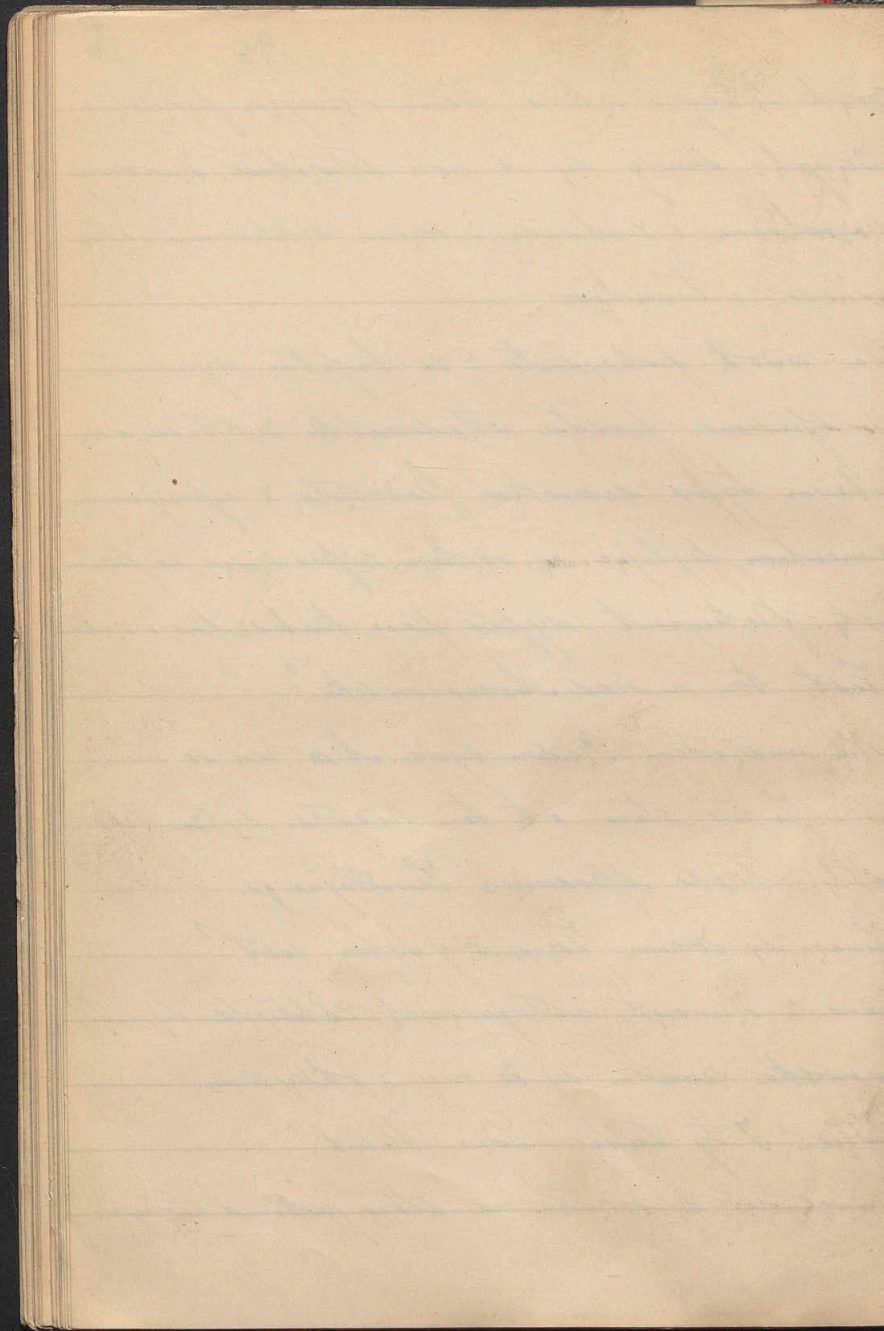
– Nic. Jakaś stara – ot ta – podała się za jego matkę. Trzeba sprawdzić. Zawołajcie go.

– Zaraz się dowiem. Józia – czy Syfon jest?

Jedna z dziewcząt usługujących zbliżyła się, i Arcimowska rzuciła się do niej z okrzykiem.

– Józia! I ty tutaj! Gdzie Wilek?

Dziewczyna spojrzała na starą jakimś tępym



wzrokiem, otworzyła usta, skamieniała na se-
kundę - ale w tejże chwili, matrona z za bufetu
popchnęła ją - mówiąc ostro.
- Nie słyszałaś! syfona tu zaraz przynieś!
Dziewczyna odwróciła się, i poszła w głąb sali
Policyant zakąsił, znowu wypił, i gadał z bufeto-
wą. Arcimowska wytężyła swe wyblakłe, wy-
płakane oczy w ten punkt, gdzie dziewczyna
znikła, zakryta dymem tytoniu. W głowie czuła
jakiś szum, zamęt, zawrót, osłabienie śmiertelne i
osłupienie. Minęło kilka minut, długich dla
niej jak lata - wreszcie rzuciła się naprzód z jękiem
- Antek, synku! O Jezu!
Ale ten, co się zbliżał, ten jej rodzony, jedyny, uko-
chany - nie spojrzał na nią. Patrzał zuchwale na
policyanta, a czuć było, że tem zuchwalstwem po-
krywa niepokój. Ubrany był w miejską tandetę,
z zakrojem na eleganta, na twarzy znać było pijaka.

— Ty, Arcimowski? spytał go policyant.

— Ja.

— No to zabierz do siebie matkę, i przedstaw do cyr-kułu jej papiery.

— Kogo? Tę starą? A mnie co do niej! Moja matka dawno ziemię gryzie.

— Witek! jakimś skrzeczącym, nie ludzkim głosem wrzasnęła Arcimowska.

Drab popatrzał na nią obojętnie.

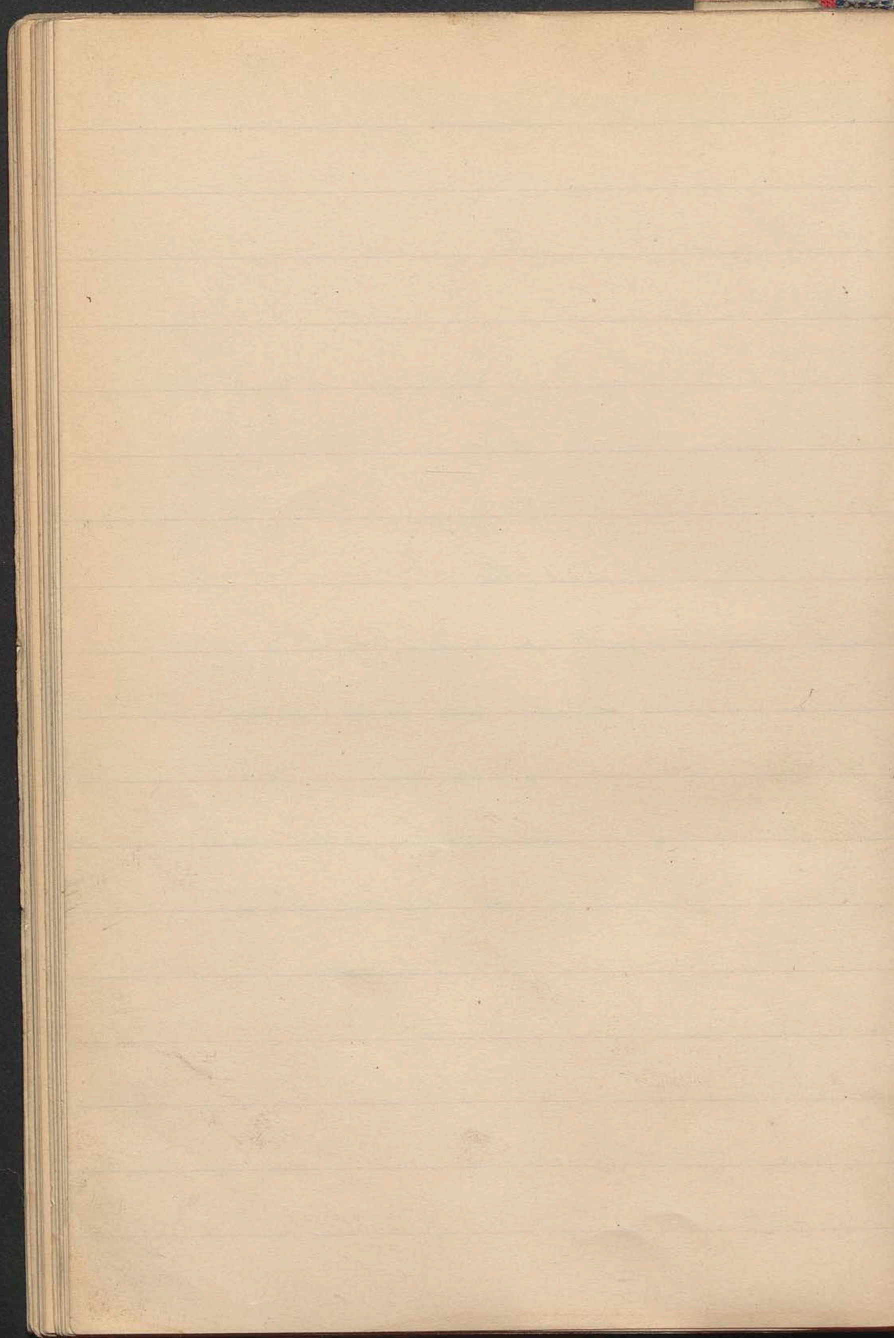
— Czego się drzesz! Upiła się jakaś żebraczka, i od co policyi umarła — głowę ludziom zawraca!

— To się do niej nie przyznajesz? Nie znasz jej?

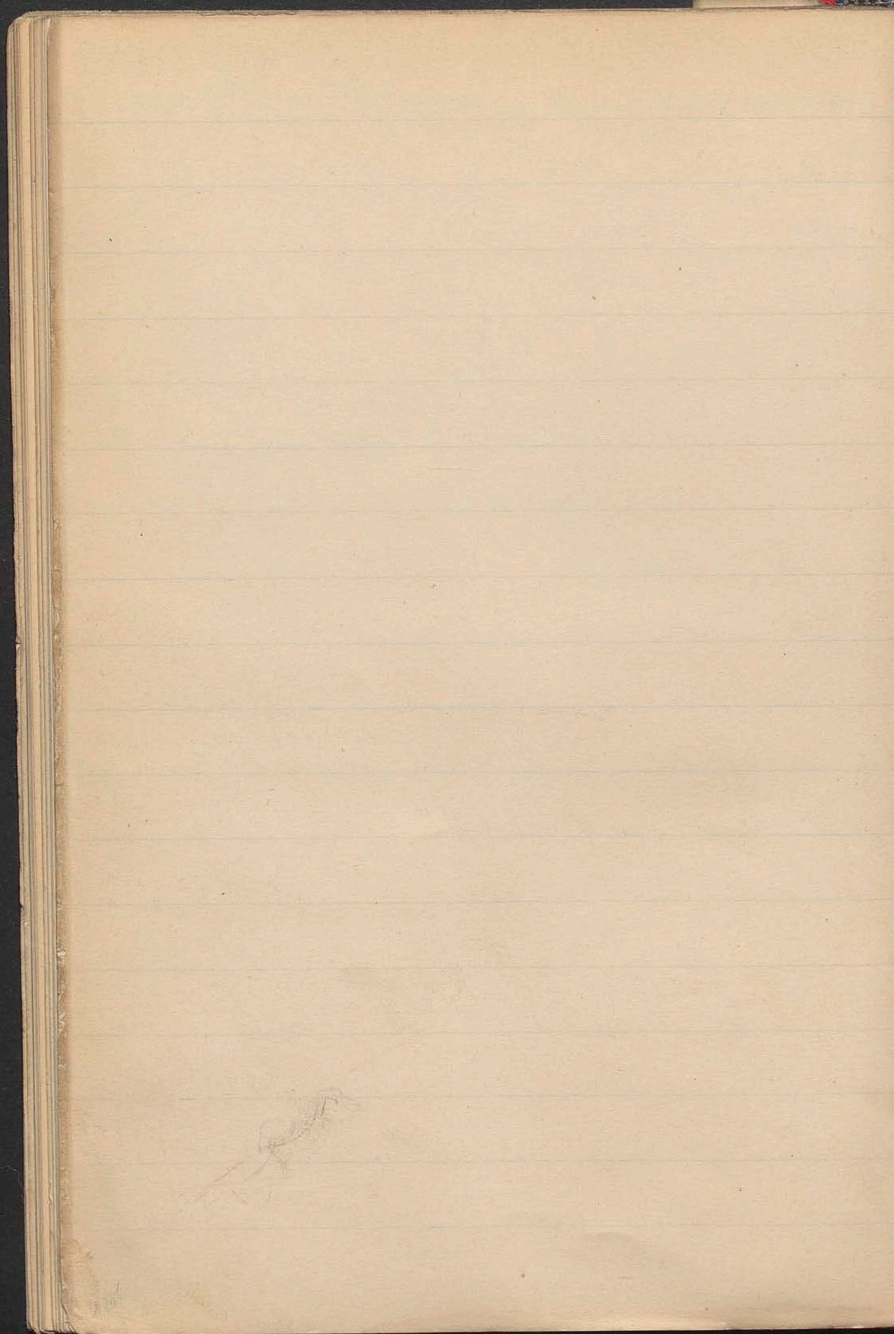
— Napaść! Nigdym jej w oczy nie widział!

— Coś ty, stara pleciesz — przed urzędem łżesz. Na-poczekaj, nauczę cię. Marsz!

— A-aa aaa! załkała Arcimowska, i osunęła się na ziemię. Wokoło już znowu tłum był, gapił się, śmiał, obrzał, i Witek w ten tłum się wmie-

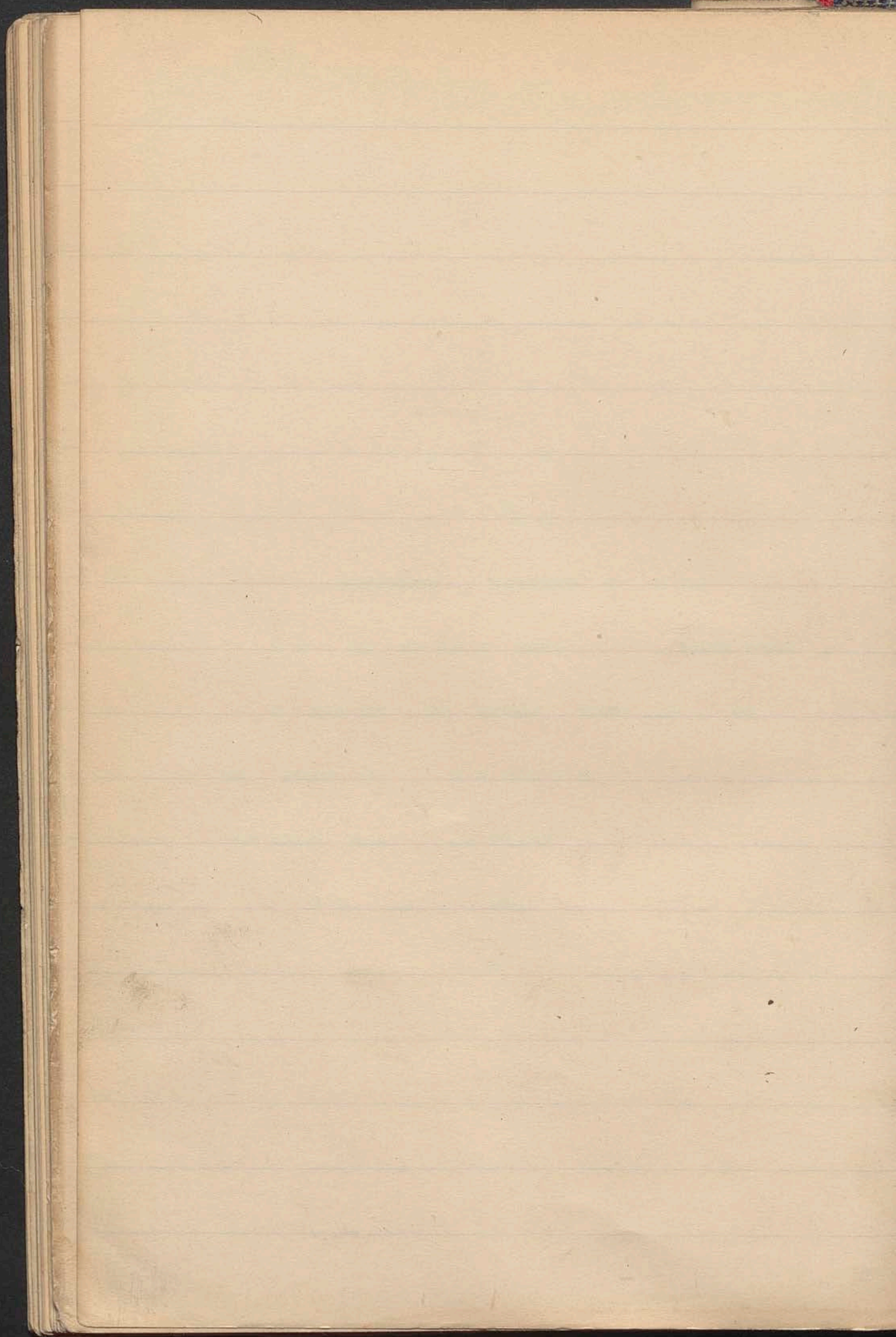


szał, i zniknął. Zaczęto cucić omdlałą, ale nie przełknęła nawet wody - ktoś chciał wołać doktora, ale właścicielka zakładu pospieszyła z policyantem, zjawił się stróż, dorożka, dwóch ludzi wyniosło starą - ułożyli w dorożce, policyant z nią wsiadł - ruszyli. Gdy odjeżdżali - w jednem oknie uchyliła się firanka, ukazała się twarz Józi, blada, obrzękła, z oczami rozszerzonemi grozą, i wnet znikła. Dorożka potoczyła się do cyrkułu. Wieczorem spoczęła Arcimowska już bez troski o dalszy byt - w małej stancyi, ~~obok~~ przy prosektoryum szpitalnem - obok zwłok noworodka zmarłego w klinice, i ciała okaleczonego w fabryce robotnika, który nie przeżył operacyi. Dziecko było podrzutkiem, robotnik nie miał rodziny - ~~xxx~~ ją, zapisano jako włóczęgę. Wszyscy troje mogli służyć do sekcyi studentom - obejść się bez pogrzebu.

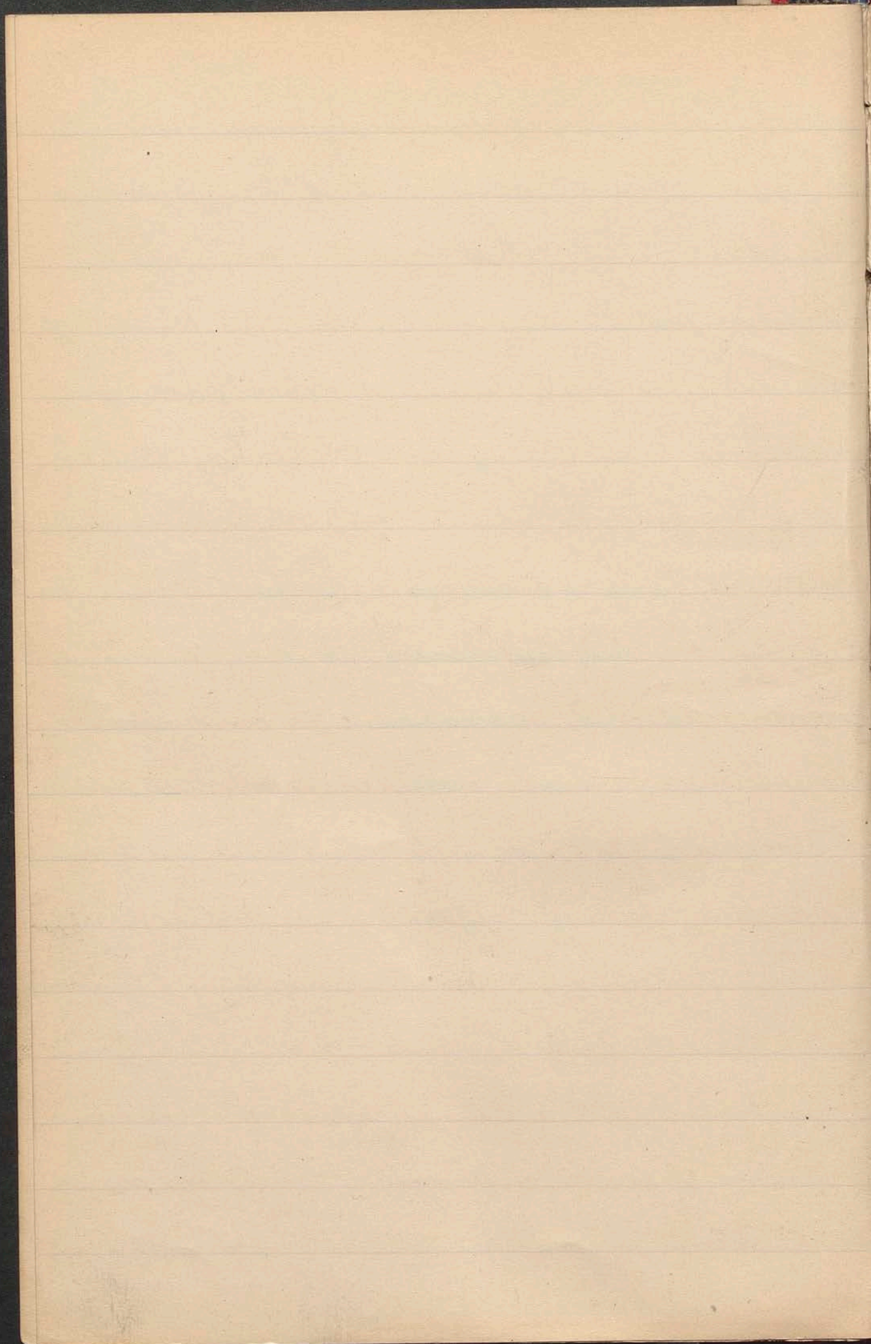


\# \# \#

Śnieg padał. Wprost okna, siedząc pod piecem, Cezar patrzał na monotonne wirowanie płatków, które mu zasnuwały widok na stary świerk, po drugiej stronie alei. Na czarne gałęzie, którymi wicher wolno kołysał - on zwykle się wpatrywał, podczas godzin samotności w chacie. Zupełnie również powoli, ponuro kołysały się jego myśli - a może i wcale nie myślał - odpoczywał - jak maszyna. Życie bo jego było maszynowem - nazywano go w fabryce zegarkiem. Można było istotnie według niego regulować zegarki tak ściśle spełniał swe obowiązki. Po odniesieniu rano kluczów do rządcy, obsługiwał jeszcze do dziesiątej dworską kuchnię - przynosił drwa i wodę - potem był wolny do wieczora, z obowiązkiem tylko otwierania pałacowej bramy, ilekroć ktoś zadzwonił. Ale to zdarzało się rzadko zimą - więc w te godziny



załatwiwszy swe gospodarskie sprawy, siadywał na ławie wprost okna — i może drzemał, bo cóżby też chłop mógł tyle czasu myśleć.
Gospodarstwo Gędrasa nie wielkie było, kawalerskie. Sam sobie gotował jeść, i w skutek natogę samotności nauczył się nawet — pomimo kalectwa — uprać bieliznę — i połatać odzież. Pomagał sobie nogami, zębami, okaleczonym kikutem lewej — i obchodził się bez ludzkiej pomocy. Do izby niechętnie nawet wpuszczał znajomych, a że mało gadał, i niczem nie częstował, wstępowano chyba za interesem.
Po wypadku ze znajdą jakiś czas zajmowano się nim i dzieckiem, kobiety zaglądały przez ciekawość, ale potem oswojono się, zapomniano, przestano o tem mówić, nawet dziwić się, jakim cudem dziecko żyło.
Żyło — przeżyło lato i dżdżystą jesień — teraz dopiero w Grudniu zaczęło niedomagać. Musiało być nawet bardzo chore, kiedy Gędras przemógł swą nieśmiałość



i raz w kuchni zagabnęła starą Jankowską.

— Żeby to pani zechciała wstąpić do mnie — spojrzeć na małą. Coś od tygodnia słabuje!

— Cóż? Rozpalona? Może wysypkę?

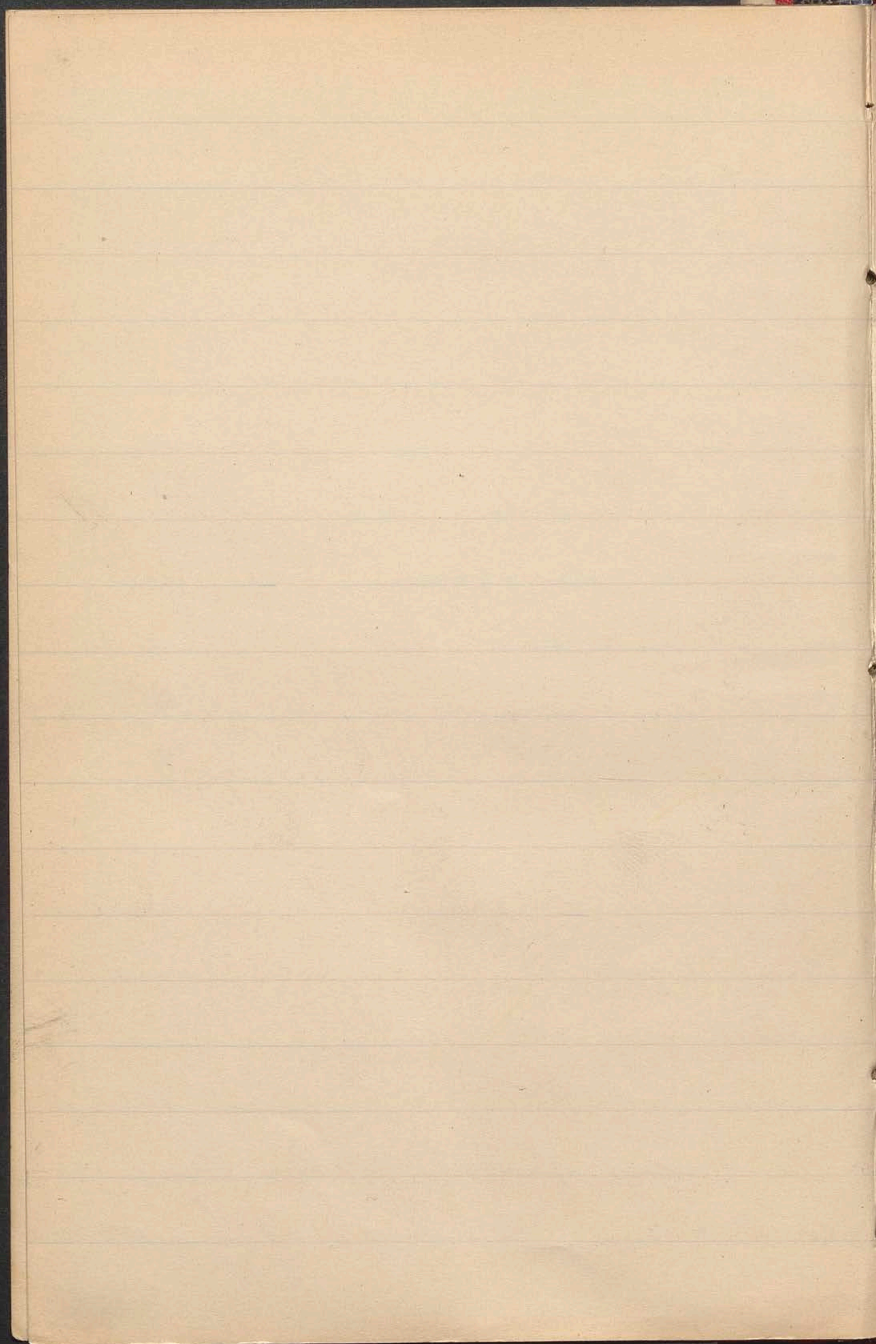
— Płacze, nie śpi, chrypie. Nie rozumiem się na tem.

— Jaż nie pójdę — jeszcze czego z tego pańskim dzieciom naniosę. Daj rumianku. I tak cud, że żyje!

Jankowska zrazu oburzona z takiego kumostwa udobruchała się powoli. Dała nawet parę razy dla znajdy starzyzny „po pańskich dzieciach” — i zapytywała o nią Łęgrasa, zawsze się dziwiąc, że jeszcze żyje.

— Bo co taki chłop bezrok. może dać za opiekę małemu dziecku. Czy to ma jakie pojęcie!

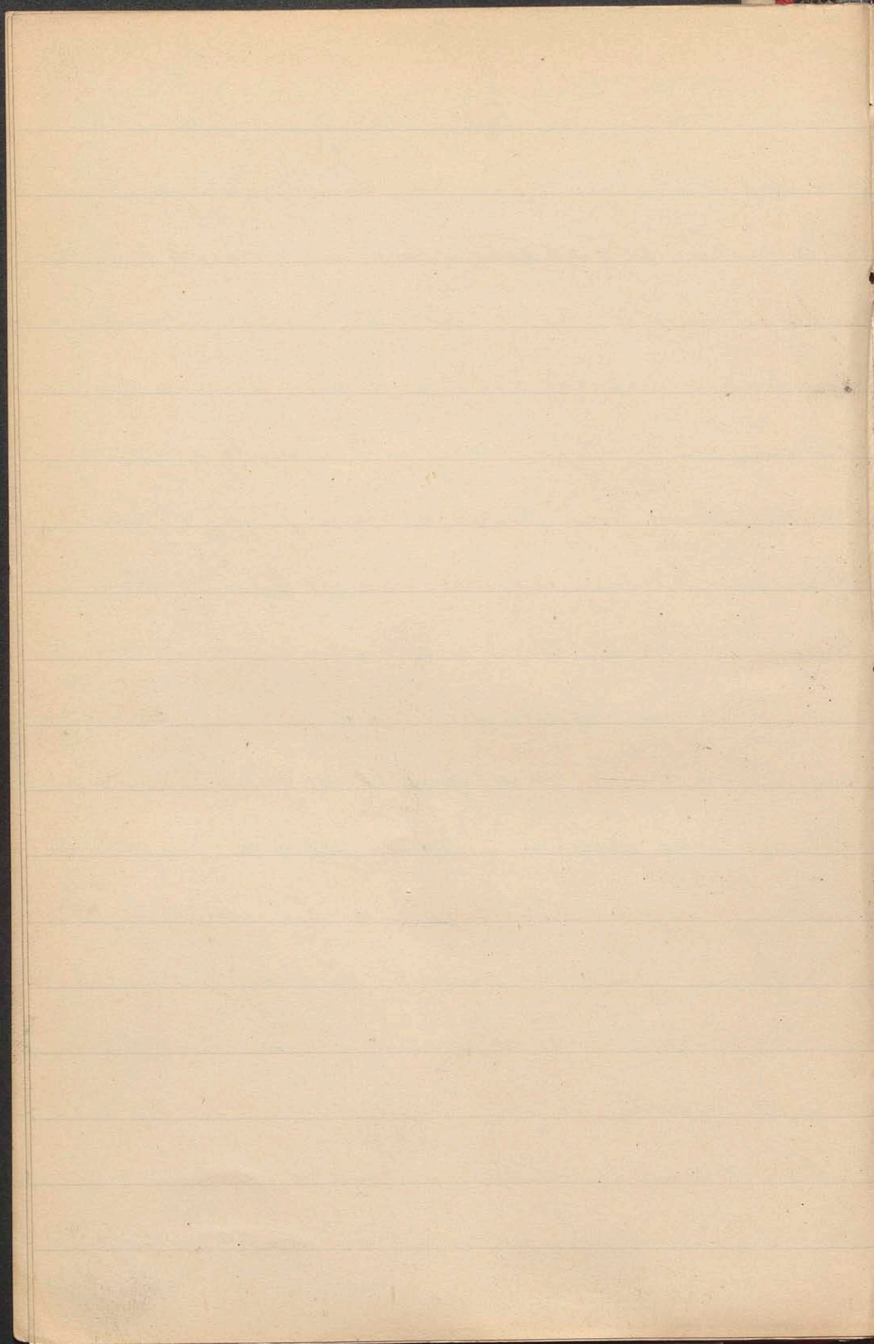
Dostawszy rumianku Łęgras więcej o chorobie nie wspomniał — ale dziecko wciąż niedomagało. Ale nikt o oczach. Sprowadzić doktora — przechodziło możność stróża, mleko kupowane codziennie kosztowało



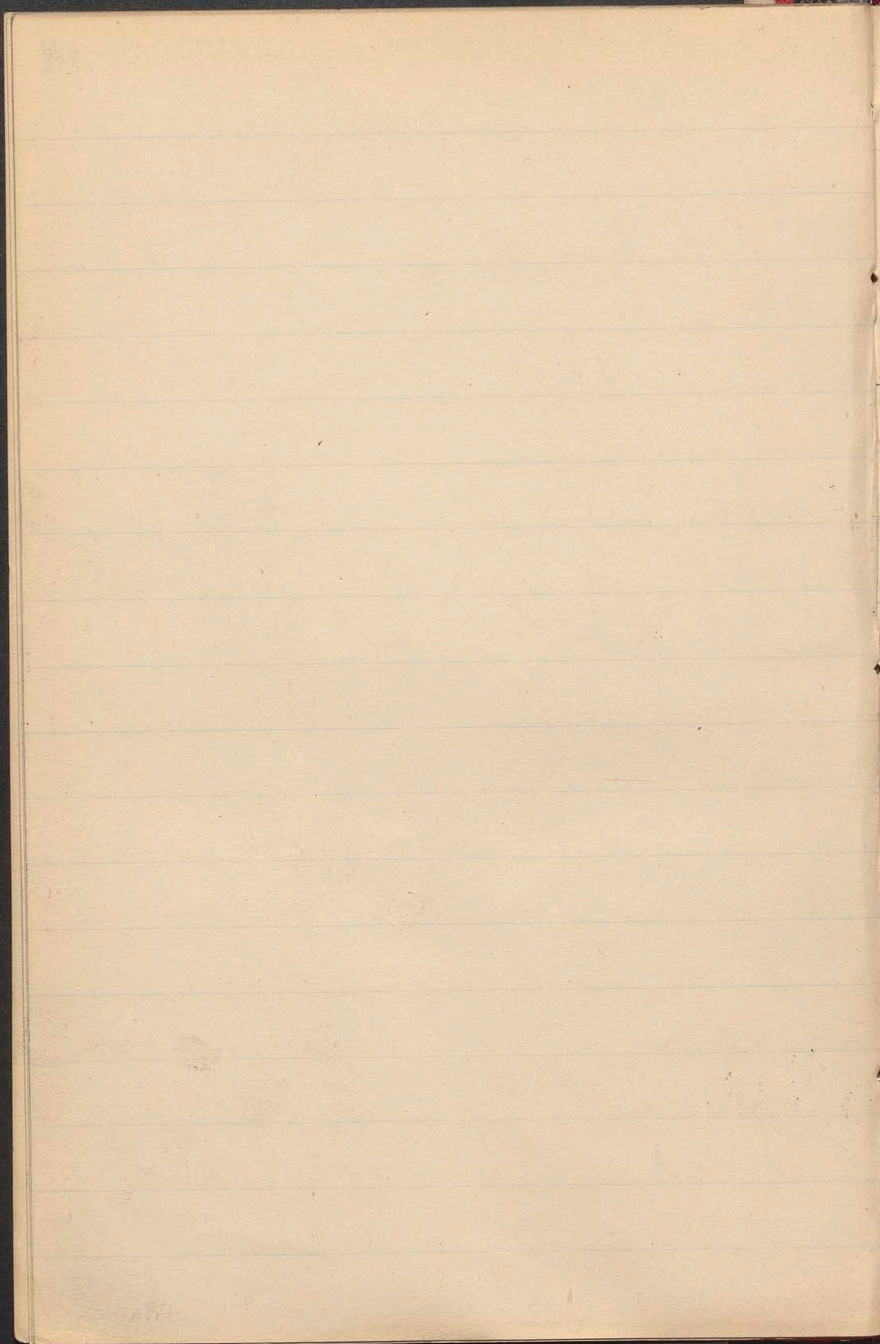
prawie półtorej miesięcznej pensyi - wydatki na zmarłą nadwerężyły drobny zasób. Zanieść dziecko do miasta, do doktora bał się - w mróz i wicher - więc je tylko otulał, kołysał, i spełniał, co mu doradzały kumoszki. Miała niegdyś oddawna kołyskę z łozinyy, uwieszoną na sznurach u pułapu, oddał jej na posłanie swą poduszkę, nauczył się ją kąpać i spowijać, kilka razy na noc wstępował poić mlekiem i usypiać. Teraz w chorobie nie wiedział jak pomódz. Śnieg padał - świerkowe gałęzie poruszały się monotonnie, było w naturze i w postawie i w oczach siedzącego pod piecem Gedrasa jednaka martwota i tępe rezygnacya. Przyjdzie co ma przyjść.

U bramy dzwał się dzwonek. Jak automat cztowiek wstał, i wyszedł z kluczami. To Jankowska wracała z miasta.

— Ot pora! zawołała zdyszana, otrząsając śnieg. U księdza byłam - pytał o ciebie. Mówił podobno



być u niego - i od chrzcin się nie pokazałeś."
Jakże to można? A cóż dziecko?
— Ej - już chyba zamrze. Już i nie piszczy, takie słabe.
— Pokaż no. Co ty się na tem znasz.
Raz pierwszy od owej awantury była w izbie - więc
się obejrzała ciekawie.
— Jednakże dość czysto u ciebie, choć bez gospodyni.
Mógłbyś się też ożenić. Nawet i dziecku byłoby
lepiej. Oj licho ono, a jakże może być zdrowe na
tem pachtowem mleku. Mamki trzeba, toby one
poprawiło się, a tak, to będzie karmzyć i zginie.
Oj, zupełnie licho! Nic z niego nie będzie - próżny
twój cały zachód. Toć trupik!
Gedras stał nad kołyską posępny, patrząc na żółtą
twarz dziecka.
— A zkądże ja mamkę dostanę. To pewnie drogo
kosztuje. Która zechce!
— Poproś którą z fabrykantek, ale i tak myślę



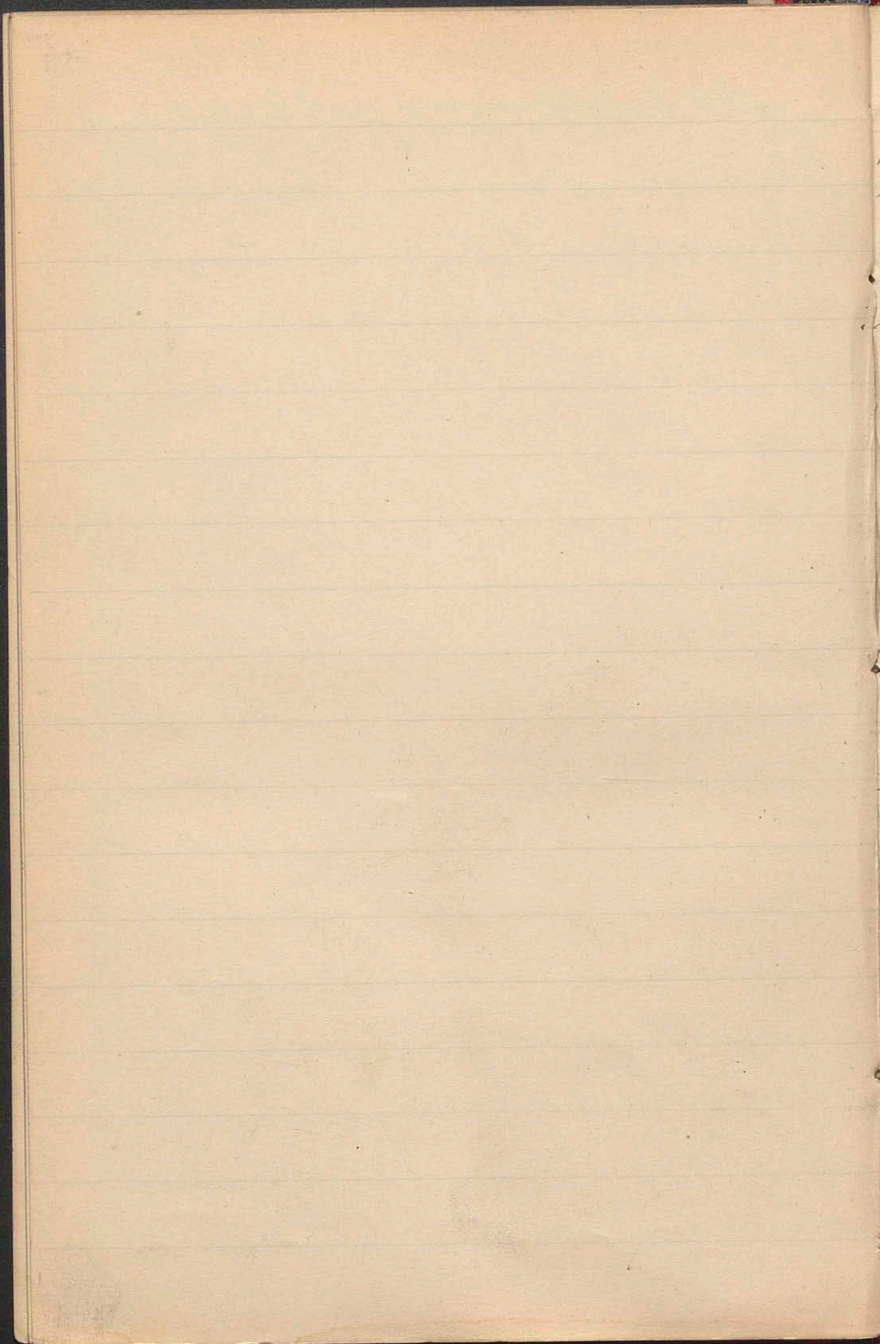
że zapóźno ratować. Już ledwie zipie. Wiadomo szkoda ci całego ambarasu i kosztu, ale jak zamrze to może i lepiej. Co to za dola takiego!

Okryła dziecko, i westchnęła

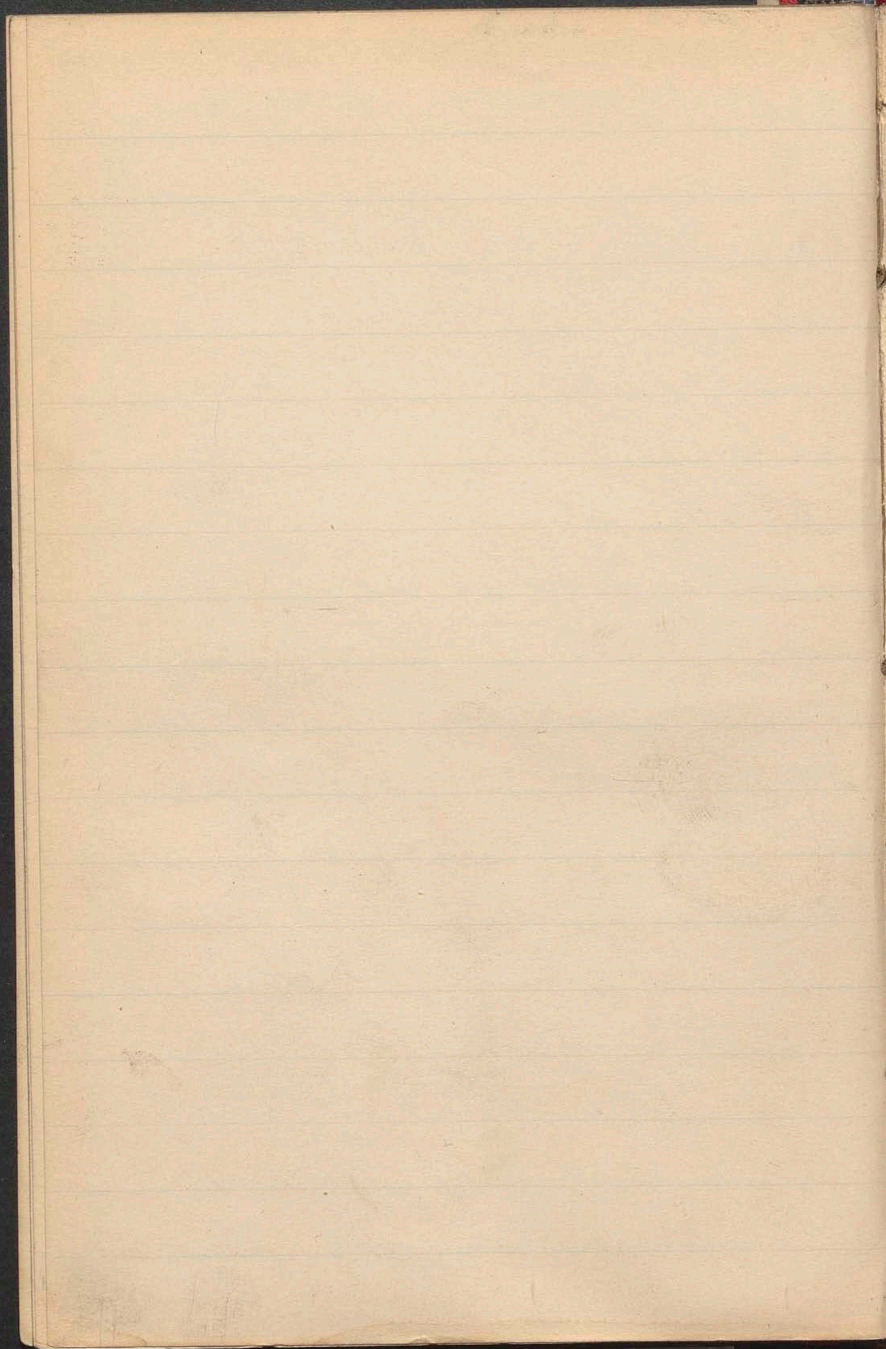
— Juści jak skończy, to daj mi znać. Dopomogę w pogrzebie!

I wyszła, niemile dotknięta widokiem i izby tej duszniej i ciemnej, i tego schorowanego maleństwa. Orzeźwiała dopiero w pałacu. Pokój dziecinny był obszerny i jasny, kołyska pańskiej córeczki obita atłasem. Mamka, wybrana przez doktora, zdrowa młoda wieśniaczka, karmiła dziecko tłuste i różowe, niańka układała w kołysce batystowe posłanie, w sąsiednim pokoju dwóch starszych paniczów bawiło się pod opieką bony.

Tam było dostatek, zdrowie, siłę, wygody, bezpieczeństwo tej dziatwy, pewność że będą porządni i cnotliwi że nie zaznają moralnej ni materyalnej nędzy.



Jaśkowska była dumną ze swych pupilów – i
zaczęła zaraz opowiadać niańce, jak wygląda znajda.
A Jędras długo stał nad kołyską, i rozmyślał.
Wreszcie wyjął z kuferka rubla, popatrzał posępnie
na dwa pozostałe w woreczku, stęknął – otulił
dziecko w poduszkę, i kożuch, i poszedł z niem do
domku ogrodnika.
Gospodarza nie zastał – był w cieplarni pałacowej –
Nieśmiało, wchodząc stróż poprosił ogrodnikowej o
nakarmienie dziecka – położył odrazu rubla na stole.
– Oh głupstwo – co macie za to płacić, kiedy ona
pewnie już ssać nie zechce. Zamoczyliście butelkę.
No, dajcie – popróbuję.
Jędras usiadł na ławce, i patrzał z niepokojem.
Odetchnął, gdy dziecko ssać zaczęło, i po chwili
rzekł nieśmiało.
– Żeby wasza łaska pokarmić je choć raz na dzień –
jabym zapłacił ile mogę – połowę pensyi.



— A ileż to?

— Dwa ruble miesięcznie.

— Nie dużo. Ale spytam męża, pomyślę!

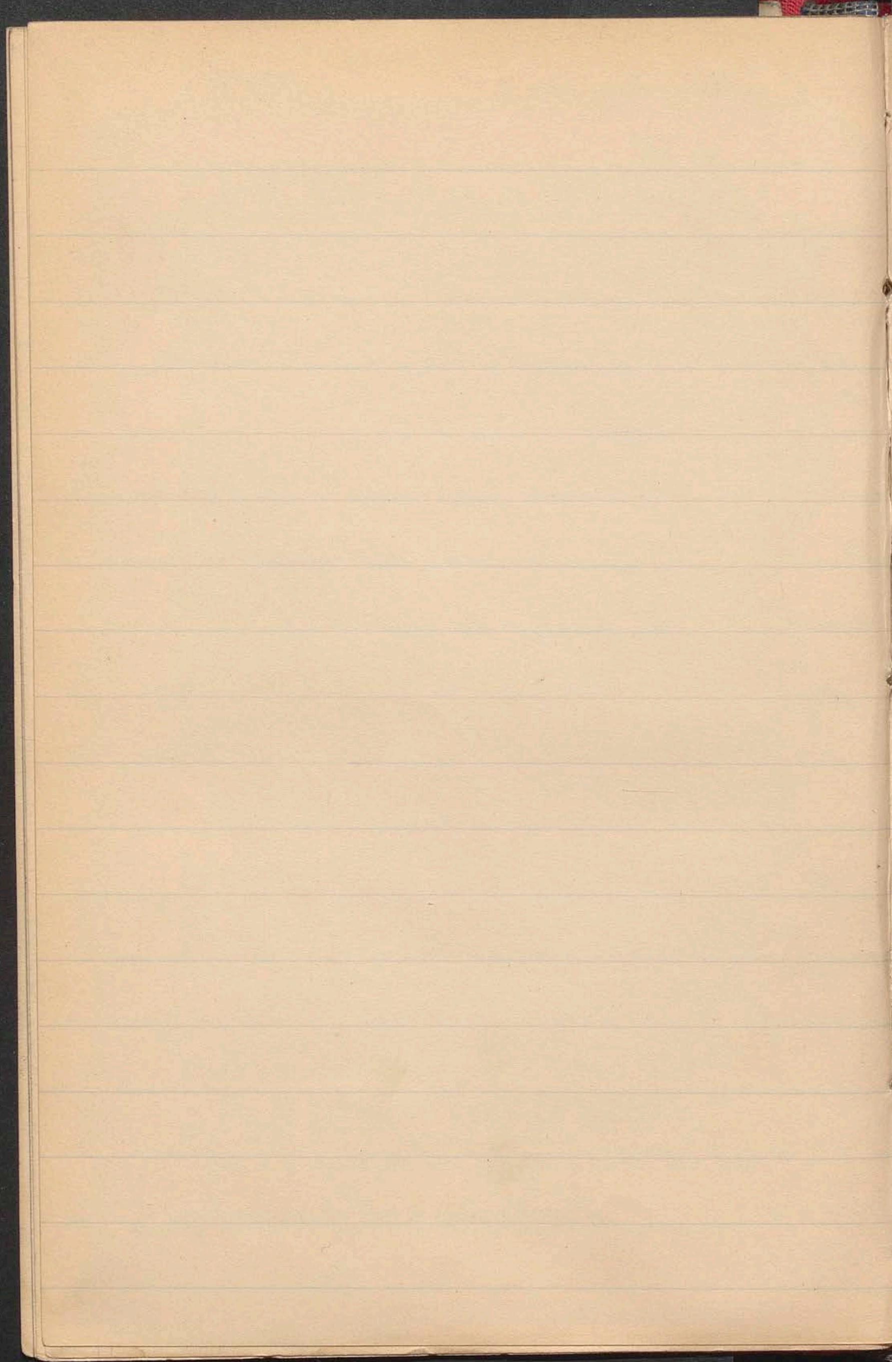
— I poproszę was o zastępstwo przy bramie do wieczora. Mam na mieście interes.

— To już za to przyniesiecie parę śledzi i piwa na kolację. Strasznie zmizerowane dziecko. Cień został. Moje miesiące starsze, a ot, co za basałyki. No, to idźcie, trza po sąsiedzku wygodzić.

Gedras po małej chwili kopał się w śnieżycy ku miastu. Niósł księdzu za chrzest dwa ruble, a bojąc się, że może więcej zażądać, wstąpił do Lejzorowej i zastawił za rubla zegarek, jedyny wartościowy przedmiot, który posiadał. Wtedy już spokojny wszedł do plebanii. Ksiądz czytał przy biurku i poznał go odrazu.

— A co? Napędziła cię Jankowska. Zapomniałeś o mnie. No, jakże, dziecko ci się chowa?

— Już pewnie nie długo będzie. Nie zapomniałem ja, że w długu zostałem u księdza dobrodzieja, tylko nie mogłem ze-



brać grosza. Przyniosłem dzisiaj.

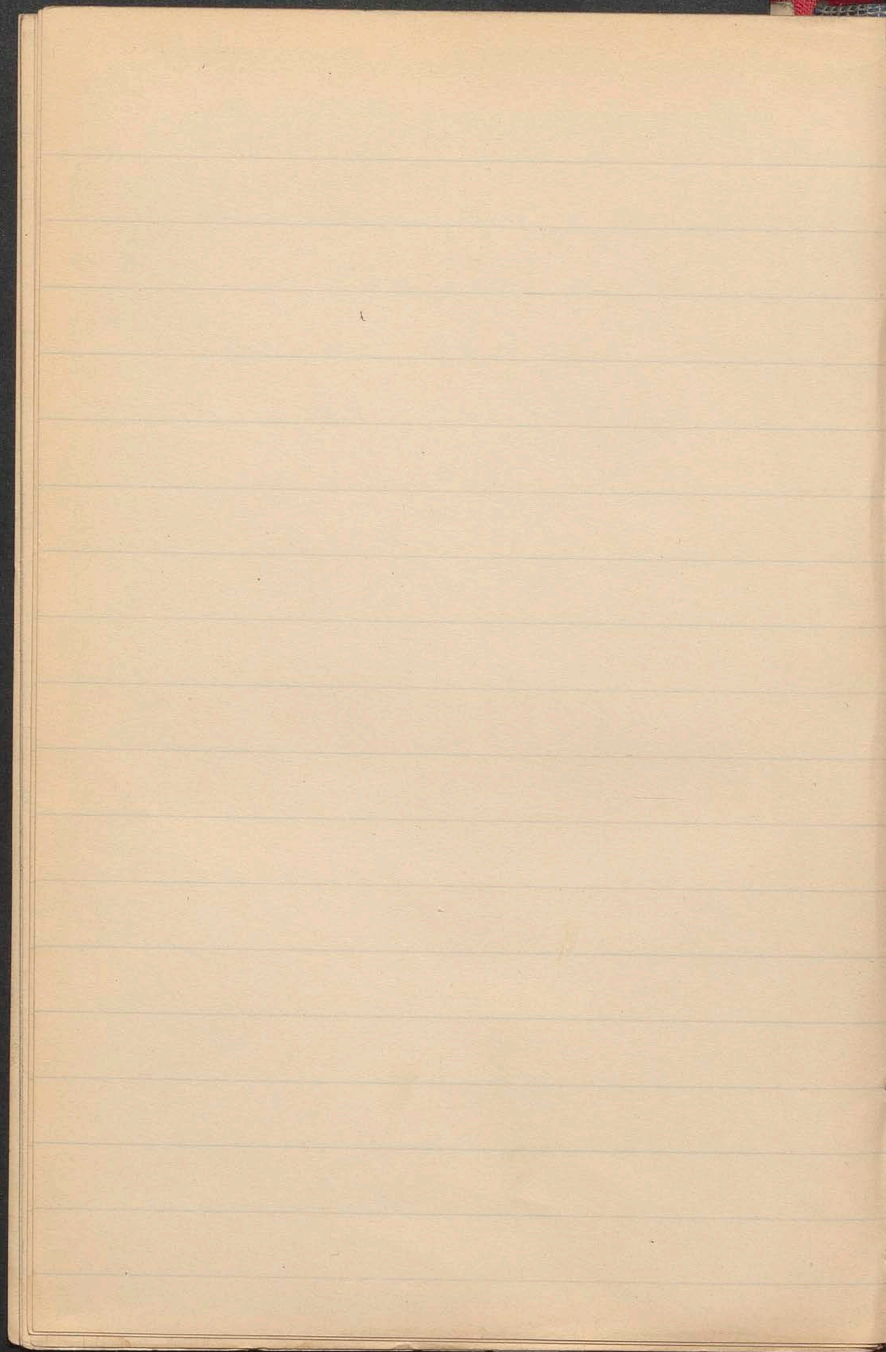
— A skądże wiesz, że ja pieniędzy od ciebie dochodzę. Mnie się coś więcej od ciebie należy. Jak myślisz?

— Ja nie wiem, co Ksiądz każe? — rzekł zmieszany Gedras.

— Nie wiesz? To źle! To ci powiem. Należy mi się twoja dusza. Rozumiesz? Chciałeś pogrzebu, chrztu, a jakże myślisz? Nie trzeba ci to kąpieli, czystej szaty? co? A mnie, czy tylko umarłych grzebać, niemowlę do kościoła wprowadzić? Mnie trzeba żywych mieć i myślących. Trzeba i pocieszyć, i zburczeć, i poradzić, i rozsądzić. No i trzeba mi was wszystkich znać — a tyś mi obcy. Nie strachaj się — nie zmuszam cię. Wiem, że ci coś dolega na sumieniu, ciężki to ładunek, a możebym ci ulżył, ale jeśli ci dzisiaj nie do gadania, to odłożymy nadal. Tylko byś wiedział, że do mnie z tem śmiało przyjdź, jak ci bardzo dokuczy.

Gedras milczał, mnąc w ręku woreczek z pieniędzmi.

— Tyś nie tutejszy? pewnie z Kowieńskiej gubernii? — spytał ksiądz.



— Tak jest. My z pod Rosieni.

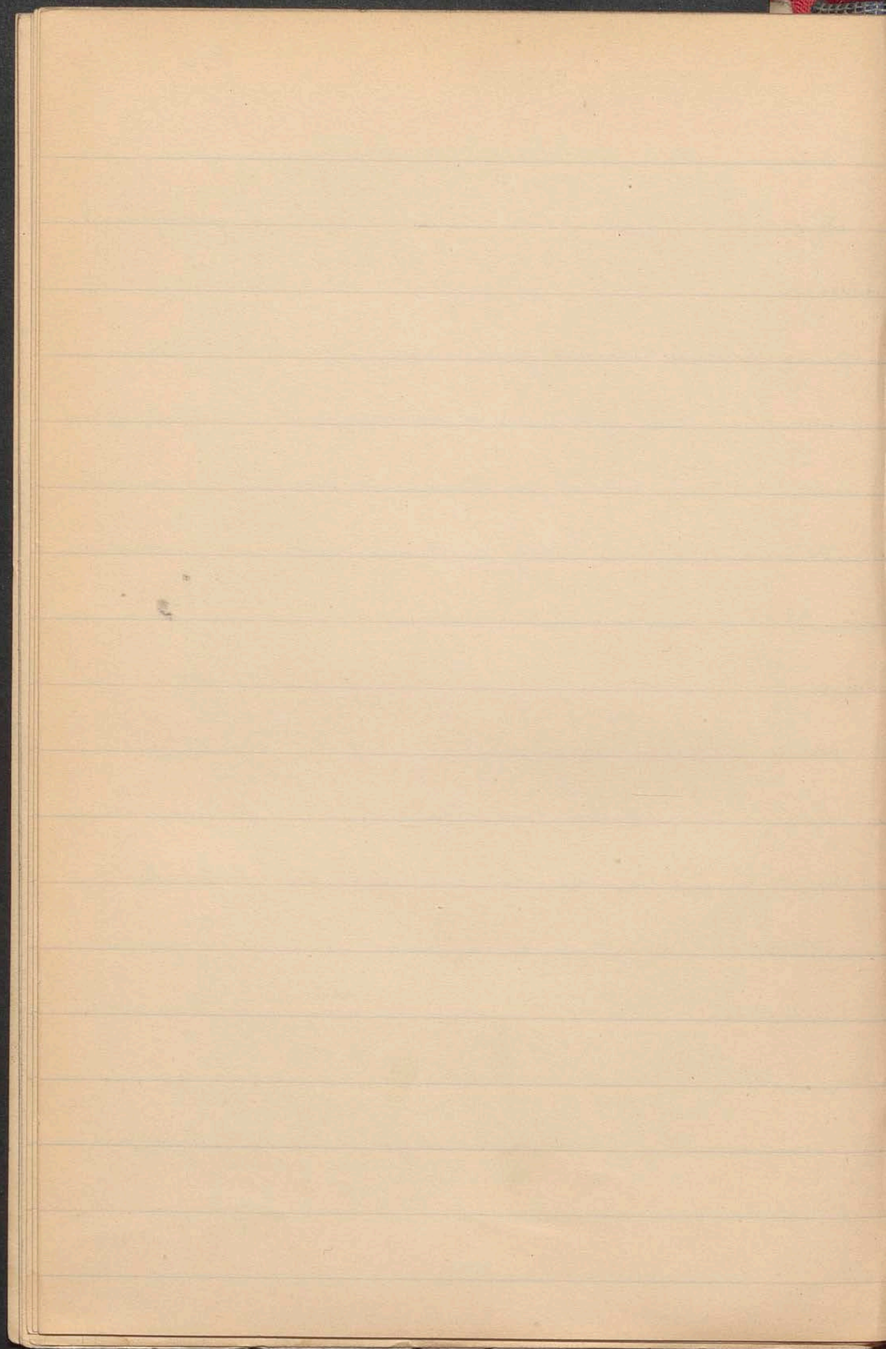
— A ja z pod Kiejdan, to i prawie swojaki. A z jakiej wsi? Może znam?

— Ja ze szlachty. Dworek ojciec miał, Żyrkiele. Było nas siedmiu braci, nie było na czem się utrzymać, rozeszli się po świecie. Mnie ojciec oddał do Kowna, do krewnego, co warsztat kowalski miał. Było mi wtedy piętnaście lat, szkółkę skończyłem, już od tej pory nie byłem w domu — i nie wiem, co tam się dzieje.

— I tam, w Kownie, okaleczałeś?

— Ej nie. To niedawno, cztery lata temu, w fabryce w Białymstoku. W Kownie tom krótko był, może dwa lata, bo wuj zbankrutował i do Ameryki wyjechał. Namawiał i mnie — nie pojechałem, głupi. Człowiekowi się wydaje, że to on sobie dolę przędzie, a to on sam jest nitką, a niedola go mota, jak sama chce! Wuj podobno w Ameryce własną fabrykę już ma, a ja oto!

Poruszył ramionami i umilkł.



— Jakże to się stało? — spytał z współczuciem ksiądz.

— Ta ręka, ksiądz dobrodziej myśli? Ot, wypadek, smarowałem maszynę, rękaw był wystrzępiony, chwyciło koło, raz obróciło, wyrwałem pogruchotaną w kawałki. Obcięli w szpitalu.

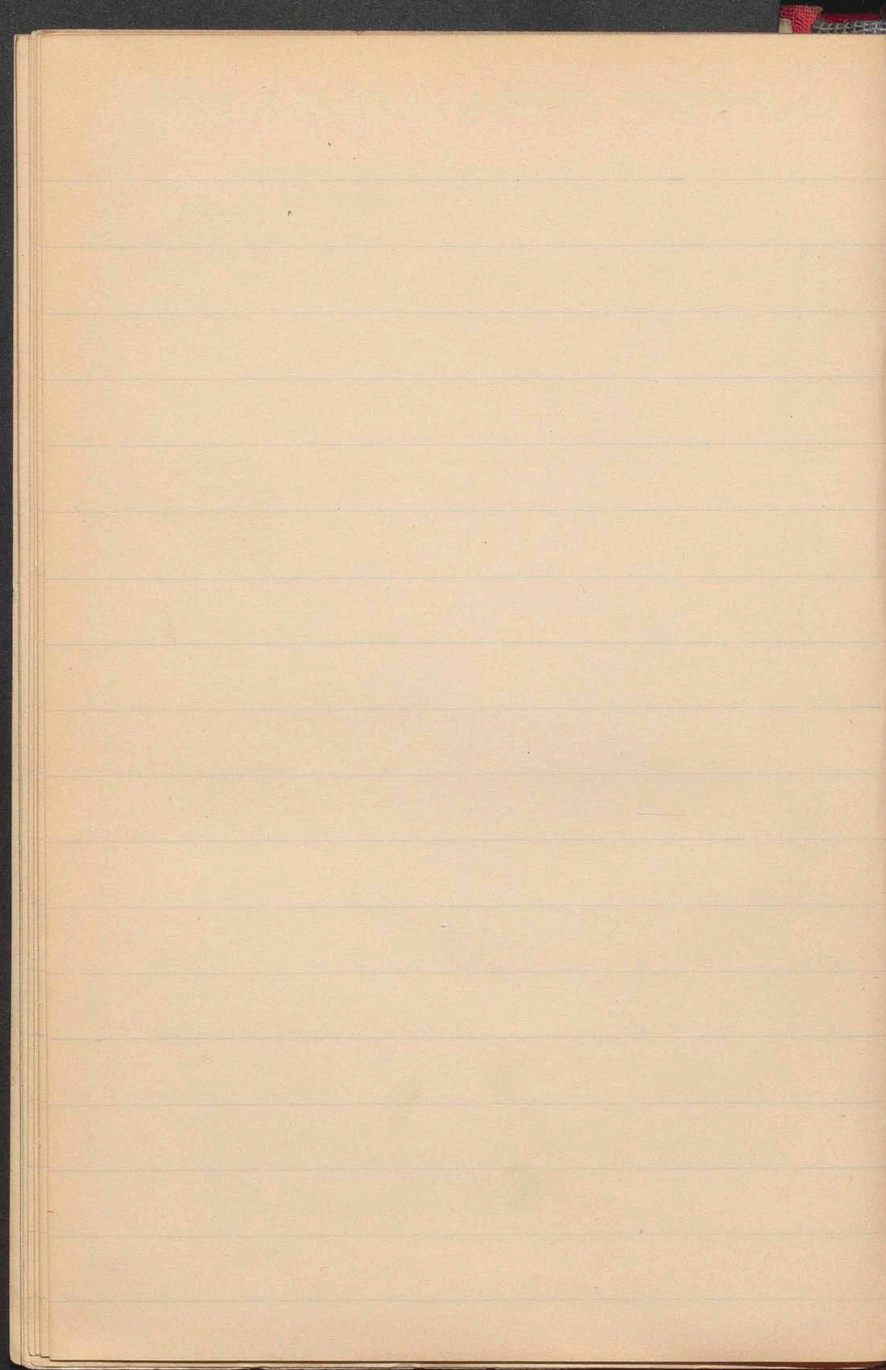
— Zapłaciła ci fabryka?

— Nie, chcieli adwokaty dochodzić, namawiali na sprawę, mówili, że najmniej dwa tysiące dostanę. Nie chciałem. Co mi z tych dwóch tysięcy, ręki mi nie wrócą, a po prawdzie, co fabrykant winien, że mój rękaw podarty był, maszyna winna. Przekleństwo na wszystkie te potwory żelazne. Żeby mi moc i władza, ichbym ja rozbijał, ach, jakby druzgotał w sztuki, jakby łamał! Więcej na nich krwi, jak na katowskich toporach!

— A właściciel fabryki nic ci dobrowolnie nie dał?

— Możeby i dał. Gdym ze szpitala wyszedł, poszedłem do fabryki i trafiłem na pogrzeb. Młoda żona mu z suchot umarła. Powstydziłem się mu w oczy leźć, zabrałem papiery i poszedłem w świat.

— Powiedz mi, Gedras, kto cię nauczył takich myśli. Niema



złości w tobie, po chrześciańsku czynisz, z wolą Bożą się zgadzasz, a przecie kalectwo ciężkie ci?

— Pewnie. Ale bym miał rąk dwoje, nie byłoby mi lepiej. Wszystko jedno, wiek się i tak dokołace! Ot, dziecko już dochodzi — znowu sam zostanę.

— Nie masz nikogo swojego?

— Nie. Choćbym i w swoje strony wrócił, to po co? Rodzice pomarli, brata po świecie, swoi zapomnieli. Może który z braci w Żywkiełach siedzi, toby krzywo przyjął, myśląc, że części chcę! Niech zdrowo żyją, dzieci hodują. Ja już cudzy i sam!

— I nie ożeniłeś się?

— Miałem żonę.

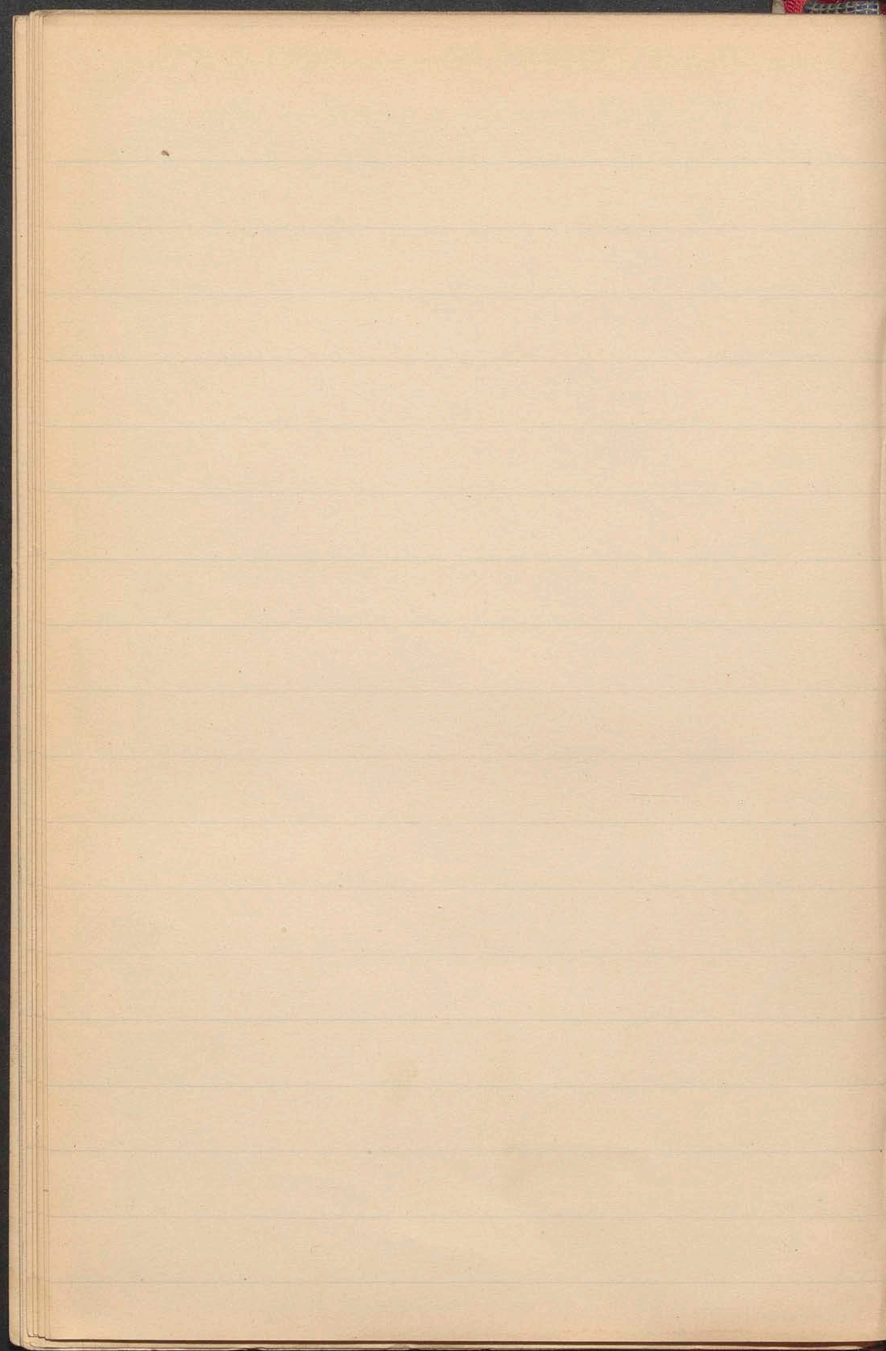
— Umarła? — ze współczuciem spytał ksiądz.

— Umarła. Zabiłem ją!

Człowiek powiedział to tym samym apatycznym tonem, jakim mówił dotychczas.

— Biedaku! — rzekł ksiądz, po chwili milczenia.

Gedras przycisnął łokcie do żeber i odwrócił się do okna. Słychać



było, jak ciężko oddychać.

— Zawiniła ci zapewne. Nieprzytomny byłeś? Zdradziła cię?

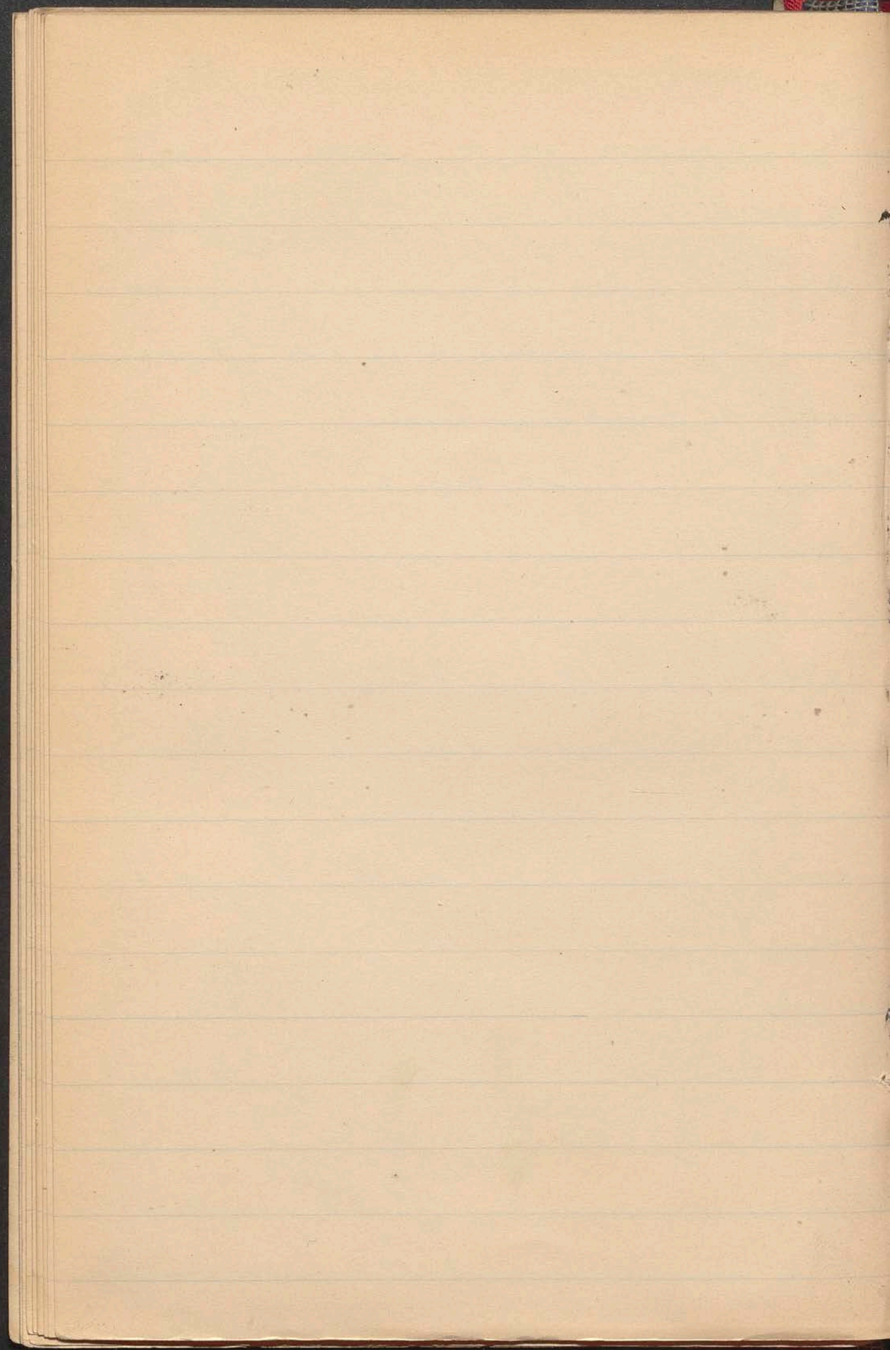
— To prawda, że zawiniła, ale jej krew na duszy noszę. Nie ona odemnie, ale ja od niej odpuszczenia nie dostanę. Muszę przeklętym być, bom jej ciało i duszę zagubił.

— Kto ci rzekł, żeś przeklęty. Bóg miłosierny!

— Powiadają tak i cieszą, alem ja tylko kary czuł i smaganie, snać to tylko dla mnie zapisane!

— Jakżeś ją zabił? Jak się to stało?

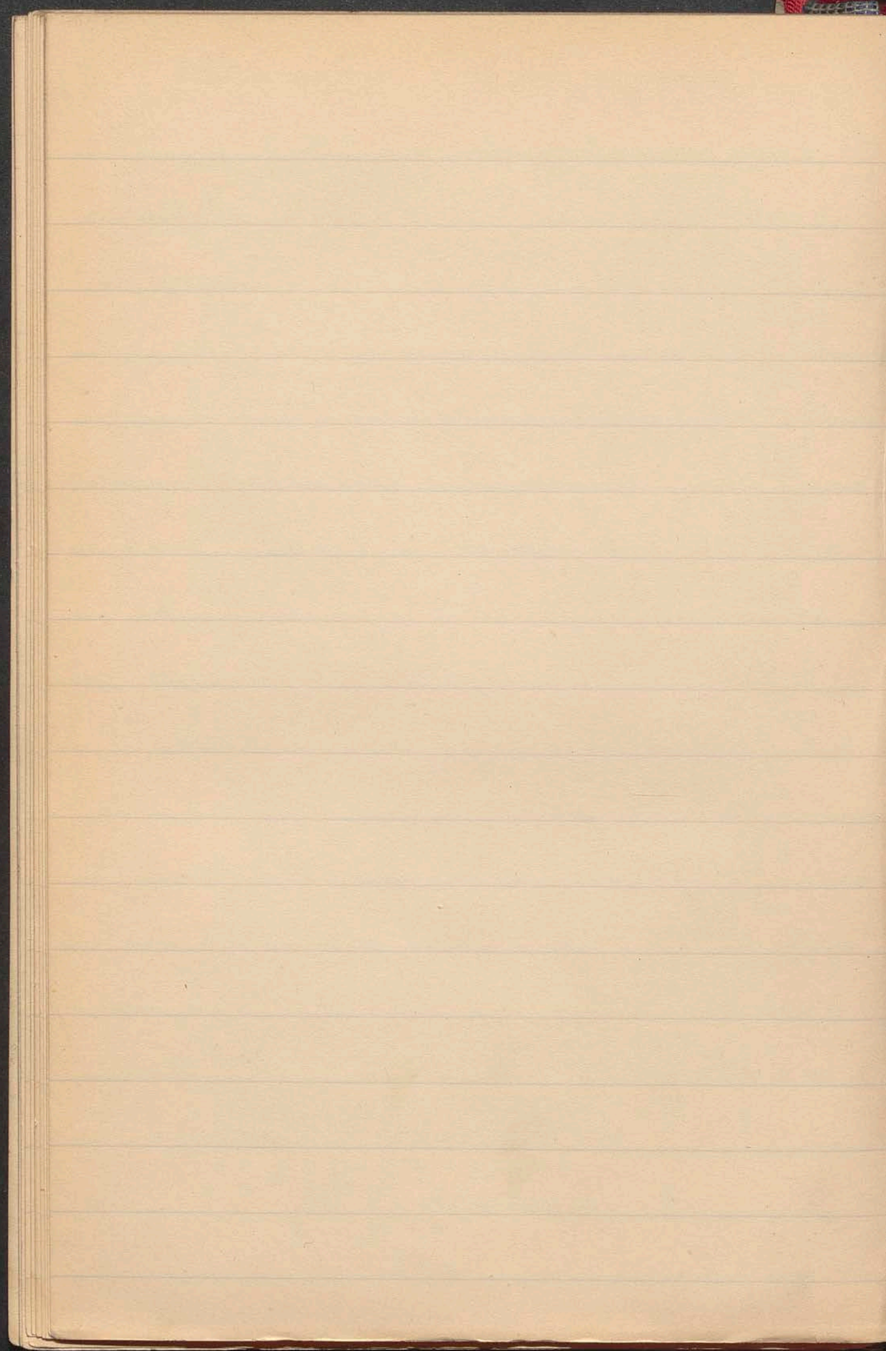
— Jakem z Kowna odszedł, dostałem się na kolej. Z razu dziennie pracowałem przy remoncie, potem mnie naczelnik polubił i dał wiorstową budkę. Niedaleko Grodna to było, budka dobra z ogrodem, z pasemkiem pola, tuż pod stacyą. Dał mi ją, choć sam byłem, kawaler, ale po małym czasie powiada: „Żeń się, bo donosy są, żeś nie żonaty, a to dwoje dróżników powinno być." Więc się rozejrzałem, kogoby wziąć. Obcy człowiek byłem, ni duszy znajomej. Spodobała mi się służąca u drogowego majstra. Nie miejscowa była także, Mańka się zwała.



Do majstra wstępowałem po służbie i przypatrzyłem się jej robocie. Ładna była i młoda, a taka skromna i poważna, jak święta na obrazku. Gospodyni zła była jędza, dzieci czworo; ciężka służba. Bywało, i w nocy pierze, i w święto nie ma wolnej chwili, a nigdy nie narzeka. Z nikim się nie zadawała, z nikim ni śmiechu, ni swawoli, z nikim kompanii. Rozpytałem się o jej wiarę i ród. Mojej wiary była i sierota. Rozpowiedziała, że zdaleka pochodzi, z pod Mińska, że córka ekonomska, rodzice jednego dnia na cholerę pomarli, pani hodowała do lat piętnastu, a potem na służbę poszła. Była w Bobrujsku, potem w Grodnie, aż tu się dostała. Metrykę miała i papiery w porządku, i świadectwa co najlepsze. Rozmiłował się ja w niej, że świata nie widział, zaczął codzień zachodzić i czuł, że mnie rada widzi. Oj, czasy to były dobre. No, i pobrali się w farze w Grodnie na Gromniczną, a pod wiosnę się brało, brzozy pamiętam, rozpuszczały, jak jej już nie stało. Tyle wszystkiego tego dobra było półtrzecia miesiąca, 26-go Kwietnia zginęła.

— Jakto, zginęła? — przerwał ksiądz.

— Maszyna przejechała wieczorem, po zachodzie!



Czuć było, że opowiadający ten moment tak widział, jakby to wczoraj było.

— Więc nie tyś ją zabił? — odetchnął ksiądz z ulgą.

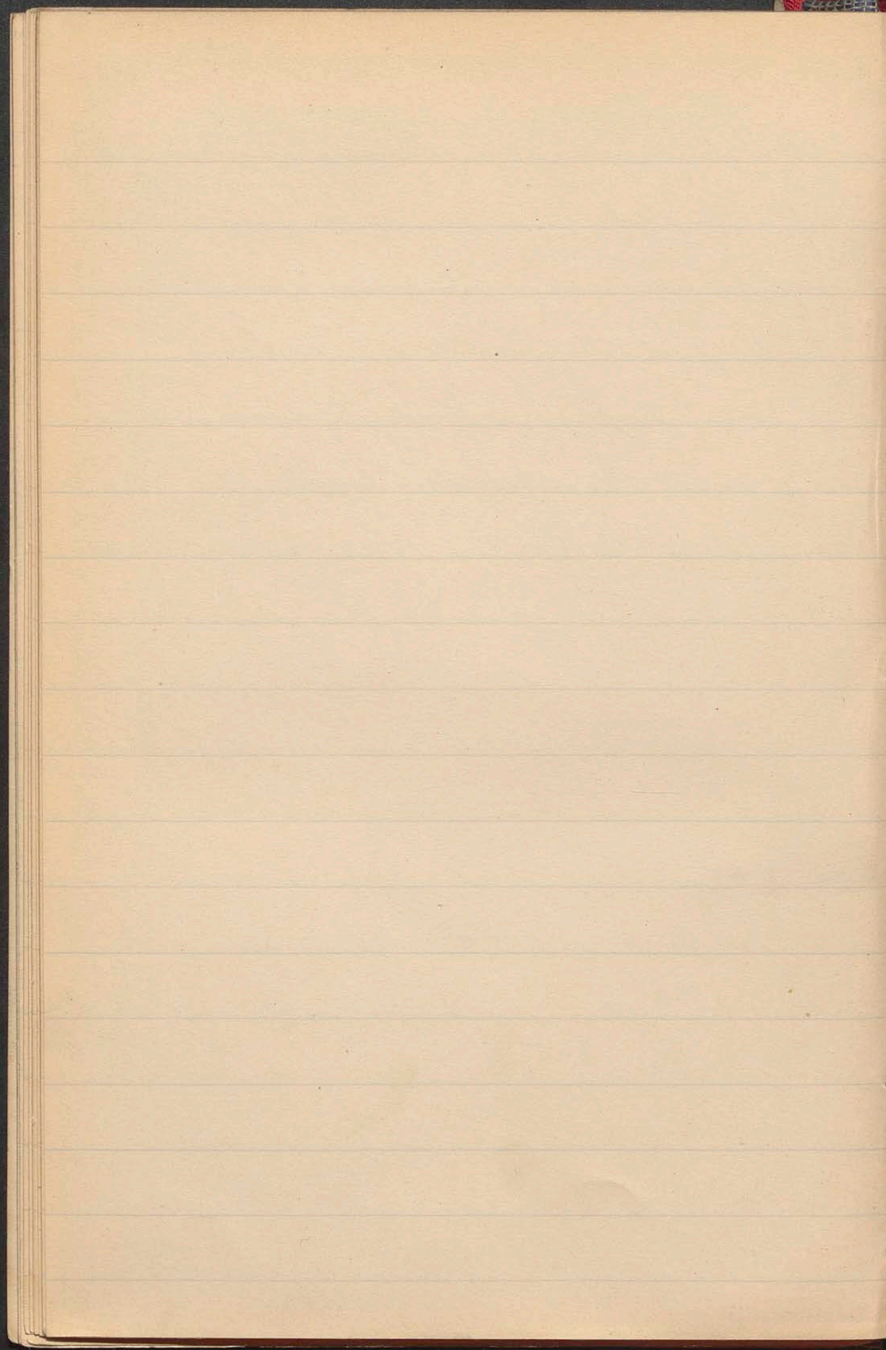
— A któżby? Maszyna nie przyszła po nią do izby.

— Więc tyś ją pchnął?

— Żyć już nie było, jak razem, ale żeby słowo rzekła, co zrobi, tobym razem był poszedł z nią chyba! Nic nie rzekła.

— Co miała rzec? Co było między wami. Więc sama się zabiła?

— Zabił ją wstyd, i grzech, i kłamstwo. Alem ja nie był przecie najwinniejszy, każdyby tak zrobił jak ja, każdyby się oburzył. Dlaczegóż na mnie się wszystko zwaliło? Za com przeklęty, że ni do Boga, ni świętego człowieka, nie śmiem oczu podnieść. Za co mnie to spotkało? Wszystko powiem, nic nie zataję, ani opuszczę. Nadto cierpieć i milczeć. Jak my się pobrali i w tej budzie razem osiedli, to mi się zdało, żem w niebie. Takie to stworzenie było słodkie, i dobre, i wesołe, i pracowite, że myślę — za com ja sobie taką dolę wysłużył u Pana Boga. Ino śpiewanie u nas było i śmiech, i dobre słowa, a dnie, to mijały, jak sen. Na linii już robota była, chodziłem do dozoru, i raz wraz do budy zabiegałem na nią popatrzeć. Roboty w mig się nauczy=



ła, przy baryerze zawsze w porę, sygnały znała, w ogrodzie kopać zaczęła. Na południe, gdym nie wrócił, to mi obiad przyniosła, pogwarzyła, jak to ptaszę, a choć ludzi dużo było, i starszych, nigdy na nikogo nie spojrzała nawet, widać tak mnie miłowała okrutnie. A jam się tak nią cieszył, jakby anioł do mnie zstąpił.

Aż tu raz jeden z robotników pyta mnie:

— To wasza, ta kobieta? Mnie się zdaje znajoma.

— A ty skąd? — pytam.

— Ja z Bobrujska.

— To może i znasz, bo ona tam służyła.

— Dawno?

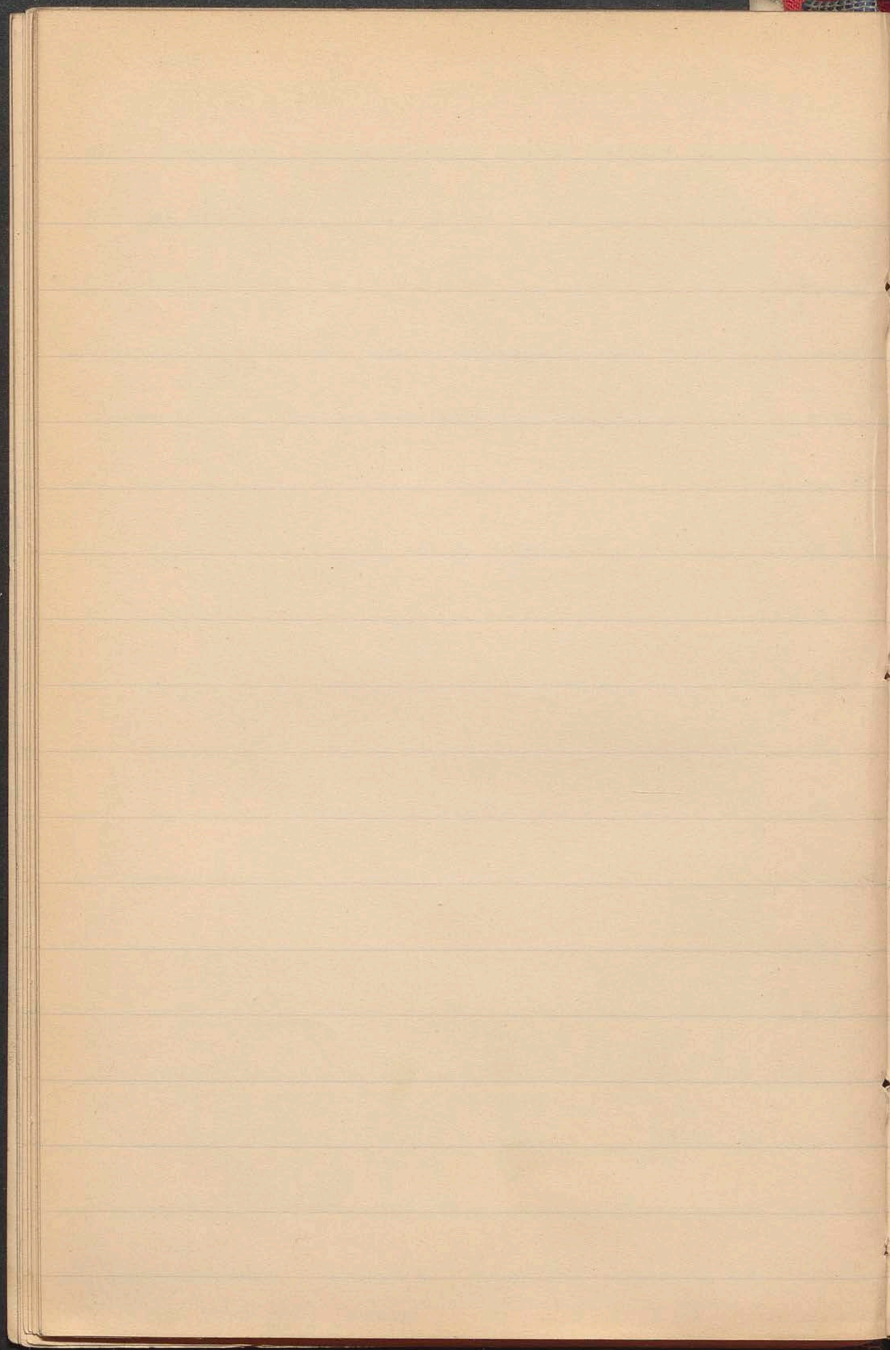
— Trzy lata temu.

Pomyślał, głową pokręcił, powiedziałem nazwisko.

— Ktoby spamiętał. Tak mi się twarz przypomniała.

I odszedł do roboty.

Na drugi dzień przyszła Mańka z obiadem, przysiadła przy mnie na podkładzie i gawędzi. Powiadam:



— Jest tu robotnik z Bobrujska. Pytał, kto ty?

Obejrzała się.

— Który? — pyta, bo właśnie leżeli w gromadzie.

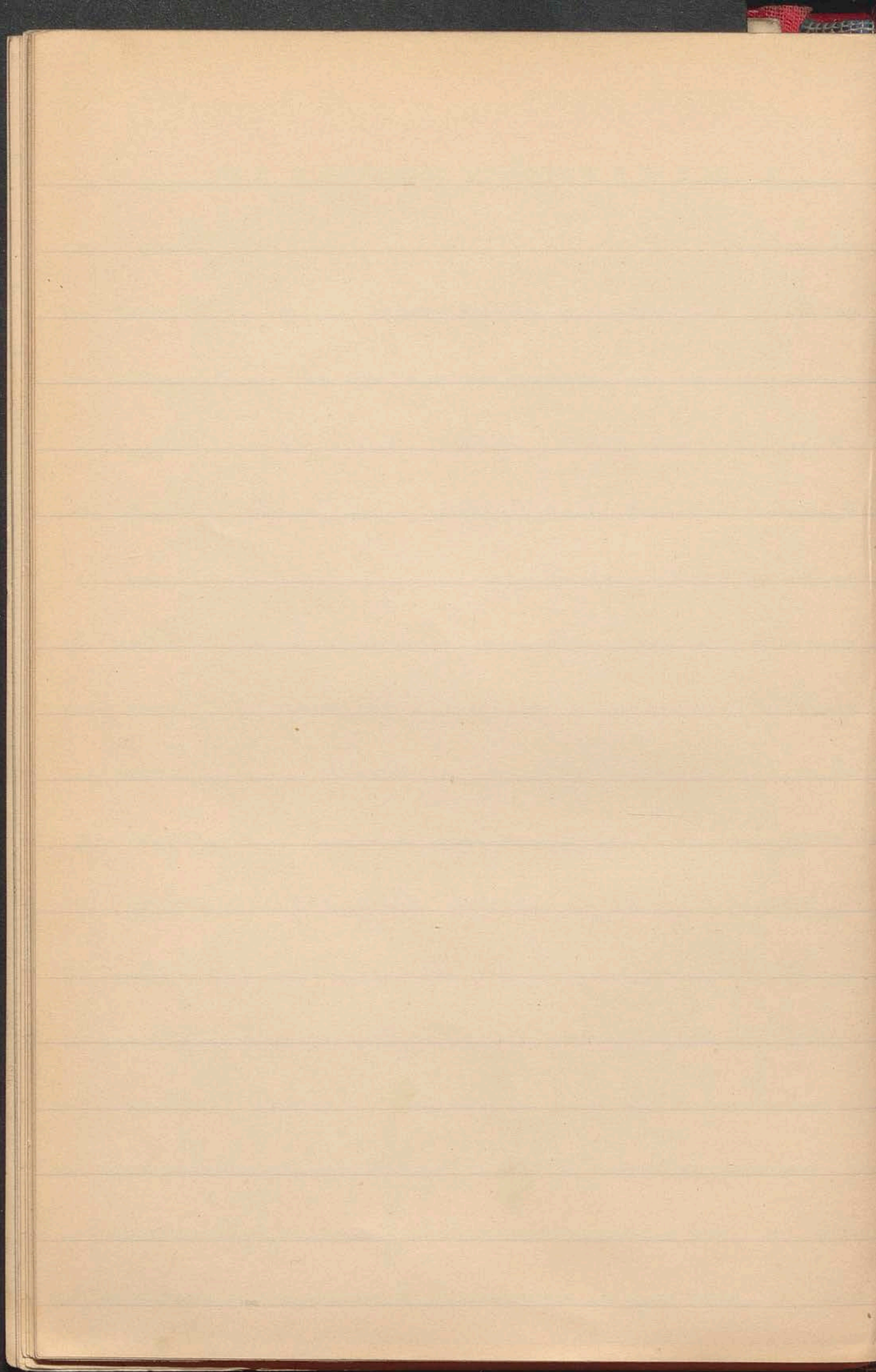
Pokazałem, a i on patrzał na nią, ale się nie przywitał, i ona mu nic nie rzekła. Myślę — zdało się coś!

Wieczorem robotnik wstąpił, chciał kupić chleba. Zabawił małą chwilę, zapłacił i poszedł.

Jam i zapomniał o tem po paru dniach, ale robotnik był mi wciąż na oczach i pamiętny, bo leniwy był i zuchwały. Raz i drugi naganiać musiałem i burczeć, a że się nie poprawiał i pyskował, przy tygodniowej wypłacie u drogowego majstra zameldowałem go do kary lub wydalenia, a że robotników nie brakowało, majster bez długiej sprawy wypłacił mu zarobek i kazał iść precz. Ten się wypraszał, tłómaczył, a że go nie słuchano, do mnie się odwrócił i powiada:

— A ty czego się panoszysz! Czy z tego, żeś dziewkę uliczną za żonę wziął?

Takem do niego skoczył, i tak zdławił, że ledwie nas majster rozdzielił



i tego za drzwi wyrzucił.

Od tej obelgi tom był jak pijany, przyleciałem do domu, trzęsąc się, jak w febrze.

— Co tobie? — przeraziła się Mańka na mój widok.

Powiadam co było, ledwie ze zgrozy duszę słowa, a tu ona, jak stała, tak i runęła mi do nóg i zmartwiała — bez ducha leży.

Porwałem na ręce, zacząłem cucić, rozcierać, a taki mnie strach uchwycił, jakbym sam konał.

— Co tobie, Mańka, co tobie? — wołam.

A ona ledwie się ocknęła, znowu mi do nóg, po ziemi się włóczy i coś bełkoce, coś jęczy.

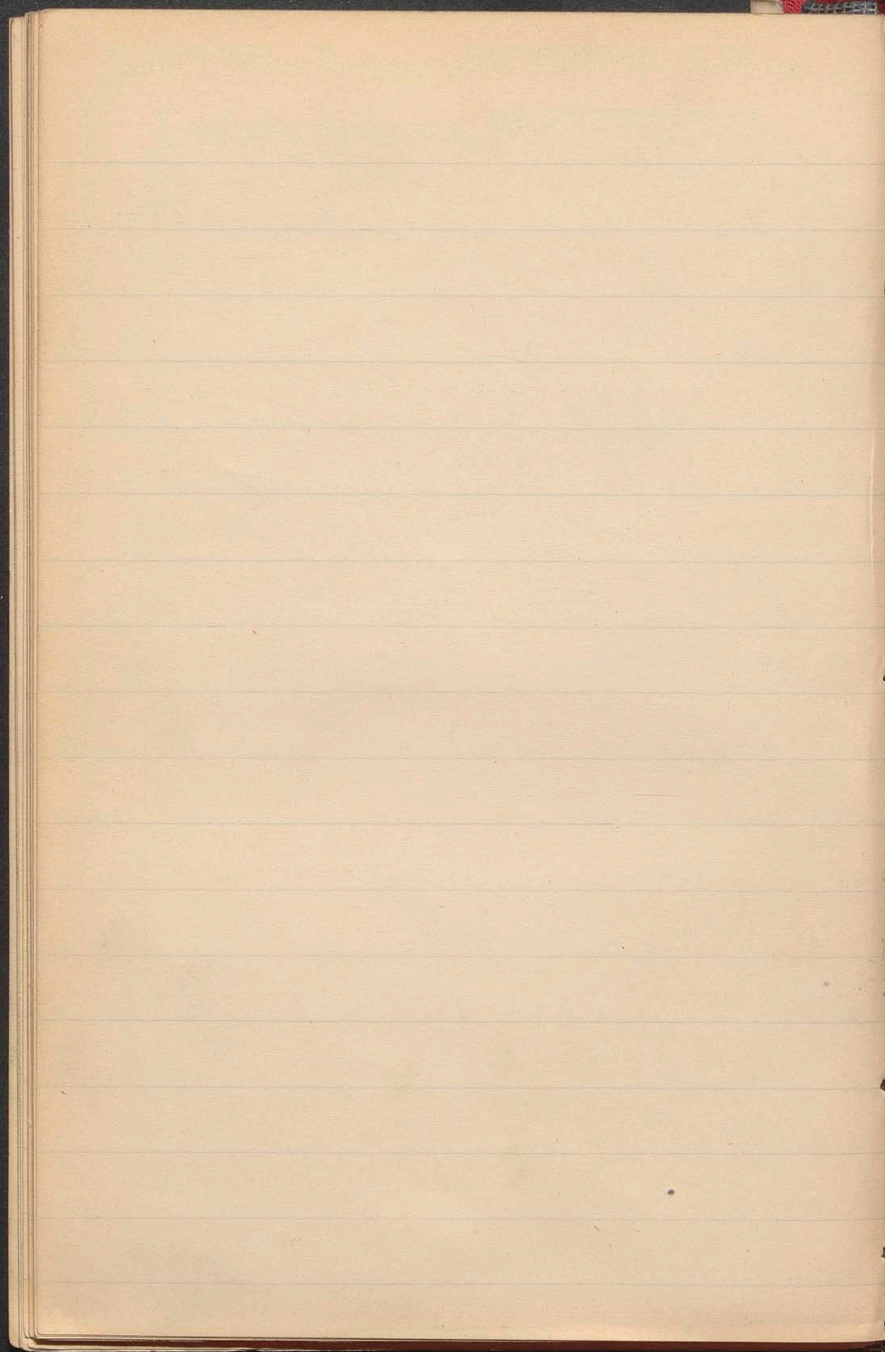
— Co tobie? Opamiętaj się! Toć nie prawda! — mówię bez tchu.

A ona się poderwała na kolana, a taka straszna się zrobiła, żem nie poznał.

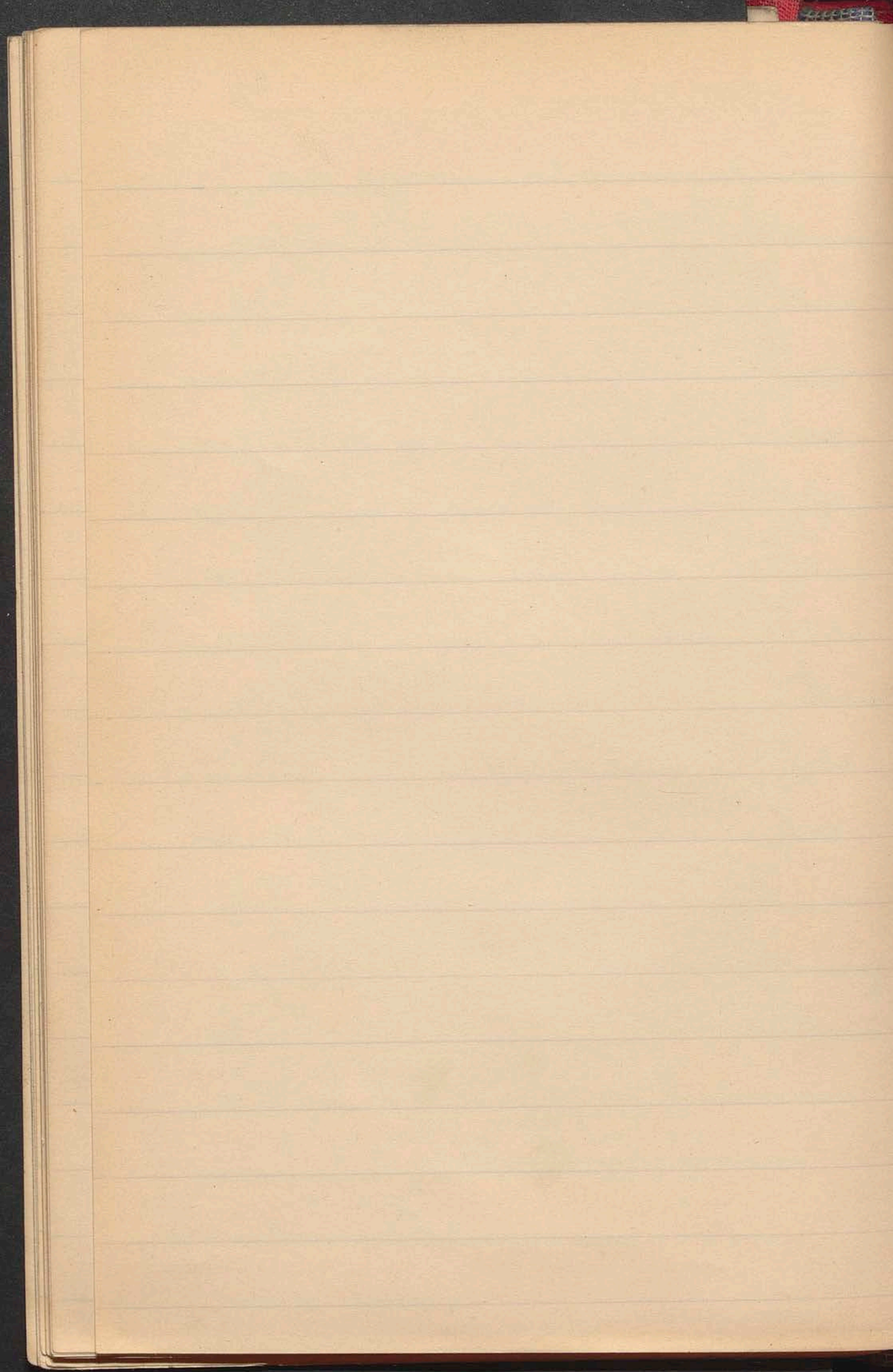
I słyszę, że mówi, ale i głos cudzy.

— Zabij mnie! to prawda!

Takem i zdrętwiał.

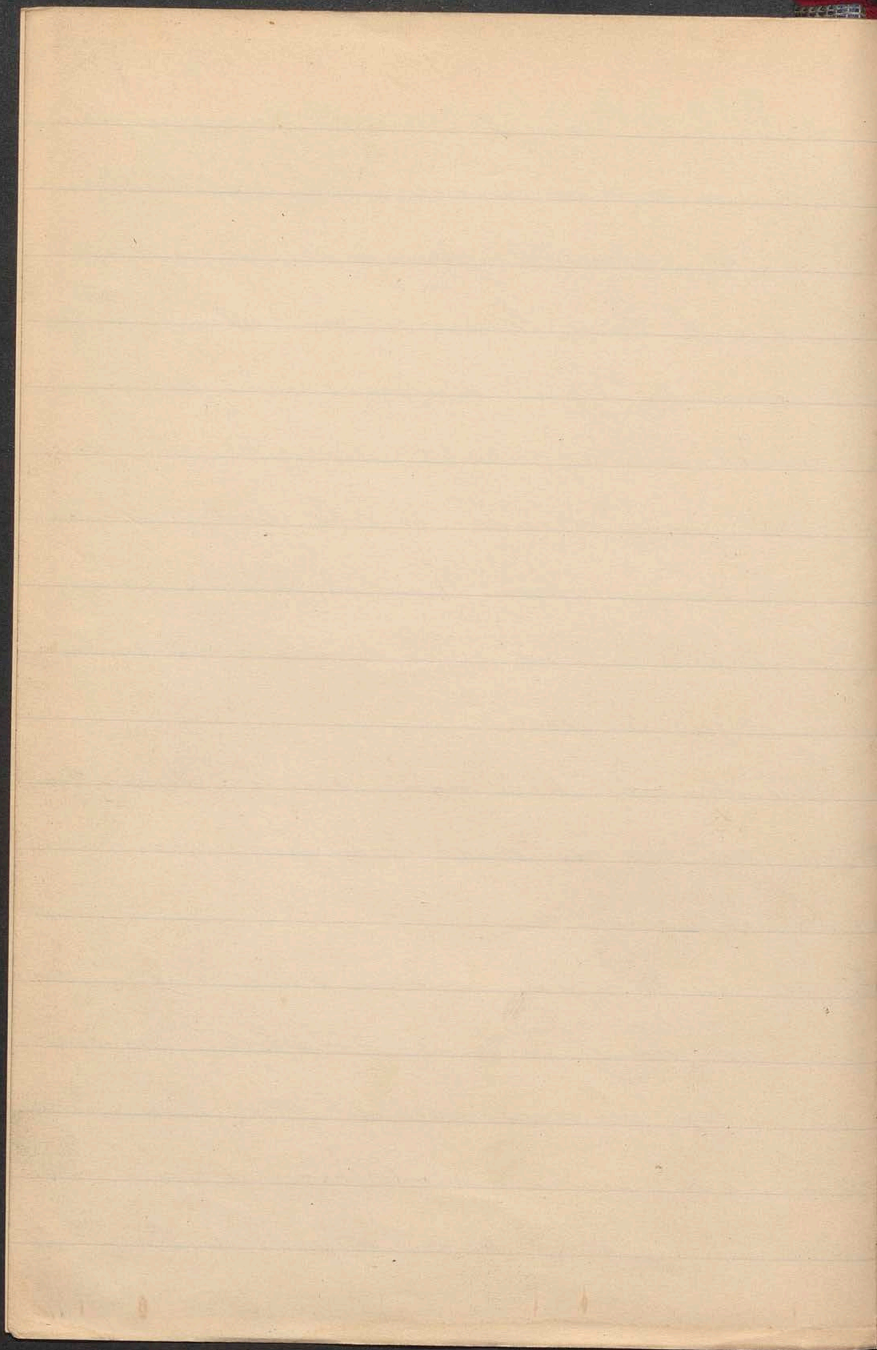


Ot, czysto jakbym umarł. Takem na ławie siadł, i już się nie oderwał. Patrzę na nią i jakbym nie widział, jakby jej nie było, patrzę po izbie i izby nie poznaję, a we mnie to zrobiło się tak zimno i straszno, jakby w jakimś lochu. I wszystko mi jedno! Ona mi u nóg leży i szlochając się spowiada. Słucham, ale mi wszystko jedno, co gada. Powiada, że w tym dworze, gdzie sierotą została, panicz ją zgwałcił, że uciekła wśród nocy, gdy się matka poczuła, że dobiła się do Bobrujska, tam w nędzy przebyła straszne czasy, aż wreszcie dostała służbę uczciwą. Takie męki opowiada, że kamieńby się wzalił, a mnie już wszystko jedno. Słucham i słowa nie mówię, niema we mnie ni złego, ni dobrego — ot drewno!



119 109

A potem nogi moje całuje i przeprasza, i przysięga,
że mi życiem zapłaci, że moją łaskę i dobre słowo —
a mnie już wszystko jedno — patrzę na nią jak na
cudzą — i a to życie, to mi całkiem jedno, jakie będzie.
Jak zwał się sygnał sznelcugu, co po północy przed-
tem wstał, latarnię zapalił, i wyszedł.
Przeleciał pociąg, wróciłem do izby, patrzę, skulona
siedzi na ziemi w kącie. Zgasiłem latarnię, i mówię.
— Gaś światło, i kładź się. Co się stało nie odstanie —
niema więcej co gadać."
I położyłem się. Rano wstaję — ona tak samo skulona
siedzi — już nic nie mówi, tylko patrzy na mnie.
— Śniadanie dawaj! mówię.
Porwała się do roboty — milczym oboje — i takem po-
szedł na linję. Jużem się nie obejrzał na dom,
anim nikogo ni czego wyglądał przez dzień. Przy-
niosła obiad, zjadłem, spytała coś o ogród, odpo-
wiedziałem — ani czuję — by mi czem była. Wieczorem



zjadłem sam wieczerzę, anim się zatroszczył, że jej obok mnie na ławce niema, że nie je razem.

Tak było z tydzień, aż wreszcie ona nie wytrzymała – znowu mi do nóg pada.

– Janku, pyta – co ze mną będzie. Albo zabij, albo odpuść. Niech wiem, co myślisz. Nie wytrzymam!

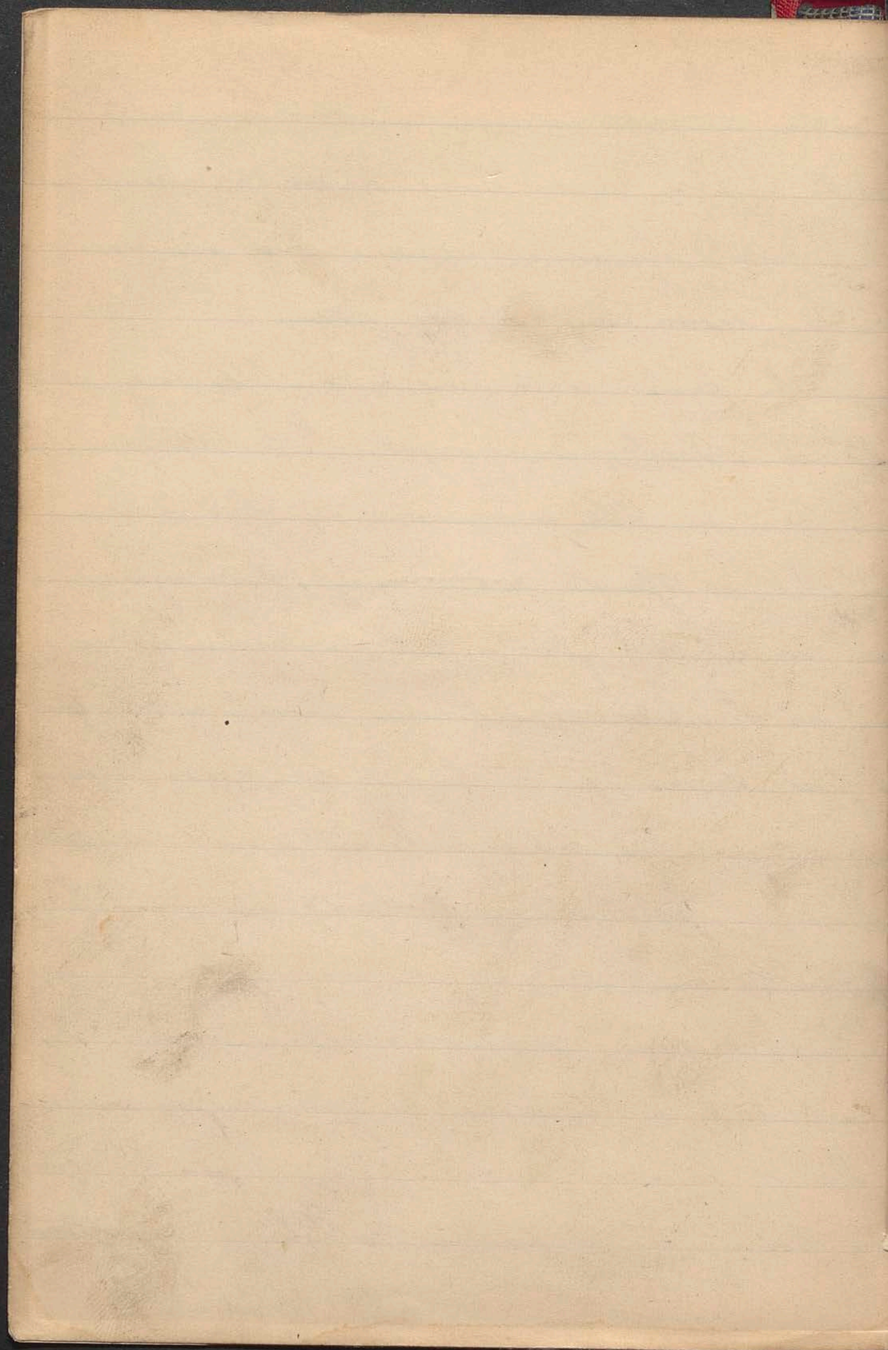
Ja sam nie wiem, co we mnie się stało. Zabić jej nie chcę – a odpuścić jakże można – kiedy zapomnieć nie można. Tak patrzę, patrzę – i niewiem co rzec.

– Czegóż byś chciała, mówię wreszcie. Inny by cię zakatował, i precz wygonił – ja ci krzywdy nie zrobię. Co więcej można. Jakem ja ciebie pokochał i brał – nie jesteś, a wierzyć tobie już nie potrafię. Ale cię nie rzucę, i opiekę dam – więcej nie!

– Jakże mi żyć! powiada

– A jak mnie, to nie pomyślisz? odparłem.

Nic mi więcej nie rzekła, pokrzątała chwilę, potem się podźwignęła – i poszła do komina, do roboty.



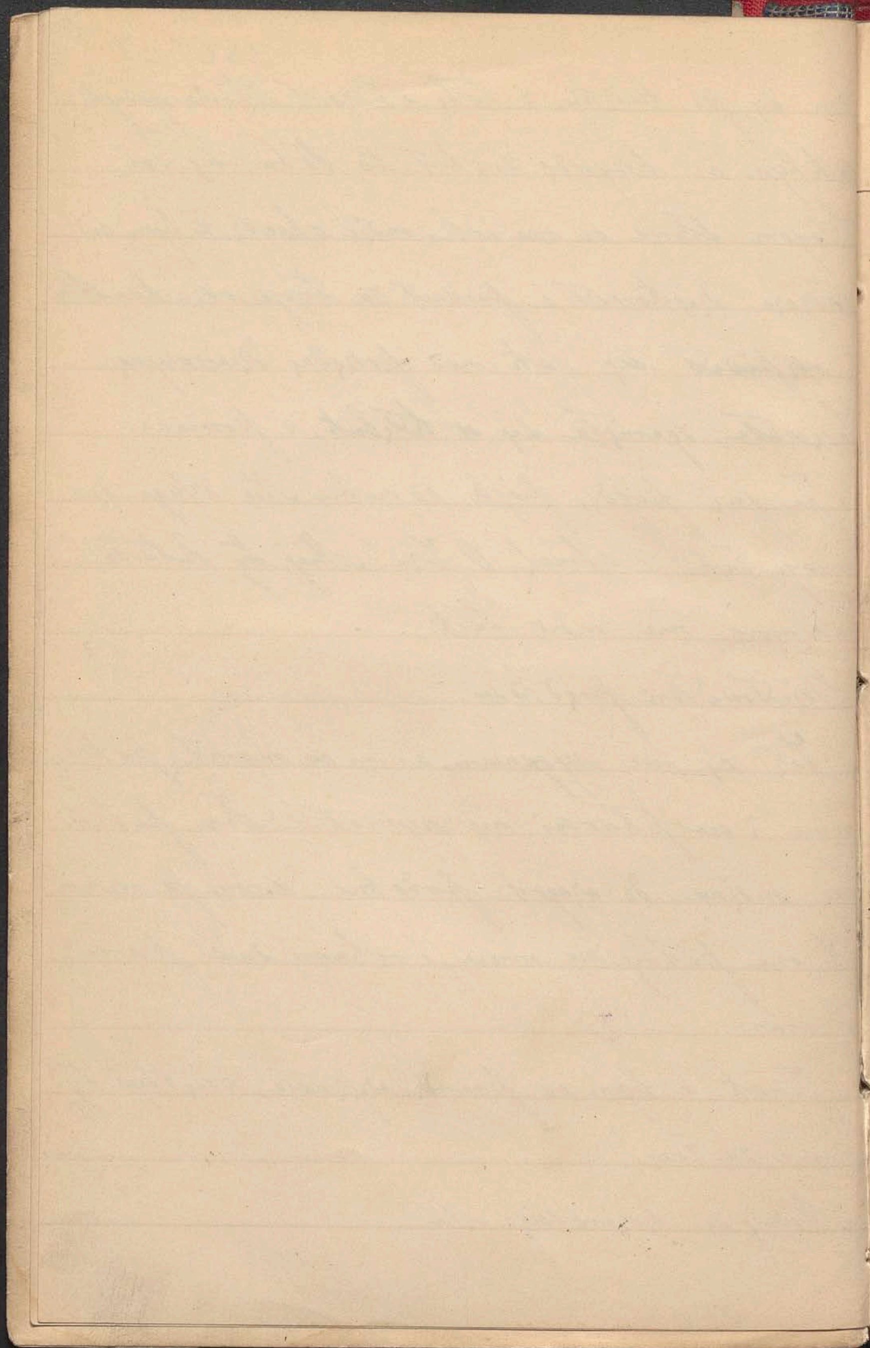
Stała się ta izba nasza taka smutna, jak izba takiej wdowy, której ostatnie dziecko w trumnie wynieśli. Jeszcze czas jakiś ona nieboga pracowała szczerze, zda się, zgadywała, co trzeba; doglądała, patrzała w oczy, chcąc zgadnąć, czy zawziętość odpuszczam, zagadywała pokornie. Nigdym jej niechęci nie okazał – ale tak mi się zdawało, na nią patrząc, że nikogo niema, a słuchałem mowy, jak drogą idąc, słucha się – co mowy mijający.

Potem przestała się odzywać. Gdy przyniosła obiad, tośmy nie zamienili słowa, a wieczorem, to siadywała w ciemnym kącie, bez roboty i ruchu, a jakem zagadał, to jakby ze snu się budziła, i często odpowiedziała bez związku, a ginęła w oczach; nie widziałem, by kiedy jadła, czy spała.

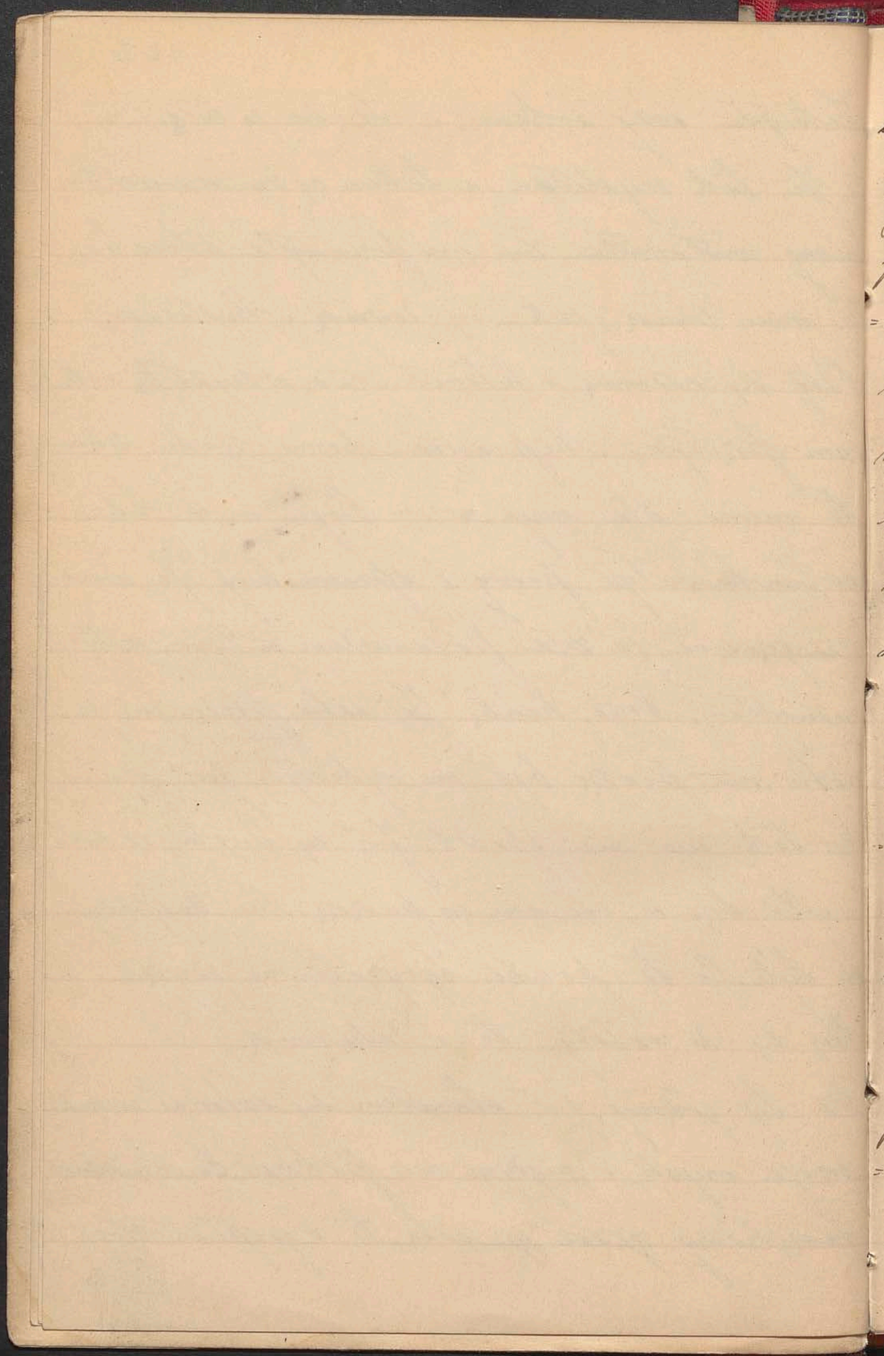
Tak raz powiadam, już z irytacyą.

— Ty się opamiętaj, kobieto. Toć tak się wydaje jakbym to ja tobie zawinił. A to pożałuję

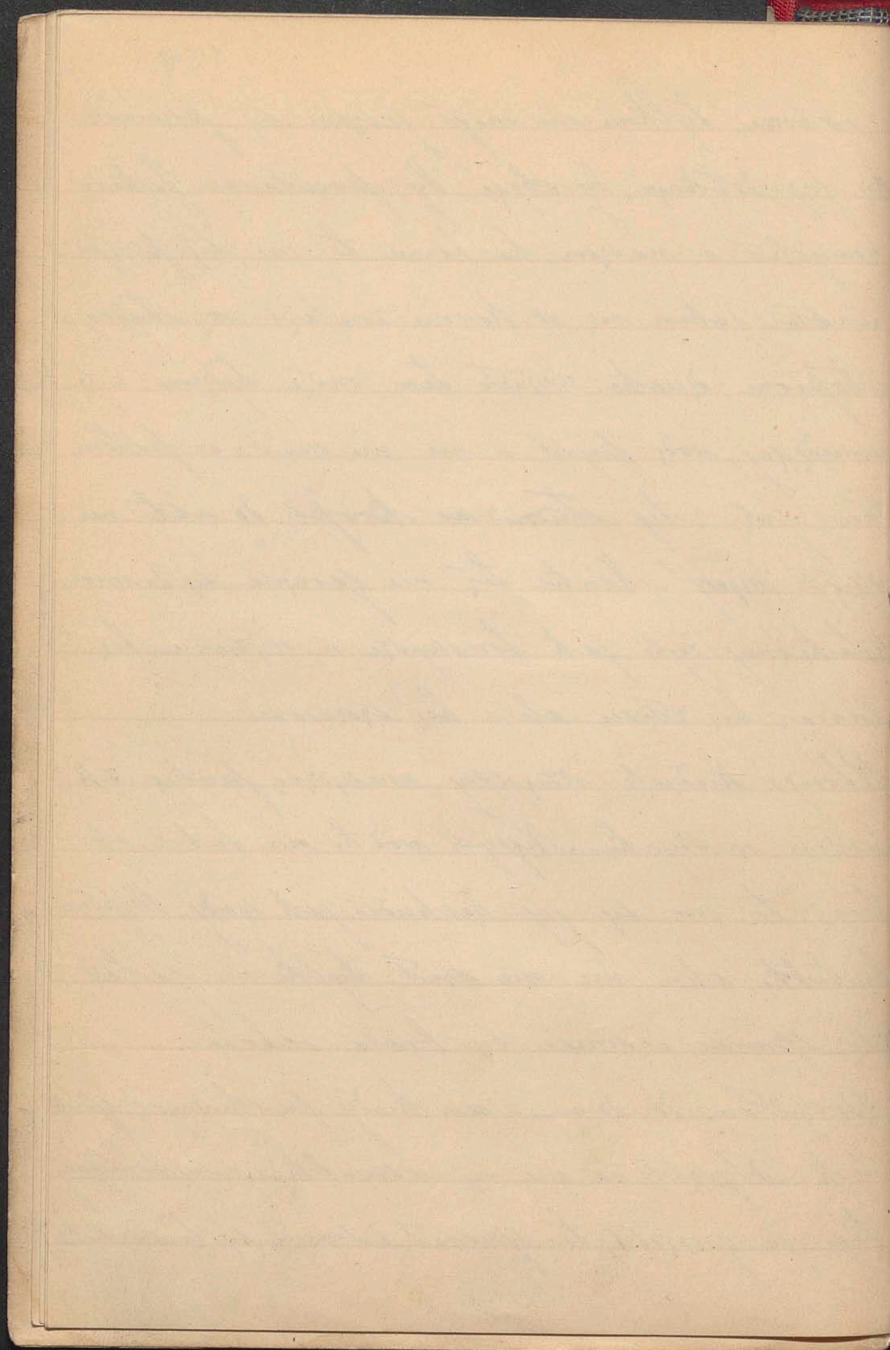
żem się po kiedku z tobą obszedł. Chimeryczysz - jakbym ci krzywdę zrobił. Co tobie się roi. Żtegom słowa ci nie dał - może chcesz, żebym ci jeszcze dziękował i pieścił za twoje oszukaństwo, i rozpadał się jak nad porządną dziewczyną. Zajęczała, zgarnęła się w kłębek, i powiada.
— Ja już pójdę, pójdę od ciebie. Nie długo - ino zmogę żal i strach. O Jezu! Niej ty ktosś nademną - nie mów tak.
Pozałowałem pogdkośći.
— Już cię nie wyganiam, anim co mówił, pokiś mnie z cierpkwości nie wywiodła. Toć patrzeć nie można, do czegoś podobna - a com ja winien. A ona patrzy na mnie, i rękami dusi piersi - i mówi:
— Janek - a bym ci prawdę wyznała, wziąłbyś ty mnie za żonę.
Mówię ze szczerością: Nie.



zakryła oczy rękami, i trzęsie się cała.
— Ja tak myślałam – a takem cię ze wszystkiej mocy miłowała – żem nie przemogła strachu że mnie rzucisz – jak się dowiesz. Myślałam – Bóg się nademną ulitował – nad wszystkie męki com przeszła. Nieprawda – komu zguba sądzona to niema dla niego ni u Boga ni u ludzi ratunku. Tyś prawy i sprawiedliwy, ja winna – ja grzeszna, ja zła. Połamałam ci życie, wstyd naniosłam, brud, hańbę! Ja sobie pójdę, już ja ciebie nie proszę byś mi wybaczył, już czuję – że tak żyć nie sposób. Już cię uwolnię od siebie.
— Nie trza ci iść, ani cię puszczę. Nie desperuj że tyle. Co to pomoże. Zgryzota nie odejdzie. Weź się do roboty – to i zapomnisz.
Od tej godziny, już starałem się schować w siebie swoje myśli, i nigdym nie pokazał, co mnie żarło. Zaczęliśmy gadać ze sobą, to o gospodarstwie, to



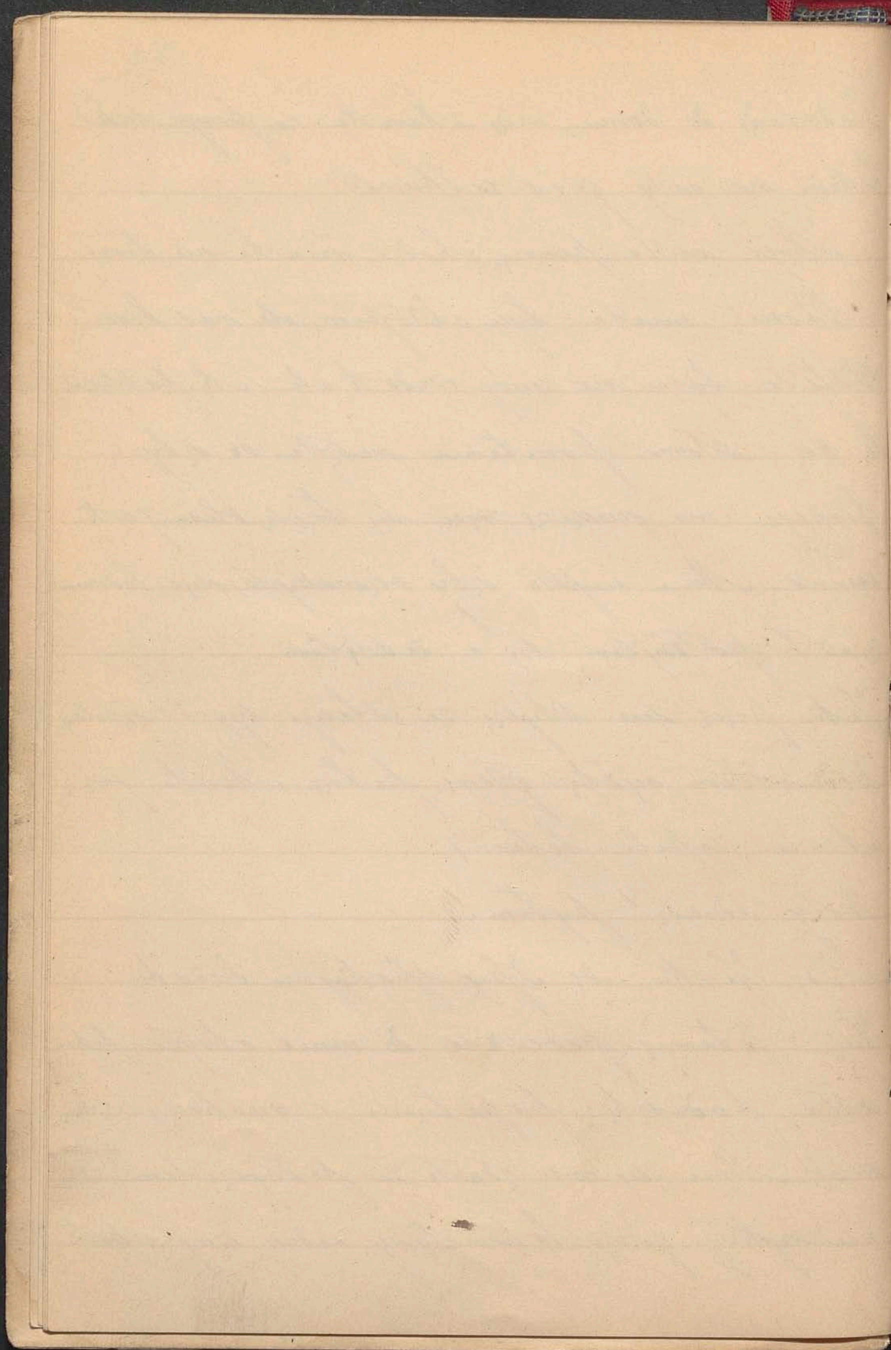
o robocie, tylkom nie mógł jeszcze się przemódz
by jej dotknąć, by objąć, by pocałować. Jakem
pomyślał o naszem kochaniu, to mi się przypo=
=minało – jakem raz w Kownie znalazł w studni
utopione dziecko. Leżało tam może tydzień – a ja
niewiedząc, wodę pijał, i nic nie czuł – a potem
tom już z tej studni ni kropli do ust nie
wziął więcej! Mańka też nie garnęła się do mnie,
i takeśmy żyli jak towarzysze w więzieniu, bez
swarów, bez złości – ale i bez szczerości.
Któryś niedzieli – wziąwszy miesięczną pensyę – zaba=
=wiłem w szynku. Nigdym wódki nie lubił, ale
teraz to mi się jej zachciało jak wody. Wypiłem
butelkę, alem nic nie czuł – tylko mi jakoś
źle śpiewać i śmiać się brała ochota.
Poszedłem do domu, i com kiedy paskudnych śpie=
=wek słyszał, to mi się wszystkie przypomniały
tom je gwizdał, to śpiewał, i śmiał się sam do siebie



podchodzę do domu, widzę Mańka na progu siedzi-
takiem na cały głos zaśpiewał:

Moja miła panną chodzi, wianka nie traci
Chociaż miała tyle chłopców, ile nas braci!

Wstała była na mój widok, ale jak posłyszała-
ła bez słowa powitania weszła do izby.
Podaje mi wieczerzę, ręce się trzęsą, blada jak
ściana. Mnie ciepło izby rozmarzyło, więc ledwim
zjadł położyłem się i zasnąłem.
Jak przez sen słyszę ze stacji sygnał sznelczugu
podniosłem ciężką głowę, patrzę — Mańka już
ubrana, zapala latarnię.
— Ty idziesz? pytam.
— Idę, Jaśku, idę. Śpij spokojnie, biedaku!
Już z latarnią podeszła do mnie, okryła, popra-
wiła poduszkę — popatrzała, i wyskoczyła na
dwór. Mnie się coś zdało, że posłyszałem —
niezwykły gwizd lokomotywy, jeden, drugi — potem



huk przelatującego pociągu — potem znowu gwizd, jakiś szum, zgrzyt, alem się nie poruszył, ani rozbudził zupełnie. Dopiero zerwałem się na nogi — na wołanie i stukanie w okno.

Wyskoczyłem, od razu wytrzeźwiony. Myślę — pociąg się wykolejił. Na plancie, przy zastawie ludzie z sygnałowemi latarniami krzyczą, wołają:

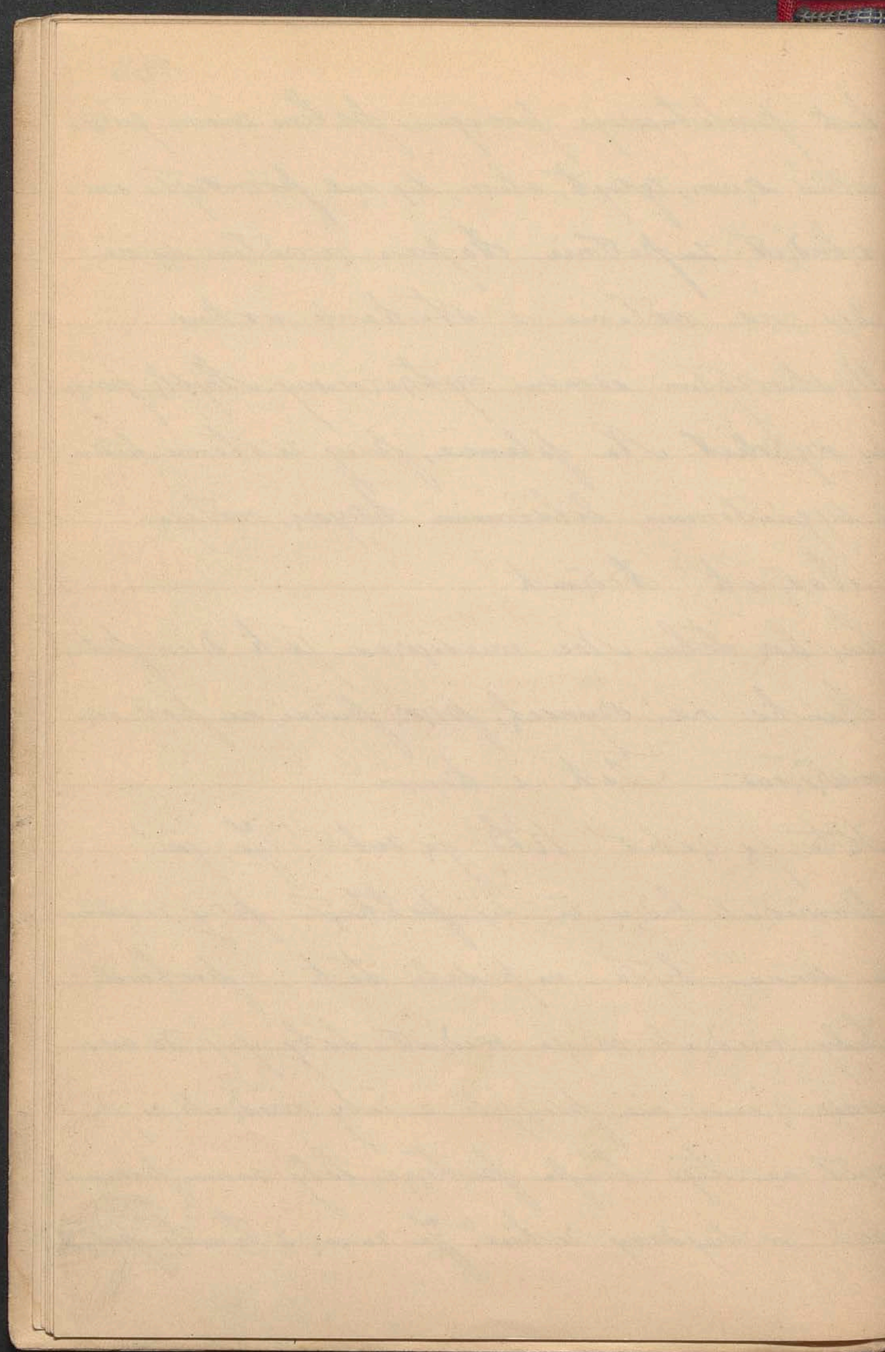
— Dróżnik! Dróżnik!

Lecę bez tchu. Noc miesięczna jak dzień. Patrzę Mańka na szynach, przez piersi, na pół roz-miażdżona. Tak i koniec!

Kto ją zabił! Kto ją zabił! Ja, ja!

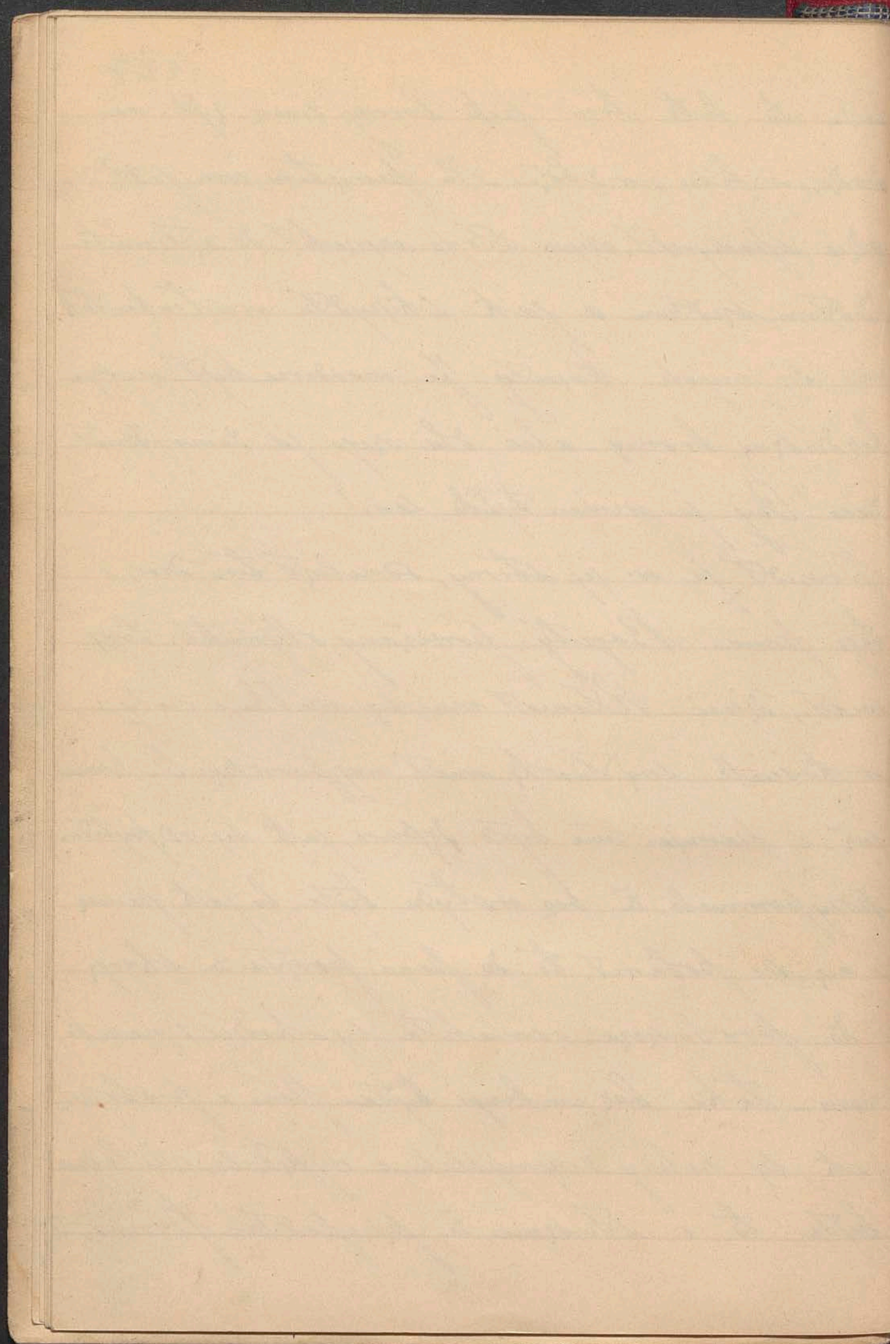
Powiedzieli ludzie, że się potknęła przy zastawie, że senna była — napisali tak — i pochowali.

Żeby wiedzieli, co ja wiedział — toby jej do świę-conej ziemi nie przyjęli — a żeby wiedzieli, co ja czuł, na tego trupa patrząc, toby mnie powinni byli w kajdany zakuć. Ja zaraz z tamtego poszedł

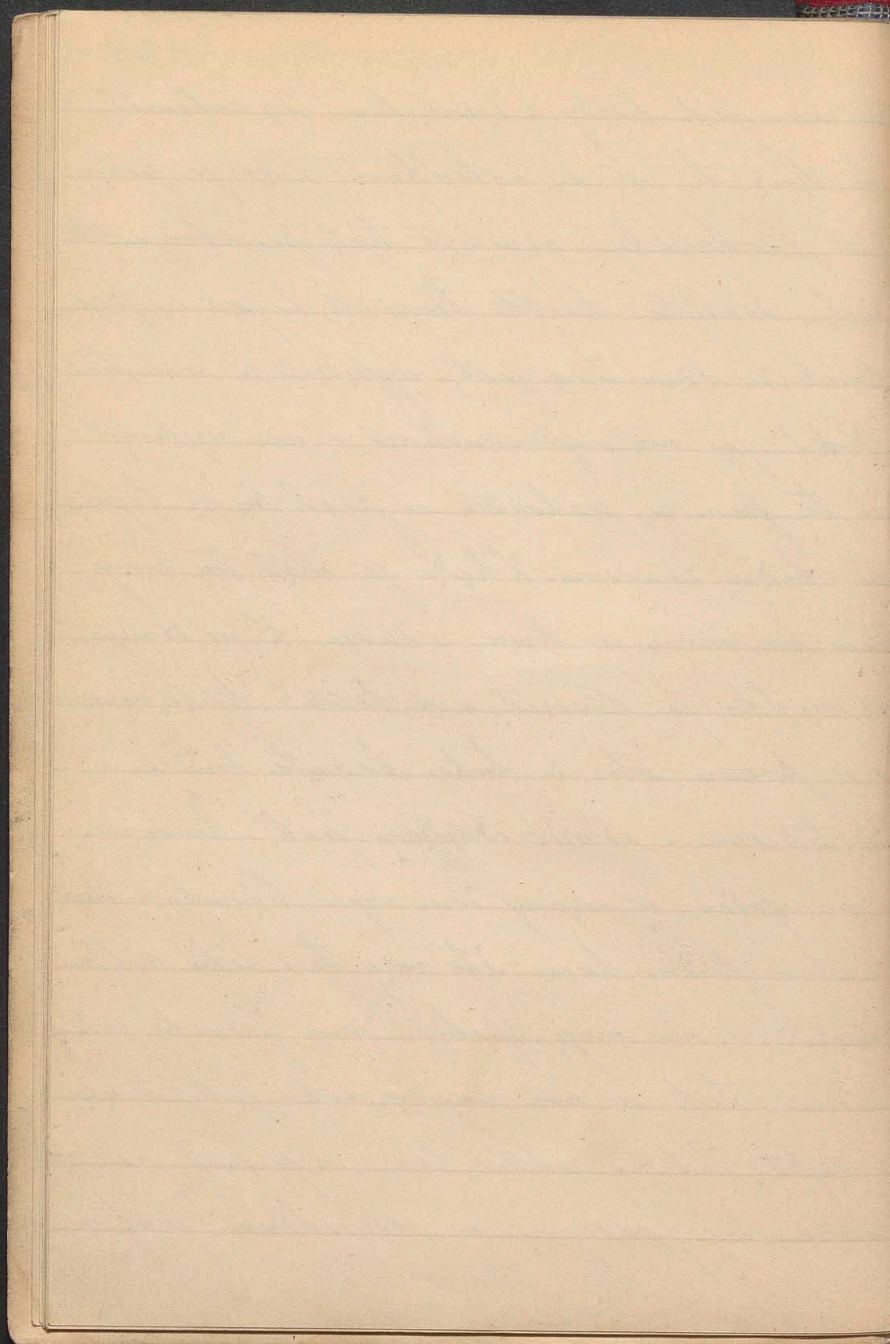


Całe to lato tom jak borowy zwierz żył – na drodze, w lesie, w zbożu. Nie pamiętam com jadł, gdzie spoczywał, czym słowo wyrzekł do człowieka. Jadłem, szedłem, a jak skrzydła wiatraka – tak mi się myśli kręciły. Ja morderca był – maszynę bezduszną bronią – ależ dla czego ja zamordował, zaco? Czy ja winien tylko sam?

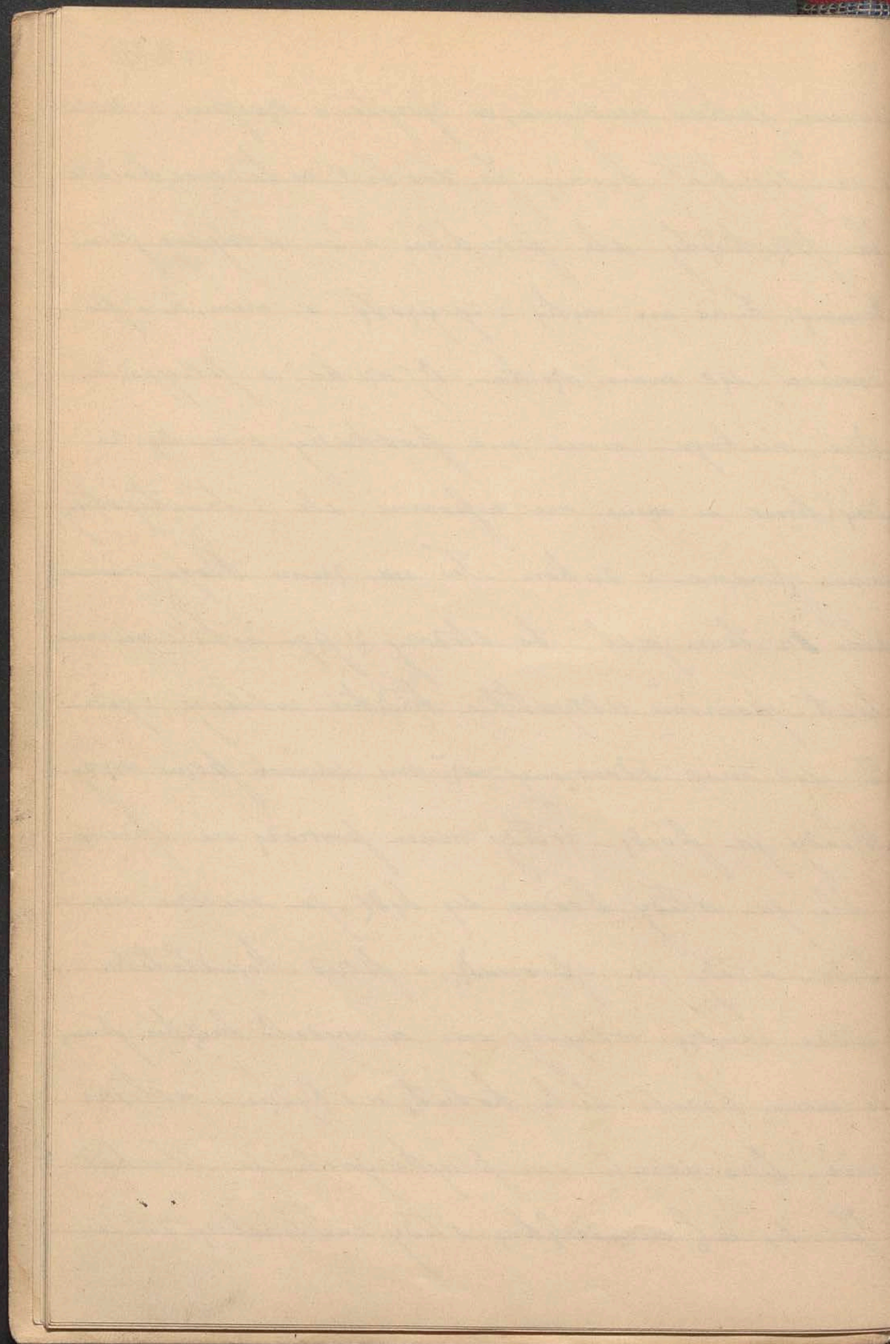
Poszedł ja w jej stronę, odnalazł ten dwór, i tego pana. Bogaty, poważany obywatel. Żonę miał, dzieci. Kłaniał mu się wielki i mały – w kościele swą ławkę miał najpierwszą. O Mańce już i pamięci nie było, dopiero, jak się rozpytałem przypomnieli, że bez wstydu była, bo jak panicz z nią się pobawił, to do pani poszła ze skargą – i do proboszcza ośmieliła się chodzić z narzekaniem – taka bez ambicyi była. Pani i proboszcz jak się należy zrozumieli, i wypędzili, i że ladaco była to i słusznie, że przepadła. Panicz,



wiadomo, jak każdy, z dziewczętami się zabawiał-
ale teraz, to już się ustatkował. Był ja potem
i w Bobrujsku - odnalazł tych państwa, u któ-
=rych służyła - krótko trzymali, bo jak się prze-
=konali, że brzemienną jest - wypędzili ze wszystkim.
Nikt jej nie usprawiedliwił, i nie wybronił-
ni ta pani co ją chowała, ni proboszcz, ni to państwo,
ni ludzie znajomi. Także ja miał być innym-
zaco na mnie jej krew i dusza. I w domu
od matki ja słyszał, i w kościele ksiądz nauczał,
i w prawie stoi, że taka kobieta brudna i
potępiona, i od czci odsądzona jest, i hańbę niesie,
i nie godna w uczciwy dom wejść. Oszukała mnie,
miałem prawo karać. Sto razy tom sobie wytłu-
=maczył - i nie mogę spokoju mieć. Jednako jak
w dzień tak w noc, czuję w sobie jakąś duszność
i szept: zabiłeś, zabiłeś! Coś innego jest na
świecie, coś fałszywego we wszystkim - jest na

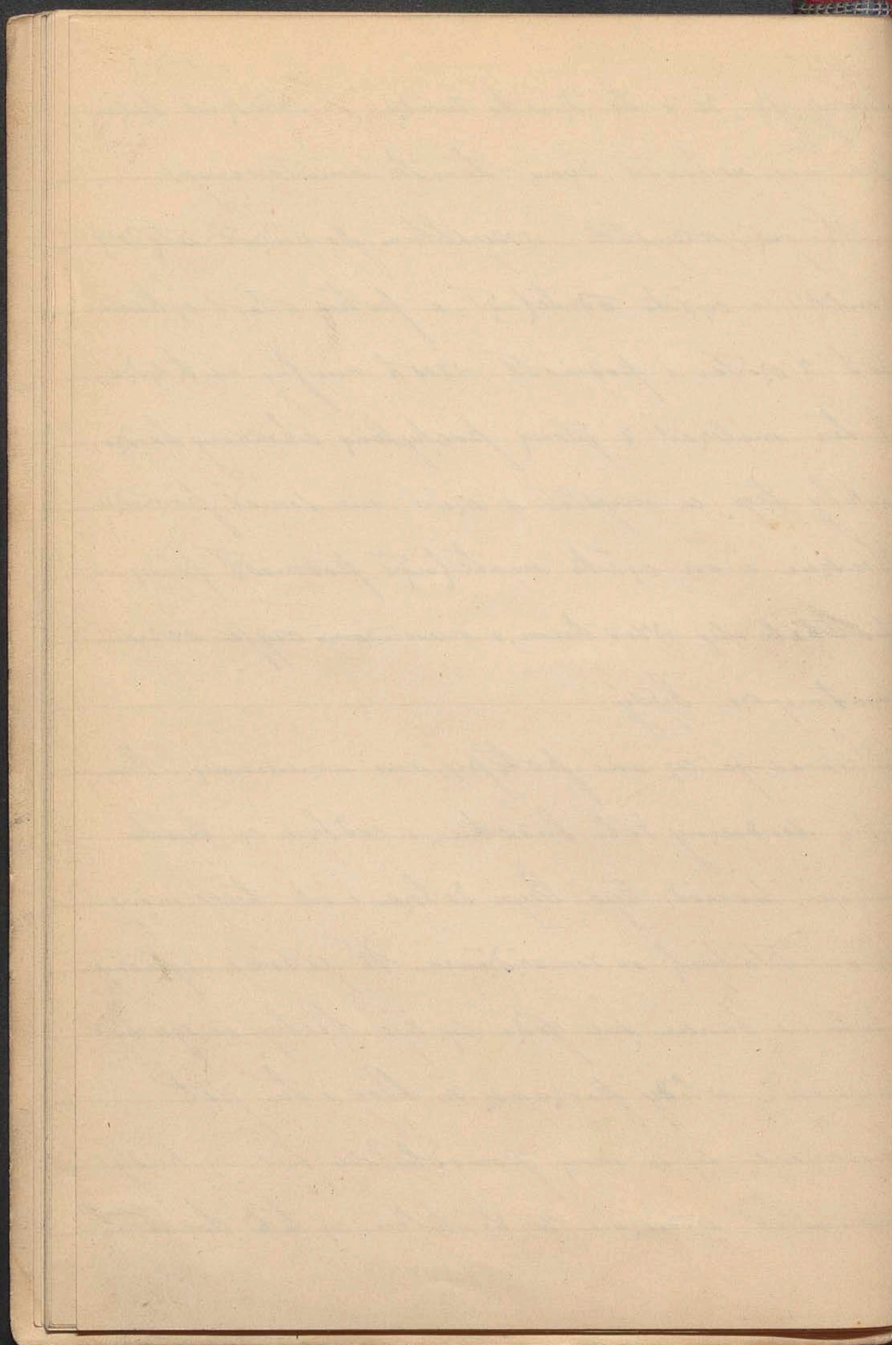


świecie jakaś maszyna, co zgryzła i szarpie, i dusi-
a ja jej był bronią. Ja zrobił - co ta moc kazała.
Ja przeklęty - ale przeklęci i ci wszyscy - prze-
demną. Życie mi męką i zgryzotą - a wiem, że i po
śmierci sąd mnie czeka. O! czeka i przyjdzie!
Ona - nieboga - mnie nie poskarży, ona się za
swą krew u mnie nie upomni - ale z tamtej strony
inne prawa i zakon. Tu na ziemi Boga niema -
ale On tam jest - bo słedczy z jego iskrą - we mnie
jest - pomimo wszystkie ludzkie ustawy - i gada -
że sąd mój odwoczony - aż mi śmierć porwie wszczy-.
Wtedy ja pójdę - wtedy mnie powiodą na sprawę.
Ale ja wtedy bronić się będę - ja milczeć nie
będę - wtedy ja sprowadzę, i przed Majestatem
gadać muszą wszyscy oni - co wydali ludzkie prawa,
co mnie kazali taką kobietę w ohydzie i wstręcie
mieć. Oni uczyli, oni przykazywali - ja słuchał!
Ja się ich nie zalęknę wtedy, ani zmilczę, ani się



Majestatu nie strwożę – i powiem: Ojcze – jeśli
mi sługi i urzędniki twoje – i uczą jakieś kazał-
tom tej krwi niewinien – a jeśli uczyli mnie fałszu
to ukaż je jednako ze mną. I wtedy prawda
się stanie – i słuszny wyrok usłyszę, i jeśli On
mnie skaże – odetchnę z męki. A do tąd nikt
mnie nie uspokoi, ni pocieszy, ni rozjaśni co mi
ciemne. A tylko wiem, że mi gorzko i sromotnie,
i pusto – i tak już mi będzie do końca!
W męskie ja już słowo, ni sąd, ni prawdę – na
tej ziemi nie wierzę! Tu tylko maszyny są – co
wszystko miażdżą – ciała i dusze i myślenie!
I nie lękam się też niczego na tym świecie – żadnej
klątwy. By mnie ksiądz w swem pokutowaniu i
rozgrzeszył – nie pozbędę się duszny zgryzoty, by
odmówił odpuszczenia grzechu – to tem już nie udręczy
gorzej. Nie powesele się, bym zebrał grosz – nie będę się
troskać, gdy śmierć nędza i głód przyspieszy.

pewny ja, że i to dziecko zamrze, i słusznie będzie-
bom nie uchował życia tamtej umiłowanej! — —
I to już wszystko - wszystkom powiedział całą dolę!
Umilkł i ciężko odetchnął, a potem otarł rękawem
pot z czoła, i podniósł wzrok nieufny na księdza.
A ten milczał z głową pochyloną, chmurny bardzo,
jakby tego co myślał i czuł, nie śmiał powiedzieć.
Wreszcie i on ciężko westchnął, podniósł głowę - i
spotkali się wzrokiem, i niewiadomo czyje oczy
smutniejsze były.
— Gedras, ja cię ani potępię, ani uniewinnię. Mnie
ciebie serdeczny żal, biedaku, i radbym ci ~~tylko~~
ulżyć, pomódz żyć. Czyń dobrze, i ile twej mocy
chroń słabych od zmiażdżenia. W jałowej rozpaczy
i żalu i buncie nie godzi się żyć. Ratuj od zguby
bliźniego - wtedy poczujesz, że Bóg i tu jest.
Czy chcesz się ze mną pomodlić? czy tyś się kiedy
pomodlił serdecznie, za tę, która cię tak kochała?



Jędras podrząsnął głową.

— Nie - nigdym nie śmiał. - szepnął.

— Nie masz rzeczy. Wszakże rodbyś ją przeprosić -

a jakże to uczynisz inaczej jak przez Boga -

Poklęknij, zmówmy za nią pacierz.

Jędras usłuchał, uklękli obok siebie u okna,

ksiądz odmawiał pacierz, tamten poruszał ustami,

i trząsł się jak w febrze. Gdy powstali ksiądz

mu rękę na głowie położył

— Codzień, o tej samej godzinie, ja za was ten pacierz

odmówię - jak zechcesz razem być, to ty tam u siebie

także się pomódl. A w każdej życiowej potrzebie

i sprawie, do mnie jak do przyjaciela przychódź

A teraz idź z dobrą myślą do dziecka - nie zamrze

Bóg ci je dał na pociechę - uchowasz!

Blask otuchy rozjaśnił oblicze Jędrasa - pochy-

=lił się do ręki księdza - i bez słowa - wyszedł.

Biegł z powrotem bo zmierzch już był. Gdy wchodził

do izby serce mu biło młotem.

Ogrodnikowa drzemała na ławie - w kołysce było

cicho.

- A co, przynieśliście śledzi?

- Jest wszystko. A jakże dziecko?

- Śpi. Napoiłam rumiankiem. No i z moim się rozmó-

wiłam. Żąda się, żebym raz na dzień pokarmiła

to niebożątko, ale jeśli dacie z góry dziesięć rubli

i piętnaście na Nowy Rok.

Jędras uchylił szmatę z kołyski, i zajrzał.

- Dam jako żądacie, byle mi żyło. rzekł

Ogrodnikowa aż zdumiała. Spodziewała się protestu

i targu, żałowała, że nie zażądała więcej, choć i tak

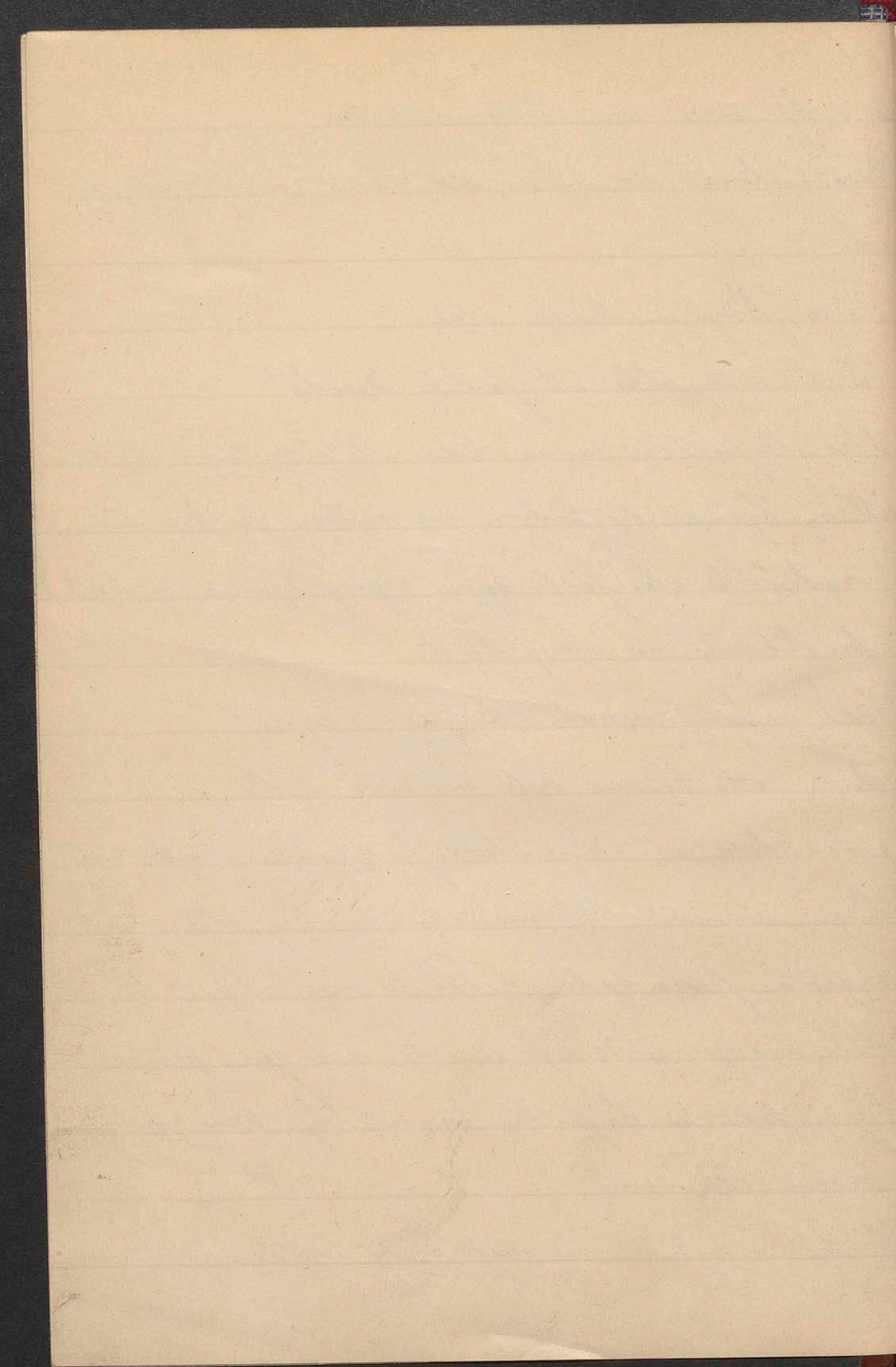
naciągnęła pięć rubli nadto, co mąż chciał.

- Albo zwaryował do tego dziecka, albo ma, szelma,

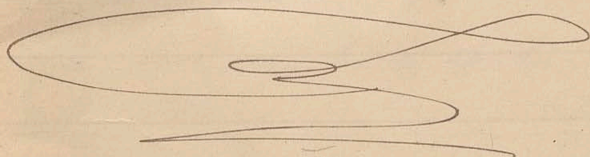
dobry zapas w kuferku mówili tego dnia wieczorem

w gronie rodzinnem.

Ale Jędras zapasu nie miał. Żeby dopełnić pierwsze



dziatje nawet sprzedał dziadowski zegarek — pamiątkę lepszych czasów — a by wypłacić drugą ratę — wyzbył się świątecznej odzieży, kożucha i kwartalnej pensyi. Zostały mu tylko łachmany, dwie koszule; został bez grosza na tytoń aż do wiosny; przymierał głodem, bo ordynaryę w większej części sprzedawał na mleko i bułki dla dziecka, ale ponosił te ofiary bez najmniejszego wahania — bo dziecko żyło, zdrowe było ~~rosło~~ — znało go — uśmiechało się na jego widok.



IV.

Domek Jędrasa miał jedno okienko, na drogę do pałacu. Zimą mróz je ubierał w gwiazdy i kwiaty latem widać przez nie było żwirowaną drogę — i sztachety dworskiego ogrodu, za niemi gąszcz zieleni.

Gdy dziecko jak kurczę z jajka wykluło się z kołyski, i poczęło patrzać ku okienku temu poczęły jej oczy pragnące światła, jej myśli ciekawe rozumienia. I pierwsze bełkotliwe słowo było: Tato - co to?

A że wtedy właśnie zima była, więc Jędras na ręce ją wziął - szybkę oddechem rozgrzał, rękawem trochę wytarł, i pokazał:

— To świat - ale tam zimno, źle.

Oczki dziecka zmrużyły się od blasku śniegu, ukryła twarz na piersi opiekuna, z mimowolnym lękiem.

Przebiedowawszy ciężko pierwszy rok życia Mańka jakby postanowiła żyć, i poczęła w oczach rozwijać się i rosnąć. Gdy skończyła dwa lata już szczebiotała i biegała po izbie, a takie to było ruchliwe i ciekawe, że Jędras musiał na klucz izbę zamykać, gdy po południu do drew

szedł, bo się gwałtem za nim rwała.

Zostawała sama, rzewnie płacząc, i patrząc w to okienko, za którem w sali, za drogą widziała sad w kwiecie i zieleni.

— Tato — ja chcę tam! powtarzała żałośnie

— Nie można. tłumaczył łagodnie. Tam tobie nie wolno — to pański ogród

— Ja tylko chcę popatrzeć!

— To patrz przez szybę. Jeszcze zimno, trzewiczków nie masz. Jak będzie ciepło wezmę cię ze sobą do dworu.

— A kiedy będzie ciepło?

— Oh już prędko.

Dziecko się uspakajało na parę dni, i znowu rozpoczynało swe prośby i pytania.

Nareszcie pewnego dnia Jędrus jej kupił trzewiki, i barchanową w paski czerwone sukienkę, i odbyło się pierwsze wyjście „w świat".

Przestwór przeraził dziecko — zaraz za progiem, przytu-

kła się do nóg opiekuna, rozglądała się szeroko rozwierając oczy jak węgiel czarne, i dyszała i trzęsła się z wrażenia. Potem zarzuciła go tysiącem zapytań, na które jak umiał tak odpowiadał, a wreszcie wyrwawszy rączki z jego dłoni pobiegła ku sztachetom ogrodu. Była tak malutka, że dosięgała ledwie głową wierzchu podmurowania — i widok zieleni zniknął. Dotknęła ręką ogień, i wróciła rozczarowana.
Gorzej usiadł na ławeczce pod ścianą, a ona poczęła bawić się kamykami żwiru, a w prędce zmęczona powietrzem usiadła przy jego nogach i usnęła.
Nazajutrz wziął ją ze sobą do drwalni. Dreptała wytrwale przy nim, a on ją uczył wszystkich niebezpieczeństw. Pokazał psy, które kąsają, i studnię którą trzeba omijać, i płot z kolczastego drutu, który kaleczy, i pokazał jej ludzi, i powiedział,

żeby się do niej nie zbliżała, bo wybije.
Matka nie dobrze to wszystko rozumiała, bo jej dotąd nikt jeszcze nie kąsał, nie kaleczył i nie bił, ale że była przerażona i przejęta mnóstwem nowych wrażeń, więc o krok się od niego nie oddalała.
Gedras z wprawą nabytą długiem doświadczeniem, rąbał jedną ręką drwa, jedną ręką umiał założyć konia do wozu, jedną ręką nalewał wodę ze studni do beczki, i tak przez godzin obsługiwał dworską kuchnię. Za nim dreptało dziecko.
— Oho, znajda jaka duża! zauważył się kucharz
Gedras nic nie odparł, ale mu się ścisnęło serce i żałował, że dziecko z izby wyprowadził.
Kucharz przecie powiedział prawdę. Znajda była przylgnie to do niej, i zostanie na zawsze.
Gdy zarazem dał dziecku kawałek cukru, a ono się cofnęło, i nie chciało wziąść, Gedras się zac-

szył, i nie zaczepiał.

— Ale, masz mała! rzekł kucharz. To smaczne spróbuj! powiedzże, niech weźmie! dodał.

— Naco! Syta! burknął stróż.

— Oho, jakiś hardy! Może ona krebianka! obraził się kuchmistrz, i odszedł, a kuchcik jakby wypadkiem chlusnął wodą na nowe trzewiczki dziecka.

— Nie rusz mi jej! warknął złowieszczo Gedras.

— To tak niechcący! tłumaczył się chłopak, ale gdy pusta beczka odjeżdżała, rzucił się ze nią pies kuchenny, snać poszczuty, z zajadłem ujadaniem. Dziecko poczęło płakać, przerażone, ale pies wnet się opamiętał, i przypadł, łasząc się, do stróża.

— Tato, ja się boję!

— Widzisz, naprzerałaś się z izby! Nie lepiej ci tam siedzieć! Tam ci nikt krzywdy nie zrobi.

Po tej próbie przez dni parę, dziecko siedziało cichutko u okienka, i wyglądało w świat- ale że zbladło, i przestało jeść, Tedeus sam zabrał ją znowu ze sobą, na powietrze, ale już zabronił zbliżać się do kuchni - kazał siedzieć przed stodołą, i bawić się trzaskami.

Jakiś czas zadowalniała się tą przyjemnością, ale myśl się budziła i ciekawość, sił żywotnych przybywało, i wciąż najbardziej nęcił ją ten ogród za sztachetami.

— Tato, co tam jest? pytała. Dlaczego mnie tam niewolno pójść? Weź mnie na ręce, i podnieś w górę ja tylko popatrzę.

— Nie tam niema innego - jak tutaj. Drzewa i trawa i kwiaty. A niewolno ci tam być, bo to cudze.

— Co to? Cudze?

— Nie twoje.

— A co moje?

— Sukienka twoja i trzewiczki.

Odjechał z furą drew, a dziecko pozostało wśród trzasek
rozmyślające, a nic nie rozumiejące.
Możeby się puściło na wędrówkę w stronę ogrodu
ale na drodze była kuchnia, a w pamięci zostało
jej szczekanie psa, i groźna twarz kucharza
Całe to pierwsze lato swego bytowania na świecie
spędziła pod drwalnią wśród trzasek, lub przed chatką
stróża. Na widok ludzi przechodzących Jędrus ją nau-
czył chować się do drwalni lub do izby, mówiąc, że
gdy ją kto złapie, to włoży w worek i wrzuci do
ciemnej jamy pełnej myszy i pająków. Uwierzyła-
bała się okropnie ciemności myszy i pająków - więc
spełniała polecenie, i chowała się przed ludźmi.
Przekonała się też, że ilekroć nie posłuchała
spotkało ją coś złego. Raz przejeżdżający furman
sięgnął ją batem, gdy nie dość szybko usunęła się
z drogi, kuchcik stały jej prześladowca, gdy ją
spotkał, a Jędrusa nie było w pobliżu, gonił ją

i straszył, ciskając w nią kamykami i błotem, a raz rządca natknął się na nią, i pogroził szpicrutą wołając groźnie:

— Poco się tu pleczesz, i śmiecisz! do chaty, bo dostaniesz!

A już od owego razu batem - wiedziała - jak to boli! Umykała też na widok ludzi, ile sił, a nie śmiała się Burosowi poskarżyć, bo gdy ją zastał płaczącą wtedy, gdy ją ten furman uderzył, to rzekł:

— Dobrze ci tak, zato, że mnie nie słuchasz!

I gdy ją rozebrał, i zobaczył czerwoną szramę przez plecy, to takie miał złe oczy, i tak warczał jak ten brytan kuchenny.

A przecie jego jednego Mańka się nie bała.

Gdy o świcie wracał do izby po nocnej służbie, stawał nad jej posłaniem, i choć nie całował, to miał takie jakieś oczy, że dziecko wyciągało do niego ręce, i budziło się jak skowronek szczebiotem.

Zanim się ~~[illegible]~~ potoczył na kilka godzin snu dziecko
sam mył, i ubierał, i dawał mu śniadanie. Miała
zawsze mleko i chleba do syta, miała czystą koszulinę
i sukienkę, czarne włoski ostrzygał przy skórze,
gdy nastało ciepło chadzała boso. Podczas toalety
i śniadania gawędziła wesoło - potem on się kładł
spać - ona wychodziła się bawić przed chatę - na byle
jaki alarm, cofając się do wnętrza. Nikt się nią
nie zajmował, nie pilnował, nie zabawiał, była zostawiona
sobie, swemu przemysłowi i instynktowi zachowawczemu.
Zwłóczyła pod okienko żwir z [illegible], natykała w to
badyli, papierków, szmat - robiła ogródki. Gdy się zmęczyła
zasypiała w słońcu u progu, gdy zgłodniała wracała
do izby, wgramoliła się na zydel, i dostawała ze
stołu kromkę chleba, gdy chciała pić, umiała zaczerpnąć kubkiem wody z wiaderka w sionce.
Miała też towarzystwo i znajomych. Kot jakiś
bezpański przychodził, i najbezczelniej dzielił się jej mlekiem

a potem się wysypiał na progu, a wreszcie kiedyś zjawił się i pies, kundys febryczny, pokorny, bity wszędzie i pędzany, głodny strasznie, usiadł naprzeciw niej - i patrzał, oblizując się - na chleb.
Zrazu Mińka cofnęła się przed nim, ale gdy nie szczekał, i nie gonił jej uśmiechła się - i zbliżyła się. Pies odebrał jej wprawdzie chleb, i pożarł, ale potem oblizał ją, i dał się ciągać za uszy - i odtąd przychodził codzień jeść, i bawić się.
- Tato - pochwaliła się. Jest cicho, i nie kąsa! Dlaczego nie kąsa?
- Boś malutka.
Dziecko zamyśliło się.
- To czemu ten straszny człowiek mnie "bolił" zrobił - kiedy ja malutka?
Jędras nie odpowiedział
- Dlaczego, tato? napierała się
- Boś mnie nie słuchała. Mówiłem ci, żebyś od ludzi

od ludzi się chowała. Psy bywają rozmaite, ale ludzie wszyscy niecierpią dzieci!

— Czy ty także „ludzie."

— No, przecie!

— To i ty mnie niecierpisz! A ty mnie nie bijesz!

— Jak zasłużysz to wybiję!

Popatrzała na niego zdziwiona, pomyślała, dopomagając sobie w tej czynności palcem w buzi, i wreszcie rzekła

— Nie prawda.

Aż się mimowoli uśmiechnął.

Gdy nastała słotna jesień skończyły się wędrówki dziecka. Długo się upierała, towarzysząc mu wytrwale, zziębnięta, ale gdy śnieg spadł zamknął ją bez ceremonii na klucz. Kilka dni płakała, protestując bezsilnie — wreszcie poddała się losowi. Wyprosiła sobie tylko towarzysza kota i psa i dla niej też umaił Tedras okienko w parę

wazoników niewybrednych kwiatów.
Nikt zresztą nie myślał o zabawianiu i rozrywkach małej - i ona sama nie rozumiała, co znaczy nudzić się. Pod piecem miała ławkę niską - na niej garść kasztanów, kolorowej fasoli - i tektarowe pudełko od gilzów - pełne gałganów, które Łedras dostał od piastunki dworskiej. Tem się bawiła, rozmawiała z psem i kotem, śmiała się z niej, goniła po izbie - póki Łedras był na służbie, gdy wracał dawał jej robotę. Zwykle zimą plótł słomianki i maty - musiała mu podawać słomę. Wolno jej przytem było szczebiotać.
Ludzie rzadko zaglądali do stróża, zniechęceni jego mrukowatością - tylko ogrodnikowa wstępowała czasem, żeby korzystając ze swych zasług ziemi się „pożywić". Nie można było wybić ludziom z głowy, że ten mruk, był utajonym skąpcem

Zwykle pożyczała trochę nafty, soli, smolnych szczap – a przy tej okazyi zasiadała do gawędki, i żeby gospodarza dobrze dla swej prośby usposobić, pieściła i chwaliła małą

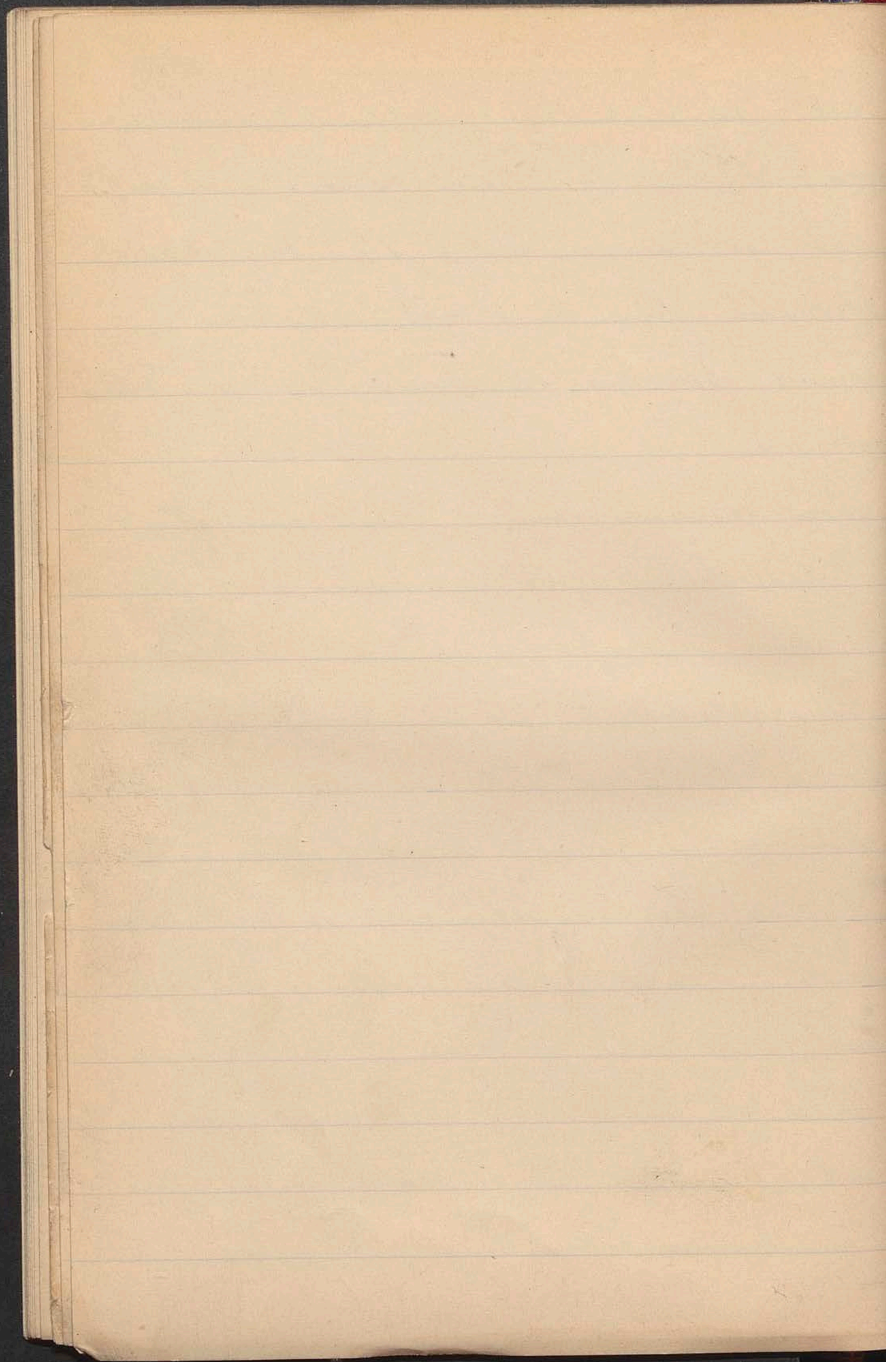
– Śmiech powiedzieć, ale wyciera się ładna z niej dziewczyna.

– Poco gadacie – mruczał Jędras niechętnie. Co można poznać z takiego bąka, a w głowę sobie głupstwo nabije!

– Ale właśnie, to jej nie powiedzą inni jak dorośnie. Ot – co ją tak trzymacie samą – chcecie zabiorę ją na wieczór do moich – niech się pobawi.

– A poco! Żeby się potem ciągle do kompanii napierała – i żeby ją tam „znajdą" częstowali. Niech siedzi cicho w domu!

– Jużci nie utrzymacie tak zawsze. Jeszcze trochę podrośnie, to ją do dzieci ciągnąć będzie i nie upilnujecie! Coście tacy zazdrośni!



– Nie, co będzie niewiem, ale teraz i krokiem od siebie nie puszczę.

Dziecko się nie naprzierało i nie nudziło. Miało w sobie wielki zasób przemyślności i ciekawości do życia. Dreptało za nim gdy gotował, gdy sprzątał, naśladowała go i niby pomagała. Tylko czasem pytała żałośnie – kiedy będzie „świat" – tak zwała lato! No i tak doczekała drugiego lata na powietrzu.

Teraz już śmielej się poruszała, odnalazła swe kamyki – i drogę do drwalni – ale zawsze największą ciekawością napełniał ją pański sad.

Podrosła na tyle że noskiem sięgała nad podmurowanie, i mogła tak stać godzinami – zapatrzona w cuda, oniemiała z zachwytu.

– Tato – opowiadała potem – tam – za tym murem są niby dzieci takie jak ja – tylko ja czerwona – i one – całe białe. Dlaczego to?

— To są pańskie dzieci! Żebyś mi nie śmiała na-
nie wołać — i im się pokazywać.
— Czy one kąsają?
— Głupiaś. Nie wolno ci być z niemi — i basta.
— A tam są też na drzewach czerwone kwiaty, któr
ogrodniczek zrywa i zjada. Daj mnie tato, tych kwia
Uberwiony, kupił jej kilka jabłek. Smakowały
ale bardzo była zmartwiona, że kot i pies
nie chcieli uwierzyć, że to bardzo smaczne.
— Tato, żebyś ty przyniósł całe takie drzewo
posadził u nas pod oknem. Żeby było dużo, dużo
jabłek u nas — cały ten sad!

– To pański sad nie nasz, a jabłka trzeba kupić, a ja niemam dużo pieniędzy na dużo jabłek.

– To czemu by także niemiał takiego sadu?

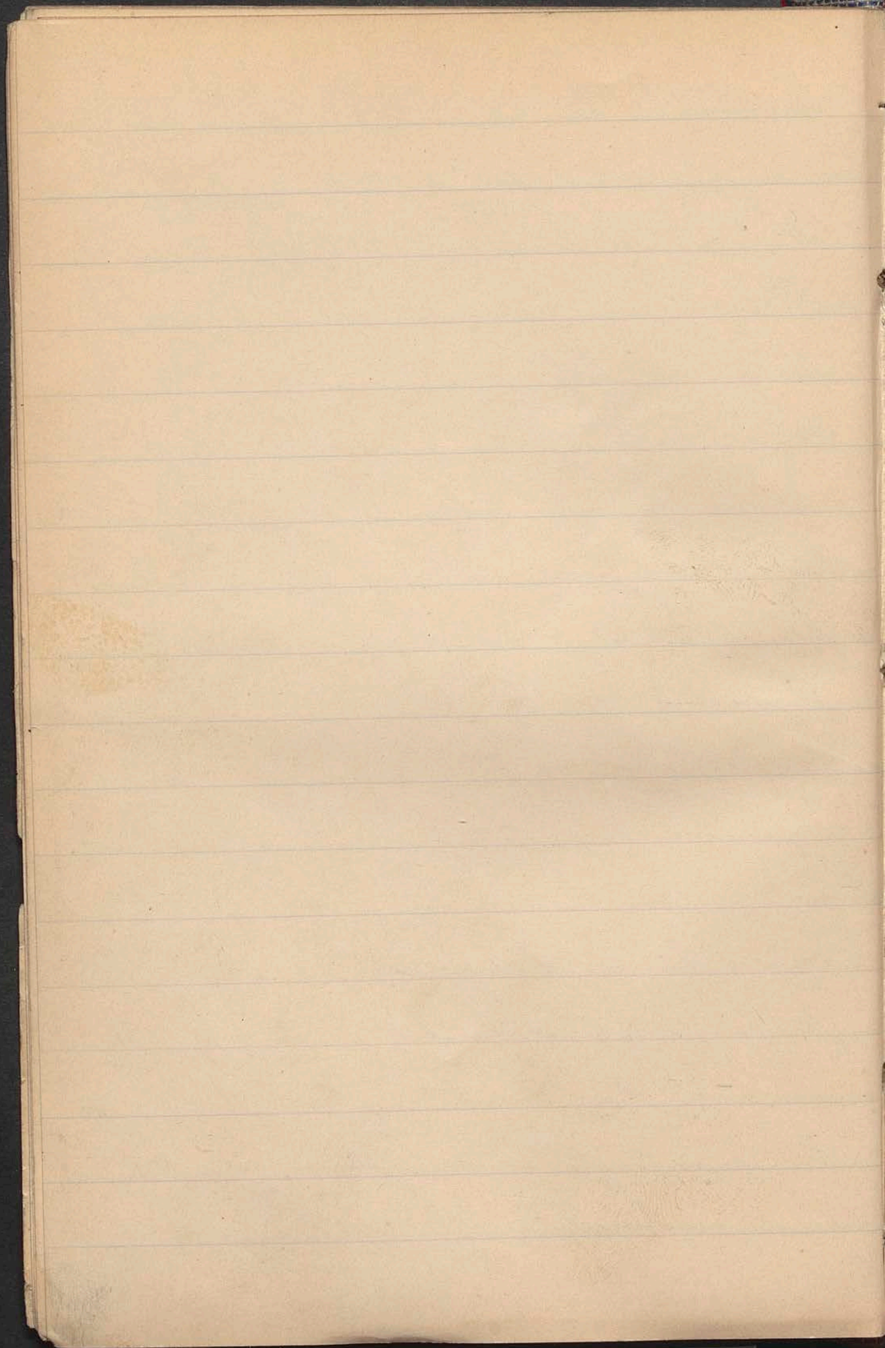
– No, bo niemam. odpowiadał zmieszany.

– To by miał, tato. Co to, pan?

– Pan to taki starszy i mądry człowiek, który mnie daje pieniądze, żebym go słuchał, drwa rąbał, i wodę – w nocy pilnował, żeby czego nie ukradli – co jego jest. Pan nas karmi i odziewa i daje mieszkanie – a ja mu służę.

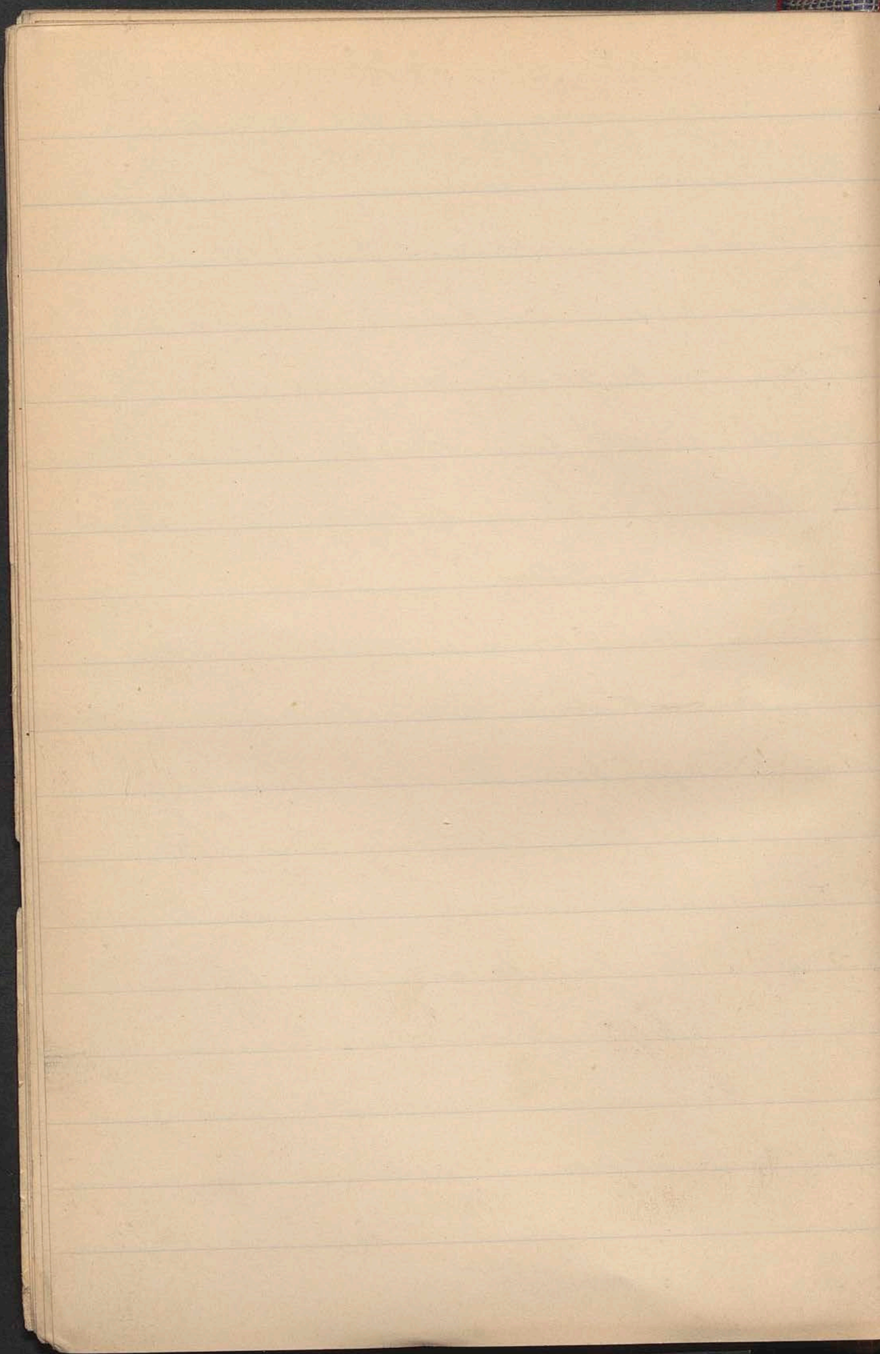
Zrozumieć tego nie była w stanie, ale wyrazy ryły się w pamięć i dużo pierwej wiedziała o „panu” jako o Bogu.

Tak przeżyła to ~~drugie~~ lato na świecie. Nikt jej prawie nie zauważył, nikt się nie zachwycał jej rozumem i wdziękiem, i nikt jej nie pieścił. ~~Gdy nastały jesienne chłody, przestała się utrzymywać na nodze i pod formalną – była w [illegible] prawie ciągle~~



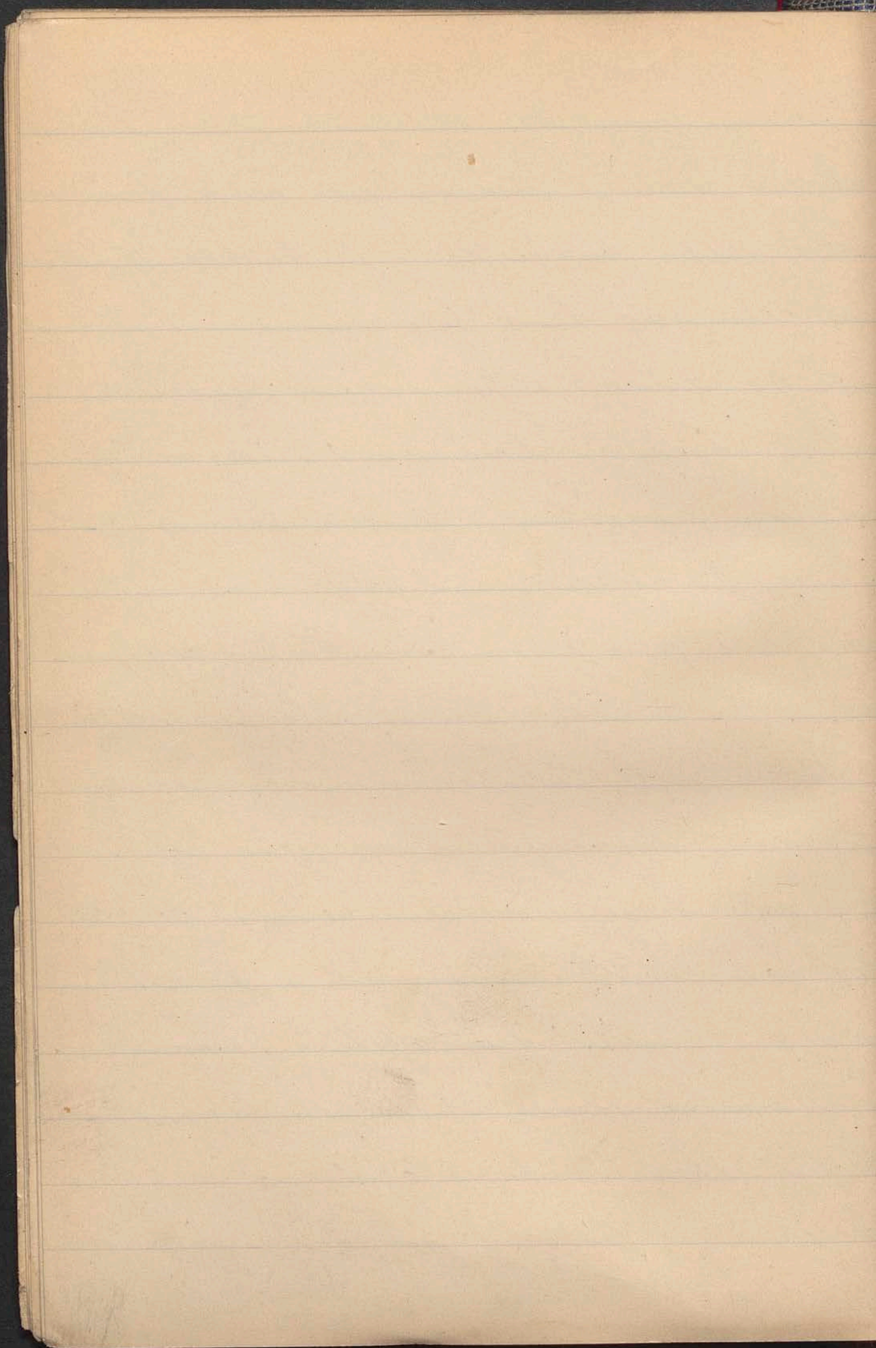
sama, nikt jej nie bawił, ani pilnował.
Potem znowu mróz zamurował okienko, tylko teraz dla dziecka ktoś hodował parę roślinek w wazonikach, i przyjął na zimowe kota i psa.
Z niemi dziecko gwarzyło i bawiło się - miało też pudełko od gilz, pełne skrawków papieru i gałganków - klejnotów, z którem się nigdy nie rozstawała i czuła się szczęśliwą.

W pałacu równie zdrowo i szczęśliwie, hodowała się „panienka", ukochana pieszczotka rodziców. Miała dwóch starszych braci, ale była stanowczo faworytką całego domu. Dzieci zajmowały trzy pokoje, i miały do swej obsługi, piastunkę, bonę i Jankowską. Cały dzień te trzy kobiety zajęte były swemi pupilami, ubieraniem, strojeniem, bawieniem, pilnowaniem, karmieniem - szczególnie zabawianiem. Surowo było wzbronione zostawianie bodaj na chwilę dzieci bez dozoru i opieki. Chłopcy byli rano myci



i ubierani - sami tego nie umieli uczynić. Strojono ich jak lalki, i oddawano pod nadzór bony-resztę czasu piastunka i Jankowska spędzały nad Maniusią. Dziecko było ochraniane od chłodnego powietrza, karmione obficie, noszone bezustannie na rękach, ubierane i przebierane sto razy na dzień - usypiane pieszczotami i śpiewem, karmione często i suto. Od najwcześniejszych chwil życia miało zabawki drogie i ozdobne, które tłukło bezmyślnie, miało złe humory i grymasy którym dogadzano z zachwytem, że takie „rozumne", i było bezustannie zabawiane. Najmniejsze niedomaganie napełniało dom cały trwogą, i nerwowem zajęciem. Doktór był natychmiast wzywany, leki w bezustannem użyciu - kwestye snu, apetytu, trawienia, były tematem rozmów, sprawozdań, kardynalną treścią zajęcia matki i opiekunek.

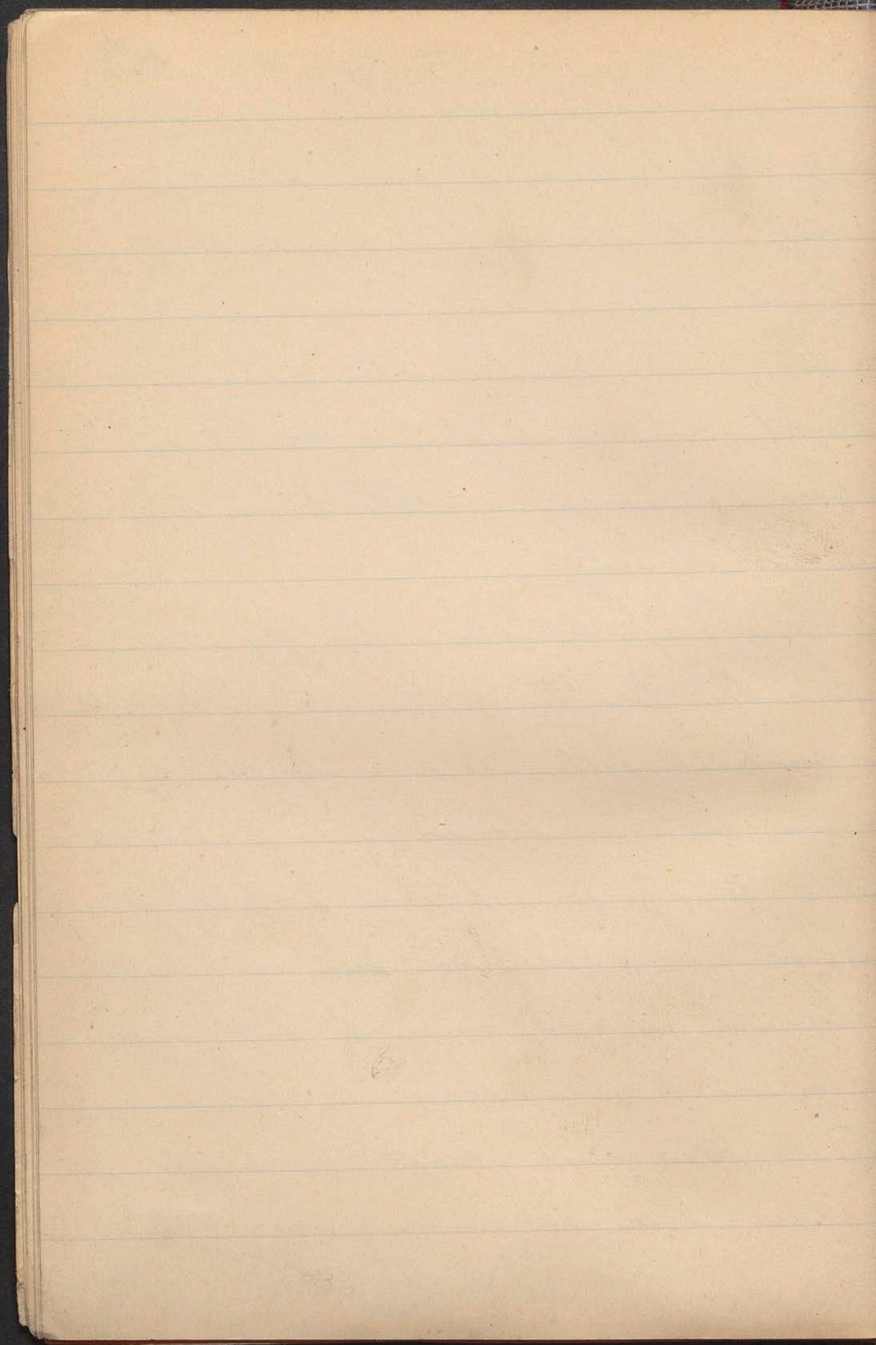
W dziecinnych pokojach było bardzo gorąco, żeby



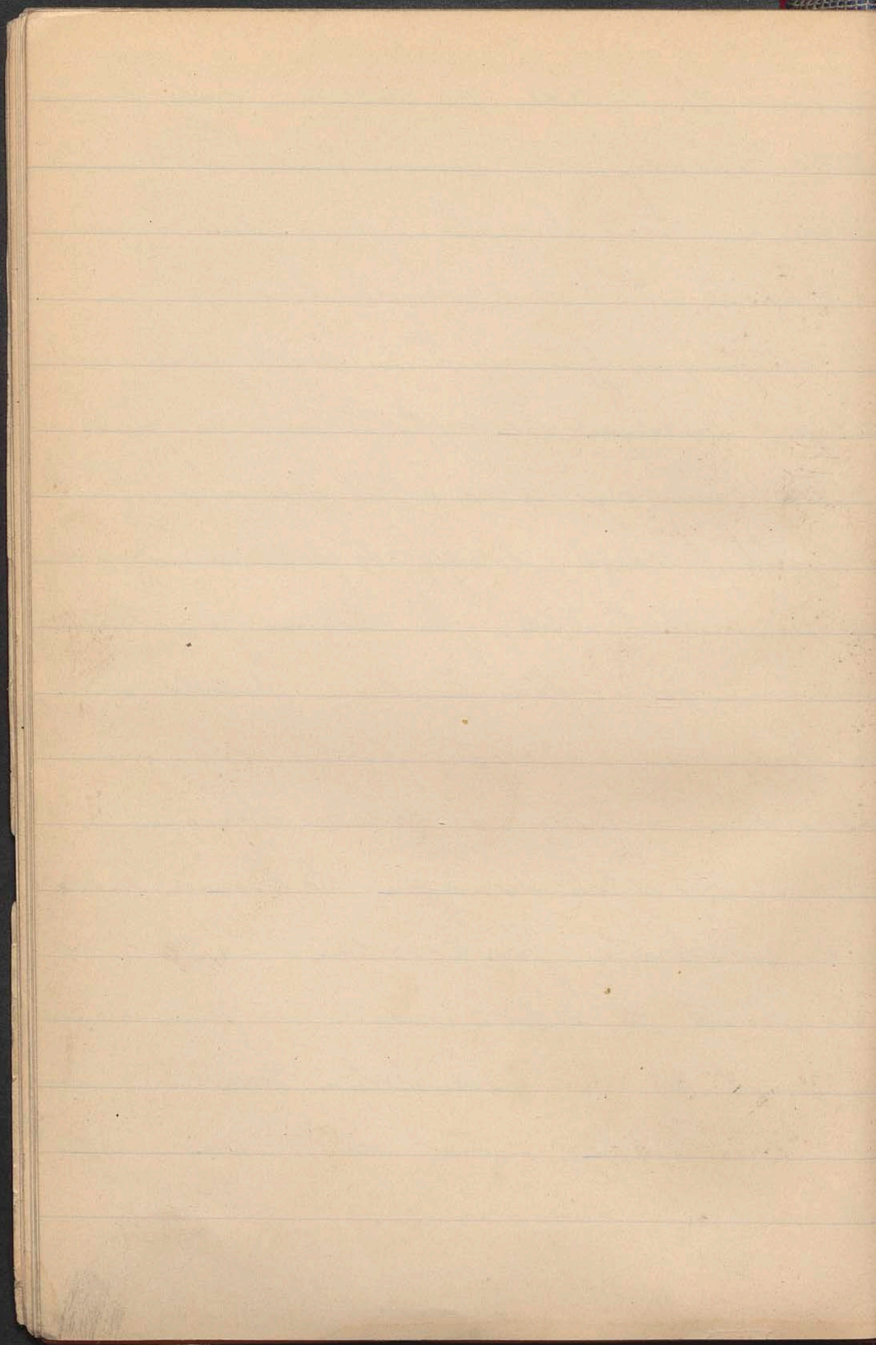
sy dzieci nie przeżyły - na powietrze - wynoszono Maniusię z tysiącem ostrożności, za pozwoleniem doktora, i po długiem wahaniu - tylko latem - w porze starannie wybranej, żeby nie było rosy, wiatru, zbytniego upału, lub wieczornego chłodu. W pierwszym roku wyjeżdżała w wózku pod eskortą matki i piastunki - opędzano od niej muchy, osłaniano parasolką od słońca - wożono tu i tam po żwirowanej uliczce w ogrodzie - najwyżej godzinę na dzień.
W drugim roku wynosiła ją piastunka na ręku - i puszczała na ziemię czasem, gdy było bardzo sucho. Do tych spacerów był osobny kostium - biały - ciepły - na głowie kapturek, na nóżkach kamaszyki i bucikі - rozpinano zawsze nad nią parasol, żeby się nie opaliła, rączki już ubierano w rękawiczki. Spacery dzienne odbywały się tylko w ogrodzie - na podwórze nie wolno było ich puszczać,

bo mogły się czego przestraszyć, a szczególnie mogły się zetknąć z ludźmi, i zarazić się jakiej choroby. Trwoga o to zdrowie była bezustanną. Służbie nie wolno było się nigdzie wydalać, ani przyjmować wizyt - pokoje dziecinne były izolowane od wszel=kiej styczności ze światem - a jednak dzieci bezu=stannie niedomagały - i doktor Lizone tylko dni nie był wzywany.

Chłopcy liczyli lat siedm i pięć, gdy Mamusia miała trzy. Przez ten czas zmieniło się kilka bon i piastunek, tylko stara Jankowska potrafiła wytrwać na swem stanowisku. Co prawda wychodo=wała panią Zarębinę i była na osobnych prawach, udawało jej się czasem woli dzieci nie spełnić, i kaprysom nie uledz - innym to było surowo wzbronione. Wszelkie sprzeciwienie się dzieciom wywo=łymało płacz, krzyk, skargi przed matką, i w re=zultacie - dzieci na swojem zawsze postawiły.

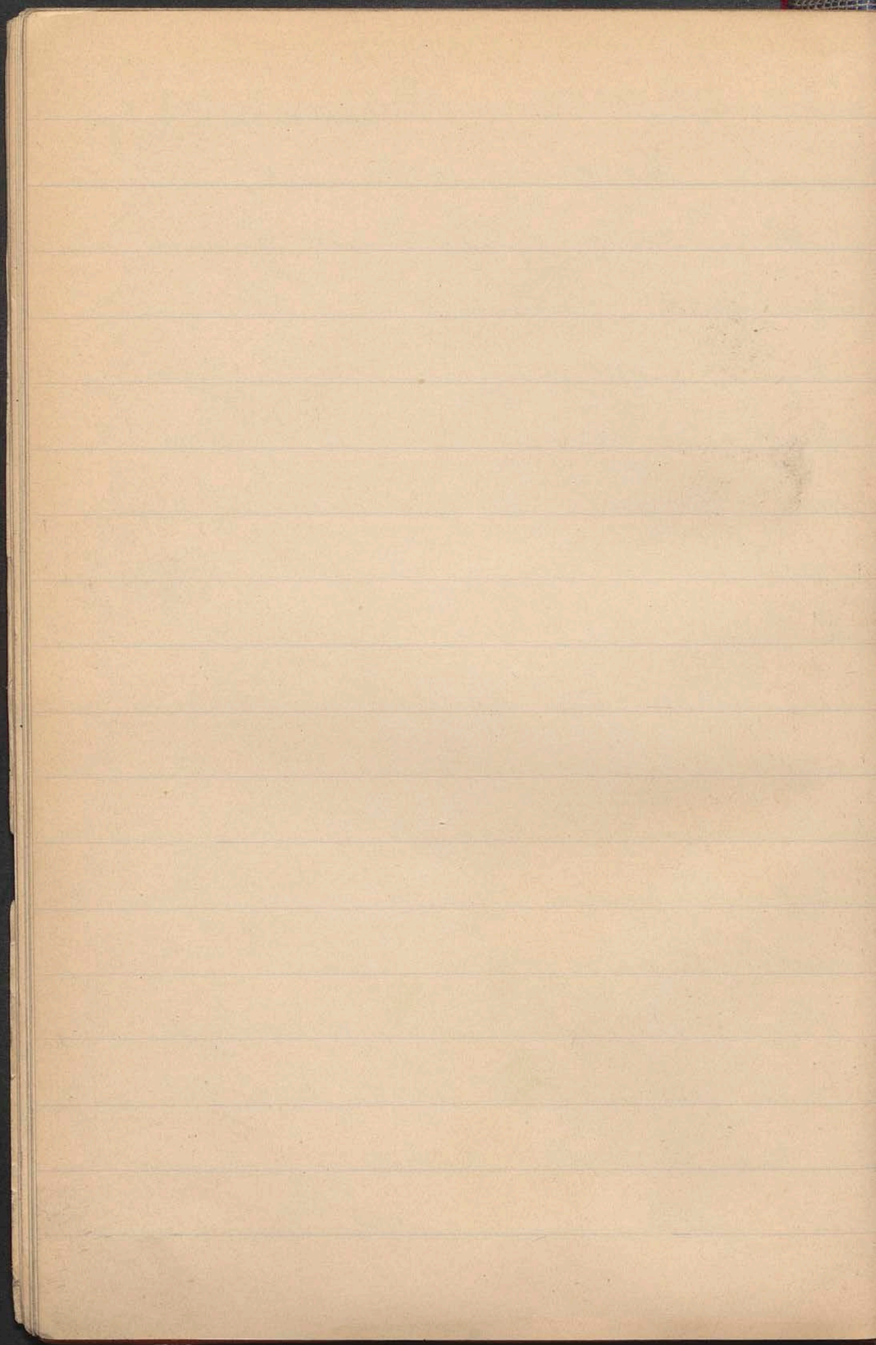


piastunki wydalano bez ceremonii, bony zwykle
same uciekały - ale dzieciom trzeba było ustąpić,
dogodzić - strzec „biedactwa" przed złem sercem
i głupotą tych „nieznośnych kreatur"
O zastępczynie było nie trudno. Świat pełen jest
ubogich dziewczyn bez wykształcenia i fachu,
~~które~~ zmuszonych ~~do~~ na chleb pracować - i z tych
które wszystkich racyi oddają się pilnowaniu i nau-
=czaniu małych dzieci. Po każdem przejściu, i
wydaleniu bony - pani Żarębina pisała do rodziny
do Warszawy - i odwrotną pocztą - otrzymywała
nową bonę - wybraną na zasadzie taniości i
najmniejszej skali wymagań. Wybieraniem piastu-
=nek zatrudniała Jankowska.
Kosztowało to dużo, sprawiało w domu nieusta-
=ny zamęt - ale było oczywistym dowodem - że Żarę-
=bowie dzieci kochają, o nich wciąż myślą - niczego
dla nich nie odmawiają.

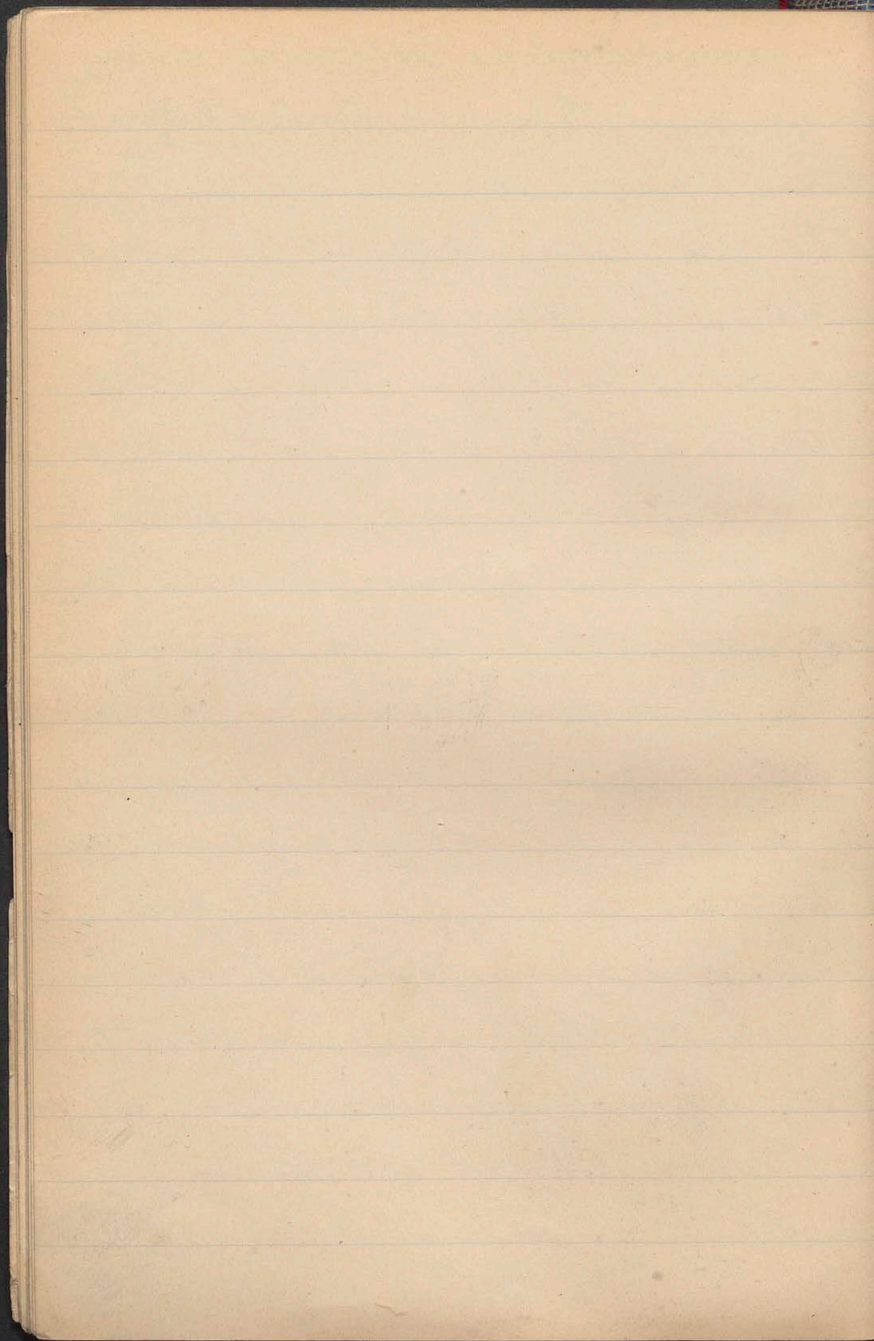


Łarzba ożenił się w Warszawie, z córką bogatego mecenasa. Poznał ją w karnawale, na balu, uznał za dobrą partyę – zaczął bywać w domu rodzicielskim – oświadczył się – a chociaż się panna wzdragała przed „zakopaniem się na prowincyi" rodzice, radzi pozbyć się jednej z pięciu córek z domu, przekonali ją, że to uśmiech losu i pomyślność" – i już po Wielkanocy był ślub. Małżeństwo uchodziło za dobrze dobrane i szczęśliwe. Zrazu młoda pani tęskniła za Warszawą, nudziła się, i wyrzekała na brak towarzystwa, potem potrosze zawiązała stosunki w okolicy, potrosze nawykła, i wreszcie uwierzyła w zachwyty matki i sióstr, że los jej do zazdrości.

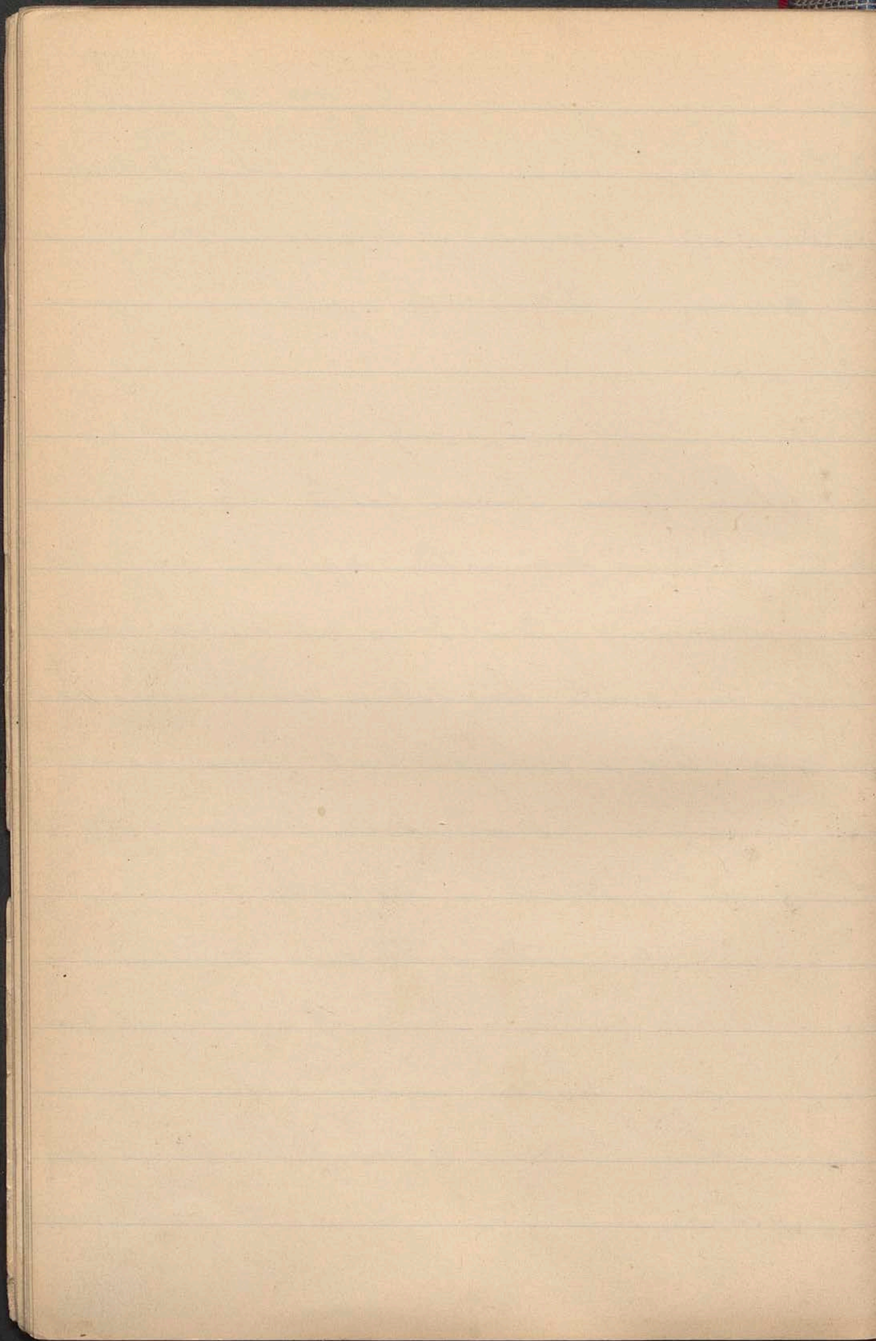
– Bój się, Boga, Terenie, wielki los wygrałaś! mówiła matka. Jesteś bogata, masz tyle służby, taki dom, doskonałego kucharza, mąż się w cię jak w tęczę, spełnia twe wszystkie życzenia, daje ci



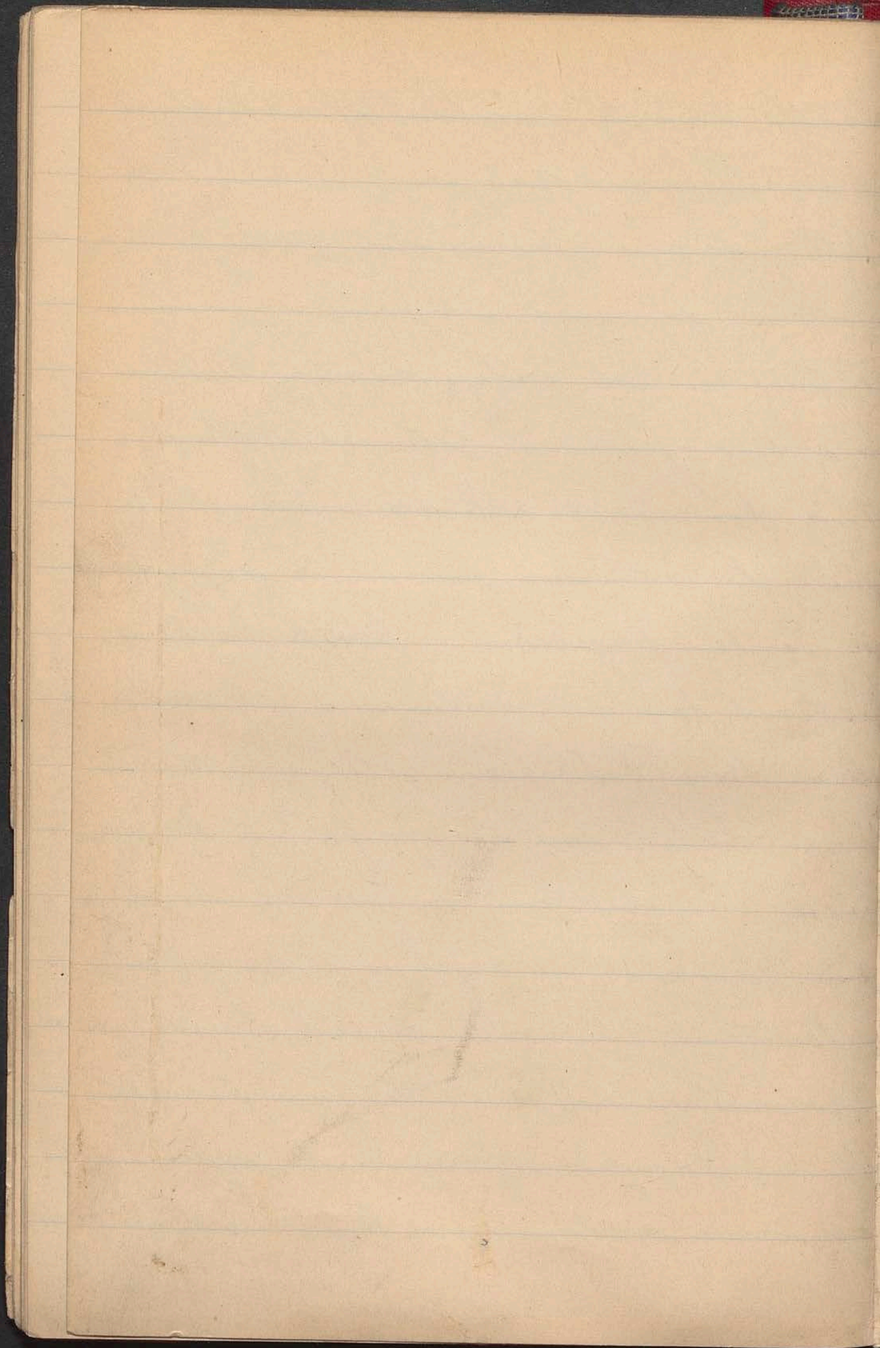
ile chcesz na stroje, o nic się nie potrzebujesz troszczyć - pieczone - warzone masz gotowe! Żyjesz sobie jak królowa. Żebyś wiedziała jak Hania się biedzi z tym swoim starym, który jej każdy grosz rachuje, i pilnuje jej każdego kroku, a te stry, co jeszcze czekają partyi jak ci zazdroszczą. Mówię ci - królewskie masz życie.
Życie Bazybiny nie było może królewskie, ale było istnieniem sułtanki. Mąż wymagał od niej tego co wymagają od hurysy - rozkoszy i piękności. Stroił ją, i dumny był z jej urody, dogadzała jego próżności, była w jego domu cackiem i zbytkownym, którem się rad przed innemi chwalił.
Pani Teresa stosowna była do tej roli. Lubiła stroje, hołdy, zbytek, wygody, i próżniactwo. Cnota jej zresztą była bez zarzutu, nie tyle może dzięki zasadom - jak dzięki lenistwu, i zamiłowaniu wygody i spokoju. Bardzo prędko poczuła



tyć, i nabierać gustów sybarytki. Lubiła jeść
dobrze i dużo, lubiła się wylegać długo w łóżku,
jaknajdłużej przebywać w szlafroku, czas spędzać
na gawędach z Jaśkowską, i całowaniem i pieszcze=
=niem dzieci.
Larzba wstawał rano, i cały dzień pracował w biurze
lub fabryce, goście bywali rzadko - służby było
pełno, pomimo próżniactwa więc, dom był utrzy=
=many wzorowo, i pani domu nie miała nic do
roboty, nie miała też żadnego zamiłowania do
gospodarstwa i jakiegokolwiek zajęcia, nawet
nie prowadziła żadnych rachunków, ani wglądała
w czynności ogrodnika i szafarki.
Śniadanie spożywała w łóżku, i przynoszono
jej wtedy do zabawy i pieszczot najmniejsze dziecko.
Tak leżąc w puchach, zaciałowywała i opychała
przysmakami tę swoją latorośl. Zwykle przychodzi=
=ły i starsze, i pomimo zapowiedzi, że nic nie dostaną,



dojadały biszkopty i ciastka, bo matka nie umiała im nie stanowczo odmówić.
Około południa zabierano dzieci - zawsze po długich protestach, grymasach - ułagodzone i namówione obietnicą że: „jeśli kochają mamusię, to sobie pójdą, będą grzeczne - a zato - coś dostaną."
Wtedy pani Teresa wstawała, i ubierała się. Trwało to z długiemi przerwami do godziny czwartej gdy Zaręba przychodził z fabryki na obiad. Zastawał żonę już wystrojoną, i zasiadali do stołu. Bona z chłopcami ukazywała się także. Zaręba kochał dzieci, ale wymagał, żeby były grzeczne i ciche - i chłopcy trochę się bali ojca, więc z początku obiadu zachowywali się przystojnie. Bona ich sadzała na krzesełkach, zawiązywała serwetki, krajała im mięso, oman za nich nie żuła i nie połykała. Ale już po zupie rozpoczynało się napieranie i proszenie, szepty niesmiałe bony, odmowa matki.



— Czego oni chcą? pytał Zaręba.

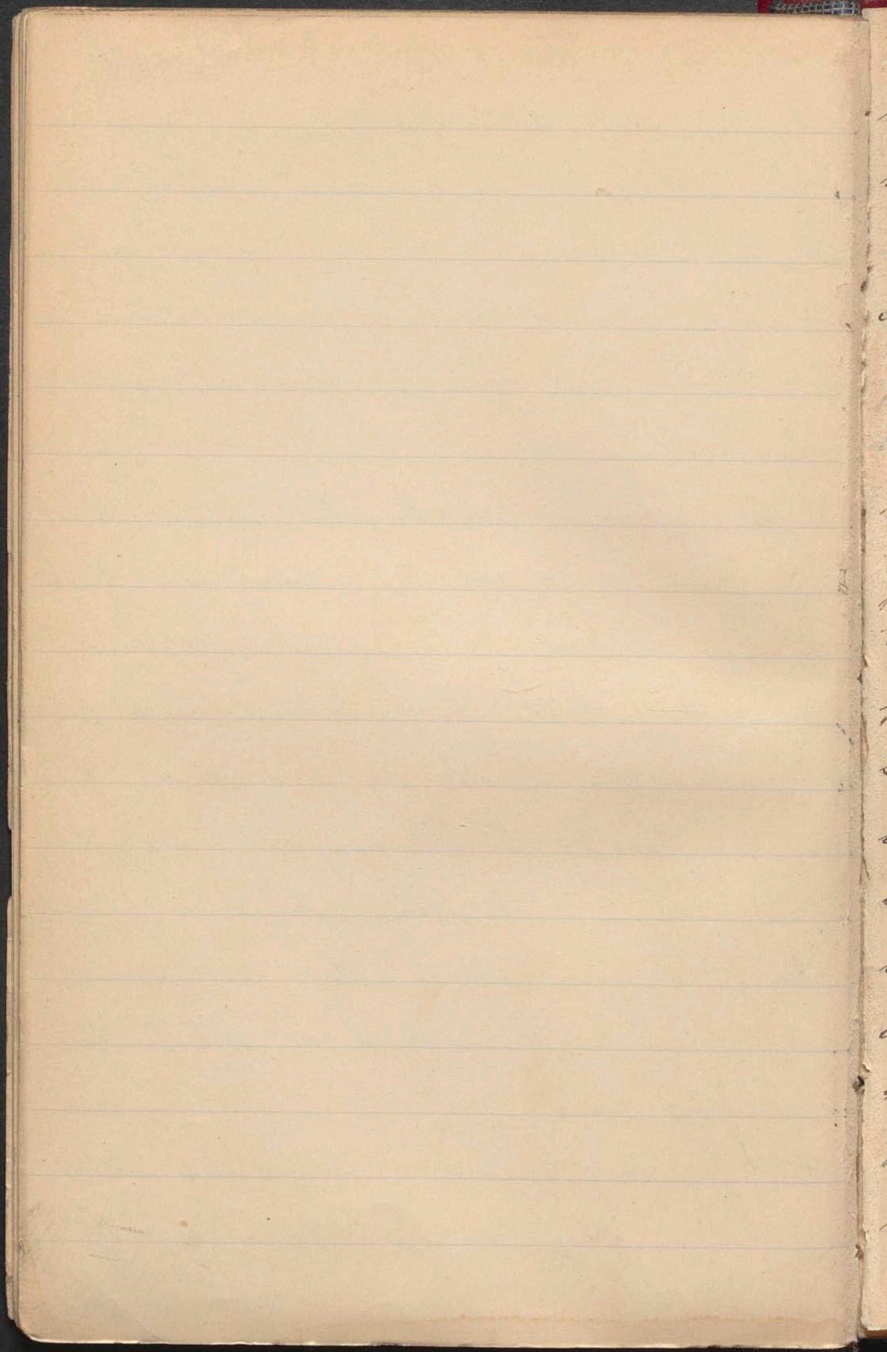
— Ależ nie uważaj. Józio się napiera piwa, a doktor stanowczo mu zabronił

— Tatusiu, ja tylko kropelkę poczynał skamleć mały

— Tatusiu, a mnie Fräulein nie chce dać kartofli. wtórował drugi.

Zaręba rozpoczynał śledztwo. Kto zabronił, dlaczego? Dzieci powinny wszystko jeść, ~~[illegible]~~ bo w przeciwnym razie rozdelikacają się i uczą napierania i łakomstwa. Matka protestowała, cytując przepisy doktora, dzieci się skarżyły, że są głodne, i dostawały — oco prosiły. Że były nazajutrz chore z przejedzenia i użycia zbyt ostrych przypraw i napojów, składano winę na służbę i bonę, że zapewne dały im coś niezdrowego — lub na doktora, że leczyć nie umie.

Czas zbywający od snu i jedzenia, dzieci spędzały na zabawie. Bona musiała umieć je zająć, żeby

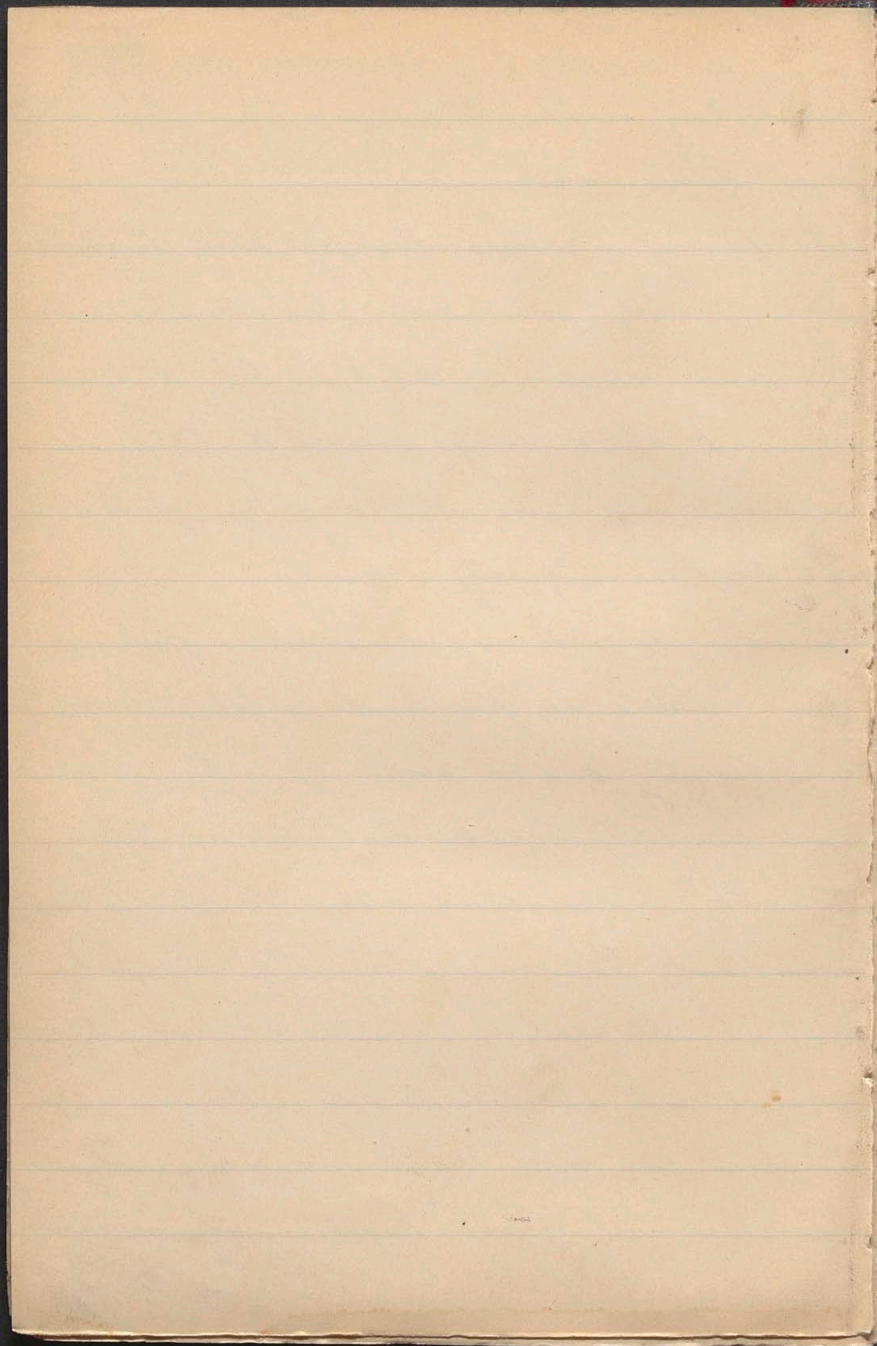


nie widziały matki, która nic nie robiąc, była wciąż czemś zajęta.

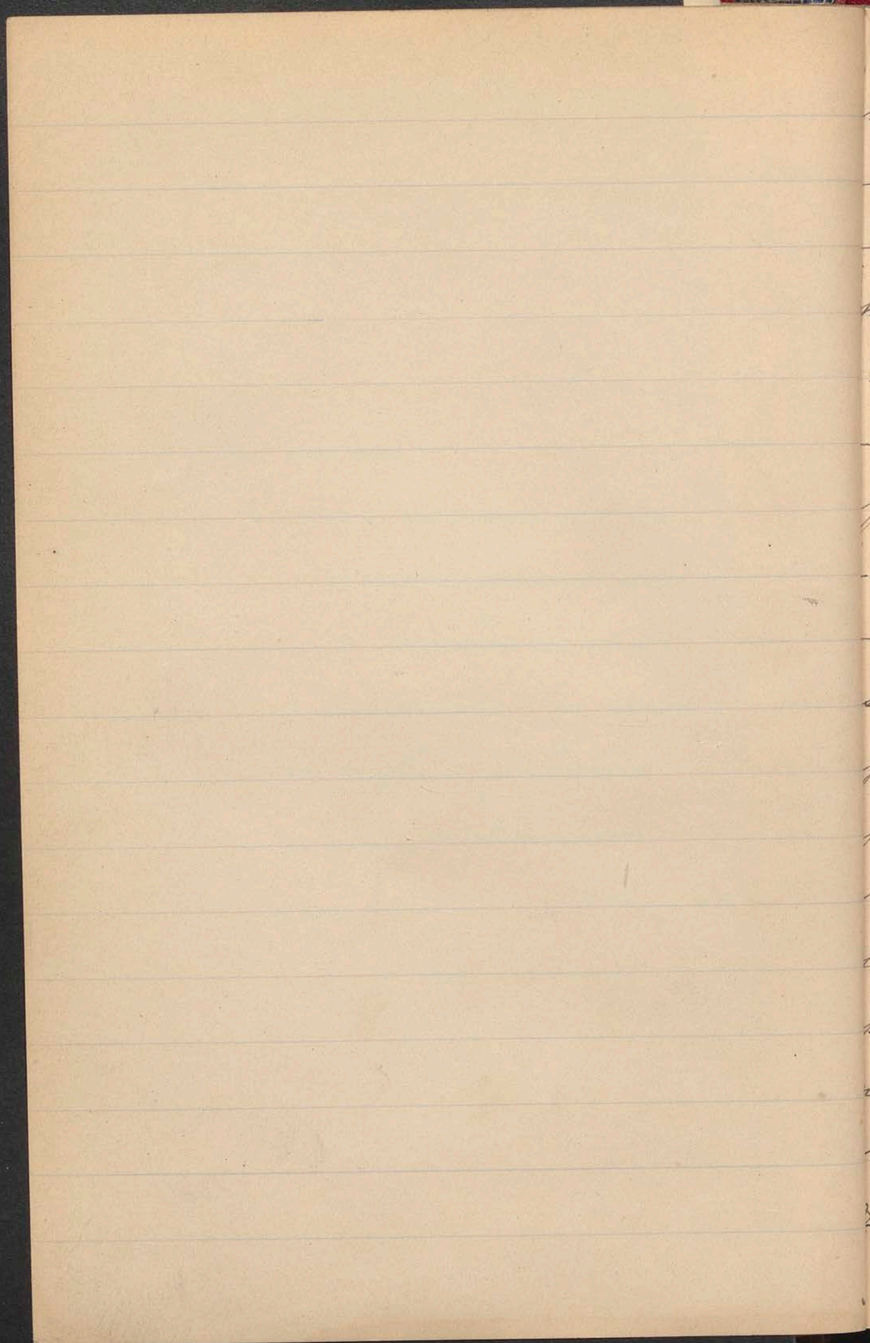
Do pomocy w zabawie służyły stosy zabawek. Szafy i stoły pełne były zbytkownych cacek - prezentów wszystkich babek, ciotek, kuzynów i kuzynek. Dzieci były niemi tak przesycone, że cieszyły się ledwie kilka godzin, potem niszczyły, tłukły, rozdzierały, i rzucały.

Gniewała się za to nieposzanowanie i swawolę pani Zarębina na piastunki i bonę, ale gdy te zabraniały dzieciom bawić się w ten sposób dzieci podnosiły wrzask i bunt, biły na skargę do matki - i w rezultacie znowu strofowano bonę i piastunkę. Zaprowadzono tedy taki porządek: dzieci wszystko łamały i psuły, a opiekunki zniszczone zabawki uprzątały do szaf i komód.

Zarębina zaś była za leniwa, żeby skontrolować zawartość tych zbiorów. Kupowano nowe zabawki,



z racyi imienin, urodzin, świąt, gwiazdki, i materyału do zabawy i niszczenia nigdy nie brakło
Pomimo wszystko dzieci ciągle się nudziły, i korzystały z każdej sposobności żeby się wymknąć do matki.
Łaziły za nią, grymasiły, nudziły, skarżyły się na siebie, napierały się tysiąca rzeczy, narzekały na bonę.
Matka opędzała się od nich apatycznie – a gdy jej do kuczyły pozbywała się ich – ustępstwami, dogodzeniem fantazyom – i cukierkami.
Dostawały co chciały i ile chciały, pod warunkiem że mamusi nudzić nie będą, i pójdą się bawić do swoich apartamentów. Jednocześnie bona dostawała ostrą wymówkę, że ich zająć i zabawić nie umie, – i na czas jakiś zapanowywał w domu spokój.
Ale po godzinie w dziecinnych pokojach wszczynał się ryk, płacz, wrzask piekielny.
Zarębina pomimo lenistwa biegła przerażona.
Zastawała dzieci rozszlochane, rozgrymaszone, bonę



w rozpaczy.

— Co się stało? Co wam jest, dzieciaczki?

— Chciały iść do pani, nie pozwoliłam. Józio mnie w rękę ukąsił, Mietcio mi podarł suknię. Zamknęłam drzwi na klucz — i otóż co dokazują.

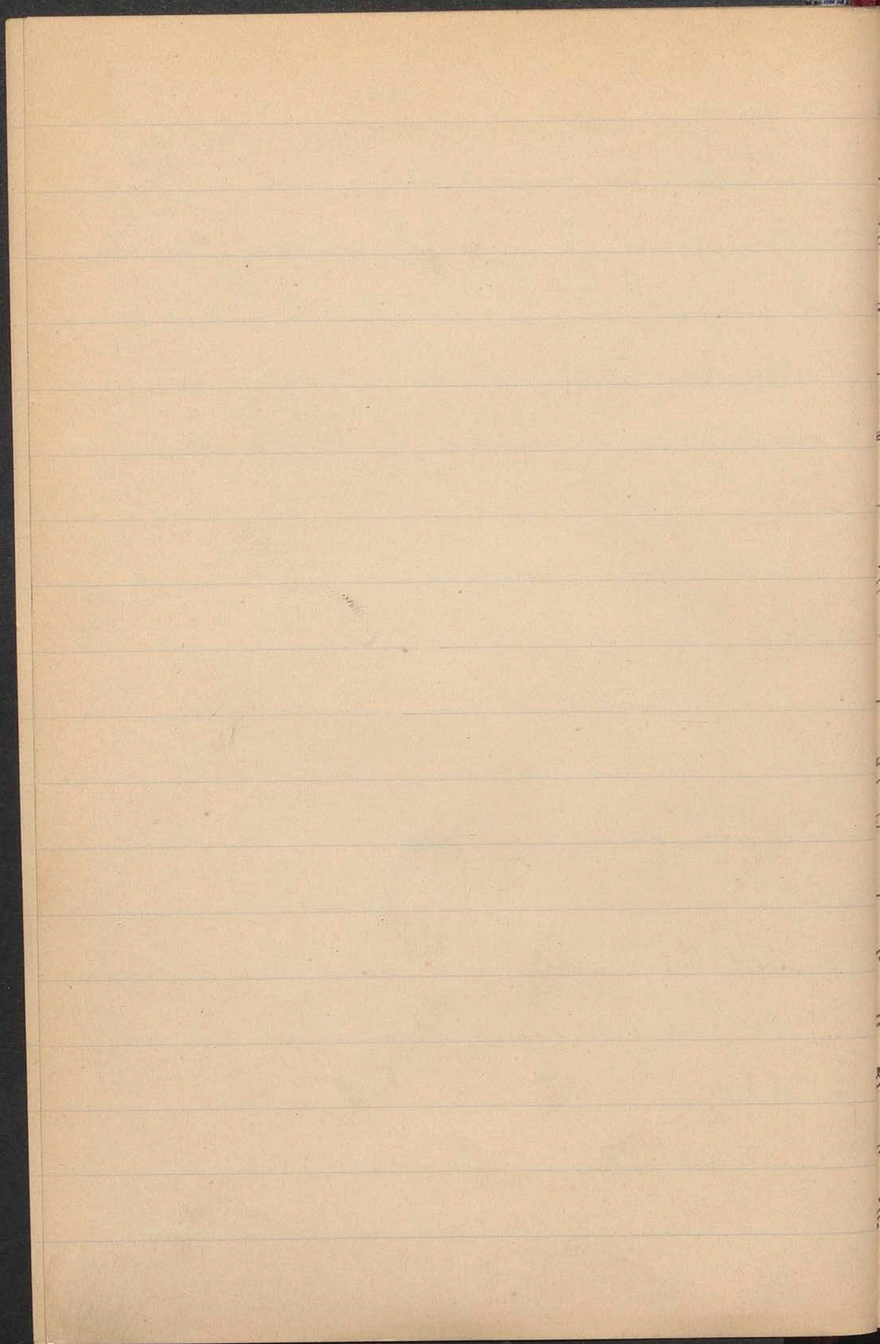
— To nieprawda, Fräulein mnie uderzyła! rycząt Józio.

— A mnie kazała w kącie stać! Jakie ona ma prawo.

— Jakto! pani ośmiela się uderzyć dziecko! To stanowczo zabraniam. I za co? Że chciały do mnie przyjść — do matki. To przewinienie! Łatwo pani się każe. No, dzieci, cicho, cicho już! Nie płaczcie! No, chodźcie do mamusi! Kochacie waszą mamusię?

Dzieci chlipiące rzuciły się jej na szyję. Całowała je, tuliła w uściskach, prowadziła ze sobą na czekoladki.

Mamusię, jeśli można, jeszcze więcej kochano, i dogadzano jej bo była „panienką” i „dziewczynką”. Literalnie



chowano ją jak kolibra.

– Zobaczysz, będzie śliczna! zdecydowały ciotki i babki zaraz po urodzeniu, gdy była bezkształtną bryłą mięsa, ~~bez~~ z wielką łysą głową, bez rysów, bez zębów, bez brwi.

– Będzie śliczna, powtarzano, strojąc ją w jedwab i koronki w gazy i batysty.

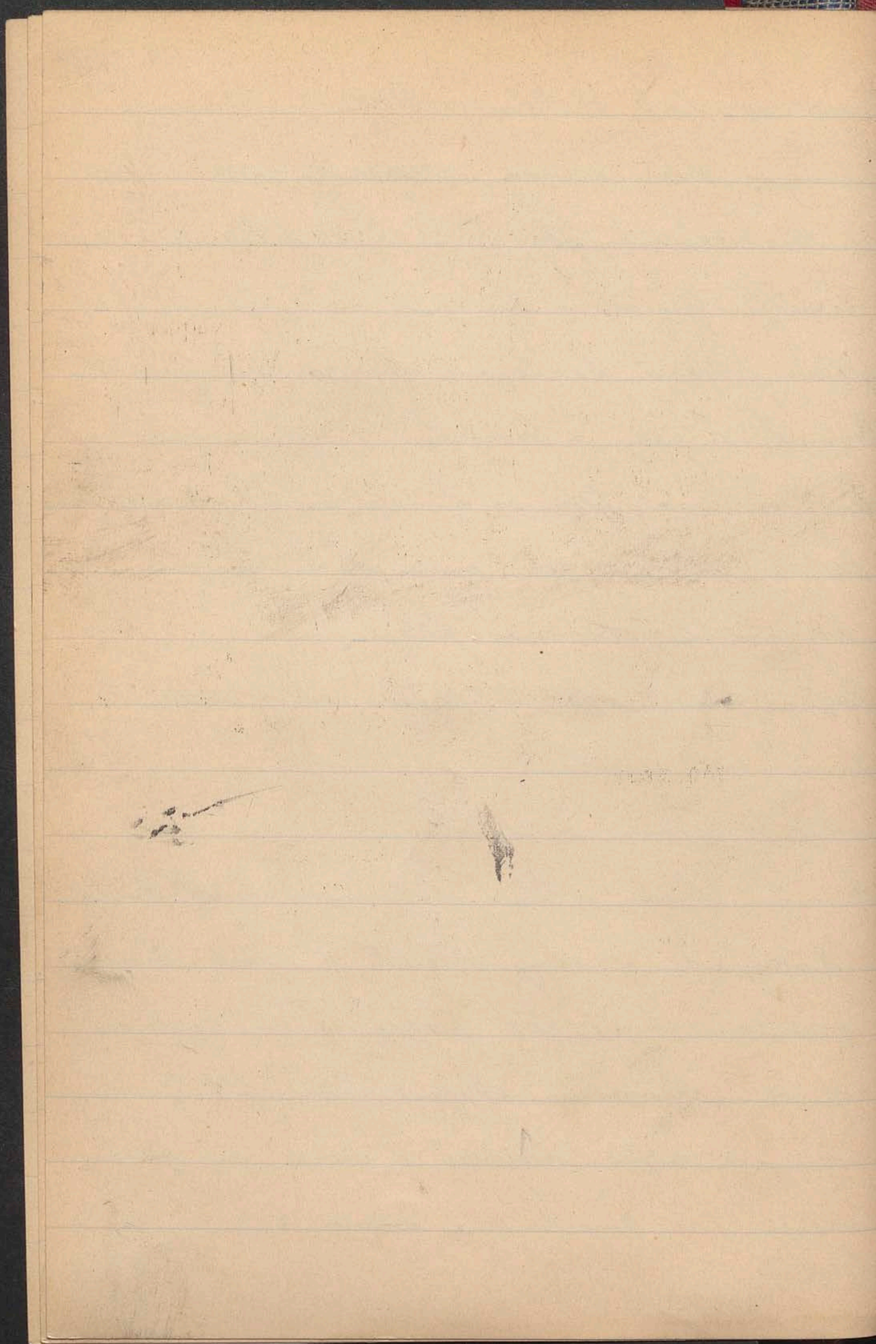
– Jest śliczna! Cóż za oczki, cóż za nosek, jakie włosy! Jaka to już czarująca, mała kobietka.

Zachwycano się, całowano, fotografowano.

– Śliczna dziewczynka! słyszała wkoło siebie, gdy tylko słyszeć zaczęła.

I wcześnie zaczęła się edukacya:

– Maniusiu, trzeba włożyć kapelusik, bo to brzydko, jak dziewczynka zwiewa włoski i opali buzię! Maniusiu, nie biegaj tak głośno, to nie wypada dziewczynce! Maniusiu usiądź ładnie, jak dziewczynka. Maniusiu, nie można krzyczeć i śmiać się głośno dziewczynce! To brzydko! Nie można tarzać się po trawie,



i bić się z chłopcami. Maniusia dziewczynka.
Jak Maniusia będzie grzeczna, to dostanie ładną sukienkę, i wyjdzie do gości.
Tą obietnicą kupowano zawsze uległość i grzeczność.
Maniusia lubiła być pokazywaną. Wtedy rozpuszczano jej złote włosy w lokach na ramiona, ubierano biało lub niebiesko – i wyprowadzano do salonu. Goście zachwycali się i unosili nad jej urodą, wzrostem, wdziękiem, rozumem – dawali zabawki i łakocie. Dziecko czuło się bardzo wielką osobą.
Istotnie była w domu na osobnych prawach. Chłopcy, którzy sobie nic z niczego i nikogo nie robili – musieli jej ustępować, „bo ona dziewczynka”, ona słaba, delikatna, z nią trzeba uważnie się bawić, nie wolno szturchać, gonić, bo się może zmęczyć, przestraszyć. Na tym punkcie wszyscy się zgadzali na jedno, i na jedno słowo skargi, na jeden pisk Maniusi – byli chłopcy karani bez

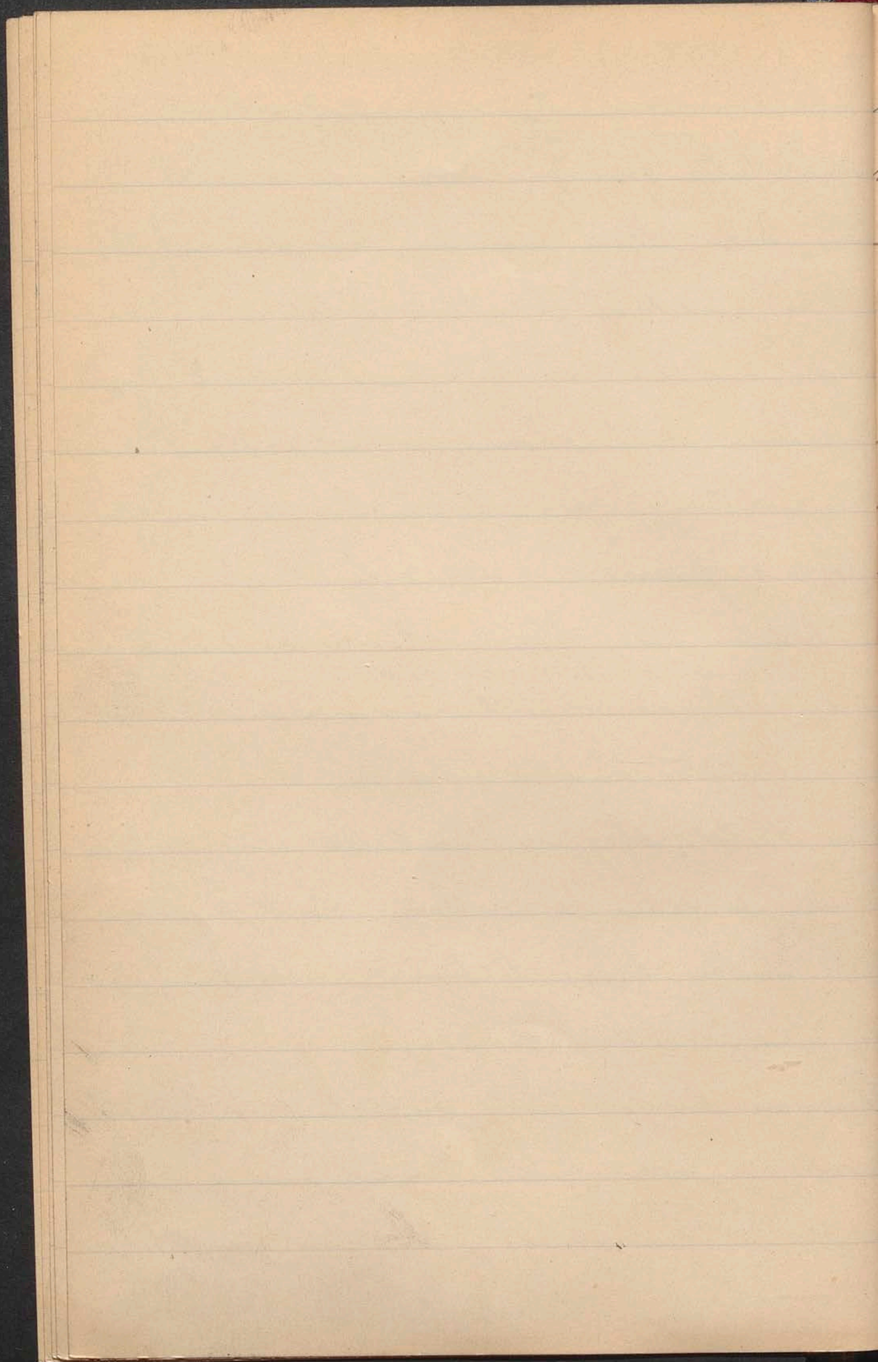
apellacyi. Wcześnie też się nauczyli - okazywać jej powierzchowną opiekę i względy - a nazywać lekceważąco: „babą." Była bojaźliwą, kapryśną, niedołężną, próżną i łakomą. Płakała o byle co, nudziła się ciągle, i wbrew wielkiej pieczołowitości, prawie bezustannie była chora, i wbrew wielkiemu umiłowaniu którego była przedmiotem - ona nie kochała nikogo - a przeciwnie miała antypatye.

Nie lubiła starej Jankowskiej, bo ta ją ciągle musztrowała, nie lubiła doktora, bo z niej żartował a już nadewszystko nie cierpiała „wuja Bolka."

Tę antypatyę dzieliła z braćmi.

Wuj Bolek, stryjeczny brat Zarębiny - zjeżdżał do nich co roku na wakacye. Był kulawy - miał wielkie krzaczaste brwi - i z pod nich patrzał na dzieci wzrokiem Heroda.

Zarębowie skakali koło „wujaszka." był to stary kawaler i kapitalista. Zrobił fundusz gdzieś na granicy Chin, żywot miał bardzo burzliwy -



teraz osiadł w Warszawie — i jak sam o sobie mówił: ,

— Napracowałem się — teraz będę patrzeć i rozmyślać".

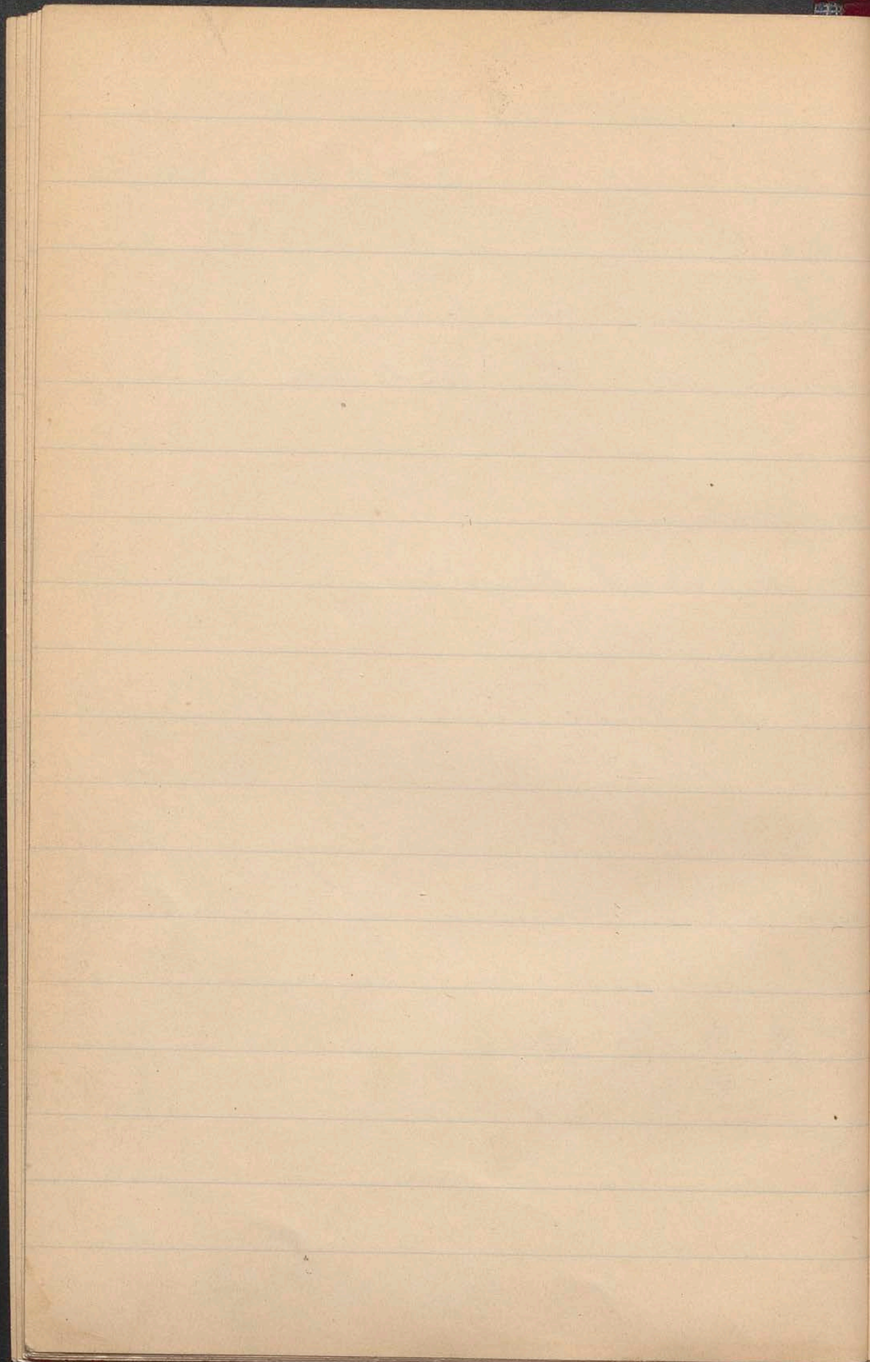
I rzeczywiście nic nie robił — tylko jak Zaręba dowodził: „patrzył się" nad wszystkiemi.

Nad tymi co chcieli od niego pożyczki, nad rodziną, która go chciała opętać i otoczyć opieką — nad matkami, które go chciały za zięcia — nad młodemi kobietami, które go chciały złapać [męża] — nad przyjaciółmi i kolegami, którzy go chcieli naciągnąć.

Wuj Bolcio" — był na wszystkie napaści „w stal zakuty" — przeciw wszelkim upojeniom i jadom „zaszczepiony." Nic się go nie brało!

Dzieciom Zarębów wydawał się bardzo stary, ale w rzeczywistości gdy zaczął spędzać u nich wakacye miał lat czterdzieści — był łysy — i trochę na nogę utykał. Zarębina nazywała go poufnie „le diable boiteux" — i w duchu bardzo nie lubiła, za otwarty

wstręt i niechęć jaką objawiał dla jej dzieci.
Pomimo to spędzał u nich co roku parę letnich
miesięcy, i miał swój pokój. Jeśli czego dzieci się
bały, to groźby, że ich zamkną do pokoju
wuja Bolka. Stara Jankowska opowiadała
im o nim niestworzone rzeczy, umyślnie, żeby tę
grozę utrzymać.
Gdy wuj Bolek przyjeżdżał – pytał na wstępie
~~siostrzeńców~~ Zarębiny.
– No cóż, „kanary" twoje jeszcze żyją wszystkie?
– Ależ Bolku! protestowała z bolesną obrazą.
– Osobliwość – jaki jednakże organizm ludzki
jest odporny. Trujesz ich systematycznie – i żyją.
A jeszcze was z domu nie wypędziły?
– No, no! Bądź spokojny. Tak źle nie będzie!
– Jeszcze parę lat czasu!
Prezentacyi dzieci nie bywało. Gdy się zgromadzano
na obiad, wuj spoglądał na nie wzrokiem badawczy-



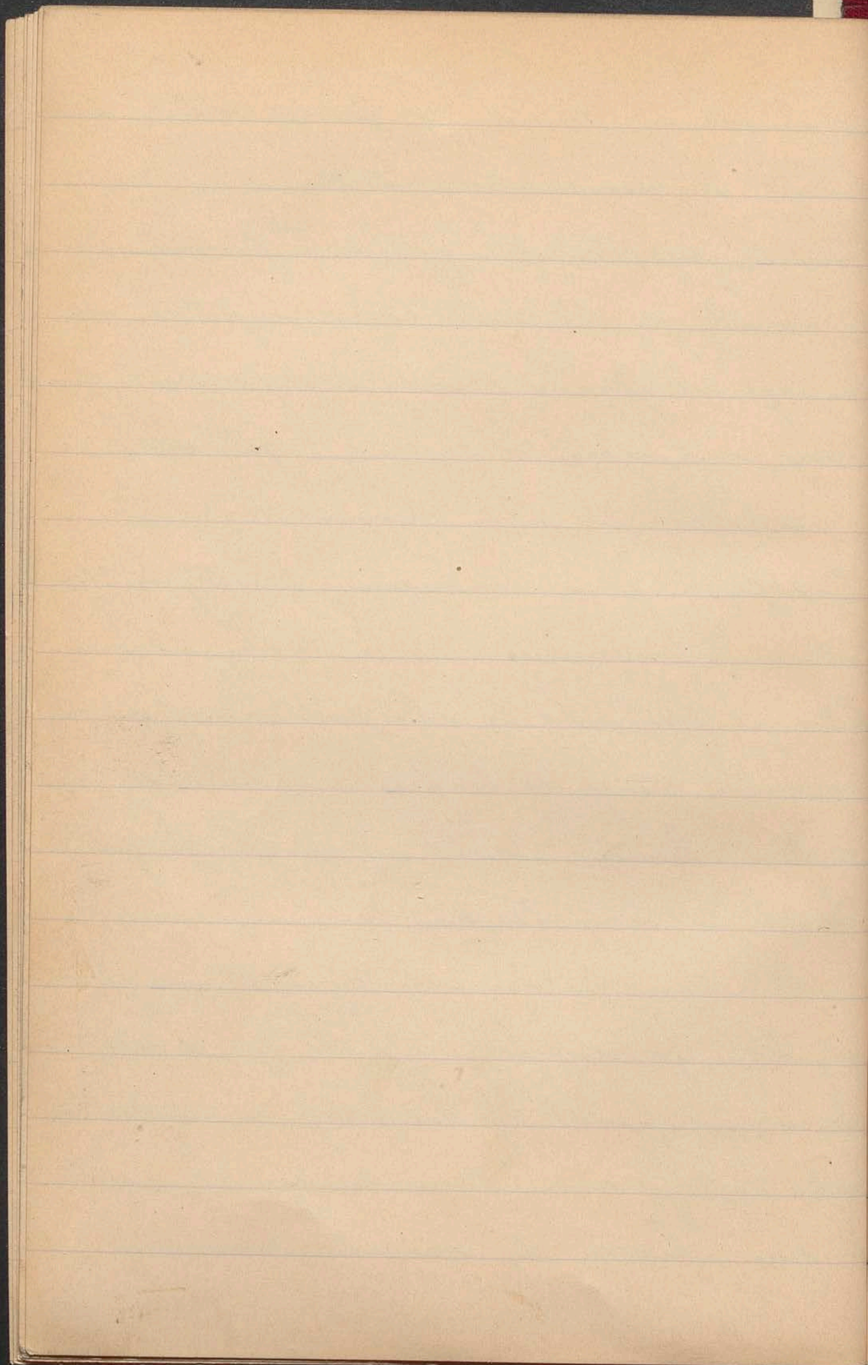
nie trudził się przemówić, a gdy go witały - nadstawiał do pocałunków łokieć.

Obecność jego działała mrożąco. Z początku dzieci nie śmiały się odezwać, potem szeptały, zerkając na niego - a gdy się oswoiły, i rozpoczynały wszystkie swary, naparcania i grymasy, wystarczało, żeby na nie spojrzał, aby oniemiały.

Nie cierpiały go też serdecznie, i starały się spotykać jaknajrzadziej. On ze swojej strony tak je ignorował, że chłopców nawet nie rozpoznawał jednego od drugiego, a spotkawszy przed gankiem Maniusię, zdawał się nie spostrzegać.

Bolało to bardzo Jarębinę.

— Właściwie Bolku, co ty czujesz do moich dzieci? spytała go raz, korzystając, że był w dobrym humorze, i zdawał się łaskawiej na nie patrzeć Niedzieli przy czarnej kawie na ogrodowym ganku, a dzieci bawiły się opodal z boną.



— Jakto? co czuję? przedewszystkiem litość.

— Dlaczego?

— Ano, że mają taką matkę.

— Ach, więc ja jestem zła!

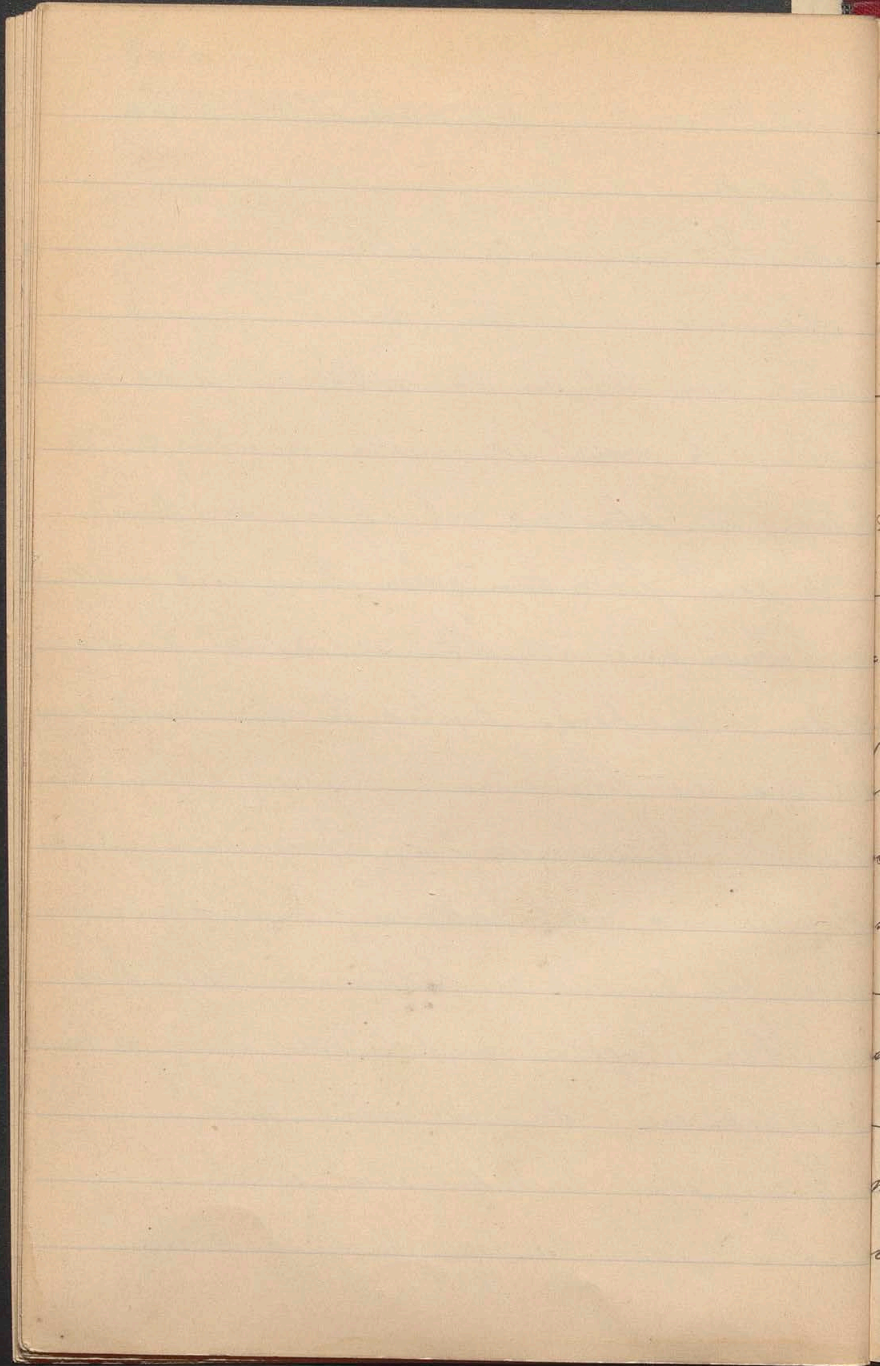
— Tyle masz talentu na matkę, ile ja na ojca.

— No — w to wierzę! uśmiechała się. Ale poza tą litością, nie obdarzasz ich żadną sympatyą?

— A zaco? Poczekam z tem. Teraz są w wieku w którym dzieci wszystkie uchodzą za bardzo mądre i za bardzo piękne. Że zaś świat dorosły składa się przeważnie z głupców i brzydali — poczekam z zachwytami, aż twoje kanarki ziszczą pokładane w nich nadzieje. Przyrzekam ci najuroczyściej — że jeśli za kilkanaście lat — będą wyjątkiem z ogólnej pospolitości — czynię je memi spadkobiercami: Co więcej możesz żądać?

— Żądam, żebyś je lubił choć trochę.

— Aha! Tobie się zdaje, że ty je lubisz!



— Zdaje mi się, że dają tego dość dowodów. Żyją tylko dla nich i niemi.

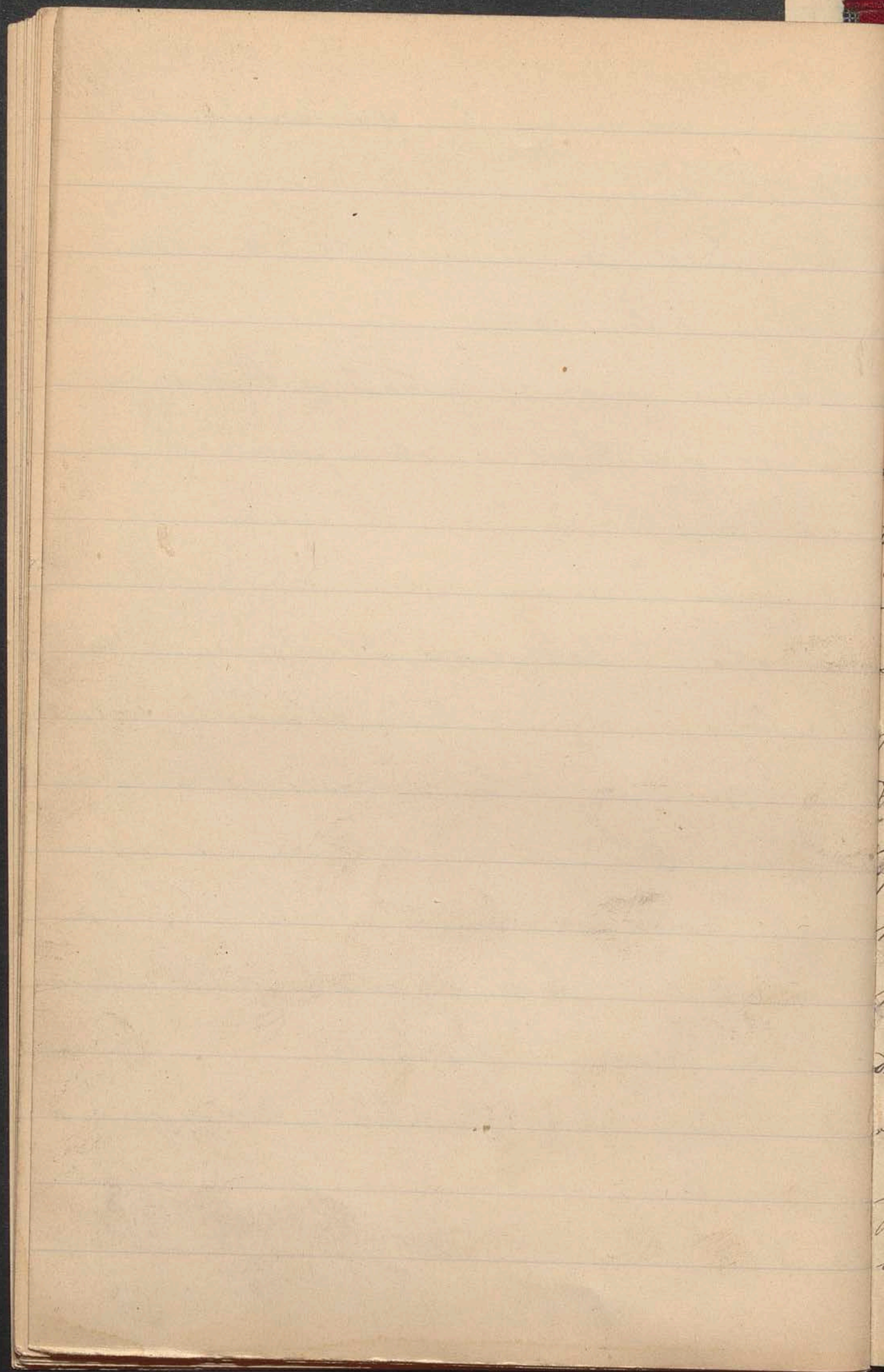
— To szkoda. Ja bo żyję tylko dla siebie — i bardzo mi z tem dobrze.

— Poczekaj, jeszcze cię wyswatamy. Będziesz jeszcze i ty żyć dla kogoś, i dopiero poznasz szczęście. Twoje życie — to nie życie. To egoizm.

— A wyście te kanary wyprodukowali przez umartwienie, ofiary i poświęcenie. Słuchaj, nie praw głupstw — i nie czyń z siebie bohaterki. Bawicie się w męża i żonę — potem w ojca i matkę, bawicie się dziećmi. Otóż ja wolę się bawić w inne gry — i jeśli jestem egoistką — to szczerą.

— Żeby wszyscy uchylali się od obowiązków — cóżby się stało ze światem i ludzkością.

— Co? Byłoby lepsze powietrze, większa cisza, i mniej tłoku. Bądź spokojna — światby istniał bez twej pracy dla ludzkości — w formie twojej



…cetaków, próżniaków i kapryśników!

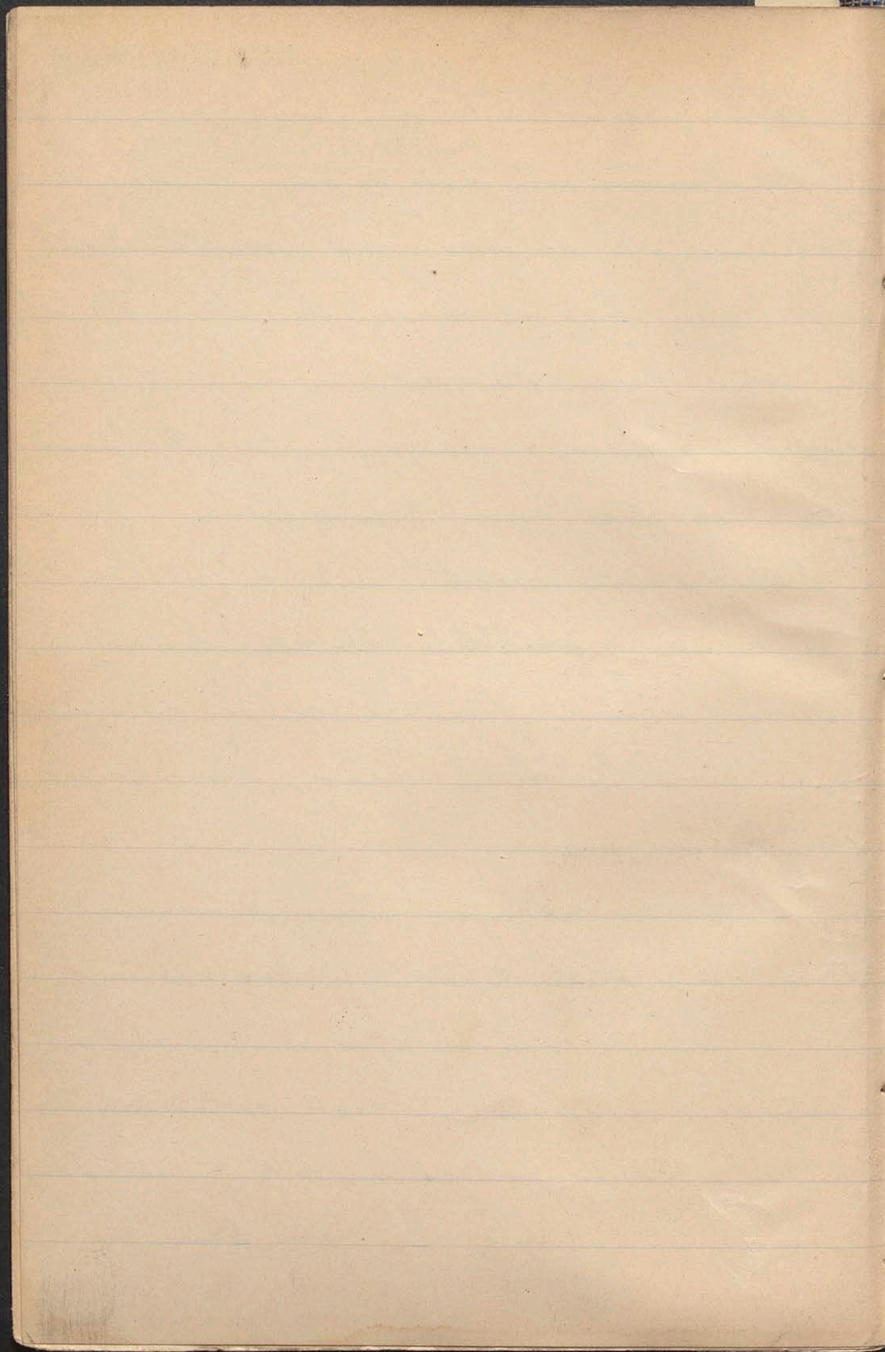
— Nie rozumiem co ty masz do moich za szczególne uprzedzenie. Nie są inne, jak wszystkie dzieci!

— Właśnie. Imię im legion! Ani twoje teorye, ani twoja praca dla ludzkości nie jest czemś szczególnie trudnem i wymagającem zachęty i pochwały. Ergo — nie żądaj moich zachwytów!

— Jesteś ohydny cynik!

Tem zdaniem, z dodatkiem klapsa kończyły się podobne rozmowy. Pani Teresa za mało myśla[ła], a za bardzo była leniwa, żeby módz ich[?] dyskutować.

Wuj Bolek na wakacyach prowadził ruchliwe życie. Bardzo rano ~~[illegible]~~ kąpał się w rzece, potem zag[lą]dał do fabryki, zajmował się robotą, i chętnie rozmawiał z robotnikami. Skoro południowy spędzał w swym pokoju, a około zachodu słońca szedł znowu nad rzekę ze strzelbą — i dużo marno…



wał prochu, ale nigdy nie przynosił zwierzyny.

Często też wieczorem chodził do miasteczka – na karty, do rejenta, i wracał późno.

Znał tedy dobrze Jędrasa i bramę.

W pierwszym roku go nie zauważył, ale w drugim już sobie tę twarz przypomniał, w trzecim powitał jak dobrego znajomego, i dopiero wtedy spostrzegł dziecko, plączące się u nóg stróża.

— To wasza, mała? spytał.

— Moja! odparł Jędras, mimowoli usuwając za siebie dziecko, tak się lękał dla niej ludzkich oczu.

— Skądże się wzięło raptem. W zeszłym roku nie było.

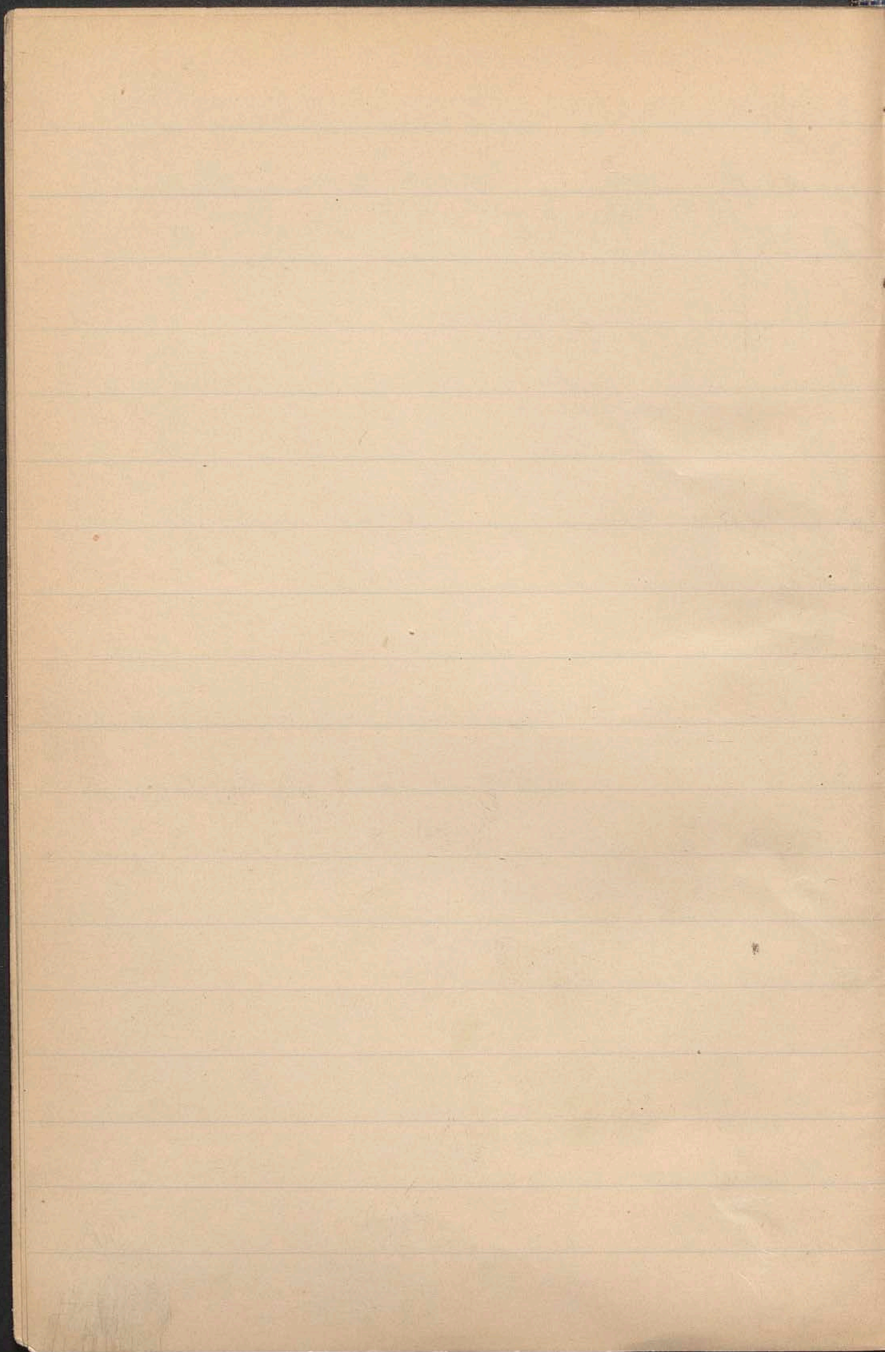
— Było, tylko małe, to siedziało w chałupie, a teraz łazi za człowiekiem.

— To i żonę macie?

— Nie, tyle wszystkiego.

— I tak się samo chowa?

— A cóż! Co jej więcej potrzeba. Na nogi już stanęła



to i najgorszy kłopot skończony.

— Tak - nawet z czesaniem nie macie kłopotu! uśmiech-
nął się - patrząc na ostrzyżoną przy skórze główkę.
Potem wyjął złotówkę, i podał dziecku
Jak zwykle nie zechciała wziąć", i umknęła do chaty.
Zabawiło go to - i nazajutrz, gdy ją ujrzał bawiącą
się z kotem przed drzwiami, przystanął, i zagadał.

— Mała, jak ty się nazywasz?

— Mańka! odparła rezolutnie

— A chcesz cukierka?

— Nie chcę.

— Dlaczego?

— Bo tato mówił, że od tego wąsy rosną.

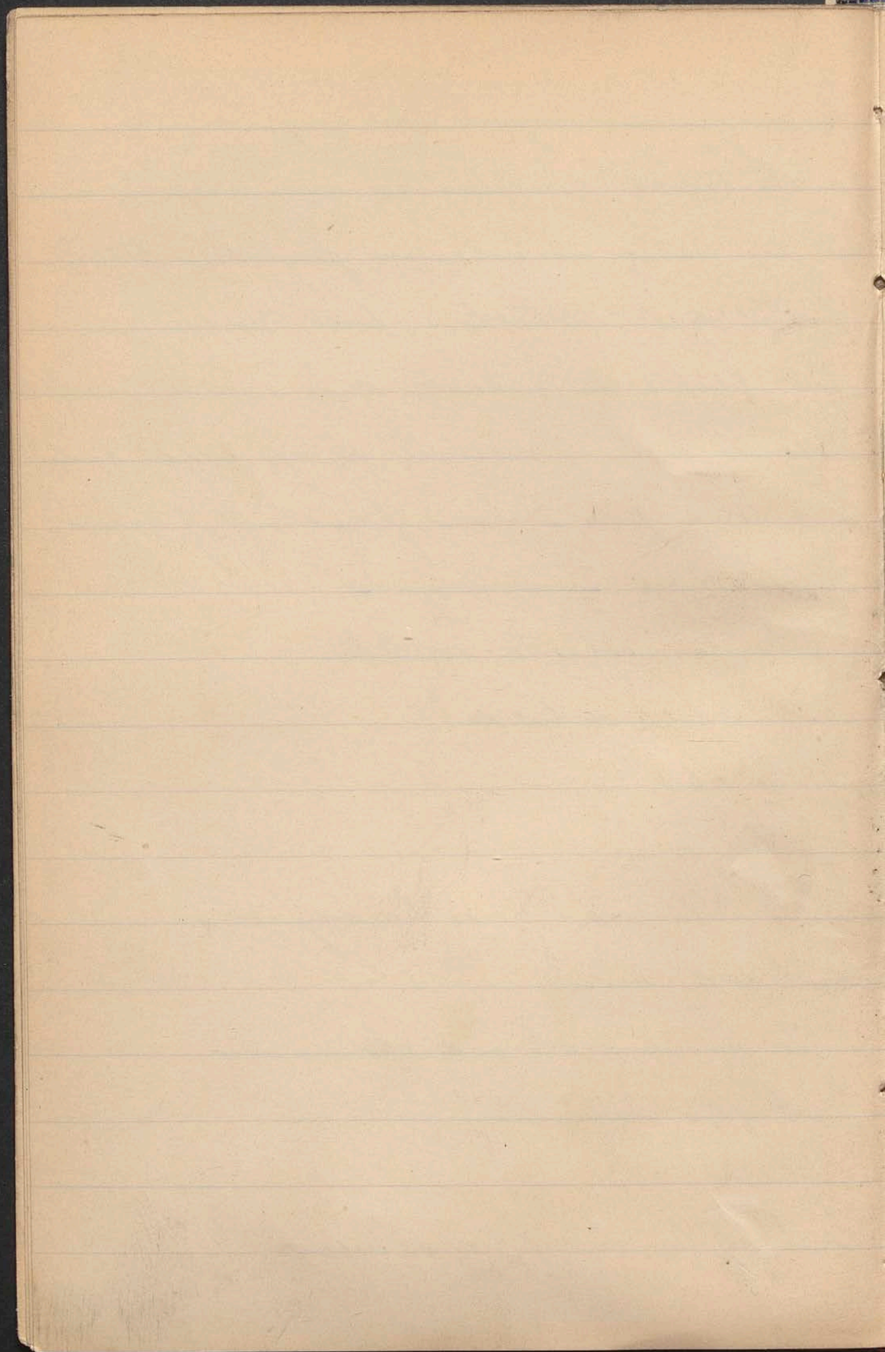
— A co to wąsy?

— Ja nie wiem, ale cukierka nie chcę!

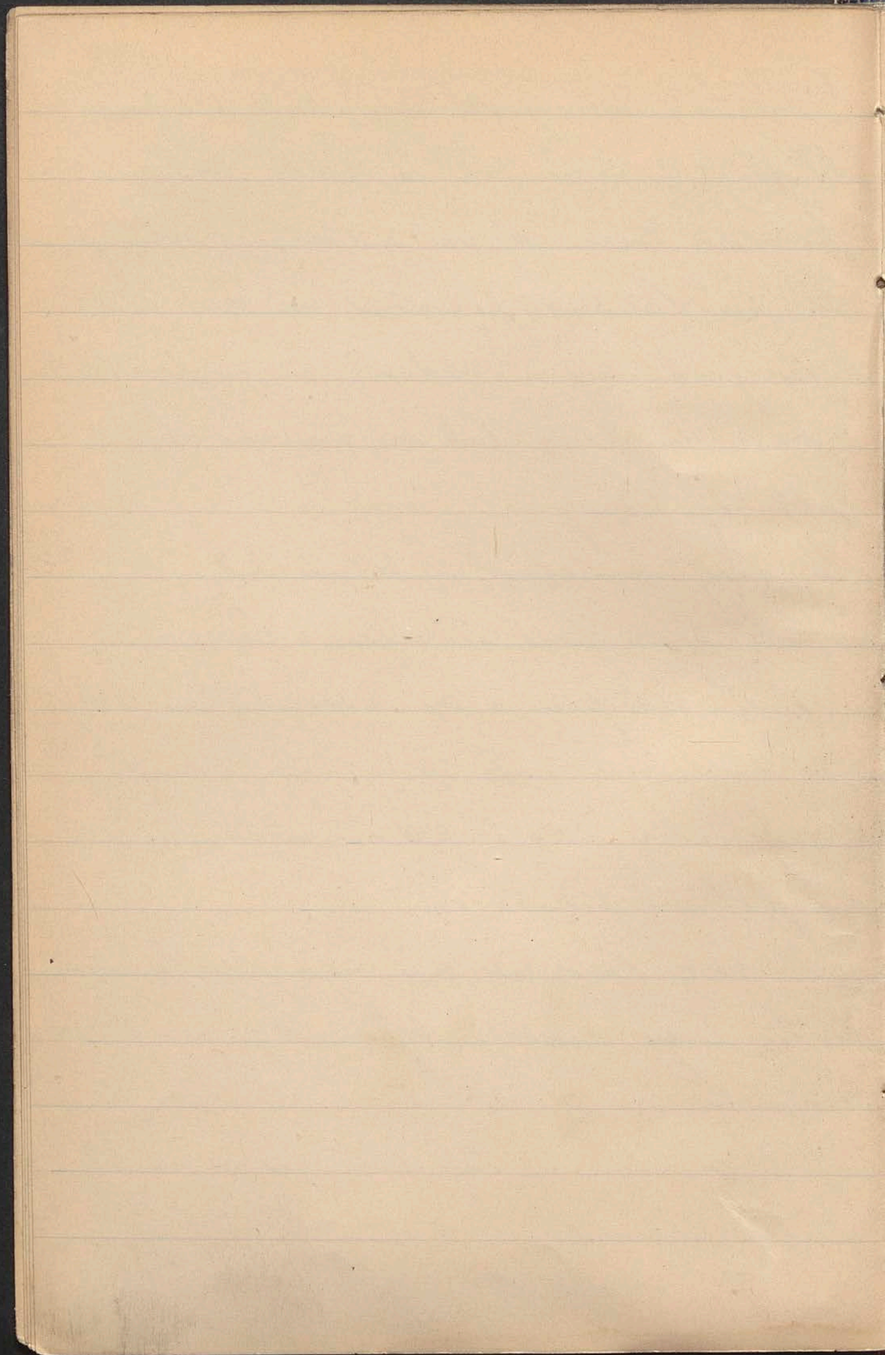
— A gdzie twój tato?

— Śpi

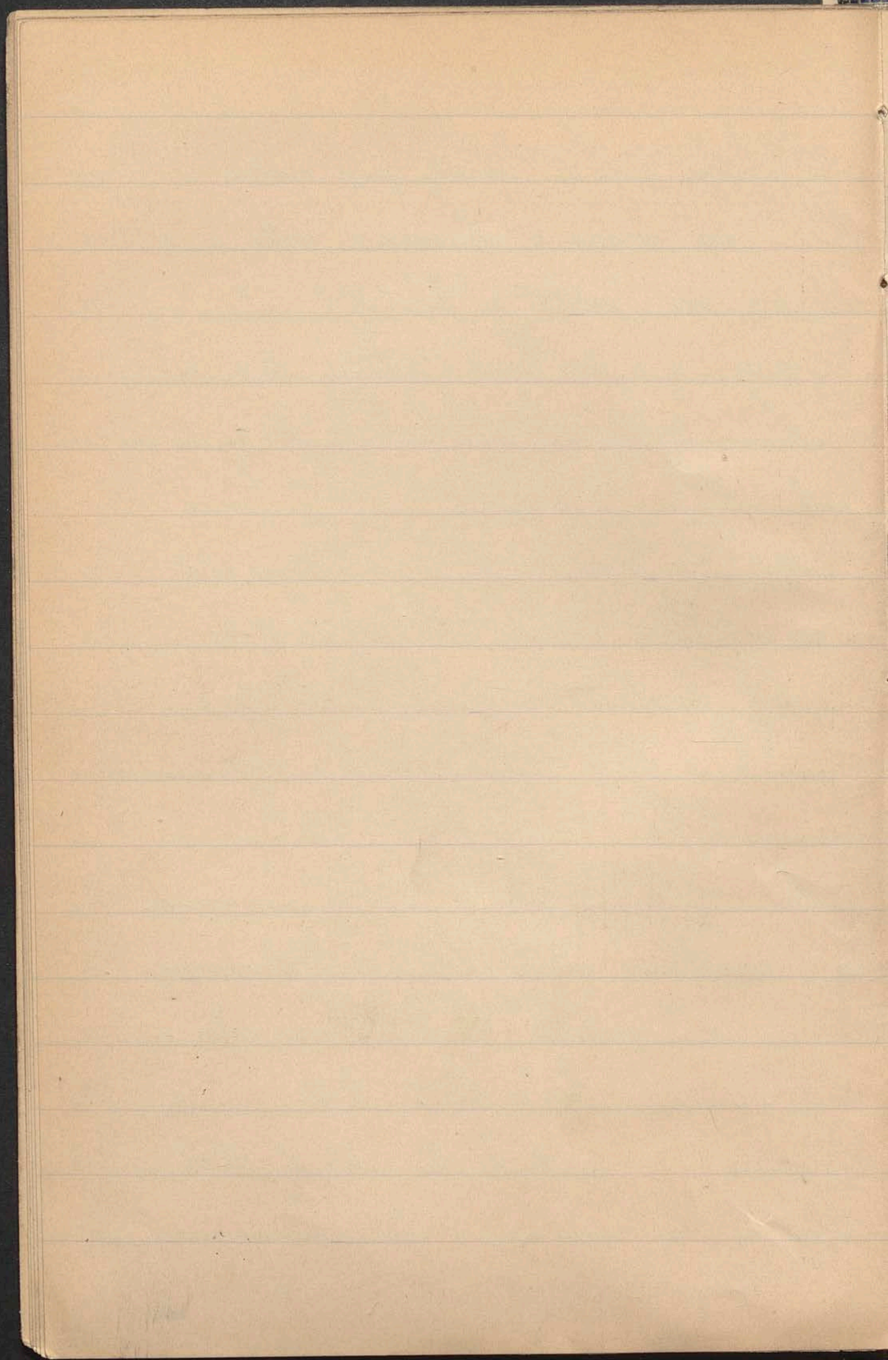
— To daj mi ten klucz od bramy.



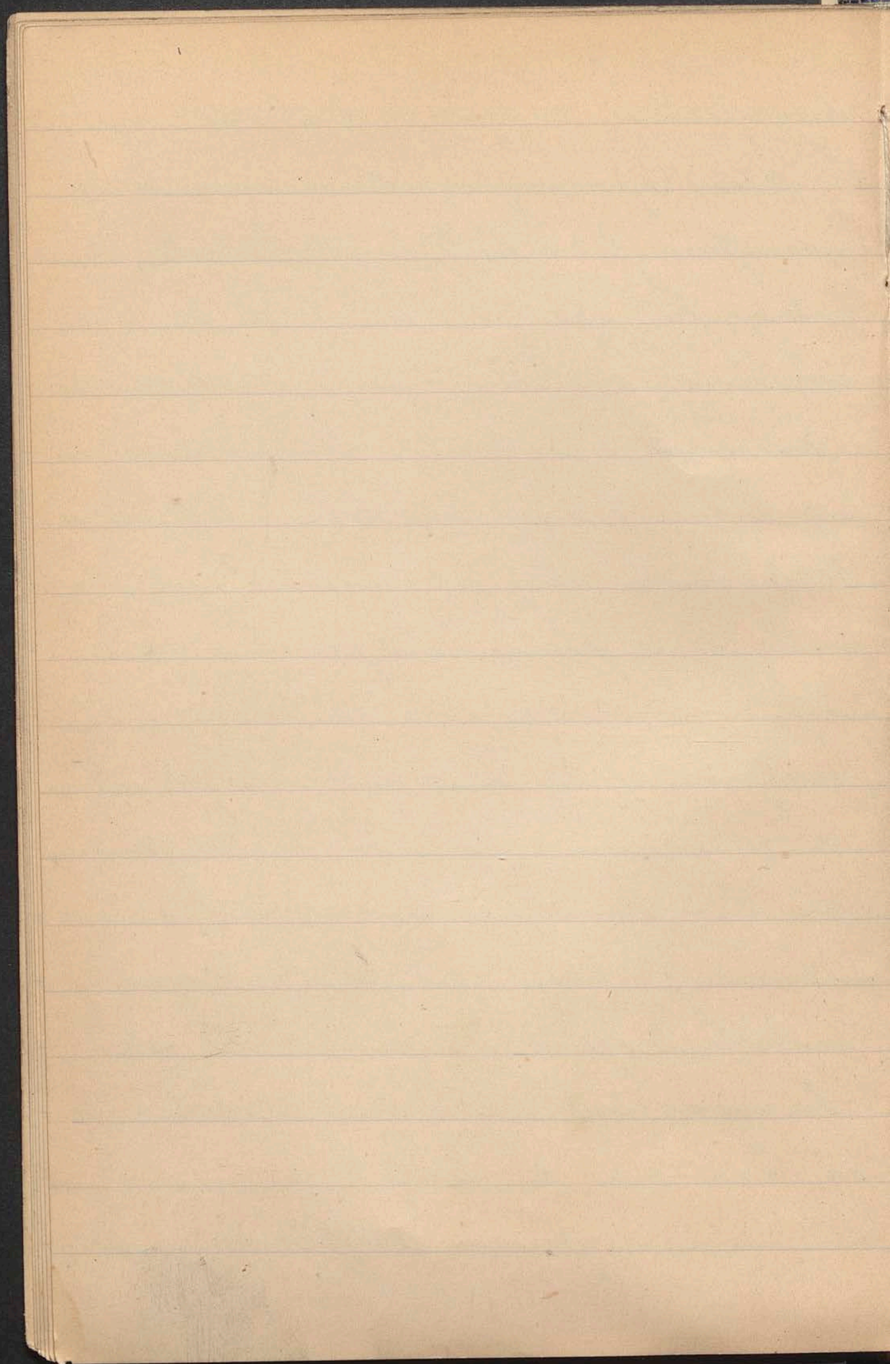
— Nie dam, bo wysoko wisi, i tatko nie pozwala
kluczami się bawić. Ale ja tatka zbudzę.
Po chwili Gedras wyszedł zaspany, i otworzył furtę.
Ale pan Bolesław popatrzał na drogę, po której
wicher gnał kurz i odechciało mu się przechadzki
— Fuj — nie pójdę. Żal mi, żem was zbudził.
rzekł zawstydzony.
Ale stróż uśmiechnął się dobrodusznie.
— Żadno, proszę pana, chleb jem, i zwyczajnym.
— Bardzo roztropna wasza mała. Niedługo potrafi
was wyręczyć. Macie tu dla niej na sukienkę.
Gedras datek przyjął, jakoś niechętnie, wahając-
nie potrafił podziękować.
— Oj, proszę pana, naco! To moja służba, zamruczał.
Z tej racji wieczorem wspomniał go mej Bolek
w rozmowie.
— Jaki ambitny ten twój stróż. Ledwie raczył
przyjąć napiwek.



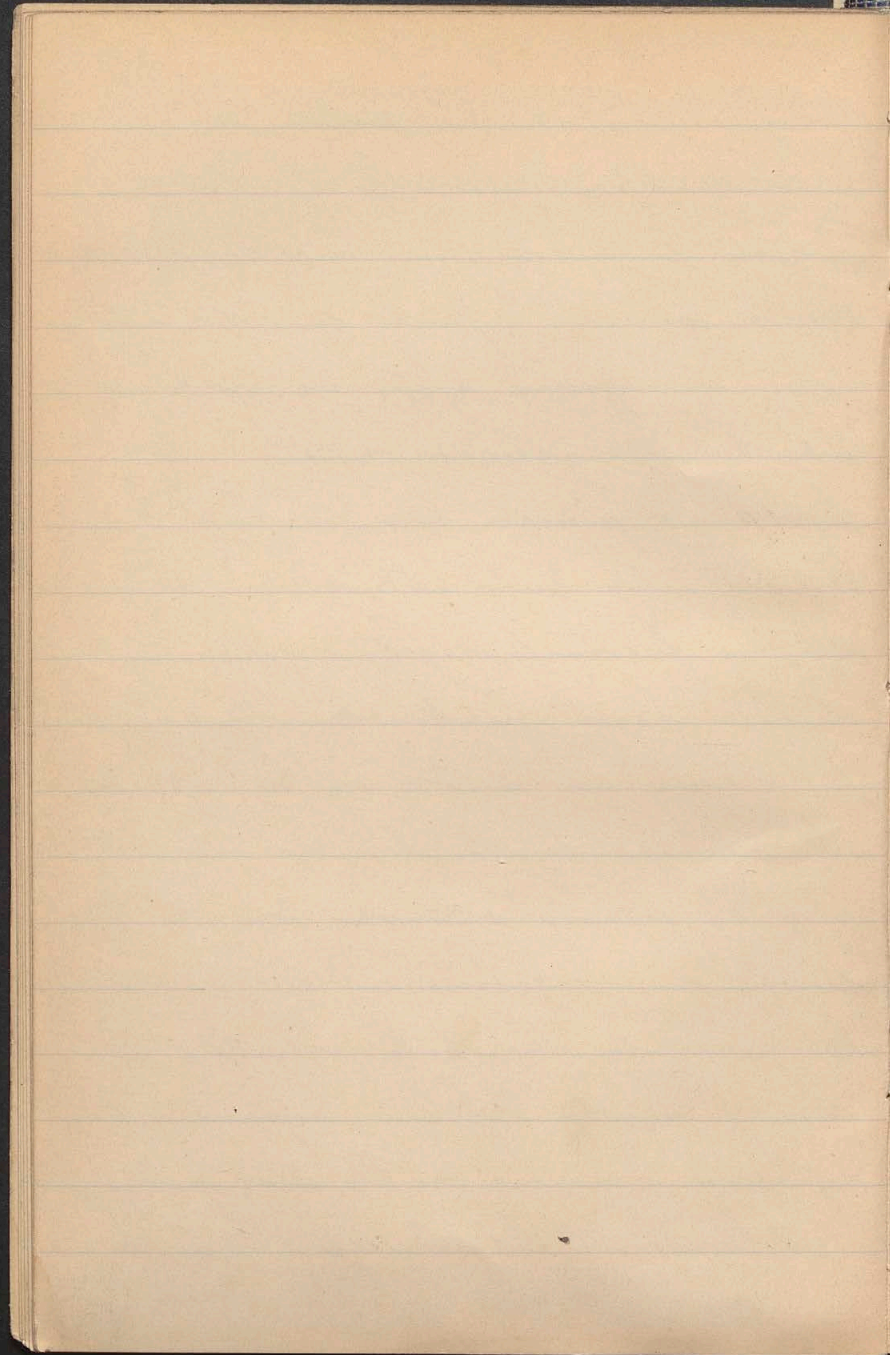
— A tak, to twardy i niemiły człowiek, ale jako służący, bez zarzutu. Służy już kilka lat, i jeszcze z nim nie zamienił dziesięciu słów. Z nikim się nie przyjaźni, nikt go nie lubi, ale i nikt nie potrafi wynaleźć nań skargi lub donosu. Takie nadzwyczajne było w nim to zajęcie się znajdą.
— Więc to nie jego dziecko?
— Ależ nie. Jakiejś nieznanej włóczęgi, która zmarła przy urodzeniu dziecka. Ten człowiek swoim kosztem nędzarkę pochował i dziecko hoduje, sam kaleka! Bywają w tych ludziach takie niespodzianki i sprzeczności!
— Wiesz – tę znajdę chcieli jednocześnie z naszą Manią chrzcić, i mieliśmy wtedy przejście z proboszczem. Oburzała się pani Teresa. Zachował się skandalicznie, jak demagog. Lorcia była taka zażenowana, bo to, widzisz, nie zechciał tu chrzcić tylko w zakrystii razem z pospólstwem – z tym podrzutkiem! Od tej



pory – jesteśmy na zimno z proboszczem.
Wuj Bolek spojrzał przez okno – na Maniusię odby=
=wającą spacer pod eskortą bony i na rękach niańki;
bo deszcz był upadł, więc bano się dla dziecka prze=
=moczenia nóżek; otulony w paltocik i kapturek,
i grymaszącą bezustannie, i porównał do tej czarnej,
bosej drobiny – bawiącej się z kotem, i takiej wesołej.
Mańka miała wtedy już czwarty rok, i całą głową
wyrosła ponad podmurowanie pańskiego ogrodu
stała się też śmielszą, i nie trzymała się drwalni; i
przyzby domowej. Gdy Gedras nosił drwa, już się moc=
=wała ze szczapami, i pewna była że mu pomaga,
rwała trawy dla ślepego konia, który obsługiwał
kuchnię, a gdy Gedras spał – chodziła do ogrodzenia
i zaglądała do ogrodu. Umiała tak stać godzinę
z twarzyczką przytuloną do krat, przypatrując się
jak tamte dzieci się bawiły.
Niewiadomo jakim sposobem nastąpiło poznanie, ale



pewnego wieczora Maniusia dostała strasznego ataku grymasów wołając uparcie, że ona chce się bawić z „czarną" dziewczynką. Pani Teresa zarządziła surowe śledztwo, dziewczynie zapierały się i kłamały na potęgę, ale wreszcie wyszło na jaw, że ową żądaną zabawką była „stróżowa znajda".
Powstał w garderobie sądny dzień. Pani się tak oburzyła, jakby dziecko zetknęło się z trądem - wypędzono piastunkę, zagrożono wypędzeniem bonie, oberwała nawet Jankowska. Maniusia pierwszy raz w życiu nie dostała, o co się napierała
Ale Maniusia umiała chcieć - więc nazajutrz powtórzyły się grymasy w zdwojonej dozie. Nie było sposobu ani jej zabawić, ani oderwać myśli od tego przedmiotu. Wyczerpała wszystkie swe sposoby: wrzasku i płaczu, drapania i bicia, napierania i nudzenia matki, coraz bardziej uparta i zacięta. Trwało tak trzy dni wreszcie pani



Teresa znudzona, zniecierpliwiona, wytrącona ze swego ulubionego farniente bezustannem nudzeniem córki, rzekła do starej Jankowskiej:

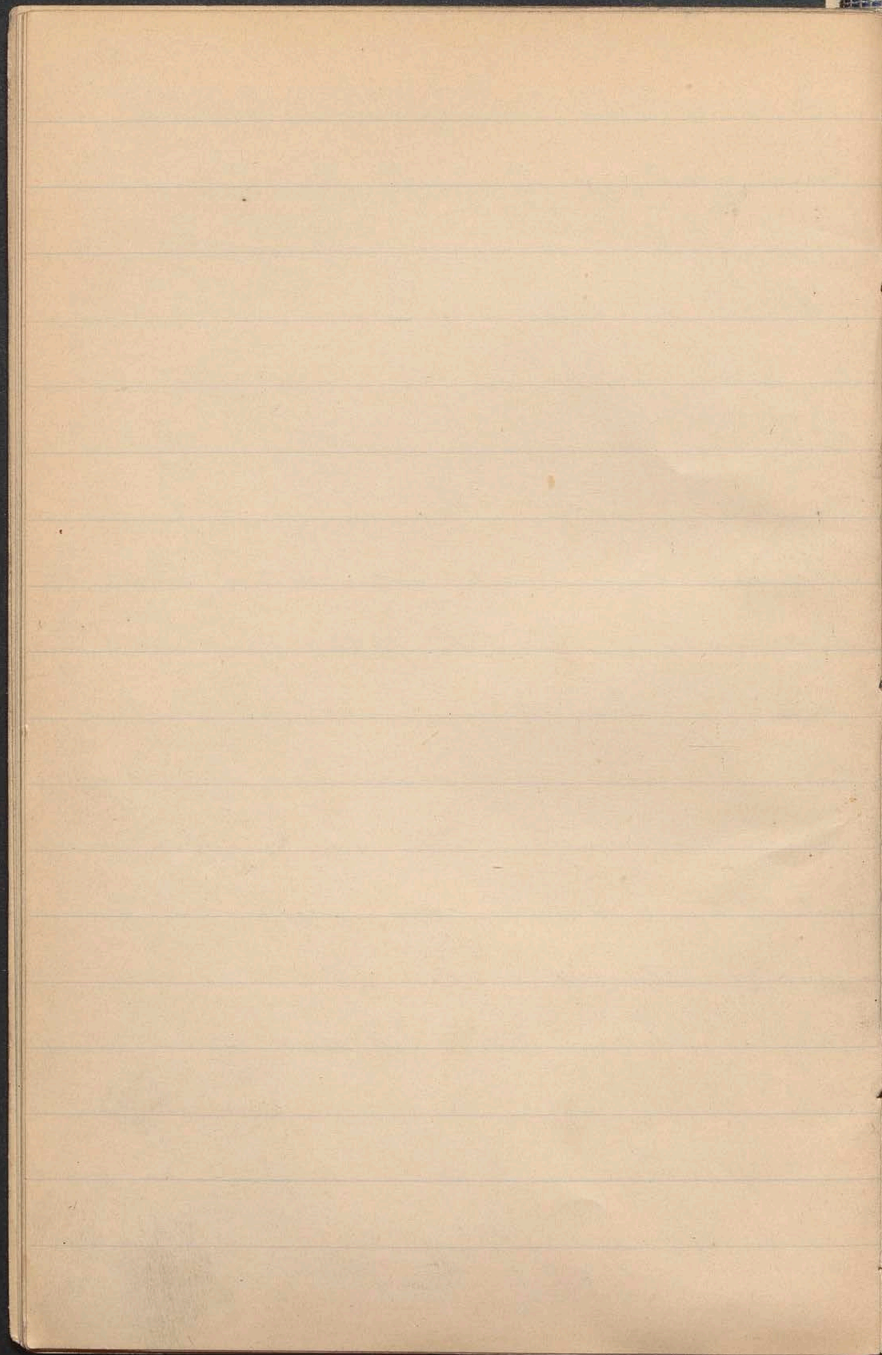
— Dziecko się gotowo rozchorować. Dowiedz się, Jankosiu, od tego stróża, czy ta mała zdrowa i czysta. Wykąp ją, uczesz, ubierz czysto — i niech tu wreszcie przyjdzie. Co robić! Mam nadzieję — że po godzinie Maniusia będzie miała dosyć takiego towarzystwa to ją odeślemy. Mój Boże, jakich ofiar nie trzeba robić dla tych dzieci. A uważajcie, Jankosiu, żeby ta mała nie nauczyła dzieci czego złego.

Jankowska poszła, rada też, że zdobędzie trochę spokoju — i wróciła dość prędko — ale sama i z twarzą wzburzoną.

— Czy to słyszane rzeczy. Ten gbur — nie dał mi małej.

— Co? Jakto? uszom nie wierzę, zawołała pani

— Nie dał! Powiada, że to nie kompanija dla jego małej! Koniec świata, dalibóg!



Maniusia, zrozumiawszy, że „czarnej dziewczynki" nie do-
-stanie - poczęła ryczeć, i ze złości tarzać się po ziemi.
Zarębinie oburzenie odebrało mowę na chwilę.
— Poprosić pana z kantoru' rozkazała wreszcie,
rzucając się, by ugłaskać jedynaczkę.
Gdy Zaręba zaniepokojony, przyszedł - z tego wśród
spazmów dziecka i opowiadań wszystkich kobiet
nie mógł zrozumieć oco właściwie chodzi.
Gdy mu wreszcie rzecz wyjaśniono, i jego zaraziło
oburzenie żony - i wróciwszy prędko do kantoru, kazał
zawołać do siebie Gedrasa
Stróż tymczasem się opamiętał, przygotowany był
do obrony jedynej dla słabszego względem silnego do-
-stępnej - tojest wykrętów.
Gdy stanął przed chlebodawcą, był zbrojny w argumenty.
— Co to stara Jankowska na ciebie donosi, jakobyś
nie chciał dać tej małej swojej - na zabawę panience.
— Jankowska przyszła - pyta - czy mała czysta.

powiedziałem, że dla mnie czysta — pyta: czy ma wszy: powiadam: wam ich nie naniesie — pyta: czy zdrowa powiadam: jak chora — to jej nie dykajcie — to was nie zarazi. A wreszcie powiada, że ją zabierze do pałacu. Więc ja nato powiedział — że jak do pałacu, to one i za brudna, i za głupia — i rzeczy nie mogą za-zdrowie, i że jej nie puszczę. To ze złości poszła.

— Jankowska źle spełniła polecenie. Moja mała chce się bawić z twoją — i to moja żona pozwala jej przyjść do dzieci. Zaprowadź ją tedy zaraz do garde-=roby.

— Kiedy, proszę pana, dziś to naprawdę strasznie. Ona chrypie od kilku dni — może być krup.

— W takim razie nie — nie prowadź, aż będzie zupeł=nie zdrowa.

Gdaras umknął co rychlej z przed pańskiego oblicza — i od tej chwili Mańka nie pokazała się na drodze. Ale, niestety, nie zapomniano o niej w pałacu

codzień ktoś się o nią dowiadywał.

– Chora leży! odpowiadał stróż.

Chatę na klucz zamykał, gdy wychodził, a gdy spał to się ze środka ryglował. Jednakże Jankowska, ztość" ku niemu czuła, poczęła szpiegować, i wreszcie rzekła pani:

– Chora, chora! To niechby doktor ją obejrzał

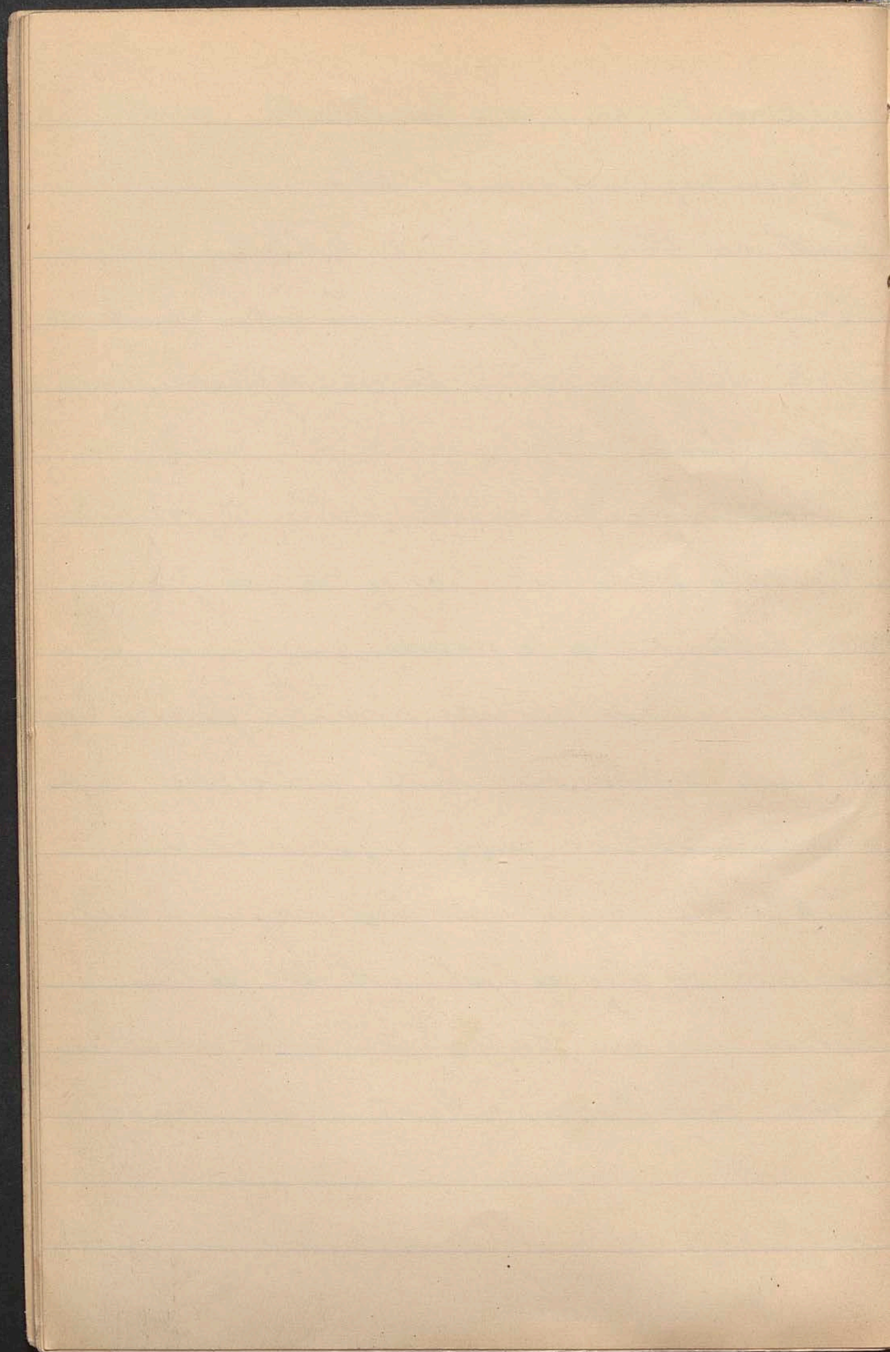
Nazajutrz doktor właśnie był wezwany do dzieci, więc poproszono go o zbadanie znajdy.

Gedras musiał chatupę otworzyć, i pokazać małą.

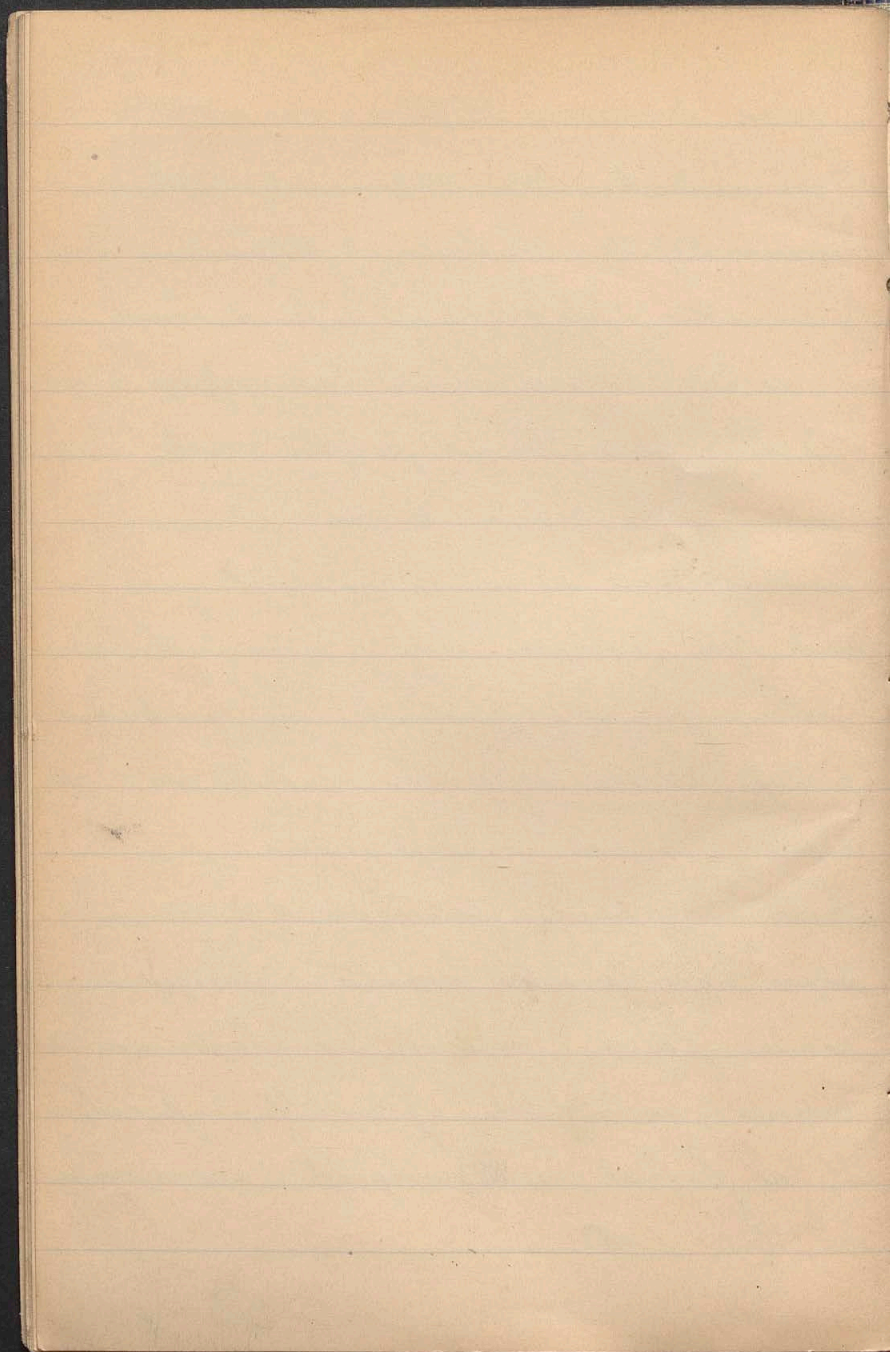
Okazało się, że była tylko wystraszona, mizerna, i spłakana, ale zresztą zupełnie zdrowa.

Jankowska, asystująca przy wizycie lekarza, zabrała ją tedy natychmiast do pałacu, a Gedras już nie protestował, tylko usiadł na ławce pod piecem, w pustej izbie, i ponuro się zamyślił.

Potem, jakby nic, poszedł do drew – ani spytał



o dziecko przechodzącej służby.
Wróciła Mańka przed wieczorem, rozgorączkowana, rozbawiona, objedzona łakociami, z podwieszkiem pełnym przysmaków i defektownych zabawek. Zaczęła mu szczebiotać, opowiadać, chwalić się co widziała, co jadła, jak było wesoło. Słuchał posępny - i jakoś niechętny do niej, i ostro zapędził do snu.
Nazajutrz, ledwie się ubrała, nie chciała jeść śniadania, tylko wyglądała, żeby ją znowu do tych cudów zawołano. Przyszła piastunka, już nawet nie pytała Ledwosa o pozwolenie, zabrała małą jako zabawkę „panienki" i poprowadziła.
Odtąd to w trzyczasy, powtarzało się co rano. Raz przecie mała wróciła wcześniej i płacząc, że ją panicze pobili - i nazajutrz nie chciała iść, ale przynieśli jej cukierka, uggłaskali, i uprowadzili.
Ledwos patrzał na to wszystko, i nic nie mówił, coś knuł potajemnie.



Wreszcie pewnego dnia nad wieczorem, zostawiwszy na swem miejscu u bramy chłopaka ogrodników poszedł na plebanię.
Ksiądz go przyjął uprzejmie, jak zwykle, spytał o matkę, jak mu się powodzi, rozmawiali tak chwilę.
Wreszcie Gedras rzekł, że chciałby dostać metrykę dziecka
— Cóż to? Żenisz ją, wydajesz? zażartował ksiądz.
Dobrze — każę ją zakrystjanowi spisać, jutro dostaniesz.
Gedras chwilę się wahał, wreszcie się zdecydował.
— A czy to można w metryce napisać, że ona moja córka?
— No nie, tego nie można.
— To jakże będzie?
— Ano — jak prawda.
— Znajda, podrzutek?
— Jakże chcesz inaczej. Toć dokument urzędowy!
Usta Gedrasa zbladły i zadrżały!

— Na całe życie już do niej ta hańba niewinna przystanie. A co to komu za krzywda będzie, jak ksiądz napisać każe, że ona moja — ślubna córka. Toć dla niej jakby zbawienie, odkupienie!

— Nie można fałszować metryk. Ja za to będę odpowiedzialny. To bardzo smutne — ale, widzisz, to jaki taki hamulec dla ludzkiej zwierzęcości.

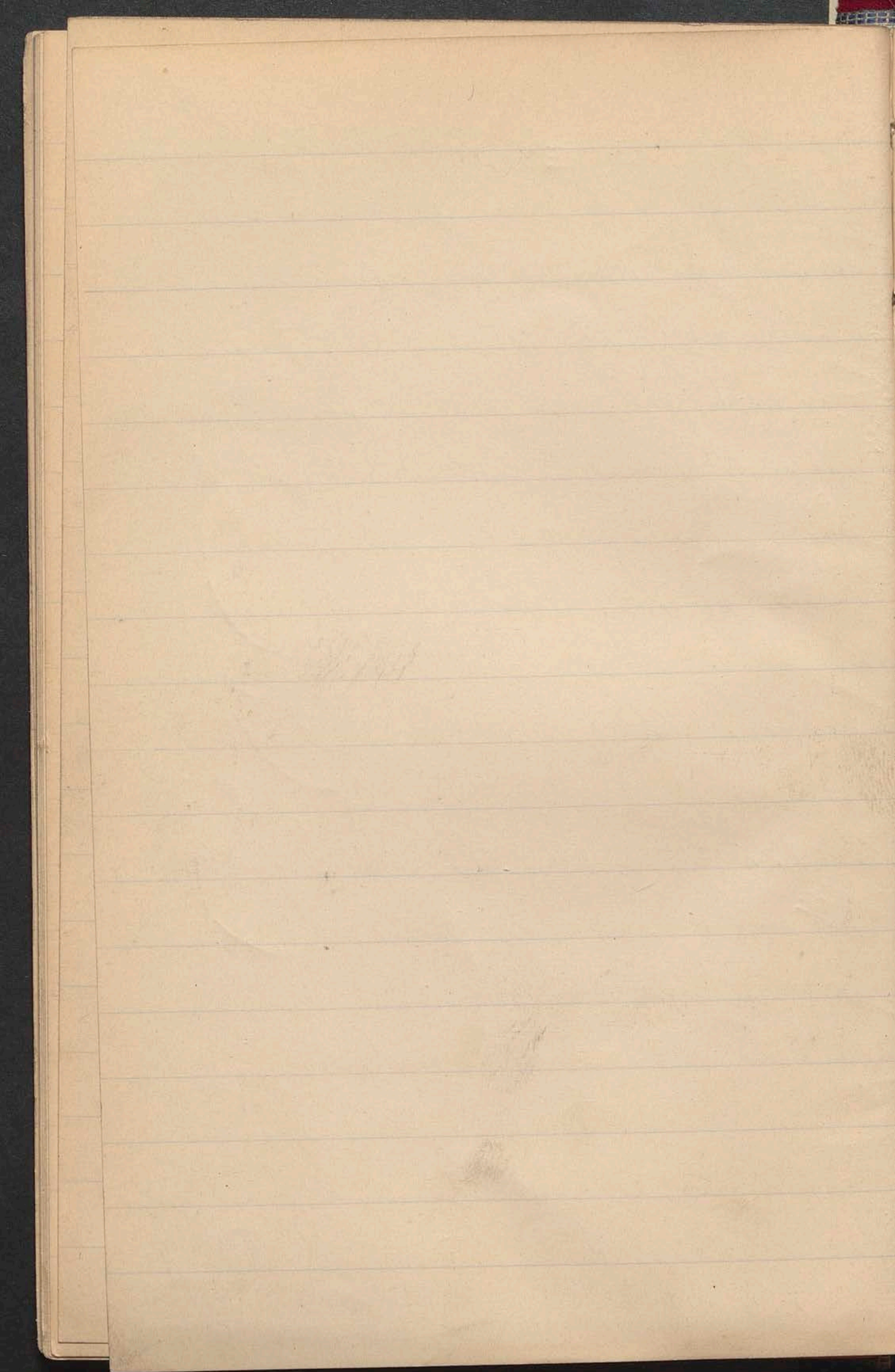
— A toć nie był hamulec, dla tych dwojga jej rodziców — kiedy, ot — ona jest. Ale dlaczego ona za to pokutować musi....

— Kara za grzech spada na dzieci!

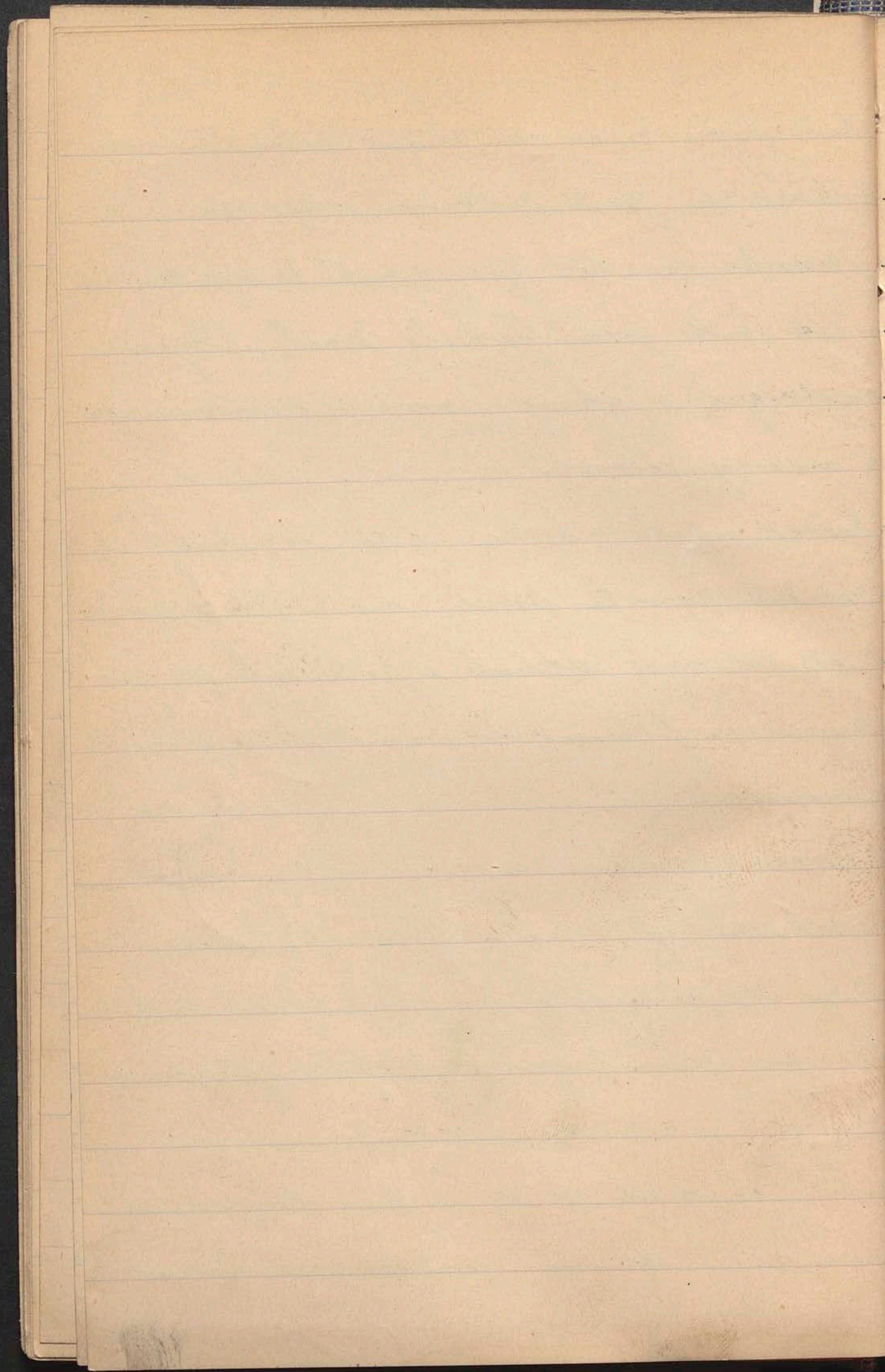
— Nie rozumiem ja tego! Ano — jak ksiądz mówi, że czystej metryki nie mogę dostać — to co mi z takiej prawdziwej — niech już tak będzie!

Pocałował księdza w rękę, i wyszedł.

Na ulicy postał chwilę, zamyślony, opanowany upartą myślą — zdobycia tej metryki, a nie widząc sposobu — wreszcie jakby bez celu powlókł się



przed siebie, i sam nie wiedział jakim sposobem znalazł się przed „zakładem” Lejzorowej.
Pomyślał, zawahał się i wszedł do szynkownej izby.
Mało było gości. Jakichś dwóch chłopów rajcujących z jakimś jegomościem o czerwonym nosie i mizernej garderobie.
Łedras usiadł z boku, i kazał sobie dać piwa.
Brudna żydówka podała mu butelkę i lepką nigdy nie mytą szklankę, a potem stanęła pod piecem, na przemiany to drapiąc się w głowę, to ziewając.
Po chwili z alkierza wyjrzała Lejzorowa, i na widok rzadkiego gościa, cofnęła się. Musiała tam odbyć się narada, bo po chwili zjawił się przed Łedrasem jeden z synów żydówki, i uprzejmie go pozdrowił.
– Coto za święto, że wy na piwo wstąpili. Może czem można służyć? zagadnął



Gedeas się przymusił do grzeczności.

— Ot, byłem za interesem u księdza, i pić się zachciało.

— Och, pijcie na zdrowie. A co u was słychać?

— Ja to nic nie słyszę.

— Wiadomo wy rzetelny i porządny człowiek. Aż szkoda że tak przepadacie. Co to za miejsce! I tyle lat pokutujecie! Jabym wam zaraz lepszą służbę dał!

— Żartujecie. Do niczegom dobrego nie zdatny — kaleka!

— Och czy to za ręce płacą! Ręce tania rzecz. Większa rzetelność, to pieniądz. Za sumienie drogo płacą, a pan Zaręba, to nawet w was tego i nie szanuje.

Gedeas ramionami ruszył, i milczał.

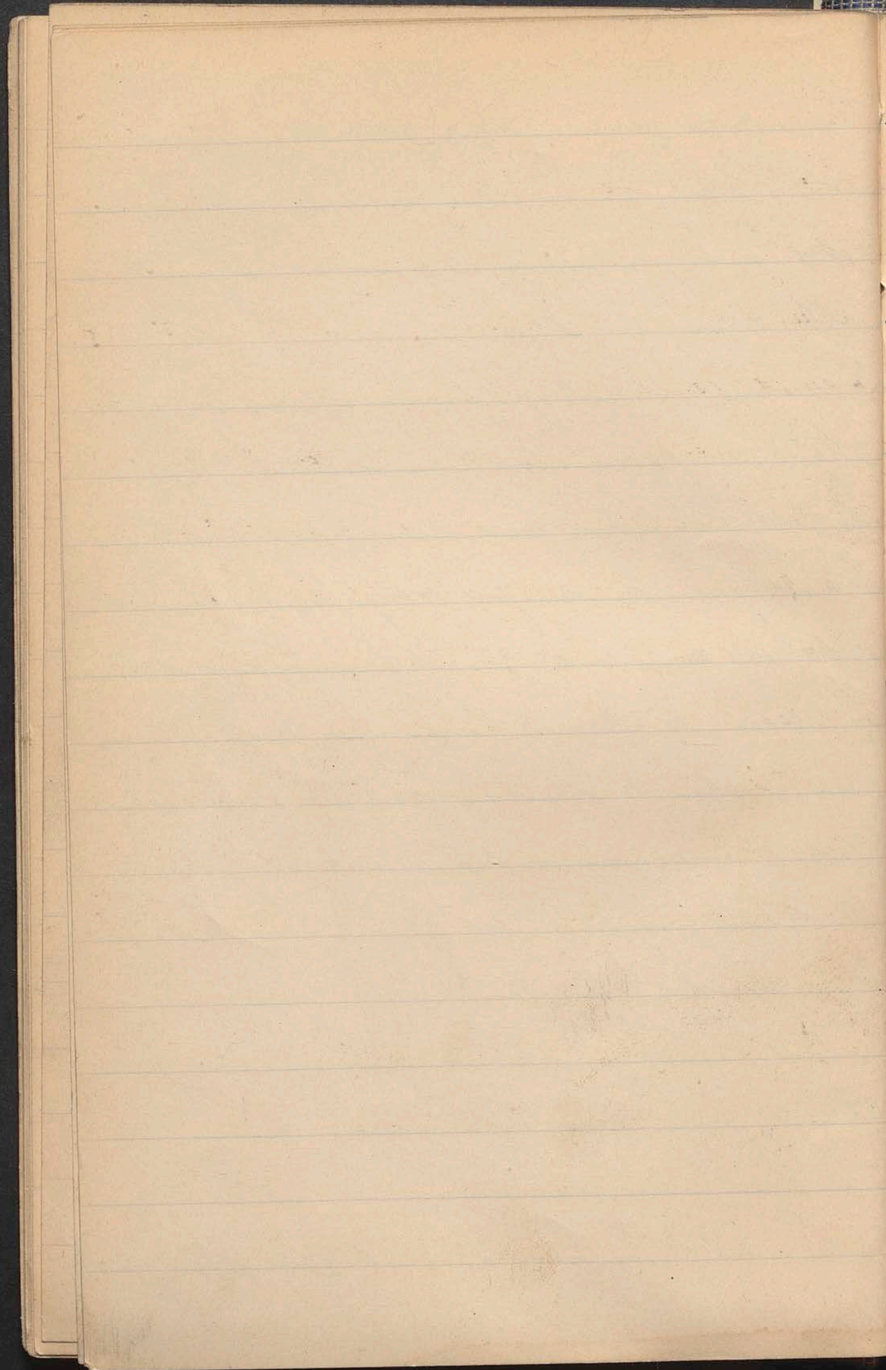
Po chwili zagadnął.

— To adwokat — ten tam?

— Aha — znacie go? To Drozd, pisarzem był w policji. Sprytny — ma głowę. Tylko pilnować trzeba.

— Nie — ja go nie znam.

— No, a co? Poco wam adwokat — z kim sprawę macie.



— Z nikim. Tak, sobie — poradzić bym się chciał.
Mówił nahająco. Żyd go z oczu nie spuszczał, coś węszył.

— Nie, może ja poradzę. Ja niejednej drozda sprawę znam, a on rzadko trzeźwy! O co wam chodzi?

— Ot — metrykę swoją zgubiłem, a w parafii papiery się spaliły. Niewiem jakby to dostać nową.
Żyd zamyślił się, kombinując, coby to było, bo nie wierzył w taką sprawę.
Wreszcie powoli rzekł:

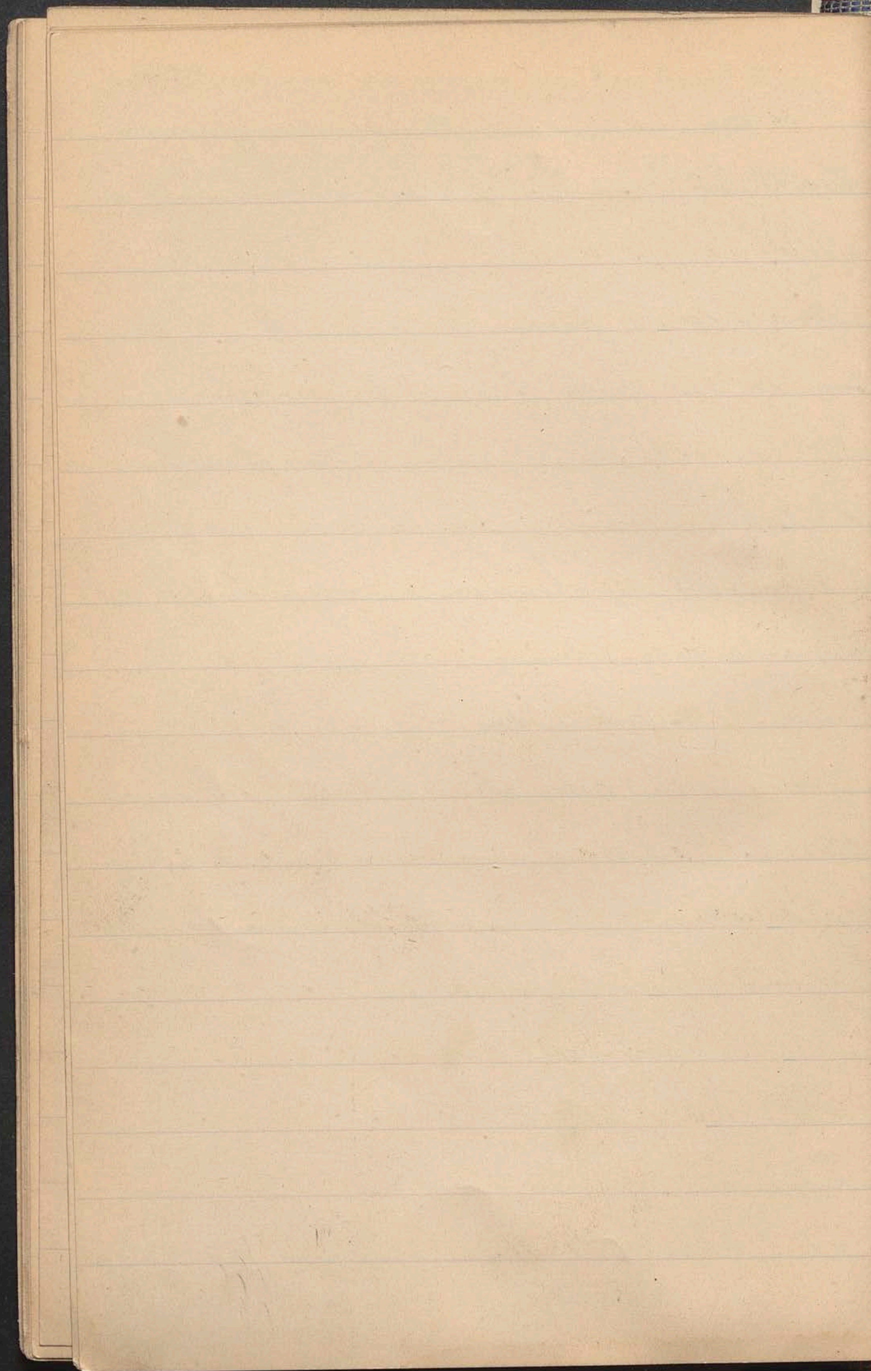
— Można mieć jakie chcesz dokumenty — czemu nie — jedne drożej kosztują — inne taniej — jedne trudniej znaleźć, drugie łatwiej! Na to drozd nie potrzebny. Czy wam paszport potrzebny?

— Nie, paszport mam! Metryka zginęła.

— Może być i metryka. Och.

— Zkądże?

— Zkąd? Zkąd trzeba. Dajcie dwadzieścia pięć rubli-



to za tydzień wam dostawię

— Jakiej trzeba? Prawdziwą?

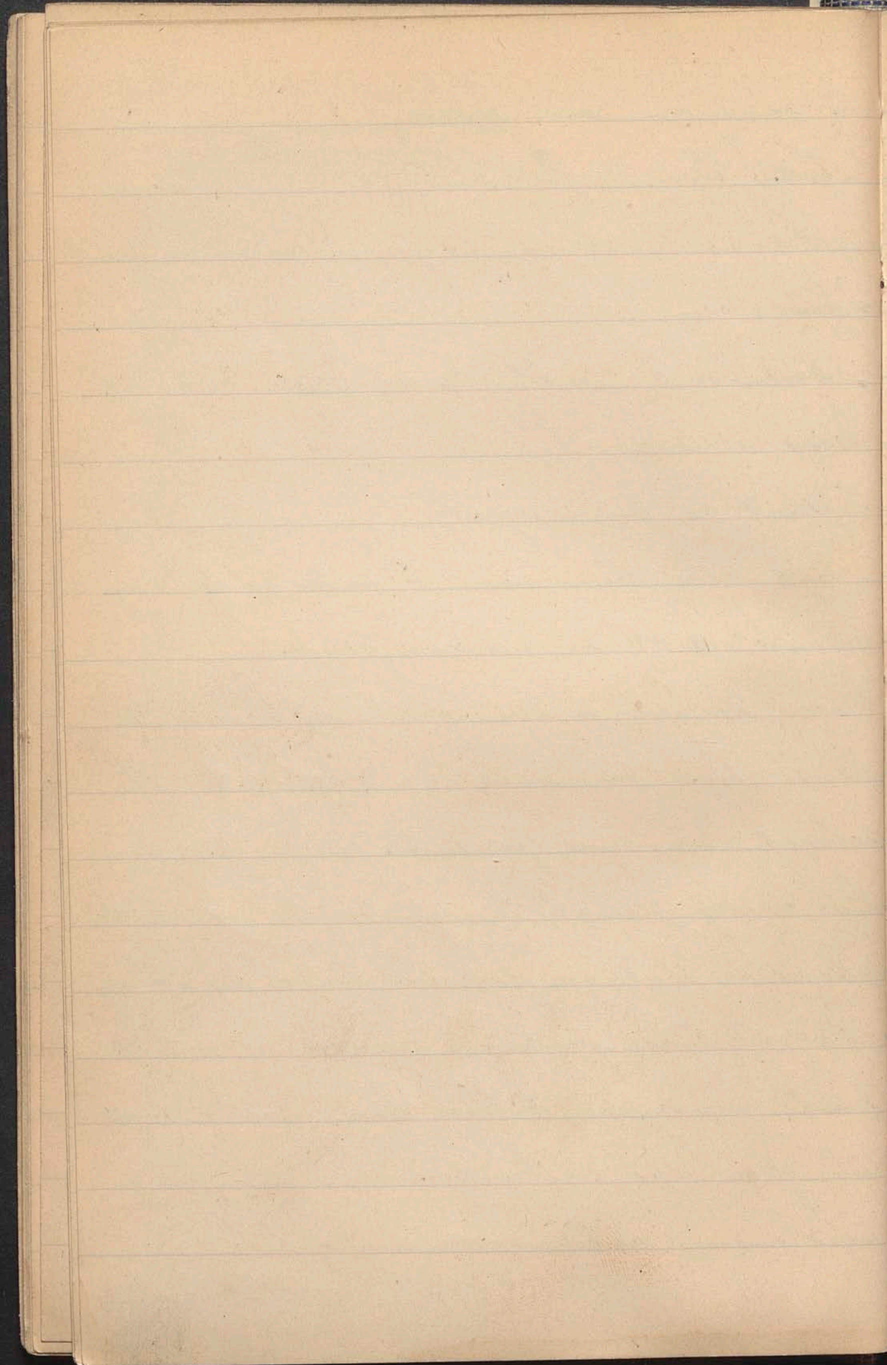
— Rozumie się. Dobra, po formie! Za złą nie warto i grosza dać.

— Dwadzieścia pięć rubli, z tego ich wstąpić! stęknął Gedras wstając.

Zapłacił za pióro, i wyszedł.

— Jak wam stanie ciasno, to śmiało do mnie się zgłoście! rzekł mu żyd na pożegnanie.

Gedras wracając do domu gorzko się uśmiechnął. Ciasno! Było mu ciasno - i co z tego - jaki na to ratunek. Całe życie przesunęło mu się przez pamięć. Był uczciwy, pracowity, trzeźwy - i co z tego. Ani się kiedy zabawił, ani użył, ani poweselił, trudził się i męczył - i od całe życie, zgryzało i zacinało się - jak po-psuta maszyna. A teraz temu dziecku kazał żyć - poco? Nic dla niego uczynić nie może, ani go przed niczem uchronić, i nawet nikomu nie



potrafi wytłumaczyć, ni przekonać, że je od zguby broni. Ach, zabrałby je, zabrał, tak zaraz, i uciekł z niem — ale dokąd, ale jak, ale za co!

Dławiło mu coś w piersi — z żalu i rozpaczy, musiało być bardzo silne i dojmujące, kiedy tegoż jeszcze wieczora, zameldował się do pana Zarzeby, z prośbą o posłuchanie.

Zarzeba przypuszczał, że odkrył jakąś kradzież — więc kazał go wołać do gabinetu, choć to nie była godzina przyjęć.

— Co tam się stało? Złowiłeś złodzieja.

— Nie, proszę pana, wszystko spokojnie.

— Więc czego chcesz?

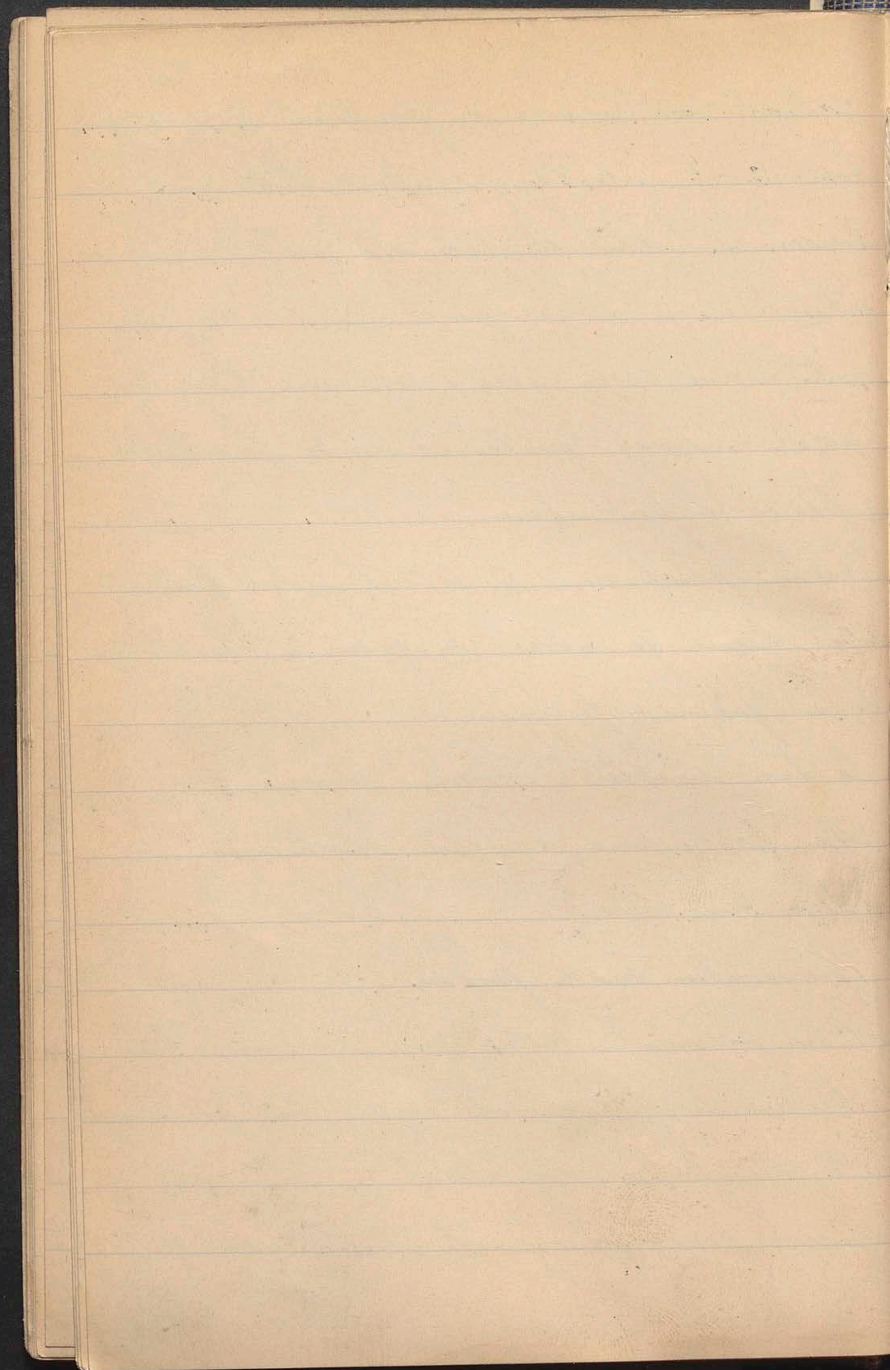
— Przyszedłem łaski prosić.

— O tej porze! Nie możesz przyjść w dzień do biura.

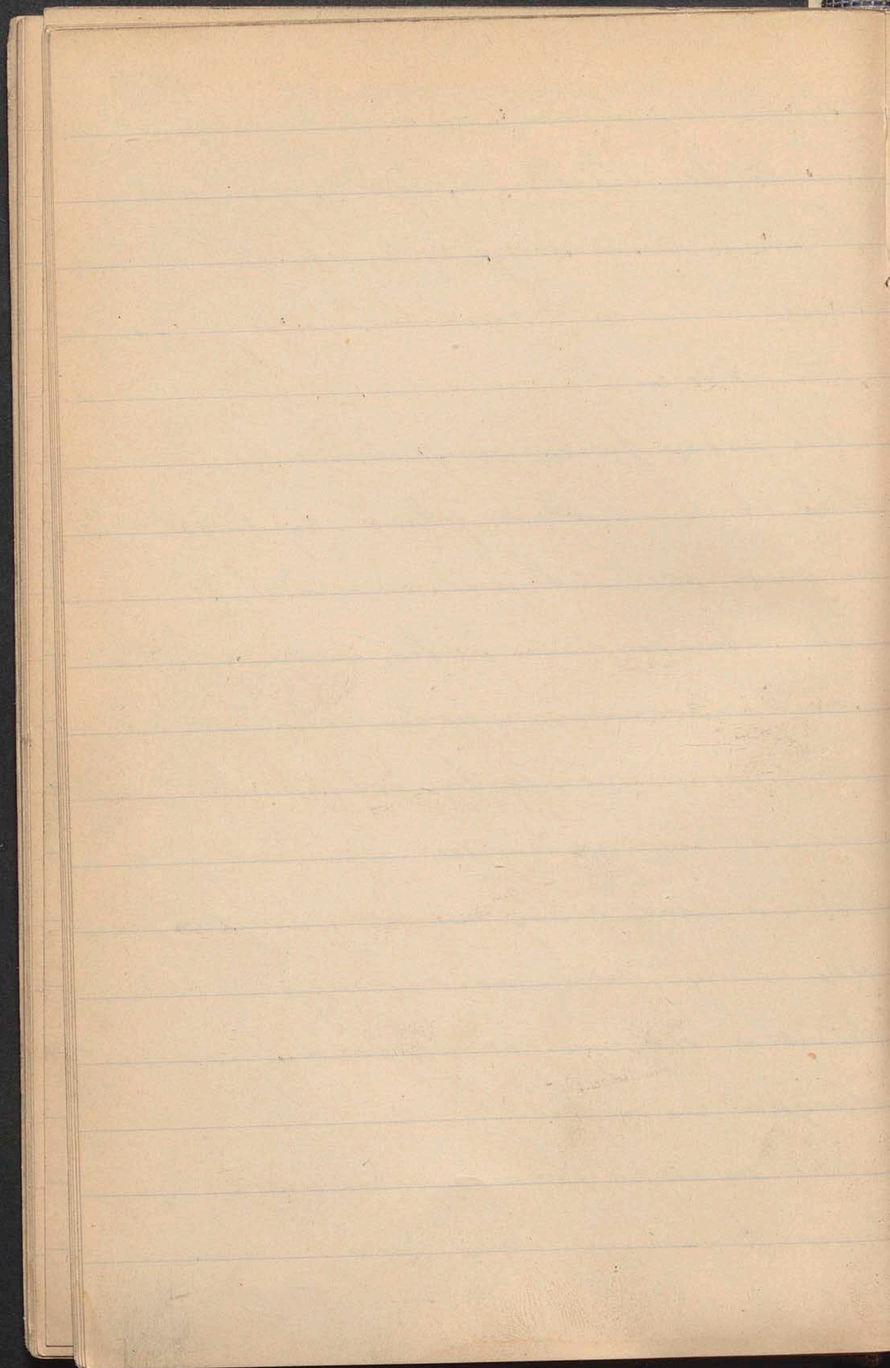
— Bałem się, że światłość odejdzie. Niech pan daruje.

— No, więc prędzej — czego chcesz?

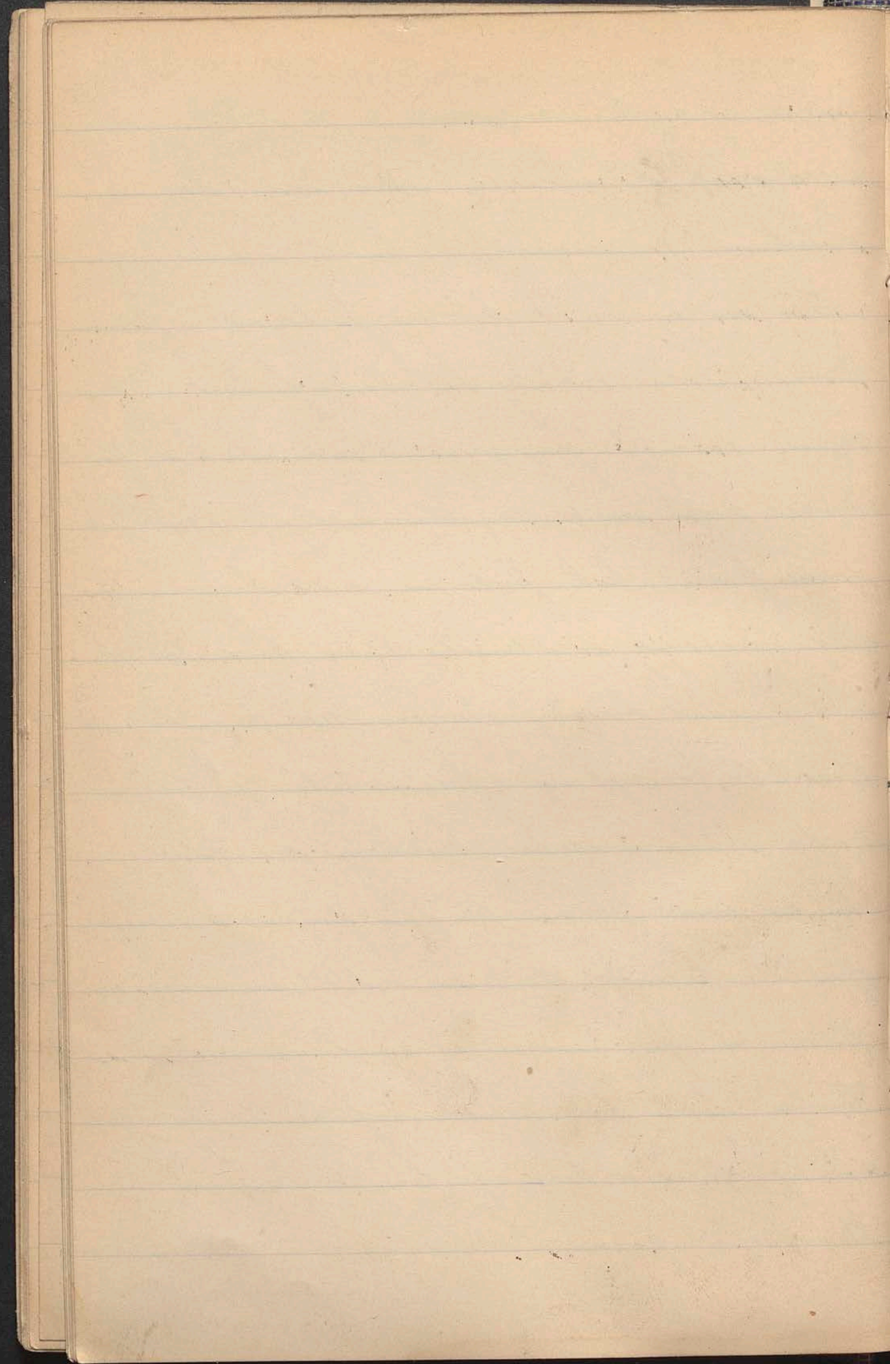
— Proszę pana, siódmy rok służę, ile mogę i że



szczerego serca. Możem i nie wart tej pensyi i słuzby,
bom kaleka — starałem się jak mogłem, a teraz
to gotowem lamej służyć, tylko, żeby pan był łaskaw
i mojej matej nie kazał zabierać do pałacu.
— Co? dlaczego?
— Bo, proszę pana — nie jej tam miejsce!
W tej chwili wszedł do gabinetu „wuj Bolek", szukał
na biurze gazet — zatrzymał się, i słuchał.
— No, naturalnie, że nie jej tam miejsce — odparł Zaręba,
i mógłbyś zrozumieć, że jej tam robią łaskę.
— Nie, proszę pana, jej tam robią krzywdę i niedolę.
Ja nie mogę jej tam dać, i zostawić. Ja panu
służę — do pana należy mój czas i siły — ~~ale~~ dziecko
będzie służyć, pużci — nie nico innego się urodziło —
ale teraz ono moje — nie trzeba mu jeszcze ni
rozmyślać, ni cierpieć.
— Więc ono cierpi bardzo się z moją córką. Jej się
dzieje krzywda, że ją tam karmią i zabawiają —



jej źle i ciężko. A zabierzaj że ją w takim razie i wynoście się we dwoje. Mam dosyć kramu z takiemi fanaberyjami. Od kwartału jesteś wolny i żeby mi się ten bachor nie pokazywał na podwórzu.
Tedras dygotał, i blady był bardzo. Patrzał na pana oczami pełnemi zgrozy i przestrachu. Tak się spodziewał czegoś innego — zrozumienia, wyrozumiałości. Tak gorąco prosił, tak pokornie — i obraził.
Odrazu odbiegły go wszystkie słowa, które był sobie ułożył — stał bezradny, odurzony — jedno pamiętając, że kwartał kończył się w październiku — że pójdzie szukać chleba i dachu, z dzieckiem — na zimę.
Ale nie śmiał już nic — sztucznie podniecona odwaga opadła, skurczyła się dusza, i stał — nie mogąc ni prosić, ni przepraszać, ni się tłumaczyć.
Słychać tylko było gniewne sapanie Jarzyny, i pisk muchy, gdzieś w kącie, oplątanej w pajęczynę.
Wuj Bolek podniósł oczy w ten kąt, i starał się



dojrzeć oprawcę i ofiarę.

— No, czegóż jeszcze chcesz. Możesz iść! rzucił nie-cierpliwie Zaręba

— Przepraszam pana! wyjąkał Gedras - i wyszedł, potykając się.

— Wyszłaś kiedy coś podobnego! wybuchnął Zaręba

— Mój drogi - widocznie honor i ambicya nie jest naszym monopolem.

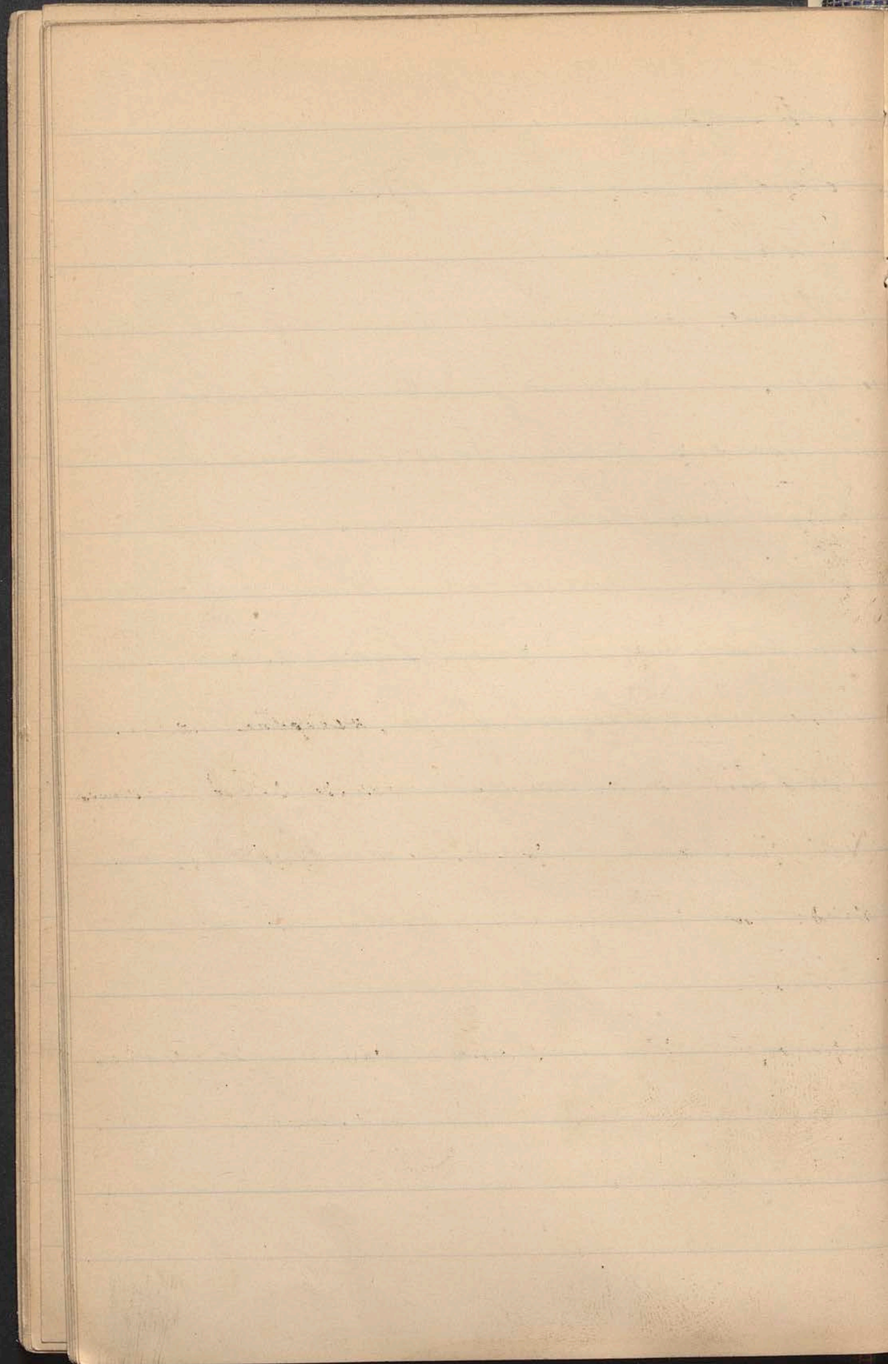
— Niech mu służy, i owszem. Rura mu zmięknie jak straci żarna biedy! Będzie zdrowo!

— Właściwie - dlaczegoś ty go wydalił?

— Jakto? To ci nie wystarcza!

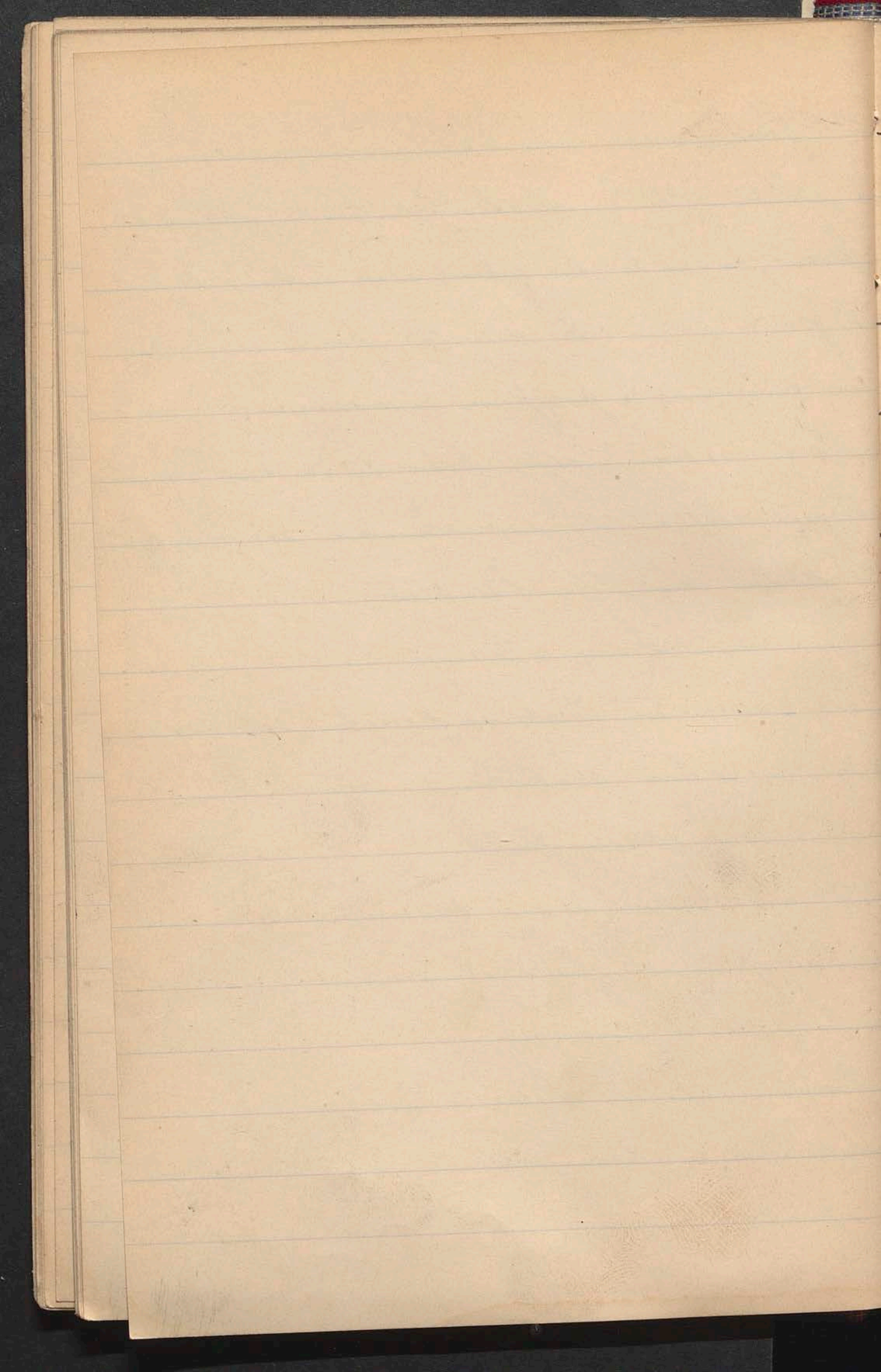
— Ale co? Jako nocny stróż w niczem nie zawinił. Tracisz wyśmienitego sługę, i skazujesz na nędzę człowieka - zaco? Zato, że logicznie myśli - i dba o swoje dziecko - nawet nie własne, ale przybrane I chcesz go poprawiać głodem - winszuję!

Tu wuj Bolek wziął laskę, i zagarnął pajęczynę. Pisk muchy ustał.



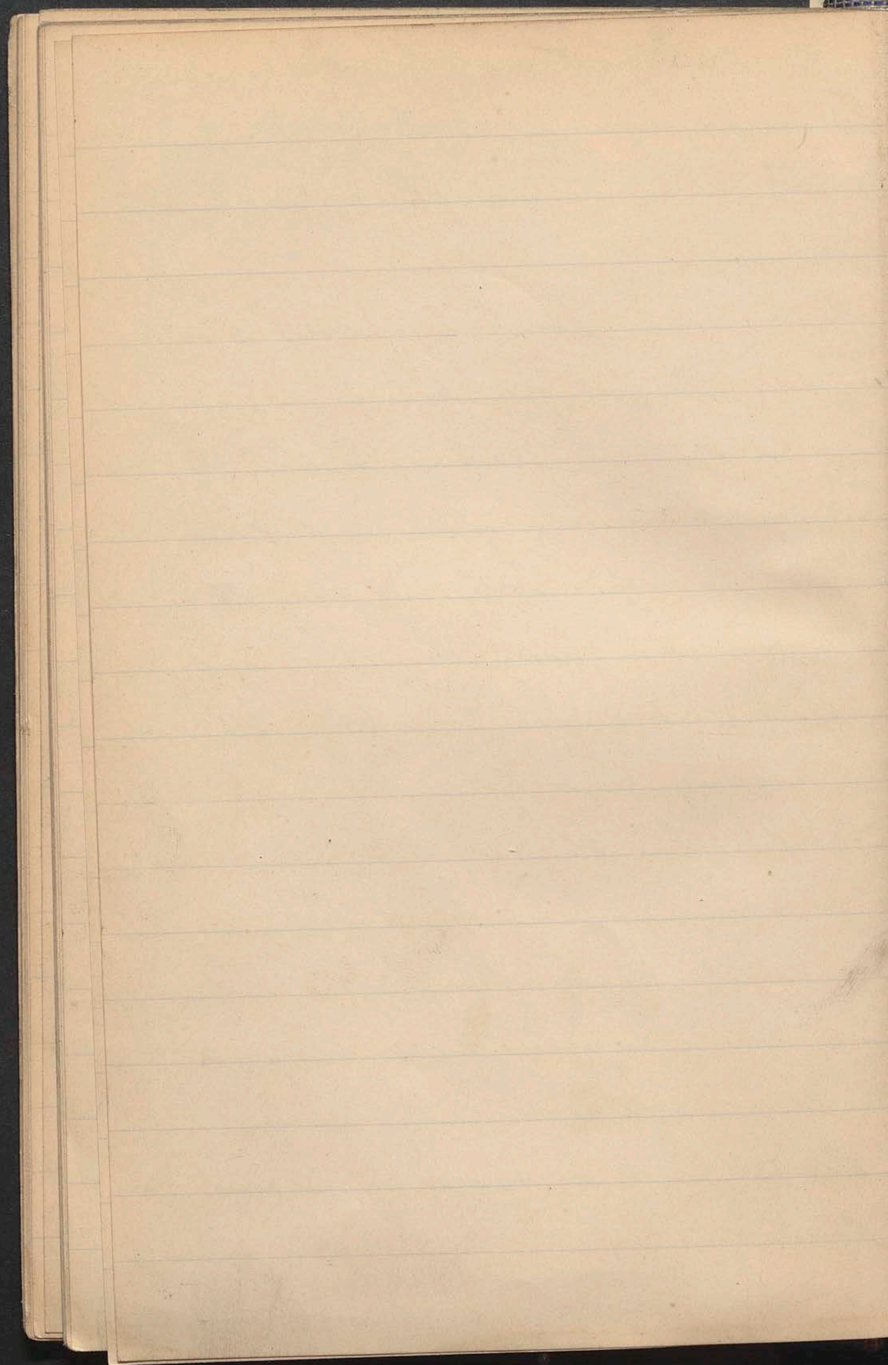
— Nie mogę tego słuchać! mruknął.
— Szczególny masz punkt widzenia! rzekł Serba.
— Tak – mój własny – dlatego wycofałem się ze wszystkich interesów! odparł wuj Bolek, biorąc gazety i wychodząc.
A Łazarz ze swą kłekotką i pękiem kluczów krążył jak zwykle po obrębie zabudowań – i rozmyślał.
Cały dwór, ścieżki i zakąty, tak mu znane, stały się raptem obce i obojętne, wstrętne nawet.
Pełną miał duszę buntu i goryczy – złość do samego siebie, że głupi był, że pracował szczerze, że nie kradł, nie zbierał. I oto co miał z tego – ten kikut. –
Przechodząc koło swej chaty – wstąpił do środka zapalił lampkę, i ostaniając ją, zajrzał do Mańki.
Spała, cisnąc do piersi jakąś połamaną lalkę „panienki" – już nie bawiła się fasolą i trzymkami

papieru — codzień przynosiła inne zabawki z pokoju,
i ubrana była, w stare sukienki „panienki".
Jędrzej zabawki te zebrał, odział lalkę, i wepchnął
w piec — potem to wszystko podpalił, patrząc
na zniszczenie, z posępnem zadowoleniem.
— Co to robicie? nagle ktoś się do niego odezwał.
Drgnął, obejrzał się, i machinalnie sięgnął do czapki.
W progu stał — pan Bolesław.
— Pan każe bramę otworzyć?
— Nie — wyszedłem trochę na powietrze, i błysnęło
w waszem oknie. Myślałem, że pożar.
— Nie — tom gałgany palił.
— A widzę — jeszcze dogasa drewniany koń, com niedawno
dzieciom przywiózł. Połamały i wyrzuciły.
— Matej mojej podarowali.
— Pocoście spalili. Będzie lamentować.
— Lepiej niech teraz popłacze jak potem. Odwyknie
i zapomni — jeszcze czas — mała jest.



— Właściwie moglibyście ją jeszcze z temi dziećmi zostawić — dlatego że mała. Uraziliście pana Łazębę niepotrzebnie.

— Proszę pana — pan Łazęba nazwał to moją fanaberją. Nie potrafiłem powiedzieć. Od czasu jak małą tam wzięli — to jakby ją truli. Już nie chce jeść mego chleba, już napiera się sukienek i bucików, już się wstydzi ostrzyżonej głowy. Ot i dziś pyta mnie — co to znaczy „znajda". Trują ją, psują i urągają. Naco wyrośnie? czego dobrego dla siebie tam się nauczy. Im wolno się stroić i zabawiać, i w zbytku być — dla niej to zguba. Wzięli ją do zabawiania panienki — a potem będą się nią zabawiać panicze. Pewnie — co ona takiego osobliwego, sierota bez nazwy — znajda, podrzutek! Dla całego świata taka jest i zostanie — ino nie dla mnie. Ja też na świecie nic nie znaczę — ot, za kawałek chleba mnie kupić można, i mieć-



ale to jedno dziecko mam, i ono mi także dobre i
drogie jak królowi królewna. Nie dam jej dostatków
ni honorów – toć choć dopilnuję, by rada była ubóstwu
swemu, zdrowiu swemu, młodości swojej. Toć moje
słuszne prawo! Pan Jarzęba się zagniewał – i wygnał
mnie – to jego prawo. Może tak i lepiej. Może
znajdę daleki kąt i odludny – gdzie nie będą wiedzieć
że ona znajda – nie będą jej karać – niewinnie.

– Macie niby racyę – ale też i zamiary nad możność.
Czyście obrachowali jak trudno o chleb i grosz.

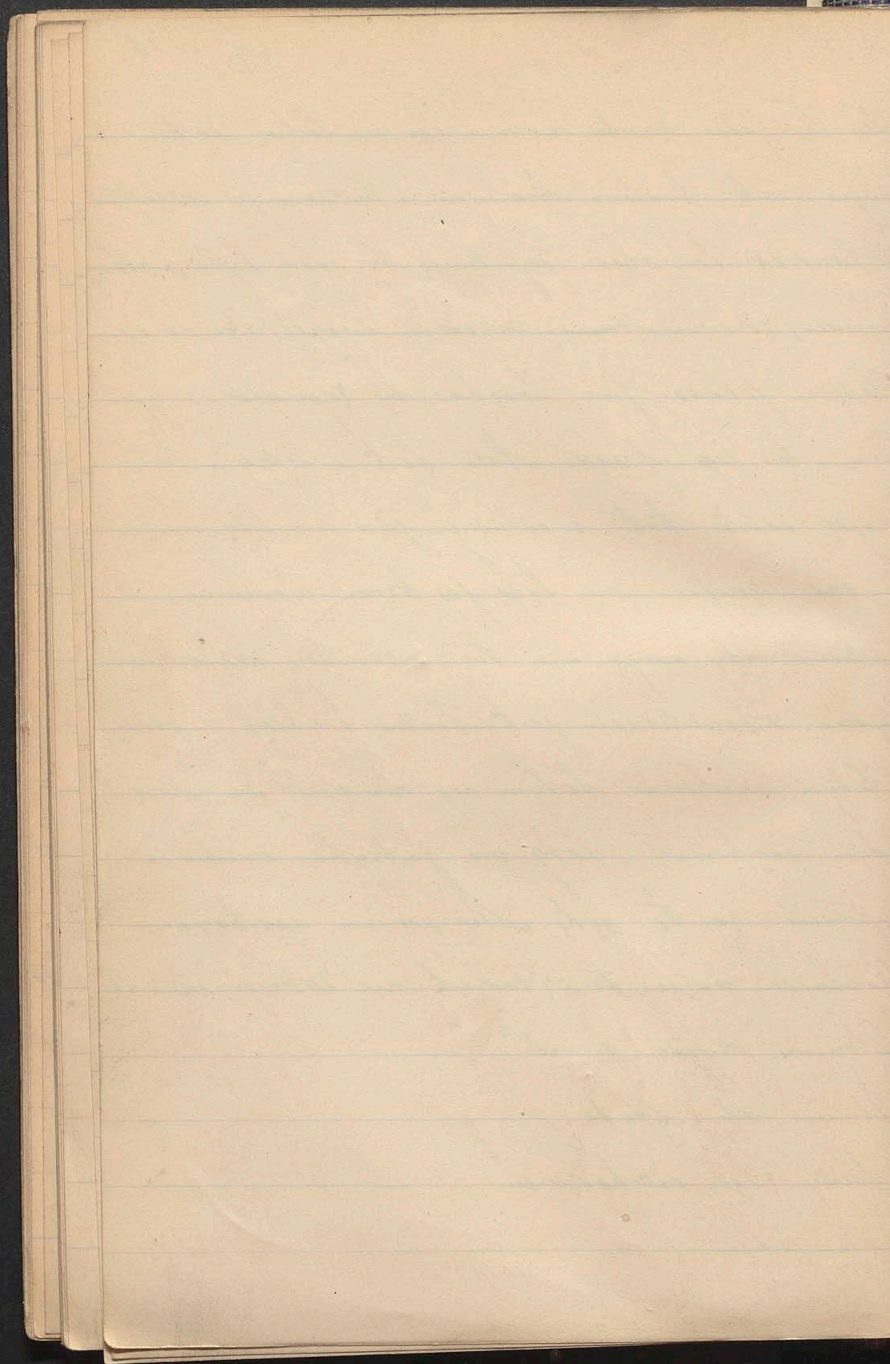
– Żebym rachował, tobym jej nie wziął za swoją,
żebym rachował, toby mi fabryka musiała
zapłacić za tę rękę. Nie umiem rachować.
Rachując, ważąc, to człowiek nic dobrego nie zrobi.

– Umiecie czytać? pisać?

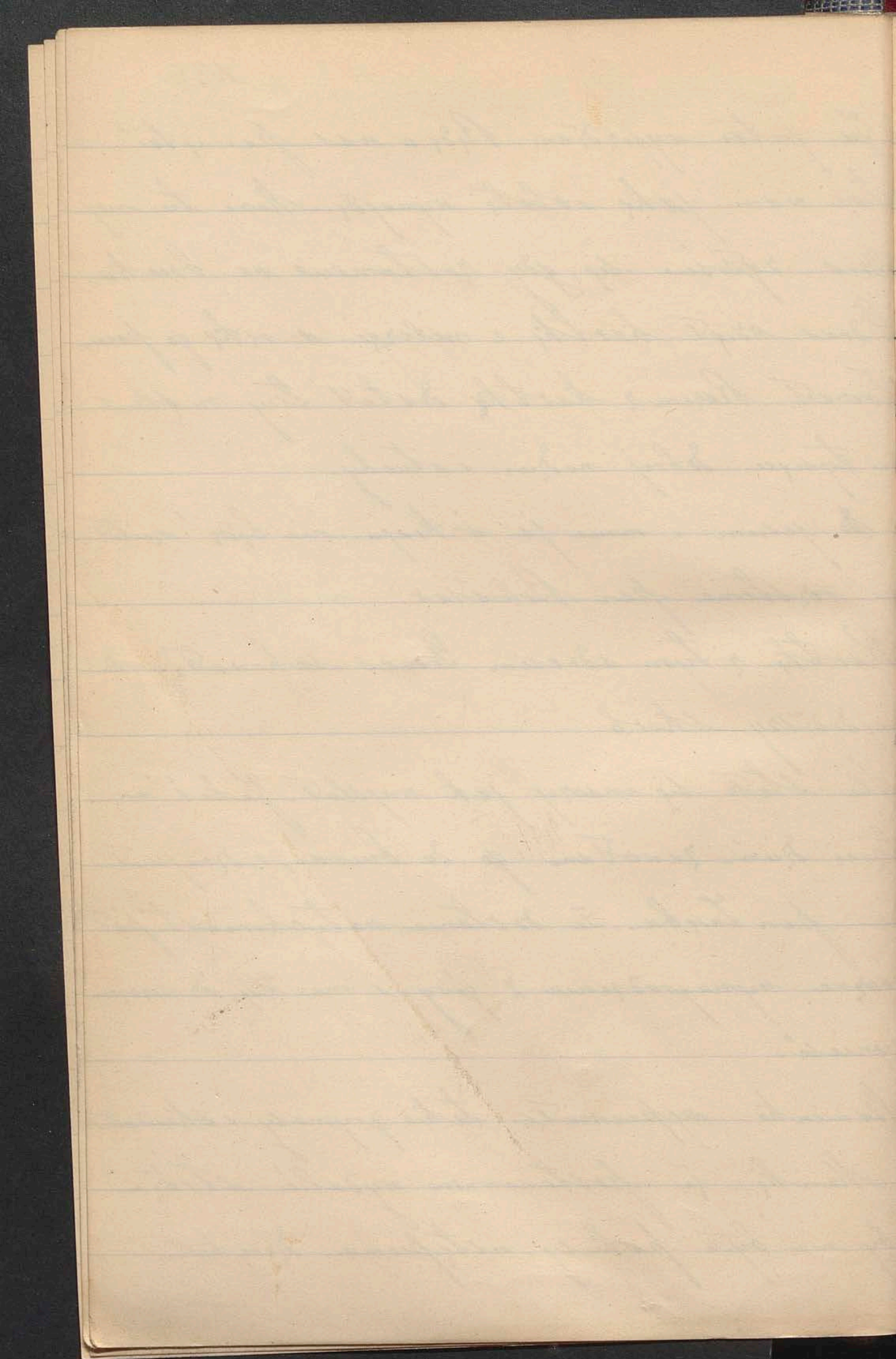
– Umiem, ale słabo

– Kiedy stąd odchodzicie?

– Na jesieni.

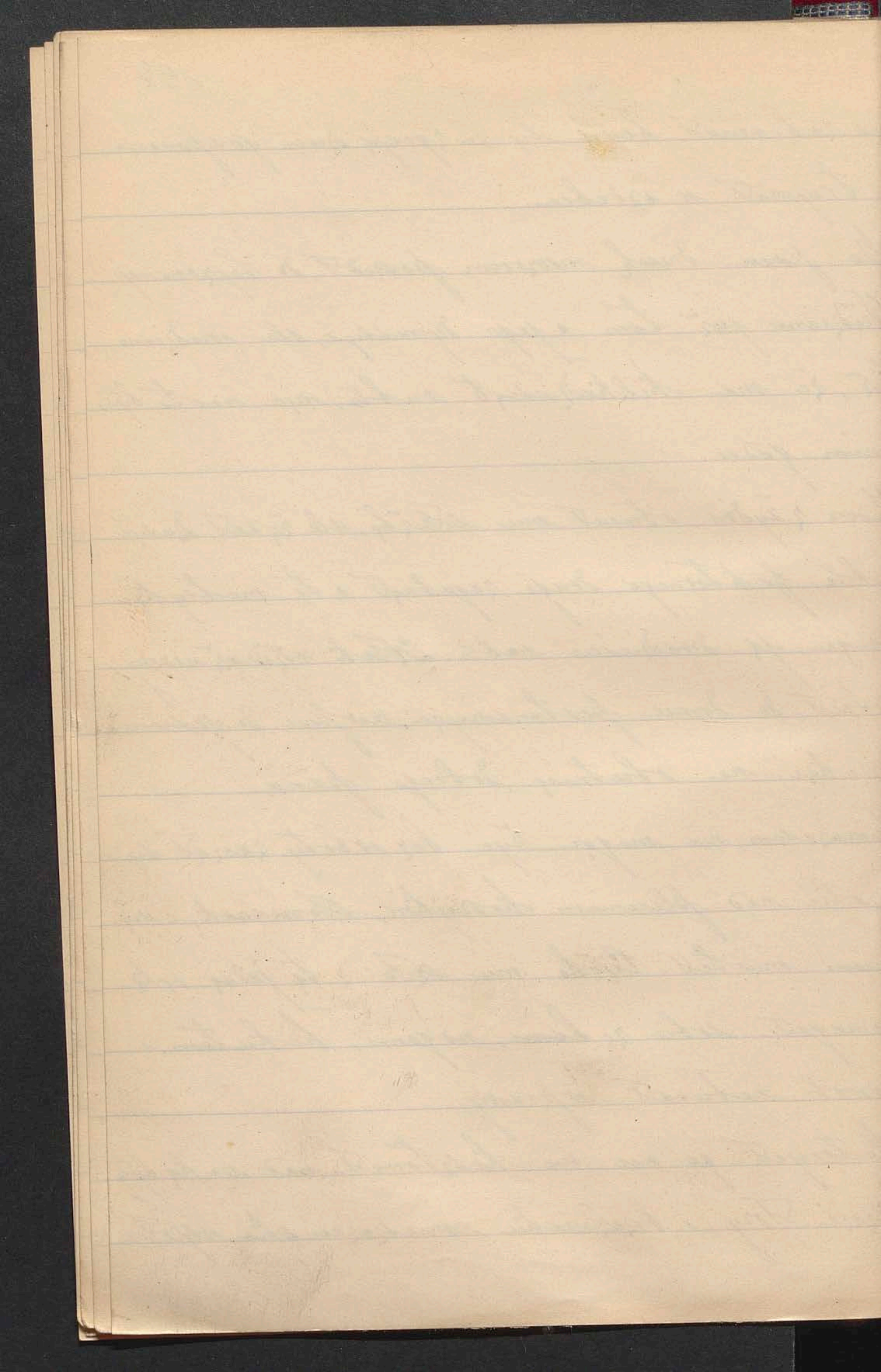


– Ja jutro wyjeżdżam. Będę o was pamiętać.
Może wam jaką robotę wynajdę. Macie tu mój
adres – zgłoście się, gdy zostaniecie na bruku.
Łedras wziął kartkę, i milcząc w rękę go poca-
łował. Razem z kartką dostał trzy ruble, i
za tysiące dobrej nadziei i otuchy.
– Do jesieni i ~~mnie~~ ja w kraju nie będę. rzekł
na rozstanie pan Bolesław.
Kartkę z tym adresem Łedras schował jako
najdroższy skarb
Ale stało się inaczej jak myślał. Jakoś na
trzeci dzień – zawołano go do biura, i oznajmił
mu pan Sarba – że dostanie natychmiast pół-
roczne wynagrodzenie z góry – i ma się do wieczora
wynieść.
Panienka wyprawiała takie grymasy i skandale
z Mańką – że postanowiono wydalić stróża
aby nie było pokusy – ustąpienia dziecka.

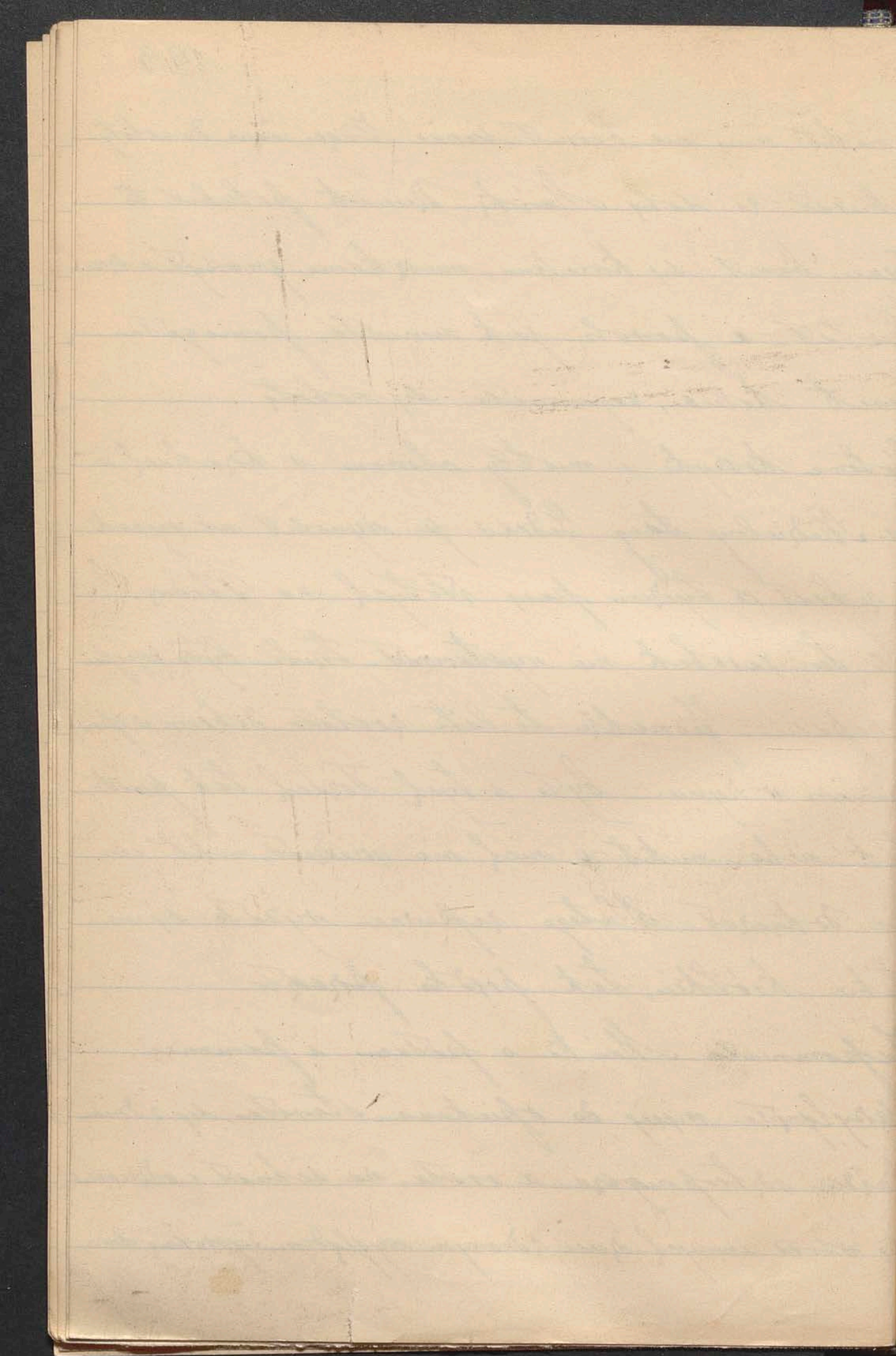


Jędras spokojnie wyrok przyjął. Może i on wolał usunąć swoją małą daleko, bo strasznie nudziła do pałacu. Zresztą zakomił się na kilkadziesiąt rubli gotówki – więc otrzymawszy je, poszedł do miasteczka, kąt u znajomego mieszczanina wynajął, graty na furę zabrał – i wieczorem nie było i śladu po nim we dworze, gdzie tyle lat sumiennie przepracował.
Nie drogie było mieszkanie, ale i nie wspaniałe. Malutki alkierzyk w chałupie, okienko na grzędy warzywne i płoty – za całą kuchnię kominek, do którego opał musiał sam kupić. Zimą musiało tu być nieodzniesienie, ale do zimy Jędras się spodziewał dostać służby.
Parę dni przesiedział osowiały, nie śpiąc w nocy, z długoletniego nawyknienia odrzucony bezczynności. Dziecko płakało także, nie rozumiejąc zmiany – nie mogąc się pogodzić z ciasnotą i niewolą, bo

jej zabraniał bawić się ze zgrają dzieci gospodarza,
i trzymał w izdebce.
Po paru dniach wieczorem poszedł do Lejzorowej.
Wiedziano już tam o jego dymissyi, ale wiedziano
też, że ma kilkadziesiąt rubli, więc warto było
z nim gadać.
Jeden z żydów obiecał mu służbę, ale żądał dziesięć
rubli faktornego, drugi zagadnął o tę metrykę -
ceniąc ją dwadzieścia rubli. Ojciec rozdrażniony
wrócił do domu postanowiając cierpieć do jesieni
i czekać na obietnicę dobrego pana.
Tymczasem, nie mogąc żyć bez roboty, zaczął się
mozolić nad pleceniem koszyków, słomianek, i wią-
zaniem mioteł. Ciężko mu szło z tą jedną ręką -
pomagał sobie zębami, nogami, kikutem, i
powoli nabierał wprawy.
Materyał go nic nie kosztował - nad rzeką były
gęszcze łozy i brzezniaka - mieszczańskie wspólne -



i nikt mu nie bronił ścinać. Idąc rano do roboty zabierał ze sobą Mańkę – dziecko polubiło to życie, bawiło się kwiatami, muszkami, gwarzyło i szczebiotało – a powoli – jak umiała, pomagała nawet dziecię, zajmowała się roboty.
Gotowe koszyki i miotły chowano w krzakach, a na Niedzielny targ Jędras je wynosił na rynek, i zebrał co tydzień parę złotych na strawę.
Ale ten zarobek nie wystarczał – trzeba było oszczędzić zapasu. Jednakże to lato zostało dobrem wspomnieniem w życiu – było w tych borach tak pusto, tak cicho – nikt o nich nie wiedział, nikt im nie dokuczał. Dlatego zapewne wydało się im takie krótkie, tak prędko przeszło.
Zapomniała Mańka o pałacu i panience, przylgnęła więcej do opiekuna, stawała się z dniem każdym roztropniejsza, a rosła na schwał, i odznaczała się wśród innych dzieci zdrowym wyglądem, żywością two.



bodną, i rozgarniając.

Jednakże Gedras ciągle o służbę się starał, i czasami do dziedzicowej zachodził. Lękał się zimy i wydatków większych i musowej bezczynności.

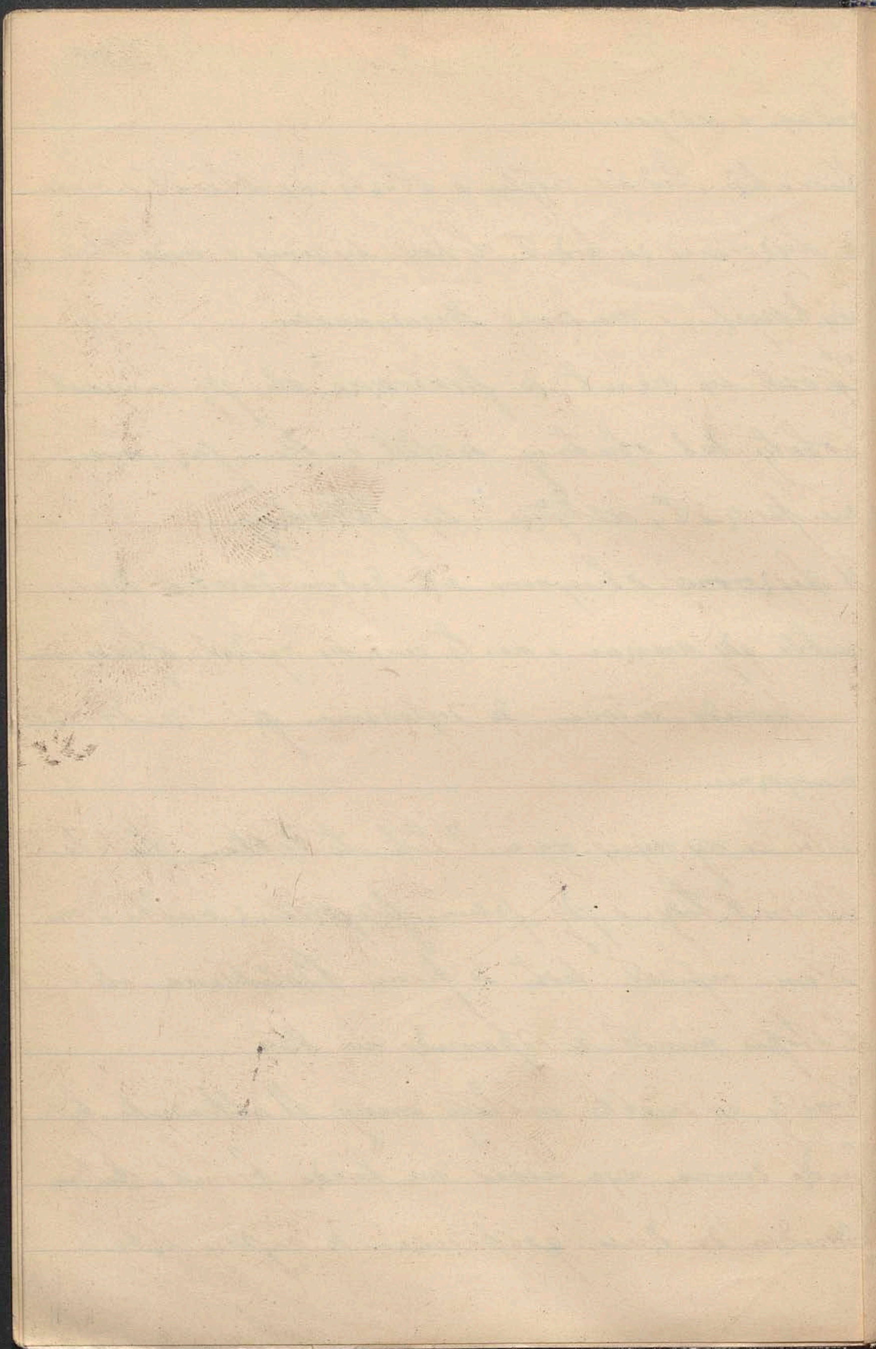
Wprosił się nawet do proboszcza, ale gdy zamiast roboty lub obietnicy dostał rubla - już więcej nie poszedł, wstydząc się jałmużny.

U dziedzicowej obiecywano - ale żądano zawsze dziesięć rubli, gdy wreszcie i na tę cenę się zgodził - ofiarowano mu posadę u Żyda do pilnowania gęsi - za dwa ruble miesięcznie.

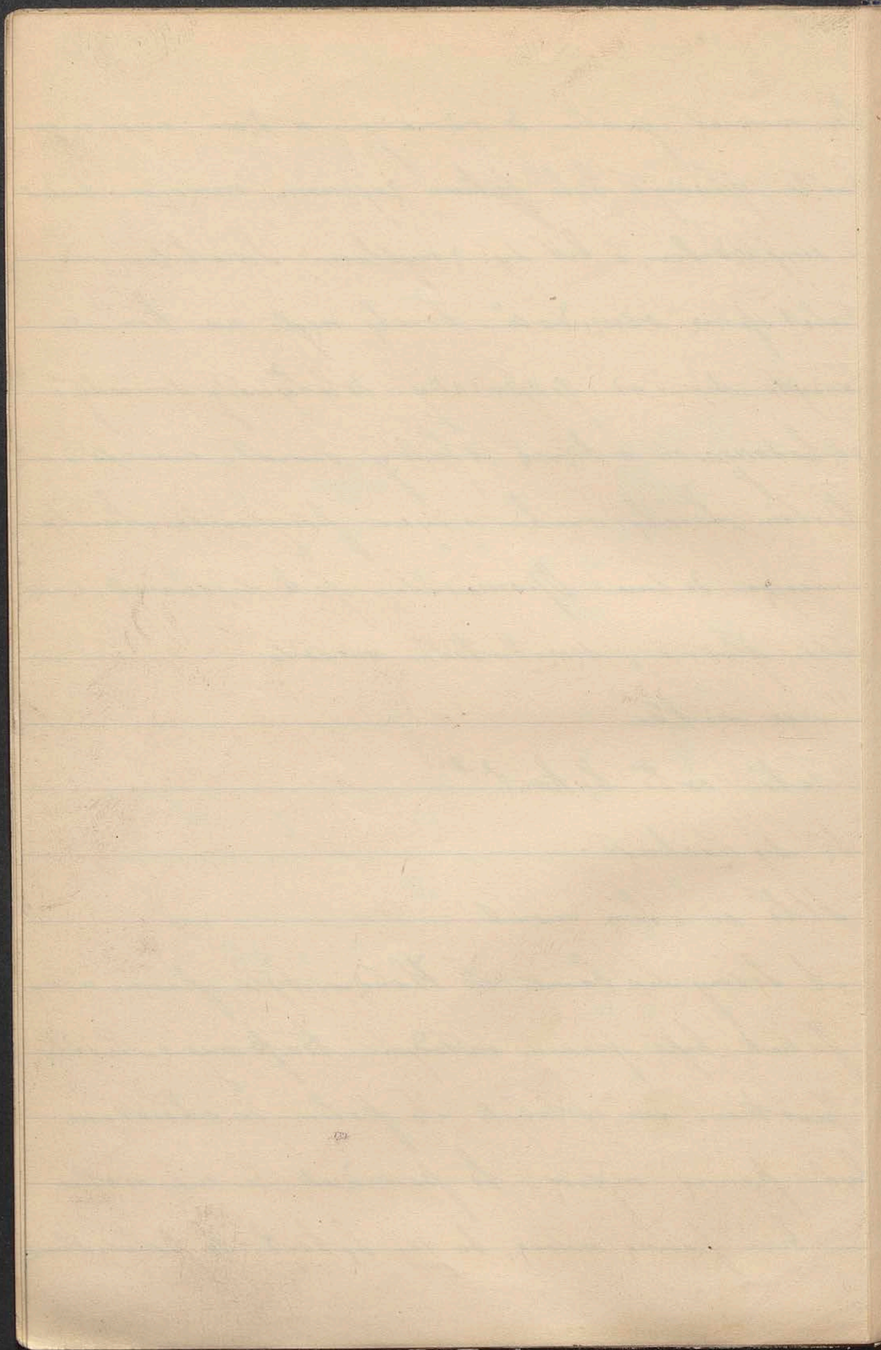
- No, co my więcej warci. I tak to Taska! Kaleka!

Odmówił tedy - i gdy jesień przyszła - z wielkim mozołem - napisał list do pana Bolesława - ale i listopad minął - a odpowiedzi nie było.

Urwały się zarobki - nastały mrozy. W alkierzyku było bardzo zimno, więc Gedras nie bardzo bronił Mańce odwiedzin do dzieci gospodarza - do ciepłej izby.



On nie miał gustu do rozmowy — w dzień nudę, co go
żarła, głuszył byle jakiem zajęciem, wieczorem siedział
w swej izdebce, i bił się z myślami. Światła nie
palił przez oszczędność — trochę węgli na kominie
żarzyło się — od gospodarzy dolatywały śmiechy i
rozhowory — on w kożuch otulony dumał — niewesoło.
Potem trochę ruchu i życia przynosiła Mańka
wracając do snu. Opowiadała jak się bawili, rzadko
była głodna, szczebiotała wesoło.
I raz rzekła
— Tato — coto bękart?
Aż się zachłysnął
— Kto ci o tem mówił?
— A tośmy się bawili. To Handzia była panną młodą
a Jasiek był panem młodym — aśmy z Nastką
i Jurkiem im służyli. To potem ja chciałam
być panną młodą — to powiedzieli, że nie wolno
mi być panną młodą, bo ja bękart. To potem ~~Handzi~~



z Wastką z Jurkiem byli za panów – a ja zawsze tylko służyłam. To ja pytam coś to bękart, a oni się tylko śmieli. I starsi to też się śmieli. To mnie się wstyd zrobiło, że niewiem.

Jędras milczał, aż go trąciła, powtarzając z uporem.

– Tato – co to takiego znaczy?

Objął ją ramieniem i przygarnął do siebie.

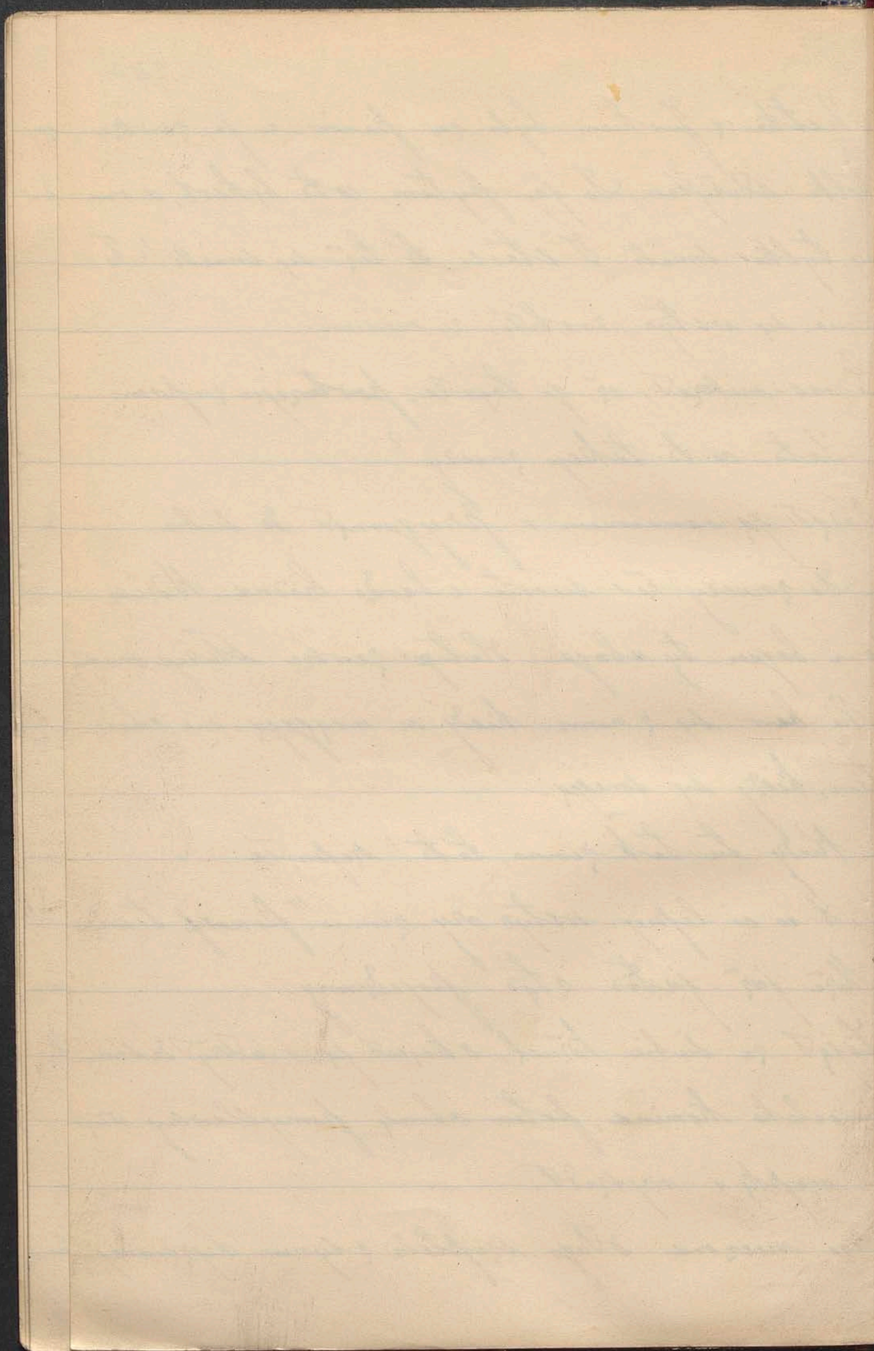
– To znaczy, żeś sierota i bardzo biedna. Widzisz oni bogaci – ty uboga – dlatego zawsze służyć musisz. Nie baw się z nimi, kiedy ci urągają – nie chodź tam, kiedy się śmieją.

– Kiedy tu tak zimno, tato! szepnęła

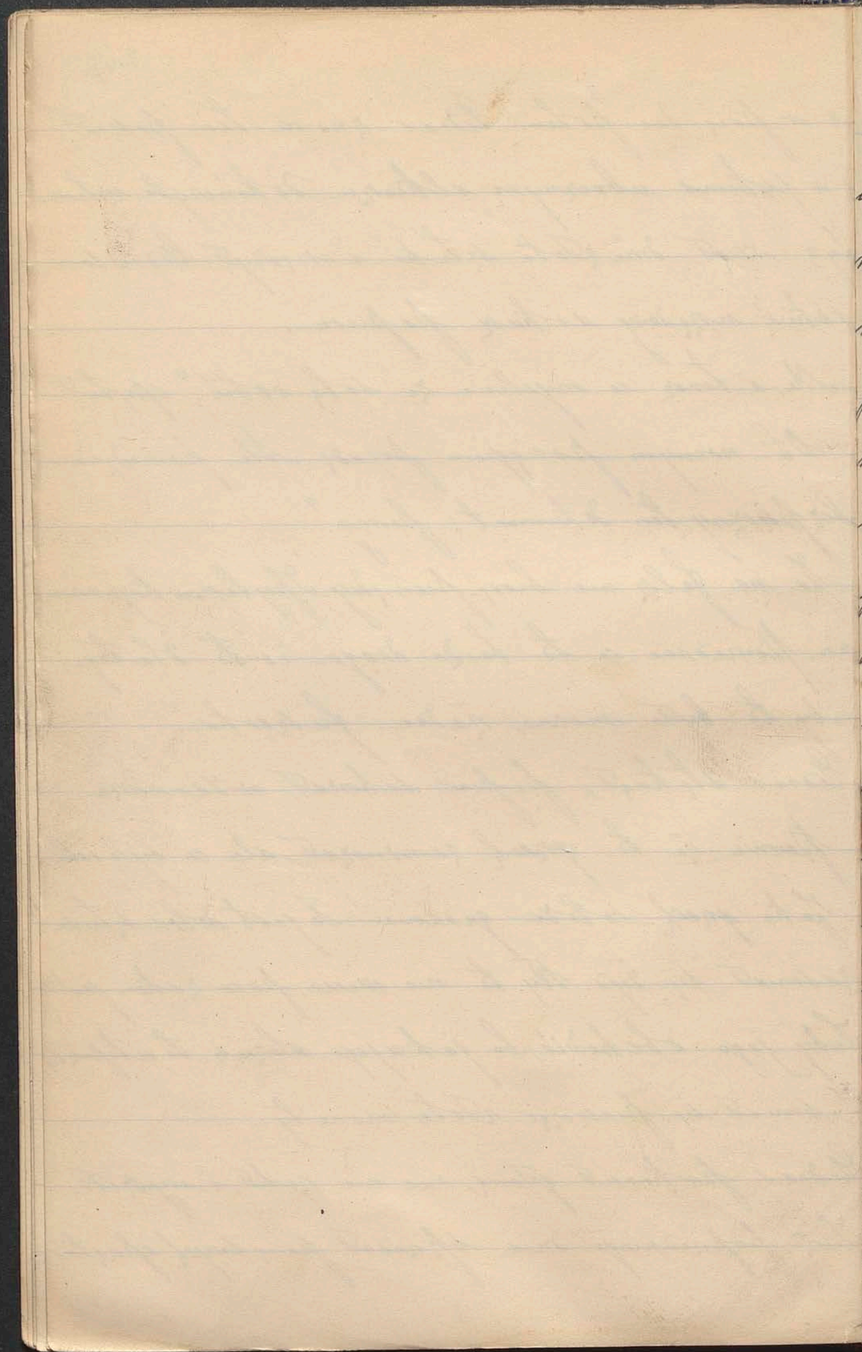
– A co ci lepiej – wstyd czy zimno? Pocierp trochę. Może już jutro z tąd pojedziemy.

Zdjął ze siebie kożuch, okrył ją, i ułożył do snu niedaleko komina, potem chwilę pomyślawszy – wziął za czapkę i wyszedł.

Tego wieczora długo szeptali z synem Lejzorowej –



a w parę dni potem Jedras znowu tam poszedł.
i w jakimś ubocznym alkierzu dokończyli interesu
Żyd wziął dwie złote sztuki - i wręczył Jedrasowi
jakiś urzędowy arkusz papieru.
- Nu, a teraz co myślicie ze sobą robić? spytał.
- Ot - nocnym pociągiem pojadę. Ale, powiedzcie -
bezpieczny ten dokument, pewny?
- Ja na fałsz nie biorę pieniędzy. Spytajcie kogo chce-
cie. Powiadacie, co to bardzo drogo - no to dlatego
żeby to było mocne, żadna fuszerka.
Jedras stęknął, papier schował w zanadrze
- Pewnie, że to grzech, zamruczał - ale co było robić.
- Jaki grzech - co to za gadanie! To jest dobra sztuka
zaśmiał się żyd. Wy to nie wiecie, poco zakon jest?
Żeby jego obchodzić, bo jak w jego włezieś, to utopisz się.
I śmiał się, pieszcząc złote monety.
Jedras pokręcił głową, nic nie rzekł, i wyszedł.
Już poprzedniego dnia sprzedał parę swych sprzętów



i kuferek. Trochę szmat upakował w worek - więc do drogi był gotów, z gospodarzem się rozliczył, nie miał z kim się żegnać.

Worek naładował sobie przez ramiona na plecy - rozespane dziecko wziął na ręce, i tak obładowany ruszył na kolej.

Minka rozbudziła się wśród zgiełku i łoskotu stacyi - przerażonemi oczami patrzała po nieznanych twarzach, ale nieśmiała płakać, ani się odzywać.

Dopiero gdy się znaleźli w ciemnym, dusznym, zapchanym ludźmi wagonie trzeciej klasy, rzekła

- Tato, mnie tak straszno. Gdzie my jesteśmy?

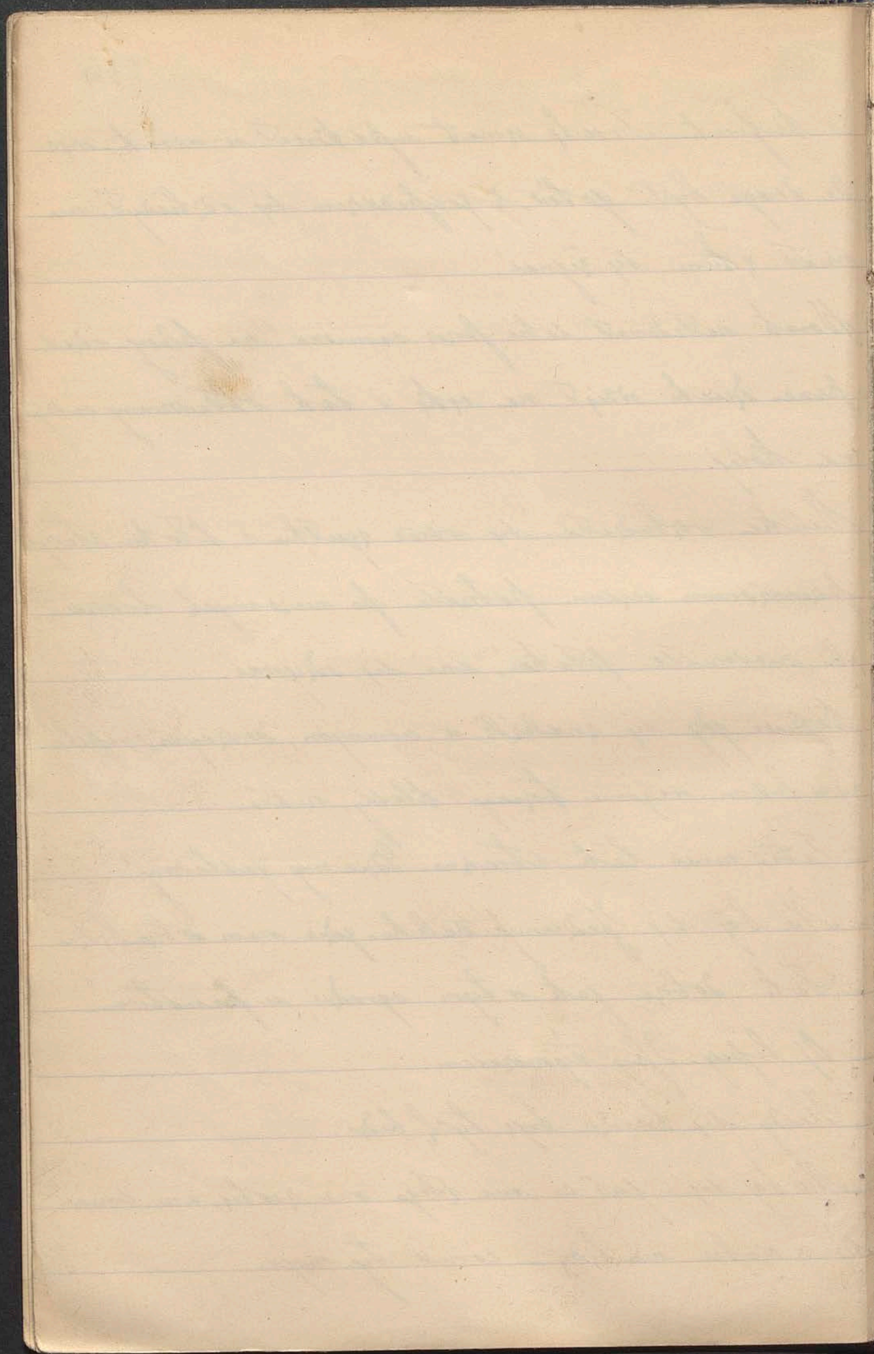
- Nie bój się. Jedziemy daleko, gdzie nam dobrze będzie.

- Tak dobrze jak w tym ogrodzie u państwa?

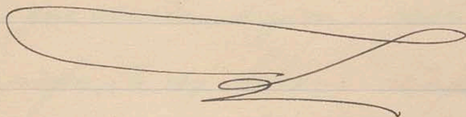
- Oj lepiej. Śpij tymczasem.

- Kiedy się bardzo boję tych ludzi.

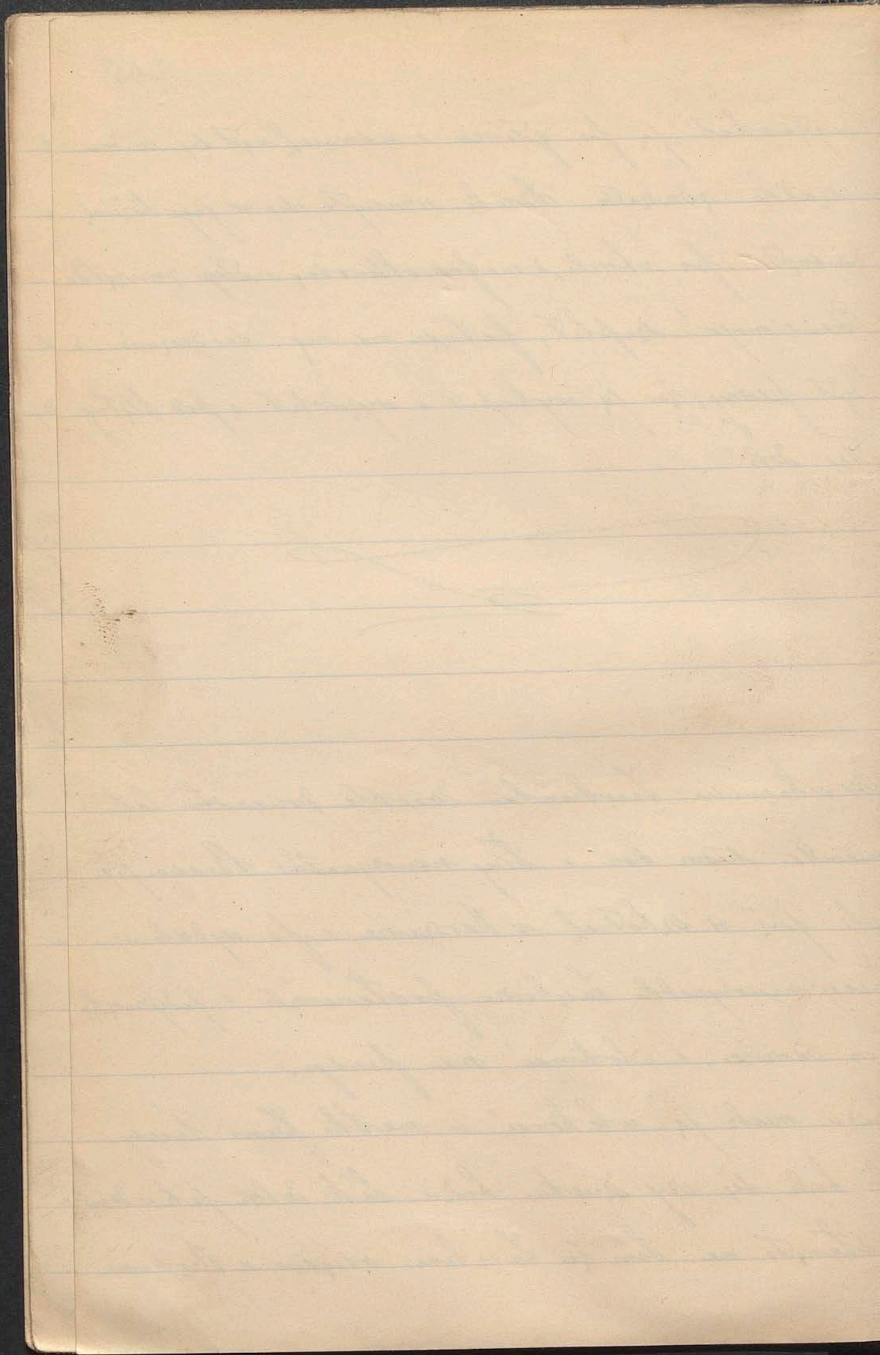
- Nie bój się - już ci nic złego nie zrobią, ani śmiać się z ciebie nie będą - córuś ty moja!



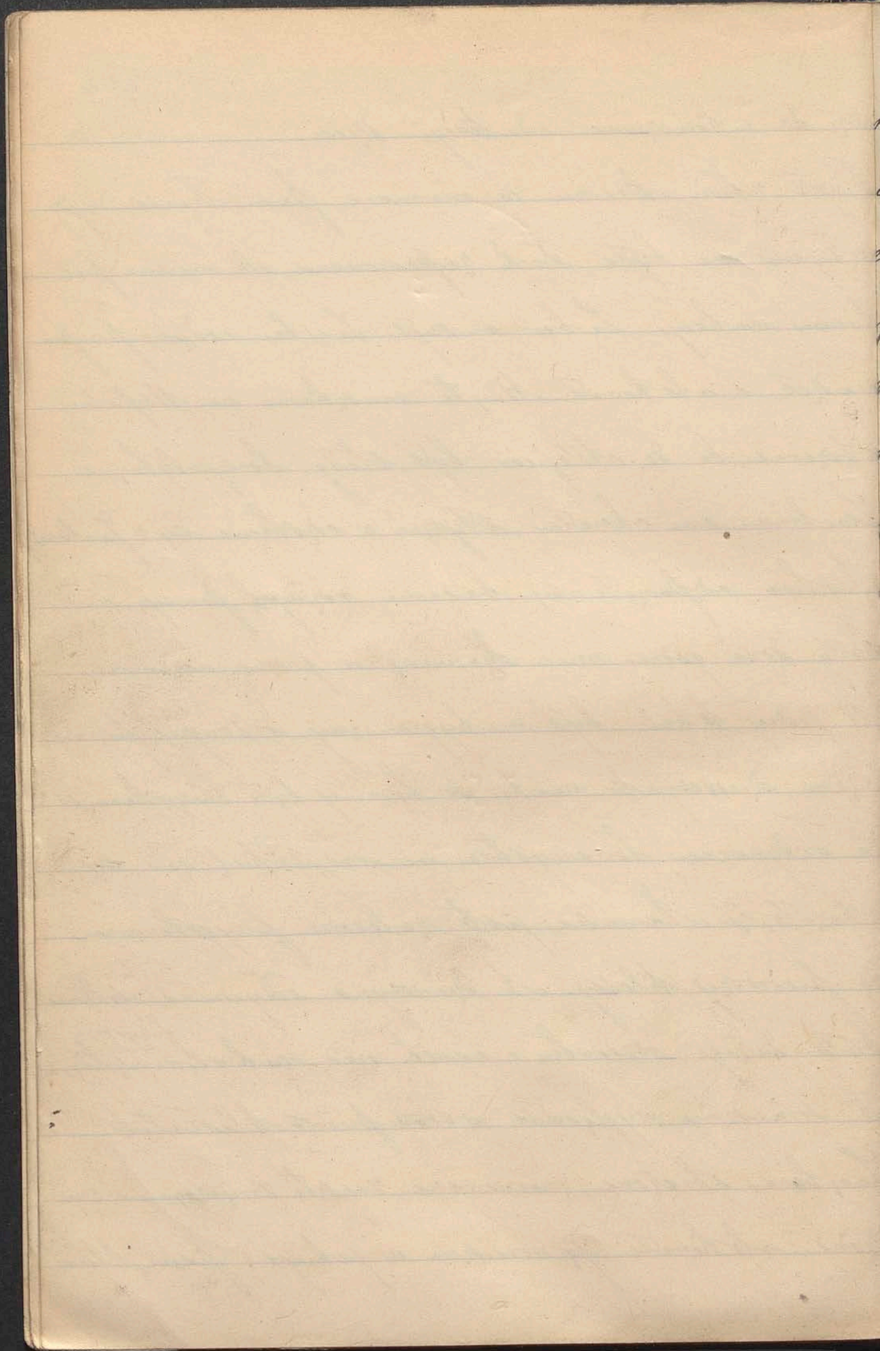
pogłaskał ją po główce i uśmiechnął się, co mu się rzadko zdarzało. Dziecko wtuliło się w jego kożuch i zasnęło po chwili, z niefrasobliwością małego zwierzątka.
— Córus moja! szepnął, patrząc na nią serdecznie. Był pewny, że ją wykupił i wyzwolił z pod klątwy złej doli! — —



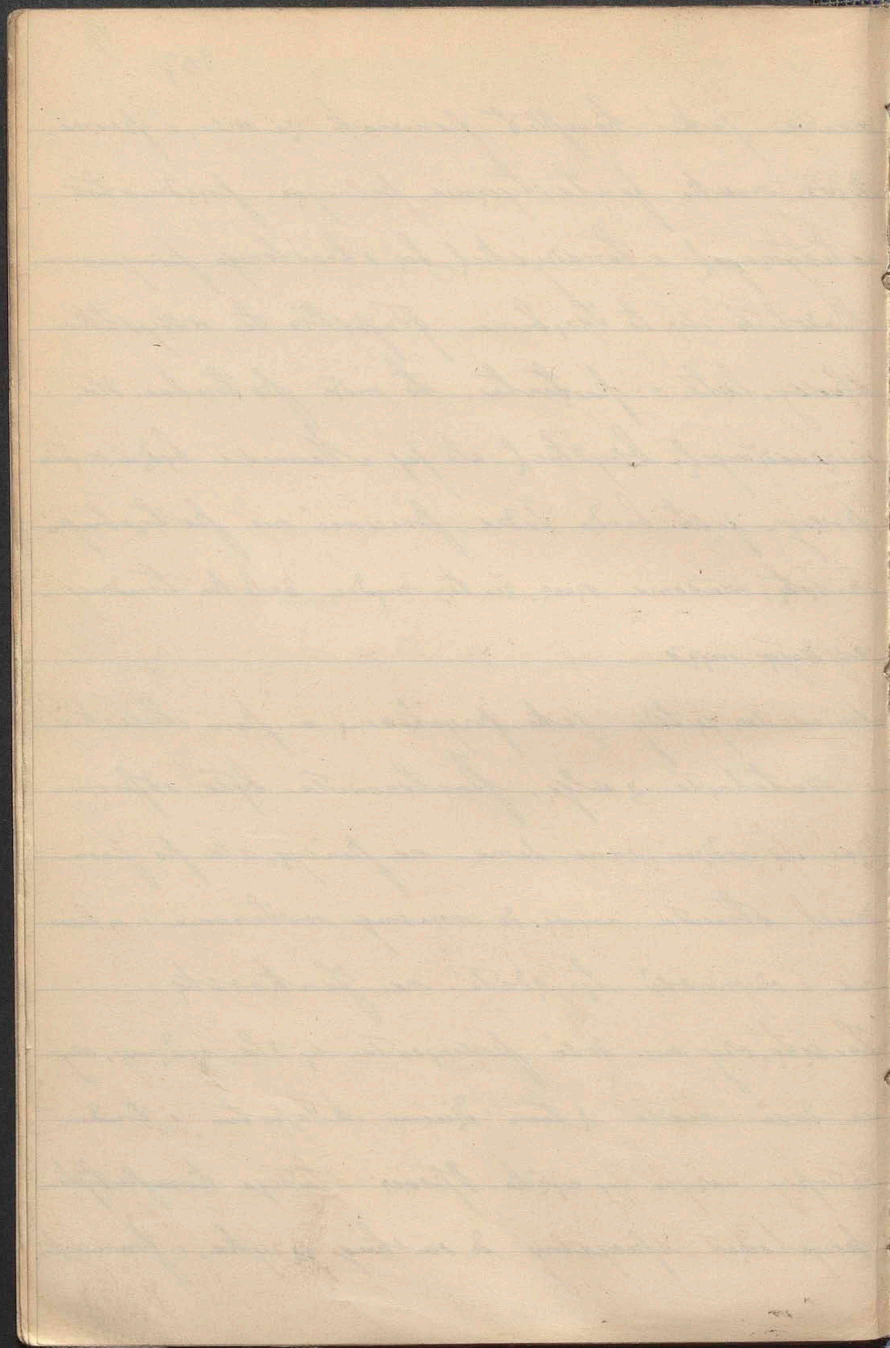
Gdy Marinsia Łażbianka dorosła dwunastu lat, zmieniła siedm bon i trzy nauczycielki. Bracia jej byli już w szkołach w Warszawie, i po wydaleniu trzeciej nauczycielki Łażbowie postanowili i jedynaczkę tam odwieźć, i ulokować na pensyi.
Zrazu mieli ją ulokować u matki pani Teresy, ale bali się czy dziecku będzie tak dobrze jak w domu i stanęło na tem że Łażbina osiądzie w Warszawie,



aż do ukończenia edukacyi dzieci.
Było z tem kramu co niemiara, pani Teresa nigdy w życiu nie była tak zapracowana, ale wreszcie pod koniec wakacyi tabor ruszył. Tarębo rodzinę przeprowadził, i ulokował. Wzięto mieszkanie na Wspólnej obszerne, bo do chłopców był stały korepetytor, a Tarębina ani chciała słyszeć o rozstaniu się z Jankowską. Potem rozpoczęło się badanie różnych pensyi, czy były dość godne mieć Maniusię w gronie uczennic. W jednej lokal był niehygieniczny, w drugiej przemęczano dziewczynki nauką, w trzeciej było dla Maniusi za ordynarne towarzystwo, we wszystkich zaś się okazało, że Maniusia jest zaledwie przygotowana do pierwszej klassy. A dziewczyna odżywiana silnie była dużego wzrostu i nawet nad wiek rozwinięta fizycznie, aż śmiesznie wyglądała wśród pierwszoklasistek.
Tarębina obrażona, znerwowana, zresztą umęczona i znudzona ulokowała ją wreszcie u jakiejś pani, która



miała jakiś komplet panienek ze wsi, i prowa-
dziła nauki fantastycznie, pilnując przedmiotów
estetycznych i towarzyskich, bez określonego programu.
Podobało się to Izabience. Głupstwo te wszystkie
klassy, lata i patenta. To może potrzebne dla
niezamożnych, brzydkich – ale jej Maniusia będzie miała
posag – jest bardzo ładna, pracować nie potrzebuje.
Zresztą, wiadoma rzecz, że te mądre daleko trudniej
znajdują męża.
Umieściła ją tedy jako przychodnię u pani Lisieckiej
i odetchnęła z ulgą. Postanowiła była odprowa-
dzać ją codzień rano, sama na pensyę, ale po paru
dniach straciła werwę do wczesnego wstawania i ubiera-
nia, i czynność tę zdała na Jankowską.
Zresztą, czy nie dość poświęcała się dla rodziny, czy
nie dość miała z temi dziećmi kłopotu i trudu.
Chłopcy uczyli się ciężko. Oprócz stałego korepetytora
przychodził specyalny do ruskiego języka, i francuzka



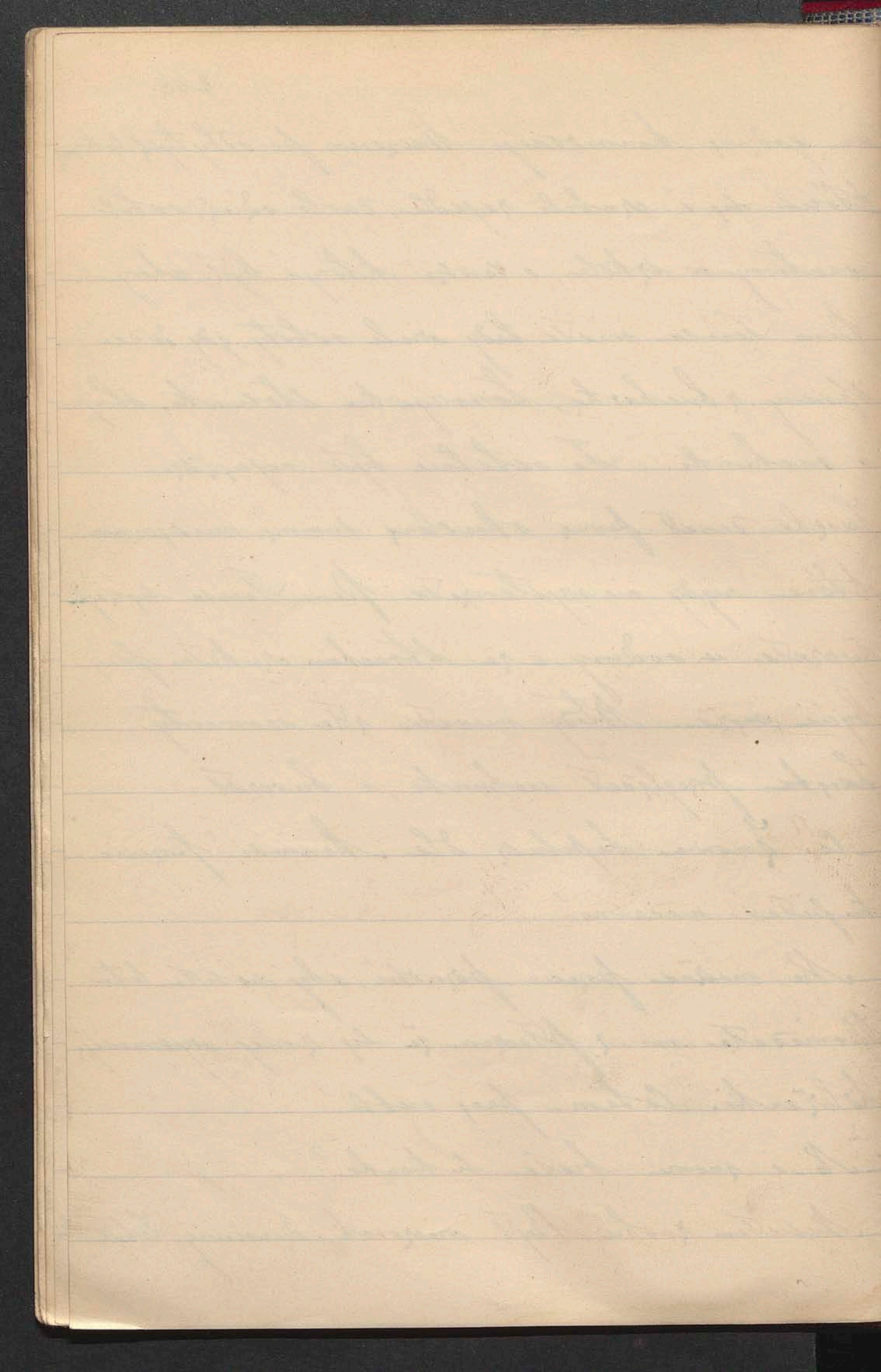
na godzinę konwersacyi. Wieczorem po odbytych lekcyach kłócili się i czubili zajadle, darli odzież, robili awantury w szkole, i zawsze któryś był chory. Pani Teresa miała tedy wiele roboty, gdy dodać sprawy z kucharką, towarzyskie stosunki, stroje i rachunki. To ostatnie było najcięższe. Zaręba dawał pewną określoną summę miesięcznie, która nigdy nie wystarczała. Pani Teresa się zapożyczała u rodziny, i ze strachem czekała przybycia męża. Wtedy miewała złe momenty. Zaręba przeglądał rachunki, i burczał.

— „Co? Znowu kapelusz dla Maniusi? Przecie kupiłaś niedawno!

— Nie można przecie pozwolić, aby nosiła letni. Opowiadała mi z płaczem, że się z niej wyśmiewają koleżanki. Co tam — parę rubli!

— No - i znowu biała sukienka?

— Musiałam zrobić. Był wieczorek dziecinny. Żebyś



wiedział jak się ogólnie podobała.

— I lekcye tańca?

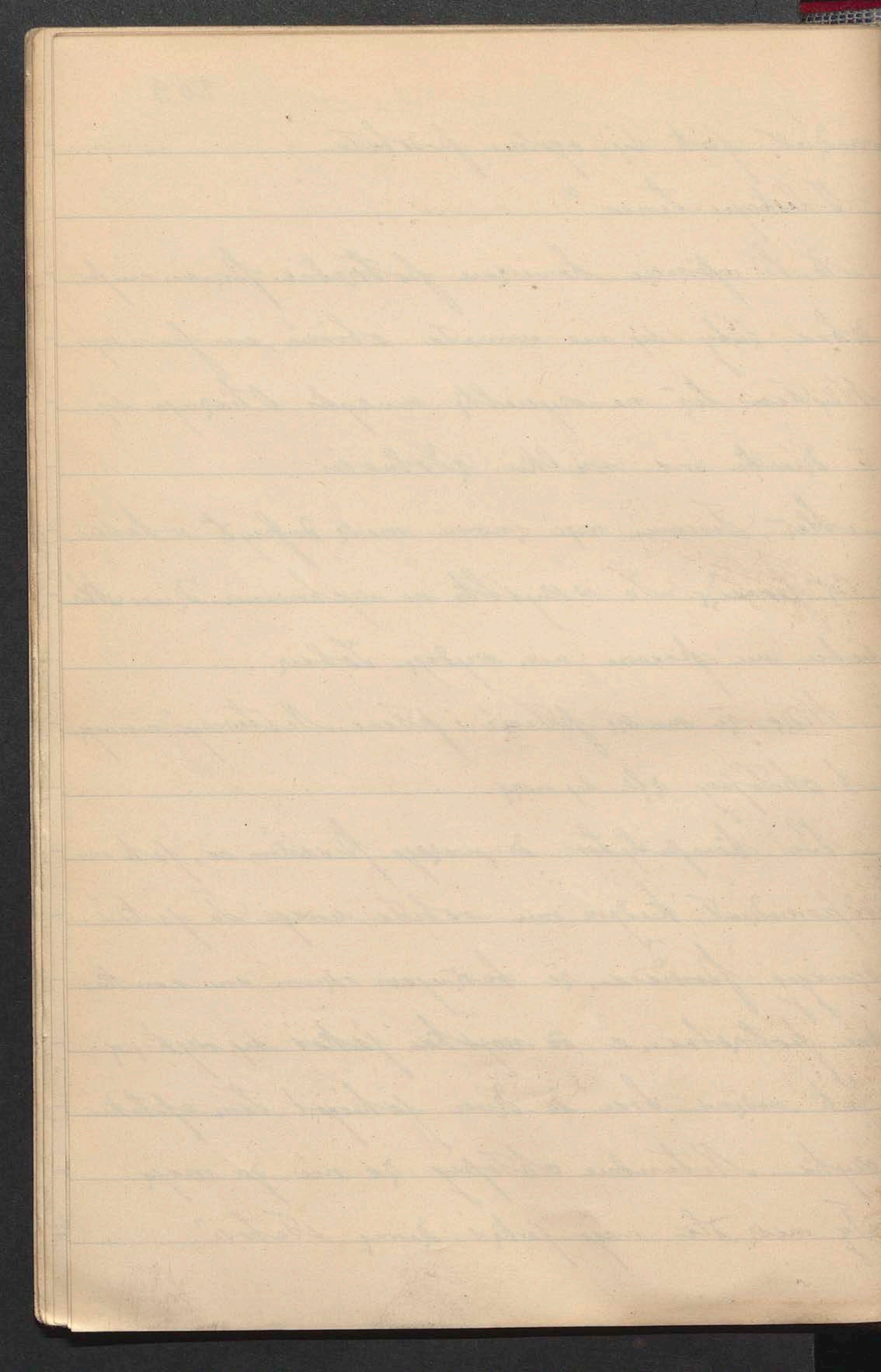
— No, to przecie koniecznie potrzebne. Przecie nie po-
-dobna żeby się nie umiała obrócić, ani poruszyć.
Wziąłam też nauczycielkę muzyki. Okazuje się
że dziecko ma wielkie zdolności.

— Ależ, Tereniu, więc znowu masz deficyt w kassie.

— Cóż poradzę. To wszystko na wychowanie dzieci. Dla
siebie nic prawie nie wydaję. Zobacz.

— Widzę, że muszę płacić i płacić. Nastarczyć niemogę.
A chłopcy źle się uczą.

— Bo korepetytor do niczego. Pisałam ci, jak mi
odpowiedział, kiedym mu robiła uwagi. To jakiś
demagog. Powiada, że burżujom rozum ani nauka
nie potrzebna, a od wojska jakoś się wykręcą.
Jak można brać do dzieci jakiegoś tam aptekar-
-czyka. Naturalnie chłopcy za nic go mają.
Ty masz dla niego jakąś dziwną słabość".



— Rozmówię się z nim! mruczał Zaręba, patrząc ponuro na summę miesięczną

— Ale uważasz, jak się Manusia wyrabia. Zdaje mi się, że ona długo w domu nie posiedzi. Czy uwierzysz, że na tym wieczorku, już zrobiła konkietę. Nie uwierzysz kto?

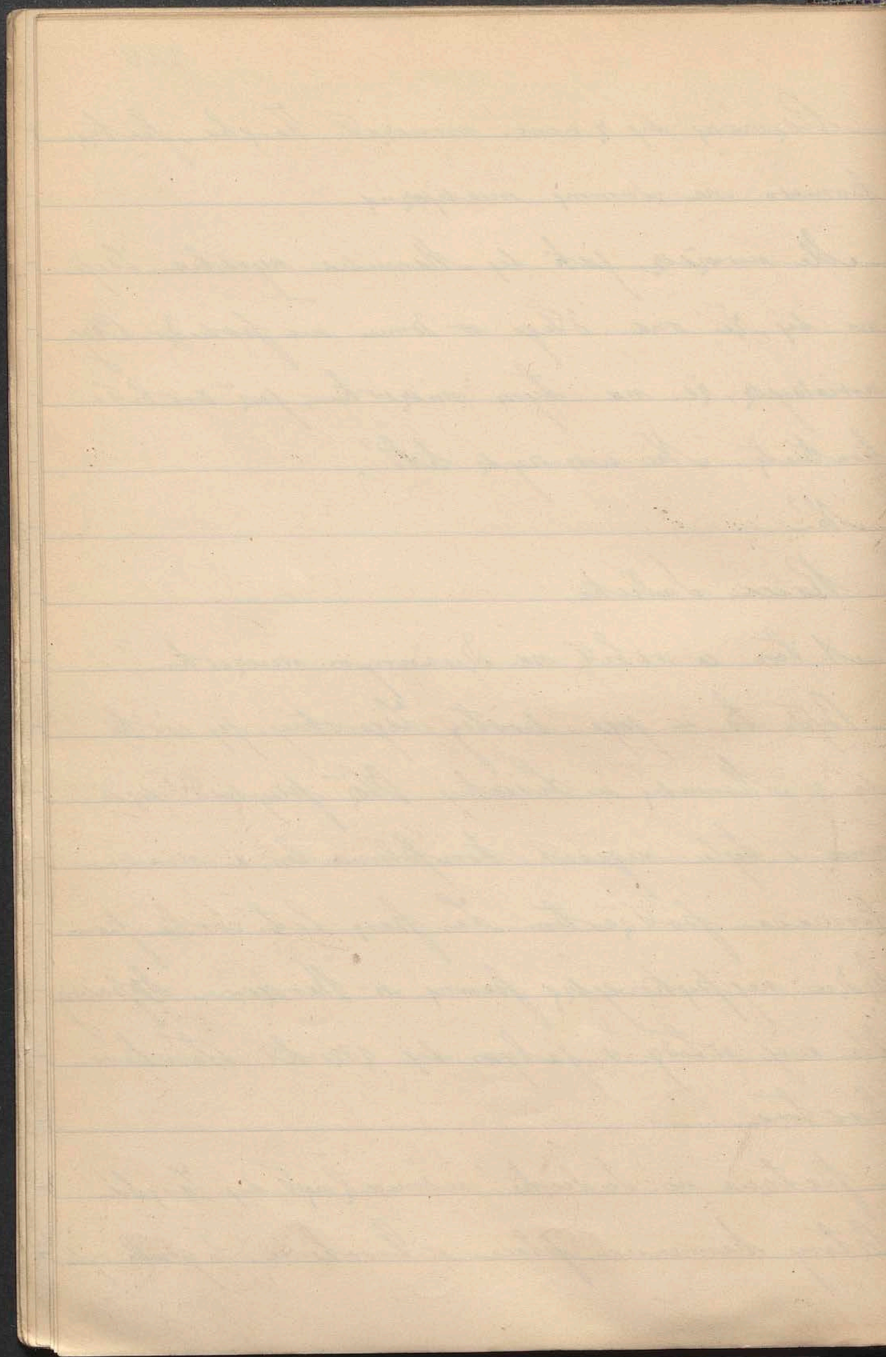
— No?

— Radca Julicki.

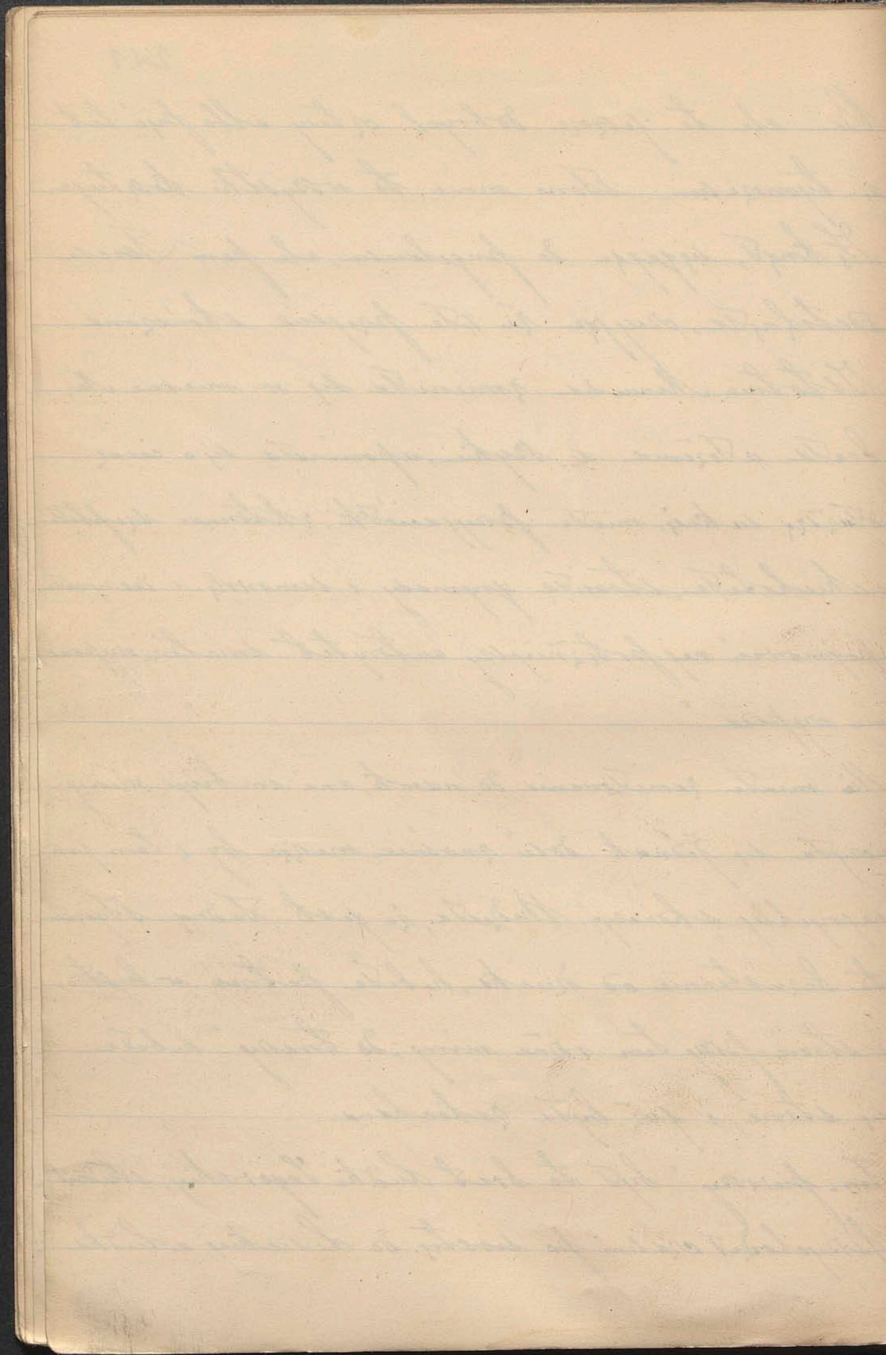
— A ten co robił na dziecinnym wieczorku?

— Było to u jego siostry Zagórskiej - jej córki są z Manusią u Lisickiej. Otóż przysiadł się do mnie i tyle nagadał komplimentów, a wreszcie powiada półżartem: „Za parę lat córka pani będzie najpiękniejszą panną w Warszawie. Doprawdy dla niej wtedy i jabym się zrzekł starokawalerstwa."

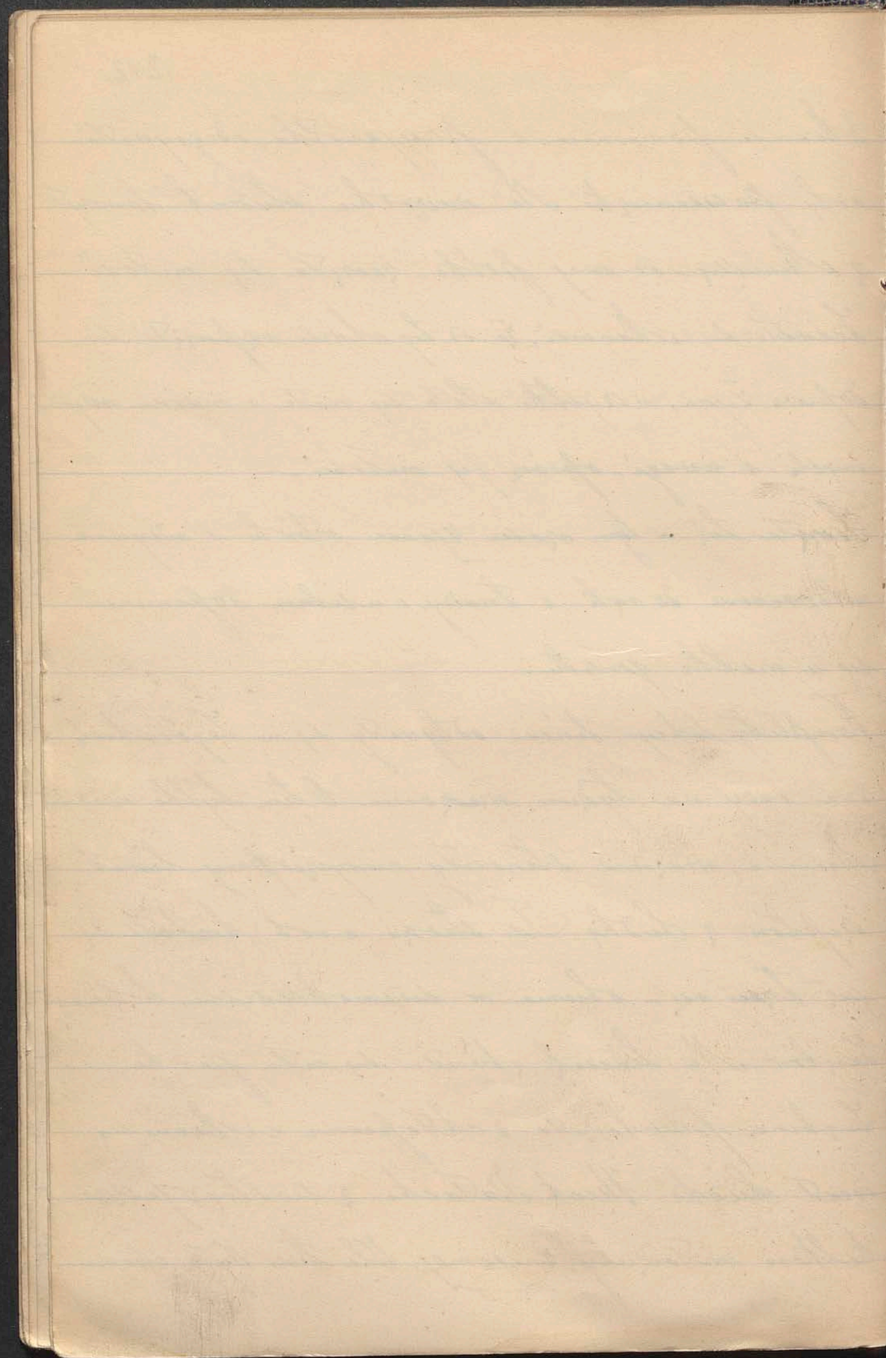
— Patrzcie no! Julicki! uśmiechnął się Zaręba Cztery kamienice, place w Grochowie. To gruba ryba.



Ba – ale to jeszcze dobrych cztery albo pięć lat – a tymczasem – strono mnie to wszystko kosztuje. Aż kręcił, sięgając do pugilaresu, ale pani Teresa odetchnęła, czując że złe przejście skończone.
Istotnie Minusia zmieniła się w mieście. Na=brała ułożenia i szyku, upominała się o coraz dłuższą suknię, miała przyjaciółki, z któremi szeptała i chichotała, straciła grymasy i samowolę – i zaczynała pojmować najpotężniejszy autorytet świata: „wypada, nie wypada."
Nie miała zamiłowania do nauk, ani ambicyi wiedzy – uczyła się jednak dość znośnie, marząc by z tem jak najrychlej skończyć. Wiedziała, że jest ładną – słyszała to bezustannie od dziecka, lubiła patrzeć w lustro, i stroić przy tem różne miny „do twarzy" – lubiła się stroić, i już była zakochana.
Ten „pierwszy" był to brat Ludki Zagórskiej, student przychodził czasem po siostrę do Lisieckiej, a Ludka



Maniusi powiernica i przyjaciółka, odegrywała rolę pośredniczki. Na wieczorku student tańczył z Maniusią - od owej polki - zaczęła się miłość.
Zdawało się Maniusi, że od tej chwili rozpoczęło się dopiero życie, wszystko stało się małe i marne niegodne myśli i uwagi - oprócz jej miłości.
Zaczęła też w tym czasie zjadać ołówki i używać coldcreamu do rąk i twarzy, i usilnie dopominać się u matki gorsetu.
Komplety lekcyj tańca odbywały się u Zagórskich dwa razy na tydzień, wieczorem. O tem tylko marzyła Maniusia, wrażenia stanowiły niewyczerpany temat szeptów z Ludką. Ta starsza o rok kochała się już trzeci raz - obecnie w siódmoklasiście, koledze Zagbów. Na tańcach zbierała się cała paczka. Zagbina przychodziła z Ałłopcami i Maniusią - ideał Ludki Wicek Natacki z siostrą - jeszcze kilkoro młodzieży znajomej. Ale tam było spojrzeń



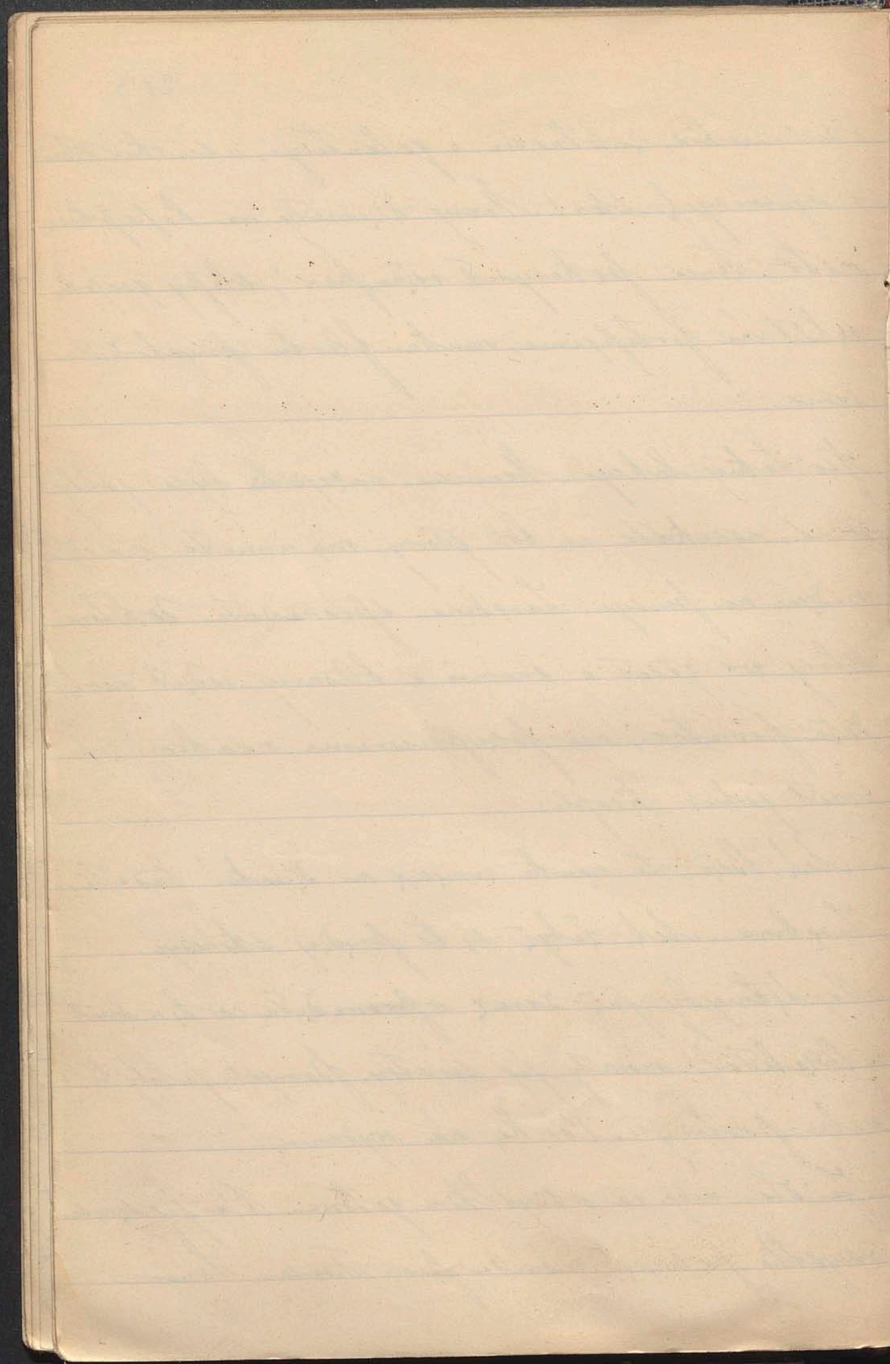
i uśmiechów, żałosności i galanteryi, uścisków dłoni i wymownych słów! Mamy drzemały na kanapkach, mistrz tańca pokazywał różne „pas", ślepy grajek rzępał na fortepianie, nauka flirtu przychodziła sama.

Po takiej lekcyi Maniusia nazajutrz była jakby senna, narzekała na ból głowy, nie umiała nic odpowiedzieć na pensyi. Żarębina sprowadziła doktora który coś gadał o anemii, o błędnicy, radził ruch, dużo powietrza, nie przepracowanie naukami, zapisywał jakieś krople.

— Ach, Boże, te nauki zamęczą mi dziecko! biadała Żarębina. Ach, żebyż się to prędzej skończyć. Najchętniejby już zaraz wprowadziła córkę w świat

— Oszalałaś! mówiły jej siostry. Pomyśl jakby to ciebie postarzyło. Córka na wydaniu!

— Ja dla niej na wszystko gotowa. Dla jej szczęścia wszystko poświęcę! mówiła pani Teresa tonem

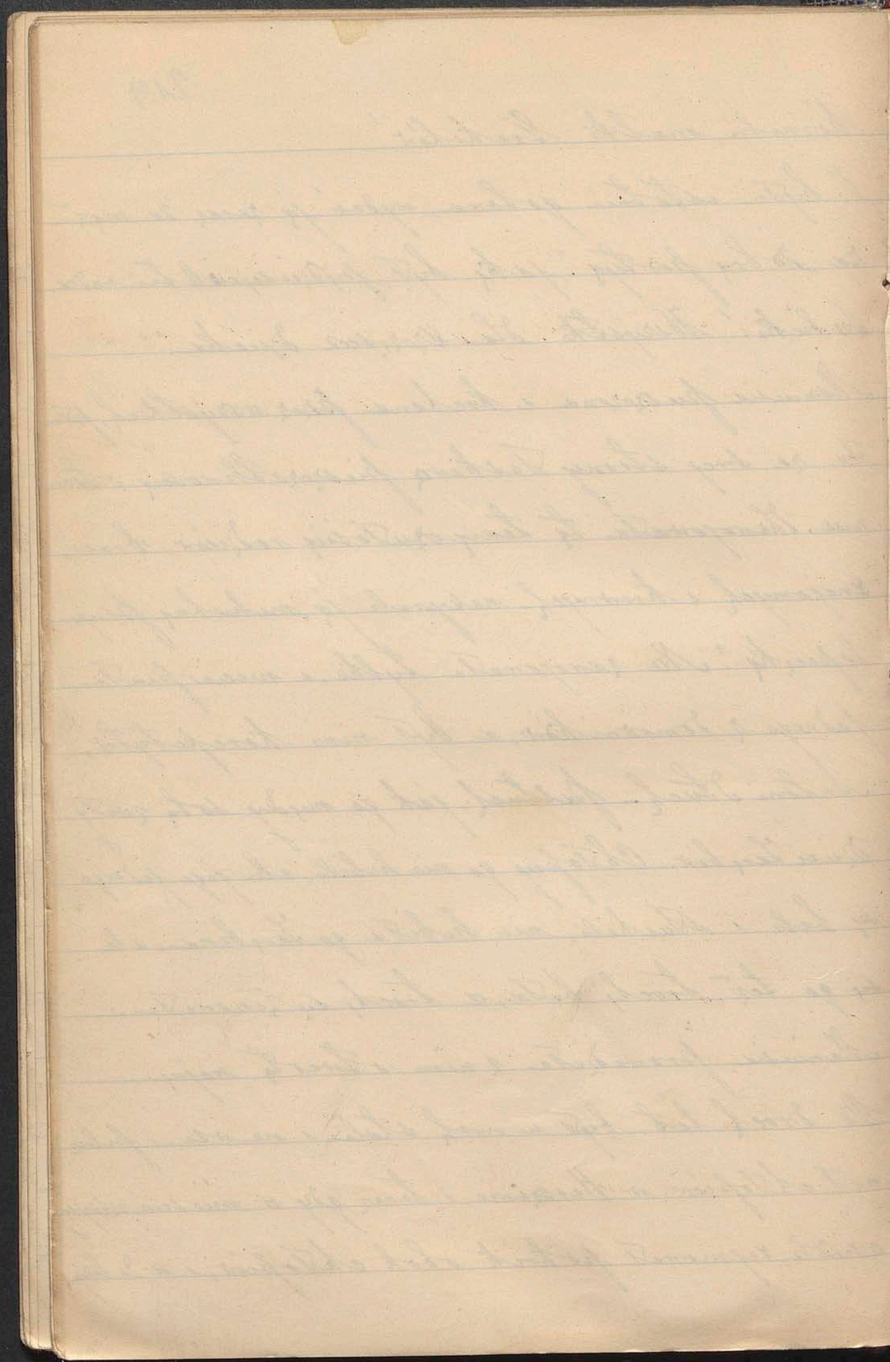


Kornelii, matki Grakchów.

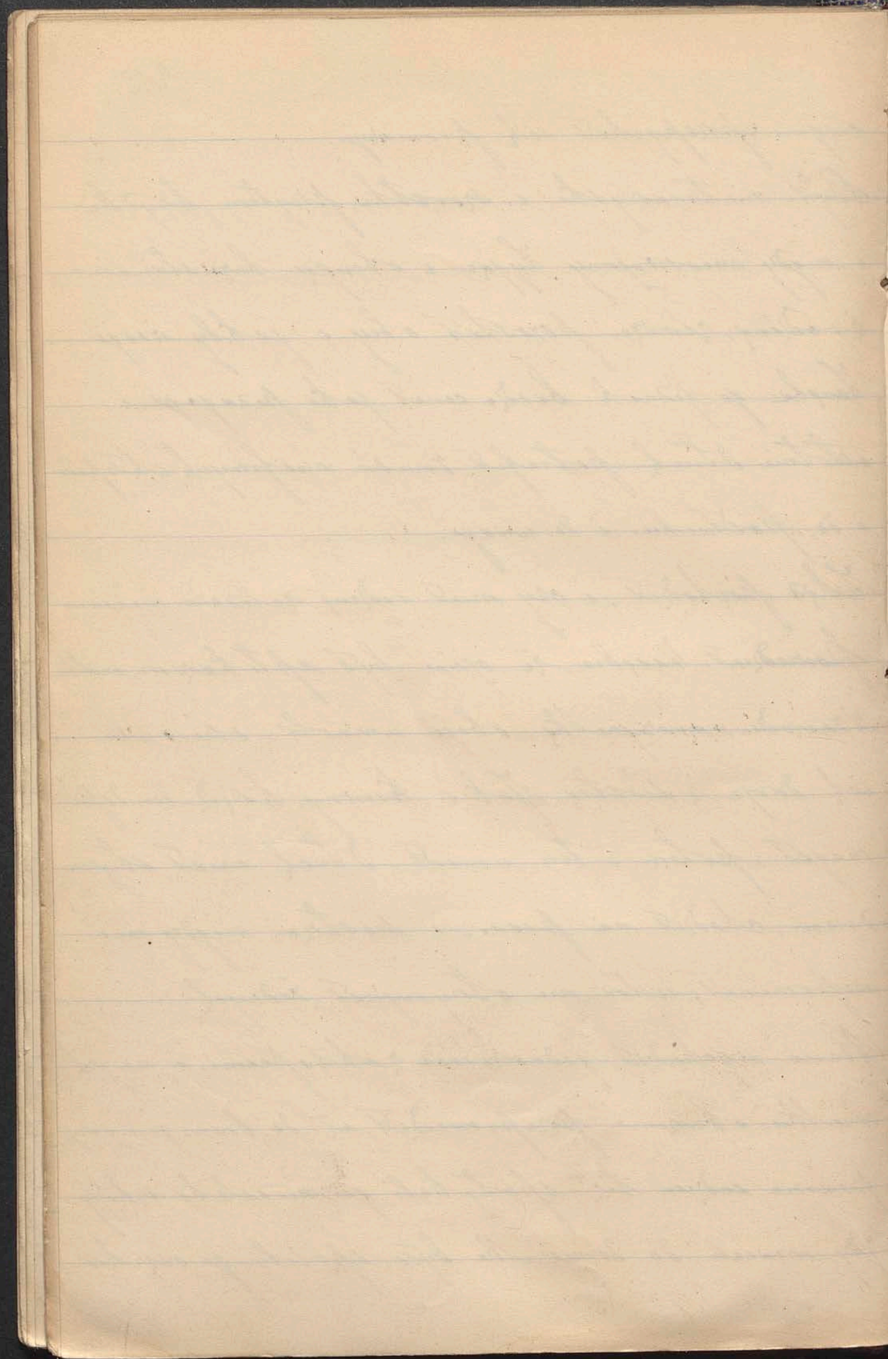
I była istotnie gotowa, wydać ją zaraz za mąż za „dobrą partyę", jaką był pięćdziesięcioletni radca Lubicki. Wszystko dla szczęścia dziecka.

Maniusia pieszczona i kochana przez wszystkich, płaciła ze swej strony łaskawą pieszczotliwością otoczeniu. Zawojowała też łatwie czułością rodziców, braci, znajomych i krewnych — nazywali ją „miluchną przylepeczką". Nie zawojowała tylko, i niecierpiała jednego z domowników, a był nim korepetytor, Antoni Stuch — pastuch — jak go między sobą zwały dzieci Jarębów. Chłopcy go nie lubili, ale jego jednego się bali i słuchali; nie lubiła go Jarębina, ale się go też trochę bała, a trochę się żenowała — Maniusia prowadziła z nim otwartą wojnę.

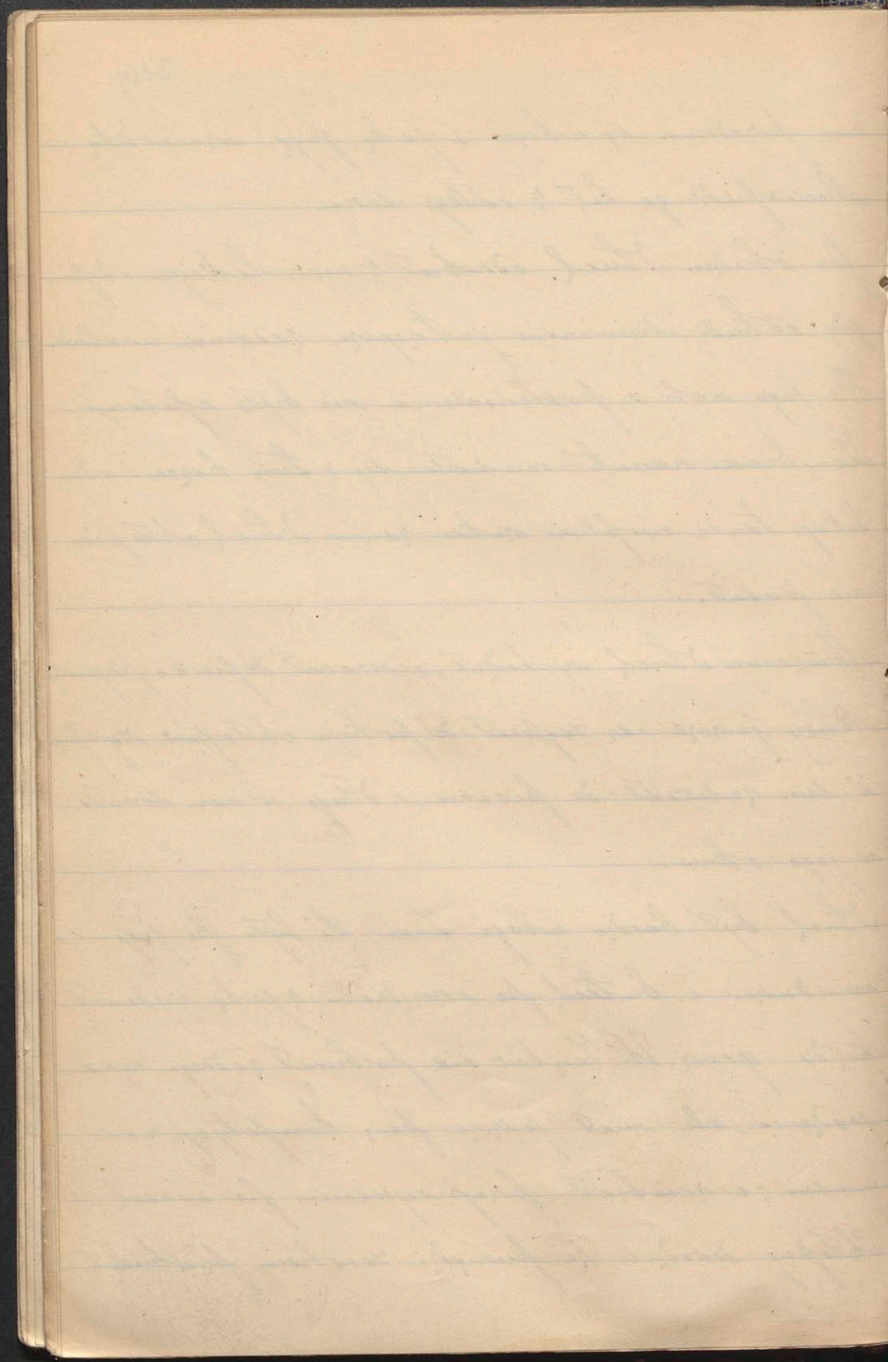
Od dwóch lat był u nich stale. i na wsi — i pilnował chłopców w Warszawie, i teraz gdy w mieście wszyscy osiedli, zajmował pokoik obok chłopców, i w dalszym



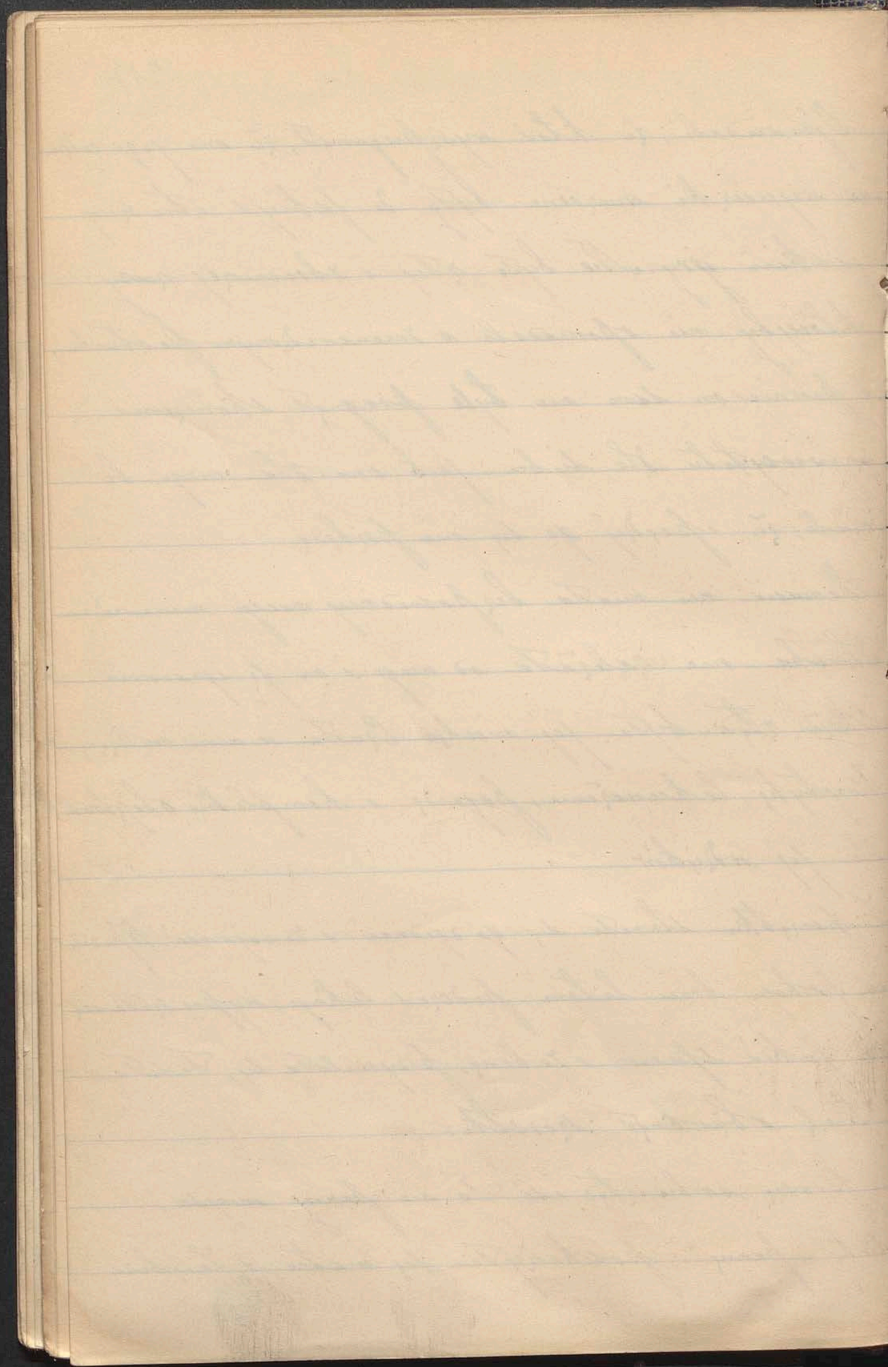
ciągu przepychał ich promocye.
Był nietowarzyski i szorstki, przytem brzydki i nigdy nieoswojony. Żyjąc i obcując bezustannie z rodziną, zawsze pozostał obcy i jakby wrogi.
Zaręba go jednak bardzo cenił jako pedagoga i istotnie Dłuch potrafił zmusić niesfornych chłopców i do posłuchu i do uwagi.
Zkąd pochodził, i czy miał rodzinę zaledwie wiedziano powiedział Zarębie, że ojciec był aptekarzem, matka z zawodu nauczycielką — oboje umarli — osierocili ich dwoje z siostrą. Jakiś krewny, ksiądz — im dopomagał — potem i ten umarł. Dłuch miał stypendium, chodził na prawo — o siostrze nigdy nie wspominał, listów nie otrzymywał żadnych.
Rano wychodził jednocześnie z chłopcami, i na ich wielkie oburzenie, przeprowadzał, aż do bram gimnazyum prawie codzień też spotykali go niedaleko szkoły gdy wracali do domu. Nie było sposobu go oszukać



ani przednim się ukryć z jaką „fugą" uczniowską.
Nienawidzili go też z całego serca.
Po obiedzie Słuck odrabiał z nimi lekcye, i dopiero gdy odbyli sumiennie jutrzejsze zadania uwalniał.
Od jego woli i postanowienia nie było apelacyi.
Zarębina nawet musiała się z tem liczyć, i w dnie lekcyi tańca cierpliwie czekać, zanim Słuck chłopców nie puścił.
Wieczorem Słuck wychodził, i wracał dopiero o jedynastej.
Wtedy jeszcze raz zaglądał do pokoju chłopców, czy śpią, a tem zasiadał do pisania, i długo w noc świeciło w jego oknie.
Słuck był bardzo ubogi. Znać to było po jego mundurze i butach, po oszczędności z jaką wydawał każdy grosz. U Zarębów nie pobierał żadnego wynagrodzenia, ale miał jeszcze parę korepetycyi na mieście i zarabiał przepisywaniem po nocach.
Chłopcy dowodzili, że pieniądze zarobione przehulał.



Opowiadali, że ktoś wyszpiegował, że owe jego codzien-
ne wycieczki wieczorne były do jakiejś strasznej
jaskini gry. Nie było złej i zbrodniczej rzeczy,
którejby nie opowiadali o znienawidzonym pastuchu,
i pewnie on sam nie tyle pragnął skończenia
uniwersytetu dla siebie - jak oni dla niego - bo
czuli, że prędzej go się nie pozbędą.
Maniusia nie miała bezpośredniej racyi nienawidzenia
Stucha - nie zależała od niego i on ją ignorował.
Może z tąd była jej niechęć. Czuła w nim milczącą
krytykę, lekceważenie, pogardę, i kompletną obojętność
dla jej wdzięków.
Z początku starała się go zjednać i zawojować. Wpadała
do pokoju braci latem, podczas lekcyi, wypraszała ich
na jakiś spacer i zabawę, przymilała się, łasiła.
Stuch obburknął wszystko:
— Proszę sobie z tąd iść. To nie panny miejsce.
Ot! „panny" poskarżyła się matce, i Zarębina



półżartem, zrobiła Dłuckowi uwagę, że dziwnie do jej córki przemawia.

— Wcale do niej nie przemawiam! odparł.

— No przecie — mówi pan do niej: niech panna.

— A jak mam mówić?

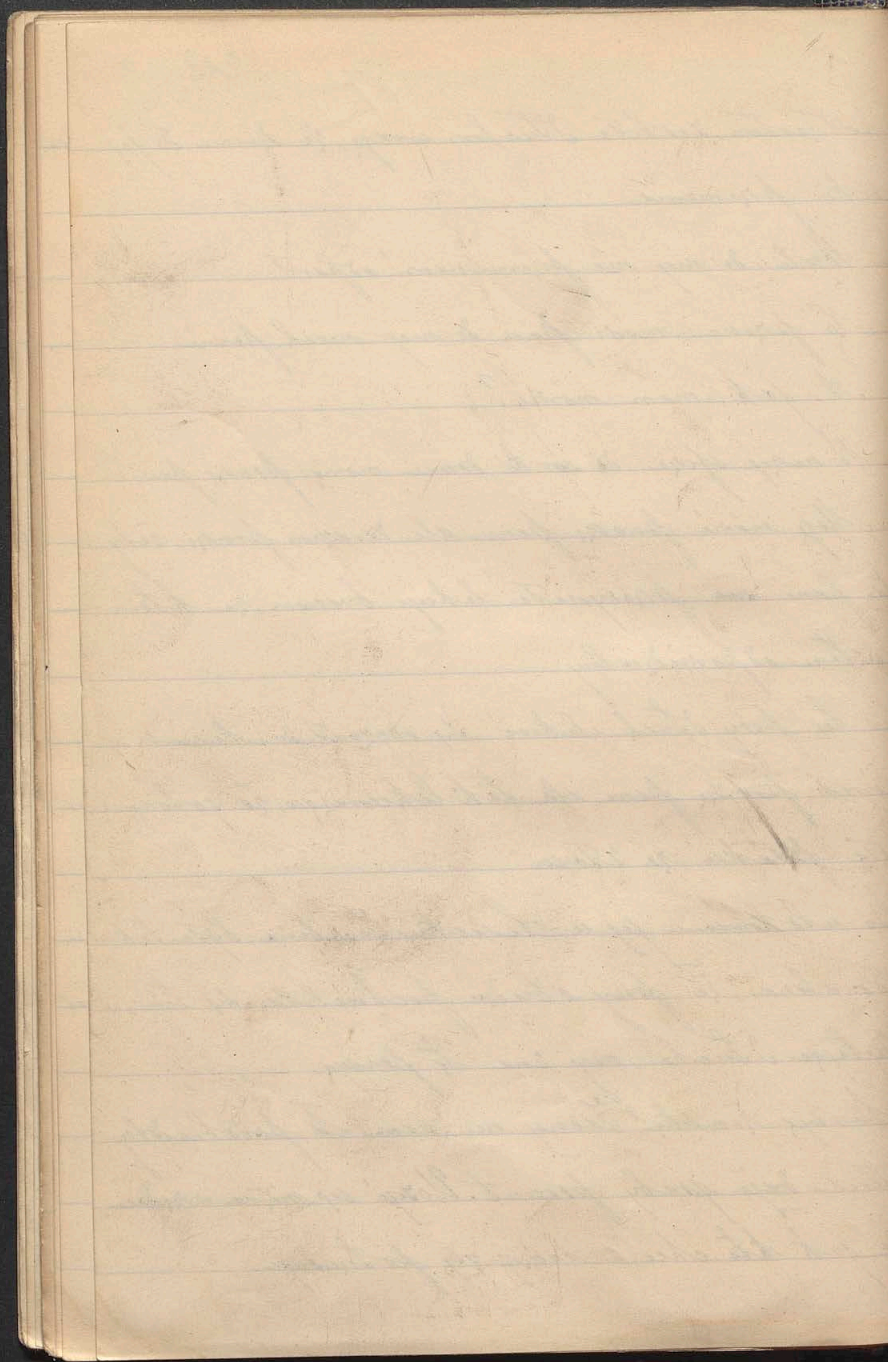
— W naszej sferze do córki domu mówią: proszę pani.

— Mogę mówić: proszę pani — ale zarazem proszę, żeby ta pani nie przerywała lekcyi braciom, za które jestem odpowiedzialny.

Od tej pory Dłuck ilekroć się odezwał do Maniusi mówił: proszę pani, ale tak lekceważąco, że gotowa była płakać ze złości.

Po ulokowaniu jej u Lisickiej, Zarębina była tak zadowolona, że przy obiedzie pochwaliła się tem, pytając Dłucka, czy zna tę pensyę.

— Pensyę żeńską? Żadnej nie znam. To podobno dobry interes — daje gruby procent. Uczyć się można wszędzie — ~~ale~~ jak kto chce, a raczej, gdy potrzebuje.



Nie odpowiedział, ale Maniusia czuła w tonie, że ona
ani chce się uczyć, ani potrzebuje. To prawda była
ale w jego ustach to była obelga.
Gdy zaczęły się lekcye tańca, i Zarębina zapowiedziała
Stachowi, że w te dni powinien chłopców wcześniej
zwalniać, odpowiedział.
– Ponieważ tego panowie i potrzebują uczyć się – niech
się sami starają prędzej zadanie odrobić. Moje lekcye
odrabiają nie jak dla siebie, ale jakby dla mnie. Może
dla tańca będą pilniejsi.
Ten człowiek nie rzekł słowa bez krytyki, bez niechęci
ukrytej, bez żółci. Nie dziw, że go nie cierpiano w domu,
a siostry Zarębiny nawet nie nazywały inaczej jak
„złośliwa małpa”
Naturalnie tylko „wuj Bolek”, który ożenił całemu
światu na złość”, okazywał Stachowi sympatyę.
Gdy przychodził do Zarębów – wstępował zawsze na
cygaro do studenta, i wyciągał go na rozmowy.

On to namówił Zarębę na tego korepetytora, i on swemi pochwałami go utrzymywał, pomimo babskich intryg. Jednakże po rozmowie z żoną Zaręba czuł się obrażonym ową nazwą „buzujów”, i postanowił rozmówić się serjo ze Słuckiem.

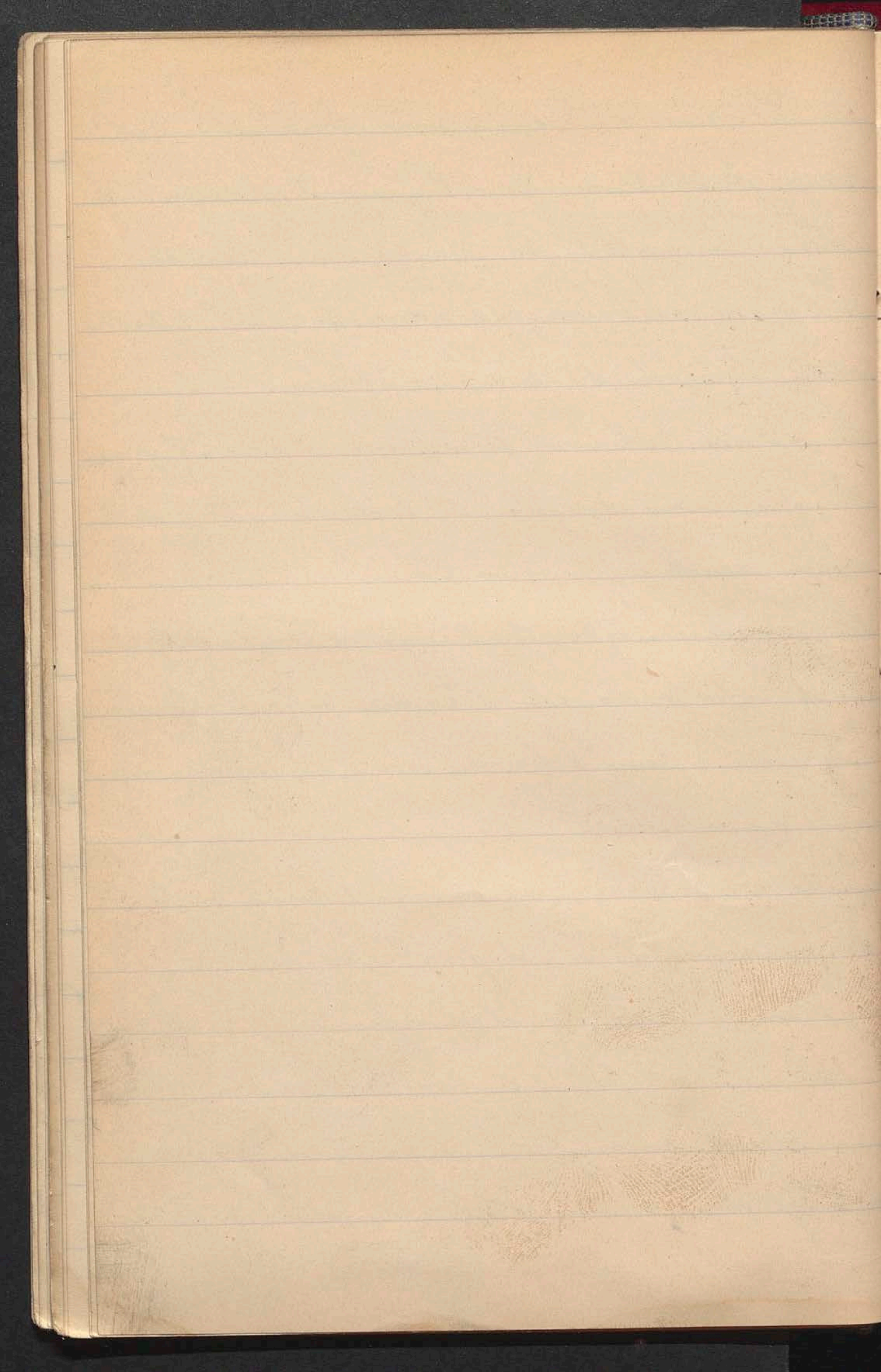
Po obiedzie zatrzymał go w jadalni, i wyłożył sprawę. Pani Teresa wycofała się dyskretnie, dzieci odesłano do nauki.

Ale gdy Zaręba powtórzył jego rzekome powiedzenie Słucki spokojnie ale stanowczo zaprotestował:

— Nigdym z panią o tem nie mówił, ani wyrazu tego nigdy nie używał.

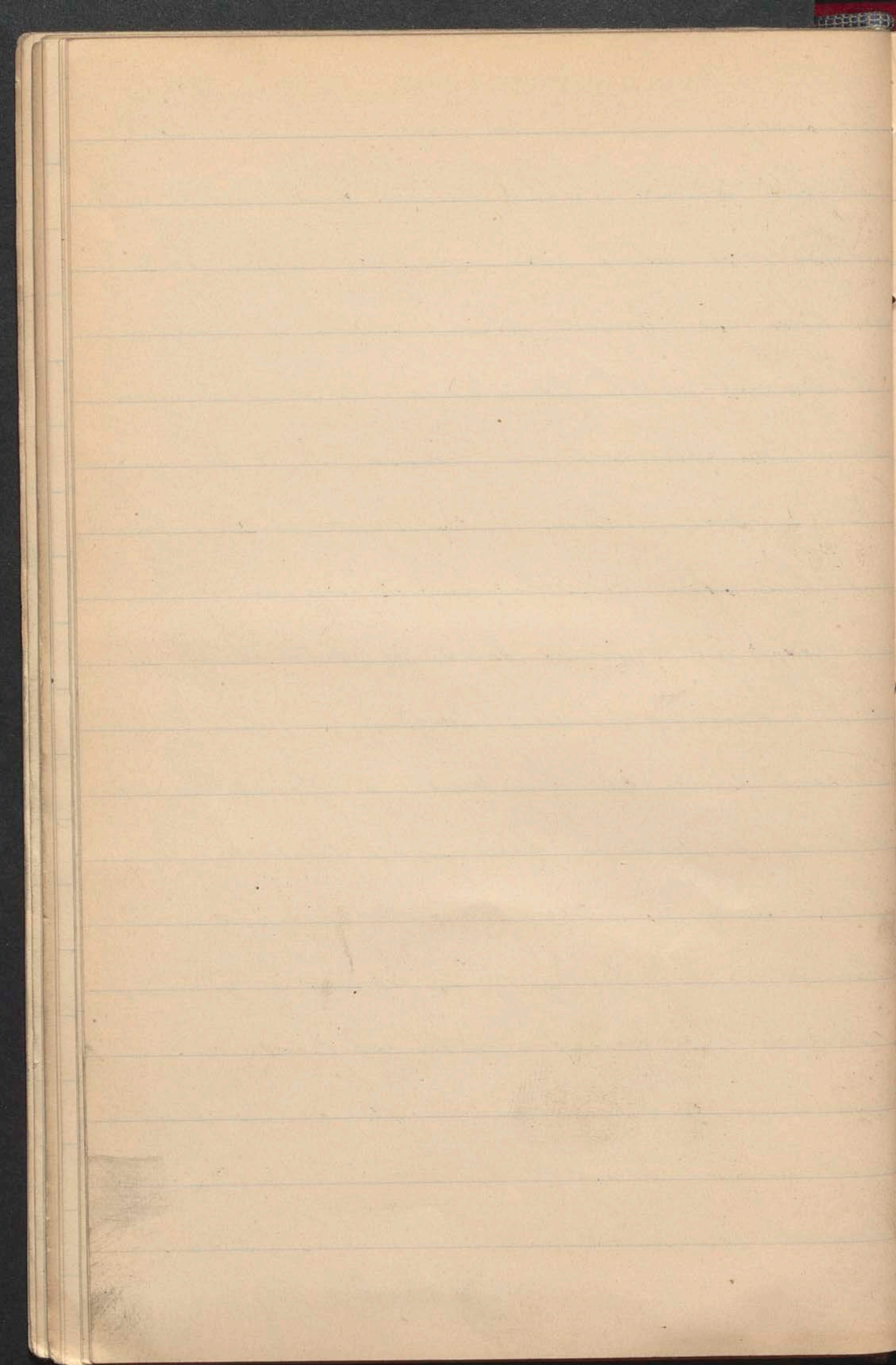
Zaręba rozdrażniony zawołał żonę. Okazało się po konfrontacyi - że to jej powtórzył Józio.

Zawołano Józia. Z początku upierał się, że to słyszał z ust Słucka - pod jego zimnem, badawczem spojrzeniem stracił rezon, począł jąkać i mylić - mięszać się i plątać - wreszcie okazało się, że przed matką

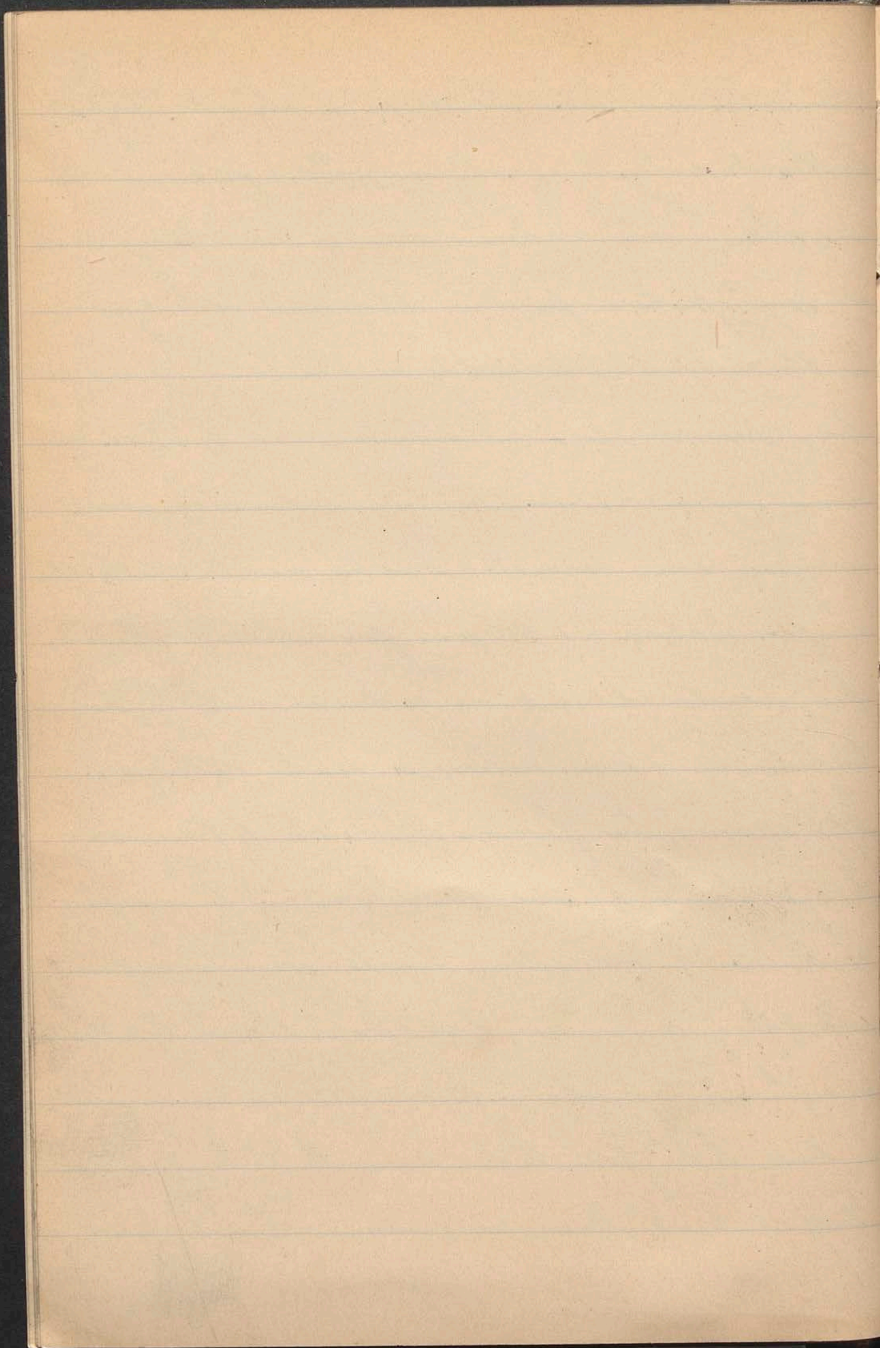


zmyślił. Zaręba oburzony, uczynił piekło w domu
dostało się i chłopcom i żonie - wstyd mu było okropnie.
Ojciec przeczekawszy burzę, rzekł:
— A teraz ja panu mam parę rzeczy do opowiedzenia
przy Józiu. Młodsze słuchać nie powinny.
Na chłopcu ścierpła skóra, gdy został sam - bez matki.
A ojciec spokojnie opowiadał.
— Józio jest w klasie czwartym z końca w dzienniku,
a najstarszym wiekiem. Ma szesnaście lat, i natural-
=nie ma siebie za dorosłego. Przyjacielem jego i
najmilszym kolegą jest niejaki Adamski, najgorzej
notowany w klasie. W zeszłym tygodniu Józio jakoby
zgubił zegarek, i opowiedział matce, że ukradziono
mu w klasie atlas. Teraz pozostawiam Józiowi, żeby
opowiedział prawdę.
— Jak Boga kocham - zgubiłem zegarek! zawołał Józio
— Kłamiesz! rzekł spokojnie ojciec. Chcesz zatem żebym
ja ojcu prawdę opowiedział, gdzieś był z Adamskim

tego wieczora.
Chłopak milczał, a Ojciec zwrócił się do Zaręby, i mówił:
— Pani jest stałe zdania, że ja chłopców zamęczam naukami, że powinni używać ruchu i rozrywek.
Dlatego też często pozwala im iść w odwiedziny do kolegów, na ślizgawkę, na gimnastykę, do krewnych.
Młodszy, bardzo łakomy i ociężały najchętniej bywa u ciotek, które go okarmiają słodyczami. Józio najczęściej pokryjomu bywa u Adamskiego.
Jak i czem się zabawiają dowodem, że zegarek i atlas sprzedali żydowi za trzy ruble, i spędzili ten wieczór w bardzo nie ciekawej bawaryi, na podwale.
Zaręba chwycił się za głowę, przerażony, a potem skoczył do osłupiałego Józia, porwał go za ucho.
— ~~Łotrze~~ Jak śmiałeś zrobić coś podobnego
Józio, widząc, że kłamstwem nie poradzi - uderzył w bek, rzucił się ojcu do nóg - jąkał wśród chlipania, że to Adamski go namówił, że on nie winien, że nigdy już



więcej tego nie będzie, trząsł się ze strachu kary.
Wysłuchał z bogobojną miną wyrzutów i gróźb ojca, obiecał
wszystko, co mu rozkazano - i wreszcie uwolniony - uciekł
do swego pokoju pozornie skruszony - w duszy rad
że się wykpił i wściekły na Słucha.
Teraz przyszła kolej na młodszego. Ten miał na su-
-mieniu jeszcze niewinniejsze rzeczy, łakomstwo. Ale
już parę razy sięgnął z biurka matki na słodycze
po parę złotych, i z kolegami prowadził ciągłe handle
piór, zeszytów, książek - na cukierki. Tłusty był,
limfatyczny, o cerze nalanej, do nauki nadzwyczaj
tępy i niechętny. Pomimo czternastu lat zaledwie
był w trzeciej klasie, z małą nadzieją promocji.
Wysłuchawszy wszystkiego Zarębę ogarnęła rozpacz.
— Co z nich będzie! mruknął. Tyle starań, tyle kosztu,
bezustanna opieka i kierunek. Toć nie my winni-
śmy teraz taki prąd, takie warunki! Co to za świat!
Słuch milczał. Twarz jego zimna, ostra, bez zarostu



o wystających policzkach i szczękach potężnie rozwiniętych robiła wrażenie jakiejś maski człowieczej.
Na chwilę błysnęły dziko oczy, i zgasły - jak iskra z pod popiołu.
Zaręba pożałował w duchu, że rozpoczął z nim tę niestosowną rozmowę. Czuć było, że ten proletaryusz - pracowity, zdolny, zdatny i silny do boju i z losem i z biedą - pewny dojścia do celu, zdobycia sobie miejsca i stanowiska - patrzy z politowaniem na tych - co wszystko mają gotowe, i staczają się w dół. Ostatecznym rezultatem rozmowy było, że postanowiono ograniczyć Józiowi urlopy, i przyjąć służącego - któryby go odprowadzał, i zdawał sprawę jak i z kim się zabawia. Pani Teresa zbolała, dostała migreny - a że to był dzień tańców, dzieci poszły pod eskortą Jankowskiej, a Zaręba został z wujem Bolkiem, przed którym roztrząsnął wszystkie swoje troski, i co najoryginalniejsze - pretensye do Ptucha.

— To jego wina. Chłopcy go nie cierpią – a tylko się boją. On nie umie ich zjednać, zdobyć zaufanie – nie stara się pozyskać ich serca. Stanowczo od wakacyj zmienię korepetytora.

— Wiesz co? Zmień raczej chłopców, bo tym twoim nikt nie poradzi.

— No już daruj – ale gorsi od innych nie są!

— Nie – takich jest mnóstwo – w tej tak zwanej uprzywilejowanej klasie, która uczy się tylko, by uniknąć wojska, która jest chowana w zbytku i wygodach, i która rodzi się po to – by dziedziczyć. Przy wrodzonej ludzkości żądzy użycia i próżniactwa poco tacy mają pracować i myśleć, kiedy wszystko dostaną gotowe.

— Naturalnie wedle ciebie tylko takie Stuchy mają cnoty! Et – coraz dziksze masz poglądy! Ale też Kato – szpiegujący Józia – ma też dziwne znajomości po bawaryach z Podwala i wśród Żydów faterów.

Niewiadomo gdzie on spędza wieczory – ten mentor!

— Ja też tego jestem ciekawy – i nawet postanowiłem dziś go śledzić!

Jakoż, gdy Dłuch, wyszedł ze swej stancyi, pan Bolesław się pożegnał, i dogonił studenta w bramie

— Pan w którą stronę? spytał.

— Ja dość daleko, na Kruczą.

— Na wieczorek? Co? Może do panienek?

— Do kolegi!

— No to pójdziemy razem do rogu. Ehe, jaki szpetny czas!

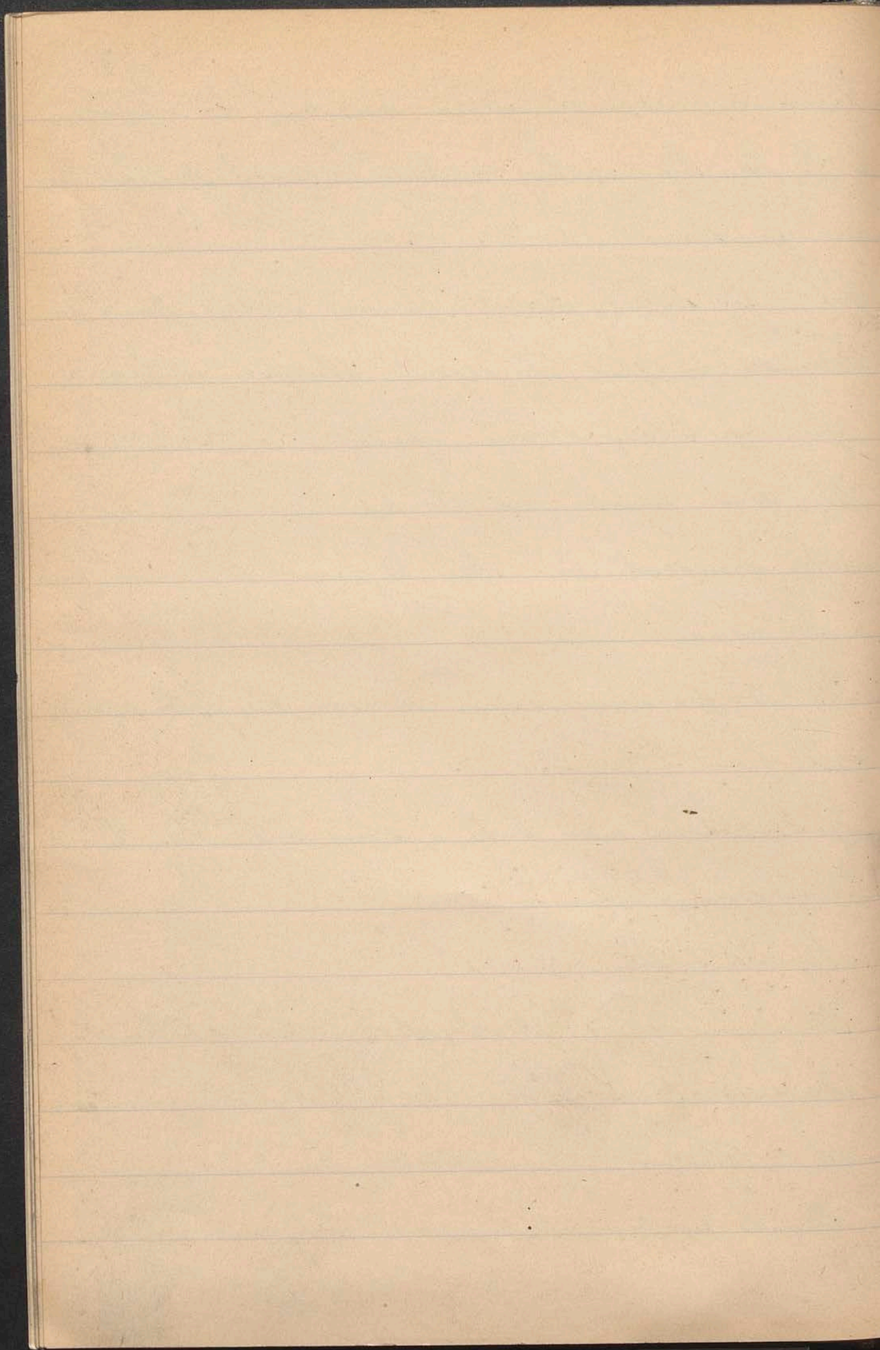
— Jak się ma całe buty, i obiad w brzuchu, to nie tak bardzo przykro!

— Bywało panu rozmaicie!

— Eh – nie bardzo. Co krok spotykałem – stokroć nędzniejszych. Niema nic lepszego jak porównanie z gorszem.

— A z lepszem? Nie zazdrości pan?

— Nie, to fałszywe. Lepiej – jest ~~tak~~ mało komu!



Zdaje się - pozornie - ale tylko pozornie.

Doszli do rogu, student zwolnił, i pożegnał się - widocznie rad się pozbyć towarzystwa. Gdy się nieco oddalił pan Bolesław poszedł za nim z daleka. Student zamiast na Kruczą - skręcił w Aleje Jerozolimskie - potem na Nowy Świat - i wszedł do jednej z kamie=nic, zamieniwszy, z siedzącym w bramie stróżem kiw=nięcie przyjazne głową.

Po chwili pan Bolesław zagadnął cerbera.

— Czy pan student tu mieszka?

— Nie, tu niema takiego lokatora.

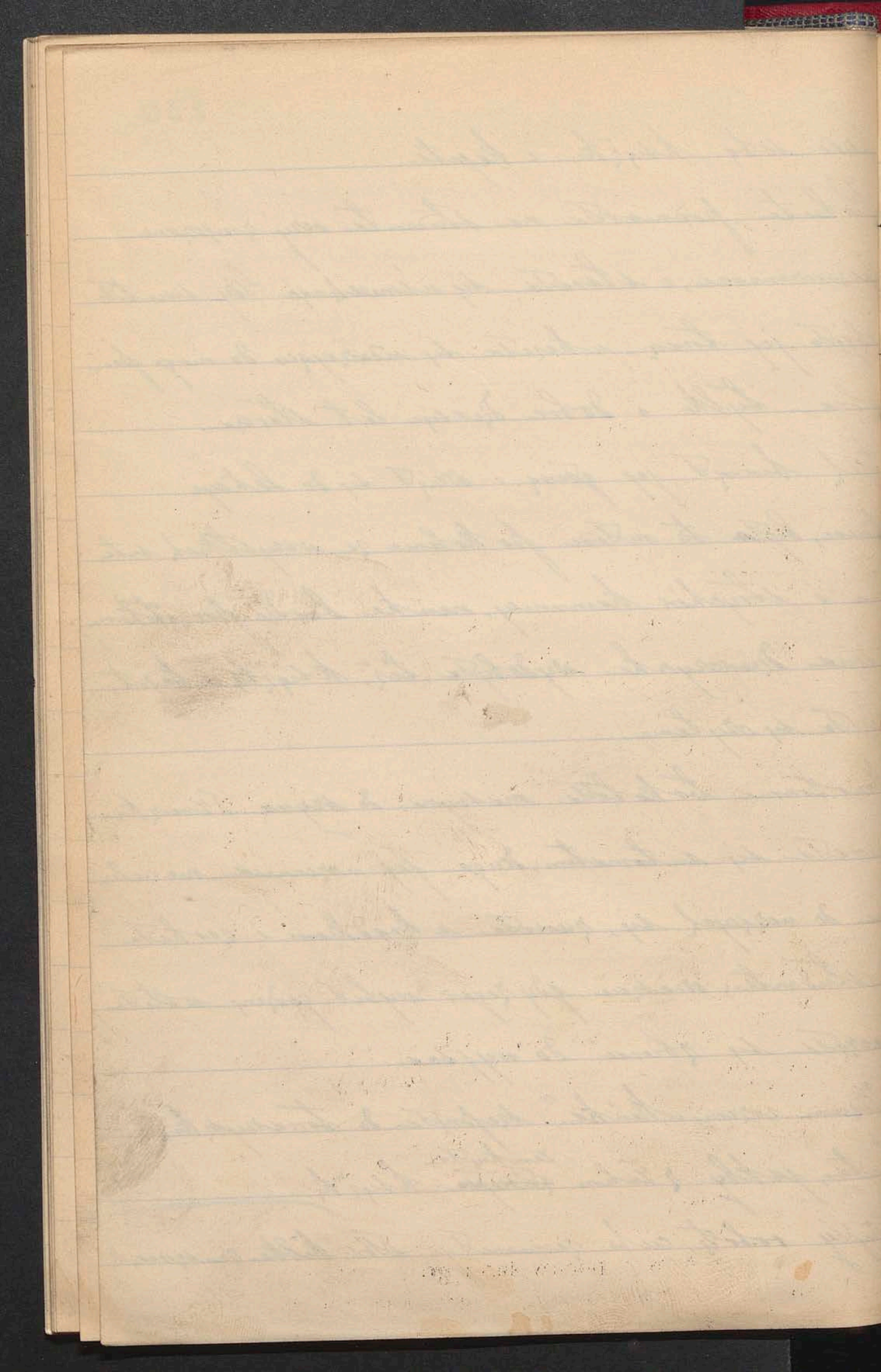
— Ja pytam o tego studenta, co tu wszedł przed chwilą.

— Nie widziałem nijakiego studenta. Tu żadne stu=denty nie mieszkają. Panu coś się uwidziało. Tu jest zakład stolarski - i szwaczka, i akuszerka i biuro pana Vogla, i takie państwo rozmaite, ale studenty to tu wcale nie bywają. Nato jezdem stróż, żebym wiedział.

Pan Bolesław dał mu srebrniaka, ale stróż chciwie datek skwapliwie przyjął, obserwował przy swojem narzędziu powodzenia się na świadectwo „rządcego."–
Pan Bolesław wszedł w bramę – przejrzał listę lokatorów, która go w niczem nie objaśniła, i odszedł zanotowawszy tylko w pamięci numer domu.
– Szpicel, psiakrew! zamruczał za nim stróż.
Dulek minął jedno podwórze, i wszedł na słabooświetlone i brudne schody bocznej oficyny. Nie mieszkali tu kapitaliści, nie kwitły tu kwiaty.
Podwórko brukowane kamieniami ostremi, ogrodzone murami szaremi od węglowych dymów i kurzu – odeń śmietnik i pompa – na schodach panował zaduch jedzenia lichego, pleśni i kopciu lampek – za drzwiami mieszkała bieda, praca, ciemnota, dzikość lub apatya, choroba lub występek.
Na drugiem piętrze zapukał Dulek do drzwi, na których był napis: Anna Latecka, szwaczka.

Otworzyła mu dziewczynka, dwunastoletnia, szczupła i wysmukła, blada, o wielkich płomiennych czarnych oczach, odziana ubogo, ale schludnie - w ciemny barchan, z bujnym warkoczem kruczym na plecach.
Otworzyła, dygnęła - i rzekła, uśmiechając się białemi, śnieżnemi zębami.
- Już wszyscy są. Myśleliśmy, że pan nie przyjdzie.
Nie nie odpart - rozebrał się jak w domu, kładąc palto na jakiemś łóżku, ubogo zasłanem, i wszedł do drugiego pokoju, mówiąc poufale:
- Dobry wieczór, orlęta!
- Dobry wieczór! odpowiedział cieniutki chór dziecinnych głosów.
Siedziało ich dziesięcioro - około długiego stołu - na którego jednym końcu, kobieta starsza - o twarzy sczorowanej i żółtej szyła coś na maszynie, a obok niej siedziało, z robotą w ręku dwie starsze dziewczynki. Reszta dzieci: chłopcy i dziewczęta miały

przed sobą książki i kajety.
Kobieta podniosła na studenta oczy zmęczone — zaczerwienione, i starała się uśmiechnąć. Gdy światło objęło jej twarz — wydała się uderzająco do niego podobna — tylko o dobre dziesięć lat starsza.
Student kiwnął jej głową — i wziął się do lekcji.
Dzieci, była to młode pokolenie ze wszystkich suteren i strychów kamienicy, nauka bardzo początkowa.
Czarna dziewczynka wydobyła też książkę i kajet, zaczęło się czytanie.
Monotonnie terkotała maszyna do szycia. Szwaczka zdawała się automatem, druga jej uczennica — nie należąca do uczących się, zerkała ukradkiem i zerkała na studenta, wreszcie, gdy zegar wybił godzinę — wstała — poczęła się zbierać do wyjścia.
— Idziem razem, Mańka? szepnęła do towarzyszki.
Tamta, jakby z żalem zamknęła ~~otworzona~~ książkę.
Trzy ~~ty~~ soboty, cicho zamieniły stów kilka ze szwaczką



i poszły się ubierać do wyjścia. Dzieci pisały teraz a Stach, chodząc za ich plecami, dyktował, i poprawiał.

Dziewczyny wybiegły na schody, i rozwiązały się ich języki.

— Chce ci się to z dziećmi dukać to czytanie! Mnie od tego sen morzy. Żebyż jeszcze ten student był co ludzkiego! Eee - cała mi ta buda obrzydła. Niedługo kantem wszystko puszczę. Trafia mi się co lepszego!

— A co? ciekawie spytała Mańka

— Eee - co ci mam gadać. Zaraz wszystko ojcu wypaplesz.

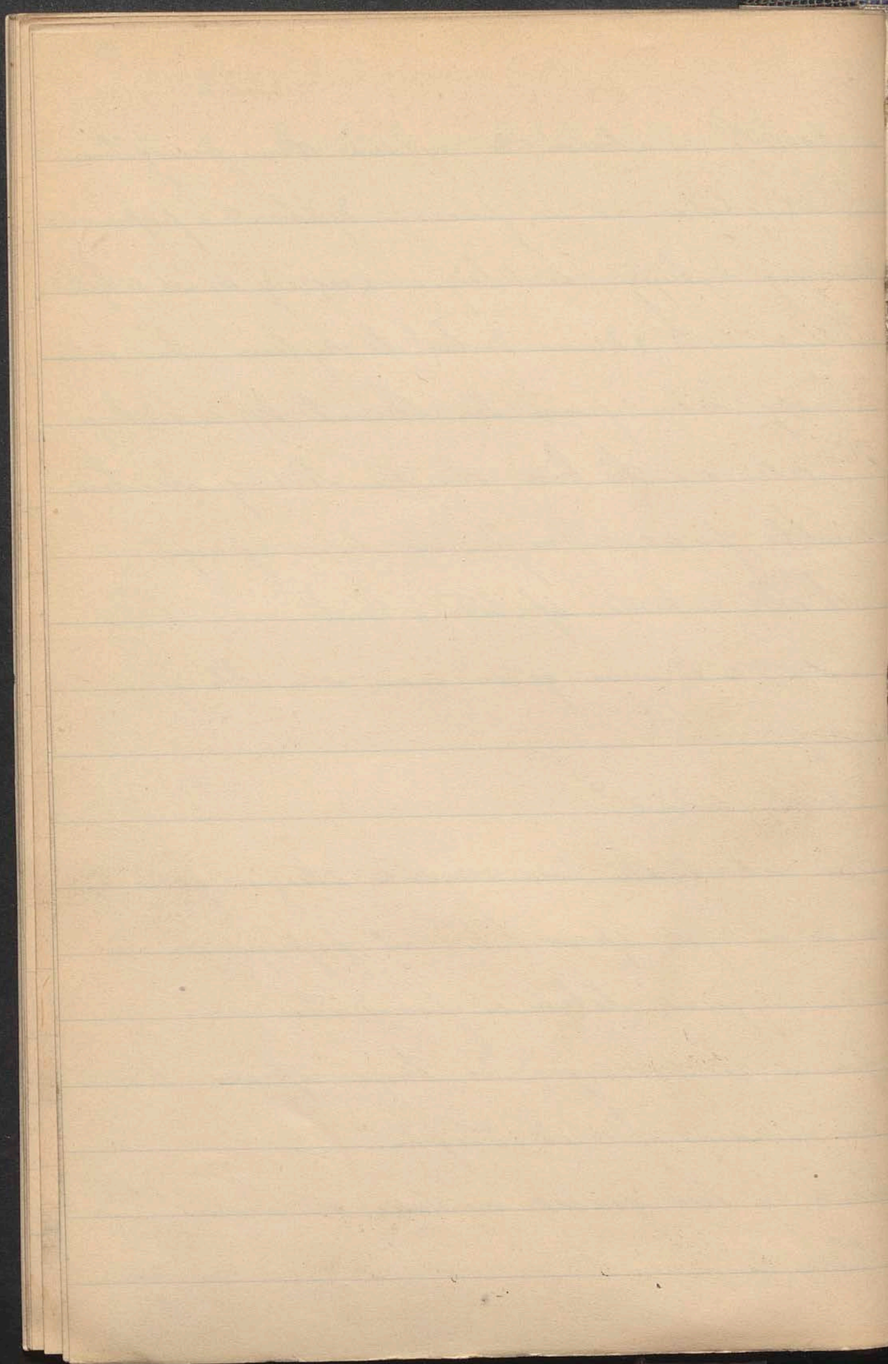
— A to sekret?

— Nie sekret, ale poco wszystko starym gadać. Co im do naszych spraw. Żebyś mi poprzysięgła, że się nie wygadasz - tobym ci powiedziała.

— Pewnie że przysięgnę. Toć twoja sprawa, to ojciec i nie ciekawy. Powiedz, Stefka!

— Znasz ty tego grubego mydlarza na Siennej!

— Jużci że znam.



— No, to on mi obiecał służbę w magazynie. Dają piętnaście rubli na miesiąc i wikt.

— O Jezu! To raj. A w jakim magazynie?

— Gorsetów — na Chmielnej.

— Aj, Stefka — to możebym i ja z tobą tam się dostać mogła. Już umiem szyć, a pani daje tylko pięć rubli.

— E, ty jeszcze za głupia — a zresztą czy-ci to ojciec puści.

— Dlaczego?

— Oh tak! zaśmiała się Stefka. Ażeby ciebie chował w pudełku. A z tego co ci przyjdzie! Niczego się nie dobijesz! Ja ta nie myślę głupią być i tak głodem przymierać! Zapowiedziałam matce, że mi dość kurateli — od niedzieli rzucam to szycie!

— Toć i gorsety szyć trzeba!

— Co ty rozumiesz. Poproś ojca żeby ci nos utarł.

— Nie, to nie! obraziła się Mańka, i umilkła.

Były już na Siennej. Na rogu Marszałkowskiej — jakiś

pan już podbity, zajrzał im w oczy – i zaczepił.
Mańka poczęła uciekać, Stefka odpowiedziała chichotem i konceptem. Jegomość poszedł za nimi
– Czego się zmykesz? Źle ci, czy co? fuknęła Stefka oglądając się
– Mnie zaraz strach chwyta! szepnęła Mańka
– Czego – taki stary, to pęk nic, da na cukierki!
– Zaco ma dać! Toć my nie będziemy prosić!
– Oho, jeszcze on będzie prosić. Ot poczekaj chwilę ja się z nim rozmówię. Zobaczysz, że da!
Machinalnie Mańka stanęła. Stefka zawróciła o parę kroków – zaczęli rozmawiać ze starym, potem się zbliżyli, i Mańka posłyszała koniec rozmowy.
– No, dobrze – poczekam w cukierni – tylko nie długo.
– Małą chwilę, tylko matce tego rubla dam.
– Masz rubla, i spiesz się! Tu mieszkasz?
– Trochę dalej. Niech pan idzie do cukierni!
Pobiegły. Stefka chichotała z cicha.

— Nie mówiłam ci. Masz! Masz dwa złote.

— Nie, nie chcę! Zaco? A jak nie pójdziesz teraz do niego – to ci do cyrkułu zaprowadzi.

— Ale – niech mnie znajdzie! Będę ja mu za rubla do cukierni przychodzić! Toci piernik!

— Jak ty się niczego nie boisz, rzekła Mańka, jakby z zazdrością.

— Oho, a co mi kto zrobi!

— Matce to rubla oddasz?

— Jeszcze czego! A jej co do moich pieniędzy. A ty żebyś mi nie wypaplała przed ojcem – bo Antek ci zapłaci!

Mańka wzdrygnęła się. Brata Stefki, lokaja, bała się jak ognia. Gdy przychodził czasem do swej rodzi=cielki, praczki, ich sąsiadki, miał szczególną przyjem=ność straszenia dziewczyniny.

Byty już u celu. Weszły w bramę, i w podwórku zagłębiły się na ciemne schody wiodące do suteren.

praczka zajmowała izbę od frontu, ojciec Mańki mieszkał od podwórza w norze, przerobionej z piwnicy. Rano wychodzili oboje - on był posłańcem, ona od półroku uczyła się szycia u pani Łęteckiej. Przedtem chowała się na podwórku.
Mańka weszła ze Józefką do jej matki, po klucz od swego „lokalu." Trafiły na małżeńską scenę. Mąż praczki - i rodzic czworga dzieci, wyrobnik z fachu a pijak i włóczęga z praktyki, przyszedł właśnie po pięciotygodniowej nieobecności - rozmówić się z żoną, t.j. dostać od niej pieniędzy.
Odmowy oczekiwał zapewne. Znać było w izbie, że szukał skarbu skrupulatnie - kuferek był rozbity graty porozrzucane, balja z wodą wylana, dwoje małych dzieci, schowało się pod stół, a małżonek swą prawną sługę i niewolnicę, kopał nogami i bił gdzie dosięgnął.
Mańka, słysząc krzyki i wymysły, chwyciła ze

ściany swój klucz, i umknęła. Józefka, przywykła
do podobnych widowisk, rzuciła się jak pantera na
ojca. Krzyki i wymysły się zdwoiły.
Mańka otworzyła swe schronienie, po omacku znalazła
zapałki, zapaliła lampkę.
Zimno było i wilgotno w tej norze. Lampka oświetliła
ściany zielonawe od pleśni, brudny sklepiony sufit,
okienko piwniczne na podwórko, przez które nigdy
słońce nie dochodziło. Dobytek stanowiło łóżeczko Mańki
i tapczan ojca - kuferek - stolik - zydel, parę desek
na ścianie jako półki na kuchenne naczynie, i kilka
obrazków na ścianach. W kącie była kuchenka.
Dziewczyna rozpaliła ogień, i wzięła się do gotowania
strawy. Nie było to bardzo skomplikowane - trochę
kartofli - i herbata. Wiedziała że ojciec jeśli dobrze
zarobi przyniesie okrasy do kartofli i mleka - jeśli
dzień był zły zjedzą kartofli z solą, popiją czystą
herbatą, i pójdą spać. Tymczasem kuchenka ogrzeje

izbę. Węgiel rozgorzał, dziewczynka wtuliła się w ten ciepły kąt przy piecyku, i nasłuchując odgłosów życia z mieszkań sąsiadów, rada była że jej nikt nie bije, nie wymyśla, nie poniewiera. Nie czuła nędzy, ni troski. Jak zapamiętała mieszkała tak zawsze, i wszyscy z któremi się spotykała i znała nie mieli lepiej. Czasami zdawało się jej że kiedyś w najgłębszych wspomnieniach dzieciństwa widziała dużo drzew zielonych i dużo miejsca ale ojciec mó=wił, że jej się to śniło chyba. Urodziła się w takiej samej izdebce, matka zaraz umarła i oni we dwoje z ojcem byli zawsze razem. On ją nauczył pisania i czytać, on jej sprawiał sukienki i karmił. Gdy zaczęła myśleć i kombinować, zrozumiała, że on był lepszy od całego świata, który znała. Nigdy nie łajał, nie bił, nie bywał pijany, z nikim się nie kłó=cił. Głodna nigdy nie była dobry był dla niej tylko go się zawsze bała, bo ani się zaśmiał, ani

zażartował. i nikt u niej nie bywał - chyba za
interesem stróż, lub sąsiadka. A Mańka tak
chętnie się śmiała, tak lubiła śpiewać, takby rada
zabawiła się z dziewczętami. Ale ojciec nie pozwalał -
o Stefkę czasem ją ostro wygderał - zaledwie tolerował
znajomość. Więc się czasem nudziło dziewczynince, i ma-
-rzyło się jej zajęcie w kompanii, a przytem większy
zarobek. Gdy tak dumała, śniło się jej, że gdy dorośnie
będzie dostawać miesięcznie nie pięć - ale trzydzieści
rubli - wtedy się ubierze ładnie, i codzień będą jeść mięso.
i będą mieli pokój na piętrze - i okno takie, że na
niem można będzie mieć kwiatki w wazonikach - i
ojciec będzie codzień mieć tytoń - i pozwoli jej przyj-
-mować koleżanki; albo czasem wieczorem pójść posłu-
-chać muzyki u stolarzów w oficynie.

Stefka była o dwa lata wprawdzie starsza - ale już
od dwóch lat pomagała matce, a ją ojciec wciąż
trzymał jak dziecko. Ubierała się zawsze porządnie

mu to wszystko, ale jakoś zawsze brakło jej śmiałości:
Woda zakipiała tymczasem, po izbie rozszedł się zapach
kartofli. Mańka poczuła głód, zaczęła pilniej nasłu-
-chiwać przyjścia ojca. U praczki się uciszyło — gdzieś
z podwórka od stolarzów dobiegły dźwięki harmonii,
i jakiś chrypliwy zegar wybił dziewiątą.
Wreszcie rozległy się kroki, i do izdebki wszedł Jędras.
Mało się zmienił przez te dziesięć lat, trochę osiwiał
i zaostrzyły się rysy, ale i złagodniały zarazem, a
gdy spojrzał na dziewczynę to się zlekka uśmiechnął.
— Głodnaś, niebożę? spytał dobrotliwie, rozbierając
się ze swojej urzędowej kapoty, i dobywając z kieszeni
przyniesione zapasy. Mańka zaczęła je oglądać.
— Oho, dobry był dzień, tatku! ucieszyła się.
— Dobry — nóżyska też bolą, i brzuch pusty.
Usiadł, i począł obliczać dzienny zarobek, ona, gospo
-darując świergotała.
— A tu się znowu tak bili i krzyczeli u Jeleniewskich.

Myśmy ze Stefką tam wpadły na najgorsze!

— Nie wiele lepsza i Stefka – mruknął. A ty co porabiałaś.

— Ano, jak ojciec kazał byłam u księdza - wedle przygotowania do spowiedzi.

— No i co?

— Kazał, żeby ojciec sam przyszedł. Pytał czy my tutejsi! Poco mu to?

Gedras ramionami ruszył.

— A potem poszłam do pani Gałeckiej - szyłam - potem mnie posłała z robotą, do jakiejś pani na Wspólną - dali mi złotówkę - a potem biegałam po nici - i potem przyszedł jak codzień ten student do dzieci.

— Uczyłaś się razem?

— Uczyłam, ale, że Stefka już odchodziła - więc i ja musiałam iść z nią. Dzieci zostały jeszcze.

Gedras się zmarszczył.

— A tobie co za mus trzymać się Stefki. Nauki nie opuszczaj.

— Kiedy, proszę tatki, boję się sama wieczorem iść. Zawczorej sama wracałam, to jakaś stara mi drogę zastąpiła, i koniecznie ciągnęła, żebym z nią szła. Ledwie uciekłam.

— Czemuś mi nie opowiedziała?

— Nie wiem, tak się wystraszyłam! bąknęła.

Popatrzał na nią zmarszczony.

— Od jutra, będę ja po ciebie wstępował. A ze Stefką się nie włócz – to nie kompanija.

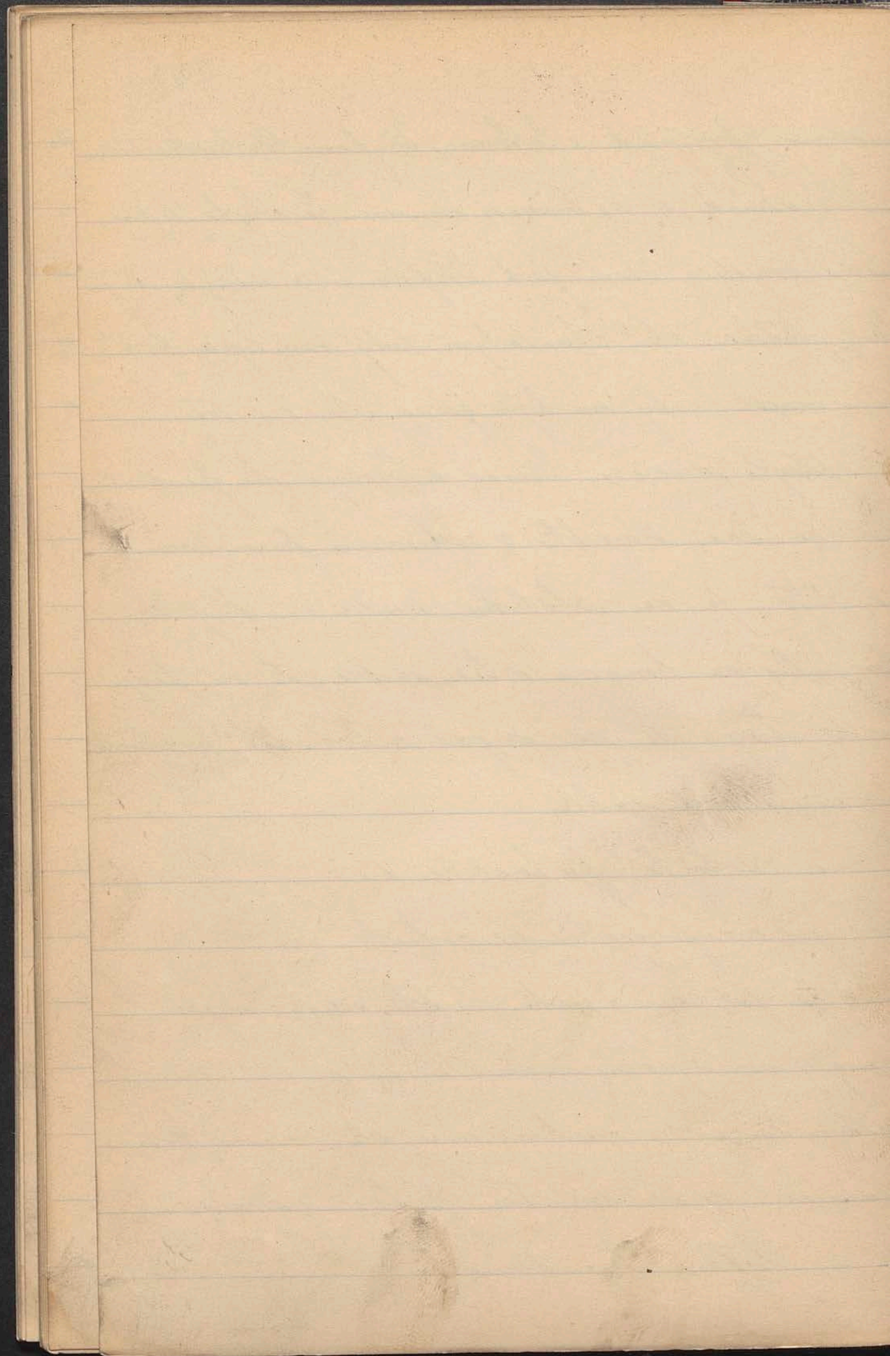
— Proszę tatki – ja – mnie by się chciało – ja myślę.

— Co bąkasz? Coby ci się chciało?

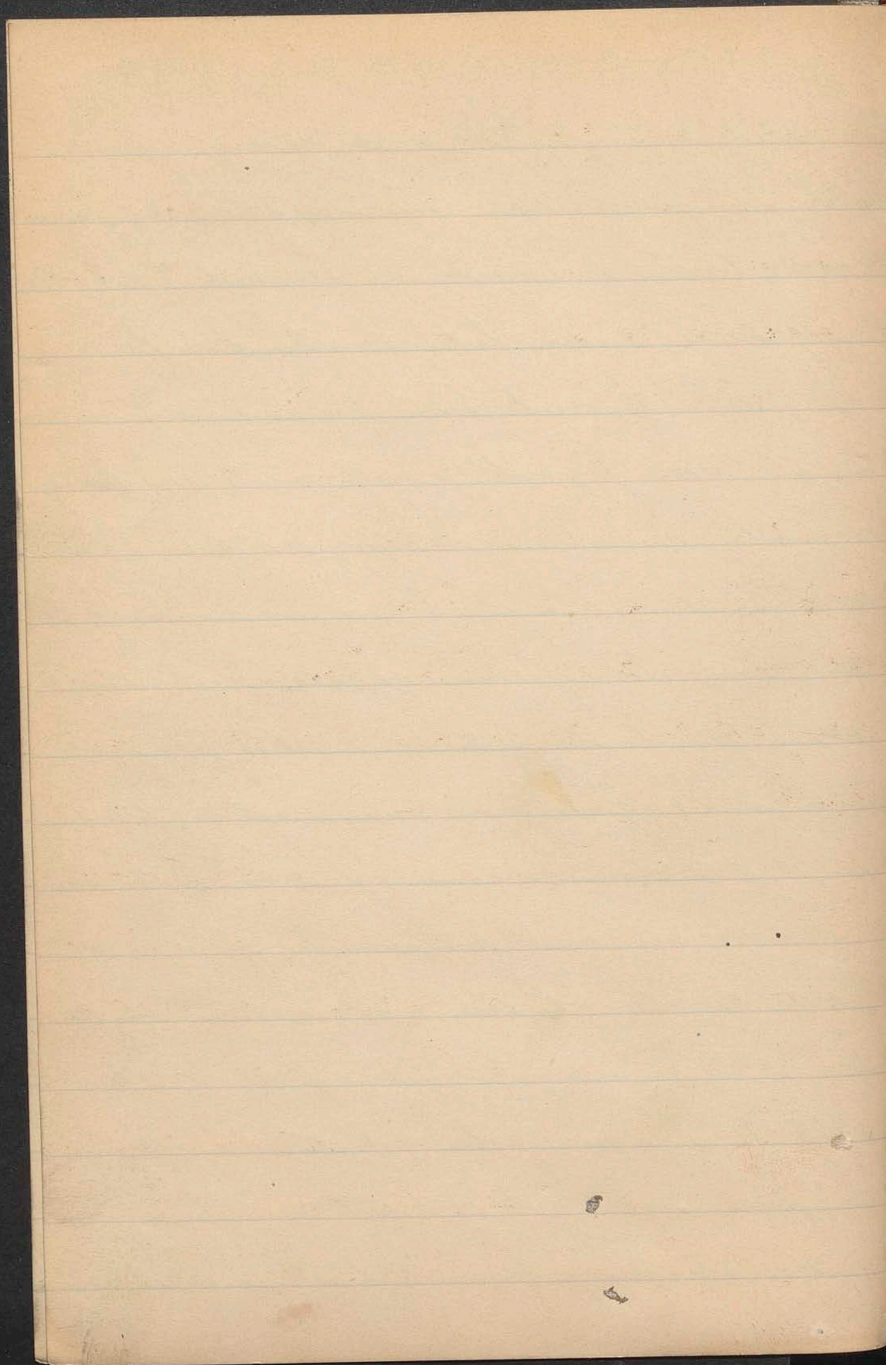
— Więcej zarabiać – i Stefka powiada, że u pani Cate. kiej, to ja niczego się nie dobiję.

— Co ci się marzy. Dzieciak taki, zarabiasz pięć rubli i obiad. Jeszcze ci mało! Ćwi – głodnaś, nie odziana, co ci brak! A ja ci mówię – Stefki nie słuchaj – ona

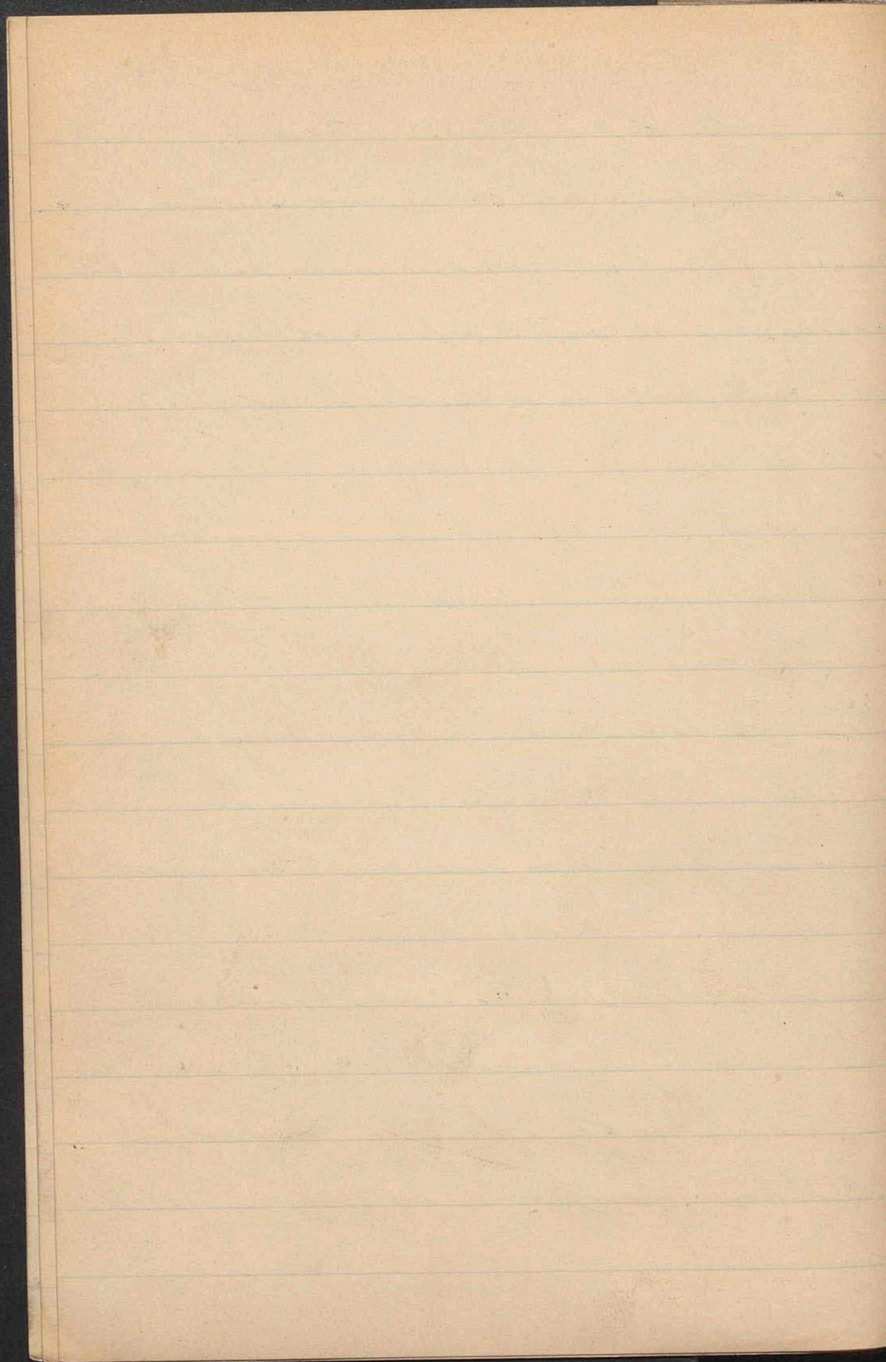
dziewczyna próżniak i latawiec. U pani Gałeckiej będziesz
aż podrośniesz, i nabierzesz rozumu. Ja chyba lepiej
o tobie myślę i dbam jak Stefka. Nie wierzysz mi już.
— Wierzę, tatku, ale chciałabym — żeby nam lepiej było.
— Ino myśl, żeby nie było gorzej. No — daj jeść."
Gdy spożyli wieczerzę, Tedras otworzył kuferek —
dobył ze dna szmatkę z zebranemi pieniędzmi —
i rozłożył je na stoliku, dzieląc na kupki:
— To jutro na komorne cztery ruble — to na trzewiki trzy — to na węgiel — rubel. Ot zostanie
nam jeszcze dwa ruble.
— I moja złotówka! pochwaliła się
— Toś jej nie przejadła na cukierki!
— Oho — ja już nie dziecko. Tatko wciąż myśli, że
ja nigdy nie wyrosnę. Zaśmiała się
— Radbym cię zawsze dzieckiem mieć — ale rośniesz, rośniesz —
i dorośniesz! rzekł smutno, patrząc na nią.
— To się tatko z tego smuci!



Nie odpowiedział - patrzał wciąż na nią.
Rosła, ale jeszcze była jego. Nie długo już pewnie.
W oczach rosła, i rozwijała się nad wiek. Z kąd w takiej
piwnicy bujają czasem takie świetne kwiaty.
Za parę lat to dziecko, będzie śliczną dziewczyną - i
wtedy co? Gdzieś przeszedł w myśli młodź swej klasy -
fabrykantów, rzemieślników, lokajów, dorożkarzy - tych
wszystkich dla których hodzeją się piwniczne,
uczciwe dziewczęta. Porwał go żal, wstręt, strach
tej chwili, gdy Mańka pokocha, i groza żeby ją chociaż
uchować do tej chwili. Co raz mniej mógł jej pilnować.
musiała pracować - zarabiać - być sobie zostawioną
całe dnie - on nie miał możności jej bronić, ni strzec.
- Jak że to było z tą starą, co cię zaczepiła? spytał
nagle.
- A tak. Szła za mną potem wyprzedziła, zaczęła mi
się przyglądać, i oglądać. Myślę - zna to mnie, czy co?
A wreszcie stanęła w bramie i kiwa na mnie; więc



pytam – co chce. A ona opowiada: Chciałabyś pędzrabnej
[illegible] chustki? i pokazuje taką śliczną, czerwoną – z pod chustki.
Powiadam: ktoby nie chciał – ale niemam na takie stroje.
Powiada: chodź ze mną do kupca – jak cię zobaczy – to
tanio ustąpi, chodź, tu o trzy kroki na pobożnej.
I wzięła mnie za rękę, i ciągnie. A tedy mnie taki
strach zdjął, żem się szarpnęła, i w nogi.
– To cię Bóg ustrzegł od śmierci!
– To ona mnie zabić chciała? Zaco?
– Gorzej jak zabić – zgubić na ciele i duszy na całe
życie. Nie wiesz to, że głupie dziewczęta wciągają w za-
sadzkę na odpusty, albo gdzieś wywożą na niewolę
i zatracenie?
Dziewczynka się wzdrygnęła zgrozą. Chowana na pod-
wórku znała życie, widziała i słyszała wszelkie
jego straszne fakty, i brudy, i przepaście.
Instynktownie przytuliła się do ojca, ogarnął
ją ramieniem.

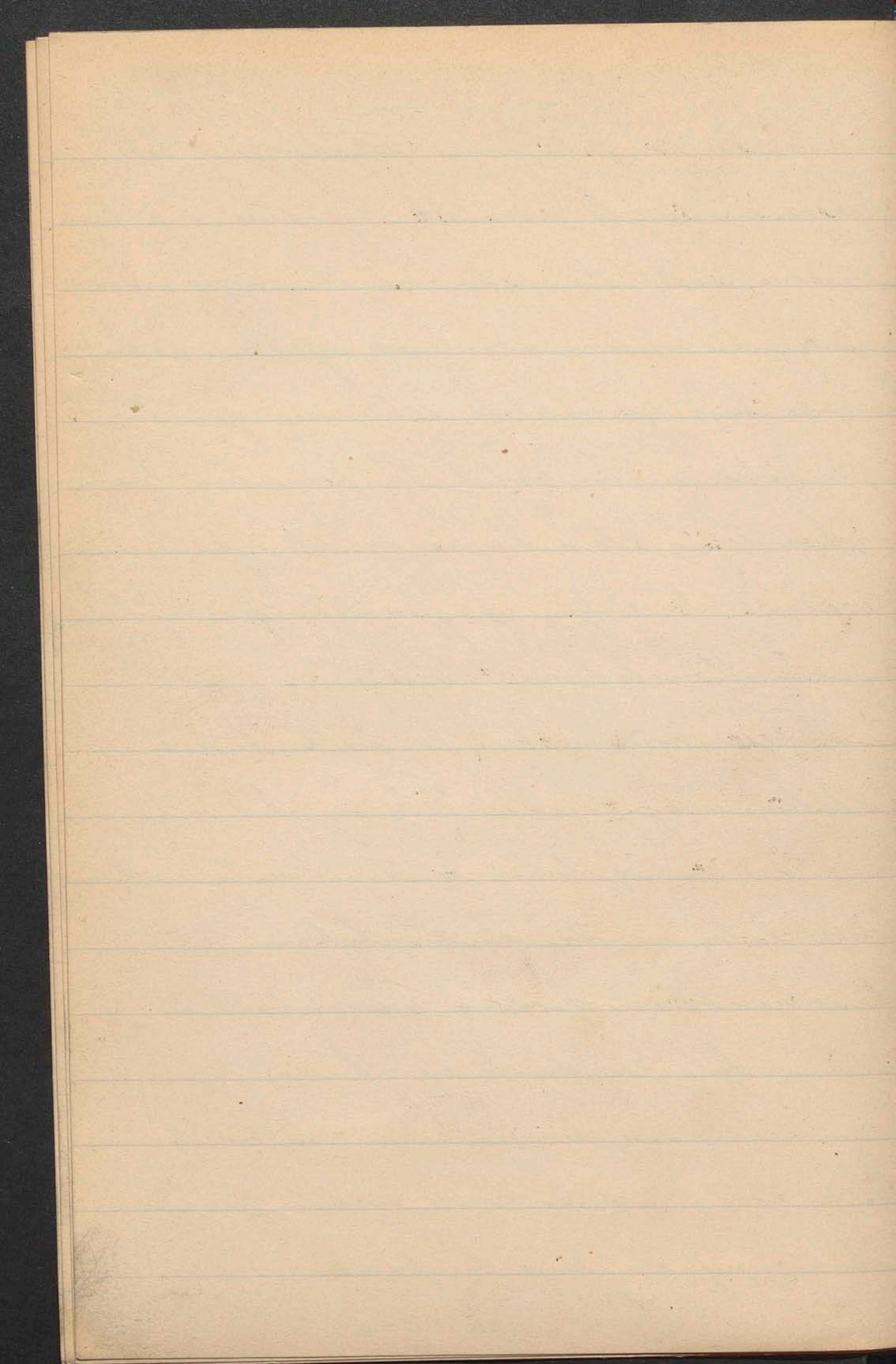


– Ty się, Mańka, pilnuj – nie słuchaj, co ci będą prawić o urodzie – to wszystko łgarstwa i pokusy. Chowaj swą urodę dla siebie – nie dla czyjejś swawoli i zabawy. Rośniesz i dorośniesz rychło – i zakochasz się – i za mąż zechcesz. To sobie wciąż pamiętaj – że kto ciebie za żonę zechce, ten będzie twe pracowite ręce chwalić – a kto ciebie na swawolę i poniewierkę będzie chciał – ten ci będzie przypochlebiać gładkiej twarzy. Nie daj ci Boże takiemu uwierzyć."

– Ja też za mąż nie chcę – ja tylko, tatusiu, chciałabym więcej zarabiać. Żeby my choć mieli stancyę nad ziemią – tobym miała kwiaty w oknie i żebym tatce mogła kupić tytoniu.

– A sobie bluzkę czerwoną? uśmiechnął się. O stancyi to i ja myślę – ale strasznie ryzykować. Dziesięć rubli zaraz komorne, a nuż zarobek się urwie.

– Widzicie, tatku, że mnie trzeba rychło dorosnąć i zarabiać więcej. We dwoje to poradzimy.



– pewnie – ale jabym wolał jednakże, by ś ty nigdy nie dorosła! rzekł posępnie. No, tymczasem idź spać, dziecko – ja pieca dopilnuję. – Kładź się póki ciepło.

Dziewczynka posłusznie, prędko sprzątnęła resztki wieczerzy, zmówiła pacierz – i wsunęła się pod kołdrę. On zgasił lampkę, i pozostał, czekając aż węgiel przygaśnie. Trochę blasku z podwórka wpadało przez okienko – trochę czerwieniało jeszcze pod blachą. Jędras zgarbiony, nieruchomy – dumał. – – –

Gdy dzieci się rozeszły – Łukasz usiadł obok szyjącej kobiety, i chwilę długą milczeli.

– Nie chcesz, Antek, herbaty? spytała wreszcie.

– Nie. Trzeba wracać do budy. Niedługo już tam zabawię – myślę!

– Nie może być! Zastanów się – czy znajdziesz co lepszego! Miej cierpliwość! Już tylko rok.

– Ja cierpliwość mam, ale oni mnie wydalą!

– Czego?

– Bo mnie nie cierpią. Rodzice, dzieci – wszyscy.
Czują – że ja – inny człowiek – radzi się pozbyć.

– Dawnoś się z czem wysuwał?

– Nie, wiesz jak umiem milczeć i cierpieć. Co ja
tam cierpię, patrząc, słuchając. Toć rośnie młode poko-
lenie – i jakie! Toć całe zwane towarzystwo i intelli-
gencya – toć naród – to przyszłość". Oj, Hanka – co
ja się namyślę!

– Antek – już tylko rok!

– Gdzie zaś! Rok do ostatecznych egzaminów, a potem
wojsko, a potem praktyka. Oj – do chleba – do swobody
słowa i myśli – jeszcze daleko – bardzo daleko. A ty
jak? – masz na komorne?

– Mam – o mnie się nie troskaj. Jakeś mnie z tamtej
otchłani wyratował – to już doczekam – żebyśmy razem
byli. Kto tamto przebył – temu już nic nie straszne.

– Poco przypominać!

— Przypominać! Myślisz - że i godzina minie bez wspomnienia. O tobie mówmy. Jakbyś posadę stracił - to co myślisz robić?

— A cóż! Do kuchenki twojej graty zniosę - może kore-=petycyi trochę dostanę.

— Ach, Antek - u mnie ci nie wypada być! Jak się rozniesie, że masz taką siostrę - to nigdzie lekcyi nie dostaniesz.

— To będę bez lekcyi! odparł ze spokojną zaciętością Kobieta przestała szyć, ukryła twarz w ręce.

— Hanka, nie desperuj. Pamiętasz - jakeś się wyzwo-=liła z tego piekła, jakeśmy szczęśliwi jechali z tej Rygi przeklętej. Jakeśmy się zebrali na ten jeden pokoik, twój własny - a potem na maszynę - jak pierwsza się trafiła robota, i zarobek, a te dzieci jak tu się pierwszy raz zebrały. Cośmy pociechy i otuchy zaznali przez te dwa lata. -

— To twoja wszystko praca i zasługa - a moje co!

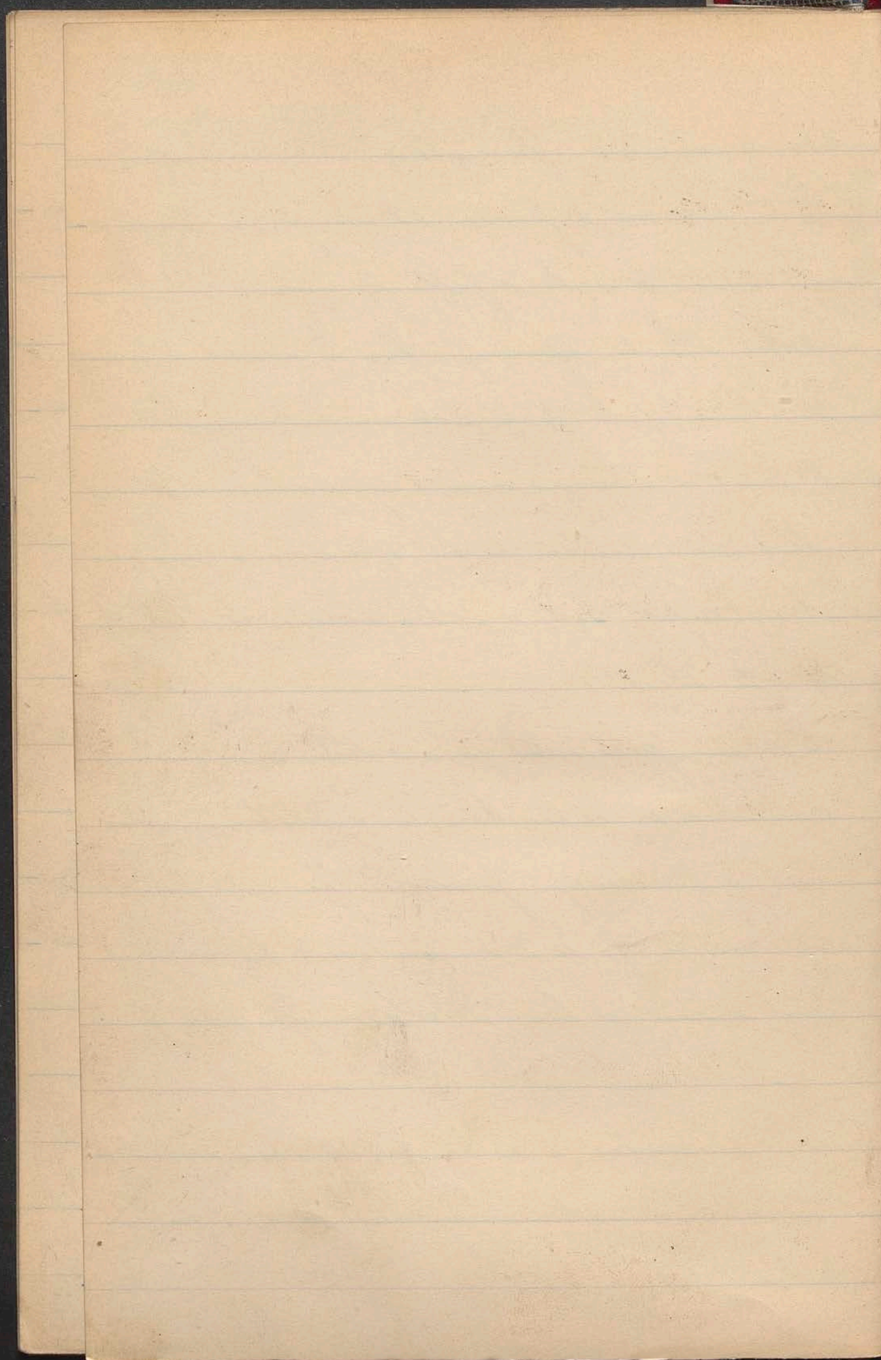
Hańba, wstyd, nędza!

— Hanko, czy ty się na prawdę, w duszy, w sumieniu czujesz się taka winna, taka przestępna, potępiona?

— Ja tylko się czuję taka biedna, taka biedna!

— Boś ukrzywdzona, nie winna. Jak cię ten Wtł oszu=kał, okłamał, jakeś z nim ślub wzięła — wiedziałaś ty naco on cię wywozi? Jak cię bił, i zmuszał do rozpu=sty — rażeś temu była? Jak ciebie za jego kradzież wzięto do więzienia — winnaś była? Jakeś wreszcie w szpitalu omal nie umarła, śmiertelnie zarażona tyś winna była? Jak cię wreszcie sprzedał — jak swój towar — na ohydny handel — twoja była wina? Zginął, jak był tego wart — a tyś odżyła i wyzwoliła jakeś tego była warta. Nieszczęście cię spotkało — nie zatracenie. Nie słusznie się zadręczasz. Życie jeszcze przed nami, — będziemy razem pracować — innych ratować — innych uczyć! Swojego nic nie trzeba mieć, dla siebie ni starać się, nichcieć. Takeśmy sobie obiecali

wtedy, w wagonie – pamiętasz!
Kobieta nic nie odparła, objęła go za szyję i
pocałowała w oczy; cofnął ją żywo!
– Z dobrą otuchą spocznij. Może to nawet dla naszej
myśli lepiej będzie, jak prędzej razem będziemy. Jałowe
jest tam – i staranie moje, i zgryzota i milczenie.
Nic tam nie zdziałam, a tu opuszczę – a wreszcie
co straci – ciepły kąt i dobrą strawę – to i koty
tylko o to dbają!
Zaśmiał się, pocałował ją, i wstał
– Przyniosłem ci dobrą książkę – o systemie szkół
ludowych w Szwajcaryi – przeczytaj! Ja już pójdę!
Przeprowadziła go do drzwi – ucałowali się raz jeszcze
i Dłuch stanął w bramie właśnie, gdy stróż furtkę
zamykał
Otworzył studentowi, i rzekł ze śmiechem dyskretnym.
– A tu dziś był jakiś stary, chudy – co się o pana
rozpytywał.



powiedzieliście co?

Ale – zaraz! Trafił na durnia! Już on tu więcej

z pieniędzmi nie przyjdzie, psia krew!

– Jakże wyglądał?

– Taki wysoki, siwy – z brodą niewielką, w okularach.

– W bronzowem futrze i cylindrze.

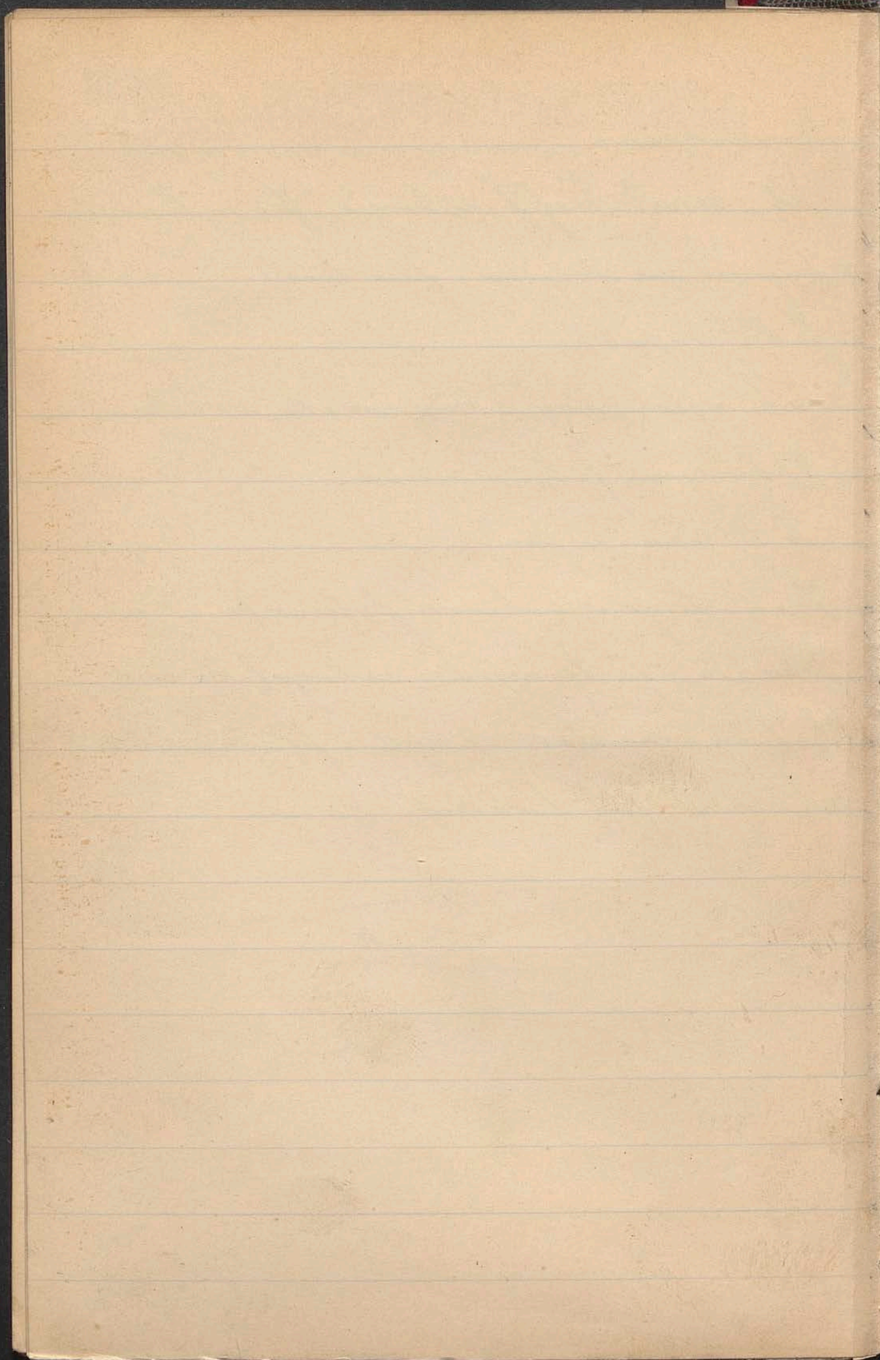
– To, to! Zna go pan?

– Znam – to przez ciekawość pytał. Nic z tego!

– Niechta – ja ta nijakich ciekawych nie lubię!

[...]uch się uśmiechnął, na myśl o przypuszczeniach,

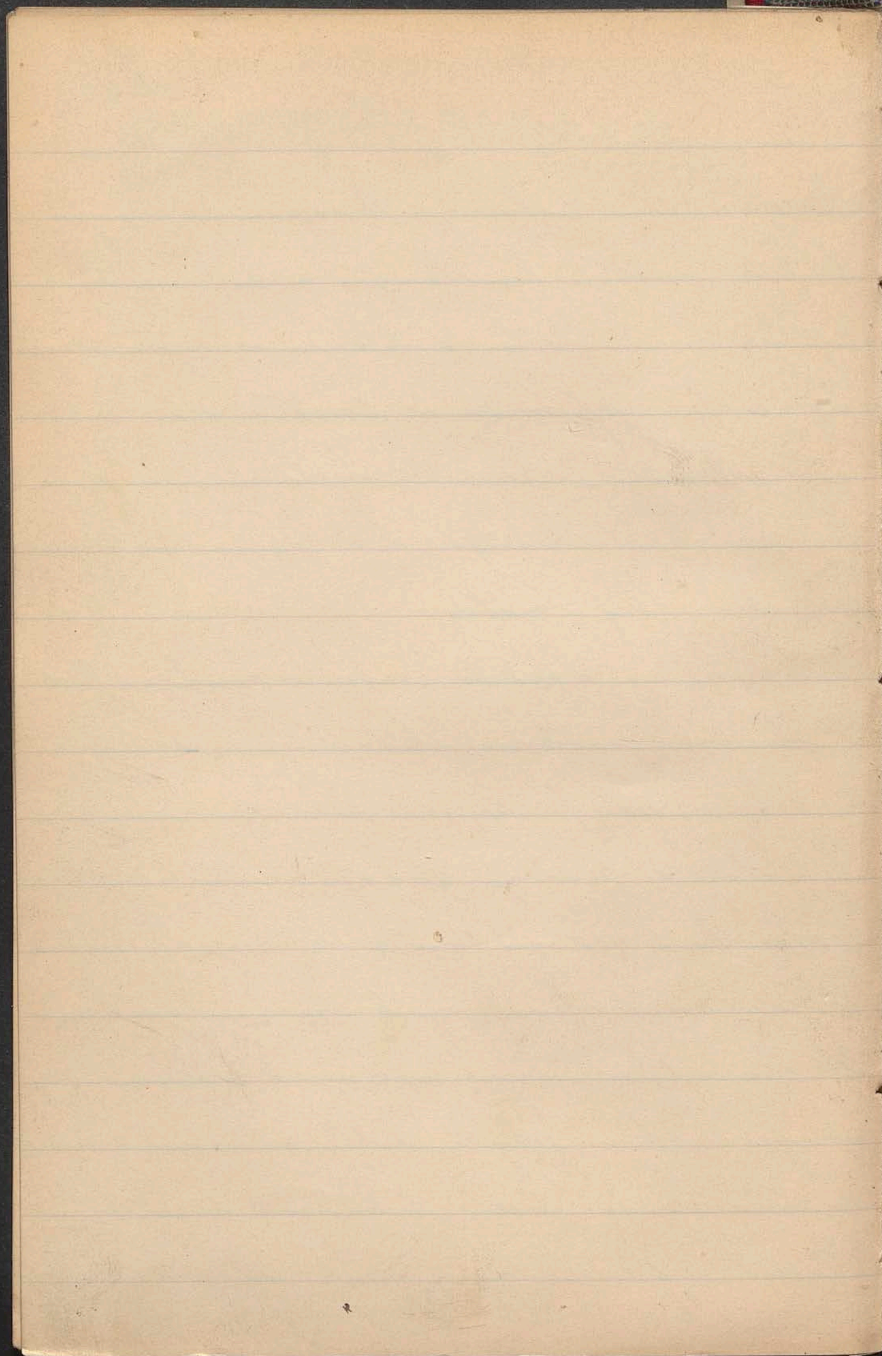
jakie miał pan Bolesław! — — — —



× × ×

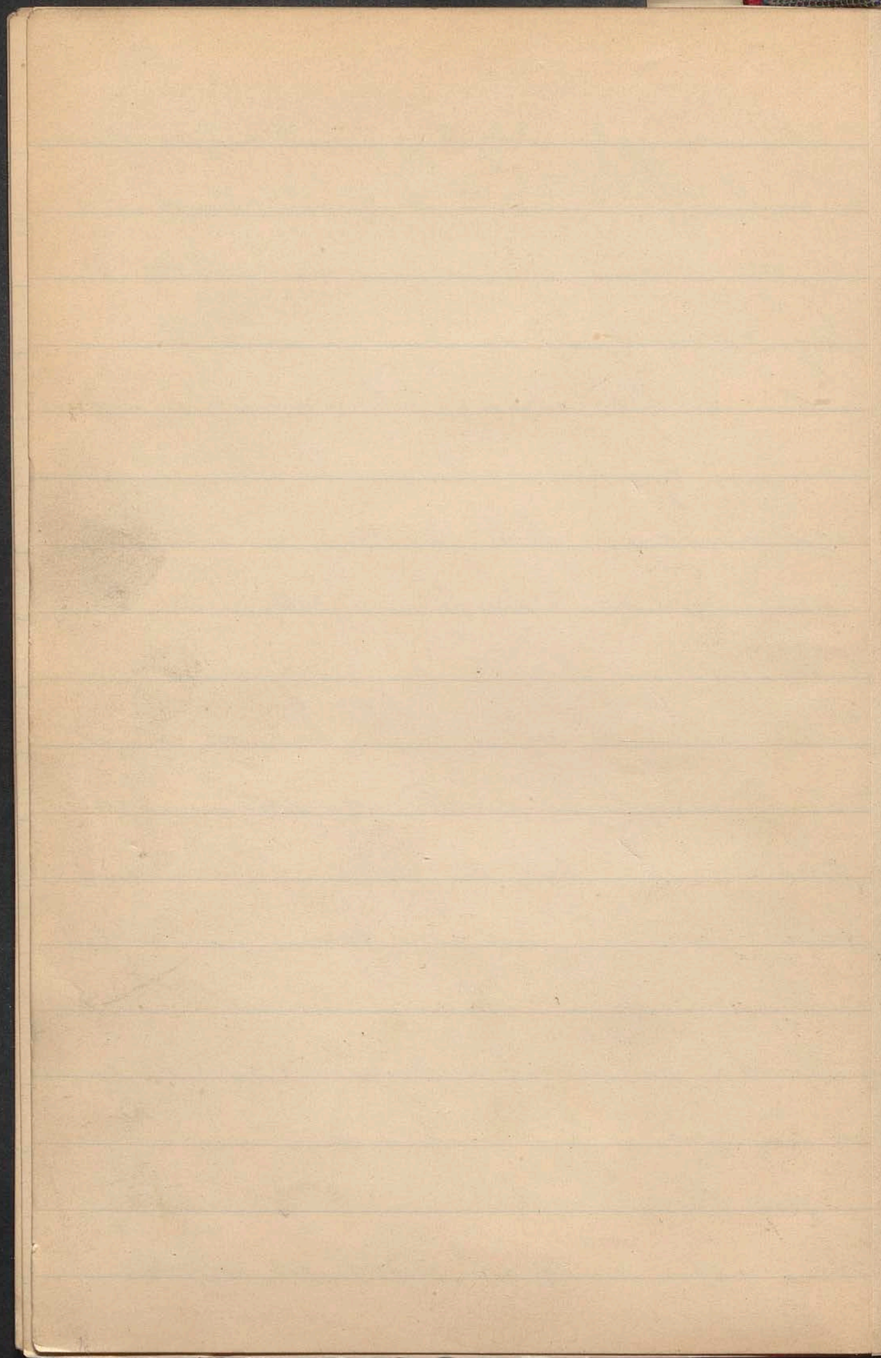
Po czteroletnim pobycie w Warszawie, opłaconym tysiącami rubli, i bezustannym niepokojem, Łarzbina dopłynęła do portu, o którym marzyła - mogła już córkę - wprowadzić w świat i wydać za mąż - gdyż Manusia skończyła wychowanie - więc mogła być „panią" - i skończyła lat szesnaście, więc mogła być żoną i matką.

Łarzbina nie szczędziła trudu i kosztu, aby obowiązki swe gruntownie spełnić. Przez dwuletnie uczęszczanie ~~do~~ na pensyę Manusia nauczyła się literatury i historyi, geografii i stylistyki - botaniki i zoologii - miała też niejakie wiadomości o fizyce, chemii, regule trzech i ułamkach - Kilka importowanych cudzoziemek, wyćwiczyło ją we francuzkim języku, kilka nauczycielek muzyki nauczyło ją trochę „salonowych kawałków" - tańczyła ślicznie, figurę miała toczoną, umiała

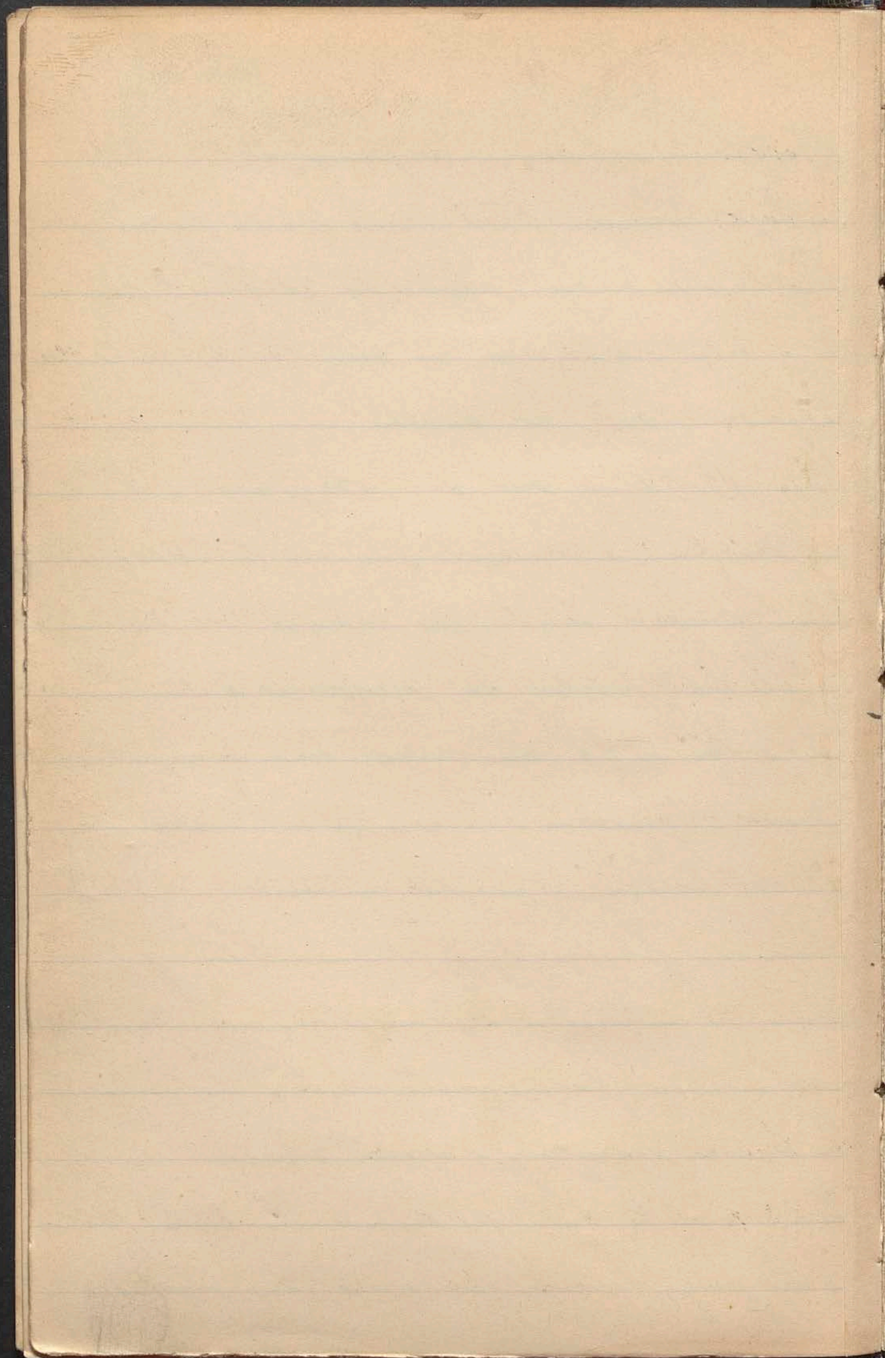


się „znaleźć" w towarzystwie - i nawet całą jedną
zimę uczyła się malarstwa. Lekcje solowe
i zbiorowe, professorowie i nauczycielki, popisy i wystę-
=py w salonie - wszystko już było - i przeszło - i oto
nadszedł moment złożenia władzy matki w ręce
męża. Zarębina dokonała wielkiego dzieła - wycho-
=wała dzieci.
Bo i chłopcy, wbrew proroctwom „obrzydliwego dziecka
wyrośli przecie na ludzi. Wprawdzie szkół nie skoń-
=czyli, ale nie oni temu byli winni, tylko „te nie-
=szczęśliwe warunki" i polityka. Młodszy dobrnął
do czwartej - odsiedział w niej dwa lata, i został za-
=brany przez ojca do pomocy w prowadzeniu fabryki.
Starszy w szóstej poczuł powołanie do sztuki -
i przerzucił się na artystyczną karierę, i kształcił
się na muzyka. Był odrywany po balach i rautach,
był bardzo elegancki, i kochały go kobiety.
Obrzydliwego dziecka dawno już nie było. Wyleciał

ze skandalem, gdy odkryto, że miał rodzoną siostrę-
prostytutkę. Wyśledziły to siostry Żarębiny i
ostrzegły, oburzone. Sprowadzono na gwałt Żarębi-
który rozmówił się na serjo ze studentem.
Burzliwa to była rozmowa, student okazał się człowiekiem
ordynarnym, cynikiem i ateuszem, bez elementarnych
pojęć moralnych - taki prawdziwy demagog.
Szczęściem, że dzieci, bogobojnie i w poszanowaniu tradycji
prowadzone - nie przejęły się jego zgubnym wpływem.
Został usunięty w porę i Żarębina nie mogła
dość się nadziękować siostrom za ostrzeżenie. Ten
człowiek wart był bez sądu kryminału.
Zginął z oczu i z pamięci i dopiero po latach wy-
-czytano z podziwem i oburzeniem - że został adwokatem.
— Oto kto na wierzch wypływa. Ładny będzie porządek
gdy tacy wezmą górę! mówiła Żarębina.
A pan Bolesław, który miał za zadanie, całej
rodzinie robić na złość, i dokuczać wszelkiemi



sposobami - naturalnie odpowiedział
— Moja Ferenicu - ktoś przecie musi myśleć, pra=
=cować i czemś być - chociażby - że swoich pamięciów
No i może naród cały - nie zgodziłby się jednomyślnie
żeby oni - byli na wierzchu.
Wuj Bolesław był też „obrzydliwy" i ktoby
mu ścierpiał i zmilczał, żeby nie te 20000 rubli
które pożyczył Zarębie, gdy interesa się zachwiały
w skutek kosztów na wychowanie dzieci.
Ale o tem nikt nie wiedział - była to familijna
sprawa. Oficyalnie ogłoszono, że Maniusia ma
50000 posagu, a Zaręba miljoner. —
Maniusia przytem była śliczna. Miała figurę
śliczną, 48 centymetrów w pasie, śliczną cerę mleczną i różową
oczy, umiejące patrzeć, usta, chętnie się śmiejące
bo miała ładne zęby, i wzrost okazały.
Jakże daleką była jej miłość dla brata koleżanki;
od tej pory kochała już wiele razy: włoskiego



tenora, rozczochranego dekadenta, i wreszcie teraz kochała Ludka Mozyńskiego.

Reszta która z panien nie kochała Ludka Mo=
=zyńskiego, siostrzenica starej, bogatej Lechowej, które z panien nie chciała się wydać za niego, która z matek nie marzyła o nim, jako o zięciu.

— Właściwie, zkąd on się wziął, ten Ludek? spytał raz pan Bolesław, znalazłszy się w gronie damskiem swej rodziny, i słysząc tysiące zachwytów o tej nowej karnawałowej gwieździe, męzkiego rodzaju.

Posypały się objaśnienia.

— Jakto nie wiesz! Ten co u Leonów prowadził tańce!

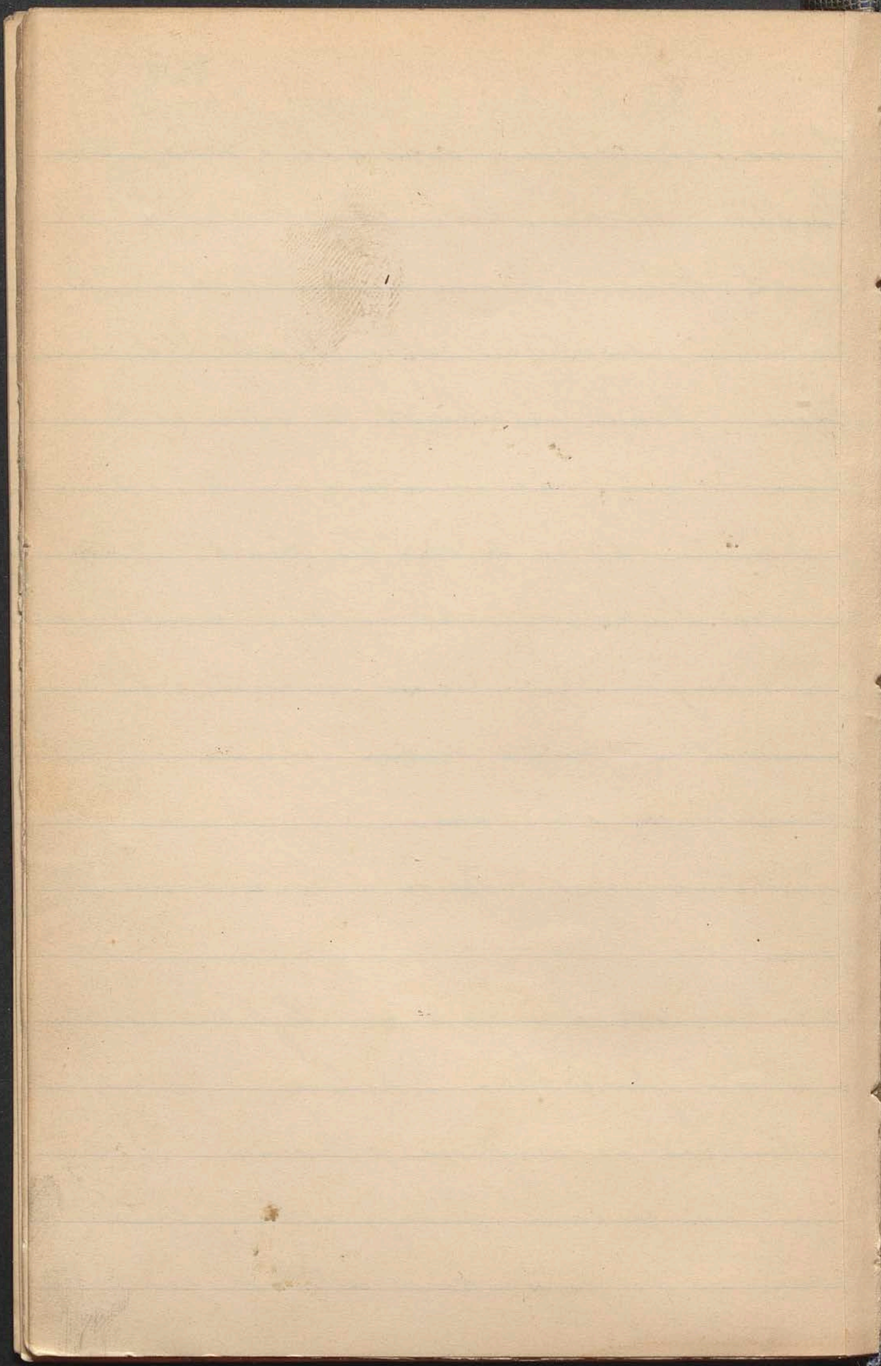
— Ten wysoki blondyn, co mówi te pyszne monologi.

— Jedyny spadkobierca Lechowej.

— Kandydat na dyrektora w „Concordyi".

— Przytem jaki pracowity! pisuje artykuły handlowe.

— Ten co się pojedynkował z Walzenbergiem.



— Mówicie wszystkie — co on robi — a ja się pytam zkąd się wziął.

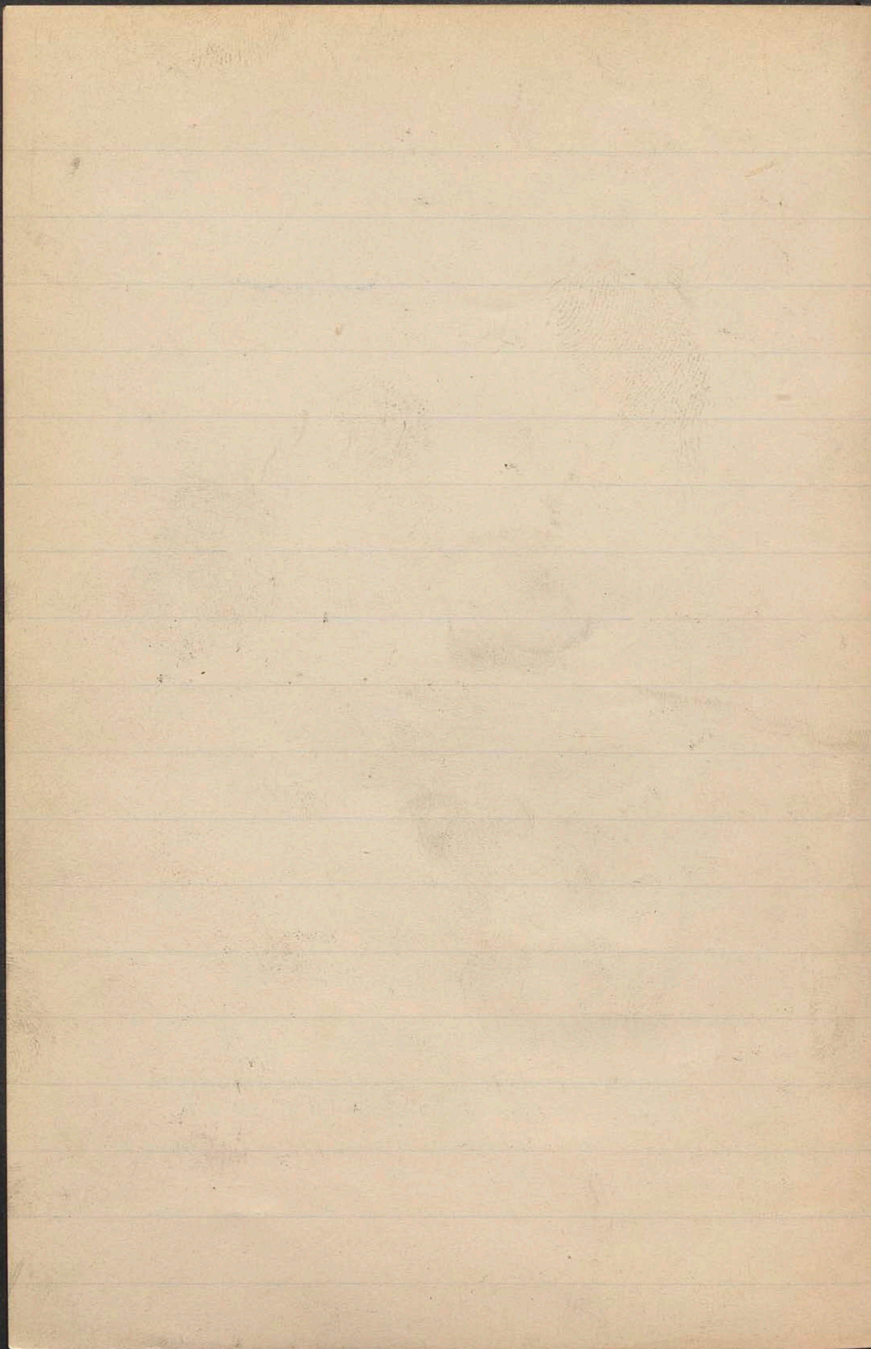
— Jakto? zkąd się wziął? przecie siostrzeniec Zelichowej. Syn jej siostry rzeczywiście. Człowiek jak widać najlepszego towarzystwa, i form doskonałych. Bywa w najpierwszych domach.

— Dlaczegoż o nim nikt nie słyszał — do śmierci syna Zelichowej.

— Był ubogi, podobno ciężko zarabiał na życie gdzieś na prowincyi, w jakiejś cukrowni. Zresztą — co mu masz do zarzucenia?

— Nic. Może tylko to, że za bardzo doskonały. zaśmiał się pan Bolesław. Zelichowa ma miljon co do tego niema wątpliwości. Ludek jest tedy dobrą partyą — a prawdy o nim dowiem się jak się ożeni. Wtedy ten legjon zawiedzionych wyszpera o nim wszystko złe!

Ale Ludek z ożenieniem się nie kwapił. Tańczył,



flirtować, bawić się, pogrążać w rozpaczy, lub uszczęśliwiać coraz to inne panny i matki - i tak minęło dwa karnawały.

Do Zarębów wprowadził go Józio-muzyk. Poznali się na balu raz w knajpie, i przyszedł na jakąś „herbatkę". Dzień ten Marusia przekłóła szpilką w kalendarzu. Siedzieli u stołu obok siebie, rozmawiali o ostatniej operze, o wspólnych znajomych, o przyszłym karnawale. Gdy się dowiedział, że to będzie jej pierwszy występ poprosił o pierwszego walca - pod koniec kolacyi już flirtowali!

Marusia tej nocy wcale spać nie mogła.

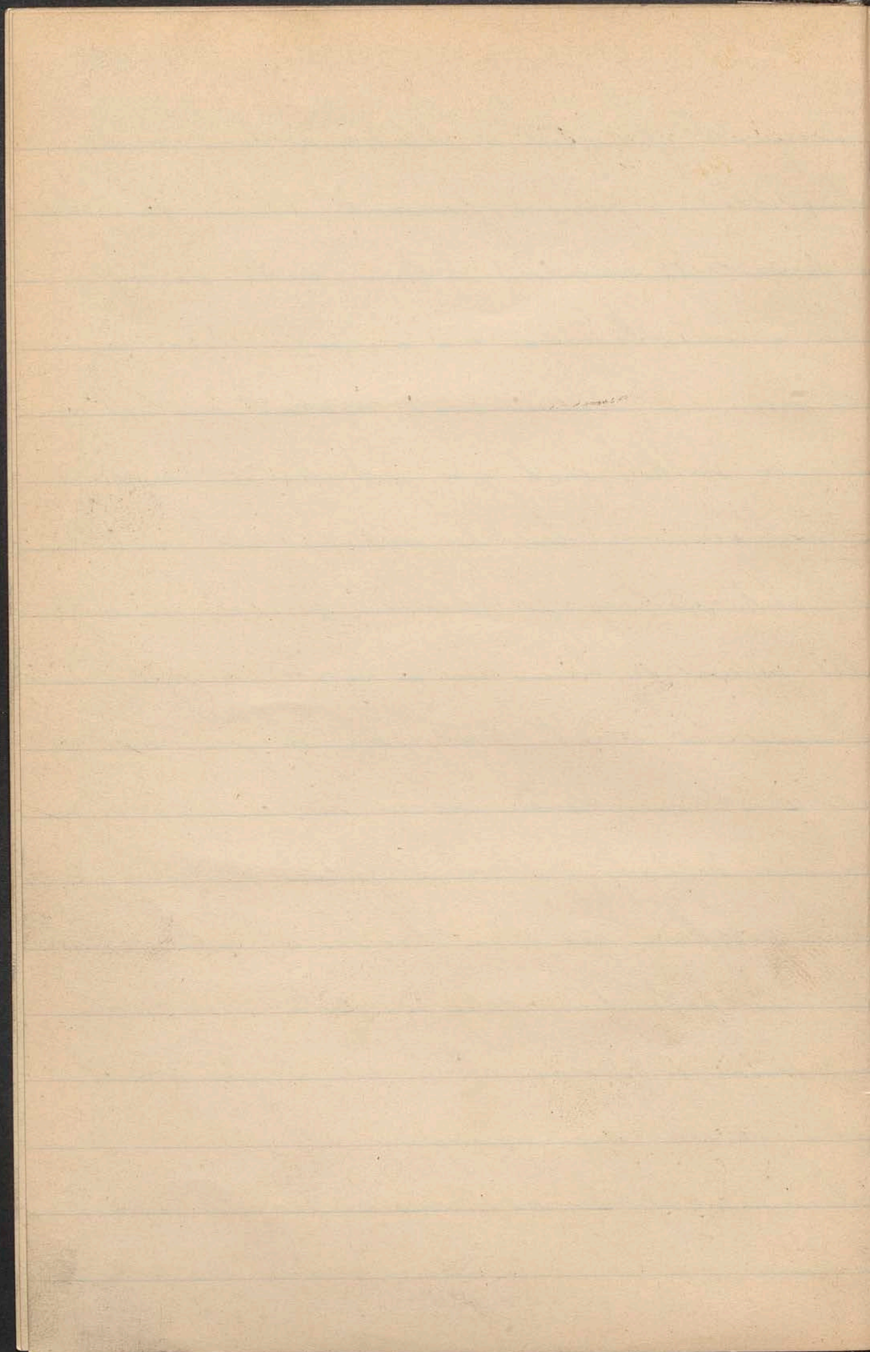
„Kocha! Kocha!" szeptało coś w niej radośnie.

Po kolacyi zaraz wyszedł - i rzekł jej na pożegnanie
- Boję się dłużej zostać. Zanadto pani urocza.

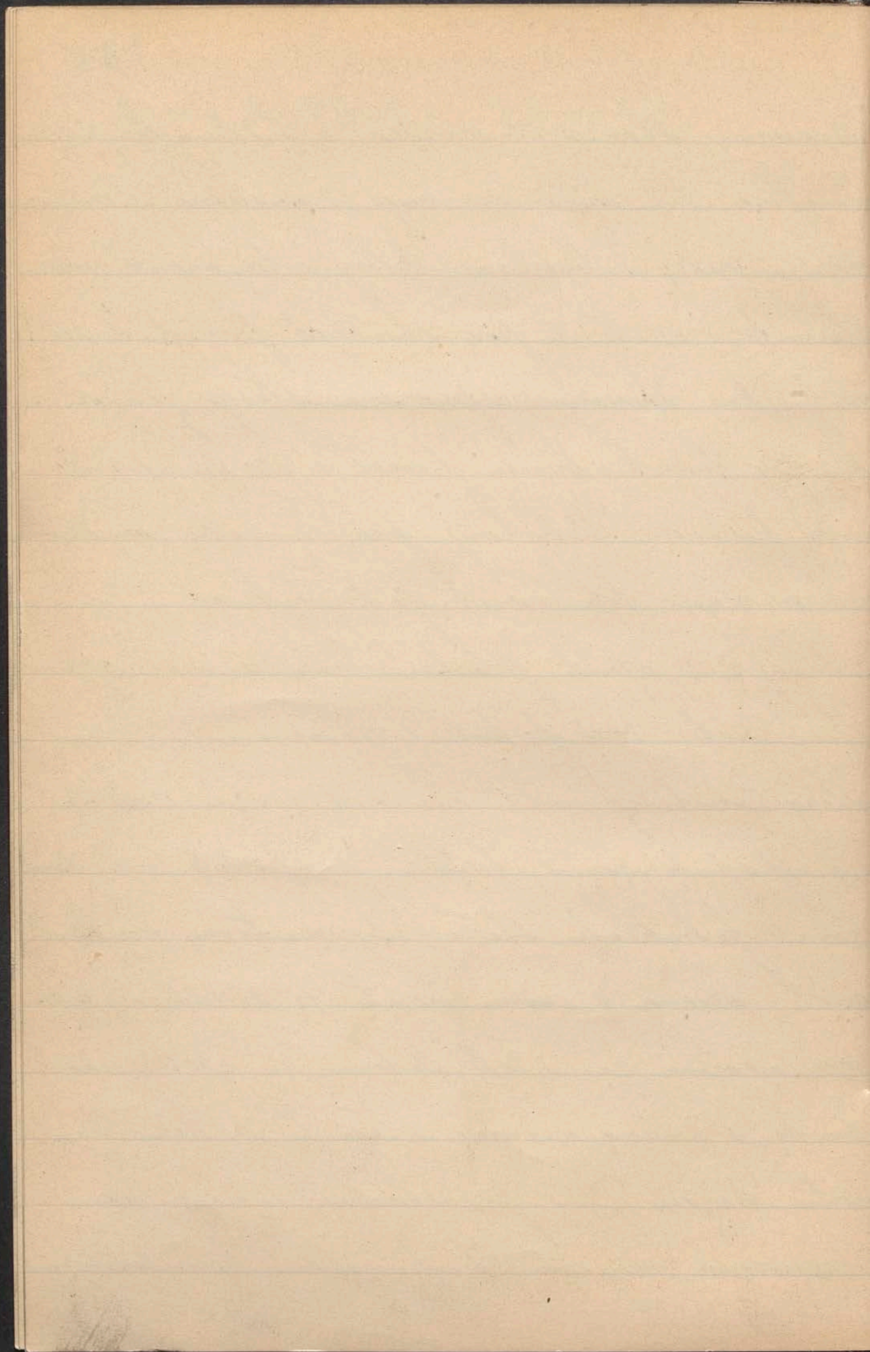
~~Wprost~~ od Zarębów pojechali z Józiem do Filharmonii na koniec koncertu, i tam się rozstali.

Józio poszedł na salę, gdzie nań czekała „znajoma"

Morzyński pozostał w kontramarkarni, zamienił parę słów z jedną z „panienek", śliczną brunetką i poszedł do umówionej cukierni - czekać na nię.
Ale o tem Maniusia nie wiedziała, chociaż naiwną nie była, i o nieprawościach męskich nasłuchała się dość od koleżanek - ale jak każda - myślała, pewna była, że ten jej wybrany - jest wyjątkiem i że taki który ją kocha, zdradzać nie może.
Od jesieni szykowano się u Zarębów, do występu Maniusi - w świat. Były całe kongresy niewieście nad próbkami materyałów na suknie, były rady i narady, dysputy i spory o fasony i krawcowe, były rozpacze nad złym krojem stanika, i zachwyty nad gatunkiem gazy i ciężkie troski nad uczesaniem, i zdrojone ilość wizyt po domach gdzie miały być wieczory.
Maniusia zupełnie oszołomiona dawała się wodzić rozbierać i ubierać do miary, zwiedzać magazyny, i



pracownie strojów, i marzyła o Ludku Mroczyńskim.
Zarębina też była na niego zdecydowana. Zrazu
wolała radcę Salnickiego, który utrzymywał rozległe
stosunki, i często z pod obwisłych powiek, rzucał
na piękną dziewczynę spojrzenia starego fauna;
ale gdy Ludek bywać począł, i gdy się upewniła
co do funduszu Gebichowej – poczęła radcę zaniedbywać,
i w bliższem kole nawet go krytykować.
— Stary dziad, cynik, próchno! Maniusia może wybierać
Jest nato dość piękna i posażna.
Starej Gebichowej nikt nie znał zrazu. Ludek
ją spopularyzował. Brzydka, pospolita, zahukana
żona fabrykanta, stała się matroną wielkich
cnót, wzorem i cudem. Zaczęto ją odwiedzać i zapra-
szać, uważano za ozdobę salonu, za zdobycz rautu.
Grubą, ordynarną, czerwoną staruchę pokazywano
sobie, kazano się przedstawiać, sadzano na
pierwszem miejscu. Z początku była zażenowana



i wystraszona, potem przejęła się rolą, i uwierzyła sama, że jest czemś osobliwem. Nosiła z pompą swój majestat, pozwalała się czcić!

Niewiadomo jaką intrygą sprowadzono ją do Zarębów. Był to tryumf nielada. Wywołał też mnóstwo plotek, złośliwości i krytyk wśród grona znajomych. Wszyscy, a raczej wszystkie, które poprzednio same zdobyły już Lebiekową nazywali Zarębinę interesowaną i intrygantką. Wzięto z tej racji czas jakiś, ale na szczęście Zarębina oprócz córki na wydaniu miała syna kawalera, więc trzeba było z nią polityczkować. Zresztą wir nadchodzącego karnawału nie dawał czasu nawet na długie obmawianie kogoś jednego. Było tyle do obmowy!

Nareszcie odbył się ów pierwszy bal Maniusi. Była cała biało ubrana, wyglądała ślicznie i miała szalone powodzenie. Tańczono do białego dnia. Zarębina bohatersko wytrzymała na swem

stanowisko - na kanapie - ale w karecie już zatarła pierwsze ostatnie swe wrażenie.

- Dobrze się udało - i przyszczypki pod pudrem nie było znać. Tylko uczesanie trzeba zmienić - ogromnie ci postarza. I za wiele tańczyłaś ze studentami.

Maniusia odrzuciła główkę w głąb karety, jakby upojona. Nie pamiętała z kim tańczyła - tylko pamiętała każde ludzkie słowo, komplement, spojrzenie, uścisk. Jej młode zdrowe ciało, poddawało się chętnie wrażeniom zmysłów, podniecanych atmosferą balowej sali, muzyki, i tanecznego zbliżenia. Zasnęła potem snem niezdrowym - niespokojnym, krótkim - zaledwie parogodzinnym.

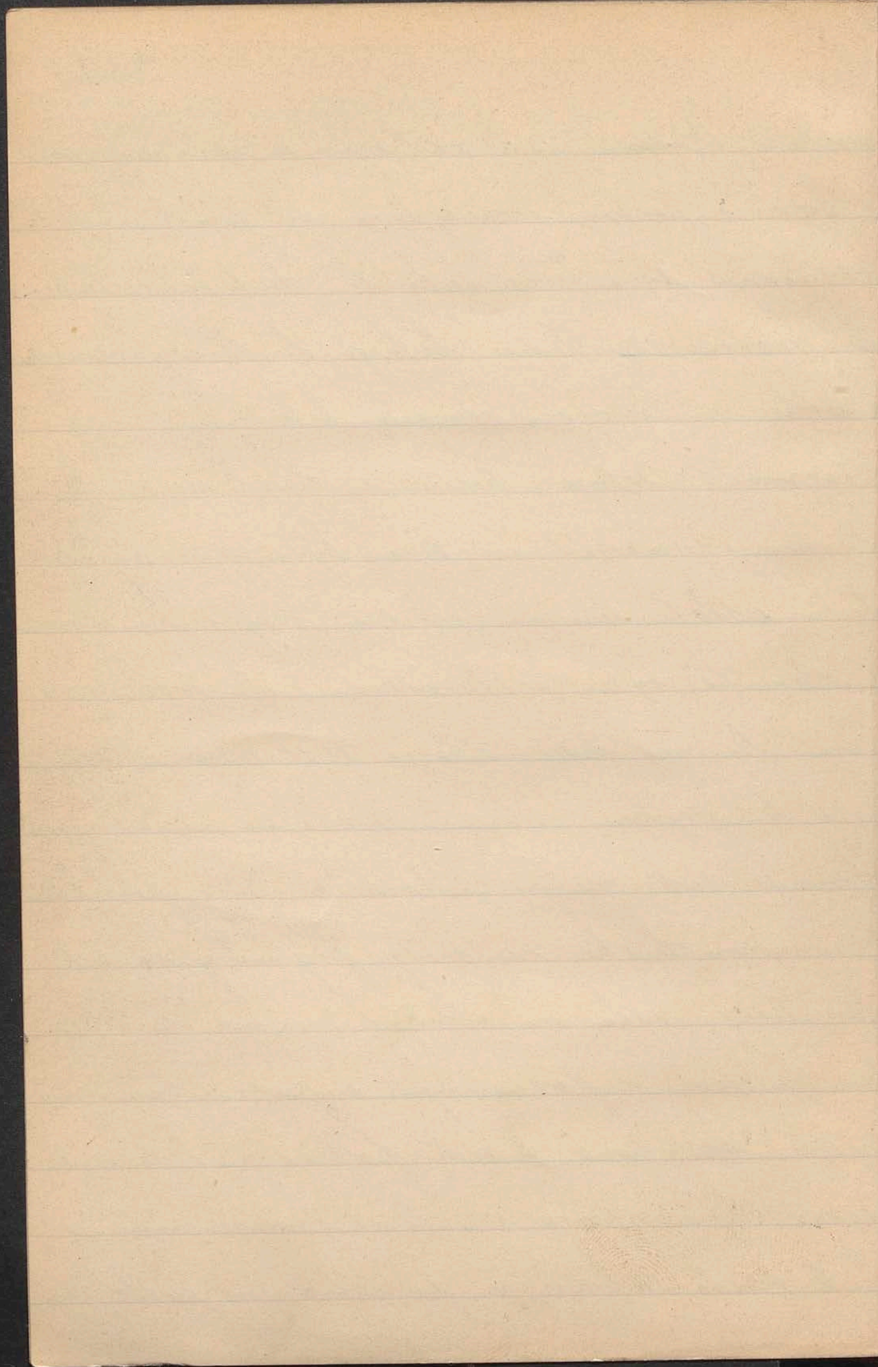
Po kilku dniach nastąpił drugi bal - potem trzeci i czwarty - w przerwach bywano w teatrze, przyjmowano u siebie - życie stało się wirem zabaw i niesłychanego podniecenia.

- Karnawał krótki - trzeba korzystać! powtarzano

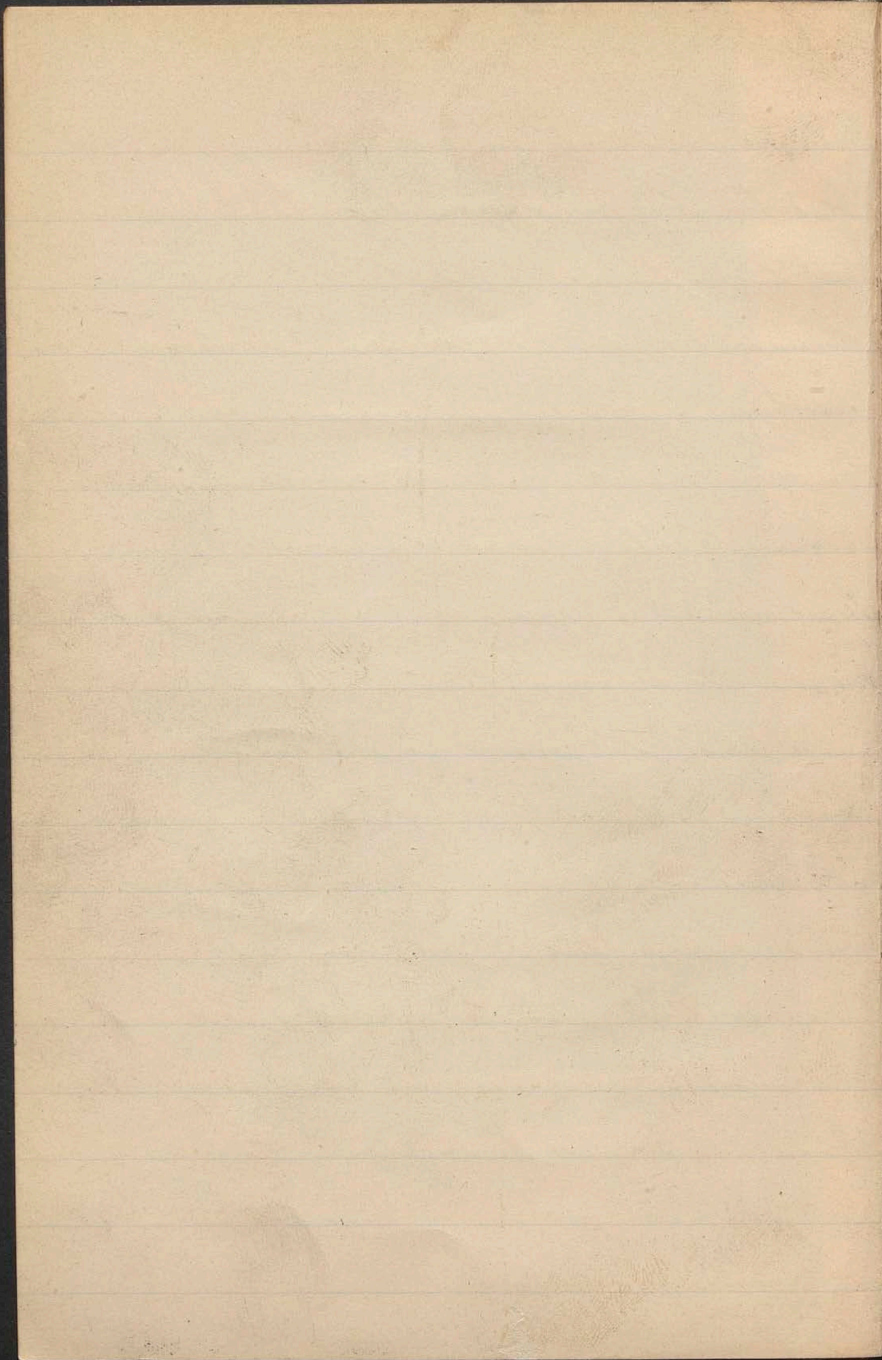
wokoło. Czasami jak ostroga do dalszych zabaw i boju o „partyę" dowiadywano się: Janek taki to oświadczył się o Zosię taką to; lub Zosia taka to, wychodzi za pasie takiego to. Wtedy inne mamy i córki ze zdwojoną energiją balowały.

Karnawał dobiegał kresu, a Ludek się o Manię się nie oświadczał. Jarzębina była wściekła, o ile taka istota leniwa jak ona mogła być wściekła, a Maniusia była zdesperowana, o ile dobrze wychowana panna może okazać desperacyę. Wdały się w to wreszcie różne kochające ciocie, nagadały Maniusi jak ma się zachować, urządziły pułapkę. Sprowadzono Ludka na mały, prywatny raucik familijny, zostawiono młodych zręcznie na dłuższe sam na sam w półciemnym buduarze, Maniusia wyszła speszona. Ludek pobladły, i nazajutrz zjawił się z urzędową wizytą, z oświadczynami.

Tak się to zwlekło, że pozostał już tylko jeden



bal na którym Tarębina tryumfująca mogła przedstawić swym ~~[illegible]~~ rywalkom - paryż zagrano-nych - i zapadł post! — —
Maniusi los był zapewniony - zdobyła najświetniejszą partyę - w rodzinie zapanowała ogólna radość.
Nie wiele matek może się pochwalić, żeby córka zdobyła tylko jeden karnawał.
Ze szczęścia Tarębina była aż rozczulona, i już zaczęła się skarżyć.
— Nie dali mi jedynaczki się nacieszyć! Toć prawie dziecko, tak chciałam ją jeszcze parę lat w domu utrzymać! Ale cóż robić - taka dola matek - i wola Boża, i powołanie kobiety!
I naprawdę miewała łzy mówiąc - łzy w głosie.
Maniusia była szczęśliwa - kochała, i była kochaną.
Miała wtedy skończonych lat szesnaście.



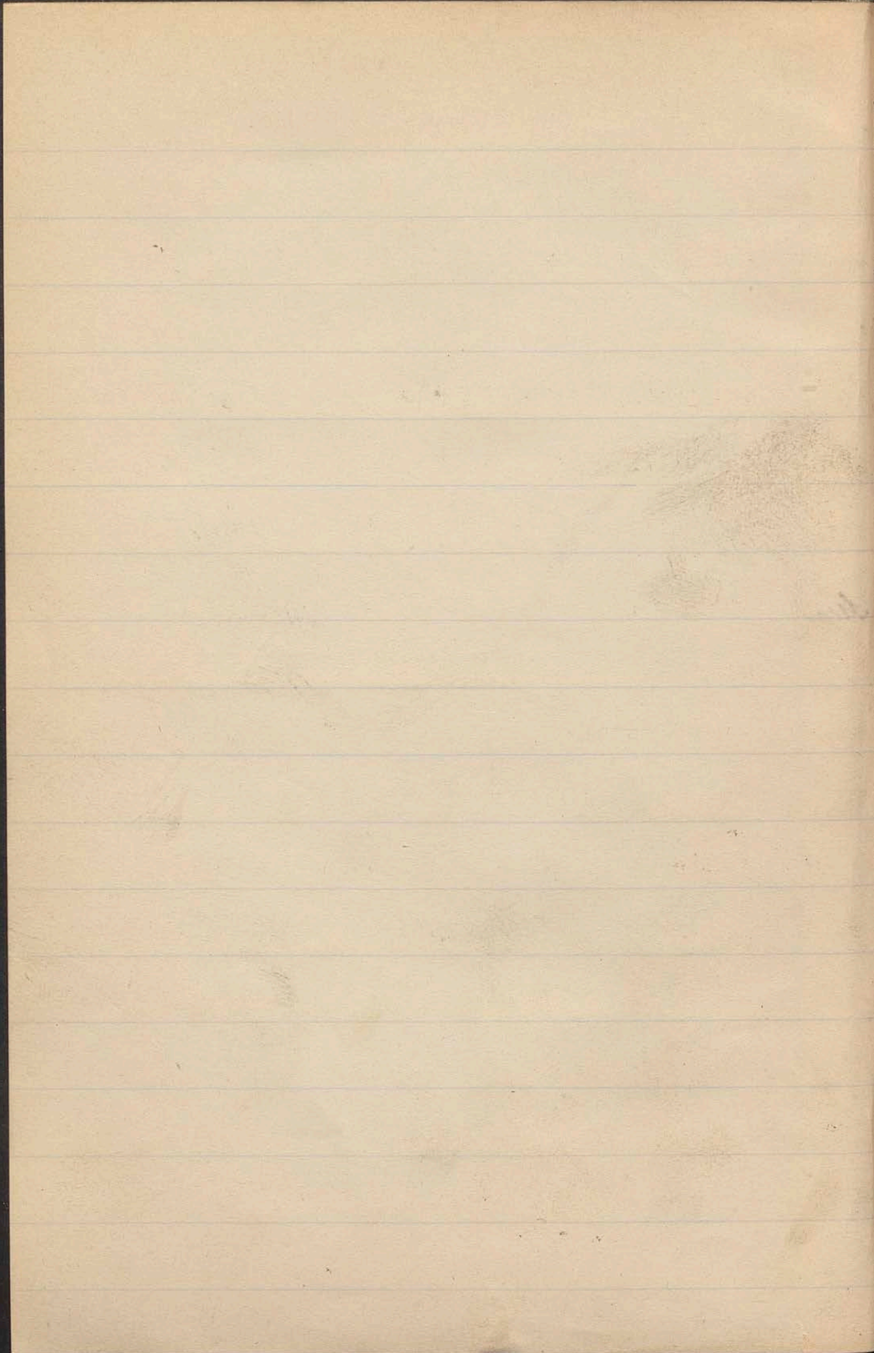
* * *

Ślub Mniszki Zarębianki miał się odbyć po Wielkanocy, ale wyprawy nie wyspieszono, i odłożono go na 4 Czerwca. Narzeczeni składali wizyty, przyjmowali życzenia, gruchali swobodnie ze sobą. Ludek urządził mieszkanie, pięć pokojów na pierwszem piętrze. ~~Szasta~~ł pieniędzmi, posadę rzucił, wszelkie prace zaniedbał, oboje byli ~~[illegible]~~, ~~[illegible]~~ zajęci tylko swą miłością.

Na trzy dni przed ślubem Ludek zaprosił całą paczkę kolegów na kawalerski wieczór w Europejskim hotelu. Zapalano na ulicach gaz — gdy jego parokonna dorożka pierwsza zajechała pod restauracyę. Wysiadł, i skinął na posłańca. Jeden z kilku tam stojących podszedł — był to Tedras.

— Daj kartkę — odpowiedzi nie będzie. Masz tu 20 kop. Odnieś zaraz ten list.

Posłaniec podał kartkę — wziął list — młodyosto.



=wiek wszedł szybko do restauracyi. Zaczęły podjeżdżać dorożki z gośćmi, zrobił się na chwilę ścisk u drzwi. Jędras się gapił z innemi, i potem dopiero spojrzał na adres listu, i osłupiał:
„Wielmożna Marya Jędrasówna, Złota 19."
Przeczytał parę razy, ruszył ramionami. Do Mańki pisał ten elegant — co miał za interes. Chciał rozer=wać kopertę, ale ludzi było pełno, kilku kolegów, więc wsunął list do torby, i poszedł.
W drodze uspokoił się. Mańka szyła bieliznę — może to był rachunek lub obstalunek.
Ale już go coś gnało do domu.
Wszedł na drugie piętro oficyny, zapukał, a gdy nikt nie otwierał — wyjął z kieszeni drugi klucz, otworzył i wszedł. Było to ich mieszkanie, schludny pokoik z kuchenką, dwa łóżka, wazoniki z kwiatami w oknie trochę gratów — na stole maszyna do szycia.
Zebrali się na to wszystko pracą i oszczędności

od paru lat już biedy nie czuli.
Wszedłszy Gerard się obejrzał, Manki nie było.
Zapewne odniosła robotę, i poszła trochę w Aleje
na spacer.
Teraz mógł list otworzyć. Wyjął go – i znowu na
adres spojrzał, i chwilę się wahał – jakby się bał –
potem rozdarł kopertę. Było w niej dwadzieście
pięć rubli – i kilka słów na karcie.
Mroczno było – Gerard do okna podszedł, i czytał.
– „Moja droga – stanowczo Ci zakazuję pisania
i natrętnych żądań widzenia. Zechciej zrozumieć
że między nami sprawa skończona, a pretensye
Twoje są śmieszne. Za parę dni żenię się, i regu=
=luję wszelkie rachunki z przeszłością. Chociaż nie
mam względem Ciebie żadnych zobowiązań, ze względu
jednak na chwilowe trudności jakie mieć możesz –
załączam Ci dwadzieście pięć rubli – z zastrzeżeniem
że to ostatnia moja ofiara i słowo, i że nadal

jeśli mnie zechcesz napastować - możesz być na-
-rażona na grube nieprzyjemności. Weź to na
uwagę, i wybij sobie z głowy głupie myśli. Taka
ładna dziewczyna jak ty, może być o swój los spokojną.
Jędras przeczytał raz - i znowu czytał - ciągle - raz
po raz - aż wreszcie litery stały się czerwone, i wirujące
a każda miała głos syczący, huczący, jakby jakieś
ujadanie czy wycie - nie - to maszyna była - z łos-
-kotem ślepej, bezdusznej potęgi - a on trzymał
czerwony sygnał - kobieta na szynach była -
pociąg szedł - nie zważając na jego sygnał - na nie
podchodził - Jędras krzyknął - rzucił się naprzód
pod koła - i zwalił się na ziemię, i już nic nie czuł.
Gdy się ocknął w izbie było zupełnie ciemno.
Chwilę zbierał zmysły - dźwignął się. Myślał że śnił.
— Mańka! zawołał.
Milczenie. Przypomniał sobie wszystko. Zapalił
lampkę - list leżał na ziemi - na stoliku koperta

i bankrot. Spojrzał na zegarek – była jedynasta. Czy Mańka już nie wróci? Może. Może poszła do Listy. Szukać jej – gdzie? i poco? Wszystko było skończone.

Podniósł list, i położył pod lampą obok koperty i pieniędzy – usiadł na kuferku pod ścianą – i czekał – sam nie wiedział czego. Czerwone zygzaki kręciły się w powietrzu, pełen ich był pokój – gdzie spojrzał. Miały cudaczne kształty owadów wstrętnych ryb i kół – potwornych macek i kleszczów – i bezustannie coś huczało, coś pełzało, coś wyło.

Głowa mu gorzała, i chwilami dygotał, i czuł ból straszny w tej obciętej ręce – czuł każdy staw, każdy palec – dyszał w ręce!

Nagle drgnął. Zgrzytnął klucz w zamku – weszła Mańka. Spojrzała na niego, musiał być bardzo zmieniony, bo wykrzyknęła.

– Co wam, Łatku? Chorzyście?

Sama była blada, oczy miała czerwone.
Chciał przemówić, ale zrazu nie wydało gardło dźwięku,
odchrząknął.
— Tam leży list do ciebie - i pieniądze.
Obejrzała się żywo, chwyciła papier, czytała drżąc.
On patrzał na nią, jakby dawno nie widział.
Skończyła, stała chwilę jak skamieniała, i naraz
zajęczała dzikim głosem, porwała się za głowę, sko-
czyła do okna, zaczęła się z niem szamotać, by
otworzyć. Zerwał się, i dopadł, gdy chciała skoczyć
w próżnię. Przytrzymał ją, szamotała się rozpacznie
— Puśćcie! Ja nie chcę, ja nie chcę! bełkotała
Ledwie zdołał ją odciągnąć, i utrzymać.
Wreszcie zemdlała, i jak martwą zawlókł na łóżko.
Ocknęła się spazmatycznem szlochaniem.
— O Jezu! O Jezu! powtarzała wśród łkań.
Stał nad nią - wreszcie położył rękę na głowie.
— Cicho! Opamiętaj się. Nie krzycz! Chcesz - żeby ludzie

się zbiegli. Cicho! Zadajże! Od kogo to hist? Za co ci on groził? Coś zrobiła? Kto to taki?

— O Jezu, o Jezu!

Nagle zerwała się – siadła na łóżku.

— Pieniądze mi daje – dwadzieścia pięć rubli. Za wszystko co moje – za wszystko! O Jezu, o Jezu!

Zaczęła się śmiać – strasznie, dziko.

— Minka! szarpnął ją za ramię, przerażony.

Ale ona zanosiła się spazmatycznym śmiechem, powtarzając.

— Dwadzieścia pięć rubli – za życie! Tylem warta! Dwadzieścia pięć rubli! Cha, cha, cha!

— Cicho! Masz – wypij wody – opamiętaj się! Powiedz, co się stało?

— To! czytaliście, wiecie! Ziemi się – ptaci – mam milczeć podziękować! Kupił mnie – teraz niech inni kupują. Cenę zrobił – dwadzieścia pięć rubli! Wiecie cenę swej córki – od matki – zarobiłam sobie posag! Cha, cha!

— Milcz! Dosyć tego! Wszystko mi powiedz – niema

już co robić. Musisz wiedzieć przecie — nie bój się — już ja mu podziękuję! Mów — kto on taki?

— Nie wiem! Poco mi to wiedzieć. Chodził za mną, gadał, prosił, mówił, że urzędnik — a zresztą choćby rabarz był — mnie było jedno! O Jezu, o Jezu, takem go bez pamięci pokochała! O Jezu! Będzie temu pół roku — i od — teraz w Wisłę!

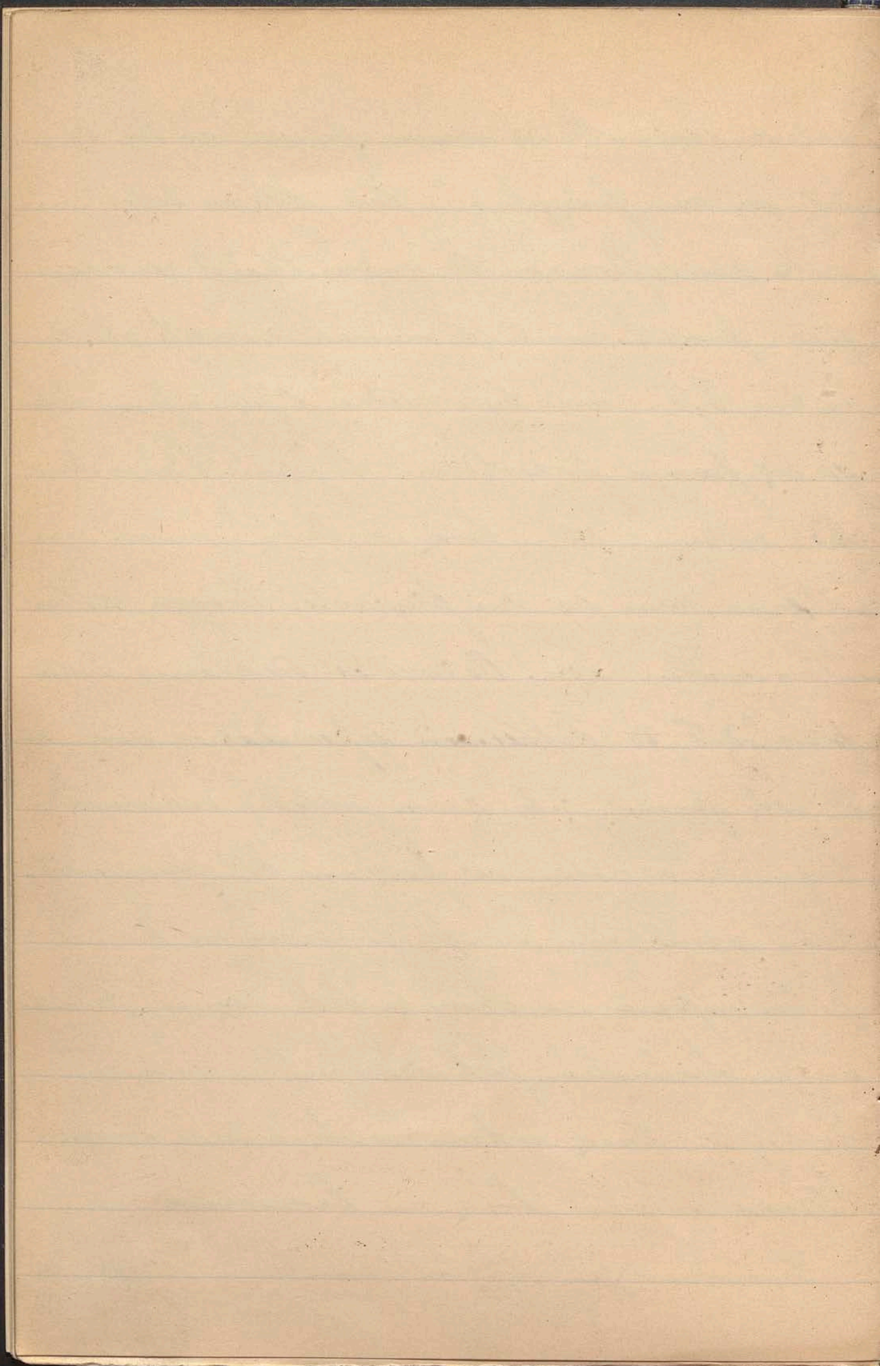
— Czemuś mnie się nie przyznała! Wróg ci jestem!

— Com miała mówić! Od zmysłów odeszłam. Co wieczór przychodził do Filharmonii — odprowadzał do domu — jak o łaskę prosił, żeby z nim wstąpić do cukierni — długom nie chciała — raz poszłam — był grzeczny, delikatny — ośmieliłam się. Aż go tydzień nie było — a potem napisał, że chory, że taki sam, że pewnie umrze. Poleciałam jak szalona!

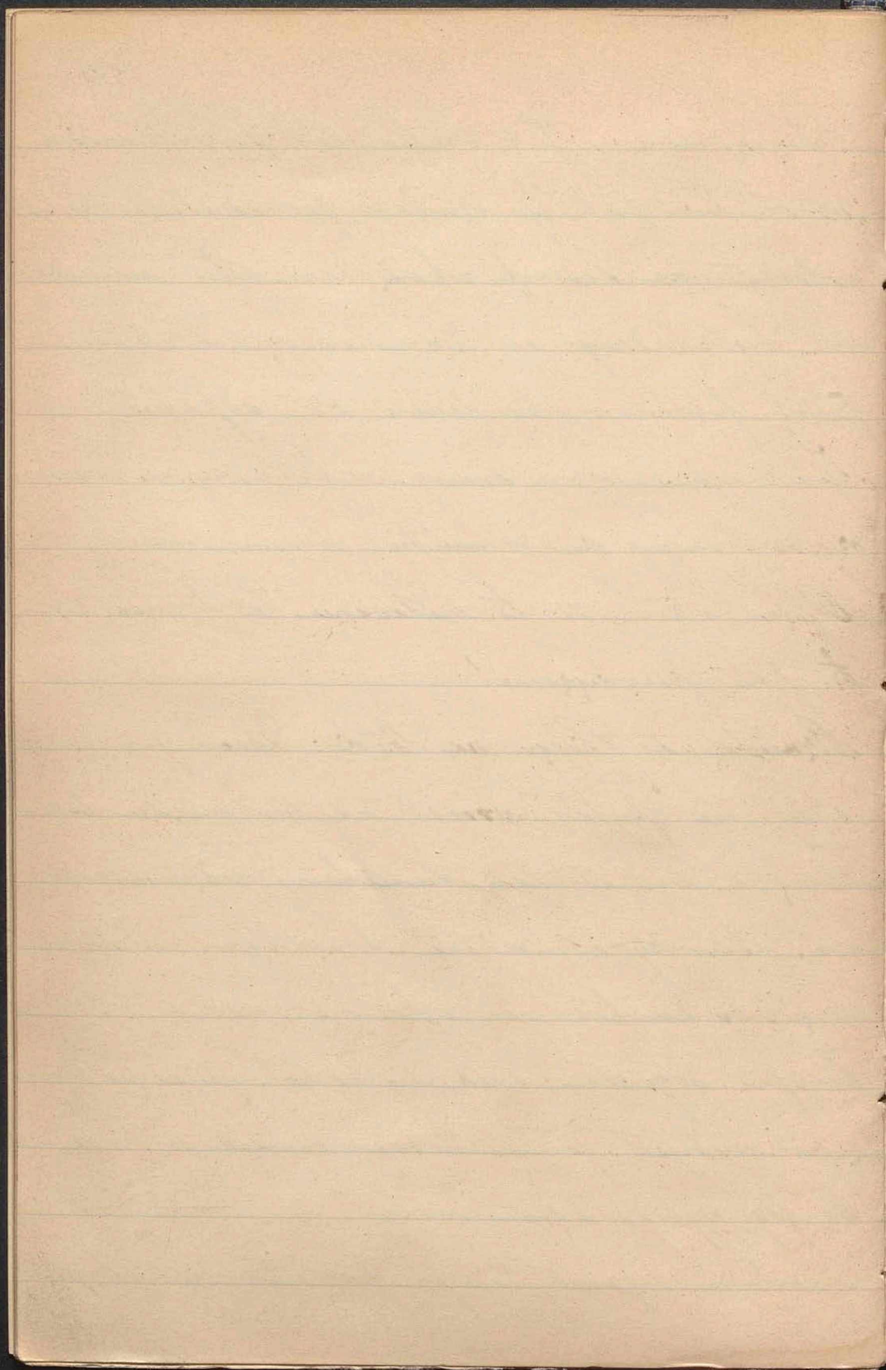
Zakryła twarz rękami — wstrząsnął ją dreszcz!

Gedras słuchał — twarz mu kamieniała.

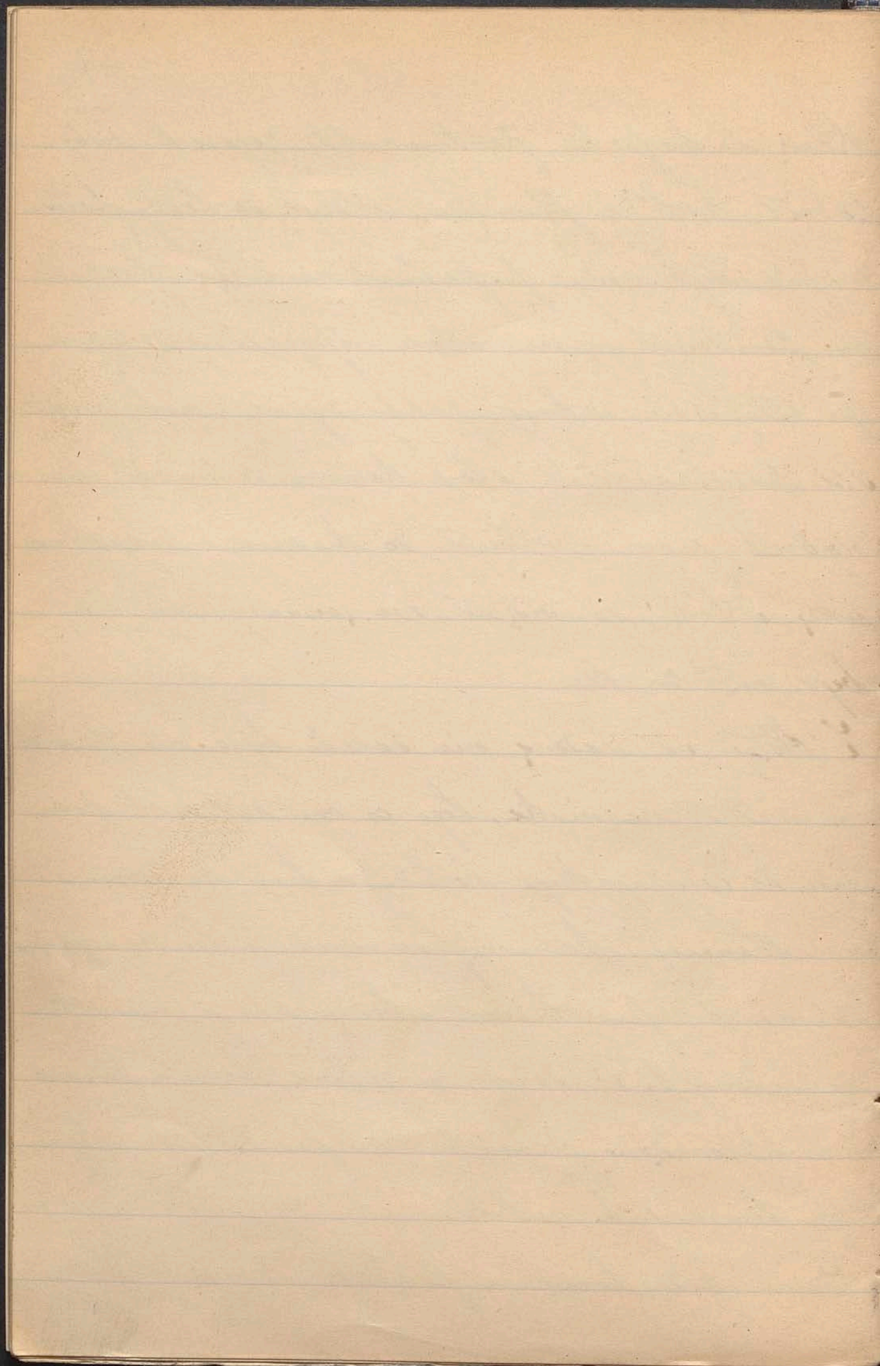
— Gdzie mieszka? spytał głucho.



— Teraz nie wiem. Już miesiąc jak się wyprowadził —
już miesiąc jak go szukam. Powiedzieli, że się wy=
=meldował na Sadowej — chodziłam — stróż mnie odpro=
=wadził — byłam drugi raz, dzwoniłam — wyszedł lokaj — prze=
=pędził. Pisałam, skamlałam — o to — odpowiedź!
Jemu życie — mnie śmierć — w Wiśle, czy na bruku,
czy od trucizny, czy w hańbie — śmierć, śmierć!
O Jezu — i zaco — za to miłowanie! Za tę wiarę — za
to psie przywiązanie!
Rzuciła się łkając na łóżko. Jędras już o nic
więcej nie pytał — wrócił na swe miejsce pod
ścianą, i siedział tam nieruchomy, godziny — całą
noc. Dziewczyna zmożona śmiertelnie musiała
usnąć — bo ucichła — on oka nie zmrużył.
Lampa dogasała, dzień się robił, gdzieś ze ściany
zegar wybijał godziny. Jędras musiał je liczyć,
bo gdy wybiło osim — wstał.
Spokojnie zgasił lampę — położył na stole



klucz od kuferka, portmonetkę, zegarek swój – zebrał listy i pieniądze, włożył do torby, potem wypił łyk wody – popatrzał na leżącą – pochylił się, pocałował ją we włosy – spojrzał raz jeszcze po całej izbie, w koło, jakby żegnał – i cicho wyszedł. Na podwórzu leżał stos kamieni – zatrzymał się – wybrał jeden – i włożył do kieszeni, i poszedł na ulicę. Stróż go widział – nie zauważył, by inny był niż zwykle
Z Górnej na Sadową, nie daleko było, ale Gedras nie wiedział nazwiska, tego co mu dał list, poszedł tedy do Europejskiego hotelu, i tam się dowiedział w restauracji: Kelner powiedział, że ten co ugaszczał nazywa się pan Ludwik Morzyński, i mieszka na Sadowej 8. I dodał, że zabawa trwała do rana i że sprowadzono panienki, i że pewnie pan Morzyński śpi teraz jak zabity.
Gedras podziękował, i poszedł.



Na Sadowej stróż nie pytał - spojrzał na numer mieszkania i zadzwonił na pierwszem piętrze.

Milczenie, tedy zadzwonił mocniej. Rozległy się kroki w pantoflach, i zaspany głos spytał.

— Kto tam u licha?

— Posłaniec z listem.

Drzwi się otworzyły. Ludek stał w przedpokoju w szlafroku.

— Skąd list?

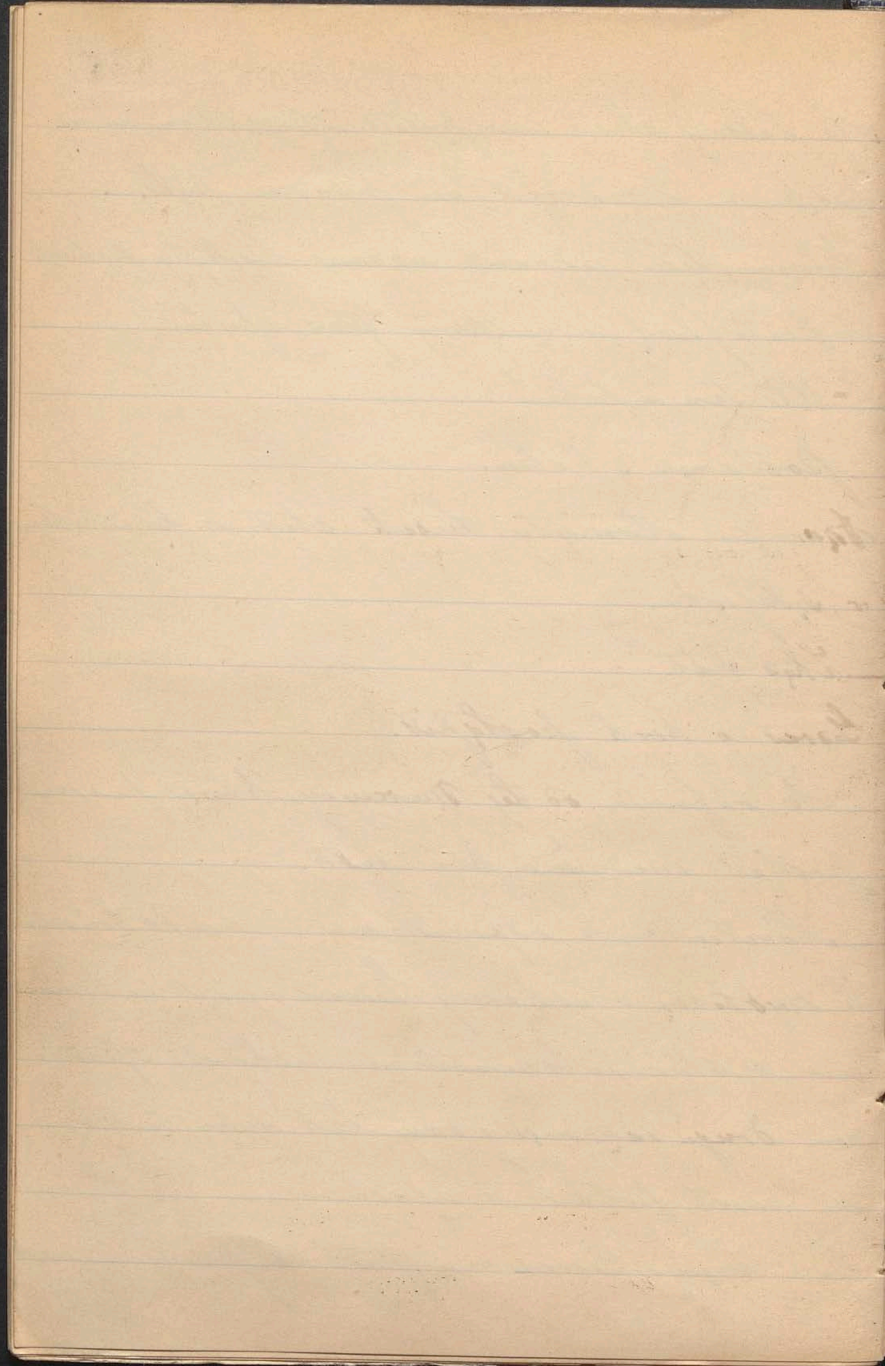
Gedeas o krok postąpił.

— To odpowiedź od tej dziewczyny, której pan wczoraj posłał dwadzieścia pięć rubli.

— Mówiłem ci, że odpowiedzi nie... nie dokończył.

Z szybkością błyskawicy Gedeas ugodził go kamieniem w skroń. Mozgiński się zachwiał, spadł nań drugi raz - między oczy - tak silny, że w tył się podał, potknął i upadł.

Jak tygrys Gedeas mu spadł na piersi, i już



bez pamięci miażdżył głowę ostrym kamieniem, wydając przy tem z piersi głuche stękanie, z jakiem drwale tłuką toporami twarde drzewo.

Może się i bronił napadnięty, może krzyknął, może się zrywał. Jędras nic nie czuł i nie słyszał.

Bił - aż się zmęczył, aż z głowy została bezkształtna, czerwona kula - wtedy wstał - spojrzał na niego - i dysząc - czekał - co będzie.

Czy nikt nie przyjdzie go brać - nie ucieka.

Ale w mieszkaniu nie było nikogo. Lokaja posłał był Ludek do ogrodnika, i z bukietem dla Mamusi. Lokaj się nie spieszył z powrotem wiedział, że pan zchulany będzie spać do późna - mieszkańcy z pięterka wyjechali na letnie mieszkanie - nikt nie słyszał mordu.

Jędras wyjął z kieszeni nóż i pieniądze - rzucił je na trupa - popatrzał nań jeszcze, otarł ręce wziął swój kamień - i wyszedł.

Stróża znowu w bramie nie zastał, mógł uciec niepostrzeżenie, ale on tego nie chciał. On szedł spokojny — nie czuł się zbrodniarzem.

Wszedł wprost do cyrkułu — minął jedną i drugą salę.

— Gdzie to? zatrzymał go policyant.

— Do komisarza?

— Poco?

— Przyszedłem — bom zabił.

— Co?

— Zabiłem człowieka — o tym kamieniem!

Zrobił się około niego tłum natychmiast — ciężkie ręce spadły mu na ramiona, wepchnięto go do komisarza, rozpoczęły się pytania:

— Kto ty?

Sekundę się zawahał, chciał nic nie odpowiedzieć albo kłamstwo, żeby Mańkę oszczędzić, ale spojrzał na swój strój posłańca, i z jakąś determinacyą

straceńca rzekł:

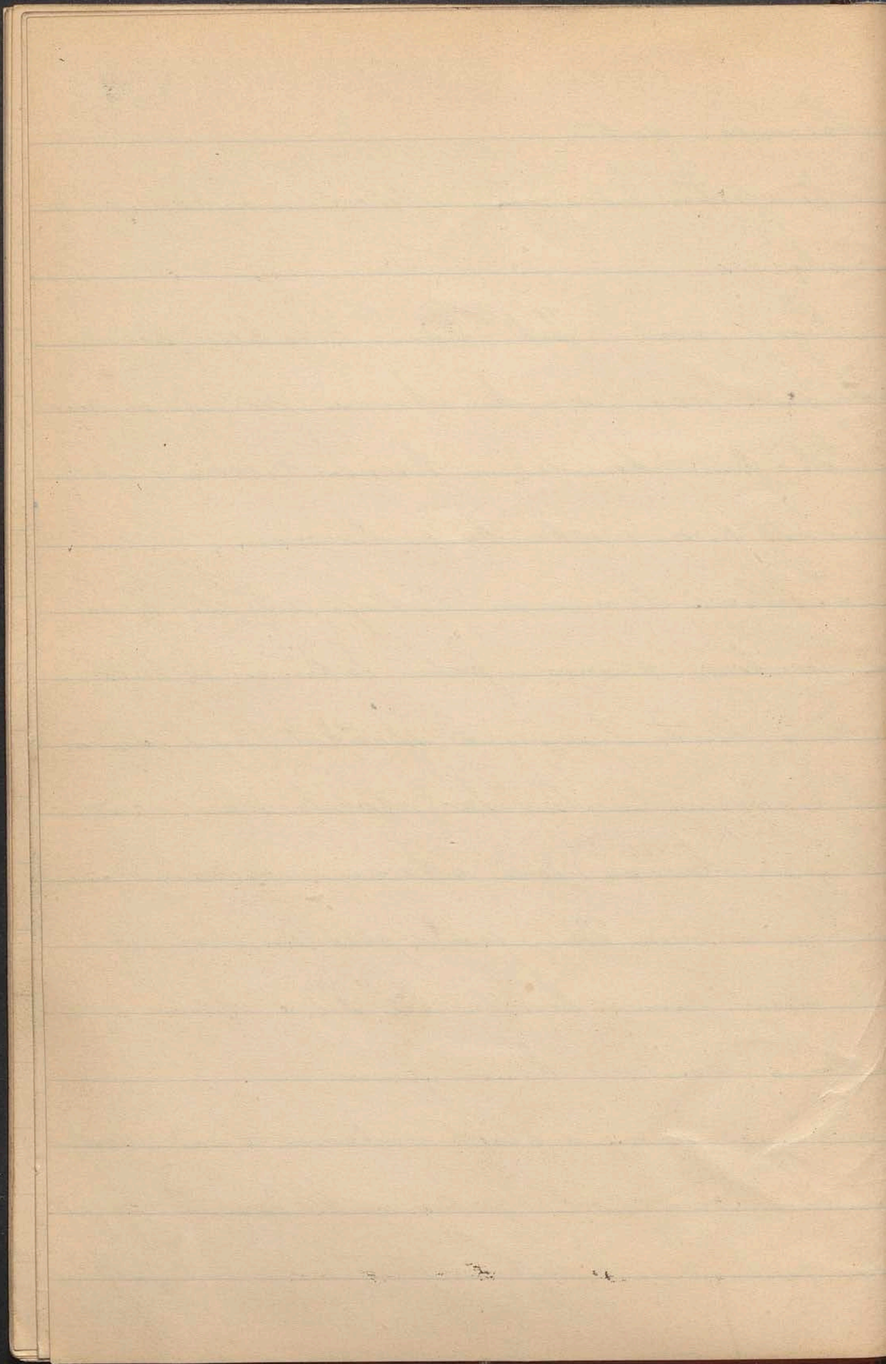
— Ja jestem Ledras, Jan! Mieszkam na Błożej 19-z córką.

— Kogoś zabił? Jak? Gdzie? Z jakiego powodu?

Trzymał wciąż w ręku kamień — położył go na stole przed komisarzem. Kamień czerwony i lepki był od krwi — i ręka była krwawa.

— Zabiłem — kamieniem — takiego, co to się bawi dziewczętami biednemi. Potem takie idą w Wisłę — albo w kanały. I moją to spotkało. Czy tę jedną? Moje wszystkie trzy tak zabili — dla zabawy. Wziąłem kamień — dość ukamienowali ludzie dziewcząt. Ja za te moje trzy — jemu oddałem. Nie będzie się więcej panicz bawił — nie będzie! Koniec jej — i koniec mnie — i koniec jemu.

Podniósł ramię — i otarł rękawem twarz — wystąpił na niej pot — i pokryła bladość. I człowiek się zachwiał, i byłby runął, żeby go nie podtrzy,



mali policyanci.

— Gdzież zabity! Gadaj! krzyknął komisarz.

Ale Gedras był już bezprzytomny, czterech ludzi wzięło go na ręce i wynieśli do aresztu.

We drzwiach spotkali stróża jakiegoś i drugiego człowieka, pędzących z przerażeniem na twarzy.

Zanim przemówili komisarz zawołał:

— Co? Mord?

— Ola Boga, proszę pana pułkownika — począł stróż — onom na minutę zabawił w piwnicy, a to rura pękła — i oto leci ten pan — lokaj od pana Morzyńskiego — i krzyczy — „pana ubito."

Lecimy na górę — leży pan w przedpokoju — jeszcze ciepły — ale już bez duszy. Żywego ducha nie było — i nic nie wzięto....

Komisarz dalej nie słuchał — zatelefonował — sam wsiadł w dorożkę — policyanci poprowadzili stróża i lokaja — na miejsce katastrofy.

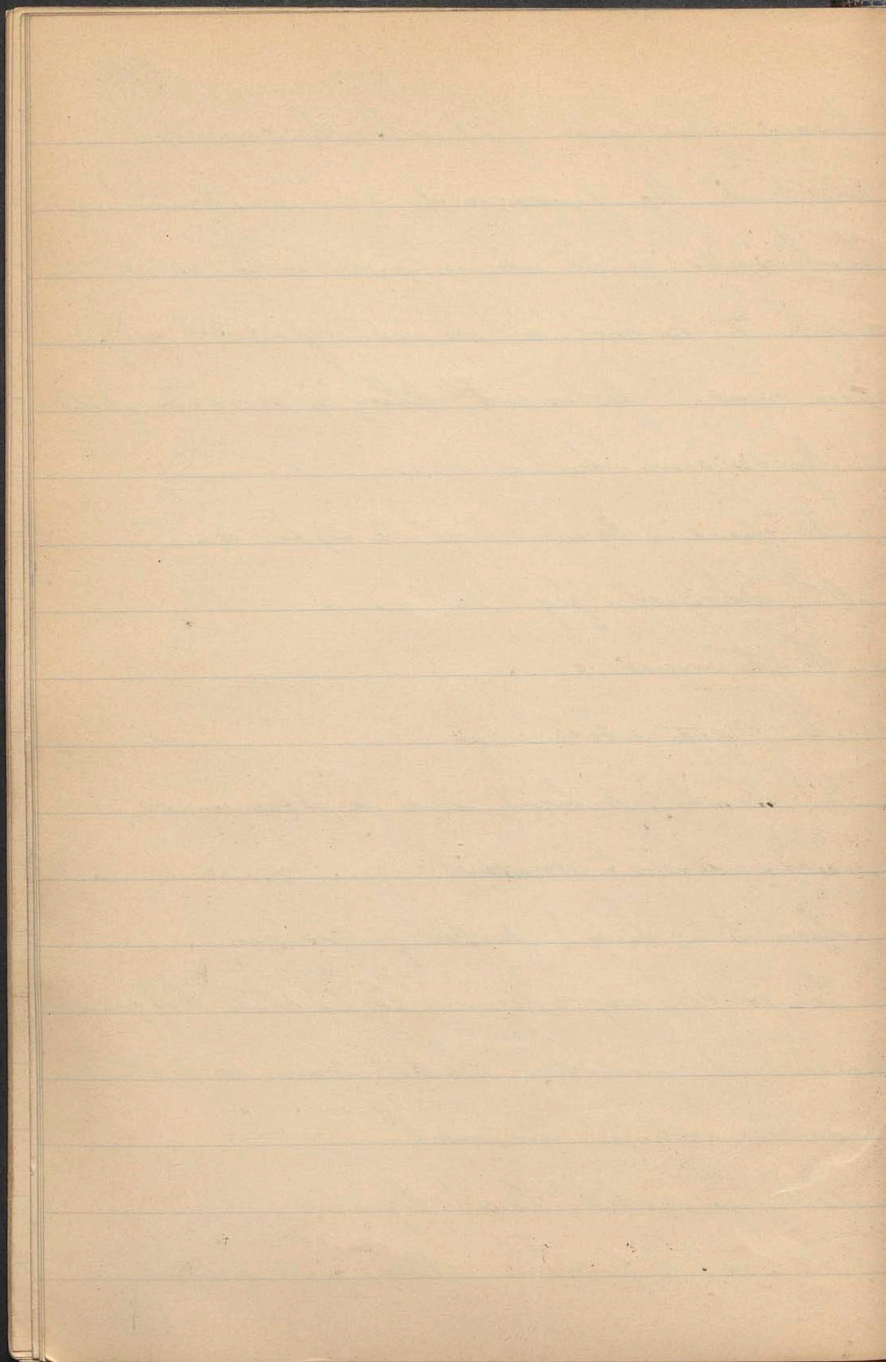
Gdy przybyli – nikogo jeszcze nie było. Trup leżał na środku przedpokoju, z twarzą zmiażdżoną siną i krwawą, bez śladu rysów – na piersiach leżał jakiś papier i banknot 25 rublowy ze śladami krwawych palców. W mieszkaniu była wielka cisza – obok w sypialni, ~~leżał~~ posłanie jakby ledwie ktoś zeń wstał, rozrzucone ubranie wieczorowe – na biurku pieniądze i zegarek. Nic nie poruszone.

W chwilę po policyi przybył sędzia śledczy i doktor – rozpoczęło urzędową czynność, z całą drobiazgowością.

Było po dziesiątej, gdy przed kamienicą stanął Józio Zaręba. Wieczorem po owej uczcie, przyznał się przyszłemu szwagrowi, że potrzebował gwałtownie na parę dni stu rubli. Dudek mu je obiecał, i Józio po nie przyjechał.

W bramie był policyant i tłum gawiedzi.

Mijając, posłyszał jak stróżka mówiła:
— To brat tej panny, co się z nią miał żenić.
Zastanowiło go to, ale że do młodszego miał wstręt
i nigdy się do nich nie odzywał — poszedł na górę.
Tam znowu policyant, który go zatrzymał spytał:
— Wy za czem tu?
— Do pana Mosyńskiego! Co się tu dzieje?
— Oh — skandal. Jego już niema.
— Jakto niema?
— Nu, jego ubito!
— Co! Karęba pchnął drzwi, i skamieniał.
— Jezus, Marya! wrzasnął.
— Pan kto taki? spytał go komisarz.
— Ja, ja. To mój znajomy! Co się stało! Kto go zabił?
— Nazwisko pańskie. Lokaj służy od kilku dni —
nie umie wskazać krewnych.
— Lokaj go zabił? Za co? Ograbił.
— Nie. Zabił posłaniec. Mamy go w areszcie.



Pan raczy uprzedzić rodzinę. Trupa musimy zabrać do prosektorium.

— Ależ jak się to stało? Ograbiono go?

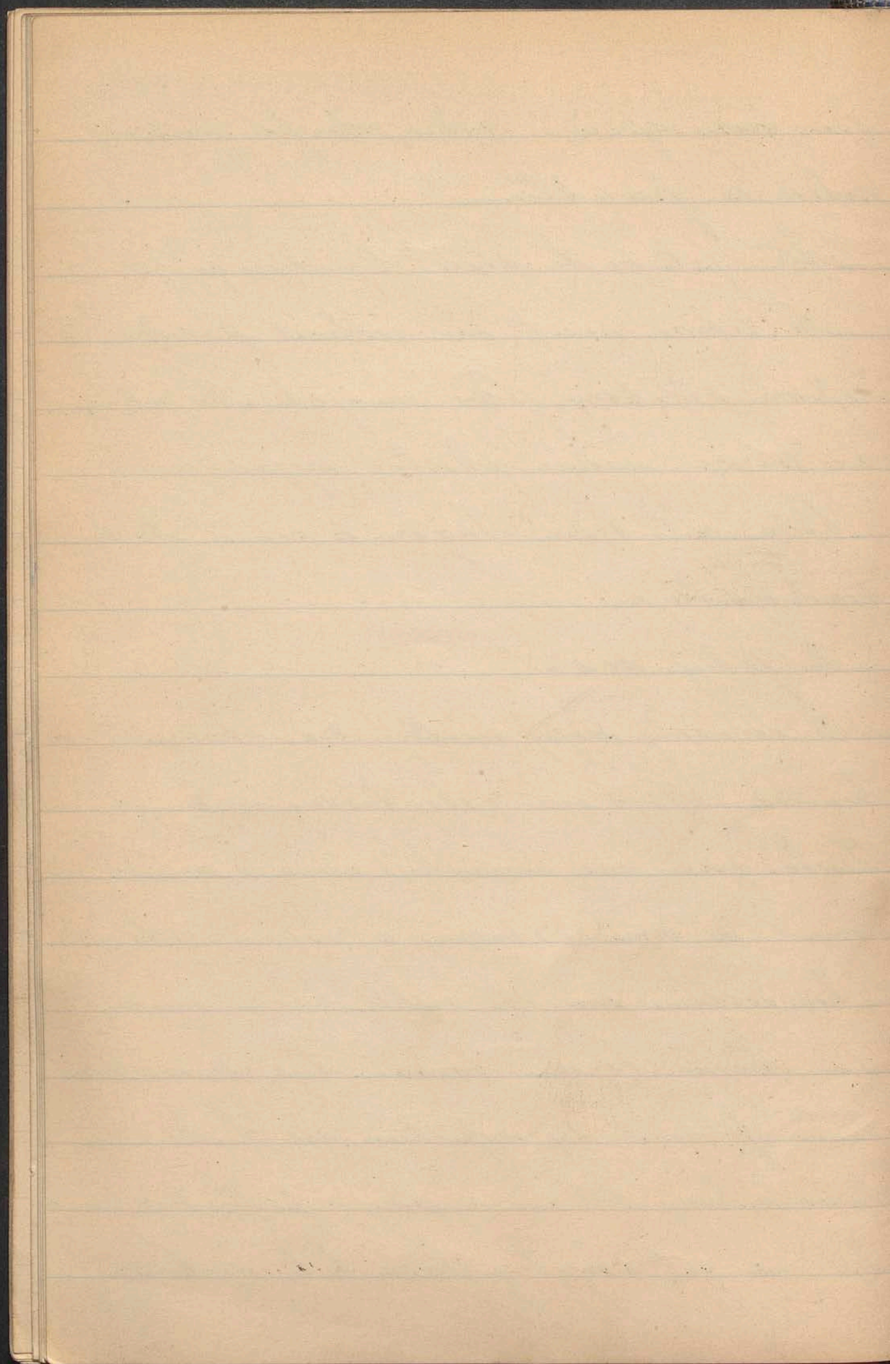
— Nie - zabójca nawet mu zostawił pieniądze. To zupełnie obłąkany, jakiś manjak. Nie można nic jeszcze wiedzieć - śledztwo wyjaśni.

— Boże - co to będzie! Trzy dni do wesela! Taka kompromitacya!

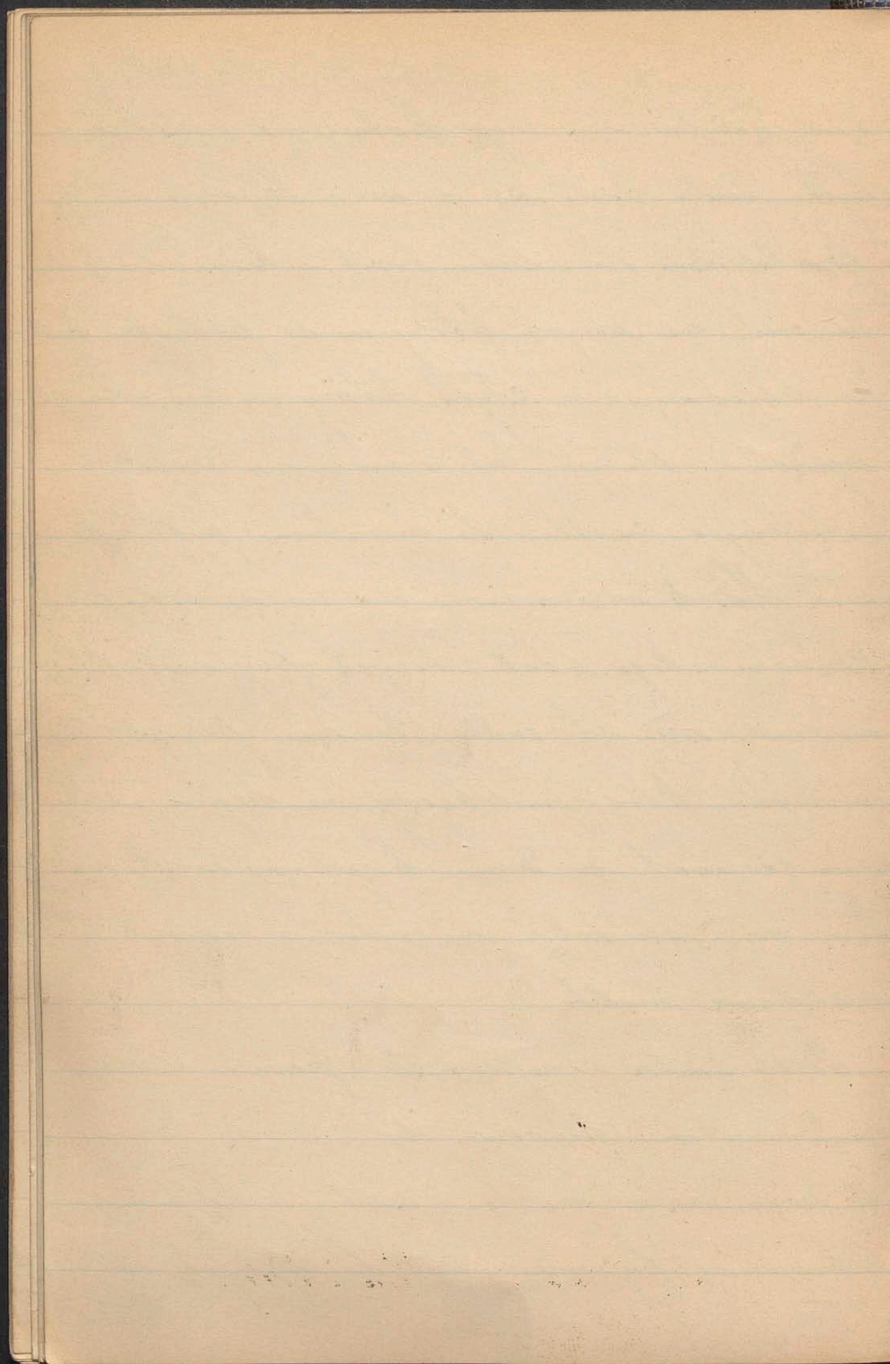
— Do jakiego wesela?

— To narzeczony mojej siostry! Co za skandal!

Komisarz rozłożył ręce z obojętnością urzędniczą. Trzeba podać swe nazwisko, i adres, i wyszedł. Wracał do domu wzburzony, a zarazem zatroskany zkąd dostanie owe sto rubli, które musiał pod słowem honoru zwrócić tegoż dnia o dwu-nastej. Przeraził się wypadkiem, ale Ludka nie żałował; żywy był mu wygodny i potrzebny - umarły był mu już obojętny. Ludzie tak wychowani jak



dzieci Zarzbów - nie mogą kochać nic i nikogo -
tylko siebie. Czuli się w domu bożyszczami - i
pozostali tem dla siebie. Świat i ludzie dzielą się
dla nich - na dobrych, którzy im są potrzebni lub
im schlebiają - i ze złych - którzy im nie chcą
dogadzać i służyć - lub o nich nie dbają.
— Nie mogła się stać ta awantura jutro! pomy-
-ślał ~~[illegible]~~ się rozdrażniony - nie mogąc sobie przy-
-pomnieć nikogo z tak zwanych przyjaciół, któryby
mu dał owe sto rubli. Nareszcie przyszedł mu
na myśl ktoś mieszkający na Kapucyńskiej -
więc zamiast do domu kazał się dorożkarzowi
tam wieźć, ale kolegi nie zastał - i zawrócił do
mieszkania matki.
— Odeślę jutro, i napiszę, że z powodu nieszczęścia
zapomniałem! pocieszył się.
W domu zastał matkę z siostrą w konferencyi
z krawcową. Pyszny bukiet herbacianych róż -



Dziś rano przysłany od narzeczonego stał w gabi=
=necie pełen róż i woni.
Józio wywołał matkę do przedpokoju.
— Mamo — stało się straszne nieszczęście. Tylko
niech mama nie krzyczy i nie mdleje. Ludka
niema?
Zarębina się zachwiała
— Jakto? Uciekł? Co ty pleciesz? Rano róże przysłał.
— To i co z tego. Lokaj róże poniósł, a tymczasem
do mieszkania wpadł jakiś warjat — i zabił!
— Co? Zabił? Kogo? wrzasnęła Zarębina.
— Oh i macie! buchnął zły Józio. Mama chce
cały dom poruszyć!
Na krzyk wpadła Maniusia.
— Co się stało? zawołała.
— Jezus, Marya! Zabity? Co ty gadasz? Ranny może.
— Ależ kto? Co wy gadacie?
— Gdzie ojciec? spytał Józio siostry.

— Wyszedł do rejenta?
— To posyłaj po niego. Nie trzeba ni rejenta - ni nikogo już! Ludek nie żyje!
Mamusia wrzasnęła strasznie i zemdlała.
Zarębina podtrzymała ją.
— Doktora! Ona umrze! To ją zabije! Krzyczała
Powstał w domu popłoch. Ktoś ze służby po=biegł po doktora, inny po Zarębę, stróża posłał Józio po wuja Bolka!
Mamusia dostała nerwowego ataku, położono ją do łóżka, Zarębina szlochała i łamała ręce.
Józio bezradny, znudzony już tą sceną, z bólem głowy po nocnej orgji szukał w bufecie sodowej wody
Pierwszy przybył wuj Bolek.
I on na chwilę osłupiał, grozą zdjęty
— Widziałeś go? Naprawdę - na śmierć zabity.
Co mówił doktor?
— Co miał mówić. Trup. Ani śladu strasznego, ojaszka

zmiażdżona.

— Zabójcę złapali?

— Mówili, że go mają. Jakiś warjat

— Paskudna sprawa. Fe! Trzy dni do ślubu.

Dziewczynie straszna kompromitacja. Żeby to

choć się stało w tydzień później. Teraz dopiero

baby ozory rozpuszczą. Gdzie ojciec?

— Posłałem po niego.

— Licho cię tam poniosło w takiej chwili — teraz

cię wciągną jako świadka do procesu. A wamby

teraz wszystkim wyjechać, i do jesieni się nie

pokazywać — aż się skandal uciszy! I powiadasz

że warjat to był? Skąd? Pocoby go ludek

puszczał — to brednia. To był ktoś znajomy!

Zobaczysz, że to jakaś brudna sprawa.

W tej chwili wpadł Zaręba, któremu już lokaj

wieść zaraportował. Był blady i drżący.

— Co za katastrofa. Boże wielki, co ludzie powiedzą

Zaproszenia na ślub odesłane! Cóż kompromitacy-
jakie będą gawędy, plotki, oszczerstwa. Ach
ja nieszczęśliwy - jedyna córka zgubiona!

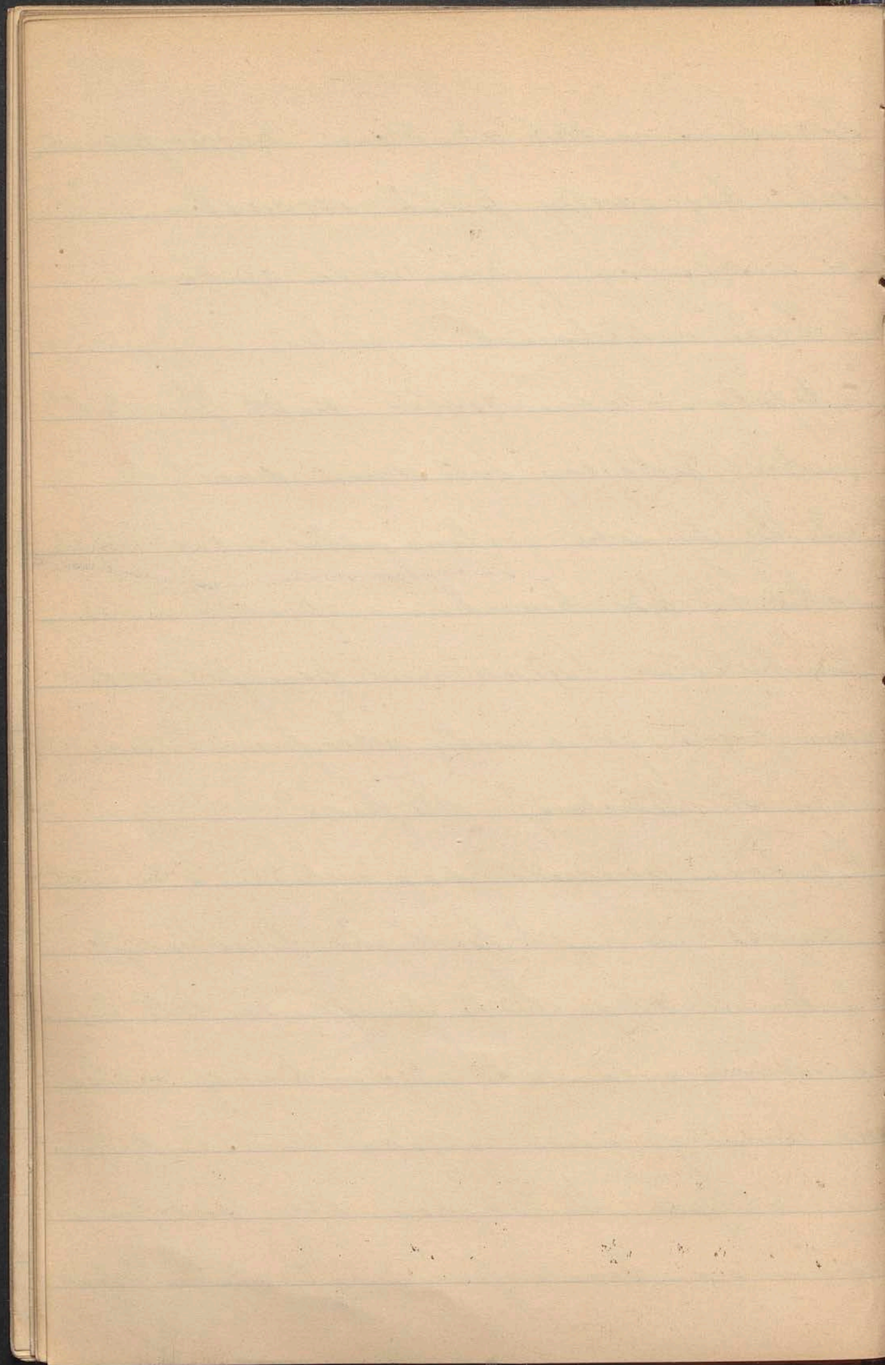
— Trzeba natychmiast wyjechać.

— A jabym właśnie został! rzekł Józio. Co to?
Uciekać!! Jakbyśmy byli czemu winni!

— To też ty sobie zostań, jeśliś ciekawy słuchać,
jakie tu będą komentarze i sprawozdania, burknął
pan Bolesław. Będziesz miał parę pojedynków -
czem jeszcze gorzej siostrę skompromitujesz.

No, a cóż Gelichowa? Rozpacza?

Gelichowa dowiedziała się o wypadku o dwunastej.
Przyszedł do niej lokaj Ludka. Przestraszyła się
ale nie na długo. Ludka poznała dwa lata temu
po śmierci męża - jako jedynego krewnego nieboszczy-
ka. Umiał ją ująć i zjednać; poddała się biernie
jego wpływowi. Ale Gelichowa była oszczędna i
rachunkowa. Dawała pieniądze, ale z żalem, uległa



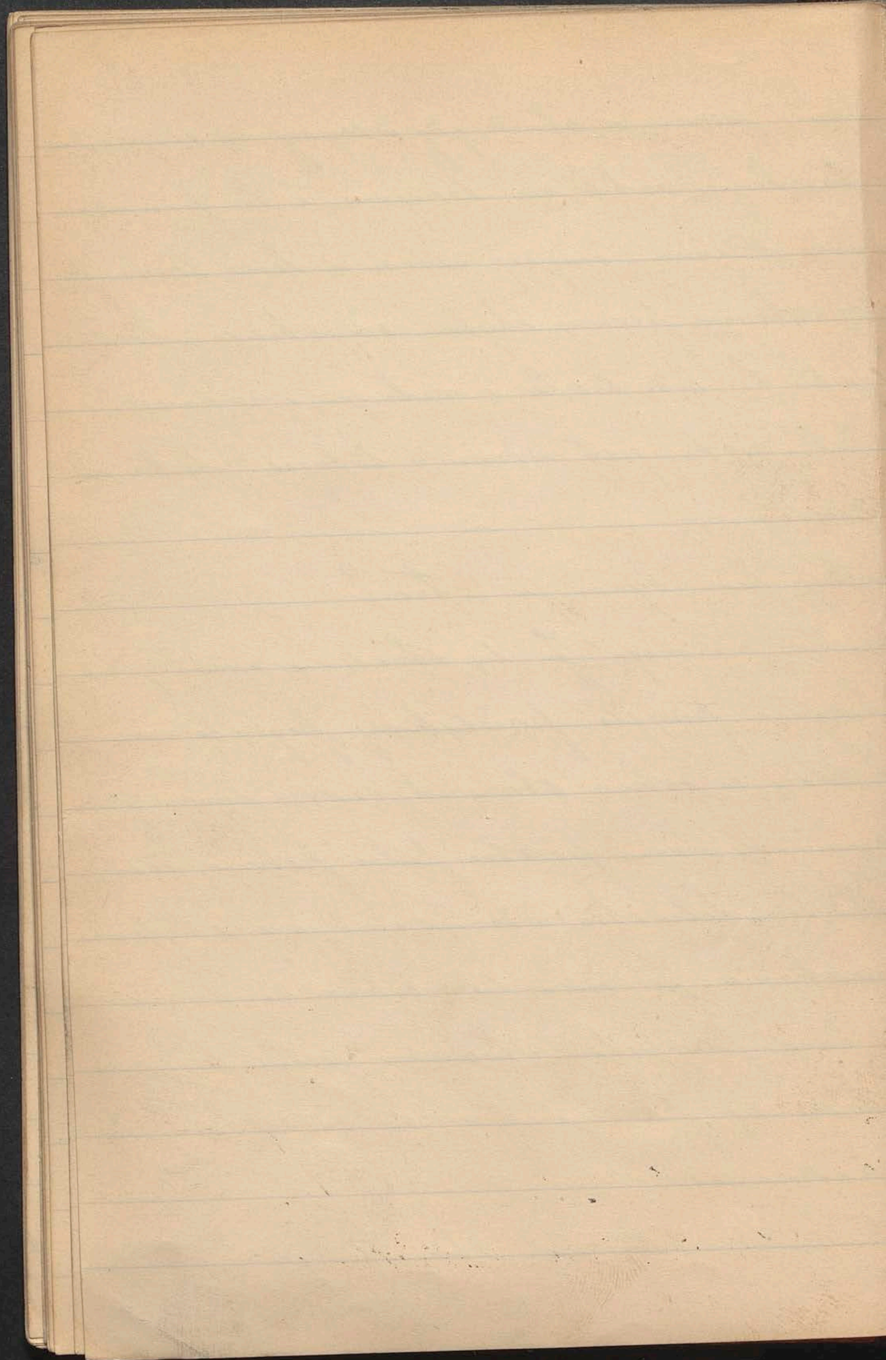
jego woli i kierunkowi, ale z utajonym strachem bankructwa, zwykłej manii zbogaconych rentjerów. Po przerażeniu na wieść o wypadku przyszły natychmiast rozsądne myśli.
Dochodziły ją słuchy, że Zarębowie bankruty, panna rozrzutna, próżna i niepraktyczna — może to opatrzny los czuwał nad jej kapitałami.
Potem zaniepokoiła się o interesa. Dała onegdaj Ludkowi 5000 r na urządzenie i podróż poślubną — co się z niemi stanie — może ukradzione, może przepadną. Mieszkanie było zapłacone na kwartał z góry — meble świeżo kupione! co z tem teraz robić. W takich wypadkach Gelichowa miała doradcę adwokata, i natychmiast po odprawieniu Eljasza — do niego pojechała, cała wzburzona niepokojem o takie grube straty.
— Bo to, proszę mecenasa biadała trochę poprawiając, trzeba będzie teraz za bezcen wszystko sprze-

dać — jeszcze w chwili, gdy wszyscy się rozjeżdżają. Mieszkanie nikt nie odnajmie, a te pieniądze moje własne — onegdaj dałam — a teraz trzeba je spadkowym prawem chyba odzyskiwać. Mój Boże jakie to będą koszta i mitręga i ambaras! Ach — ciężko jest wdowie i kobiecie! Takie nieszczęście.

— Czy pani była już — tam?

— Nie — nie mogę! Ja się strasznie umarłych boję. Kazałam przyjść przedsiębiorcy pogrzebowemu. Zapłacę — co robić — obowiązek zawsze święcie spełniam! Ale — tam — podobno pełno policji, sąd-śledztwo. Żeby choć w zamieszaniu nie okradziono mieszkania. Ja ledwie się zebrałam na siły, żeby do pana przyjechać. Strasznie jestem poruszona. Muszę się położyć! Boję się, że odchoruję ten straszny cios!

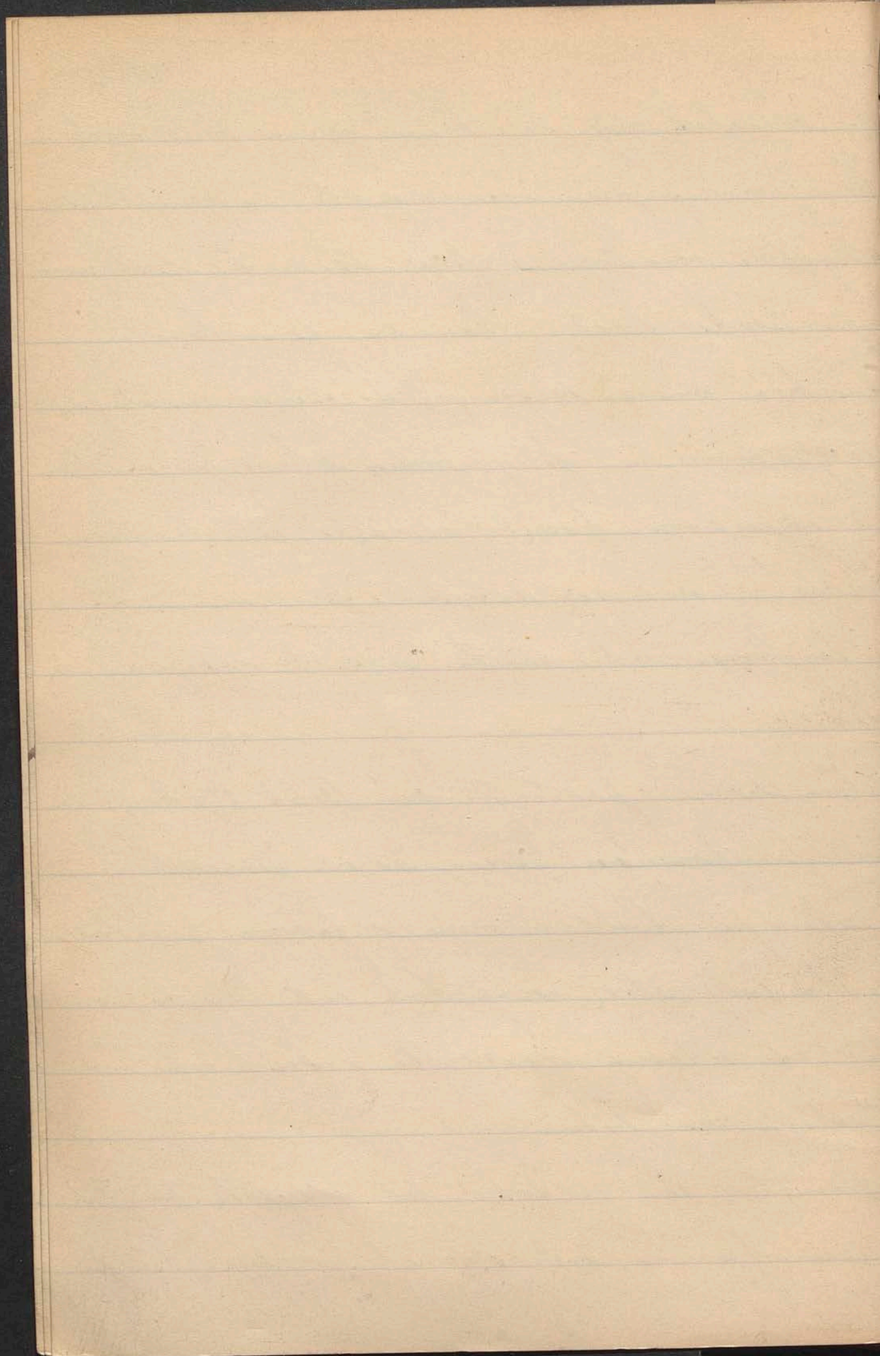
Położyła się też zaraz, obwiązała głowę, i stękając



targowała się z przedsiębiorcą pogrzebowym, potem kazała służbie nikogo nie przyjmować, bojąc się kondolencyj. Dzień minął spokojnie — wieczorne gazety wydrukowały tłustym drukiem:
„Straszna zbrodnia na ulicy Sadowej!" Dziś rano stróż domu N. 4. na ulicy Sadowej został zaalarmowany przez lokaja mieszkającego tam pana Ludwika Mosyńskiego, że pan jego (został) zamordowany. Gdy weszli przez kuchnię do mieszkania — znaleźli na środku przedpokoju — martwe już zwłoki — i zawiadomili natychmiast policyę. Przybyły na miejsce sędzia śledczy, doktor i komisarz cyrkułowy — stwierdzili że denat został zabity uderzeniem tępego narzędzia w skroń. Zabójca pastwił się następnie nad swą ofiarą, miażdżąc twarz i czaszkę.
Zabójstwo nie było spełnione w celu rabunku, zbrodniarz po dokonaniu strasznego czynu, zostawił na pierścieniu zabitego jakiś herb, i sam następnie

oddał się w ręce sprawiedliwości. Jest to zapewne
manjak lub obłąkany. W cyrkule dostał ataku
nerwowego, i w stanie niepoczytalnym został odwie-
ziony do szpitala więziennego. Nazwisko jego
jest Jan Gedras, a szczegół charakterystyczny,
że pozbawiony jest lewej ręki. Mordu dokonał
zwykłym kamieniem, z niesłychaną siłą i zręcznością
zważywszy jego kalectwo, a młodość i siłę ofiary.
Pan Ludwik Morzyński znany jest w szerokich
kołach naszego miasta, i pozostawia po sobie
szczery żal całego grona ludzi, którzy cenili w nim
młodzieńca wielkich zdolności i przymiotów.
Zbrodnicza dłoń zezwierzęconego szaleńca przecięła
to życie tak bogate, tak świetne, rokujące tyle
nadziei. Jaskrawy to dowód zdziczenia obyczajów
niższych warstw i upadku moralnego i religijnego
naszego ludu!" — —
W Targów kupiono wszystkie gazety - i czytano

że strachem czy nie będzie wzmianki o nich.
Józio, „naciągnąwszy" ojca na sto rubli, obleciał
wszystkie redakcye, i przez stosunki pohamował
reporterską swadę. Mamusia gorączkowała.
Zarębina miała migrenę. Mężczyźni czytali gazety
i uspokojeni, że przynajmniej skandalu drukiem
nie roznieciono - poczęli rozważać, co dalej czynić.
Zaręba jeszcze raz artykuł przejrzał, i rzekł:
- Jan Gedras. Skąd mi to nazwisko wydaje się zna-
jome.
- Jan Gedras! powtórzył wuj Bolek. Czekaj, i ja
coś przypominam! Gedras. Gedras! Jednoręki!
- Mam już! Był u mnie w fabryce przed kilku-
nastu laty stróż nocny! Tak, tak! Czyżby to on
był - ale właśnie - i nazwisko - i brak ręki!
Spojrzeli na siebie.
- Pamiętasz go - ja sobie już wszystko przypo-
minam. Ponury, dziki człowiek - wyprawiłem go.



szczególny wypadek. Odszedł po jakiejś awanturze nie pamiętam już jakiej! Spytam Teresi - może ona przypomni! To dziwne! A może - on to zrobił przez zemstę. Może wiedział kogo zabija!

— Przez zemstę? Zaco? ruszył ramionami Józio.

— Za wydalenie!

— Ot - ojciec fantazjuje!

Wuj Bolek patrzał na którego - i myślał. Powoli przypominał sobie wszystko, ale nie mówił nic.

— Co za list znaleziono przy nieboszczyku? spytał nagle Józio.

— Nie wiem. Przyszedłem, gdy już były władze.

— A ja wam mówię - chłopcy, pewny jestem, że ten zbój zrobił to przez zemstę! wybuchnął Zaręba. Teraz go sobie doskonale przypominam - zuchwały, dziki, ponury. To zemsta! Udaje szaleństwo - on to zrobił z premedytacyą. Ja to wszystko opowiem sędziemu śledczemu! Ja mu nie daruję!

— Daj pokój. Nie mięszaj się do sprawy kryminalnej, której nie rozumiesz. Mówię ci — wyjeżdżajcie. Co się stało — to nie odstanie. Dziewczyny ze dwa lata nie można pokazywać w Warszawie. A zresztą, to jeszcze kwestya, czy ten Mosyński, był tem, czem go zrobiono. Ale, byliście z kondolencyą u Zielickiej?

— Nie! Na licha nam to bebsko teraz! burknął Zarzęba. Żeby nie jej pieniądze — nie siedzielibyśmy teraz w tej awanturze.

Wuj Bolesław się roześmiał, zastosował mu fajkę. Z sypialni ozwał się żałośliwy głos Zarzębiny.

— Trzeba zapowiedzieć służbie, żeby jutro nikogo nie przyjmowano. Wszyscy przyjdą naigrawać się nad nami, tryumfować! Ah Boże, ja tego nie przeżyję! Maniusia tak go kochała!

— To najmniejsze! Będzie kochać drugiego! rzekł lekceważąco pan Bolesław.

— Drugiego! jęknęła Zarzębina. Po takim skandalu

kto o niej pomyśli!

— Ah, za jakie dwa lata wszyscy zapomną.

— Dwa lata! Boże wielki! Dwa lata ma jeszcze siedzieć w domu!

Pan Bolesław zniecierpliwił się.

— To ją oddajcie do jakiej ochrony, jeśli wam zawadza!

— A wszystko przez taką przeklętą żmiję. Ach — żeby go chociaż powiesili, gałgana! zawołał Zarzyba. A ja się dowiem jak śledztwo się toczy! Ja dopilnuję.

— I zrobisz kapitalne głupstwo! rzekł pan Bolesław wstając.

— Nie odchodź, Bolku! wołała Zarzbina. Nie zostawiaj nas samych.

— Będzie tu za chwilę legion twych sióstr z najświeższemi plotkami, a ja mam winta u Salnickiego.

— Jak on już dawno u nas nie był! A tak Manię lubił. Warto żeby w takiej chwili nas sobie

przypomniał.

— Przecie nie chcesz nikogo przypomnieć! ironicznie zauważył pan Bolesław.

W przedpokoju raz jeszcze rzekł do Zaręby.

— Ostrzegam cię, do sprawy się nie mięszaj. Już i Józio niepotrzebnie wlazł - a ty samochcąc się nie wplącz! Zobaczysz, że to będzie brud i wstyd!

Zaręba nic nie odparł, ale czuł pan Bolesław, że go przestrzegał na próżno.

Dużo przyjaciółek i życzliwych dzwoniło nazajutrz do Zarębów - ale nie zostali przyjęci z racyi, że „panienka" chora - i odeszli z zawiedzeniem w nadziei obejrzenia naocznie nieszczęśliwej narzeczonej.

Nie mówiono dzień cały o niczem tylko o tym wypadku, krążyły najpotworniejsze wieści i szczegóły. Do Żelichowej dzwoniono też nieustannie, nie były to jednak wizyty kondolencyjne. Byli to wierzyciele Mosyńskiego. Stara rozchorowała

się naprawdę – i sprowadziła swego adwokata. Okazało się, że Ludek żył szeroko, i nie płacił. Miał kredyt – oparty na jej funduszu, i na jej latach podeszłych. Dawano mu chętnie z pewnością że „stara prędko kipnie” – tymczasem się przera=chowano. Cała massa wierzycieli rzuciła się na Gelichową. Byli tam krawcy i utrzymujący remizy, jubilerzy i ogrodnicy, hotele, restauracye, cukiernie, cały legion, żyjący ze zbytku i przyjemności takich elegantskich panieżów. Byli pożyczający na weksle i znaleźli się wszyscy co urządzali mieszkanie, i właściciel kamienicy – ci – na których tak nie=dawno dała Gelichowa gotówki.

– Gdzie moje pieniądze! Co on z nimi zrobił! On mnie przez te parę lat kosztował czterdzieści tysięcy! krzyczała w bezsilnej złości i rozpaczy. Adwokat, człek zimny i obyty ze wszelkiemi interesami, przejrzał cały stos kitów – różnego

stylu i ortografii - ale podobnej treści.

- Niech się pani nie irytuje. Prawnie do niczego to panią nie obowiązuje. Mieszkanie i meble zlicytują - zresztą nic. Sumiennie chyba możeby pani przyjęła te pretensje, bo są tu ludzie naprawdę ubodzy - wyzyskani, skrzywdzeni.

- Czterdzieści tysięcy mnie kosztował - nie dam grosza więcej. Jaki on mój krewny nawet: syn mojej ciotecznej siostry. Otumanił mnie - udawał. oszukiwał! Nie dam grosza!

- Będzie pani miała wiele nieprzyjemności. Możeby z nimi wejść w układy? Będą gadać, pisać - wymyślą różne skandale.

- Niech robią co chcą - nie dam grosza!

Znienawidziła Moszyńskiego, oddawała go bez wahania na pastwę zaciekłości wierzycieli, i nazajutrz, nie doczekawszy nawet pogrzebu wyjechała za granicę.

Ludek żył i był sławny w Warszawie przez trzy

karnawały – po śmierci zajął i bawił jeszcze trzy dni – na pogrzebie był tłum próżniaczej gawiedzi ciekawych – potem przyszedł inny skandal, inna nowina, inny wypadek – mówiono o nim coraz mniej w coraz ciaślejszym kole – ludzie się poczęli rozjeżdżać na lato, miasto wyludniać się z tej warstwy właśnie, w której on działał i żył – i imię jego i pamięć została tylko – w sądzie. Rozpoczęły się spory o długi – i rozwijało się powoli – z nieubłaganą drobiazgowością – śledztwo mordu. –



Gdy się rozegrał krwawy dramat na Sadowej – Antoni Dłuch – był w Petersburgu w jakiejś sprawie klienta. Wrócił w dwa tygodnie później. Dłuch się wybił przez te lata – był już znany – miał coraz szerszą praktykę – był na drodze do sławy – Mieszkał skromnie – bezżenny – z siostrą.

Nie mieli żadnych stosunków, ciążyła nad nimi
klątwa bezlitosnej opinii ludzkiej. Nie starali się
zresztą z nią walczyć, i nie czuli braku towa-
rzystwa. Ona jak dawniej uczyła biedne dzieci-
on był zapracowany - wieczory spędzali samotnie-
nigdy nie tęsknigc za inną rozrywką jak czytanie
lub rozmowa.
Otóż gdy ojciec wrócił - i zasiedli do wieczornej
herbaty - siostra opowiedziała mu o wszystkim.
- Wiesz? To był narzeczony tej Zarębianki - a który
byłeś korepetytorem? Pamiętasz?
Wtedy ojciec przeczytał schowaną dłoni gazetę -
i rzekł:
- Jan Gedras - powstaniec jednorocki - i to znajomy -
pamiętasz taką czarną dziewczynkę, która u ciebie
bywała - to była jego córka. A on parę razy
jeszcze niedawno zagabywał mnie na ulicy - i
dziękował, i ofiarował usługi. To był ambitny

i kaźdy człowiek. Szczególny wypadek. Jutro się dowiem, kto sprawę prowadzi, i pójdę. W tem musi być jakaś tragedya!

— Dowiedz się — co stało z dziewczyną. Może potrzebuje opieki!

Szuch nazajutrz był u sędziego śledczego.

Dowiedział się, że Gedras dotąd był ciężko chory — i lekarze odjęli nadzieję, że żyć będzie.

Dowiedział się też, że córka jego tegoż dnia gdy spełniono morderstwo znikła z mieszkania, i dotąd na ślad jej policya wpaść nie mogła.

Sprawa w skutek tego i choroby przestępcy była zaledwie rozpoczęta, zresztą nie przedstawiała wielkiego zajęcia, ani komplikacyi. Aż się zdziwił sędzia śledczy, gdy Szuch oznajmił, że będzie obrońcą.

Wprost ztamtąd Szuch pojechał do Gedrasa.

Nie poznałby go. Był to cień i szkielet — ruina człowieka. Leżał bez ruchu, bez wzroku w oczach,

bez wyrazu życia na twarzy.

— Poznajecie mnie? Jestem Antoni Głuch - nie pamię-
tacie studenta, brata pani Gałeckiej - u której
szyła wasza córka? Przyszedłem was odwiedzić.
Jędras długo się w niego wpatrywał - wreszcie
wyszeptał:

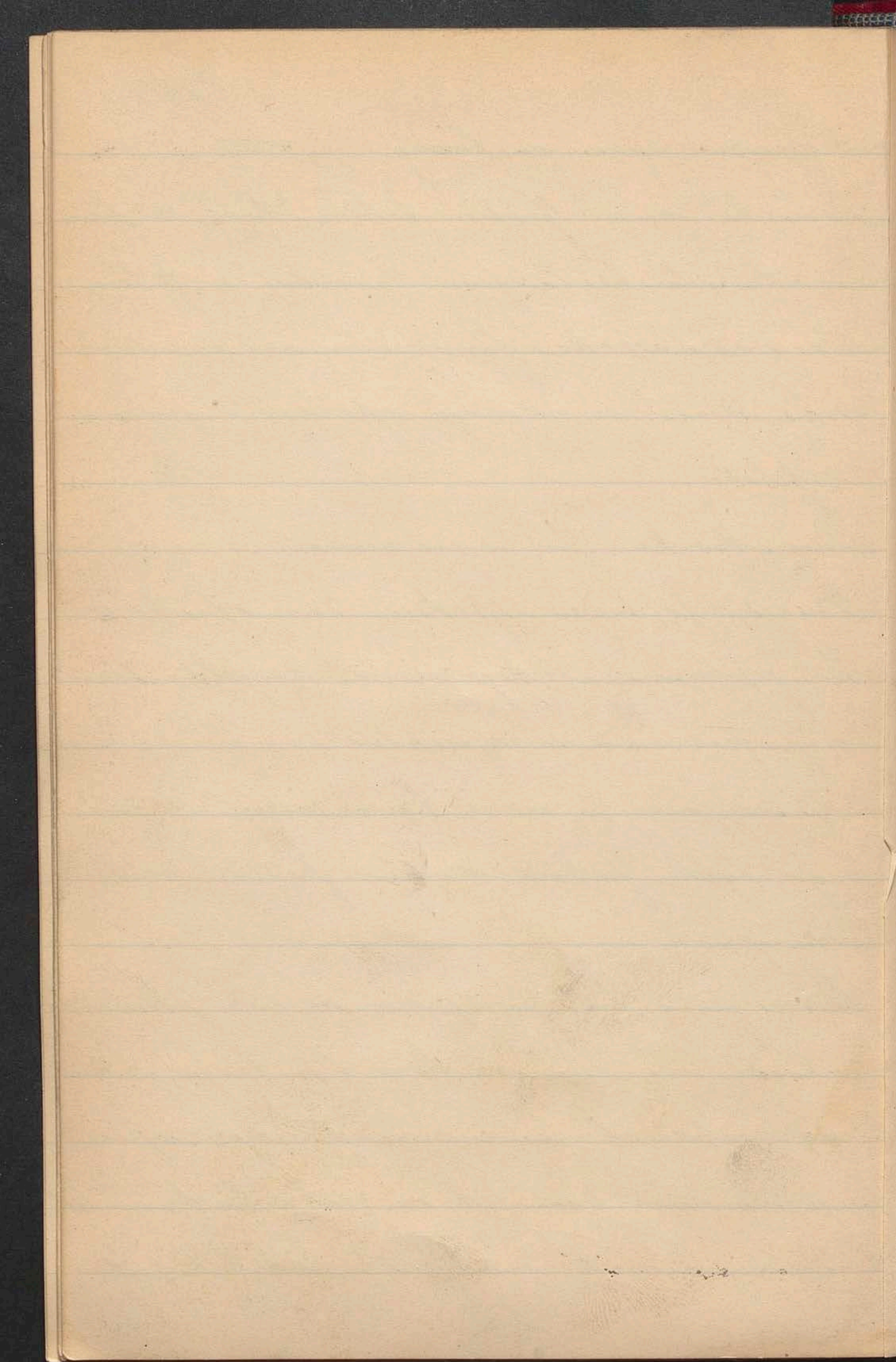
— Gdzie Mańka? Już i jej niema.

— Odnajdę ją, bądźcie spokojni - dam opiekę

— Już jej niema. Nikogo niema! Wszystkie trzy
poszły - pod maszynę. wyszeptał.

Głuch zrozumiał, że mówić z nim jeszcze nie pora,
więc go tylko polecił stróży - i poszedł szukać
dziewczyny.

— Proszę pana, toć już jej szuka cała policja!
opowiadał mu stróż - na dworze. Dla Boga jaka
to się zrobiła chryja - co mnie naciągali - i pana
zgoła! To w ten dzień - jak on zrobił ten kreminał,
to dziewczyna jak rano poszła, tak tyle ją i



widzieli. Niezawodnie do Wisły skoczyła, gdzie za miastem, i po próżnicy szukają. Mieszkanie to stoi opieczętowane - już tam przetrzęśli każdą szmatkę a co tam znajdą ciekawego. Biedne ludzie byli - ale rzetelne, dziewczyna głupstwo zrobiła, to prawda - ale ten bezręki, miałci ryzykę jak jaki hrabia. Za serce go wzięło, że ten pan ino 25 rubli zwiał - mógłci sądem zastraszyć, toby więcej dał - a ten odrazu w łeb! Nie poznasz nigdy człowieka - jak policya wpadła - i tom posłyszał - tom zgłupiał. Trzy lata u nas mieszkał, nigdy nawet złego słowa nie rzekł.

— Może wiecie kto u nich bywał, z kim żyli?

— Tak naprawdę to z nikim. Stary odstraszył kawalerów - a jedną dziewczynę, co do córki przychodziła to raz wygnał z taką złością, że się odgrażała sądem. Ale tylko gadała - bo to taka była, to któby jej się bał.

[illegible]

— A tej nie wiecie, gdzie mieszka?

— Ktoby wiedział. Ot po ulicy się włóczy. Zresztą to dawno było, i potem się nie pokazała.

Stach stracił nadzieję osiągnięcia tu jakiej informacyi, i wrócił z niczem do domu.

W kilka dni potem odwiedził znowu Cedrala. Fizycznie był zdrowszy, ale miał ten sam tępy wyraz twarzy, i martwe oczy.

— A co? Niema Mańki! rzekł apatycznie.

— Bez was się nie odnajdzie. Musicie pomódz!

— W Wiśle!

— Nie może być. Znalezionoby trupa. Ukryła się zapewne, a wiecie, że w jej położeniu może się do=stać w najgorszy wyzysk. Pomściliście ją, rozumiem, ale teraz pomyślcie i o niej. Gdzie mogła się ukryć, u kogo? Czy miała pieniądze? Mówcie mi wszystko. jestem waszym przyjacielem, bronić was będę w sądzie. Dziewczynę ratować trzeba, niema chwili

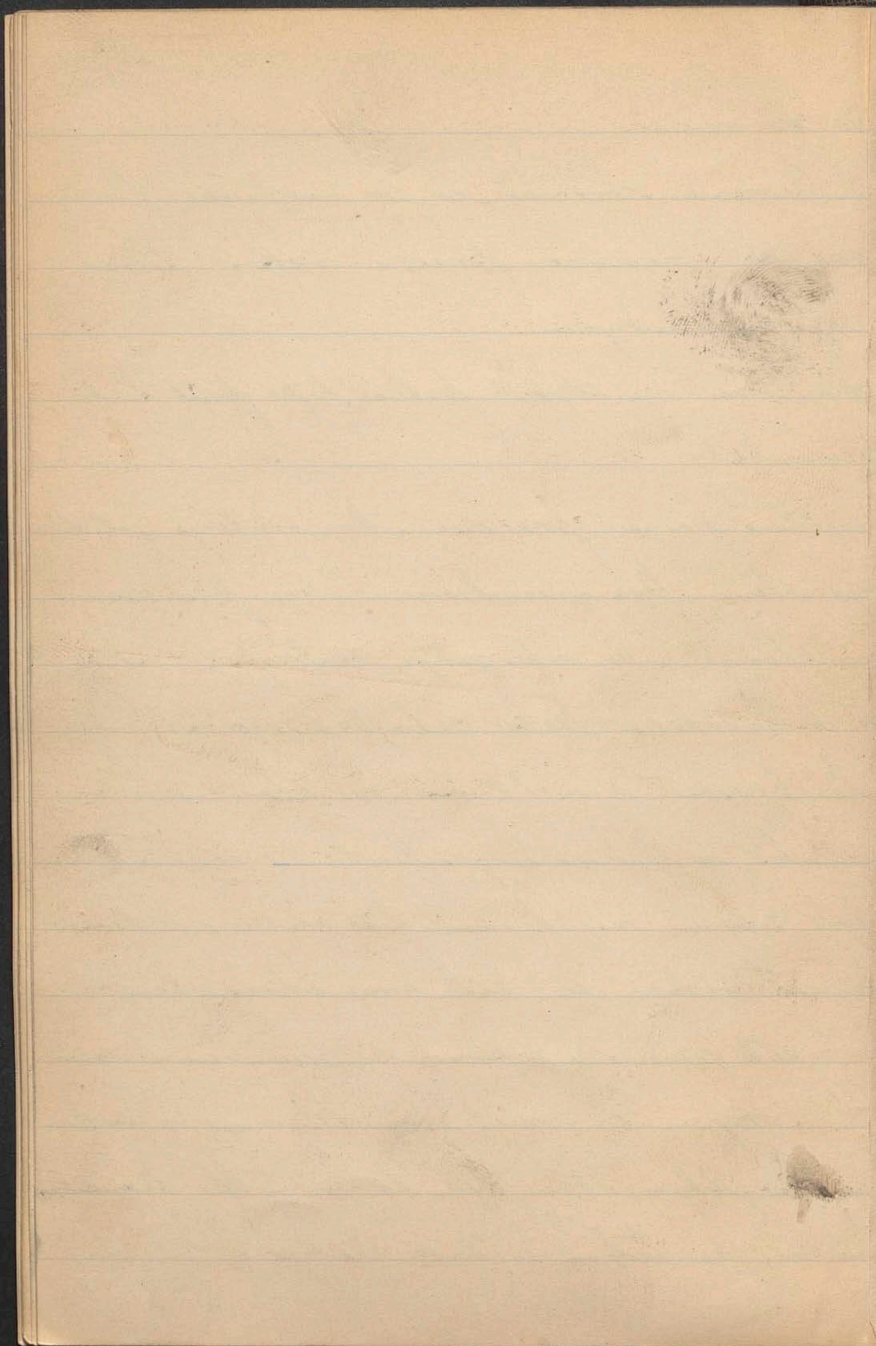
do stracenia.

— Nie mnie obronicie, ni jej uratujecie. Przez nas już maszyna przeszła, szepnął Giedras.

— Jaka maszyna?

Ale Giedras nie słyszał, patrzał tępo przed siebie i mruczał.

— Mnie bronić – przed czem! Mnie nic złego już się nie stanie. Poco mnie bronić. Nikogo – przed niczem nie obronisz. Nie wolno zabijać – za trupa karzą. I mnie skażą. Wolno zabić duszę – ja tak moją Marikę zabił – a nikt mnie nie skarał w sedy – i zabił ów tę moją drugą Marikę – i niby mu nic było – żeby nie mój kamień. Pod maszynę ja kamień cisnął – rozbiła się – za to mnie skażą. Mnie już wszystko jedno. Nie zapieram się – rzuciłem kamień. I nie kajam się – niech mnie trzymają w ciemnicy, bo gdybym wolny był – tobym tylko kamienie ciskał – na takich co dusze zabijają!



Zatrząsł się cały, i targnął koszulę na piersi.

— Zdrowa była, młoda, śpiewała, śmiała się, pracowała — nikomu nie szkodziła. Wychowałem jak to kocię, wyrzucone na drogę — nikt nie chciał, nikt nie dbał — nikomu nie było potrzebne póki małe, póki marne, póki niedołężne. Aż na zabawę się zdało — to się zabawili. I ot w wodę poszła — jak to kocię — bo już znowu nie potrzebne! A jeśli nie w wodzie — to co jej? W rynsztok, w uliczny kąt — po jadło ze śmietnika!

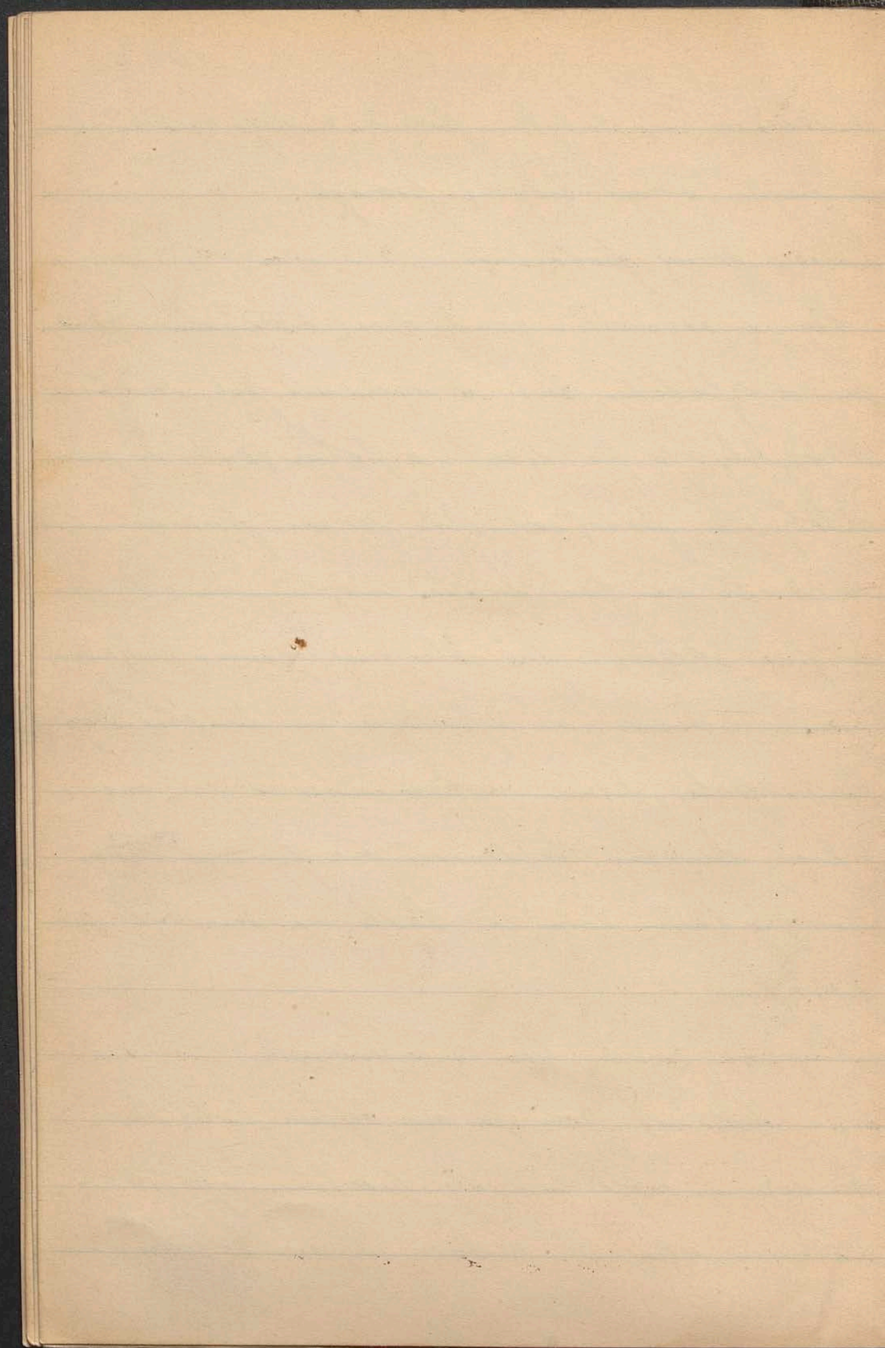
— Jędraś! nie mówcie tak — byle ją odnaleźć — nie damy zginąć!

— Co odnajdziemy? ot to ciało, żywe a sponiewierane, żeby taki koniec miało jak tamta Mańka

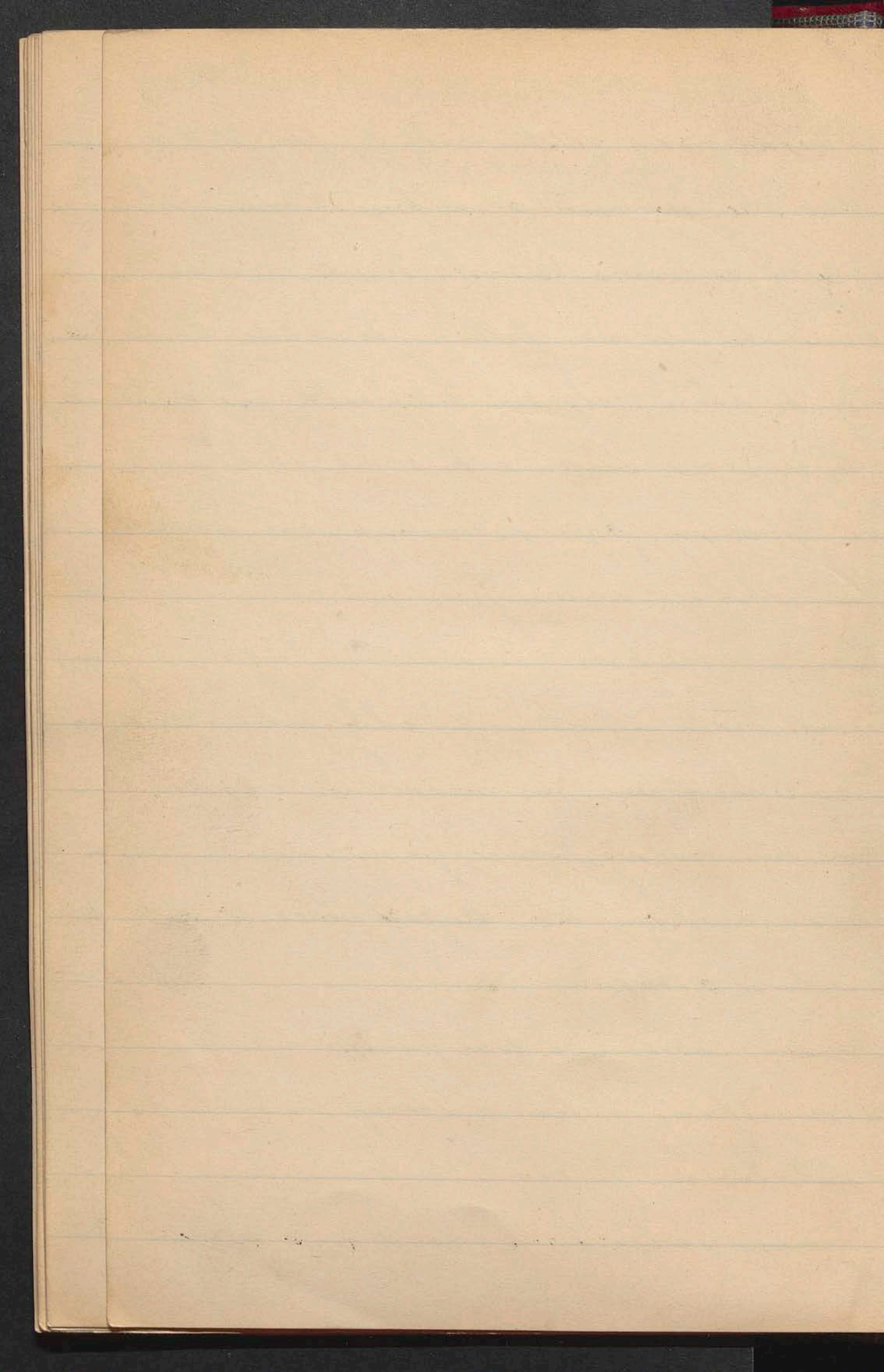
Nie damy zginąć — mówi pan — zginęła już ona — zginęła Ja ją chował — ja ją znam. Ona ni na zabawę, ni na odpust szła, nie sprzedawała się — umiłowała.

— A wy ją teraz oddajecie na ostateczne zatracenie!

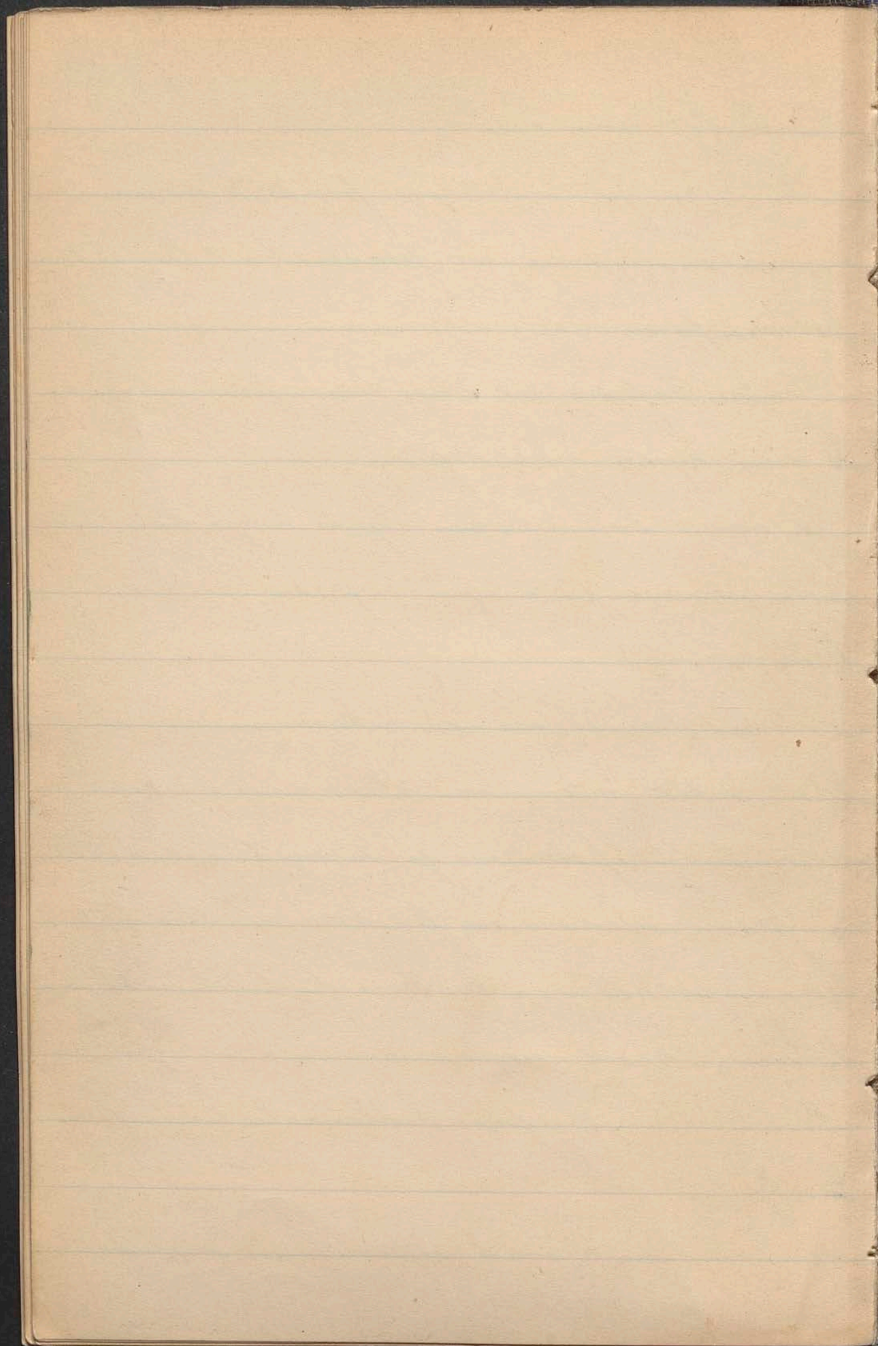
Zastanówcie się. Żebyście powiedzieli kogo znała, gdzie się mogła ukryć, żebyście pomogli!
Jędras głową potrząsnął.
— By ją odnaleźli — gdzieby teraz była? — tam gdzie ją — w szpitalu lub w więzieniu — pod śledztwem, wtóczyliby ją po sądach — a potem gdzieby się podziała ktoby jej pracy dał — kto jej nie potrąci.
A choćby na kraj świata uszła — nie ukryje się przed klątwą — już dla niej niema uczciwego życia, ni wesela, ni spokoju, ni prostej drogi.
Dajcie pokój, panie — ukamienowana już ona — i prócz kamieni do śmierci nic jej nie dadzą.
Daj jej Boże teraz w Wisle, na dnie być — tam jej lepiej.
— Czyście znali tego jej uwodziciela?
— Ja? Zkąd? A poco ja mu byłem potrzebny?
Dziewczyna moja mu się podobała — opętał ją — okłamał, wciągnął — zabawić się chciał. Mnie dał



czterdzieści groszy za kurs – by jej zanieść 25 r. –
Wtedym się dowiedział wszystkiego. W naszym stanie
dziewczyna bezbronna. Ledwie z dziecka wyrośnie za=
=robia – nikt jej nie pilnuje – bo chleba trzeba.
Każdy się stara, żeby żyć. Żeby matkę miała, toby
to się może nie stało – albo i nie. Nikt nie ura=
=tuje dziewczyny przed miłowaniem – one wszystkie
takie. Miłuje i wiedzy.
– Jesteś ją miłujcie? Żona nie żyje?
Gedras dziwnie się skrzywił, jakby jakimś śmiechem.
– Nie ma nic, nikogo – już nie, nie.
Wargi mu zadrżały, zwiesił głowę.
– Gorzko miłujcie dziś! szepnął stary, do głębi
przejęty i wzruszony.
– Czy ona zabrała ze sobą pieniądze i papiery?
Nie wiecie, panie, co tam w stancji znaleźli?
spytał Gedras po chwili milczenia.
– Nie wiem – jutro tu do was wrócę i powiem.



Nie trzeba wam czego?
- Mnie? Nic. Już mnie stąd prędko do więzienia
wezmą. Jeszcze mnie nie przesłuchiwali. Czy to długo
potrwa, panie?
- Śledztwo? Zapewne nie długo. Przecie przyznaliście się
do winy, wyrok będzie względny.
- Ja się nie boję wyroku. Tylko mówić każą, będą
pytać, męczyć. Całe życie rozgrzebią!
Wzdrygnął się.
- Mówcie prawdę - nic nie ukrywajcie.
Kobas zapadł w zamyślenie - i nic więcej nie rzekł.
Nazajutrz przeprowadzono go do więzienia, a w kilka
dni potem stawiono raz pierwszy na śledztwie.
Sędzia spojrzał nań bystro, i po kilku wstępnych
zapytaniach - rzucił nagle:
- Czyście służyli przed kilkunastu laty u pana
Sarby.
Na to pytanie człowiek odpowiadający dotąd spokojnie,



jakby się zarzekał:

— Nie pamiętam? odparł.

— Staraj się przypomnieć.

— Może być — tyle lat — zapomniałem.

— Czy znałeś pana Ludwika Moszyńskiego, spotkałeś go kiedykolwiek przed owym dniem?

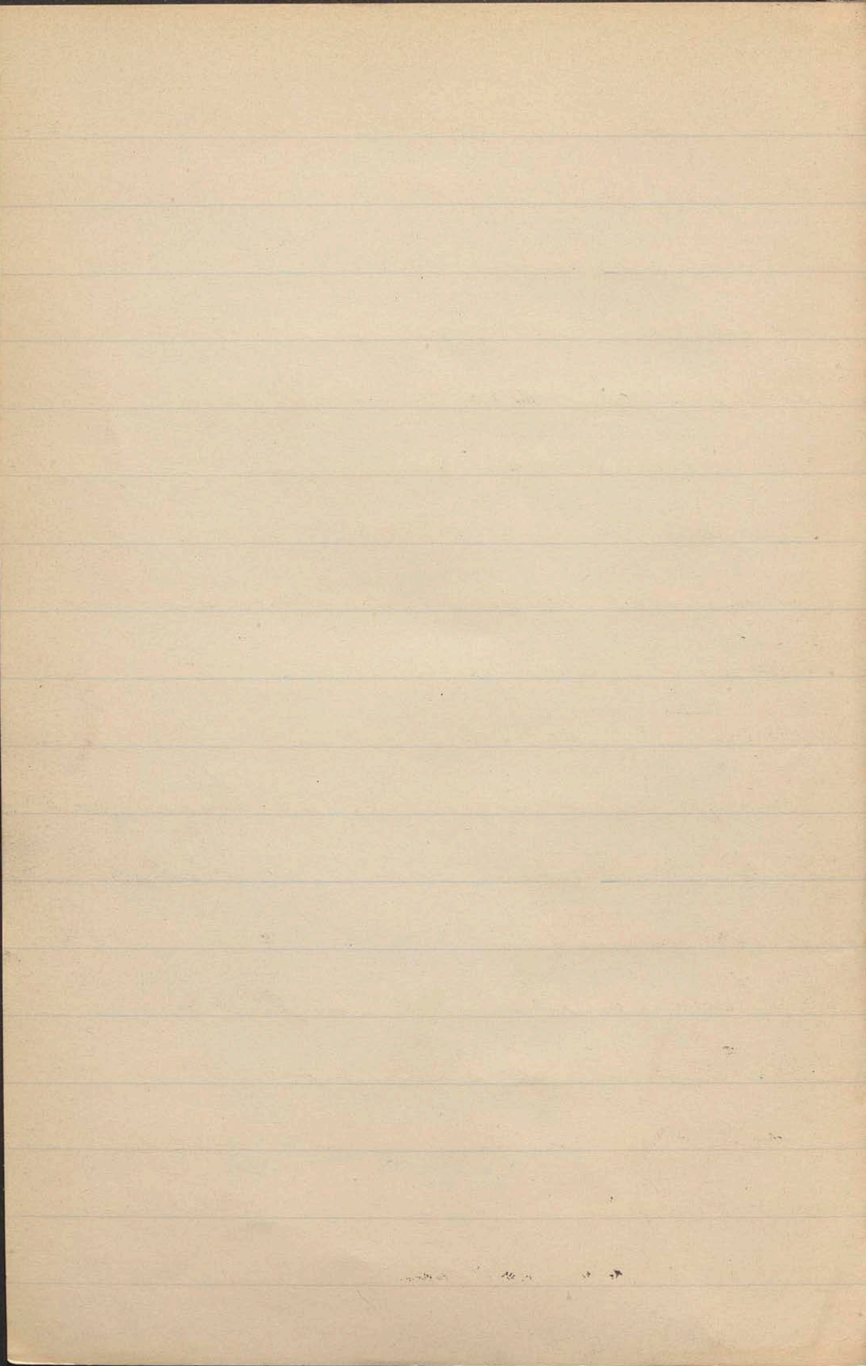
— Nie.

— Ale wiedziałeś, że się ma żenić — i z kim?

— Nie nie wiedziałem, anim go znał. Jakiś pan przed hotelem Europejskim dał mi list — i z góry za kurs zapłacił. Zobaczyłem adres córki — więc niespokojny poszedłem do domu — i wtedym się dowiedział wszystkiego.

— Córka ci powiedziała? Nie uważałeś w jej życiu i zachowaniu zmiany do tego dnia?

— Nie. Z zajęcia wracałem późno, wychodziłem rano. Ona jako szwaczka często była na robocie poza domem. A zresztą — czym się spodziewał!



– Więc, gdy ci się córka do wszystkiego przyznała postanowiłeś zabić uwodziciela – nie wiedząc, kto on jest.

– Wziąłem kamień ostry i poszedłem. Zabrałem kitł i pieniądze. W restauracji powiedziano mi gdzie mieszka. Otworzył sam – którym nie oddał kitł – i zepstaciłem za dziecko. Niech mnie pan sędzia nie męczy pytaniami. Ja się nie zapieram – zabiłem – i gotowem za to karę mieć, jaką mi sąd przeznaczy

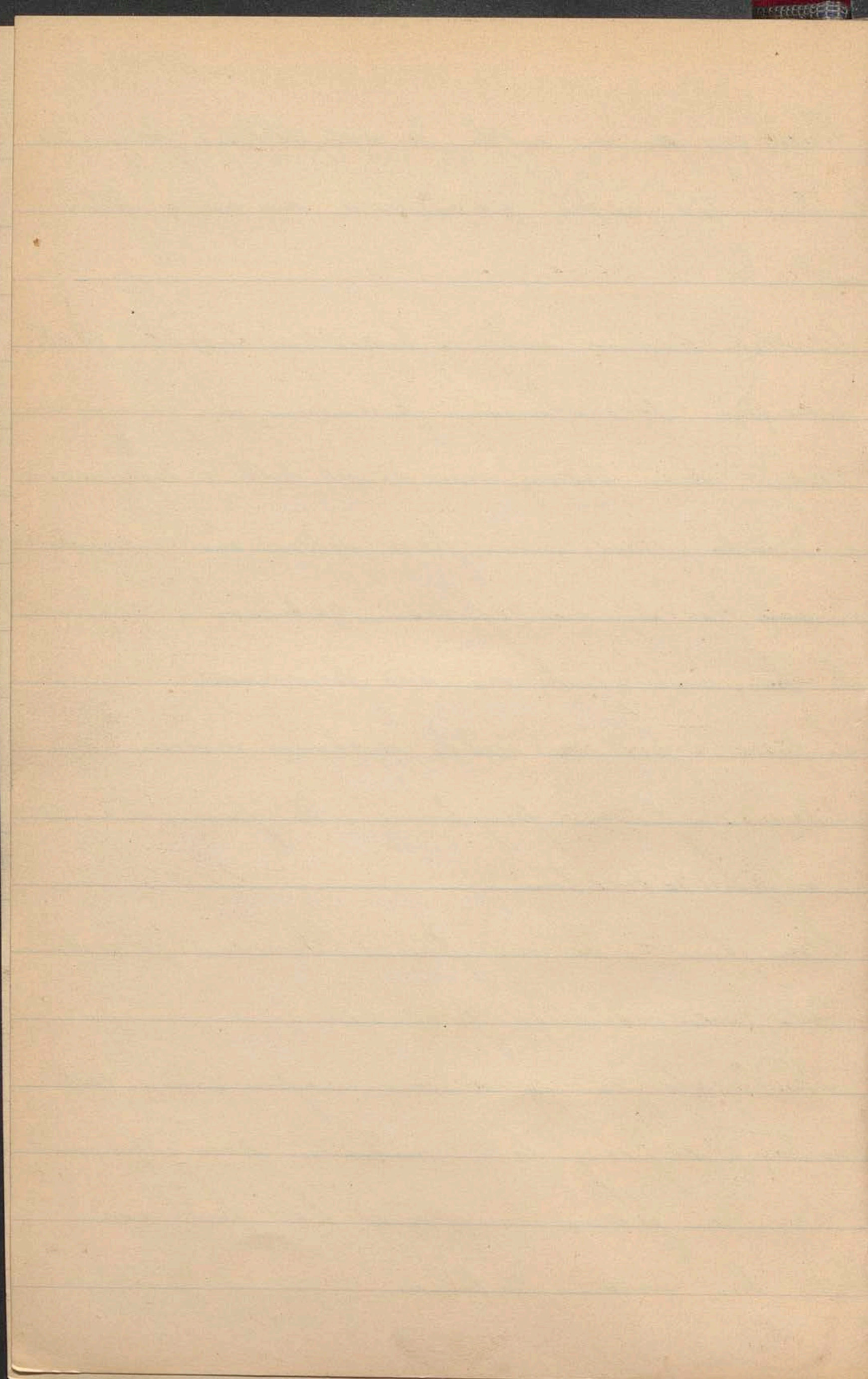
– Zapewne piliście wódkę wychodząc z domu – nie byliście zupełnie przytomny. Nie pamiętacie dobrze tej chwili zabójstwa?

– Pamiętam? Ale nie piłem. Chciałem go zabić.

– Córka was na niego podburzała?

– Nie. Zostawiłem ją w domu nieprzytomną, jak martwą z rozpaczy. Żeby wiedziała poco idę – możeby go broniła. Jeszcze mnie miał kto podburzać?

Wart był śmierci – zabiłem!



— Dlaczegóż córka wasza zginęła w tejże godzinie bez wieści. Była może z wami?

— Mańka! Mordowaćby miała!

— Szczególne jednak, żeście sami, jedną ręką — obalili człowieka młodego i silnego.

— Snadź moja sprawa była też silniejsza. On miał moc — kobiety uwodzić — ja kamieniować krzywdzicieli!

— Czyście oprócz tej córki mieli więcej dzieci?

— Nie.

— A żonę dawno straciliście?

— Dawno.

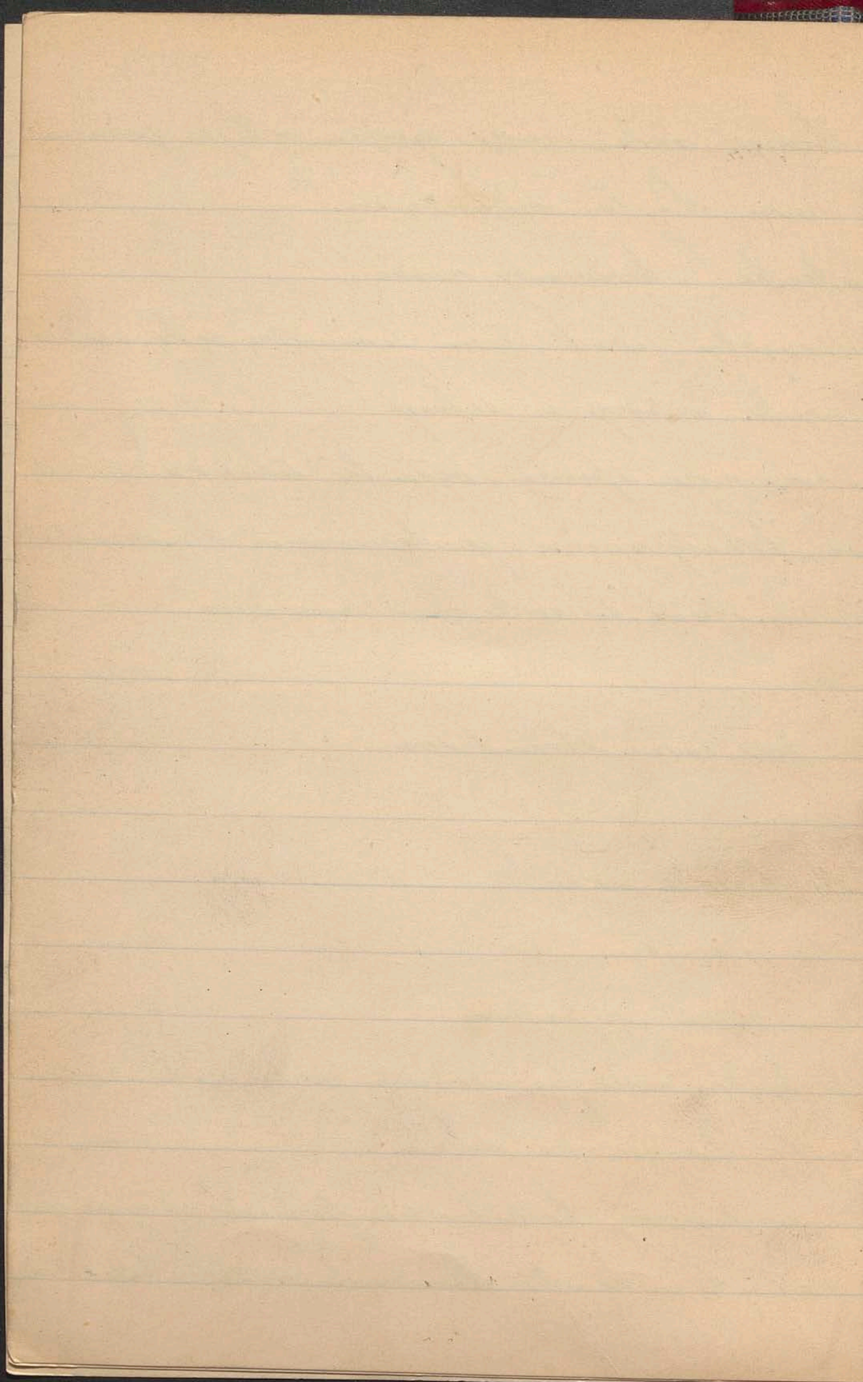
— W którym roku?

— Nie pamiętam.

Sędzia zajrzał w papiery

— W każdym razie po urodzeniu córki. rzekł, znowu pogodnie patrząc na więźnia.

Gedras milczał. Dojrzał wśród papierów swój paszport i metrykę Mańki. Dziewczyna wyszła tedy z domu



bez dokumentów i pieniędzy. Został w śmierci.

— Ta dziewczyna, która przy was mieszkała, ~~była~~ jest

tedy waszą ślubną córką?

— Ma pan przecie moje wszystkie papiery.

— Ja was pytam — ~~była~~ jest waszą ślubną córką?

— Tak.

— Gdzie umarła wasza żona?

Po twarzy Gedrasa przeszedł jakby ogień.

— Stoję tu za zabicie Mtorrecka, i zato mam być

sądzony. Zabiłem go. Sądźcie i karzcie. Ale tamto co

przedtem było — życie całe — to moje jest — i opowiadać

go nie będę.

— Nie mam mocy was zmuszać. Ale Sprawiedliwość

musi wszystko wiedzieć. Oporem, lub wykrętami

przeciągniecie sprawę — i zaszkodzicie tylko sobie.

Radzę wam szczerze wyznać całą prawdę — wszystko.

Gedras milczał. Przeczytano mu protokuł tego

pierwszego przesłuchania, i odprowadzono do więzienia

Ale w parę dni potem spotkał na nowem prze-
-słuchaniu, Zaręby.

Gdy go ujrzał, już się nie zląkł, ani się zmięszał, popatrzał zimno, i czekał, co będzie.

— Tak – to ten sam człowiek! odpowiedział Zaręba na pytanie sędziego. Przed trzynastu laty – służył u mnie jako nocny stróż. Żony nie miał – dziecko, które wychował – nie jest jego. Jest to córka włó-
-częgi nieznanej, zmarłej przy urodzeniu dziecka. Człowiek ten służył u mnie kilka lat – znam go dobrze. Moje słowa może potwierdzić każdy z miesz-
-kańców osady – u nas.

— Co masz do powiedzenia – w swej obronie – na ten zarzut? zwrócił się sędzia do Gedrasa.

— Od czego mam się bronić?

— Od sfałszowania metryki tej dziewczyny – która jak się okazuje, nie jest twoją córką.

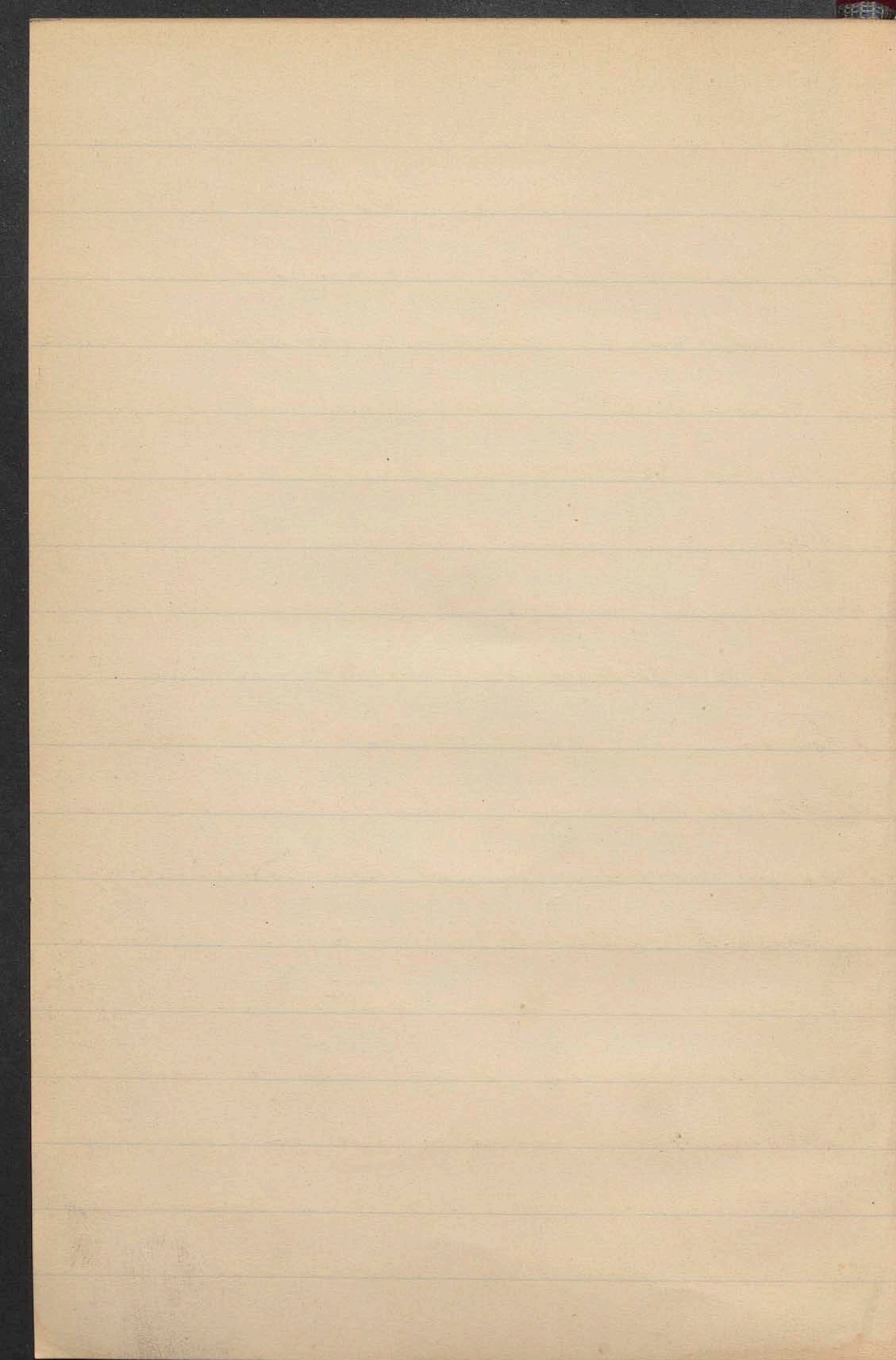
— Wcale się bronić nie będę. Myślę tylko – dlaczego ten

pan świadczy przeciw mnie? Co ja, albo moja dziewczyna jemu, albo komukolwiek zawinili. Ona przepadła już - i ja zgniję w katordze - on pan - wolny, bogaty, szczęśliwy - i tu przyszedł przeciw mnie mówić. Możem i służył mu - nie pamiętam - całem życiem służył - krzywdy nikomu nie zrobiłem. Czego wy odemnie chcecie, sędzie!

- Nie rozumiesz, że ciąży na tobie drugi kryminał: - sfałszowanie dokumentu!

- Co na mnie nie ciąży? Wszystko. Zato przecie możecie zabrać tylko to, co mi zostało - ot resztkę życia. To bierzcie - nie będę bronić. Może znajdziecie jeszcze więcej kryminałów - to je wypiszcie. Dziewczyny już niema - niema komu wstydzić się za mnie. Ale ot, poprzysięgam, że już wam na żadne pytanie nie odpowiem. Na próżno mnie tu nie ciągajcie.

Było to jego ostatnie słowo - nie pomogły żadne uwagi, groźby, podstępy - zdarzał się nic nie słyszeć.

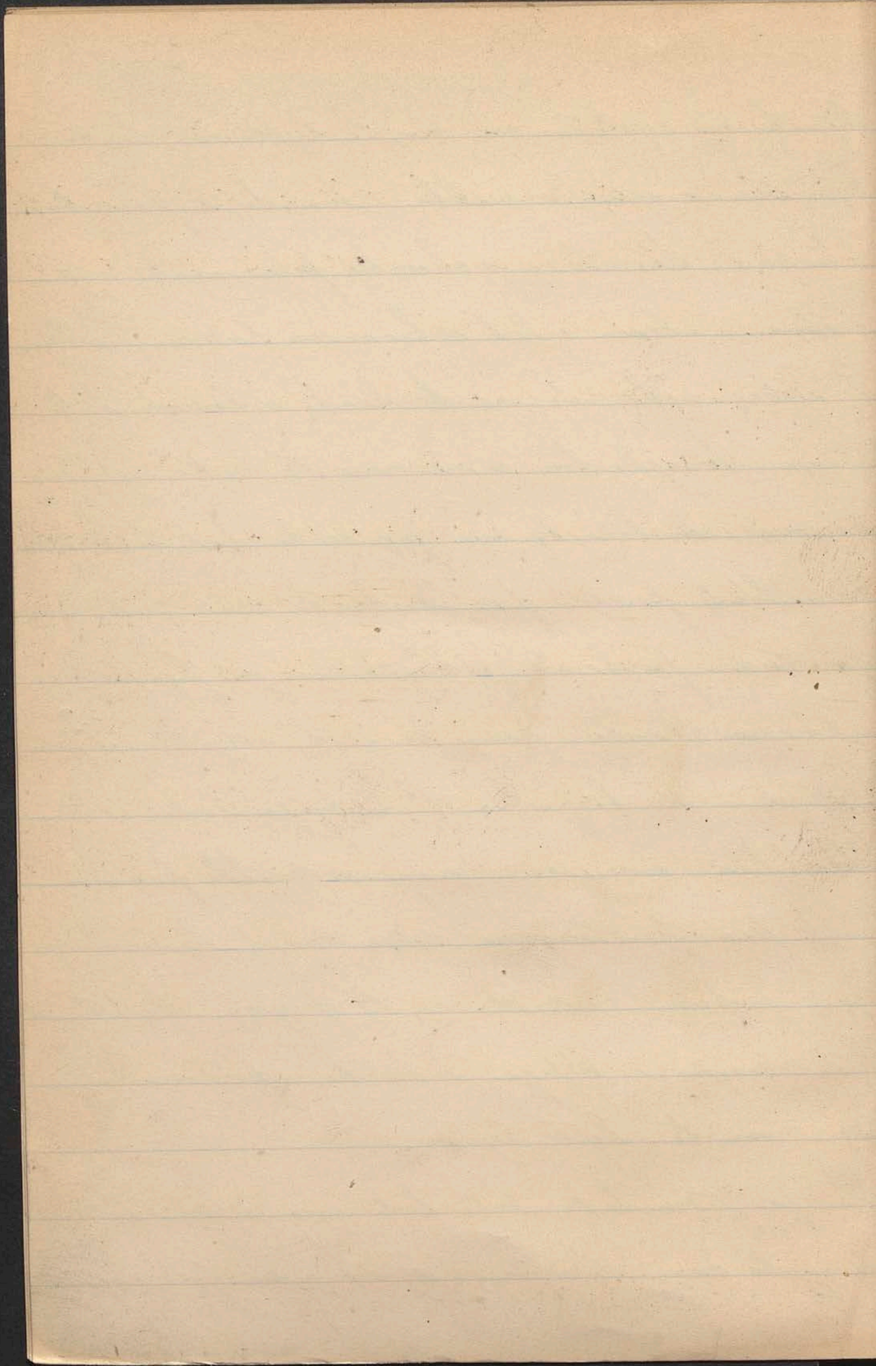


pewnego wieczora do jego celi przyszedł Głuch-
parę tygodni był nieobecny. Gedras leżący na
pryczy, ożywił się na jego widok, i oczami pytał:
- Nie - ani śladu Mańki! rzekł Głuch, rozumiejąc
co go zajmuje. Chyba was uwolnią - to potrafię
odszukać. Ja zresztą w tej chwili wracam z daleka -
szukałem czego innego - przeszłości Morzyńskiego.
Dowiaduję się - że metryka zfałszowana. Prawda
to? Nie wasze to dziecko? Znacie pana Zarębę?
- Skąd on się tu znalazł?
- Jakże. Morzyński miał się za parę dni żenić z jego
córką. On dowodzi, żeście go zabili przez zemstę!
A ponieważ odkryto, że Mańka nie była waszą
córką, więc teraz posądzają, że była waszą kochanką.
Gedras zerwał się z pryczy, jakieś zdławione prze-
kleństwo wyrwało mu się z gardła
- Kto posądza? To już na mnie wszystko rzec można
wszystko na mnie ciskać - wszelaki kał.

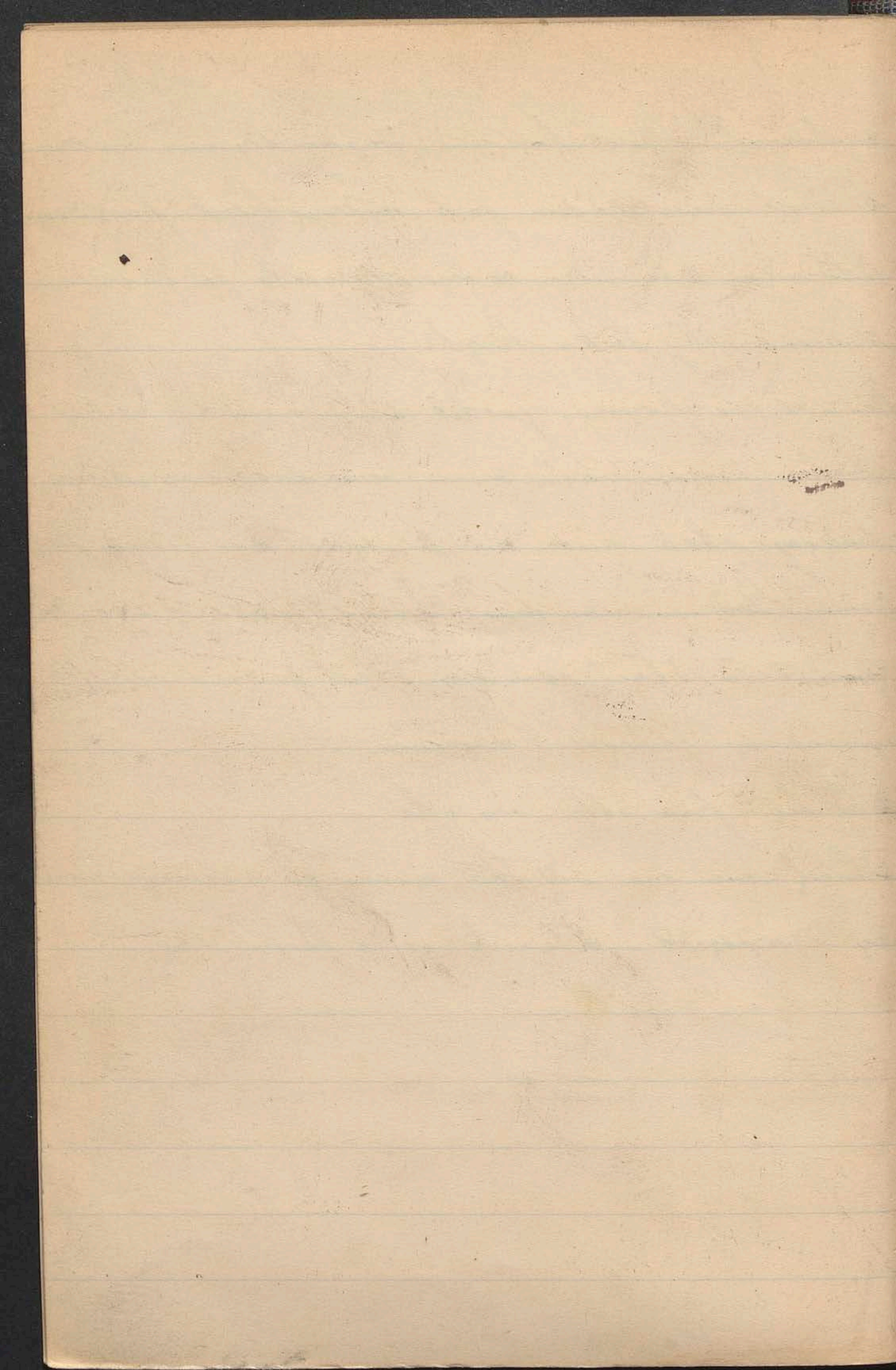
– Dlaczego się nie bronicie – czemu mnie chociażby
nie powiecie całej prawdy. Dlaczego dajecie się oskar-
żać.

– A gdy powiem – kto mnie uwierzy – co to uratuje?
Kiedyś raz powiedziałem wszystko jednemu księdzu
zdawało się – że mnie zrozumiał, wzruszył się, modlił
się – mówił, że Bóg mi dziecko uchowa – i od – co
jest! Kiedym go potem poprosił – o papier – o
metrykę – rzekł – nie można. Trzeba żeby takie dzieci
ostemplowane były winą rodziców – żeby miały wstyd
i hańbę na całe życie. Nie – dziecko nie moje jest.
Nie wiem, czyje – jam tylko je jak własną duszę
kochał – jak najrodzeńsze hodował. Mojego nie mama.
Żonę dostałem zhańbioną – zabiła się ze wstydu
i zgryzoty – rodziny niemam – całe życie się tułam
za chlebem – z tą jedną ręką. Dziecko nie moje –
znalazłem na drodze umierającą, nieznaną kobietę –
to rana była u mnie, w stancyi – i umarła –

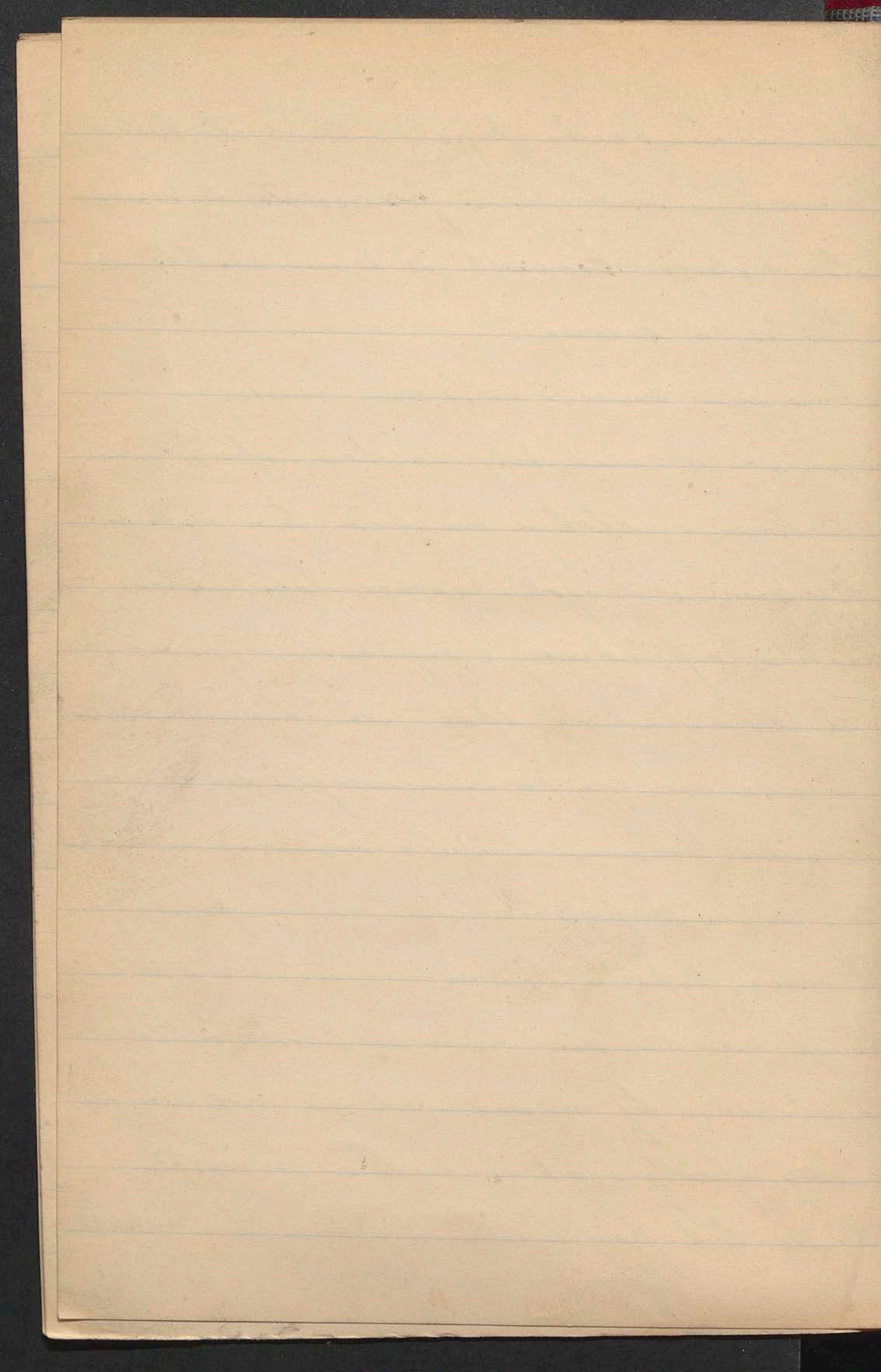
Dziecko mi zostało - nie moje - tylko mi trzeba
było być i ojcem i matką i niańką, i praczką -
i nosić i karmić - i w chorobie pilnować, i myć -
i obuć i ubrać - i lat czternaście hodować i utrzymać
tą jedną ręką. To na kochankę człowiek tak
hoduje - bodajby ten co na mnie to rzekł nigdy dzieci
nie miał - albo bodajby mu jego córka - jak ta moja
na zatratę poszła! Pan Tarzba to mówi - zato, żem
jej życia pozbawił - skrzywdziłem go! Jego córki
nikt nie zhańbi - panienka jest - wszystko jej pilnuje
i opiekuje się - bezpieczna. Bodajby jej taka dola!
Chce pan - mniejsza - mogę wszystko powiedzieć -
niech pan powtórzy na sądzie - niech hedzie usły-
szą - jakem zaszedł - na tę przyczę - Daleka
była droga i długa i ciężka - pół wieku
idę - warto było żyć!'
Nie ja jeden taki - dużo tak idzie - do tem - tyle
że jako ćma się wydaje - co się rusza pod nogami.



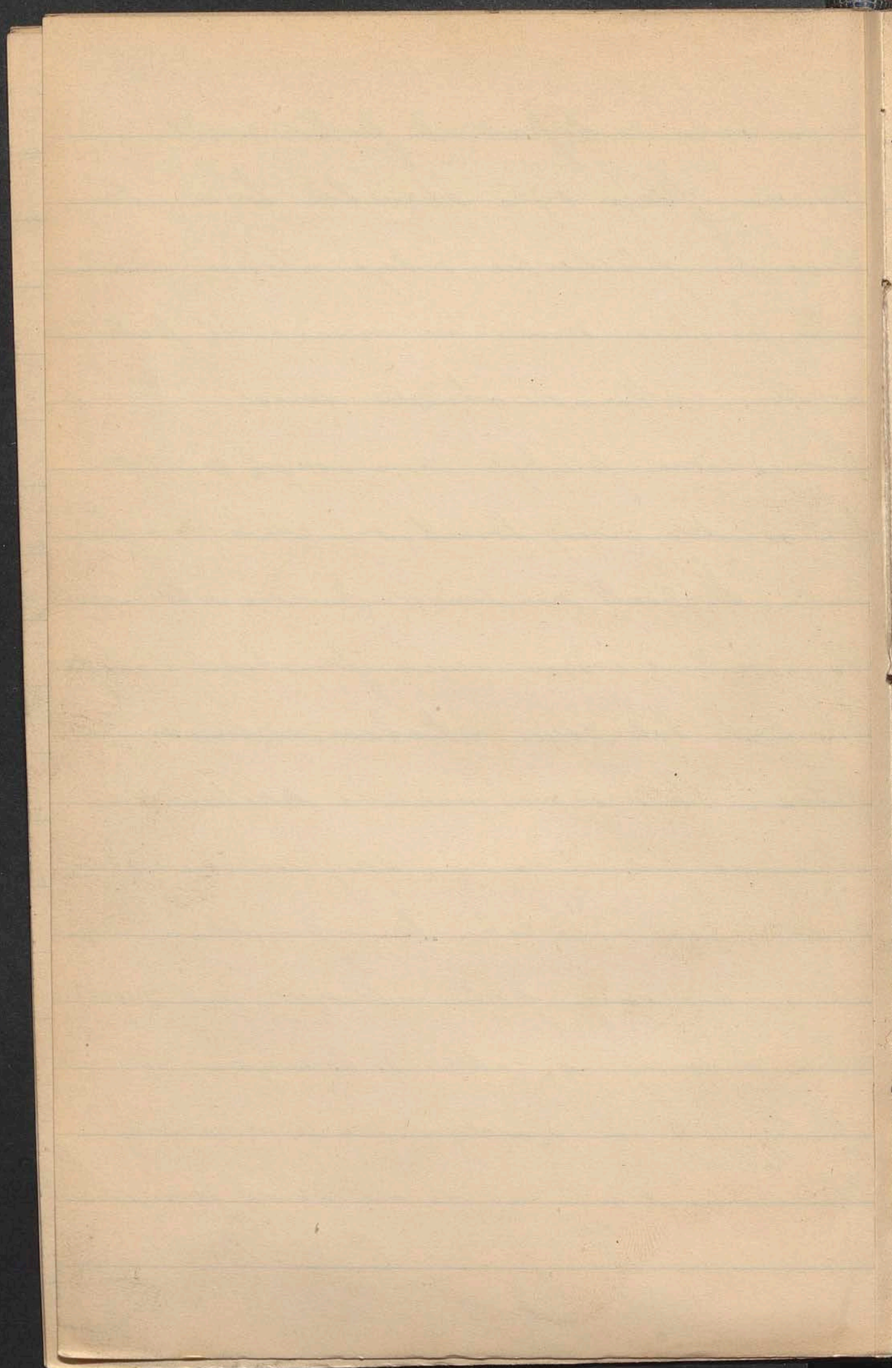
większych - pod kołami - między trybami maszyn
Widział pan czasem jak wędrują liszki przez drogę -
kto idzie, kto jedzie, co leci wszystko je dusi, miażdży
pożera. My takie liszki - - - -
Usiadł na pryczy, zgarbił się - i umilkł chwilę.
Potem począł mówić, mówić, coraz swobodniej. A Łuch
siedzący obok niego nie przerywał ani jednem sło-
=wem. Godzinę - może więcej Gedras mówił, gdy skończył
poczuł, że Łuch ramieniem objął go za szyję.
Gedras się zatrząsł z wrażenia.
- Co też pan robi! wyjąkał.
Łuch nic nie odrzekł, mocno go uścisnął - zawrócił
się i wyszedł - dławiły go w gardle łzy. - - -



Maniusia Larzbianka przechorowała ciężko katastrofę.
Do nerwowego wstrząśnienia przyłączyła się anemija
potem malarja – zamiast do domu, matka ją
wywiozła za granicę.
Wybrano mniej znaną i uczęszczaną miejscowość nad
morzem we Francyi – żeby uniknąć spotkania
z rodakami, i istotnie nie było tam nikogo
z Warszawy – i w ogóle żadnego towarzystwa.
Larzbina odpłakawszy i odgadawszy wypadek – po:
częła się uspakajać, spać, jeść i żyć. Maniusia
zrazu na nic nie zwracała uwagi, i nic ją nie
zajmowało. Godzinami siedziała bezczynnie na weran:
dzie – godzinami podobnież nad morzem – piła i łykała
lekarstwa, kąpała się – nie widziała nic wkoło siebie.
Nawet nie wzruszały jej westchnienia matki.
– Ach, jakaś ty mizerna – jak źle wyglądasz, jak
ci oczy wpadły – jak ci się cera zniszczyła!
Minęło tak parę tygodni. Larzbina towarzyszyła



zrazu córce do kąpieli - ale potem zaczęła się
opuszczać. Plaża była bliziutko - towarzystwo
francuzkie, filisterskie - nikogo młodego - wolała
zatem karzbina drzemać na werendzie - niż palić się
na słońcu. Maniusia chodziła sama.
Pewnego dnia przybyło dwoje nowych gości. On
był smukły, młody brunet - ona złotowłosa pary-
=żanka. Wyglądali na świeżo upieczone małżeństwo.
Najęli willę - i codzień razem przychodzili się kąpać.
Sobą tylko byli zajęci, rozkochani, rozśmieszeni, roz-
=śpiewani. Biło od nich wesele i szczęście!
Maniusia poczęła na nich spoglądać z ciekawością,
z jakąś zawiścią, z żalem. Oni z początku nie zwra-
=cali na nią uwagi - potem usłyszała, jak złoto-
=włosa minąwszy ją, rzekła do towarzysza:
— Patrz - jakie ta dziewczyna ma zmęczone rysy!
Obejrzał się, i zatrzymał na niej wzrok jasny, takie
spojrzenie, co obejmuje całą postać!



— Mogłaby być ładna, żeby wyraz i życie. Jakiś zasuszony kwiat.

I przeszli. Maniusia wróciwszy do domu spojrzała w lustro, i przeraziła się. Co się z niej zrobiło.

Wpadła w rozpacz i zaczęła płakać. Czuła się tak nieszczęśliwą, tak samotną, tak złamaną.

Ale rano zajęła się swą powierzchownością, obejrzała uważnie cerę, zęby, włosy, ręce, i spędziła przy ubieraniu parę godzin.

Ucieszyła się Jarzębina, gdy spytała o sukniej, o ka=pelusz, o parasolkę:

— Dzięki Bogu — wraca do równowagi. pomyślała.

U końca plaży było głazów kilka. Maniusia tam miała swój kącik do czytania, i rozmyślań. Jednego dnia znalazła go zajętym. Paryżanka siedziała pod czerwoną parasolką, u jej nóg leniwie wyciągnię=ty mężczyzna czytał jej poezye.

Gdy Maniusia na ich widok się cofnęła, wstał — i

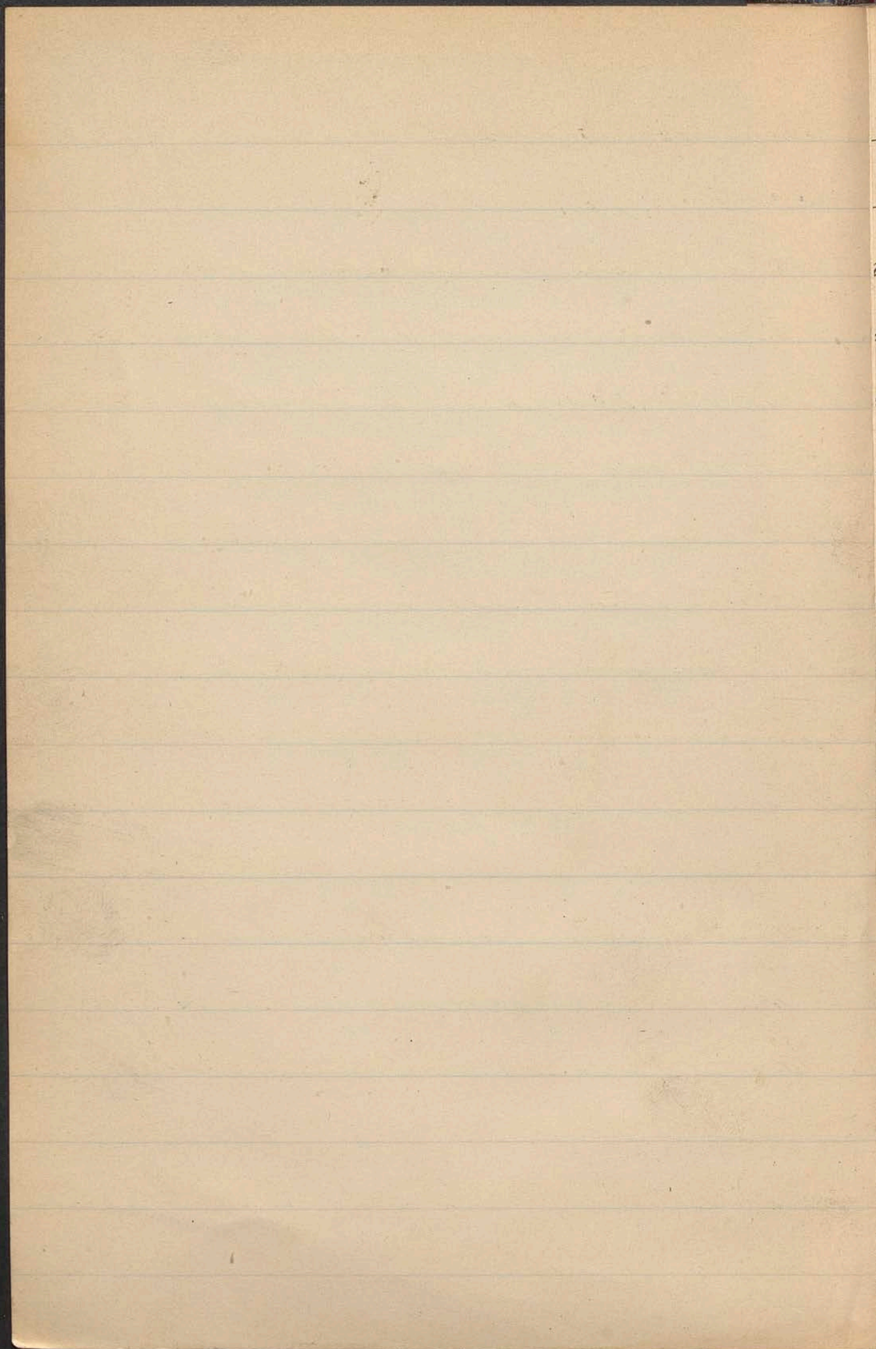
uchylając rybackiego beretu, grzecznie przeprosił, że najście.

— C'est votre temple, mademoiselle. Nous en demandons l'hospitalité pour une heure ou deux!

Odpowiedziała grzecznie, że jej nic na tem miejscu nie zależy — i odeszła trochę dalej. Słyszała, co czytał: były to poezye Prudhomme'a, a potem słuchała jak zaczął śpiewać półgłosem: "Ninon, Ninon que fait tu de la vie." A potem kobieta zaczęła nucić jakiegoś walca, i wreszcie odeszli ku swej willi szepcąc i całując się. Maniusia niewiadomo dlaczego — zapłakała. Potem spotkała go samego — zbierał wyrzucone przez przypływ muszle, a widząc, że ona grzebie niedołężnie w piasku parasolką, podszedł.

— Może pani pomódz. O — chce pani takę skorupkę ślicznę — mam ich kilka.

I śmiał się do niej, z takę jakąś koleżeńską desinwolturą — że mimowoli rzekła:



– Pan pewnie artysta?

– Zawsze i wszędzie.

I tak się stało – że dalej zbierali razem muszle. Opowiedział, że tam za skałami, w zatoce, zbiór bywa obfitszy i ciekawszy, trzeba tylko przebyć skały.

– O dla mnie to za ciężko. Nie mam sił.

– To śmiesznie słuchać. Pani nie może brakować sił, tylko ochoty.

– I tego także. Nie mam do niczego ochoty.

– Jak długo?

– Zawsze?

– No – przecie to może być tylko czasowa apatya.

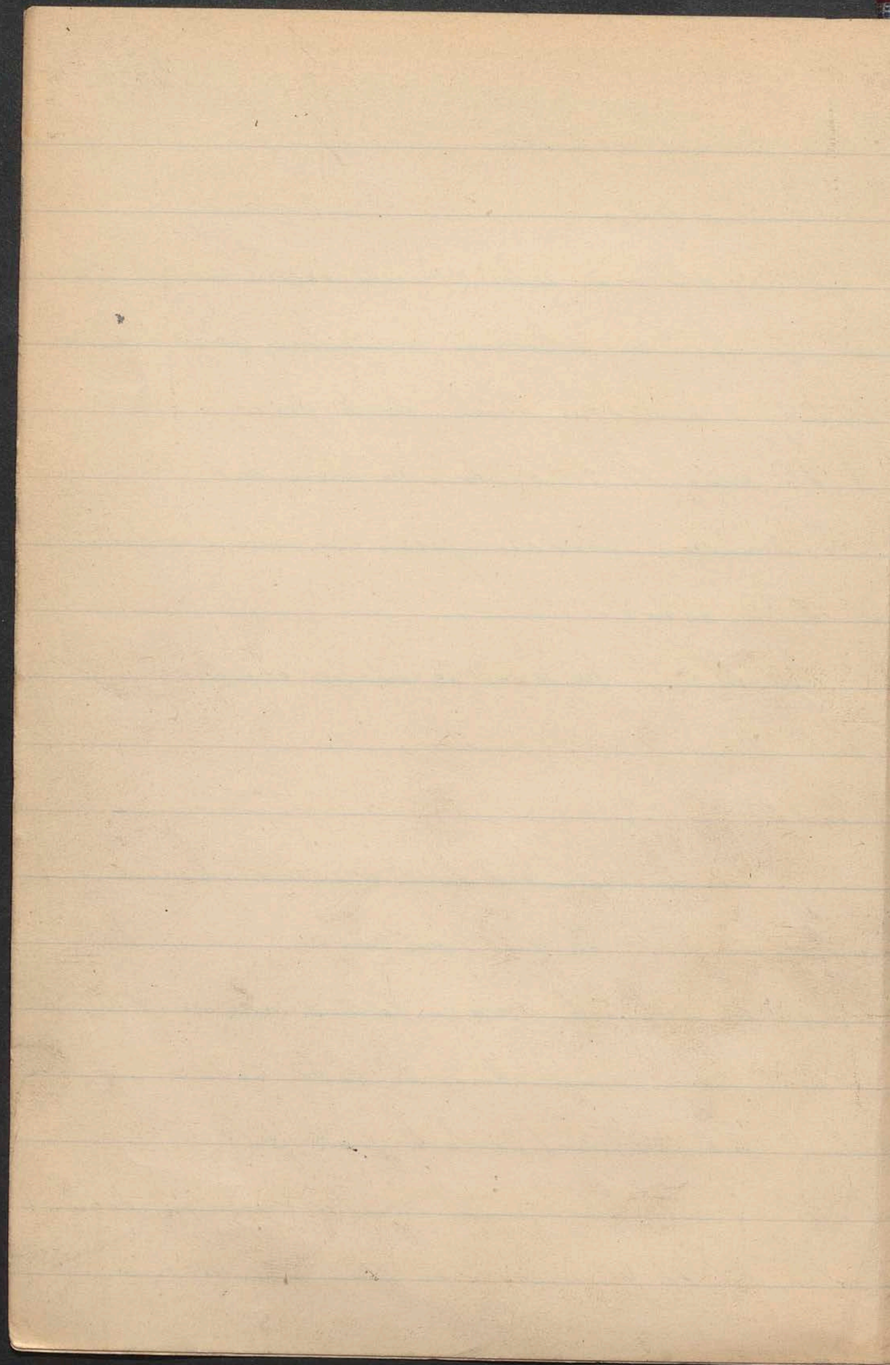
– Myli się pan. To już na zawsze.

Rozśmiał się, tak szczerze, tak swawolnie. Obraziła się.

– Niech pani daruje. Kiedy to takie zabawne – w pani ustach – tak młodych – i tak pięknych.

Objął ją całą spojrzeniem swych słonecznych oczu.

Czuła, że się rumieni, że to spojrzenie rozbiera ją



i z upodobaniem artysty-pieśni.

Zaczęła iść szybko ku drodze i willom.

— Przyniosę dla pani muszli z tamtej zatoki. O ja mam ochotę do wszystkiego. Niech żyje życie!

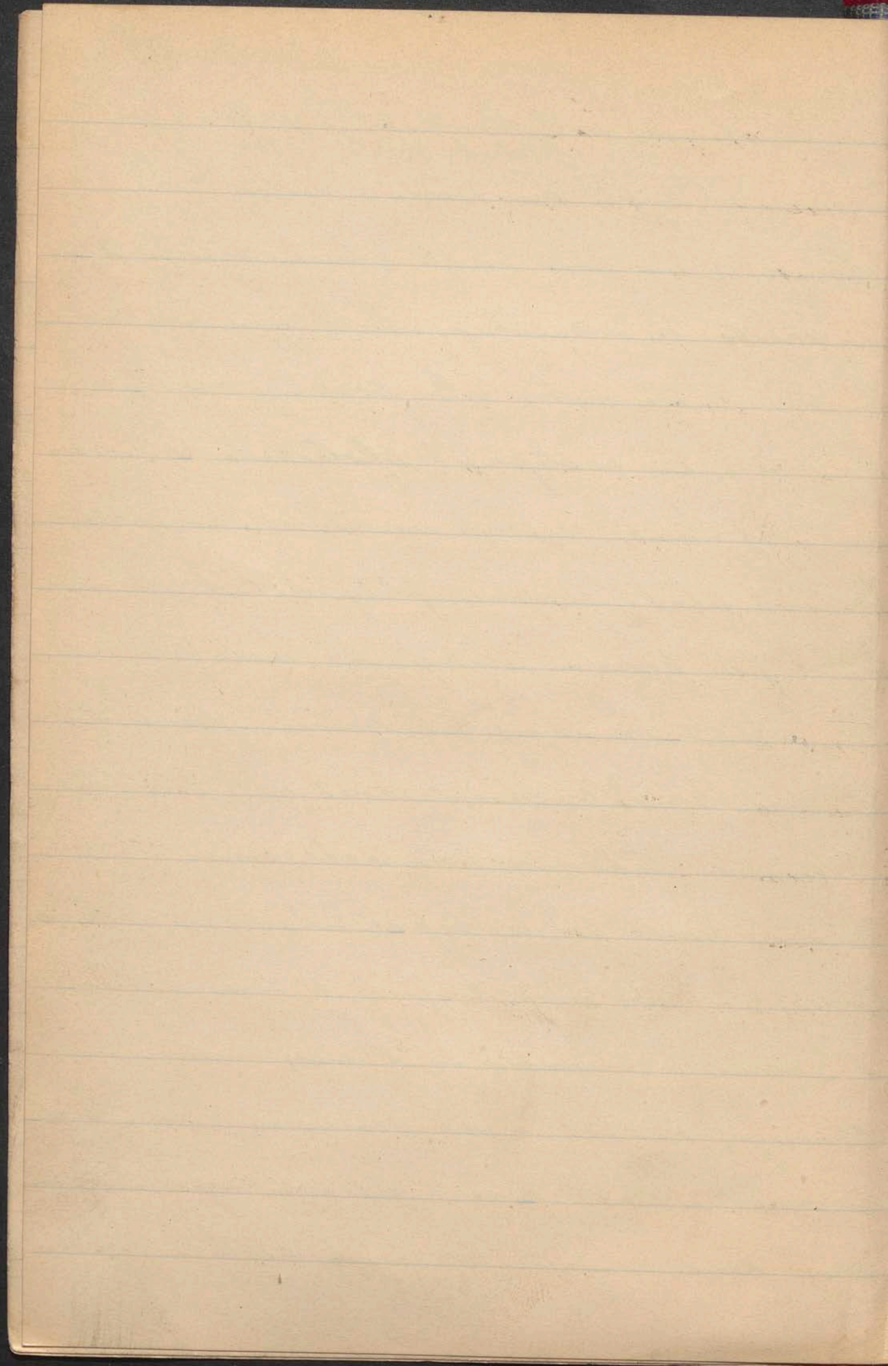
Nie wspomniała matce o tej przelotnej znajomości.

Nazajutrz i dni następnych spotykała ich znowu razem, jej kącik zagarnęli na stałe. Gnieździli się tam, jak ptaki. Przynosili pledy-koszyk z przekąską-nawet jego przenośne sztalugi. Ale mało malował-czas schodził na śmiergotach, śpiewach, pieszczotach.

Maniusia przestała chodzić nawet w tę stronę, tak ją gorszyło takie swobodne zachowanie.

Zmieniła nawet godziny kąpieli, żeby się nie spotykać, i wynalazła sobie inną kryjówkę do swych dumań.

A dumania te zmieniały się w miarę mijanych dni słonecznych blasków, i sił wracających. Obraz Mirzyńskiego malał i bladł-życie i młodość dopominało się swych praw-zaczynała przychodzić krytyka, i potrzeba



nowych wrażeń. Rola ofiary złamanej stawała się nudną i monotonną.

Pewnego dnia w sam skwar południa, gdy tak siedziała wtulona w cień skały, posłyszała opodal wesołe gwizdanie. Była to znana polka z Ptasznika z Tyrolu. Maniusia domyśliła się zaraz kto idzie, i czemprędzej wzięła się do czytania.

W tej chwili pod nogi jej spadł deszcz muszli - aż krzyknęła przestraszona.

Sprawca stał na wysokim głazie, cały w słońcu smukły, piękny - i śmiał się lśniącemi, białemi zębami:

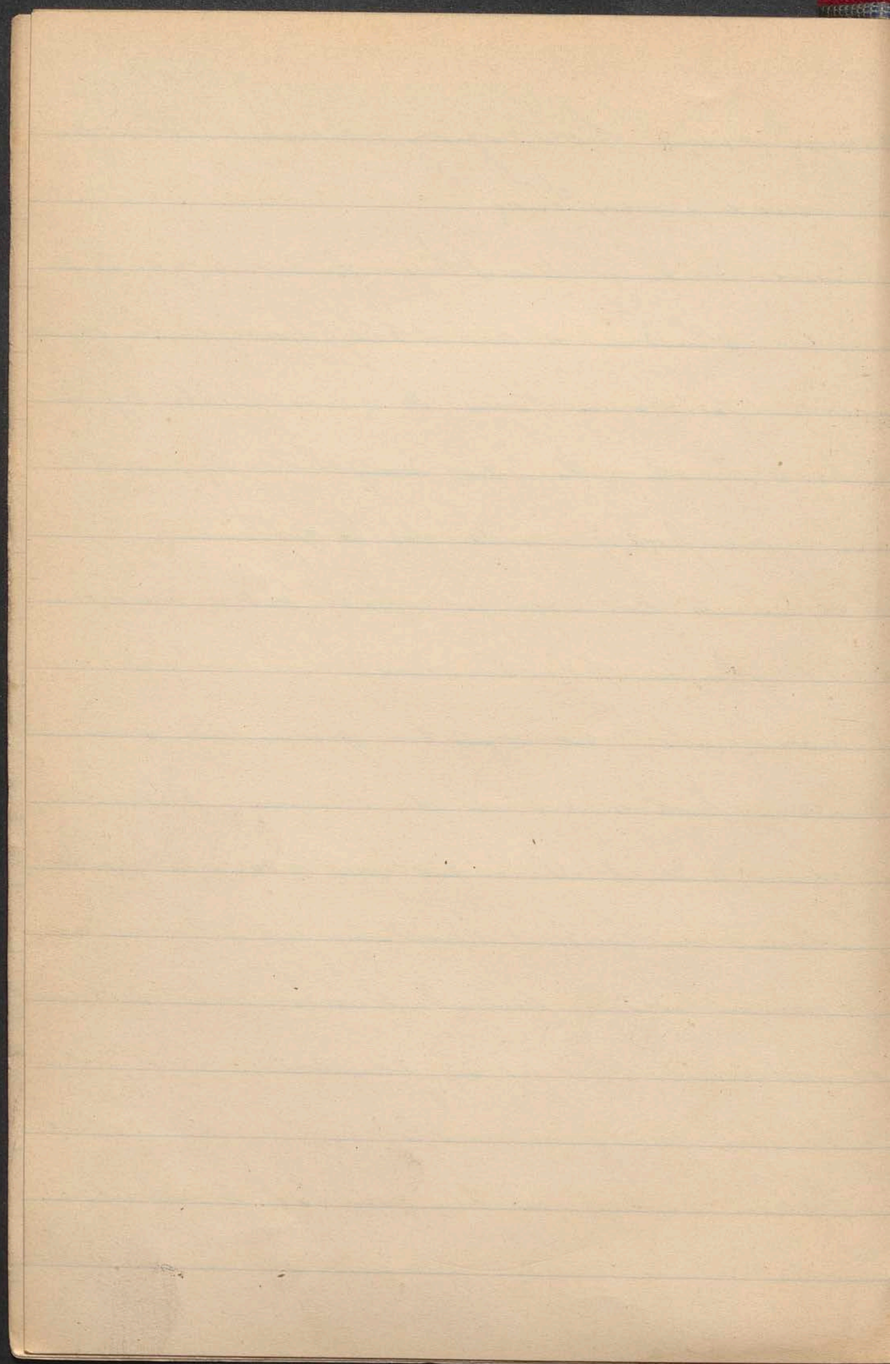
— Wracam z za skał - ze zdobyczą. Co za upał rozkoszny;

Zeskoczył na żwir - i rzucił się jak długi na ziemię. Zmrużonemi oczami patrzał w niebo, potem się leniwie obrócił na bok, i jej się przyglądał.

— Nie chce już pani muszli?

— Owszem, dziękuję - ale pan mnie tak przestraszył.

Zaczęła zbierać muszle, przyglądał się jej dalej, po-



świstując przez zęby.

— Nabrała pani barwy przez ten czas. Do twarzy pani z tą złotawą łuną słońca na policzkach. No, a jakże z tą zgubioną ochotą do życia? Znalazła się?

— Nie szukałam!

— Znajdzie się sama

— Pan dziś bez żony? spytała z jakąś tajoną złośliwością.

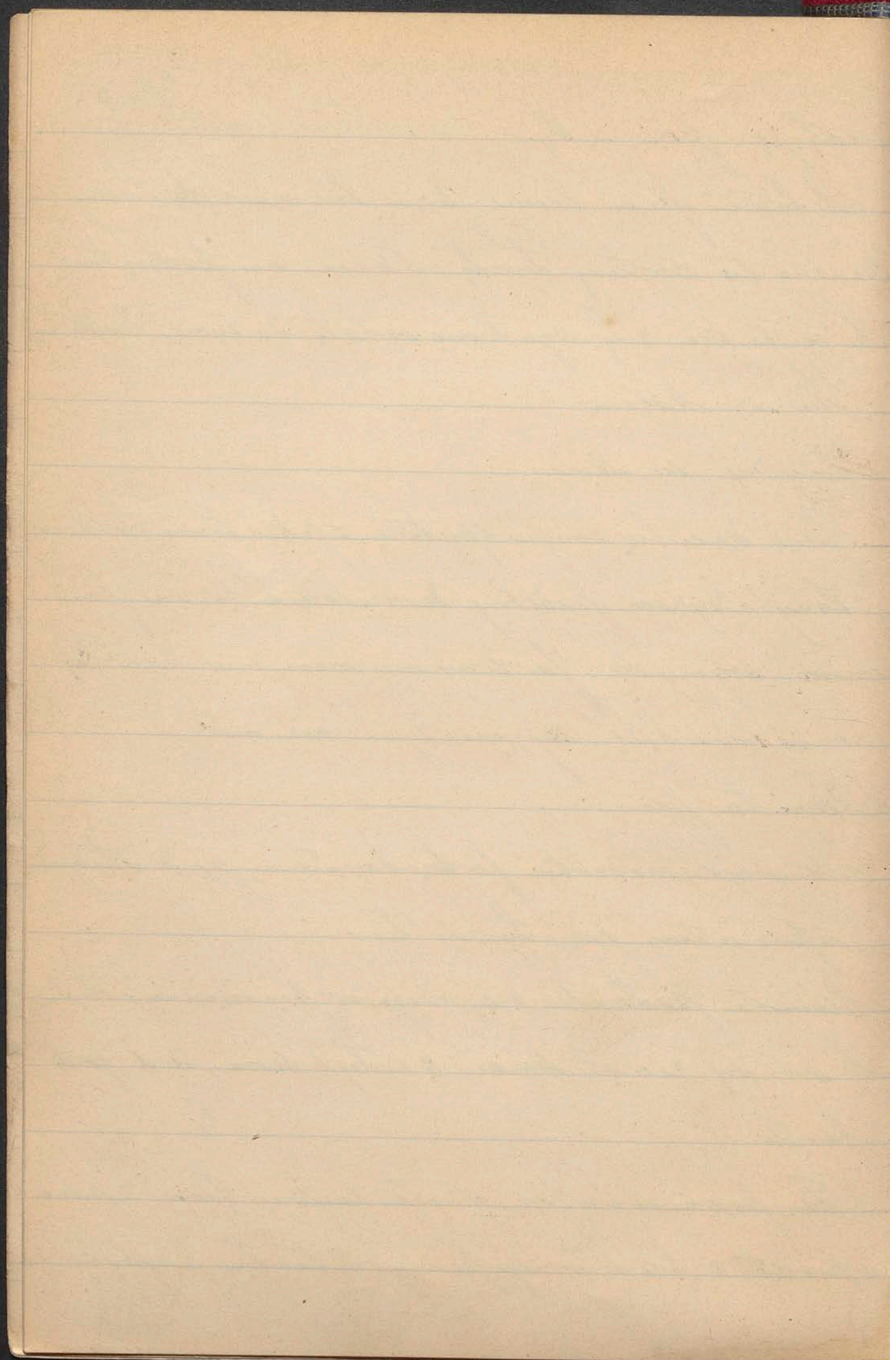
— Żony! Czyżem podobny do wielbłąda, że mi pani od żon wymyśla. Ja żony nie mam, mieć nie chcę, i mieć nie będę! Czy mi życie nie miłe.

— Więc ta pani....

— To moja modelka. Potrzebowałem jej do ~~studyum~~ i odprawiłem już tydzień temu.

Mimusia patrzała na niego w przedziwem osłupieniu. A on się zaczął śmiać z całego serca, tak go to ubawiło.

— Ta poczciwa Turzon - wzięła za żonę! Pani zapewne wprost z klasztornego pensyonatu tu przybyła



Sądzę, że pani myśli: l'héritier de Redcliff.
— O wcale nie. I nie wychowywałam się w klasztorze
ale nie myślałam, żeby.....
Urwała, nie umiejąc wyrazić swego oburzenia.
— Żeby co? pytał ubawiony.
— Żeby się państwo nie kochali wymówiła, rumieniąc się.
— Ależ i ja temu nie przeczę, lecz miłość nie jest monopolem małżeństwa. Przeciwnie - nie rozumiem jak można kochać - wtedy gdy mi nakażą, lub zarejestrują u mera to moje uczucie.
Biedni ludzie, którym taki surogat musi starczyć za ambrozyę. Bogami się nigdy nie poczują.
— Opowiada pan bezeceństwa rzekła wstając.
— Uciekła pani pod skrzydła mamy - od szatana.
Widziałam wczoraj na pocztówce mamy. Musiała być rubensowską pięknością. Pani nie będzie miała tak przepysznie rozwiniętych kształtów. Ta przeklęta secessya, defiguruje kobiety.

prosze zostać jeszcze chwilę.
— Poco? Żeby słuchać pana impertynencyi!
— Ja - mówię impertynencye! Ależ znajduję - że pomimo wszystko, pani jest urocza - warta nie deszczu z muszli - ale deszczu ze złota.
Żebym był Jowiszem!
Wstała - obrażona.
— Proszę mi dać przejść! Zrobiło zimno, bo leżał w poprzek - między dwoma głazami.
— O - ma pani ton i ruch bogini! Lubię być przez takie deptany.
Wstał jednak i dodał swobodnie.
— Lubię bardzo kobiety, co się umieją gniewać - takie też umieją i kochać. Chciałbym być - epizodem w pani życiu!
— Ale ja nie chcę być niczyim epizodem - żegnam pana.
Odeszła tak wzburzona, że zapomniała zabrać książki; gdy to spostrzegła - była już blisko willi, i spotkała

matkę z listem w ręku.

— Chciałam iść do ciebie, tak mnie wzburzyły wieści z kraju. Wiesz, już jest dowiedzione, że ten morderca służył u nas kiedyś, i że zuchwalstwo zostało wydalony — a ta dziewczyna — to wcale nie jego córka. Śledztwo odkryło ohydne szczegóły. A wiesz kto jest obrońcą zbrodniarza: Duch.

— Ten korepetytor?

— Ten sam. Tak się nam wywdzięcza, że dzięki nam z głodu nie umarł.

— Moja mamo — a cóż nas ta sprawa tak obchodzi?

— Jakto? zdumiała Larybina

— Ano, pan Morzyński ostatecznie złamał mi uczucie — oszukiwał.

— No, pewnie — ale zawsze z racji tego draba spadł na nas taki skandal

— Również można powiedzieć, że z racji pana Morzyńskiego.

Żarębina popatrzała na córkę.

— Jeśli ty tak mówisz....

— Mówię, bom przeszła wszystkie uczucia — aż do wstrętu i pogardy wreszcie — i teraz żal mi moich łez. Radabym zapomnieć, że istniał kiedyś jakiś Mościński, i żem mogła mu wierzyć i kochać.

Żarębina objęła córkę w ramiona.

— Dzięki Bogu — wracasz do zdrowia i życia. Ach, jak się ojciec ucieszy. Tak mu tęskno po nas. Możebyśmy wróciły do domu. Ludzie jednak nie wszyscy są źli i głupi. Pisze ojciec, że radca Talnicki bardzo serdecznie o nas się dopytuje — kiedy wrócimy? To człowiek!

— Zostańmy jeszcze parę tygodni. Tak tu cicho i pusto — tak mi tu dobrze!

— To zostaniemy, biedactwo. Istotnie ledwieś się zaczęła poprawiać. Świetnie ci może służy!

Teraz istotnie Maniusia z dniem każdym nabierała

rumieńców - i humoru. Lazębina wypisywała do męża
cuda o wpływie morskiego powietrza, cieszyła się
że córka tyle czasu spędza na wybrzeżu, ale sama
nie mogła zasmakować w pieszych spacerach po
piasku, i wystawianiu się godzinami na słońce.
Co najwyżej chodziła czasami do rybaków po homary
resztę czasu spędzała na czytaniu, pisaniu listów
i porządkowaniu strojów córki.
Mamusia używała zupełnej swobody, ale rzadko i
nie długo bywała samotną.
Malarz szukał jej, i przychodził na gawędkę. Oswoiła
się z jego sposobem bycia i poglądami - zrazu zgorszona
znalazła potem w nich dziwny pociągający urok -
nauczyła się odpowiadać cięto. Dowiedziała się, że
ma na imię Jan - że jest sam na świecie, bez rodziny
że zarabia dużo - i spędza zimę w Paryżu, lato
gdzie go fantazya pociągnie. Nie wątpiła, że jest
Francuzem, a gdy się dowiedział, że ona jest Polką

rzekł w rodzaju komplementu, że Polki mu imponują - i że się ich - aż boi.

I raz pewnego wieczora, gdy wracali ze spaceru rzekł obojętnie.

— Niech mnie pani wspomni jutro.

— Dlaczego?

— Bo dziś w nocy odjeżdżam.

— Tak nagle?

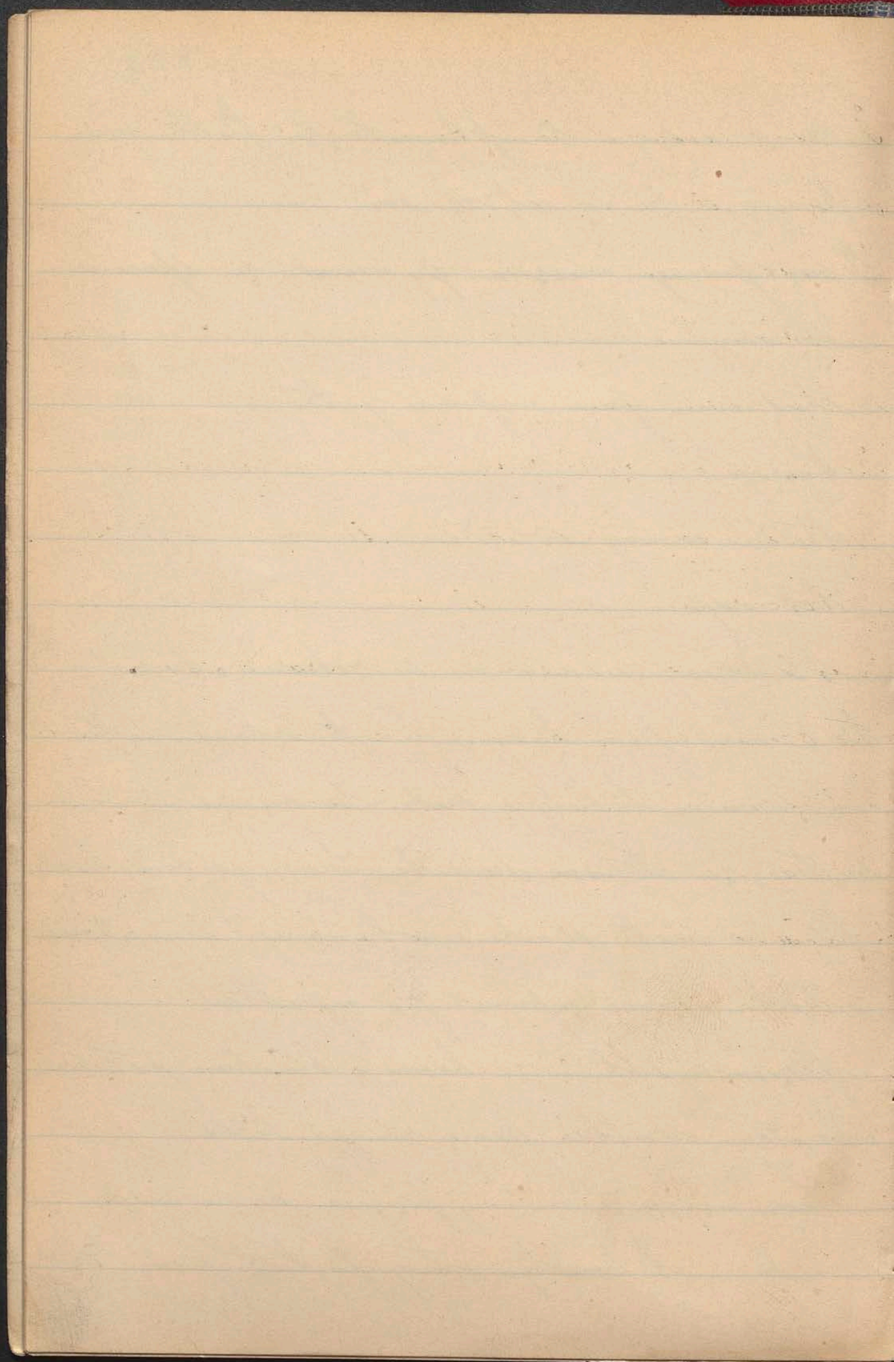
— Od wczoraj zachciało mi się zobaczyć Soles! Była tam pani kiedy? Nie - to szkoda. Jakie tam są cudne kobiety i niebo. Tu mi za szaro, za smętnie, za chłodno. Sielanka. Znoszę ją bardzo krótko. „Pójdę w świat, szukać sobie innej." zanucił wesoło.

— Tęskno panu zapewne po modelkach.

— Przedewszystkiem za barwą i blaskiem południa. Chciałbym spotkać panią za lat kilka.

— Zdaje mi się, że możemy pożegnać się na zawsze.

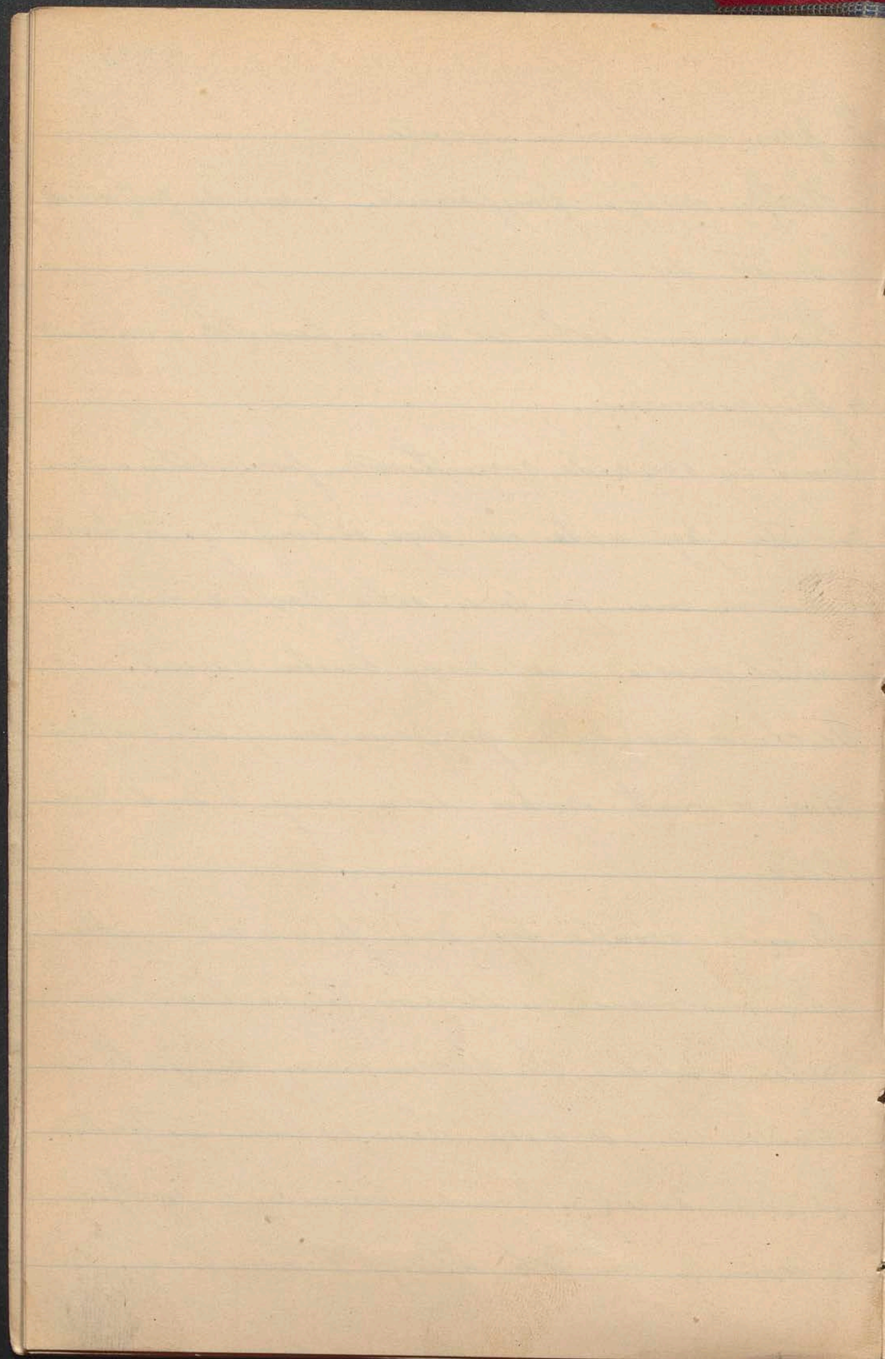
— Szkoda. Malowałbym wtedy portret pani.



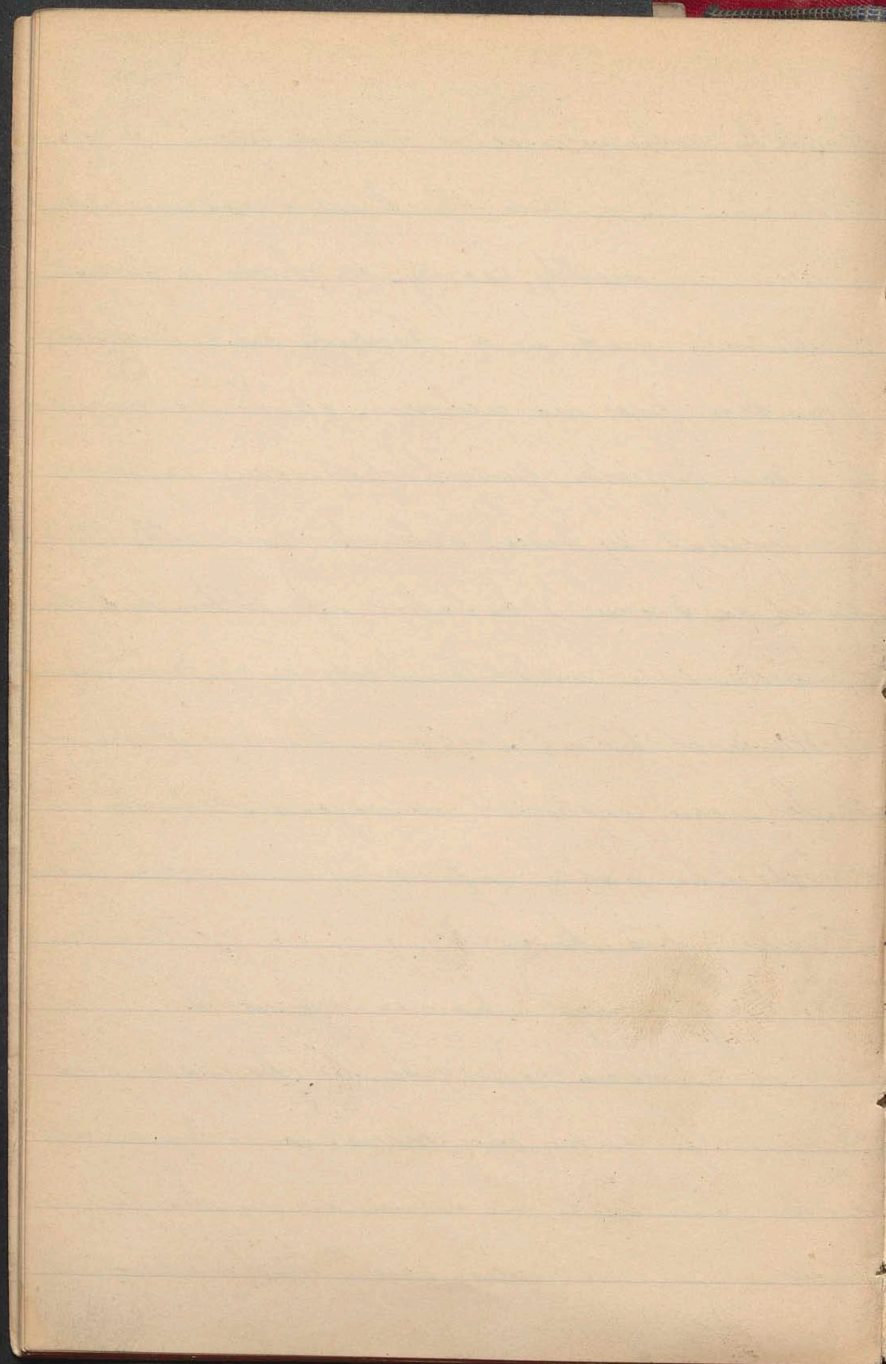
I pani radaby mnie ujrzeć.

— Wątpię, czybym przypomniała, żeśmy się już widzieli.
Zaśmiał się.

— Powinniśmy sobie coś dać na pamiątkę — i na znak
do przypomnienia.
Zanim się obejrzała, zorjentowała, pomyślała o oporze
poczuła jego usta na szyi, odtrąciła go, odskoczyła.
— Devenez reine, je serai votre page, a revoir.
Zawołał wesoło, i uchyliwszy beretu, zawrócił.
Po chwili usłyszała gwizdanie, znanej sobie melodyi:
„Pójdę w świat — szukać sobie innej." i zniknął za
skałami.
Maniusia wróciła tego dnia później niż zwykle,
jakaś znerwowana, że śladami też na twarzy — nie
miała apetytu, źle spała w nocy, nazajutrz nie
chciała iść do morza. Zaniepokoiła się Zarębina.
Po paru dniach Maniusia wyznała, że jej tęskno
do domu, że ma dość włóczęgi i samotności, że



chciałaby zobaczyć ojca, i ozemś się zająć.
Naturalnie ta czułość dla kraju i rodziny, rozczu-
liła do łez matkę, zaczęły się zbierać do powrotu.
Postanowiły wcale się w Warszawie nie zatrzymywać,
przemknąć przez nią cichaczem, ale Zaręba wygadał
się o dniu przejazdu panu Bolesławowi, i zapewne od
tego dowiedział się radca Salnicki - bo spotkał te
panie na dworcu z bukietem i pudełkiem cukierków.
Maniusia była wściekła - Zarębina rozpromieniona.
Radca zajął się ich bagażem - towarzyszył na
drugi dworzec, ulokował w wagonie. Naturalnie
został przez matkę zaproszony na wieś, zaco bardzo
serdecznie podziękował.
Gdy pociąg ruszył Maniusia wybuchnęła.
— Poco go mama zaprosiła. On pomyśli, że go
łapiemy. Ja go nie chcę, mamo, ja nikogo niechcę.
— Ależ, moje dziecko, nie możemy się zamykać - jak
trędowaci. To była z jego strony wielka uprzejmość -



po takiej awanturze, okazał, że został przyjacielem. Trzeba było zaprosić, to do niczego nie obowiązuje. Zresztą to taki miły, inteligentny człowiek, tak dobrze mówi, i takie zajmujące rzeczy. Nieoceniony gość na wieś teraz. Pomyśl, to już Wrzesień, wszyscy wrócili do miasta. Będziemy jak pustelnicy.
Meniusia ruszyła ramionami.
— Ach, mnie on nic nie obchodzi. Niech mama się nim cieszy i jego bawi.
— Przecie lubiłaś go także.
— Ach, może być. Mnie teraz wszystko i wszyscy wstrętni i nieznośni.
— Biedactwo! Warszawa ci przypomniała to nieszczęście, w domu odżyjesz znowu, zapomnisz.
Ale w domu właśnie wpadły na cały szereg opowieści warszawskich, plotek, obmowy, wymysłów najpotworniejszych. Józio opowiadał, że kilka razy omal nie miał o siostrę pojedynku, Zarzeba

był zgryziony i skłopotany interesami. Zadłużył
się na wyprawy i wystawne życie, teraz musiał płacić
na wsze strony, fabryka źle szła, łamał głowę
nad wyjściem z ciężkiego położenia - wszystko wi-
dział w czarnych kolorach, trząsł się i narzekał na
świat cały.

Synowie też chcieli żyć i wydawać. Medycyna-karjera
starszego kosztowała grubo, młodszy niby to pomagał
w fabryce, ale głównie siedział w miasteczku, i z
kompanją sąsiednich młodych obywateli bawili
się kartami po zajazdach. Na starość Zaręba
czuł się samotny, zbyteczny, niepotrzebny, a raczej
zawadzający tym dzieciom, którym przecie służył
i dogadzał całe życie.

- Trzeba nam będzie do przytułku iść! mówił
gorzko do żony. Już my im niepotrzebni - usunąć
się trzeba „stary dureń" myślą - patrząc na mnie!
Żebyż jeszcze nie te długi - i nie Maniusia.

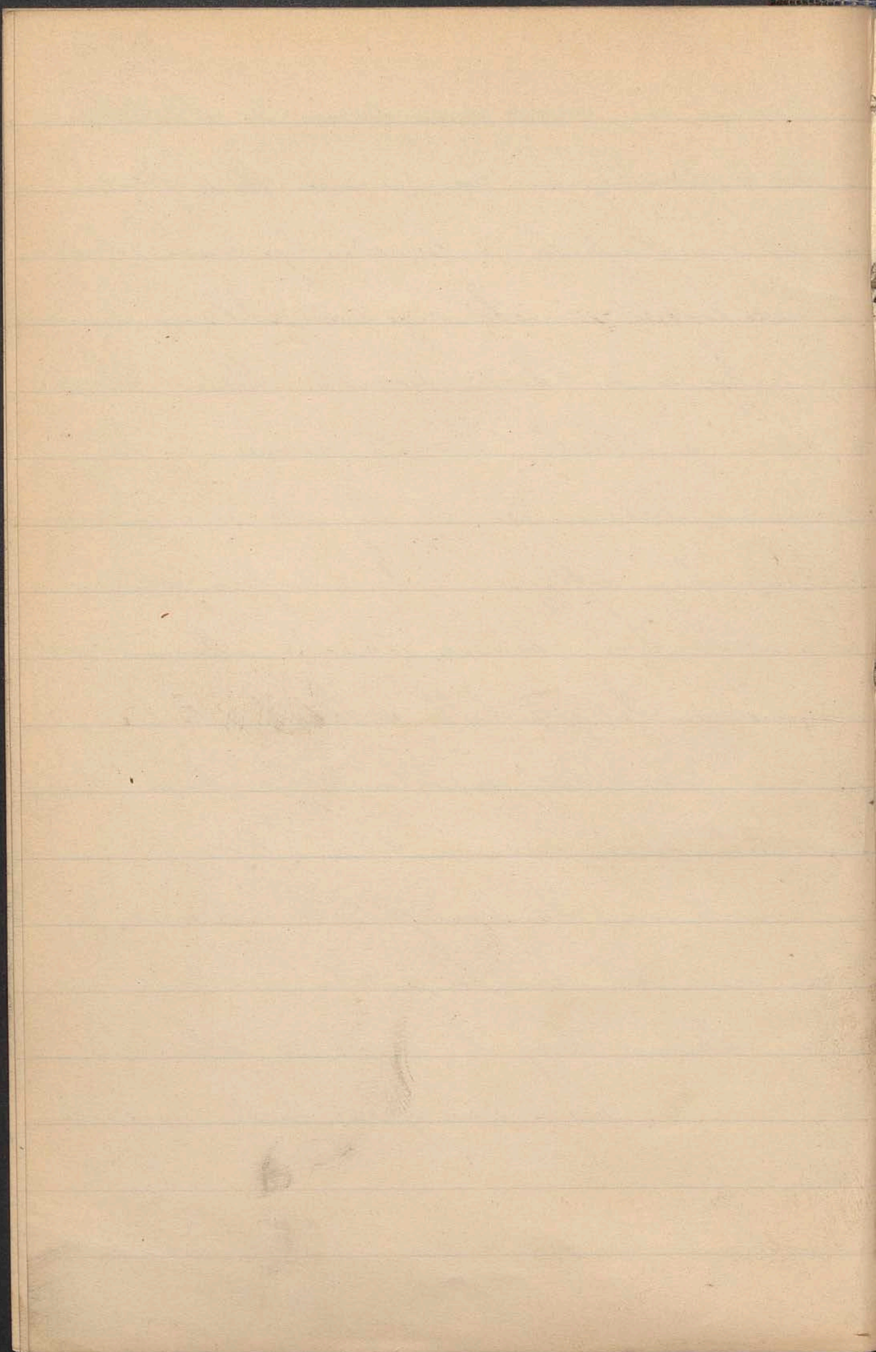
— Dlaczego nie udasz się o pomoc do Bolesława!

— Nie wspominaj mi tego człowieka! Wiesz przecie, że nagadał mi głupstw z powodu tego draba zbrodniarza i śmiał dowodzić, że to my wszystkiemu winni! My! My go do zbrodni dowiedli! Bolesław! Toć on bywa u Stucha! Zresztą winien mu już jestem dwadzieścia tysięcy! Ja się boję, że on jeszcze na Salnickiego wpłynie, żeby nie przyjeżdżał. Ach, toby było zbawienie, żeby choć Maniusi los zabezpieczyć! To już tylko w twojej rękach.

— Byle przyjechał! westchnęła Zarębina. Maniusia ma złote serce — ona mu będzie uległą!

— Salnicki ma trzykroć gotówki i kamienicę. Zresztą może się Maniusi podobać — doskonale się jeszcze trzyma. Żeby to doszło do skutku — toby była bez porównania lepsza partya jak Moszyński.

Maniusia po powrocie do domu, prędko zaczęła się



nudzić. Przywykła do miasta i ludzi, do ruchu i rozrywek, do wizyt i sprawunków – co wszystko stanowiło zajęcie, pracę niby – i pożerało czas – na wsi nie wiedziała co robić ze sobą i czasem. Braci nie zajmowała się nią, gości prawie nie było widać – z matką nie miała co mówić. Dnie upływały wolno, próżniacze na spacerach po ogrodzie – na robótkach ręcznych nieużytecznych – na czytaniu belletrystyki – na jedzeniu i spaniu. Po paru tygodniach zauważyła z przerażeniem, że tyje. Opłakała się z rozpaczy. Zaczęła się sznurować, aż do utraty tchu, postanowiła się głodzić, ale była łakoma, więc nie umiała się obejść bez słodyczy.

– Spasasz się, Maniusia, rzekł kiedyś Józio – będziesz taka gruba, jak mama. Trzeba ci koniecznie za mąż!

– Głupi jesteś! oburknęła.

– Lepsze nie tyle co ty!

— A cóż by uniesz — ruszyła pogardliwie ramionami.

Pokłócili się w dalszym ciągu. Rodzeństwo nie godziło się nigdy, bracia lekceważyli siostry, ona broniła się dowcipkami — na sprzeczkach, żartach złośliwych, i preten=syach kończyły się rozmowy — zresztą rzadkie. Każde żyło i myślało osobno. Godzili się tylko, gdy zaczęli napadać na rodziców i krytykować „starych". Wtedy byli idealnie jednomyślni! —

Nareszcie pewnego dnia przyszła depesza od radcy Salnickiego z prośbą o konie na pociąg — i raptem ożywił się cały dom. Nawet Maniusia się nie ustrzegła jakiejkolwiek rozrywki.

A radca Salnicki spotkał przed wyjazdem pana Bolesława w cukierni, i spytał:

— Możebyś i ty pojechał do Zarębów.

— A to poco?

— Ano, byłoby nas trzech do winta.

— To ty nie masz tu lepszej partyi?

— No, widzisz — chciałbym trochę wsi użyć zarazem.

— Aha, używaj — używaj — pókiś młody. Zieleninkę lubisz, winszuję. Co mamy udawać. Na tego chcesz się żenić z Manieczką?

— Hm — dlaczego nie! zaśmiał się Stacz. Bardzo apetyczna dziewczyna. Jak myszka? Dostanę.

— Dlaczego nie. Nie rozumiem tylko, że ci się chce tego kłopotu.

— Mój drogi — mniejszy z tem kłopot, jak z innemi. A będzie czem się pochwalić. Zresztą taka bieżączłowiek by chciał wygody w domu.

— Ryzykowny byłeś zawsze — ale do tego stopnia tom nie myślał.

— Cóż znowu. To żadna ryzyka. Dziewczyna śliczna, z zasadami, dobrze wychowana, młoda,...

— To, to, to. Żeń się, Michałku, żeń. Stworzonyś na męża.

— No, to jedź za swata. Wstąpimy do Fukiera

po drodze.

— Niestety. Poróżniłem się z Zaręba, i z przeprosi=nami na niego czekam. Ale jedź, jedź — będę ci radzi.

— Na pewno.

— Niezawodnie. Jak Maniusia jest dla ciebie w sam raz na żonę — tak ty jej w sam raz na męża. Będziecie szczęśliwi.

Sielnicki popatrzał na przyjaciela uważnie — tak przywykł, że drwi chętnie, ale twarz pana Bolesława była zupełnie poważna, a że rada chciał wierzyć — więc wierzył.

Pojechał tedy, wyświeżony, eleganckie, z uczerniona czupryną i wąsem nastroszonym zuchwale — i wy=glądał na to co chciał — na czterdziestkę.

Miał w sobie zapas niewyczerpany nowinek i anegdot, maniery salonowe, wprawę do kompli=mentów, dobry humor — rutynę starego lwa salonowego, a z przypadku czy wyrachowania trafił na naj-

stosowniejszy moment.

Po tygodniu pobytu miłego gościa, Zarębina pewnego wieczora – majestatyczna w tuszy i wyrazie oblicza przyszła do sypialni córki.

Zastała ją w negliżu, zakręcającą papiloty przed lustrem, i obserwującą zarazem swój obnażony biust.

– Moja Maniusiu mam ci rzecz wielkiej wagi do zakomunikowania! zaczęła, sadowiąc się na kanapce wśród rozrzuconych bezładnie części tualety.

– Nie mama, zrobił mi się znowu pryszczyk na brodzie, odparła Maniusia. Nie będę pić kawy.

– To ostrość krwi – to przejdzie jak zmienisz tryb życia.

– Ciekawość jak ja mogę inaczej żyć! Mama mi to wiecznie powtarza. mruknęła grymaśnie.

– Jak wyjdziesz za mąż.

Dziewczyna rzuciła niechętnie ramionami.

– Naprawdę – w tej chwili tutaj!

— A właśnie. Wszędzie Łaska Boska czuwa — i szczęście przyjść może. Radca Salnicki oświadczył się dzisiaj ojcu.

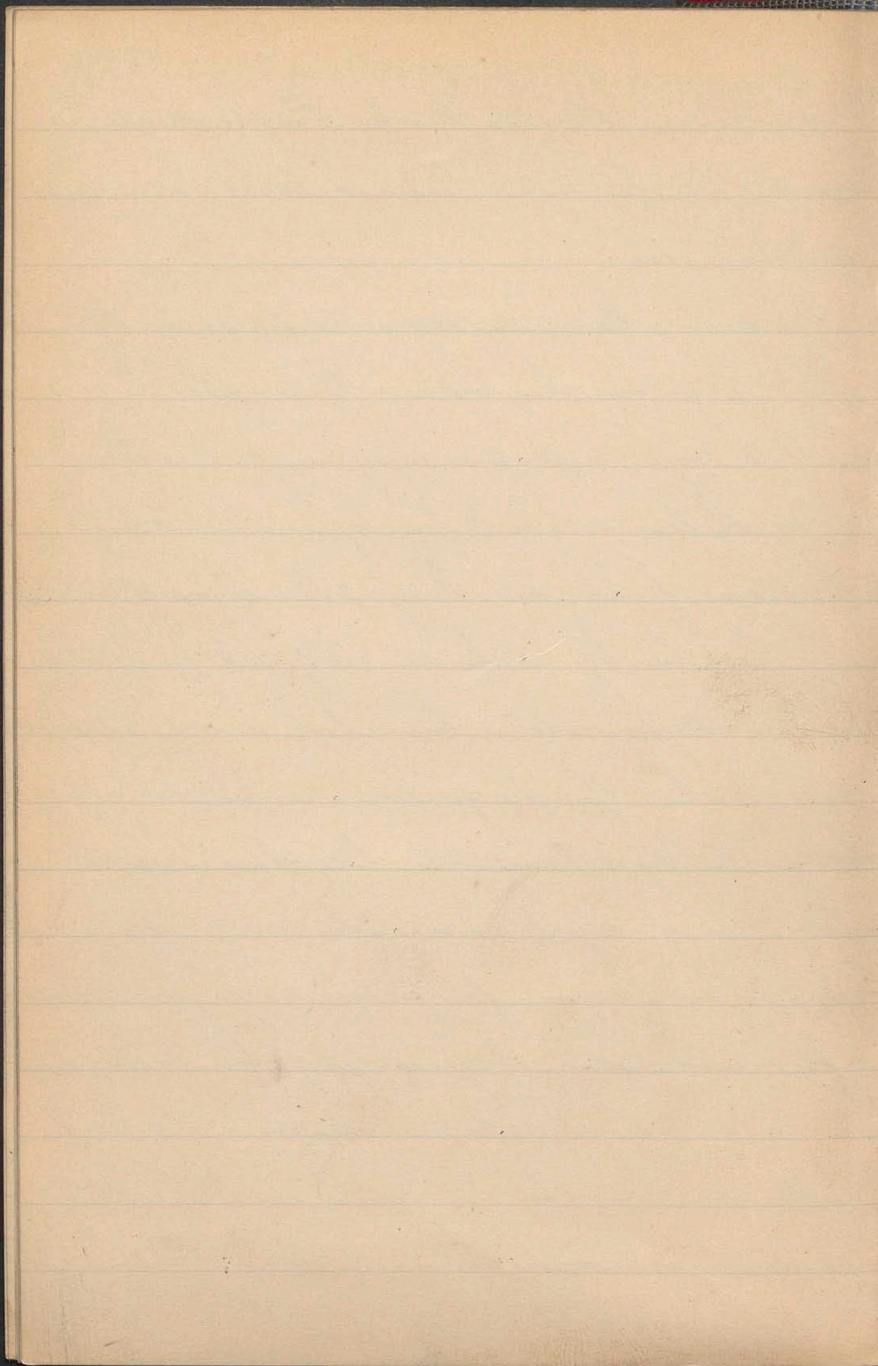
— O mnie! Maniusia odwróciła się do matki. Ależ ja go nie chcę, mamo! Taki stary.

— Moja droga, mężczyzna nigdy nie jest stary. A im starszy w latach, tem lepiej dla kobiety. Mieliśmy próbę na Mozyńskim, co wart młodzik!

— Ja też tamtego wcale nie żałuję — ale przypuszczam że nie wszyscy młodzi tacy. Ach — mamo — nie — nie nie Salnicki. Ja się go boję — nie chcę — brr!

Wzdrygnęła się, i zamyśliła. Błyskawicą myśli stanęło jej w oczach normandzkie morze — słońce Księżnej czupryna — purpurowe wargi — białe zęby i promienne oczy — i ogarnął ją jakiś dreszcz, jakiś żar — co aż różowo zabarwił ramiona i policzki.

— Nie, mamo — nie chcę tego dziada, istny Sinobrody! powtórzyła ze wstrętem.



Łazębina, które zupełnie słyszała o Metternichu, ale z pewnością nie wiedziała kto to był — okazała się jednak godną jego naśladowczynią, i dyplomatką z intuicyi. Nie należała — westchnęła tylko.

— Nikt cię nie będzie zmuszać, moje dziecko. Chcemy tylko twego szczęścia! rzekła smętnie. Tylko zmuszoną jestem cię wtajemniczyć, że ojciec jest w ciężkich interesach. Jesteśmy skazani na życie ograniczone na wegetowanie tutaj.

— Jakto! Mama mówiła, że jesienią — za miesiąc najdalej wyjedziemy do Warszawy!

— Miałam nadzieję, łudziłam się. Niedawno ojciec mi dopiero całą prawdę wyjawił. Taiłam — nie chciałam cię martwić przed czasem.

— Ładnie ojciec zrobił! mruknęła Maniusia — i zato ja mam pokutować. Jakto — tu zimować — toć lepiej umrzeć!

Ogarnęła ją taka rozpacz i złość, że zaczęła płakać.

— Dlatego też — oświadczyny Salnickiego uważałam za łaskę Opatrzności dla ciebie — dla nas wszystkich. To człowiek miljonowy, przytem szlachetny, zacny, w samej sile wieku, ze wszech miar pożądany — jako mąż — jako przyjaciel, opiekun. Kocha ciebie by łabyś szczęśliwą z nim — w dostatkach — nic by ci nie odmawiał. Ano, trudno — za grzech bym miała wpływać na twą wolę w tym względzie. Trzeba znieść ciężki los — w pokorze!

Maniusia wybuchnęła.

— Może mama się zgadzać — ale mnie co do interesów ojca. Cóż ja tu robić będę. Gęsi paść! To nie możebne — ojciec musi nas puścić do Warszawy

— O tem co? Mieszkać w dwóch pokoikach w oficynie. Nie mamy na inne utrzymanie! Nie, to niemożliwe coby znajomi powiedzieli. Musimy tu zostać.

— Za nic! krzyknęła Maniusia. Ja ucieknę. Ja nie wytrzymam! Ja chcę żyć!



— Los twój w twoich rękach — do jutra — rzekła Łazbina, wzburzona.

Zbliżyła się do córki, i przycisnęła ją do piersi.

— Moje biedne dziecko. Żebyś wiedziała jak ja cierpię! wyrzekła ze łzami w głosie. Byłam pewna, że wyjdę z tąd szczęśliwa — wychodzę zgnębiona.

Maniusia wybuchnęła spazmatycznym płaczem.

— Czego mama chce odemnie. Boże, jakaż ja nie=szczęśliwa.

— Nie grzesz, Maniusiu, nie grzesz. Żebyś potem gorzko nie żałowała swego uporu.

— Ja się upieram, ja! To wy się pastwicie nademną. Nie kocham Jakuckiego — nie wiem, co ze mną się dzieje — i mama chce żebym czuła się szczęśliwą!

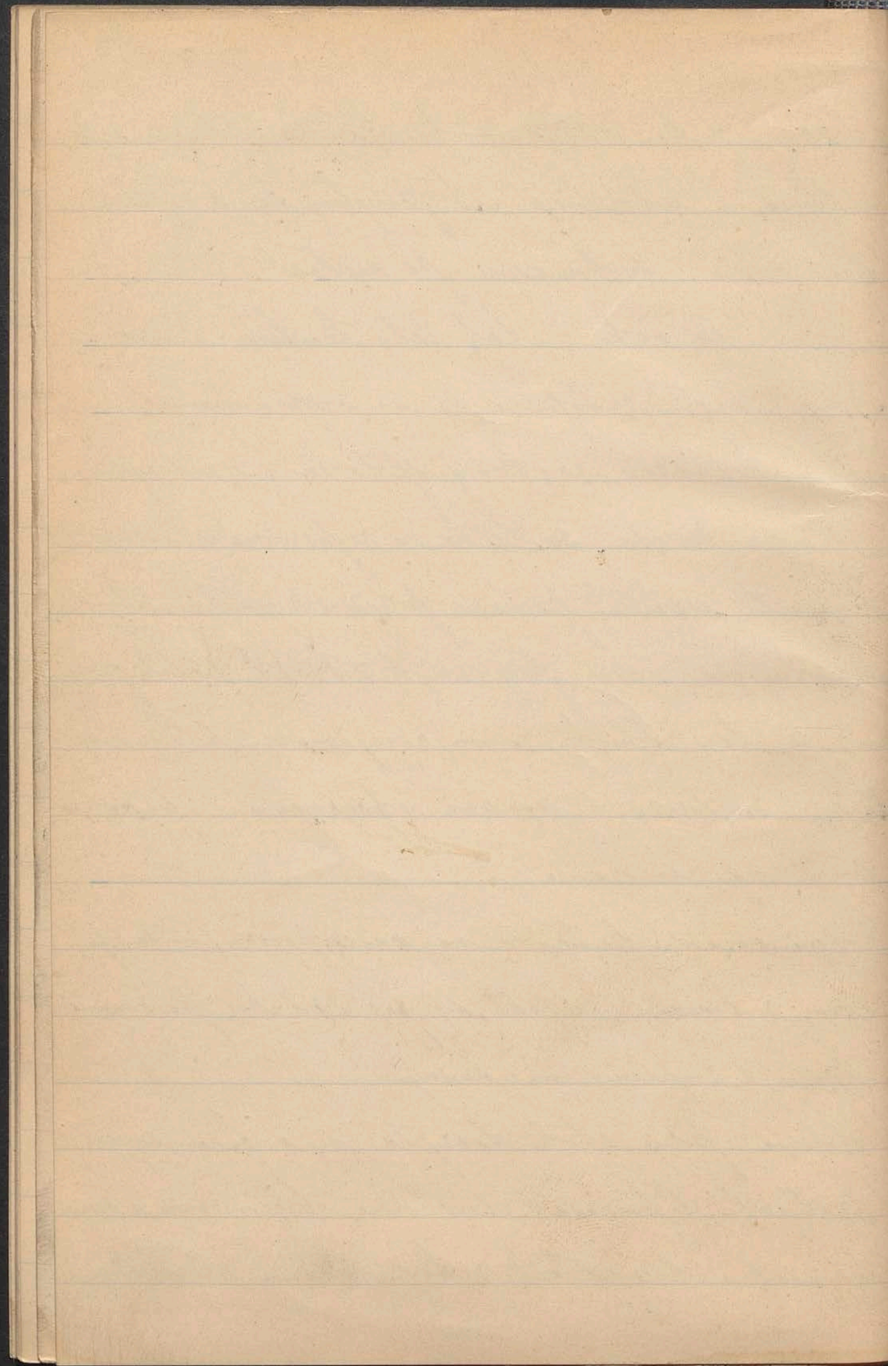
— Ależ nie, dziecko — ja nie żądam, żebyś się tak zaraz decydowała. Naturalnie musisz się namyśleć, rozważyć, oswoić się z tą myślą. Gdy on się dziś oświadczył — ojciec powiedział, że z tobą pomówimy —

on nie nalegał - powiedział - że będzie się starać ciebie zjednać - że gotów jest czekać - ile zechcesz. Nie lękaj się - nikt cię nie zmusza, ani nagli. Rozważysz spytasz swego serca - rozmówicie się sami ze sobą. Dobranoc, skarbie, nie nerwuj się - nie płacz. Będziesz mieć oczki czerwone, i główka cię rozboli! Ja wiem że ty jesteś dobre, poczciwe dziecko - zrozumiesz że i nasz los od ciebie zależy!

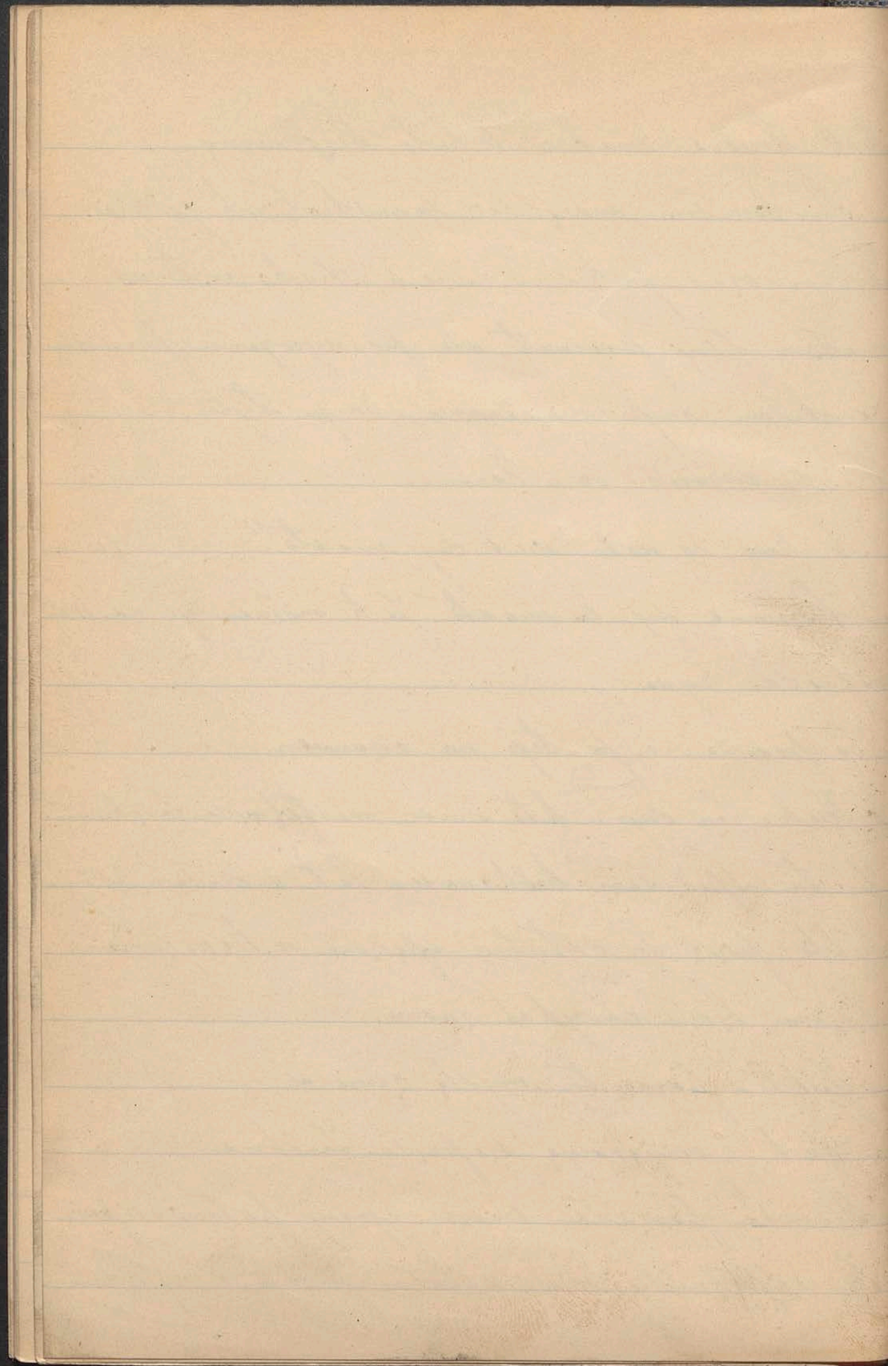
Gdy Maniusia została sama - szlochała jeszcze trochę, potem skuliła się na kanapce i oddała się rozmyślaniom. Nad wszystkiem górował strach zimy spędzonej tak - samotnie - z rodzicami - tutaj, i groza ograniczenia dobrobytu. Już bracia mówili że „stary bokami robi" teraz zwierzenia matki upewniły ją, że interesa się chwieją.

Maniusia nie była idealistką, ani naiwną - wie-działa, że gdy się rozejdzie po świecie, że one niema posagu - o konkurentów będzie trudno, a wtedy

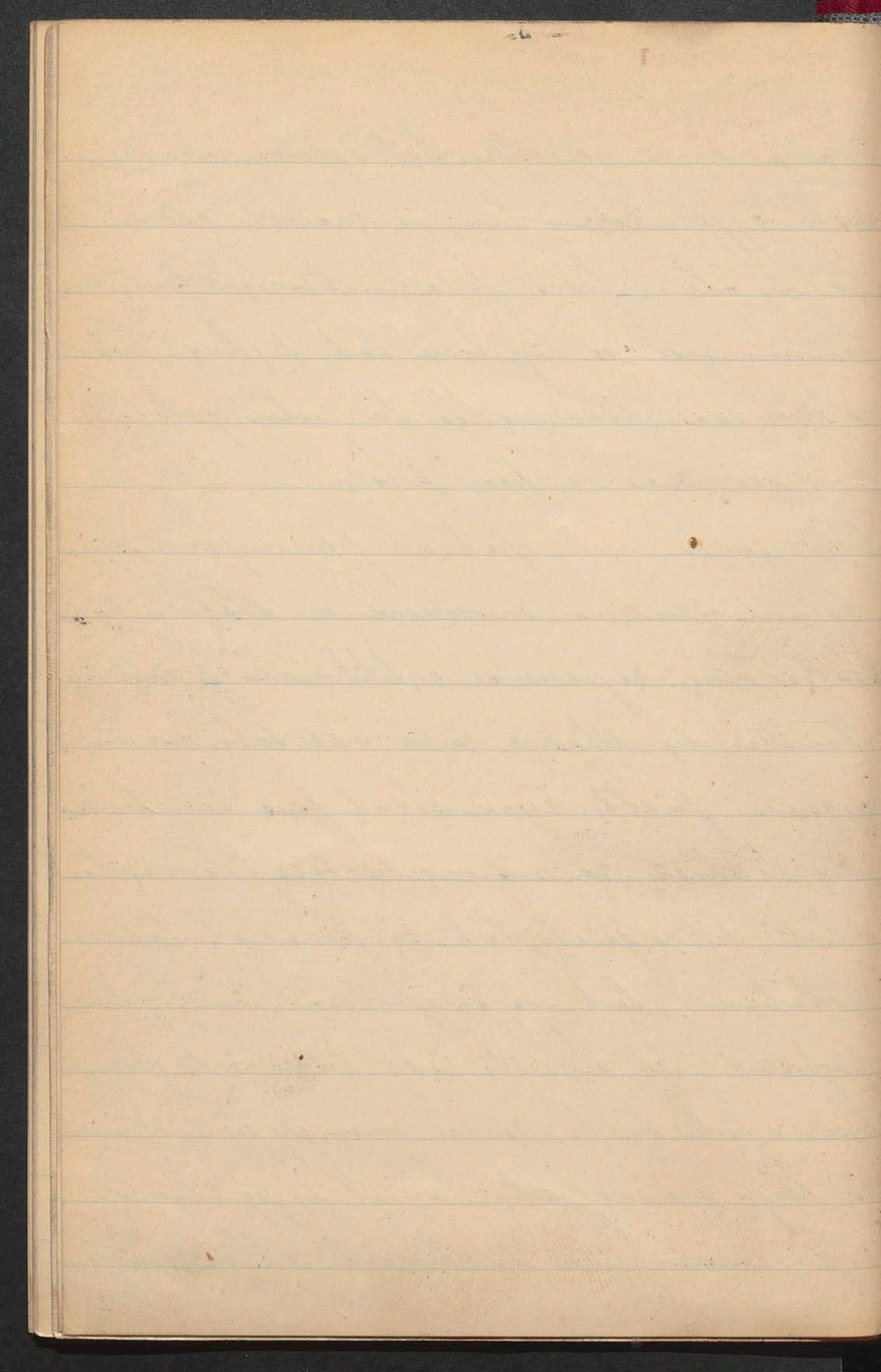
co robić – jaki wstyd – jaka hańba starzeć w pa-
nieństwie i ubóstwie. A przytem ta otyłość –
także miała sukcessya po matce!
Co robić! Co robić! Ach żeby tamten! I znowu
ją żal objął – zatopiła się we wspomnieniach.
I tak bezradną, zmęczoną, spłakaną zmorzył sen,
że ledwie doszła do łóżka – i zapomniała o wszystkiem.
Nazajutrz wstała późno, i przedewszystkiem obejrzała
jak wygląda, i czy pryszczyk zbladł, potem przy-
mierzyła trzy bluzki, zanim zdecydowała, która naj-
bardziej do twarzy, i wreszcie ufryzowana, upudrowana
zeszła na śniadanie.
Innemi oczami patrzała na radcę, porównywała go
z ojcem, z braćmi – i wydał się jej dziś bez porównania
młodszy, i zupełnie szykowny.
Rozmowa przy stole toczyła się o finansowych
kwestyach. Opowiadał swobodnie, z humorem o swych
dochodach i kłopotach z kapitałami, dla których



tak trudno znaleźć lokatę bezpieczną.
— Probowałem majątków ziemskich. A jakże byłem czas jakiś dziedzicem. Lichy interes. Miałem trzy procent, ale po wycofaniu pieniędzy zarobiłem zupełnie — zacnie — drugie tyle.
Tu się zwrócił do Maniusi:
— A pani co woli: wieś czy miasto?
— Rozumie się — że miasto. Jak można żyć na wsi: odparta żywo.
— Co prawda i ja tego nie rozumiem.
— Wiele ten czyni, kto musi: westchnęła Jarzębina. Ja tu spędziłam kilkanaście lat, a czułam że żyję tylko przez te ostatnie spędzone w Warszawie. Trudno będzie nawykać znowu.
— Jakto — panie tu myślą zimować.
— Tak. z rezygnacyą szepnęła Jarzębina.
Maniusia poczuła dreszcz zgrozy, potem rozpacz. Łzy napełniły oczy — wstała prędko, i wybiegła



Ukryła się w najdalszy kąt ogrodu, żeby się do woli wypłakać – i tam ją znalazł radca.
– Co się stało! Pani płacze? Dlaczego? Pani nie powinna znać co łzy, będąc tak piękną – tak do szczęścia stworzoną. Ja tu jestem, gotów dla pani dać życie – i pani płacze!
Ujął ją za ręce – patrzał przejmująco w oczy. Maniusia wzruszona, znerwowana, nie starała się nad żałością zapanować, rozckliwiała ją czułość! Musiała się skarżyć, żalić nad sobą, więc mu wyznała pustkę życia, strach przed samotnością, wsią, tęsknotę za minioną swobodą i towarzystwem i tak się rozgadali, tak ją pocieszał, tak jej potakiwał, tak jej współczuł, że gdy wreszcie poprosił jak o łaskę, żeby z jego ręki przyjęła życie jakie tylko zechce mieć, gdy jej się ofiarował na sługę i niewolnika – wydał się jej zbawcą i przyjacielem, i ani się obejrzała, jak się zgodziła



i jak się znaleźli w domu, gdzie rodzice rozczuleni
wzruszeni a szczęśliwi – dali im swe błogosławieństwo.
Potem pito ich zdrowie, wszyscy się śmieli i żartowali; wszyscy byli rozpromienieni, i wreszcie ta
radość ogarnęła i Maniusię, i coraz bardziej
podobał się jej narzeczony – i przyszłość.
Radca nalegał o ślub, rodzice dla formy protestowali, ale wreszcie oznaczono termin za miesiąc.
Ślub miał być cichy, w domu, i państwo młodzi
mieli zaraz wyjechać na kilka tygodni za granicę.
Przez ten miesiąc Maniusia zasypana była cukrami
i klejnotami, pieszczona przez rodziców i braci,
oszołomiona, i – szczęśliwa.
Całe przejście z Morzyńskim wyglądało jak zła
zmora, i przechodziło w zapomnienie – nikt go
nie wspominał.
Tylko w wigilję ślubu – Żarębo ojciec i syn
otrzymali wezwanie do sądu jako świadkowie.

schowano dyskretnie papier urzędowy - i utajono - przed kobietami i Sulnickim.

— Potrzebnieśmy w to wleźli! mruknął Józio.

— Kto się spodziewał, że rzeczy takie wezmą obrót. rzekł Zaręba. Ostatecznie dobrze się stało.

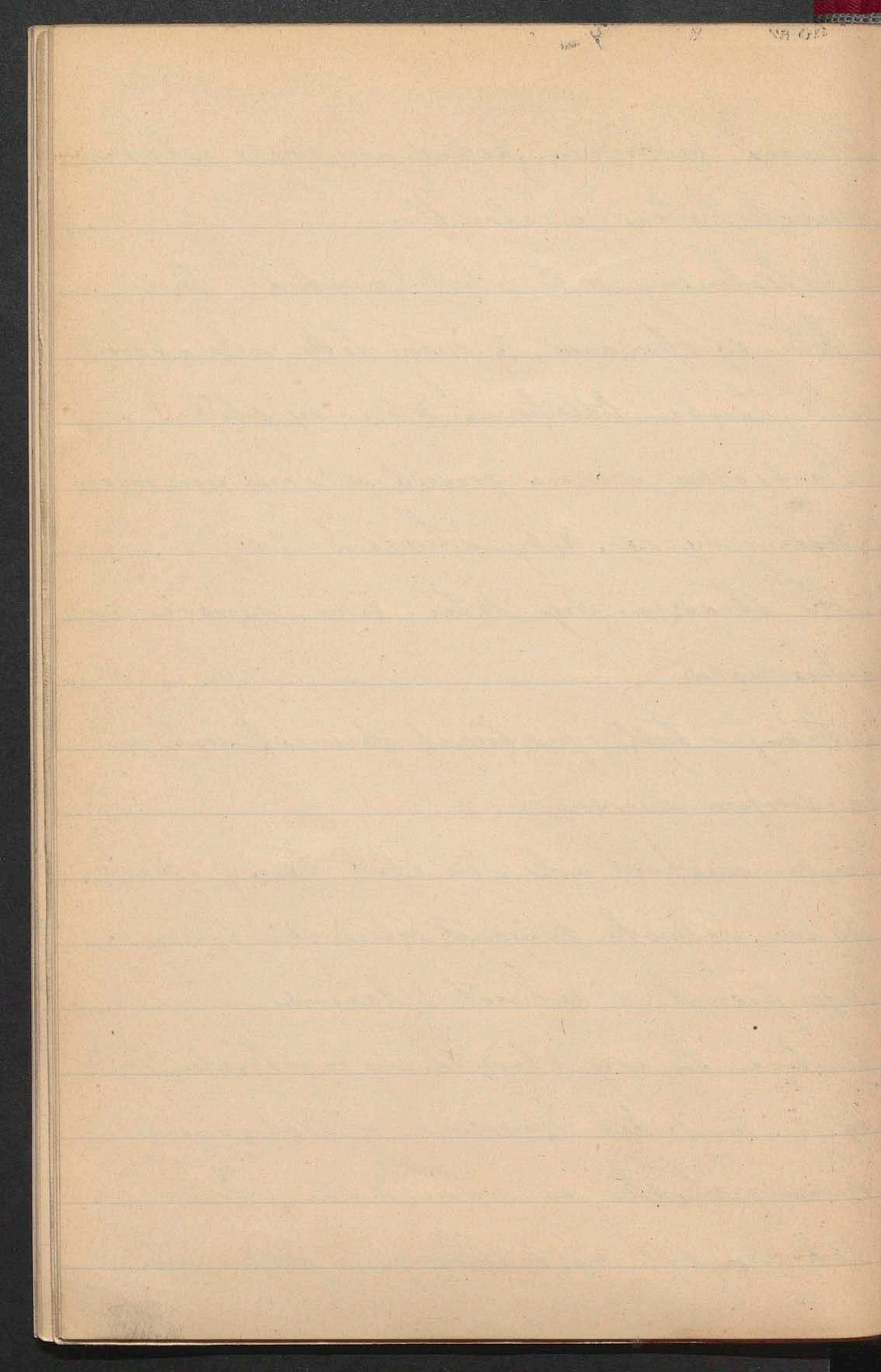
— Bo się ojciec wiecznie gorączkuje! Świeć teraz oczami - i dostań się na zęby o Łucha!

— Nie straszne! Tego łotra żadne wymowa nie usprawiedliwi.

— Aleśmy w tych rynsztokowych sprawach wcale nie na swojem miejscu!

Zaręba machnął ręką. Nie dbał teraz o opinję - gdy mu Sulnicki pożyczył czterdzieści tysięcy na pięć procent - i zabierał Maniusię.

Zarębina tej nocy obudziła się ze strachem. Śniło się jej, że jakaś dziewczyna w łachmanach i czerwonej chustce na głowie - dusiła Maniusię. Tak ten był ciężki i żywy, że przerażona—



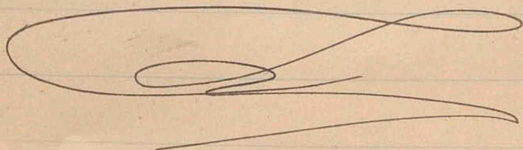
pobiegła do córki. Ale zastała ją spokojnie śpiącą - więc odmówiwszy kilka modlitw, wróciła do spoczynku.

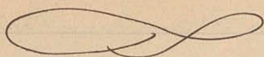
Nazajutrz Maniusia przybrała się w ślubną suknię - przygotowaną dla Moszyńskiego, matka objaśniła ją o obowiązkach żony, spłakała się i pobłogosławiła - i o jedenastej rano, ksiądz związał jej rękę z ręką Sulnickiego - mówiąc sakra=mentalne: ślubuję wiarę, miłość i posłuszeństwo, że cię nie opuszczę aż do śmierci....

Maniusia powtarzała słowo po słowie.

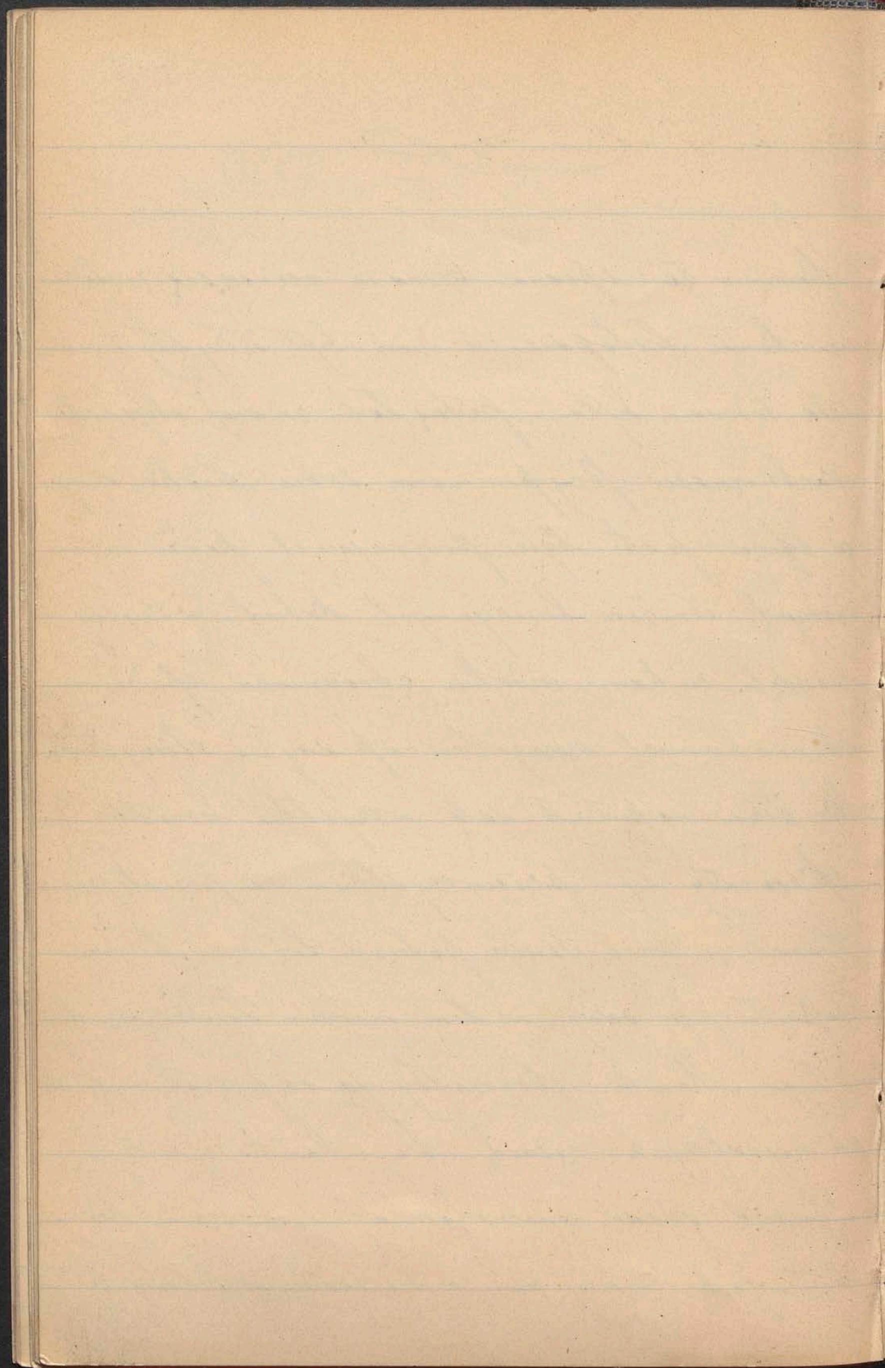
Na prowizorycznym ołtarzu w salonie paliły się świece i błyszczał obraz święty - przysięga zapadała nieubłagana: „aż do śmierci".

Było to w cztery miesiące - po zabiciu Moszyńskiego.

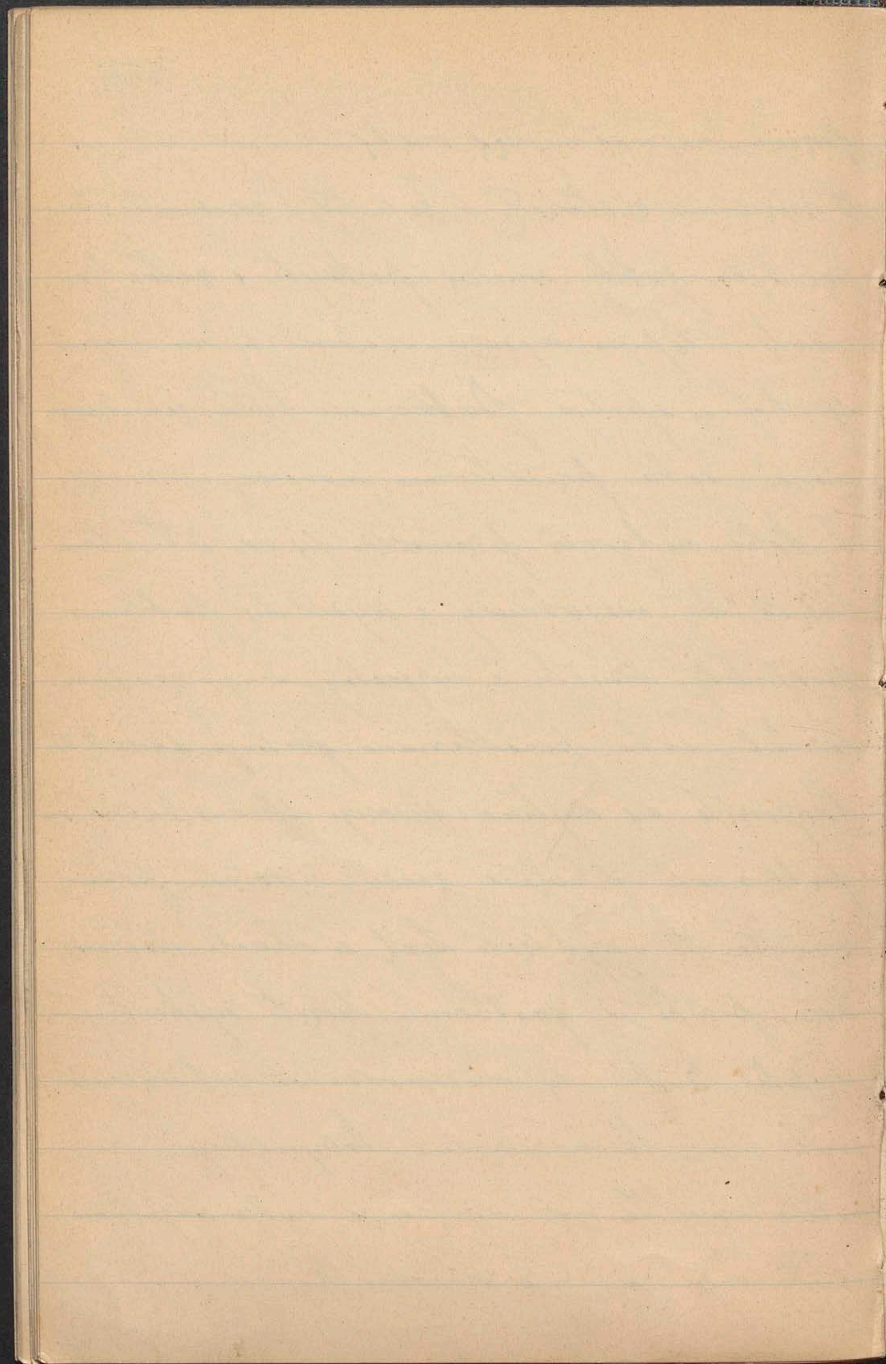




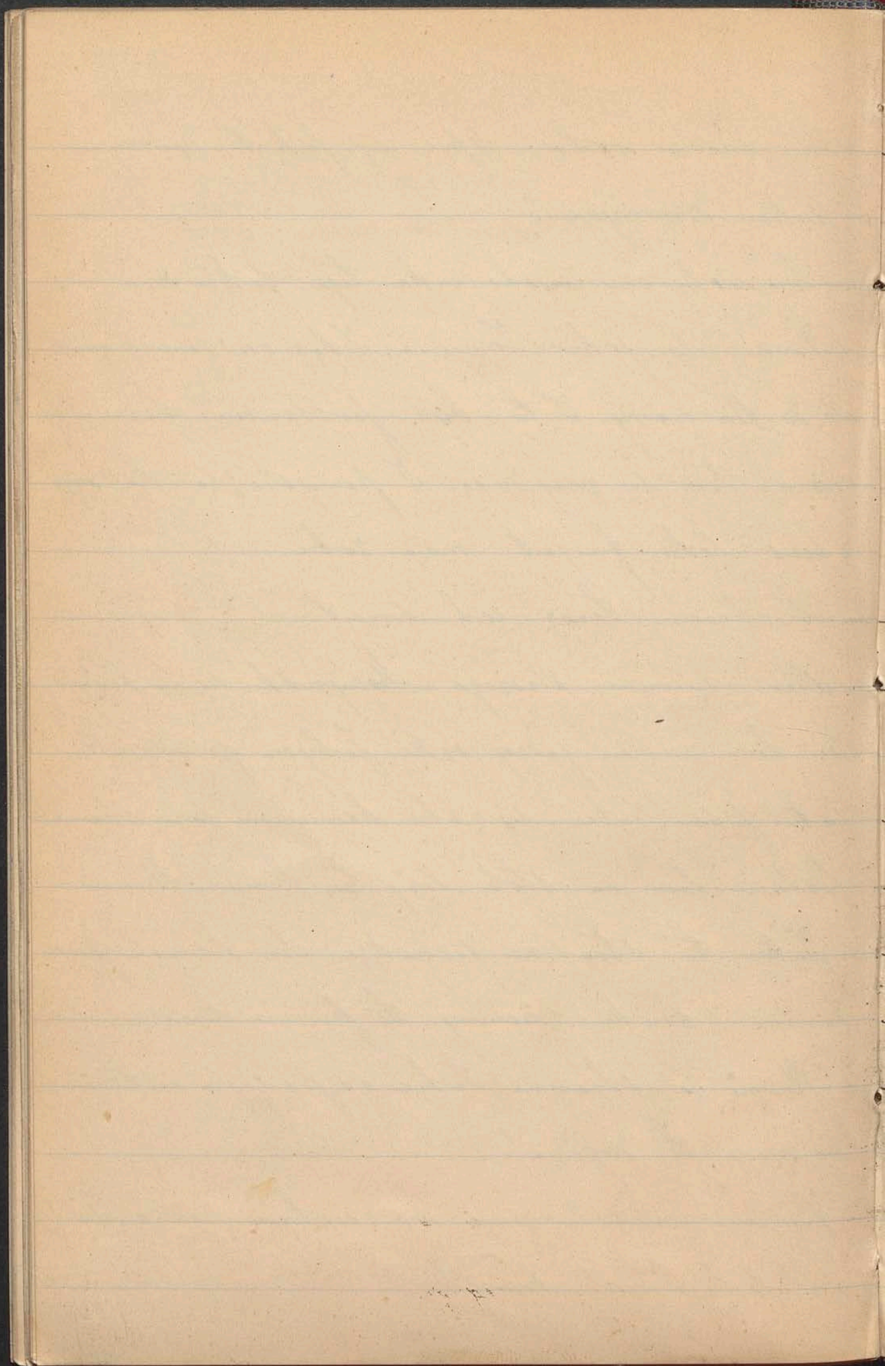
Pomimo że sprawa Gedrasa naznaczoną została na koniec Listopada, i dzień był dżdżysty i zimny sala sądowa była pełną, tak zwanej eleganckiej publiczności. Przypomniano sobie Ludka, a w je-go sferze jest tyle próżnujących paniczów, i żądnych wrażeń, bezczynnych kobiet - wszyscy przyszli - ciekawi widoku zbrodniarza, spodziewający skandalicznych szczegółów sprawy - i obrony Słucka. Gdy tłum napełnił salę - wszystkie lornetki skierowały się przedewszystkiem na przestępcę. Gedras ze swej ławy patrzał też na tłum. Zapadłe jego oczy - w tem mrowiu twarzy - szukały długo. Mańki. Dojrzałby ją - rozpoznał, wyszukał w najdalszych rzędach. Ale Mańki nie było. Opuścił głowę, znieruchomiał - jak szara plama był - jak szary cień - w tej sali - w której był



przecie - najważniejszą osobą.
W więzieniu zestarzał i zeschł, i poczerniał. Twarz jego była jakby śniedzią pokryta, i z zatartych rysach i tępym wyrazie - malował się na niej spokój i apatya. Publiczność była zawiedziona inaczej sobie przedstawiano mordercę.
Z kolei ciekawość przeniosła się na Łucka. Siedział też odosobniony, i wydał się publice pospolity, brzydki, i niezgrabny - drugi zawodnie tak sobie przedstawiano głośnego adwokata. Rozpoczęło się czytanie śledczego sprawozdania; publiczność słuchała zrazu uważnie, potem znużyło to większość tych, co chcieli wrażeń dużo, prędko, i gwałtownie. Zaczęto dyskretnie szeptać, dzielić się wiadomościami zakulisowemi:
— A gdzież ta narzeczona - Mosyńskiego?
— Nie wiecie. Za mąż wyszła, za miljonowego dziada.
— Nie może być. To okropne!

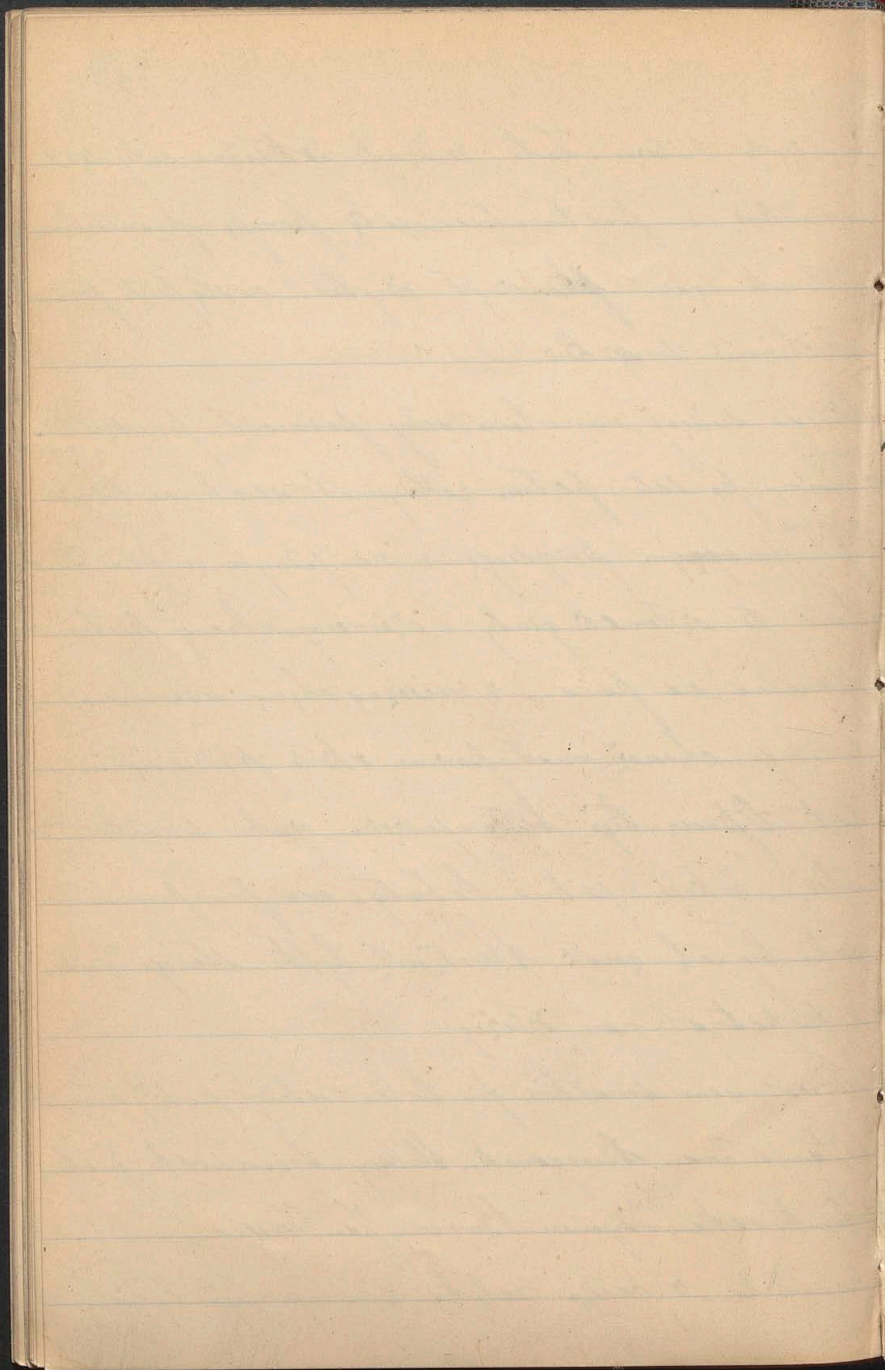


— Cóż miała robić! Topić się - jak ta dziewczyna.
— Jaka dziewczyna?
— Ano, córka czy wychowanka tego - jakże on?
— Gdras! To jakiś Żmujdzin. Skąd on zawędrował aż do Warszawy. I to był posłańcem. Ładne indywidua tam się znajdują. I pomyśleć, że każdego z nas taki furjat może zabić.
— Cóż chcecie - teraz ich świat.
— Nie rozumiem dlaczego Mosyński się nie bronił. Toć ten niema jednej ręki. Jabym go zdusił jak psa! Dać się zabić kamieniem przechodnia! Patrzcie tam na stole leży ten kamień. Widzicie?
— Jakie to straszne jednakże. Ten kamień - prosty kamień z bruku - ciemny - to pewnie krew.
— Pewnie że straszne takie rozpasanie motłochu. Do czego to dojdzie!
— Będziecie musieli żenić się z córkami posłańców.
— I taki słuch - broni!



— Bo pewnie obiedwa z jednego rynsztoku. Słuch przecie znany anarchista i bezwyznaniowiec.
— Powiadają, że kochał się w Łazębiance — stary go kijem wypędził z domu. Wychorował go podobno.
No — i zato się mści. Jakoby to on sam podmówił tego Łazasa, żeby żądał od Mazyńskiego ślubu z tą dziewczyną.
— Ale kiedy to się skończy. Mnie się jeść już chce.
— Oho — dziś nie będzie wyroku. Patrzcie ile jest świadków.
— A który to Łazęba?
— Tam w pierwszym rzędzie siedzą ojciec i syn.
— Syn — to ten niby mużyk. Ładny chłopiec.
— A cóż oni będą gadać?
— A dlaczegóż nie wezwano narzeczonej? Toby był efekt. Podobno bardzo ładna.
Tak szeptano po dalszych ławkach, gdzie nie dochodził głos czytającego. Bliżsi słuchali — i

musieli milczeć. Zato widzieli dokładnie cały sąd
świadków i prokuratora — całą pompę sprawiedliwości.
Członek sądu skończył czytać — nastąpiło prze-
-słuchiwanie świadków.
Jędras siedzący nieruchomo, oczy podniósł — przeszedł niemi
znowu po sali — potem zatrzymał wzrok na sędziu
mającym przysięgę — i na jednym ze świadków.
Był to człowiek gruby i czerwony, ubrany preten-
-sjonalnie „na pana" — z widoczną chęcią udawania
młodego — chociaż miał pewnie około pięćdziesięciu
lat. Oprócz tego było jeszcze wielu świadków —
stróże, lokaje, jakieś kobiety — nie przypominał
sobie, by ich znał. Rozróżnił tylko starego Jarzębę
i popatrzał nań dłużej.
Wywoływano świadków po kolei — wtedy posłyszał
— Stanisława Dzięganek, Hilary Arcimowski, Justyna
Jankowska, Szymon Burda, Jan Jarzęba — — — —
z daleka — z bardzo daleka, z całego jego życia —



z bardzo dawnych lat — były to imiona i pamiątki.
Poruszył się, aż łańcuch brzęknął. Skuty był —
pod strażą obnażonych szabel — zanim go skażą —
wpierw całe życie — co umarło, i co minęło — i co
przebolało — nanowo trzeba będzie przeżyć i przecierpieć.
Skurczył się w sobie, i począł dyszeć.
Wszyscy oni wolni — godni wiary i szacunku — od
przysięgają — co powiedzą — święte będzie — i Filek
złodziej, i Staśka rajfurka, i Szymek kelner,
którego zaloty Mańka odrzuciła, i poprzysiągł
się mścić — i stara Jankowska, chrzestna Mańki,
i pan Zaręba, któremu Gedeon, jak pies wierny
służył tyle lat.
Nikomu z nich krzywdy nie uczynił — a oto
wszyscy przyszli — na niego. Zaco? i poco?
Toć on do wszystkiego się przyznał.
Świadkowie wychodzili po przysiędze — przerwano
sprawę na kilkunastominutową pauzę.

publiczność po zasięgnięciu informacyj u praw-
=ników, przybyłych jako słuchaczów - że wyrok
zapewne zapadnie dopiero jutro - a do wieczora
trwać będzie badanie świadków - poczęła się prze-
=rzedzać.
Widowisko było za długie, a dramat nie zapo-
=wiadał się efektownie. Jedni się znudzili, inni
byli głodni - innym było za gorąco w sali - i
opróżniły się w połowie ławki. Żegnano się
w przedsionku - „do widzenia - jutro - na mowę
Słucha..”
Było w tem wiele przyjemności - że „anarchista”
przegra - bo przegrać musi.
Słuch i sam był tego pewny, i mówił podczas
pauzy do kolegi:
— Będę głosem wołającym na puszczy. Wyrok wiadomy.
A choćbym i wygrał, nie zmieniłoby to położenia
tego człowieka. To życie skończone, odbyte.

Rozpoczęło się badanie świadków. Stróż, lokaj – młody Żarzba, opowiedzieli jak znaleźli zabitego – kelner z Europejskiego hotelu, co z nim mówił Gedras owego rana. Przesuwali się jeden po drugim, mówili rzeczy wiadome ze śledztwa. Słuchający ich Gedras, myślał: poco to wszystko, gdy on sam do winy się przyznał. Pierwszy stary Żarzba zeznał, że Mańka nie była córką Gedrasa – potwierdziła to stara Pątkowska, opowiadając historyę znajdy – i Hilary Arcimowski. Sprawa przeszła na temat sfałszowania doku=mentu. Głuch przemówił raz pierwszy do Hilka.

– W owych czasach – to dawno – lat temu osiemnaście służyliście razem z podleśnym u pana Żarzby. Czy przy=pominacie sobie okoliczności dla których opuściliście tam zajęcie?

– Nie – nie pamiętam. Zapewne trafiło mi się coś lepszego w Warszawie.

– To jednak szczególne – że tak dobrze pamiętacie

wypadek że znajdą – a własnych dziejów zapomnieliście. Zapewne i nadal utrzymywaliście stosunki z Gedrasem – jeśli wiecie napewno – że dziecko to – i jego córka Marya – są jedną i tą samą osobą.

— To wiem na pewno. Gedrasa nie spotykałem, ale dziewczyna bywała u mnie. Mam mydlarnię na Skórzy. Dziewczynę znam od trzech lat.

— I domyśliwszy się kto ona, nie chcieliście odwiedzić dawnego kolegi?

— On mi nie był kolegą. Jestem ślusarz z professyi – a on był u pana Łarsby nocnym stróżem.

— Więc zmieniliście fach. A oprócz mydlarni teraz nie prowadzicie innego interesu?

Wilek łysnął złowrogo oczami.

— Ja tu nie jestem na śledztwie! warknął. Świadczę co wiem, że Gedras nie miał żony ni córki.

Stuch zwrócił się do sądu.

— Świadek ten, został wydalony z fabryki za kradzież

którą odkrył i doniósł mi właśnie stróż, Jędrzej.
Obecnie zajmuje się pasierstwem, i dostarcza dziewcząt do
domów rozpusty, na co mam dowody. Upraszam tedy
o usunięcie wykreślenie go z liczby świadków.
Jeśli pan Zarzba tak dobrze pamięta swego stróża,
i zna jego charakter, zapewne będzie też pamiętać
Arcimowskiego ślusarza - i może potwierdzić prawdziwość mego pierwszego zarzutu względem niego - dowód
następnego znajdzie sąd - w tym oto zeznaniu
dziewczyny, Olgi Bróżek - zmarłej u św Łazarza -
w zeszłym tygodniu.
Nastąpiła wymiana zdań, dysputa, czytanie dokumentu, pytanie Zarzby - ostatecznie świadectwo
Wilka zostało usunięte.
Z kolei wezwano Józefki.
Zeznała, że Mańka bywała u Mosyńskiego od
roku, że była w nim rozkochana, że wiedziała
kto on jest, że przyjmowała od niego prezenta.

i że na dwa tygodnie przed zabójstwem odgrażała się, że go zabije

— Czy świadek może przytoczyć wyraźnie, jakie prezenta dawał pan Morzyński? spytał Stuch.

— Dawał, co tylko chciała. Miała od niego pierścionek. Nawet, żem się z niej śmiała, że taki przyjęła. A ona mówi: chciał mi kupić z turkusem, alem sama ten wybrała, bo to jakby obrączka.

— A inne prezenta?

— Pewnie że i więcej miała, ale się nie przyznawała, widziałam też książkę z wierszami, czerwono oprawną. Stuch więcej nie pytał.

Świadek Stefan Burda, kelner, zeznał, że miał zamiar żenić się z Gedrasówną, ale przekonawszy się, że jest kochanką Morzyńskiego zerwał z nią. Przypuszcza, że Gedras wiedział o romansie córki, bo kiedyś mu rzekł:

— Wy za moją dziewuchę nie płaćcie, bo ona nie dla was

— Nie możecie określić, kiedy, w jakim czasie to powiedział? spytał Dłuch.

— Zeszłego roku. Wtedy mnie to tknęło — i zacząłem śledzić dziewczynę — a kiedym się przekonał jaka jest, tom z tej kompanii wcale się wycofał.

Na tym się skończył pocztet świadków — i był już wieczór, odłożono sprawę do dnia następnego.

Wyprowadzono Gedrasa, i odwieziono do więzienia.

Przed gmachem chwilę było rojno, i brzmiał szmer rozmów, potem zapanował zwykły ruch uliczny.

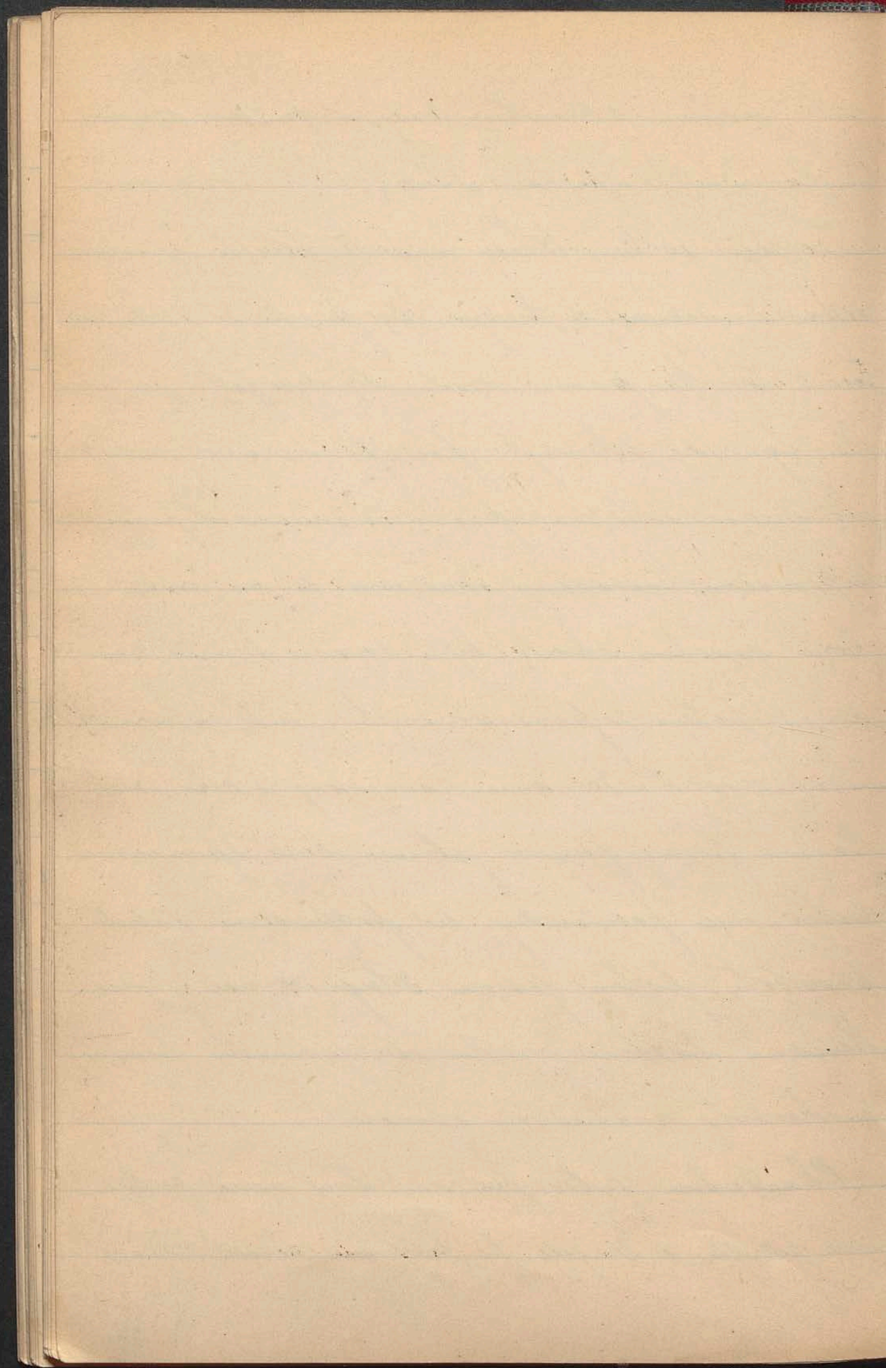
Dłuch wrócił do domu zamyślony i chmurny.

Pomimo późnej pory w gabinecie było sporo interesantów — więc posiliwszy się pośpiesznie — poszedł do roboty, potem jeszcze długo w noc pisał.

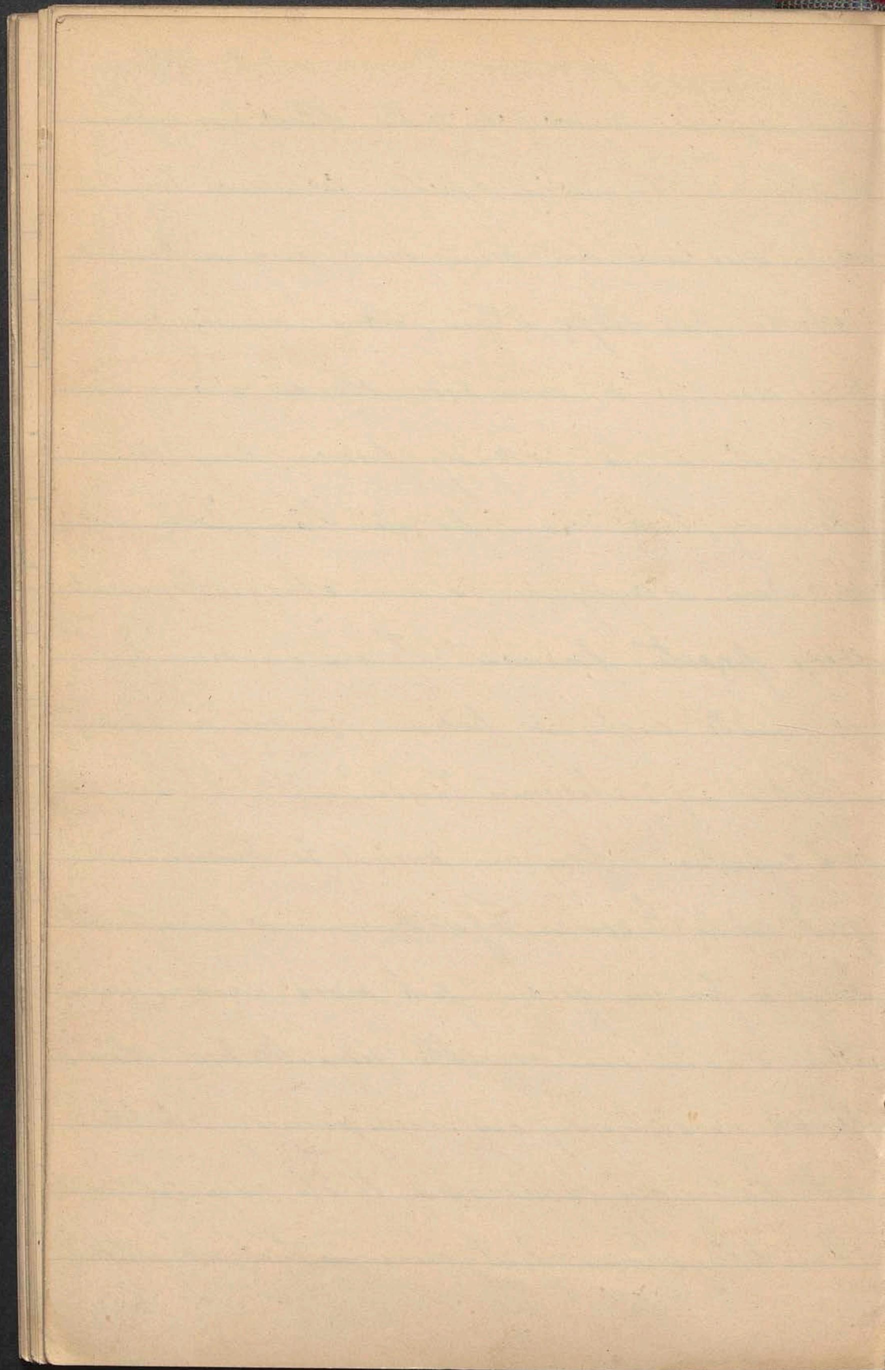
Nareszcie siostra weszła do gabinetu, podała mu herbaty, i usiadła opodal.

— Chciałabym jutro być na twej mowie. rzekła.

— To przyjdź o drugiej po południu. odparł. Chociaż



jeśli się nie wzmocnię do jutra – słabo będę wojować.
Opadła mnie bezmierna apatya – bezsilności. Zdaje mi
się, że głos mój tyle będzie miał mocy – co protest
robaka pod stopą. Słowa, słowa – nic więcej nie mam
żadnej mocy. Ci co mnie będą słuchać, i sądzić tego
nieszczęśliwca – toć wszyscy prawie – tacy sami
Moszyńscy, tak zwani porządni ludzie. Żaden się
nie zmieni – wszyscy się na mnie oburzą. Nie, ja sta-
nowczo przestanę pracować! To nie dla mnie fach –
ja zanadto cierpię – w poczuciu, że nic nie uczynię.
– Jakże się zachowywał Zaręba?
– Z zapałem i przejęciem dowodził, że dziewczyna nie
jest córką Gedrasa. Sfałszowanie dokumentu, to
bodaj w prawie gorsze jak mord. Zresztą w rezul-
tacie dla Gedrasa wszystko jedno. On życie skończył.
Wyrok najostrzejszy czy najłagodniejszy – kilka
lat katorgi czy kilkanaście – to dla niego już obojętne.
Charakterystyczna jest nienawiść tych wszystkich



sytych, wolnych, niby porządnych ludzi – do tego już pobitego! Z jakim tryumfem patrzał nań – dawny znajomy – opryszek – jak rad był się pomścić – za zdemaskowanie i odkrycie złodziejstwa – przed ośmnastu laty. Sam się zgłosił jako świadek. Jak z przyjemnością obwiniała towarzyszka dzieciństwa, ta utrzymanka Stasia – rada, że ją może oplwać, że upadła jak ona. Jak pogardliwie się wyrażał, z jakiem obrzydzeniem odtrącony konkurent.

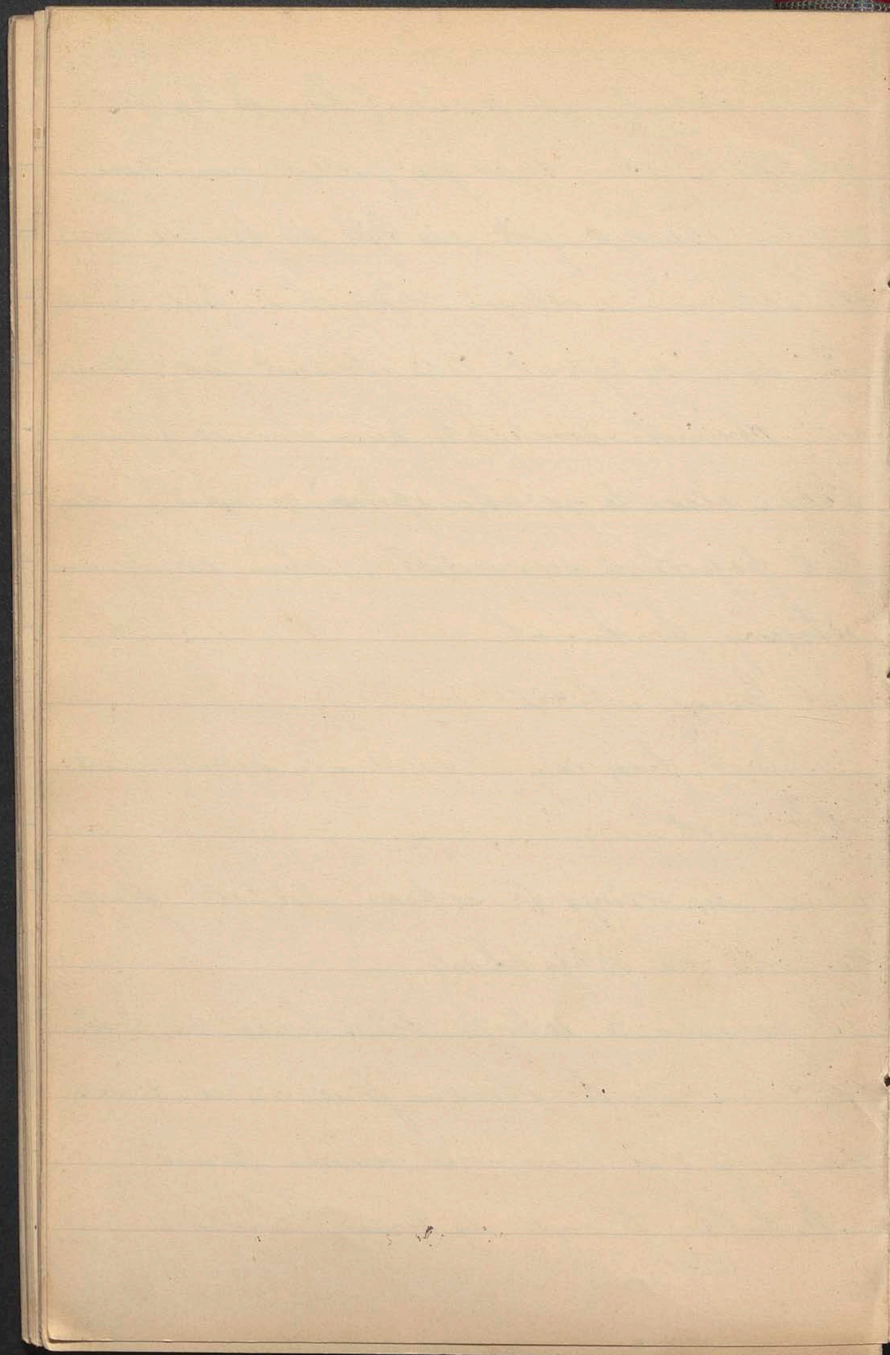
– A Gedras? Milczał?

– Milczał. Parę razy słyszałem, że dyszał ciężko. Ot – żywot!

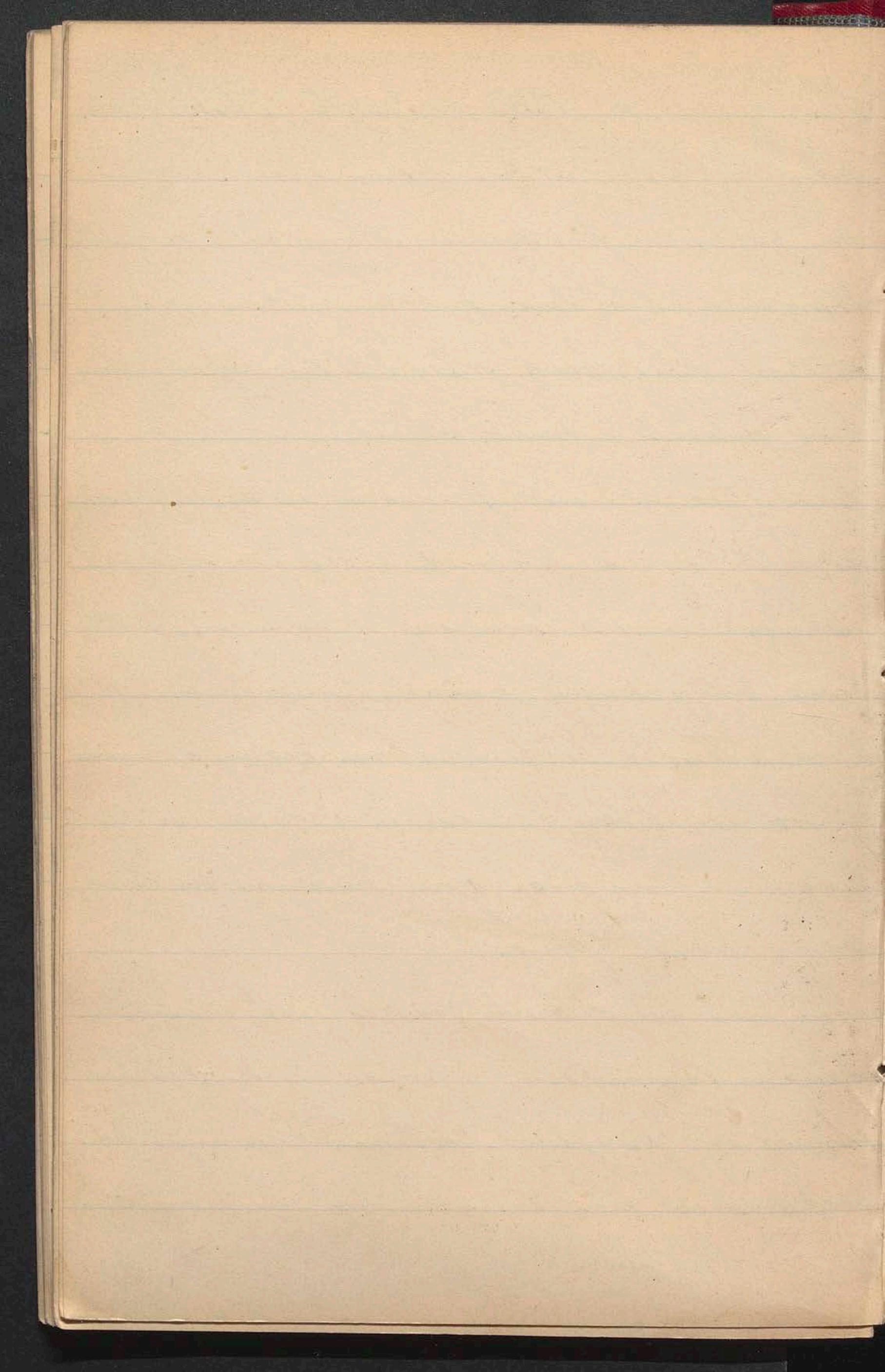
Antek się wzdrygnął, rękami podparł głowę, i zamilkł na długą chwilę.

– I pomyśleć – że dopóki będzie trwać ludzkość – nie zmieni się to straszne przeznaczenie – że siła ma tylko złe! zamruczał wreszcie ponuro.

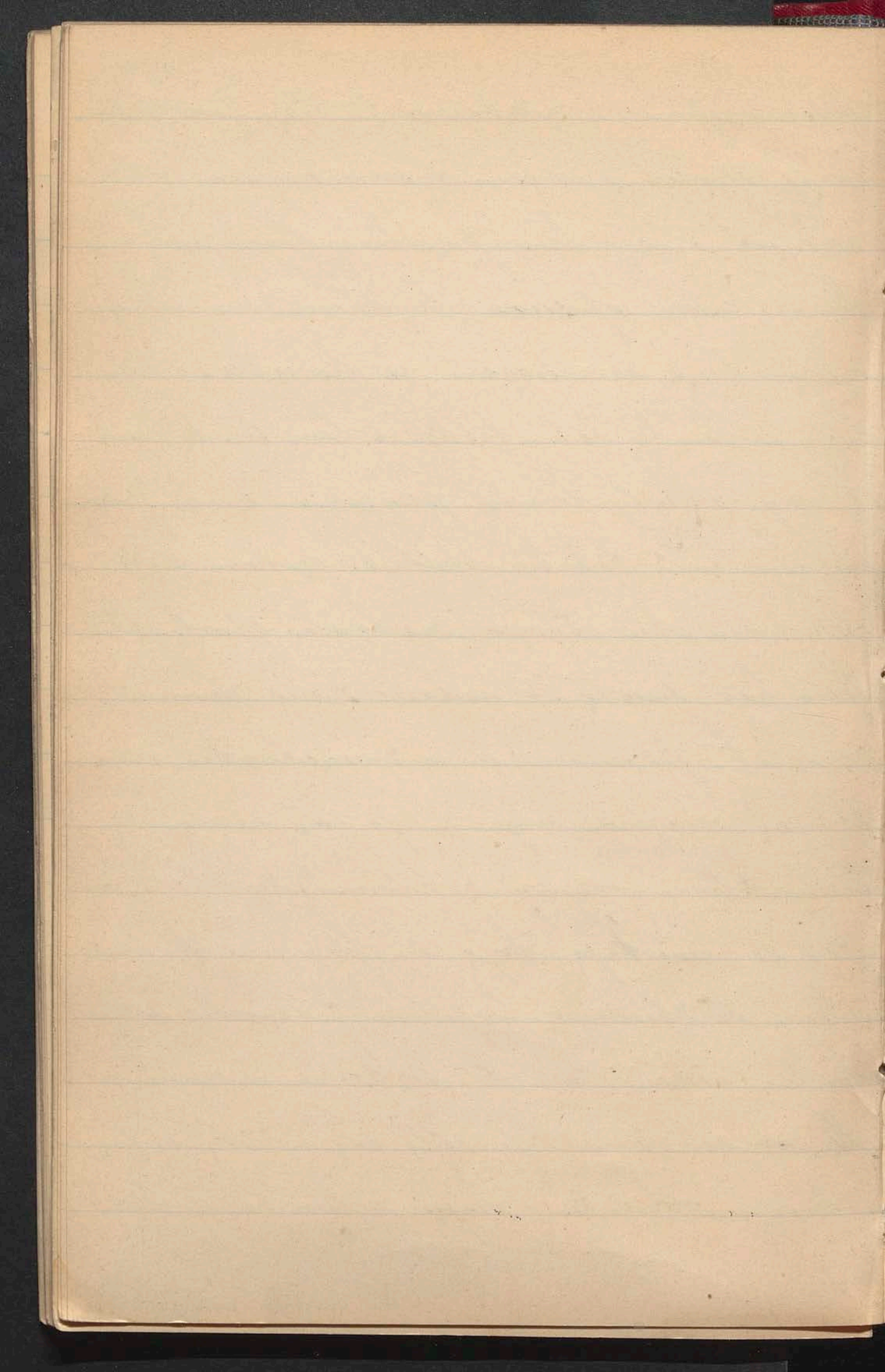
– O Antku, to musi się zmienić! zawołała.



Nie odparł nic, tylko się gorzko uśmiechnął.
„Tyle mu złe". Na tem samem oparł nazajutrz
swe oskarżenie prokurator. Mowa była wspaniała
odkrywała otchłanie dzikości i zezwierzęcenia
niższych klas, brak wiary i zasad, nieposzanowanie
praw, mściwość, i brudny interes.
Przestępca tolerował prowadzenie rozwiązłe dziewczyny,
pozwalał jej na stosunek z bogatym młodzieńcem
~~rachując~~ na zysk. Zawiedziony w rachubach, po otrzy-
maniu małej summy - morduje z wyrafinowaną
premedytacyą, i barbarzyństwem dzikiem, człowieka
bezbronnego, który ostatecznie w niczem mu nie
zawinił - gdyż nie będąc ojcem dziewczyny, nie miał
do niej żadnych praw.
Całe życie tego człowieka zresztą jest jednym
szeregiem tajemniczości i ponurej zgrozy. Niema
rodziny, ani przyjaciół - zostawia wszędzie po sobie
wspomnienie niechętne. Przeszłość jego pełna zaga-



=dek posępnych i niezbadanych – traci żonę w tra=
=giczny sposób – i uchodzi z owego miejsca, jakby
się lękał dłużej tam pozostać – traci rękę w fa=
=bryce, i znowu opuszcza te strony – nie starając
się nawet o odszkodowanie za kalectwo – służy
u pana Jarzyby lat kilka – i tam ten człowiek
ponury, skryty, twardy – przygarnia dziecko – jakoby
nieznanej mu kobiety – spełnia rzekomo czyn
miłosierny. Ale odtrąca zuchwale opiekę chlebo=
=dawcy nad sierotą – i uchodzi z nią znowu
w świat – pozostawiając u zwierzchnika, i zna=
=jomych wrażenie ulgi – że go już niema.
Instynktownie wszyscy z którymi się styka, nie
lubią go, unikają, boją się. Przeczucie to nieza=
=wodzi – to zbrodniarz. Popełnia fałszerstwo dokue=
=mentu – uchodzi mu to bezkarnie do czasu.
Aż wreszcie demaskuje całą swą upadłą naturę.
Morduje człowieka, i czując, że tym razem czyn

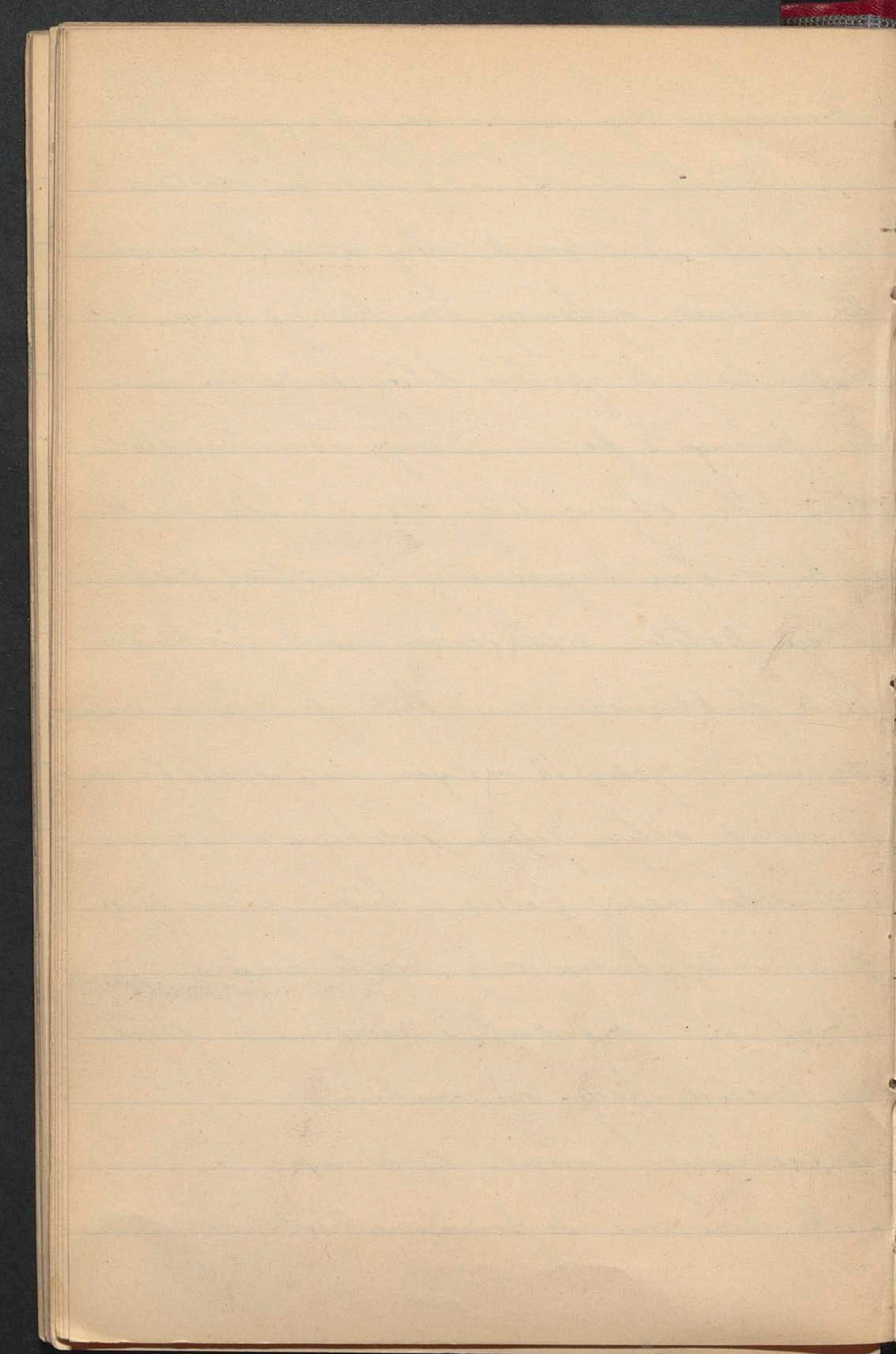


zbrodniczy ukryć się nie zda — przyznaje się odrzuciwszy nadzieję uzyskania w wyroku okoliczności łagodzących. To człowiek, który wszystko wyrachował — to zbrodniarz wyrafinowany, dla którego niema dość srogiej kary, to potwór, który na zawsze usunięty być powinien z pośród zdrowego, normalnego społeczeństwa — to objaw siły zła i zaniku wszelkiej etyki — w tych zwyrodniałych warstwach proletarjatu. Długo, potężnie, wstrząsająco mówił prokurator. Wśród publiczności ośmieli było gwałtowne wrażenie oburzenia i zgrozy. Li wszyscy sędzi, dostatni zda się widzieli w tym jednym — uosobienie strasznych instynktów massy głodnej i biednej — gotowej rzucić się, burzyć cały świata porządek.

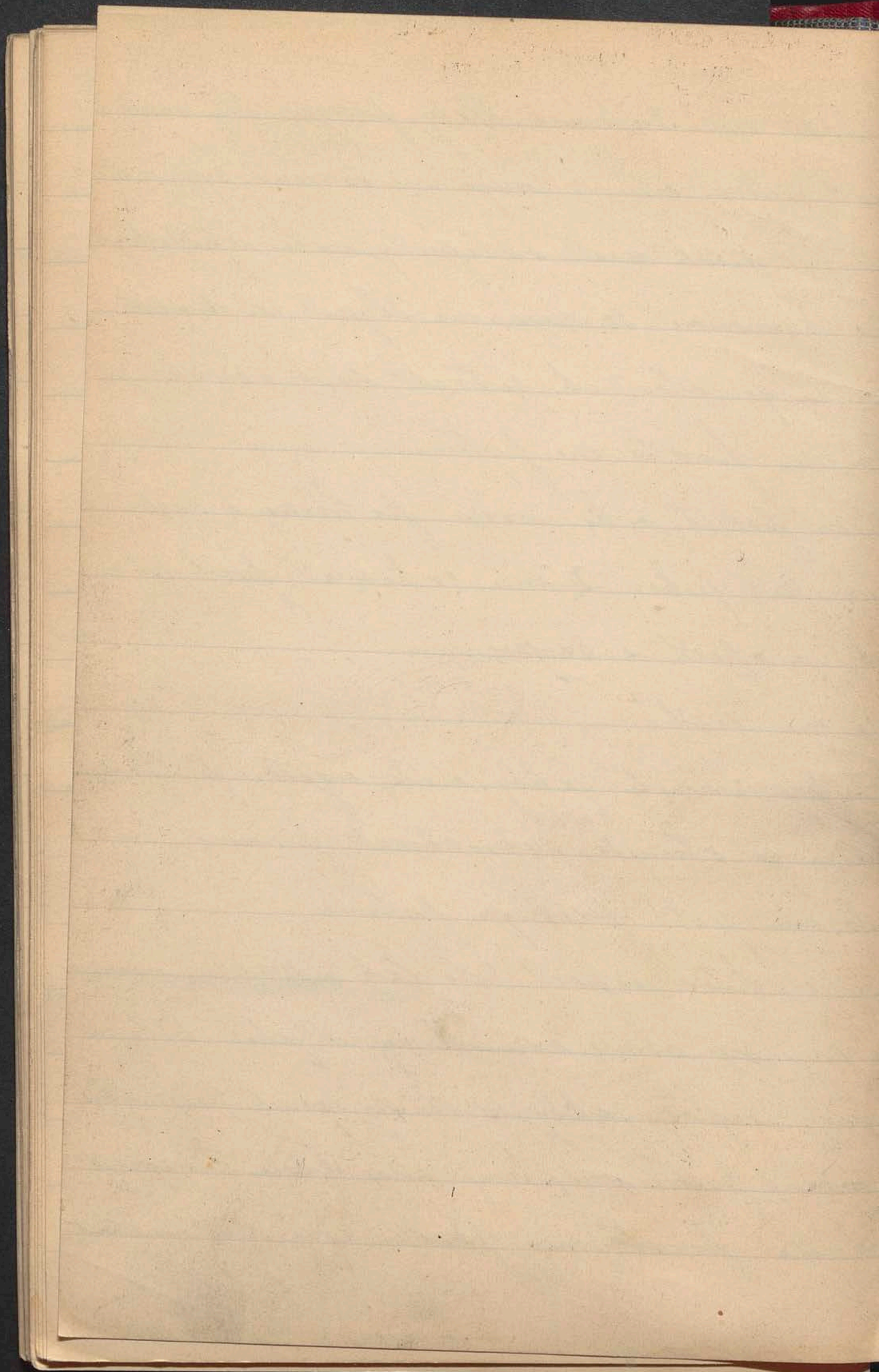
Strach był w duszach — i zadowolenie, że przecie ten potwór kary nie uniknie.

Przewodniczący zwrócił się do niego.

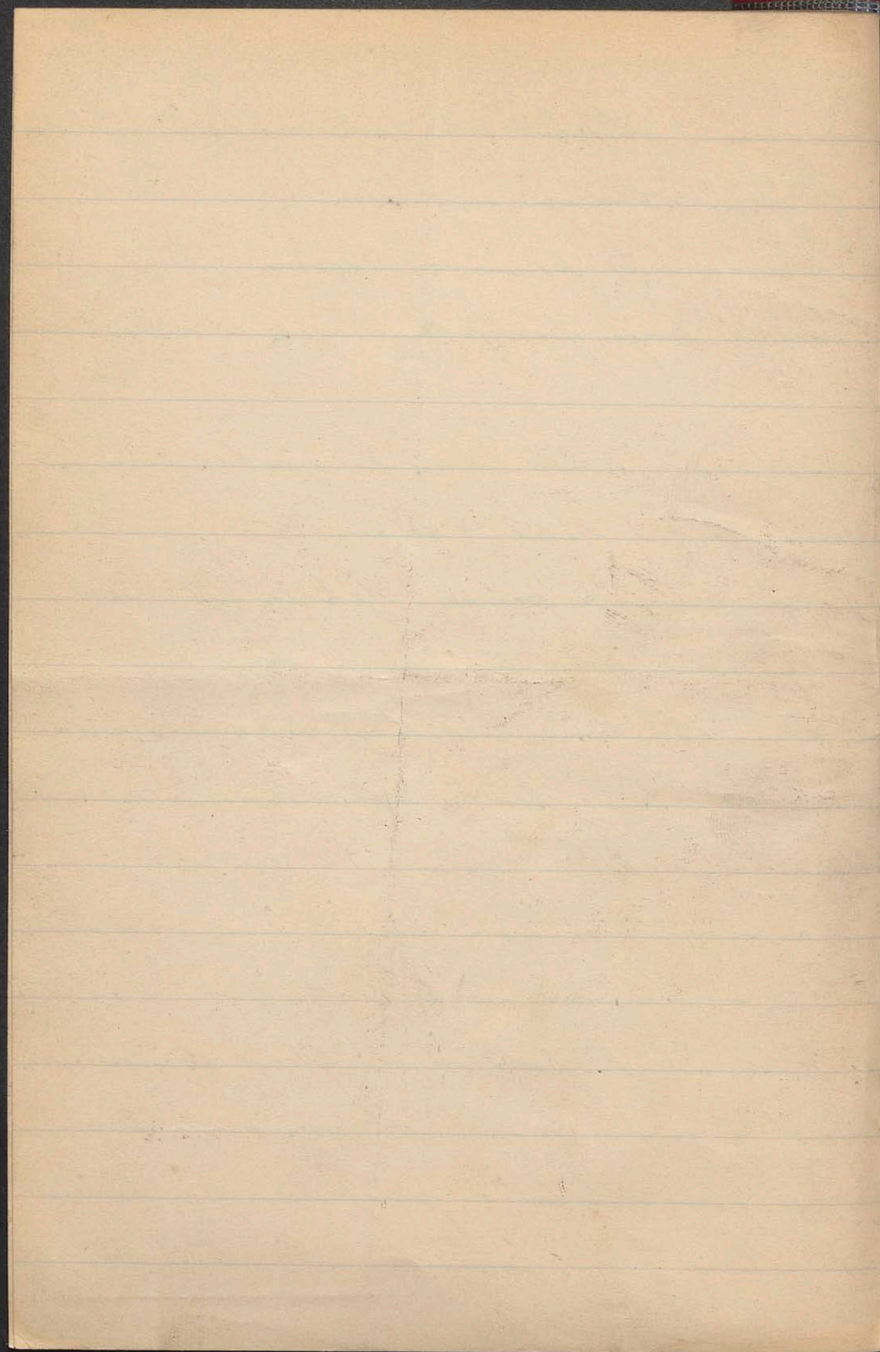
— Nie macie nic do powiedzenia na swe usprawiedliwien



Gadras był zielonawo blady - podczas całej mowy prokuratora oczu z niego nie odwrócił, był jakby zaklęty - wzrok miał osłupiały, usta wpółotwarte. Gdy przemówiono do niego - nie słyszał, nie rozumiał. Trącił go strażnik, zatrząsł się, i obejrzał - jak zbudzony. Powtórzono pytanie.
Wtedy począł ręką wodzić po twarzy, i nagle zachrapał jakoś dziwnie, zakaszlał, pochylił się czołem oparł o barjerę.
- Co mu jest?
Pochylone, zwinięte jakby ciało, drgało, i prężyło się.
Ludzie go otoczyli, wyprostowali przemocą.
- Co mu jest? przebiegło pytanie.
- Nic - ktoś odparł. To tak - płacze.
Zapanowała chwila cisza. W niej słychać było słaby odgłos - jakby świst czy zgrzyt zardzewiałego trybu, i pasowanie się innej siły, która ten zgrzyt chciała powstrzymać. Publiczność" już nie czuła

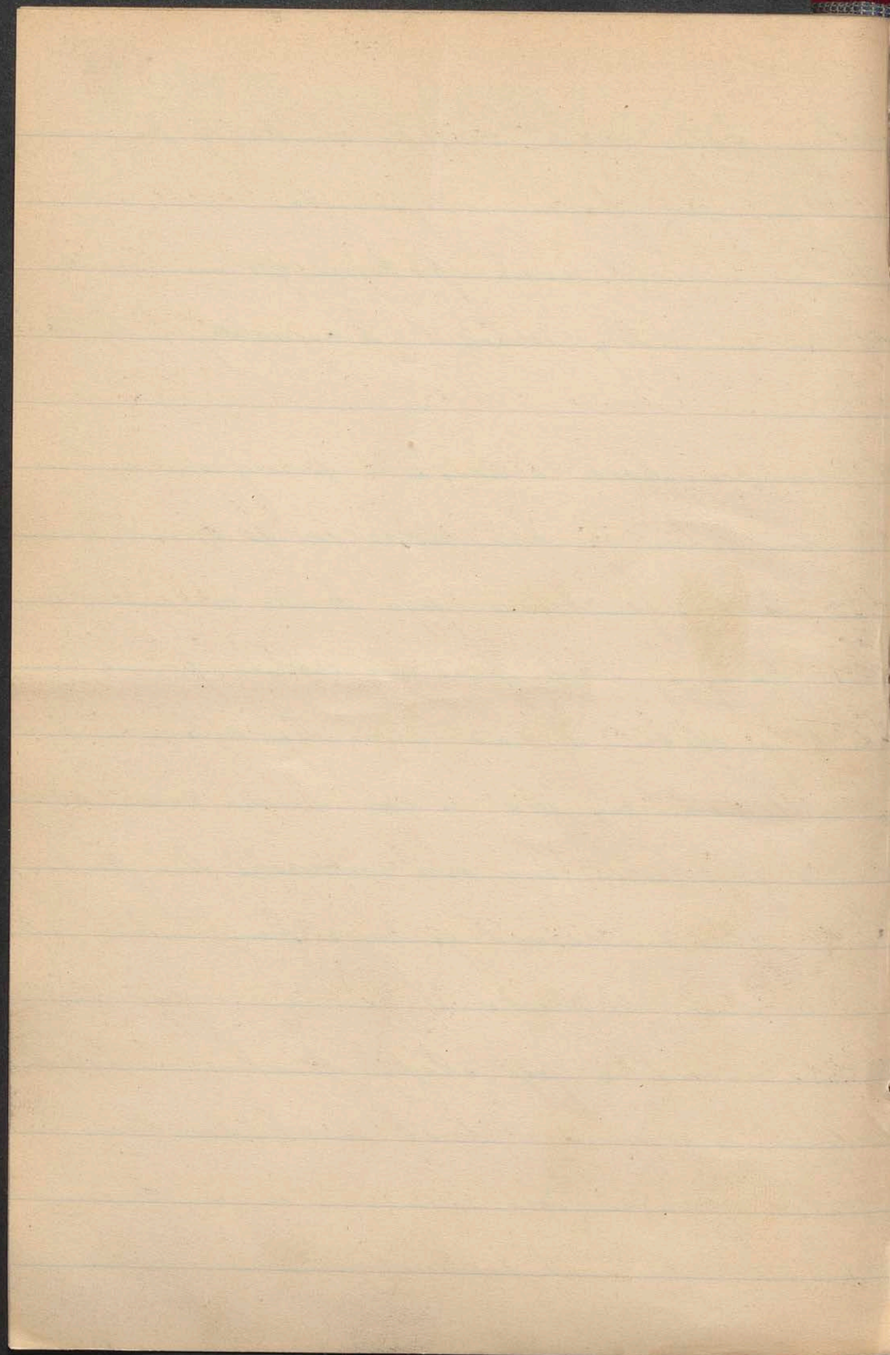


zadowolenia i strachu – ale jakiś niepokój, i przykrość
– płacze? Dlaczego on płacze?
A przewodniczący przemówił łagodnie.
– Żałujesz swego postępku. Czujesz całą wielkość
swej winy.
Jędras nagle wstał. Chwilę bez dźwięku poruszał
ustami, wreszcie rzekł z trudem.
– Czy to wszystko prawda? Tak ja żył – taki ja!
Karzcie mnie – och Boże – niechby koniec był!
Zabiłem – ot, kamień leży. Żeby choć jedno jeszcze na
pewno było – że i Mańki już niema, że i ona
skończyła mękę!
– Co on mówi? Co on mówi? przeszedł szmer wśród publicz-
ności, i ruch się uczynił w ławkach
A wtem dziennikarz powstał, i zasłonił sobą podsądnego.
Wszystkie oczy i lornetki skierowały się na niego.
na jego postać szpetną, a genialną – na jego twarz
nieregularną, ostrą, kanciastą, jedną z tych twarzy



którą każdy nazwie brzydką, ale każdy po jednem
widzeniu już pozna i zapamięta.
Wstał, i zaczął mówić spokojnie, głosem, zda się
cichym, ale który dochodził do najdalszych kątów
sali.

– Przestępca prosi o karę. Nie przeczy, ani się broni.
Dziwnem zatem by było żebym ja go bronił – dziwnem
i bezcelowem. Na zbrodnię jego prawo ma niewbłaga-
gany paragraf – chyba przed nim czołem: pereat mundus
fiat justitia. I nad głową tego człowieka wypi-
sano: pereat – nie dziś – a już bardzo dawno – od
chwili gdy zaczął żyć, czuć i myśleć. Pan proku-
rator słusznie nazwał go wyrodkiem – takich jak
on nie wiele się znajdzie. I jam życie jego zbadał
i znam wszystkie jego etapy. Dzieckiem niedostatek
wygnał go z domu w świat za chlebem. Była tam
jakaś ojcowizna, dom, kęs ziemi – on się o swą
część nie upomniał – zostawił słabszym, młodszym.



miał przecie dwoje zdrowych rąk wtedy.
Nikt go nie kształcił, kierował, opiekował - nie był w żadnej szkole, nie miał nawet możności wyuczenia się fachowo rzemiosła. Jednakże nie został ani złodziejem, ani awanturnikiem, nie był nigdzie karany, ani źle notowany. Ma dobre świadectwo od majstra, czystą żołnierską swą książkę, pochlebne świadectwo z kolei, z fabryki - nawet od pana Zaręby, który teraz świadczy przeciw niemu.
Lata szmat życia przebył jako rzetelny, obowiązkowy pracownik, szanujący prawo, nie szemrzący na pracę - w sobie zamknięty, skupiony, cichy.
I wiarę miał - prostą, ślepą - w cnotę i występek - w grzech i wstyd i hańbę - w to wszystko co ludzie wierzą - co szanują, co potępiają - na wszystko się w obyczaju i wierze i prawie - niezbłagane, pieczęć.
Raz - dawno przed laty - gdy zdobył chleb i byt zapragnął założyć gniazdo i rodzinę. A że, jak słusznie

go nazwał pan prokurator – wyrodkiem był – nie
szukał w kobiecie posagu, lub „dobrej partyi” –
lecz poślubił dziewczynę ubogą, młodą i zdrową, którą
pokochał. Wyrażając słowy szaleńcy – nawet w tych
zdeprawowanych niższych warstwach, którzy czynią
w myśl naturalnego doboru, bez przymieszki – jakie=
=gokolwiek rachunku. Jędras się ożenił i był
szczęśliwy. Kobieta kochała go, pomagała i pra=
=cowała – miał dobrą posadę, uznanie zwierzchni=
=ków, był zapewniony. Ale nad kobietą stało wypi=
=sane nieubłagane: pereat – i upomniało się o trze=
=sie tych dwojga prawo ludzkiego obyczaju, ciska=
=jące klątwę za grzech dwojga – na jedno – zawsze słabsze.
Bo kłamstwem jest, obłudą i hypokryzyą, że
cokolwiekbądź ochrania słabszego – słabsze skazane
jest na zgubę.
Tak – ma zawsze słuszność pan prokurator. Żona
Jędrasa zginęła w tragiczny i tajemniczy sposób.

Miała na ciele taką żywą hańbę - uwiedzenia - miała
na duszy wstyd i tajemnicę - gdy kiedyś odkryli ten
jej srom przed mężem - szczęście uleciało bezpowrotnie
lokomotywa szalejąca zmiażdżyła kobietę - tak - to
było tragiczne - i może to było bolesne dla tego
co pozostał sam - w budce dróżnika - o krok - od
szyn - ociekających od krwi. Pan prokurator wzmiankuje
krytycznie, że on z tamtąd odszedł po tym wypad-
ku - ale on przecie wyrodek był - on cierpiał - on
nie miał sił tam zostać.

Pan prokurator nazwał żywot jego włóczęgą -
ja nazwę go raczej zbiegiem. Ten człowiek uciekał
od bardzo złego i ciężkiego losu, od jędzy - troski
dusznej - która go ścigała w krok. Od mojżity
żony poszła za nim do tej fabryki. Nie była
to fabryka miljonera przemysłowca - niewielki
zakład mechaniczny - w prowincjonalnem mieście -
należący, jak widać z świadectwa do Pani Kaje.

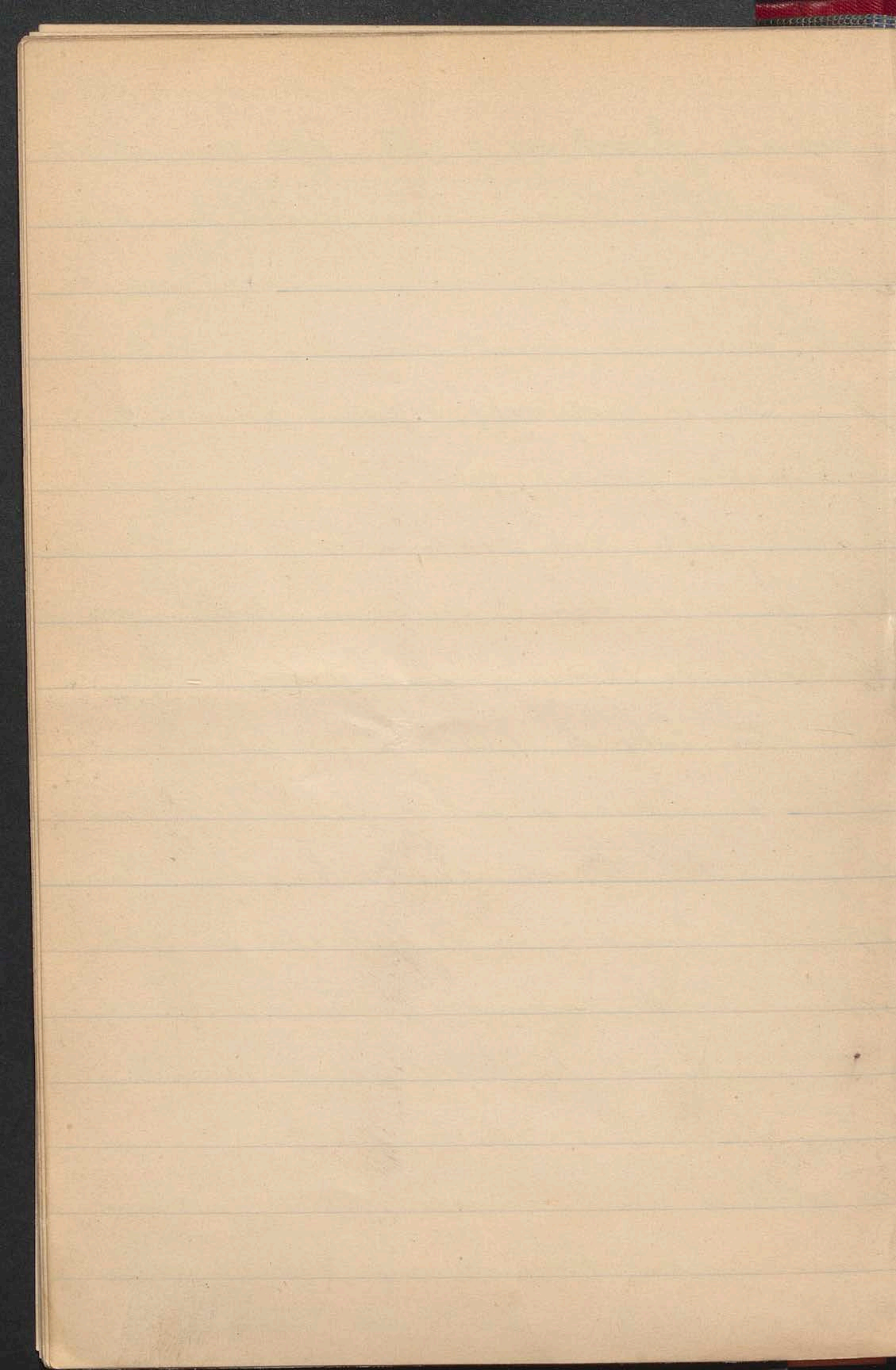
Według informacyi na miejscu zasięgniętych była to wdowa, obarczona dziećmi - w bardzo złych interesach finansowych. Zbankrutowała w parę lat po wypadku Jędrasa - i umarła już dawno.
On sam opowiedział mi szczegóły swego kalectwa w bardzo lakoniczny sposób:
„Ręką obłupy miałem obdarty - zakładałem pas- chwycito za te strzępy - i pogruchotało. Pani Wojc płaciła za mnie w szpitalu, to dość na nią kosztu. Mówili, żebym się sądził - to musi zapłacić - takie prawo - ale po prawdzie - to łżej mnie było żyć bez ręki samemu, jak jej bez męża bez zdrowia i bez głowy z tymi dziećmi - więc poszedłem w świat - nie do kuczajęc jej."
„Po prawdzie", Jędras, jako wyrodek - dziwił prawo od prawdy - dlatego nie mógł się często z ludźmi zgodzić. Został też po tym drugim etapie swego życia kaleką - niezdolnym do pracy. Mógł żebrać,

tylu do czyni zdrowych, lub fałszywych kalek-
on jednak potrafił pracować, kiedy wystąpił
u pana Zaręby lat siedm. Ten etap jego życia -
już jest wszystkim znany - popełnił tam też
cięższe swe pierwsze, dowiedzione mu przestępstwo -
z fałszowanie dokumentu. To mu zostało dowiedzio-
=ne. Ale on oprócz tego popełnił tam inny występ-
=pek - wedle pojęć ludzkich obyczajów - on podniósł
z przydrożnego rowu, nie zdychającego psa, nie parszywe
zwierzę - bo toby tylko było głupie - ale on zabrał
z ulicy konającą, nieznaną kobietę włóczęgę - najgorszą
ostatnią żebraczkę, rozpustnicę, złodziejkę, śmiecie rynsz-
=tokowe żebraczkę - bo czemże innem może być kobieta
która rodzi na drodze - obca wszystkim, bez męża
bez matki, bez wstydu. Kim była zresztą nikt
nie wie - bo darowszy życie dziecku - skonała - w tej
chacie kaleki stróża - wstręt i obrzydzenie dla
wszystkich cnotliwych kobiet, pośmiewisko dla

uczciwych mężczyzn.
Matek i ojców jest tu wiele wśród publiczności
i wiedzą oni dobrze, z ciężkiego i bolesnego doświadcze-
nia jaki to trud, i koszt wychować dziecko. Pielęgno-
wanie takiej drobiny oddaje się matka i ojciec, służba,
piastunki, doktorowie. Zajmuje to dnie i noce, wyma-
ga bezustannej pieczołowitości, uwagi i starań.
Pan prokurator wspomniał słusznie - że Gedras
nie miał praw do tej dziewczyny - bo nie był jej ojcem.
Zapewne - on tylko był wyrodkiem, który cudze, obce
dziecko - od chwili gdy żyć zaczęło - karmił, spowijał -
mył, oprał, niańczył, doglądał w chorobie, usypiał,
zabawiał. A miał na to jedną rękę - i środki, jakie
może mieć taki stróż nocny - kaleka.
Ale, on nie miał praw - nie był ojcem - a on to od-
czuł prędko - gdy dziecko nazwano pogardliwie znajdą -
zmiażdżono na wstępie do życia - znowu nieubłaganem
pręgierzem. Szczególną zadziwiającą pamięć mają ludzie

do grzechu: nieprawego urodzenia – prawie jeszcze uparciej – niż do grzechu nieprawej miłości, a również dla obu zawzięłość, potępienie i nienawiść.
Znajdą była i znajdą pozostanie dziecko – inaczej go ludzie nie nazwą. Gdzieś nad tem rozmyślał – w długie godziny, gdy ją chorą, słabą, niedołężną usypiał, gdy ją poił mlekiem, gdy jedną ręką prał jej szmatki; i przewijał maleństwo – gdy doglądał jej w ząbkowaniu, w wysypkach, gdy ją uczył pełzać i chodzić, gdy mu wołała „mama" i „tata", bo i te dzieci – te pierwsze bełkocą – niczego nie rozumiejące – tylko czujące – że miłość tak się nazywa – tem jest!
Rozmyślał, i zrodziła się w nim myśl przestępna, karygodna przywłaszczenia sobie czegoś cudzego.
Tak cudze to było – nie jego – był przecie gdzieś na świecie prawdziwy ojciec, zapewne powinien go był odszukać – i zwrócić własność – tak bliską i drogą – krew krwi, kość kości. Był też przecie gdzieś na świecie

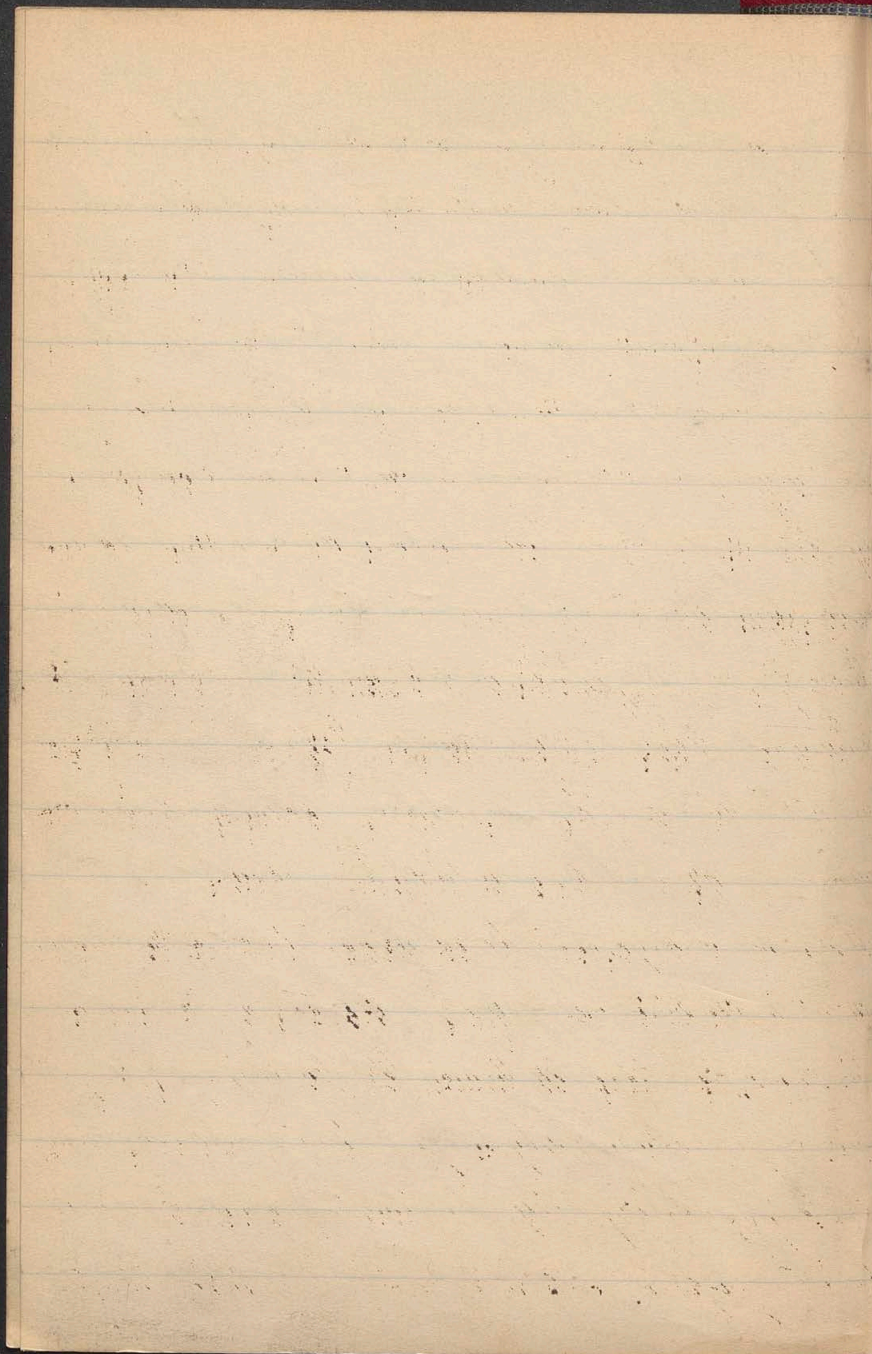
i rodzina prawdziwej matki - było nazwisko, stanowiło majątek. Gedras skrycie, podstępnie, bezprawnie dziecko sobie przywłaszczył, i za swoje uważał - i doszło do tego, że śmiał mieć za złe ludziom że je znajdą nazywają, i począł knuć w duszy kryminalne zamiary fałszerstwa.
W ogóle jeśli pan prokurator go nazwał wyrodkiem, ja nazwę nawet szaleńcem opętanym manją wielkości, bo czemże innym być mógła jego uchwały opór - żeby to dziecko, podrzutek uliczny - nie miało służyć do zabawy panienki w pałacu
A przecie był to dla dziecka los, i byt. Bawiłaby panienkę - chowałaby się w garderobie, donaszałaby ładne sukienki - nabierała gustu do strojów i wygód - a potem - kiedyś po latach - możeby służyła do zabawy paniczów - a potem....
Ale wtedy w oczach Gedrasa - czyniło się w oczach krwawo - i widział linję szyn - rdzawych - i nieżywą



zmiażdżoną żoną - którą też panicz jakiś zbawił -
i opętany manią wielkości, wyobrażał sobie że
Mańka - warta czegoś innego, że ją uchroni od
przeszłości - i na przyszłość. Szaleniec.
Przepadł, przepadł, przepadł - los nad Mańką wypisał -
już dawno, gdy się urodziła ubogą, ładną, wrzącą
i kochającą.
Ale Gedras nie wiedział, i postanowił walczyć.
Za opór fantazji panienki, za zuchwalstwo i bunt -
stracił służbę, i znowu został na świecie bez
chleba i dachu - nie tylko kaleka - ale z dzieckiem -
do którego nie miał żadnego prawa.
Odtąd te kilkanaście lat jego życia może być
opowiedziane przez wiarogodniejszych świadków, jego
sitener Arcimowski - są to lata pracy, dorobku
oszczędności, powolnego dobijania się do zabezpieczenia
jakiejkolwiek starości. Ale wielkie to żądania -
ciepły kąt i strawa, siły do pracy do ostatka -

pocześniej chłopak na męża dla Mańki - może
mniej małe, któreby przypomniało izbę stróża,
i hodowanie Mańki. Gedras o tem marzył, do tego
dążył - i czuł, że przecie dochodzi kresu.
I oto dowiedział się - że panicz zabawił się Mańką -
i, że wszystko - wszystko - całe życie - na marne
poszło - wszystko - całe życie było na próżno
przemęczone, przebyte, przeżyte. On sam - przyniósł
do domu list - i cenę miłości, duszy i ciała dzieweczy-
-ny - dwadzieście pięć rubli. Więcej nic nie wzięła -
tylko ten pierścionek - który uważała za swiętą
obrączkę - i zato dała życie.
Reszta wiadoma. Gedras wziął kamień - i ohydnie,
po zwierzęcemu zamordował człowieka, który osta-
tecznie nic mu nie zawinił - jak twierdzi pan
prokurator. Zamordował człowieka znanego i po-
-ważnego, którego całą winą była młodzieńczy szał
i lekkomyślność. Naturalną jest rzeczą, że ofiara

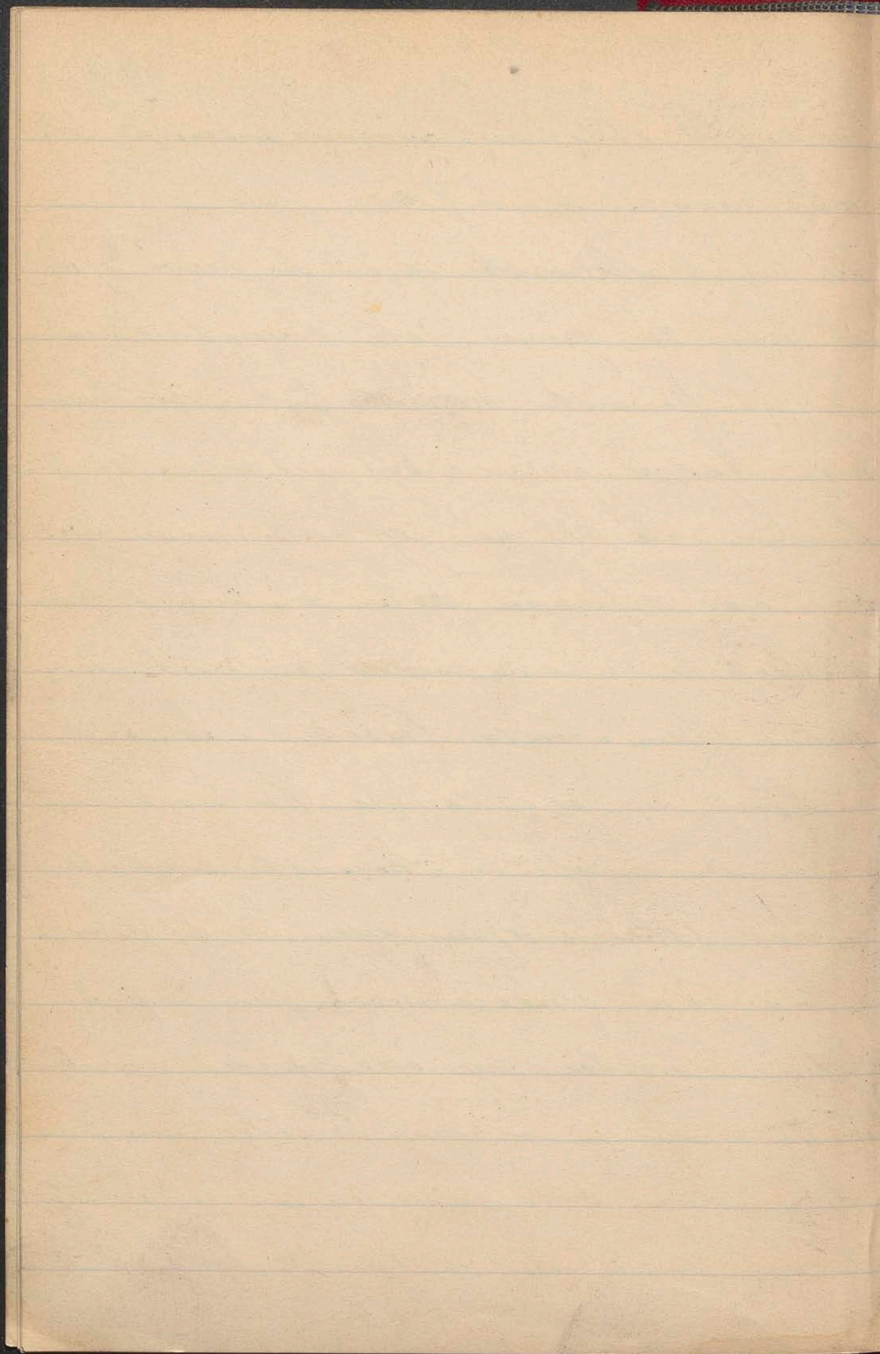
mordu wzbudza sympatyę, a zabity otoczony byłā aureolą męczeństwa, ale gdy pan prokurator napiętnował z całą potęgą mordercę - dla kontrastu a zarazem dla całości tej sprawy - ja zbadałem przeszłość ofiary - i choć ogólnie znany - młodzieniec ten - ma też w swem życiu charakterystyczne epizody, wyjaśniające niejako tragiczny epilog. Jak świadczy metryka, pan Leon Mosyński, urodził się w Odessie, i miał w chwili śmierci trzydzieści pięć lat. Nie wyglądał na to, ani z twarzy i postaci, ani z czynów, które sam pan prokurator nazwał młodzieńczą lekkomyślnością i szałem. Zakonserwowało go jego powyny i swieżość życie ze wszech miar wygodne, swobodne i pomyślne. Był synem jedynym wysokiego dygnitarza bankowego. Pan dyrektor brał grube pieniądze dywidendy, szczęśliwie przytem grał na giełdzie. Matkę była od ojca o wiele młodsza, bardzo



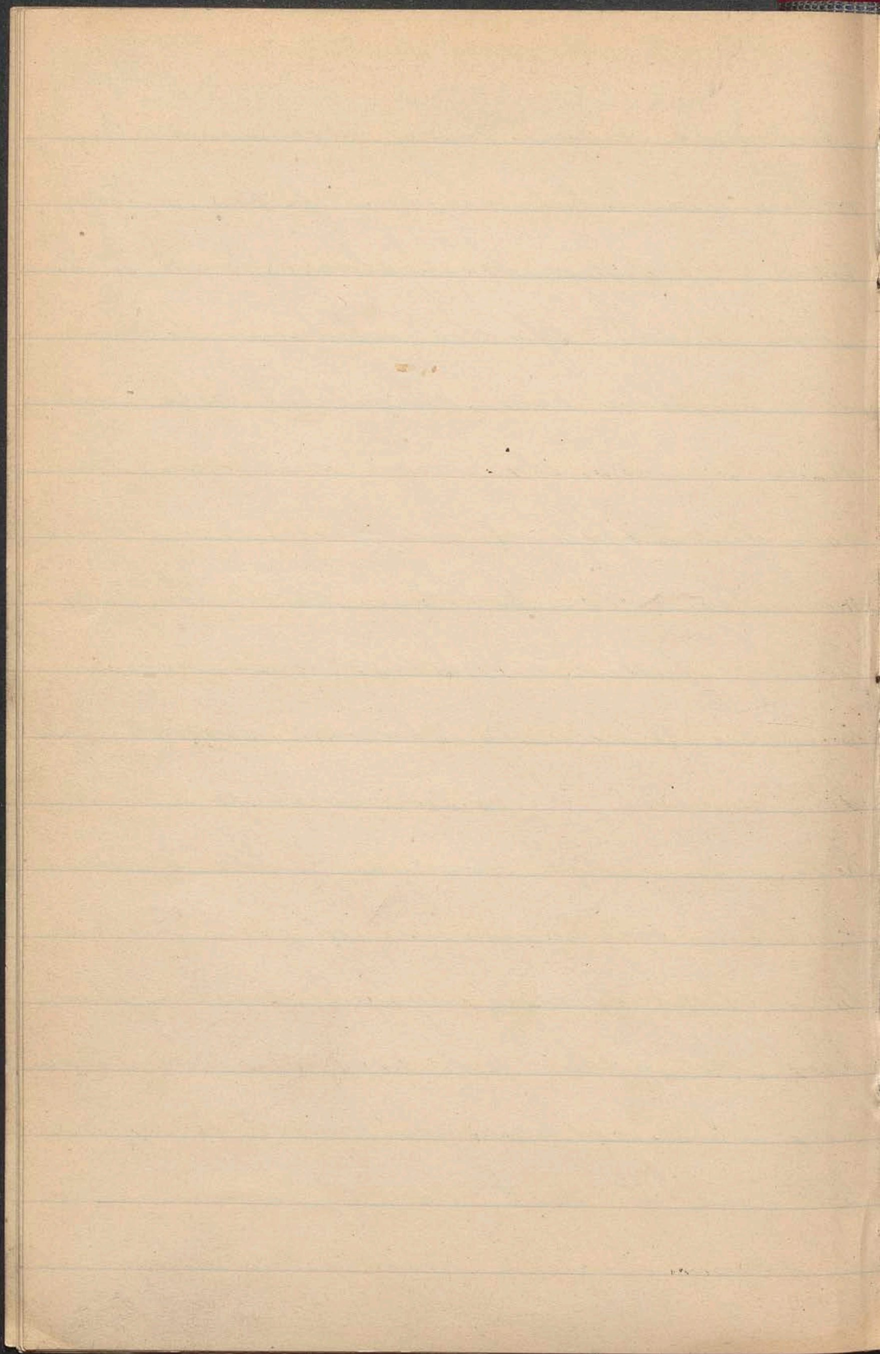
piękna, lubiąca żyć i bawić się. Z krwi ojca wziął spryt do spekulacyi, i giętkość aferzysty z krwi matki upodobanie użycia i zabawy, z obyczajów domu i ludzi, którzy tam bywali upodobanie zbytku. Ukończył cztery klasy gimnazyum w ośmnastym roku życia, i odtąd stał się tem czem był do końca: eleganckim panem umiejącym bawić się, wydawać pieniądze, zdobywać kobiety, i przyjaciół, i stosunki, lubionym i kochanym przez wszystkich. Można śmiało rzec że był to w tych rozlicznych fachach światowca genialny człowiek, i ulubieniec losu.
Kronika erotyczno-skandaliczna Odessy zapisała go wielokrotnie na swych kartach, i posiadam tu pod ręką parę dokumentów policyjnych, zbyt drażliwej natury, abym je mógł publicznie odczytać; wystarczy gdy powiem, że pan Możyński się bawił jak człowiek, który ma dużo pieniędzy

dużo wolnego czasu i pomysłowości do użycia swych sił, młodości i zdrowia i życia sytego i przesyconego dobrobytem i wygodami.
Trwało to bez zmiany i troski lat dziesięć.
Wtedy nastąpiły w Odessie jednocześnie dwa bankructwa i skandale. Stary Moszyński zmarł nagle na apopleksyę, okazało się, że stracił na giełdzie wszystko swoje - i dużo bankowych pieniędzy. Z dnia na dzień - żona i syn zostali nędzarzami - ale też z dnia na dzień - w godzinę po pogrzebie syn zniknął.
Zniknęła jednocześnie piękna Rumunka, żona bankiera, miljonowa kobieta. Matka Moszyńskiego pozostała sama w nędzy ostatecznej. Wierzyciele zabrali wszystko - nawet dach nad głową, nawet suknie. Syn już nigdy tam nie wrócił, ani się o nią zatroszczył, przyjaciele opuścili, bo była już stara i brzydka - i żyje dotąd - i widziałem

się — naprzód obłąkaną uliczną żebraczkę, loka-
-torkę nocnych przytułków! — — — — —
Pan Ludwik Mokrzyński spędził po śmierci ojca
lat cztery za granicą jako Baron Barzesco,
przyjął panieńskie nazwisko pięknej bankierowej,
bardzo bajecznie — gdyż nie był jej mężem, ani ko-
-chankiem, ale był na jej utrzymaniu. Żyli
długi czas w Paryżu, potem w Nicei, ostatnio
w Neapolu — i tam podczas przejażdżki łódką
piękna pani utonęła. Rybak i Mokrzyński
uratowali się — ona zginęła. Po tym tragicznym
i tajemniczym wypadku Mokrzyński zniknął
na czas jakiś — i dopiero wynurzył się po roku
w Ems, gdzie spędzała sezon pani Gelich,
cioteczna siostra jego ojca — z Ems wrócili
do Warszawy już we dwoje, i odtąd życie pana
Mokrzyńskiego było na oczach całego świata.
W chwili śmierci stał u szczytu pomyślności



i porodzenia, jedyny krewny i domniemany dziedzic fortuny pani Gehel - narzeczony pięknej, młodej panny z najlepszego towarzystwa, członek wielu klubów, mistrz sportów, ulubieniec salonów. Miał wszystkie dane długich lat życia i użycia, stałby się może społecznym działaczem i filarem wielu filantropijnych instytucyi, założyłby rodzinę wychowałby młode pokolenie, skończyłby jako szanowny prezes, i wybitny członek narodu - gdyby nie zezwierzęciały zbrodniarz, wyrodek, zwyrodniały wyrzutek, który zamordował go okrutnie i zaco - za jakąś dziewczynę. Jakby dziewczyny tej klassy były czegoś więcej warte - jak używania przez zdrowych, sytych, wesołych paniczów. Pan Mokrzyński - jak zresztą wszyscy młodzi ludzie uprawiają przecie ten sport od wczesnych lat życia, to jest przyjęte, uznane - z tem się wszyscy pogodzili oddawna. To stanowi ich

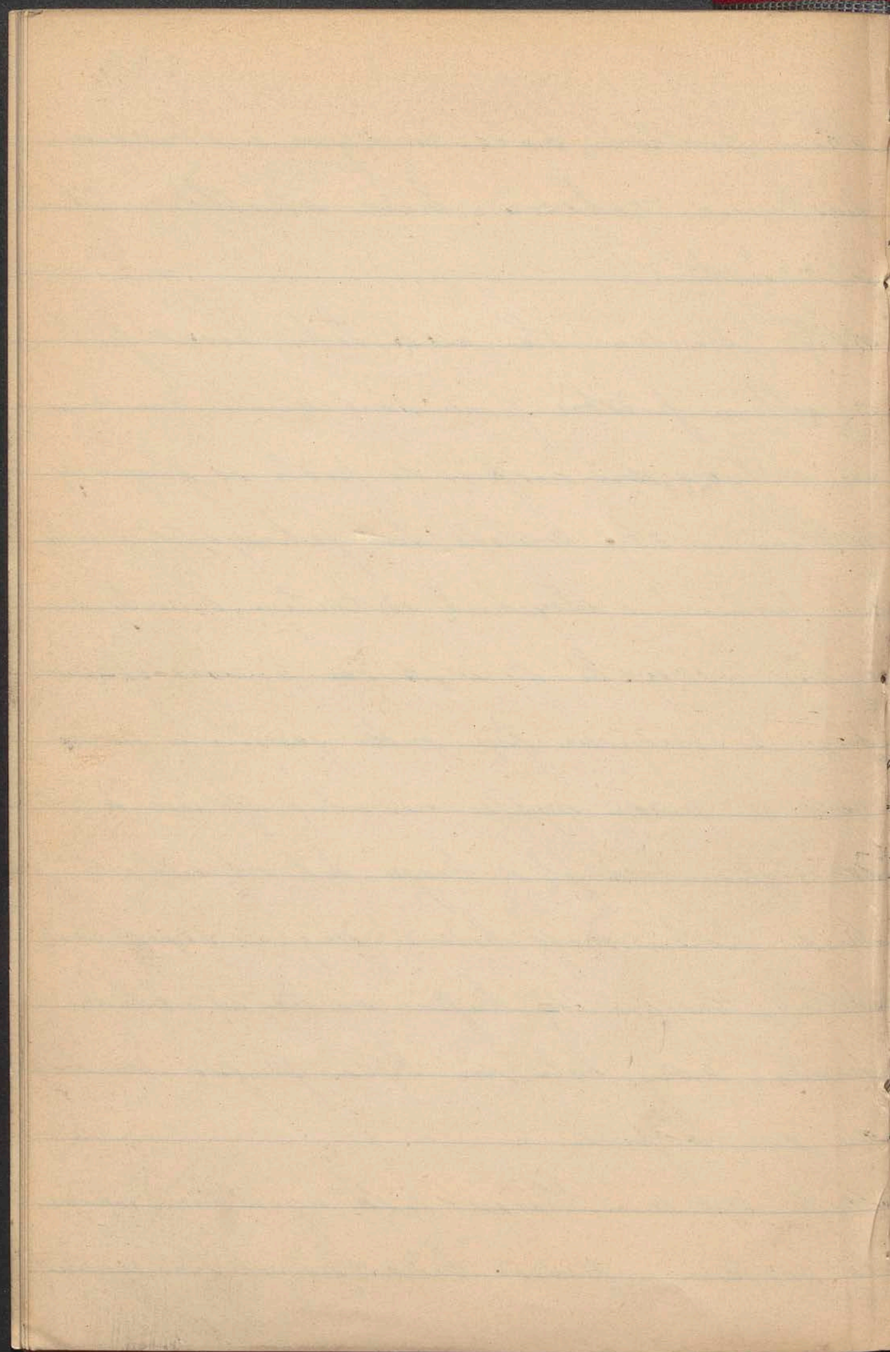


przywilej, zwyczaj, chlubę i sławę. Świętoszkiem i pośmiewiskiem byłby młodzieniec bez tych tryum=fów i zdobyczy. Trzeba być istotnie wyrodkiem jakim był Gedeon, żeby przeciw temu protesto=wać, i żądać za zabawę i żart pospolitego więcej niż dwadzieścia pięć rubli.
To dowodzi i ograniczenia jego, i dzikości męs=kich instynktów — i nieznajomości prawa!
Tak — bo żadne prawo nie pozwala kamie=nować uwodziciela — a on to uczynił.
Kamienować wolno było kiedyś niegdyś kobiety — dotychczas wolno to z niemi czynić w przenośni — i chyba ten kamień, który tu mamy przed sobą pierwszy jest i jedyny który spadł na mężczyznę — za ten czyn.
Tych dwoje ludzi — tak dalekich — tak różnych — postawiła jednakże naprzeciw siebie, do walki śmiertelnej — jedna, wielka potęga — miłość".

Mozyński kochał Marikę, więc jej pożądał, i żeby tak kochają wszyscy możni i mężczyźni - Jędrek kochał Marikę - więc ją hodował, strzegł i pomógł - tak kochają matki, i biedacy słabi. Życie ich obu było fatalną drogą - do takiego, a nie innego wiodącą rozwiązania, szło zaś zwykłą przeciętną koleją - tylko złe fatum Mozyńskiego było - że trafił wreszcie na wyrodka. Boć przecie w swej karjerze miłosnej miał wiele szwaczek, robotnic, subretek, pokojówek, a nie doświadczył nigdy protestu, opieki, lub pomsty. Obyczaje i gusta „panów" wyrobiły przecie w sferze „chamów" bierne poddanie losowi, wyrobiło nawet w tym kierunku zmysł spekulacyjny. Dziewczyny szukają w tem zadowolnienia gustu do zbytku i próżnowania - rodzice i opiekunowie sprzedają ten towar żywy dla swej wygody - wszyscy się z tem pogodzili i dobrze jest na tym najlepszym ze światów -

dobrze - i cicho - i porządnie.
Nie dziw, że czyn Gedrasa wznieca oburzenie, odstręt i zgrozę, że ten kamień - jest straszny.
Zgroza! Strach, osłupienie ogarnia - na myśl - co być może, co stać się może, jeśli taki zbrodniarz nie będzie ukarany najcięższym paragrafem - jeśli nie zdusi się takiej zarazy w zarodku. Mam w oczach przerażający obraz. Widzę tłumy, masy ludzi - tych szarych ludzi - z dna społecznego. Powstają, prostują się, rozprężają zgięte w pracy i niewoli ramiona, a potem się schylają - i każdy bierze taki kamień z bruku i ruszają w pochód - jakby z letargu zbudzeni, ojcowie, bracia, często mężowie, takich kobiet, które młodość spędziły w zabawie tych - co pracę, życie w niewoli tych - co kupczą - a kończą w gangrenie ciała i ducha - w kłodze lub szpitalu.
Biada - jeśli taki dzień przyjdzie, jeśli taki

tłum powstanie, biada zwyczajom, i obyczajom, nawyknieniom, zabawom – biada wszystkim takim Moczyńskim!
Ależ, szczęściem dla nich, taki Ledrus jest wyjątkiem – podobni jemu – nie myślą, nie czują nie wstydzą, ani cierpią – są podli, są głupi, są bydłem – i oby zostali tem jaknajdłużej, bo po ich piwnicach i strychach rozkwitają kwiaty – dla wygody i rozrywki panów, a oni je mogą sprzedawać drogo – po dwadzieścia pięć rubli jeden. A potem mogą je jeszcze wysłać na ulicę, sprzedać do zakładów reglamentowanych w kraju lub na eksport – no – a potem mogą hodować drugi i trzeci – tego opłaci – znajdzie się kupiec na każdą – byle nie miała duszy, byle nie była głupia – nie truła się, ani topiła.
Tak, szczęściem, Ledrus jest wyrodkiem – i usunięty zostanie z pośród ludzi zdrowych i normalnych



ukarany wedle wielkości zbrodni, a jego kamień pozostanie w archiwach kryminalnych - jako bezprzykładne narzędzie, dzikiego mordu, nad człowiekiem ogólnie poważanym, który mu w niczem nie zawinił. Równie pocieszającem jest to i Mańka zginęła bez śladu - istota bez nazwiska, zhańbiona, i zarażona zapewne buntowniczemi poglądami opiekuna. Mogłaby też mścić się i protestować. Usunęła się - nie pozna mocy prawa, opieki społecznej - i nieubłaganego poszanowania cnoty, która takie jak ona skazuje dotąd na ukamienowanie.

Kiedyś - podobna jej - znalazła się na sądzie - ale to daleko stąd było - w Judei - i stanęła przed sędzią - który zabronił jej kamienować ale to dawno było - i sędzia był Bogiem, Miłością! Odtąd nie powtórzyło się to już na świecie, a kamienie trwają - stały się symbolem

cnoty - gdy spadają na głowę jawnogrzesznicy - występkiem, gdy miażdżą uwodziciela. Jędras jest winien, wyznał - nie spodziewa się, ani chce usprawiedliwienia. Korzy się i on i ja przed potęgą prawa. Pereat mundus fiat justitia! — — — — — —

Słuch skończył, i w sali zapanowała chwilowa cisza. On powiódł oczami gorejącemi po tłumie publiczności, i zdało się wielu - że na nich szczególnie patrzy, i snać nie miły był im ten wzrok, bo odwracali głowy, starali się być swobodni - zaczęli ciche rozmowy. Wśród świadków siedzący obaj Jarzbowie - patrzali uparcie pod stopy - sędziowie nie spali - mieli głowy pochylone nad papierami. Słuch usiadł, przelotnie spojrzawszy na Jędrasa. Ten jeden odczuł odmiennie mowę. Wyprostował się, głowę podniósł - twarz miał spokojną, jakąś skupioną - i mocną.

poczuł Dłuch, że już teraz ten człowiek płakać
nie będzie, i że mu jest wdzięczny.
A w tłumie dojrzał też łez pełne oczy siostry,
i samo milczenie tego tłumu było niezbitym
znakiem, że dobrze mówił - choć go nikt nie
pochwali - choć za chwilę skrytykują bardzo ostro.
Sąd oddalił się na naradę - i po długiej pauzie
odczytano wyrok. Tedras skazany został na
dziesięć lat ciężkich robót.
Publiczność znowu patrzała na podsądnego
i obrońcę, spodziewając się jeszcze jakichś wrażeń -
ale żaden z nich nie drgnął nawet. Tedras
się skłonił w milczeniu, i wyszedł wśród
swej eskorty, Dłuch zebrał papiery, i otoczony
wnet przez kolegów - zniknął.
Tedy i publiczność ruszyła się do wyjścia,
zahuczał gwar, rozmowy, jak po teatrze.
Sztuka nie podobała się ogólnie - o wcale nie.

Ogólne było zdanie - że wszystko, a szczególnie obrona - była z gruntu - nie moralna, gorsząca.

— No - i nic nie wskórał! tryumfowano.

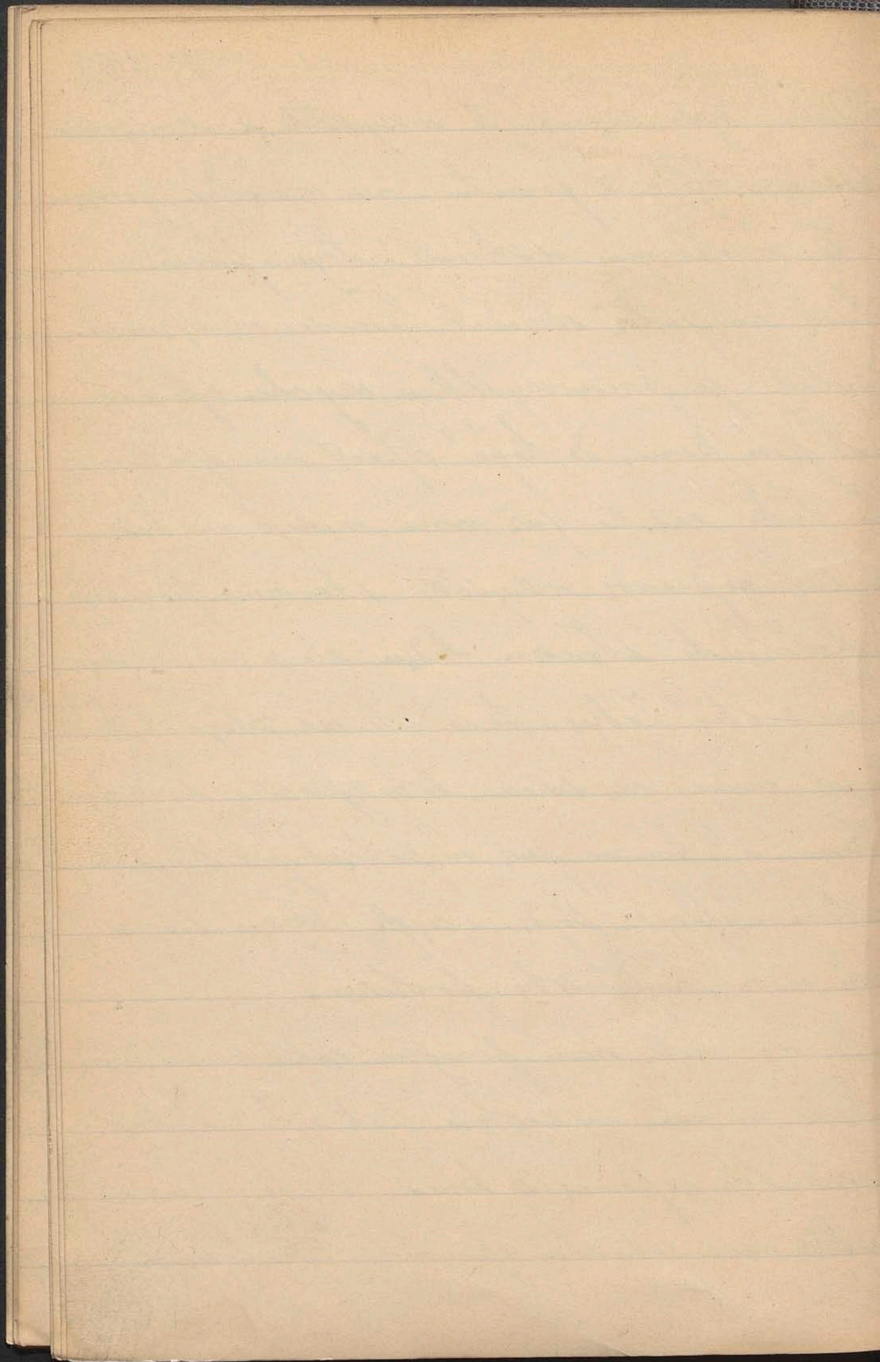
Słuch nazajutrz odwiedził Jędrasa w więzieniu. Spytał go przedewszystkiem, czy chce apelować.

— A poco, panie, do kogo? odparł nie spokojnie. Ja taki rad, że już mnie męczyć nie będą - że już naprawdę wszystko skończone. Powiadają, że katorżniki straszne ludzie - ale co mi wezmą - co mi zrobią? Zabiją - to co? To nic z tego. A Mańki to już niema na świecie, boby zgłosiła się do mnie. Niema! Nikomum już niepotrzebny, i długo nie potrwam. Pójdę, pójdę - i ciągle słyszeć będę co pan mówił, ciągle sobie powtarzać.

— No, nie wiele wam pomogłem! rzekł smutno Słuch.

— Cicho we mnie się zrobiło. Tak cicho! szepnął Jędras. Nie zapomnę do końca. Dziękuję, panu.

— Może macie jakąś chęć, sprawę tu do załatwienia.



przyniosłem wam trochę pieniędzy, szmat. Zatrzymajcie co zechcecie.

– pieniądze mi odbiorą, szmaty odbiorą. Szkoda, panie. Mnie nic nie trzeba. Tylko jeśli Maińka nie umarła, a dowie się pan co o niej, to proszę jej dać opiekę – i mnie słowo przesłać. Może otrzymam list – a może i tego już nie wolno. Ale chyba nie może być, by jeszcze żyła.

Patrzał niespokojnie na Stucha.

– Chyba nie. ten odparł

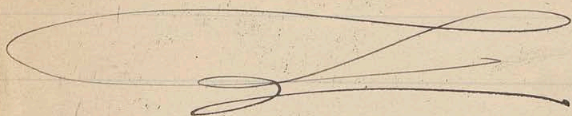
Zaraz zwiesił głowę

– Tamte dwie pochowałem, a tej nie uchowałem. zamruczał. Tak i życie zeszło.

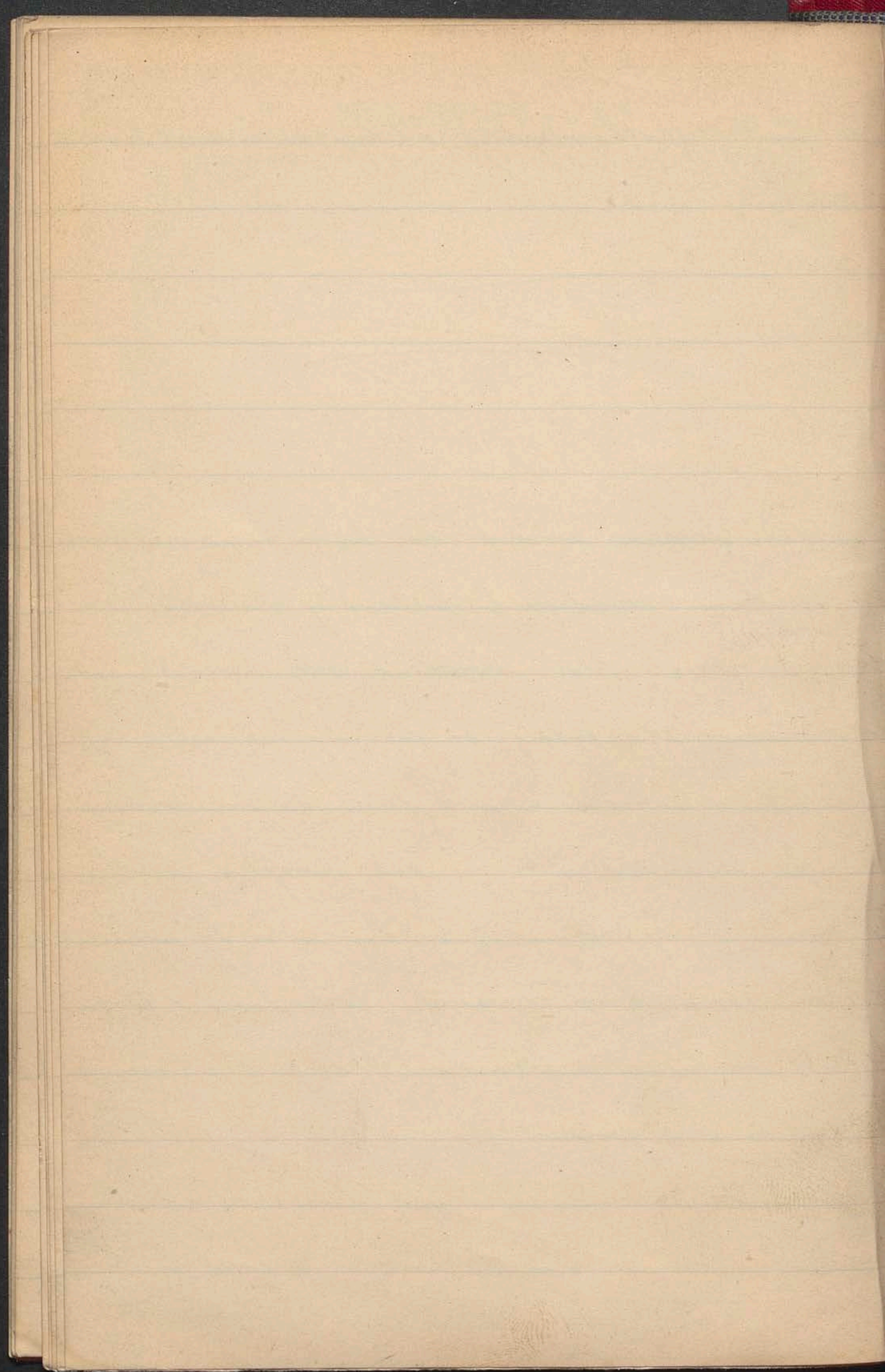
Obadwa umilkli, patrząc posępnie na szarą ścianę więzienną. Wreszcie Stuch się zerwał – dławiło go wzruszenie i gorycz.

Bez słowa się pożegnali; nie było co rzec na takie rozstanie ostateczne. Ten co został w

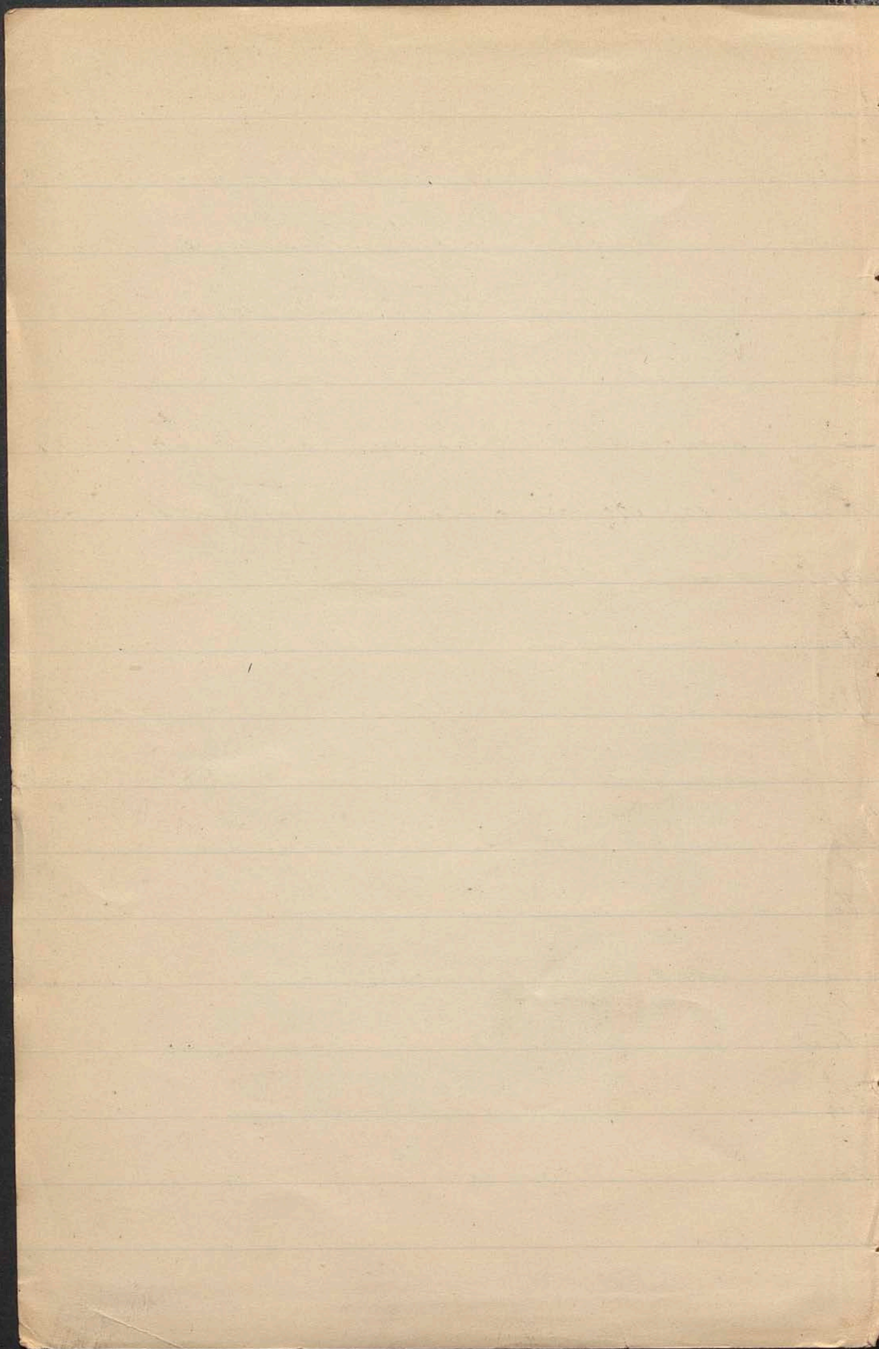
cali, był spokojniejszy, od tego co wracał do świata i swobody!



Państwo Zalniccy wrócili na sezon zimowy do Warszawy po parę miesiącach poślubnej podróży.
Maniusia wyglądała świetnie, ale wyznała matce, że powraca z radością, bo jej się już znudziły te hotele i zwiedzania, i tęskni do znajomych.
Zalnicki wyglądał też, że rad odnajdzie partyę do winta, i wypocznie z ciężkiej służby dogadzania młodej żonie. Był widocznie zakochany, i forsownie udawał młodego małżonka. Ona go traktowała dość lekko i z góry.
Rozgospodarowali się w swych pysznych apartamentach - złożyli wizyty - weszli w tryb życia



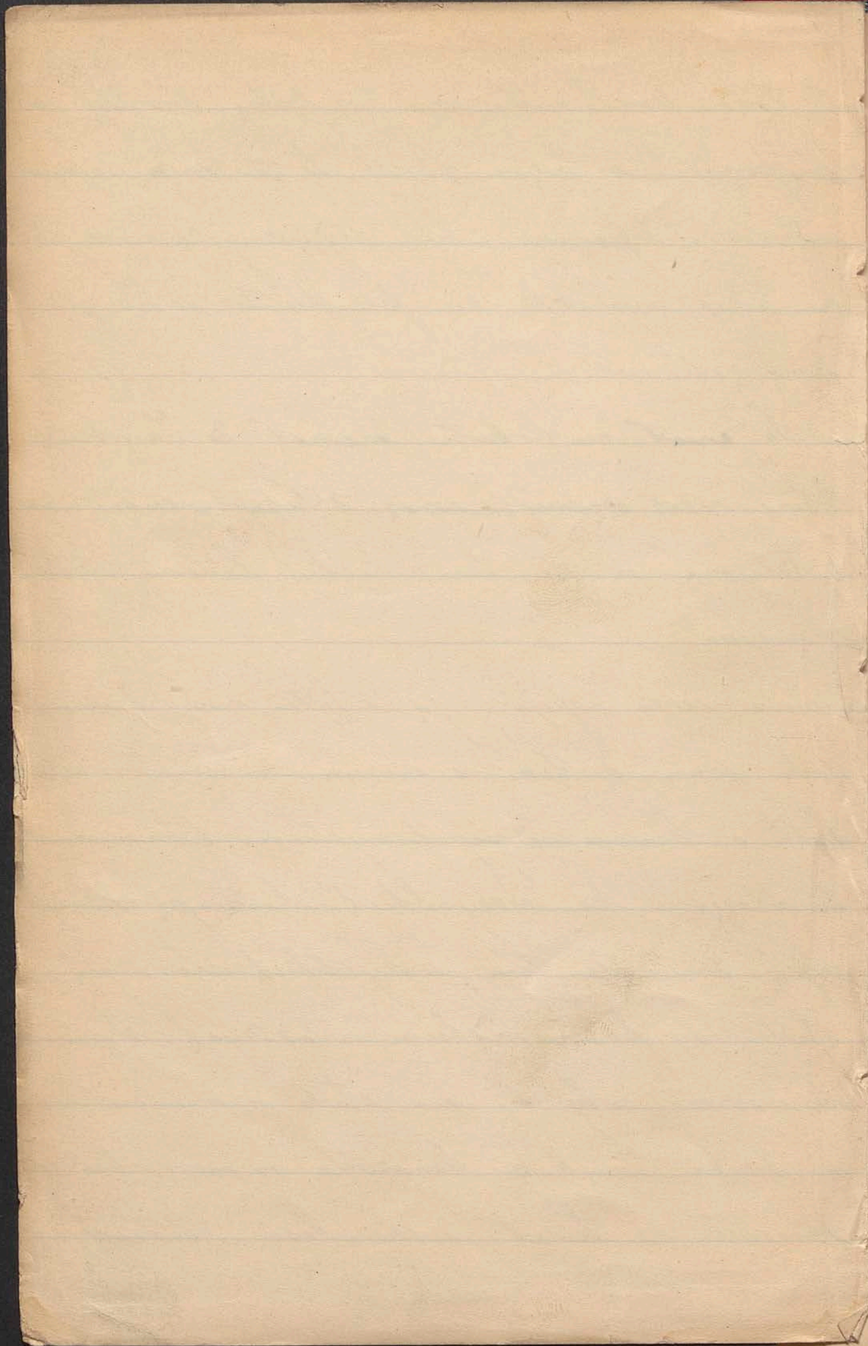
swej sfery i stosunków. Maniusia zaczęła
żyć i używać. Miała powóz i konie, też wreszcie
stroje i brylanty, i odrazu poczuła się uwielbianą
i pożądaną przez wszystkich młodych
mężczyzn, nie wyłączając obu braci, którzy jej
teraz dogadzali, i uprzedzająco byli serdeczni.
Zrazu była literalnie oszołomiona wrażeniami
tak nowemi - stała się znowu jak w dzieciństwie
pieszczochem rodziny - słyszała tylko zachwyty,
pochwały i komplimenty, czuła się bóstwem
i królową. Ale się rychło, z wrodzonym sprytem
połapała w tym chaosie, i urządziła się praktycznie
i wygodnie. Rodzinę traktowała protekcjonalnie,
wielbicieli ze zręczną, zimną kokieteryą,
kobiety nieufnie i ostrożnie, męża z wyrozumiałością
dojrzałej kobiety.
Jalnicki zrazu nieśmiało wymykał się na wista
i sessye, spodziewał się protestu. Zachwycony był



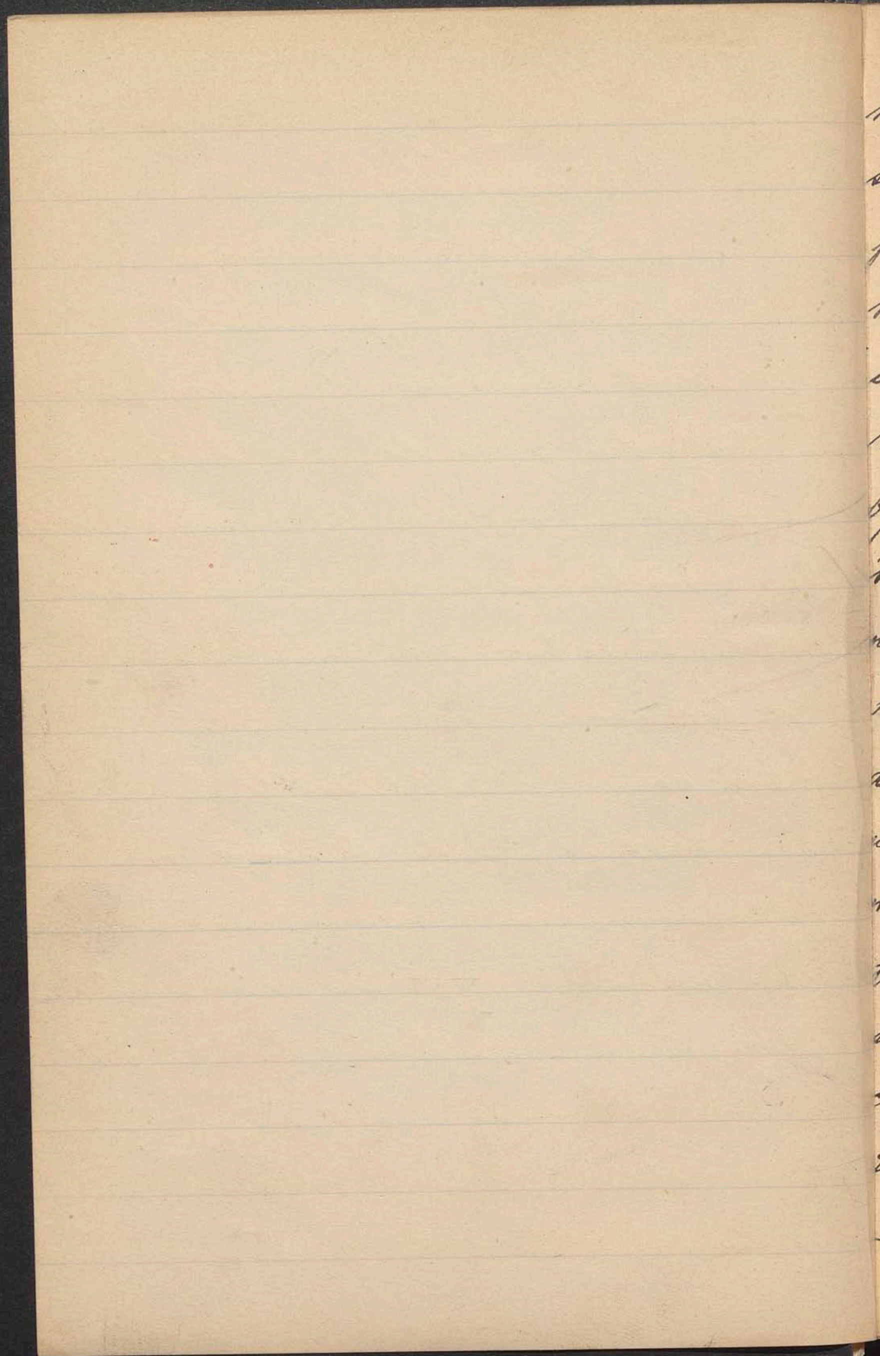
że żona zostawiła mu zupełną swobodę — nie krępowała w niczem. Brał to za dowód najwyższej miłości i ofiarności — był wdzięczny, że nie czyniła mu żadnej wymówki, nie przykrzyła sobie, gdy ją samą zostawiał.

— To anioł nie kobieta! mawiał do Zarębiny, która coraz częściej, i coraz dłużej gościła u córki wykolejona od wsi — tem kilku latami spędzonemi w mieście.

Szczęście córki upajało ją, i była niem dumna jako swem dziełem — o niczem nie umiała mówić tylko o Maniusi i jej pomyślności. Obnosiła to szczęście po wszystkich krewnych i znajomych — zanudzała tem wszystkich starszych, stała się pośmiewiskiem młodszych. O czemby nie mówiono, coby się nie stało w mieście lub na świecie — Zarębina kończyła rozmowę, lub się skręcała na temat doskonałości Maniusi, jej



tryumfów, jej urody, jej gospodarności, jej
dostatków, jej dowcipów, jej przywiązania dla
męża i rodziny. Było to impressaryo Manusi:
Znajome jej, tak zwane przyjaciółki, słuchały
tego ze słodko kwaśnym uśmieszkiem, pytając
czasem dyskretnie o wnuka, ale i w tem nie
pobiły Zarębiny, bo w kilka miesięcy po ślubi-
zaczęła z dyskretno-tajemniczą miną tłuma-
-czyć córkę – że zapewne nie będzie mogła tań-
-czyć w karnawale.
Wiadomość ta napełniła kumoszki tajoną złości;
zawodu; Salnickiego wielką dumą; – młodzież
nadskakującą Manusi niesmakiem i dzięgłością.
Manusia sama nie wyglądała zachwycona swem
spodziewanem macierzyństwem. Miała tyle toalet
których nie zaprodukuje, i które wyjdą z mody,
a zarazem odczuła boleśnie obojętność swych
satellitów. Nudziła ją też zdwojona troskliwość



męża, rady i przestrogi matki, skrępowanie swobody - zrobiła się opryskliwa i grymaśna - poczęła płakać o byle co - i nudzić się.
Wobec obcych hamowała się, i udawała, ale dla domowych i służby - stała się nieznośną.
Nic jej nie brakło, wszelkie chęci i fantazye były spełnione, zaledwie je wyraziła, a ją trapiła jakaś nuda, jakiś brak, niezadowolenie, bunt i pragnienie, którego nie umiała określić.
Zastawał ją często mąż zapłakaną, starał się uspokoić, rozweselić, upieścić, wpadała tylko w większe rozdrażnienie i zniecierpliwość, odtrącała go prawie ze wstrętem - gdy to opowiadał skarżąc się teściowej uspakajała go „tym stanem" - chociaż czasami sama była przerażona tą zmianą charakteru Maniusi.
- Moje dziecko - powinnaś nad sobą panować

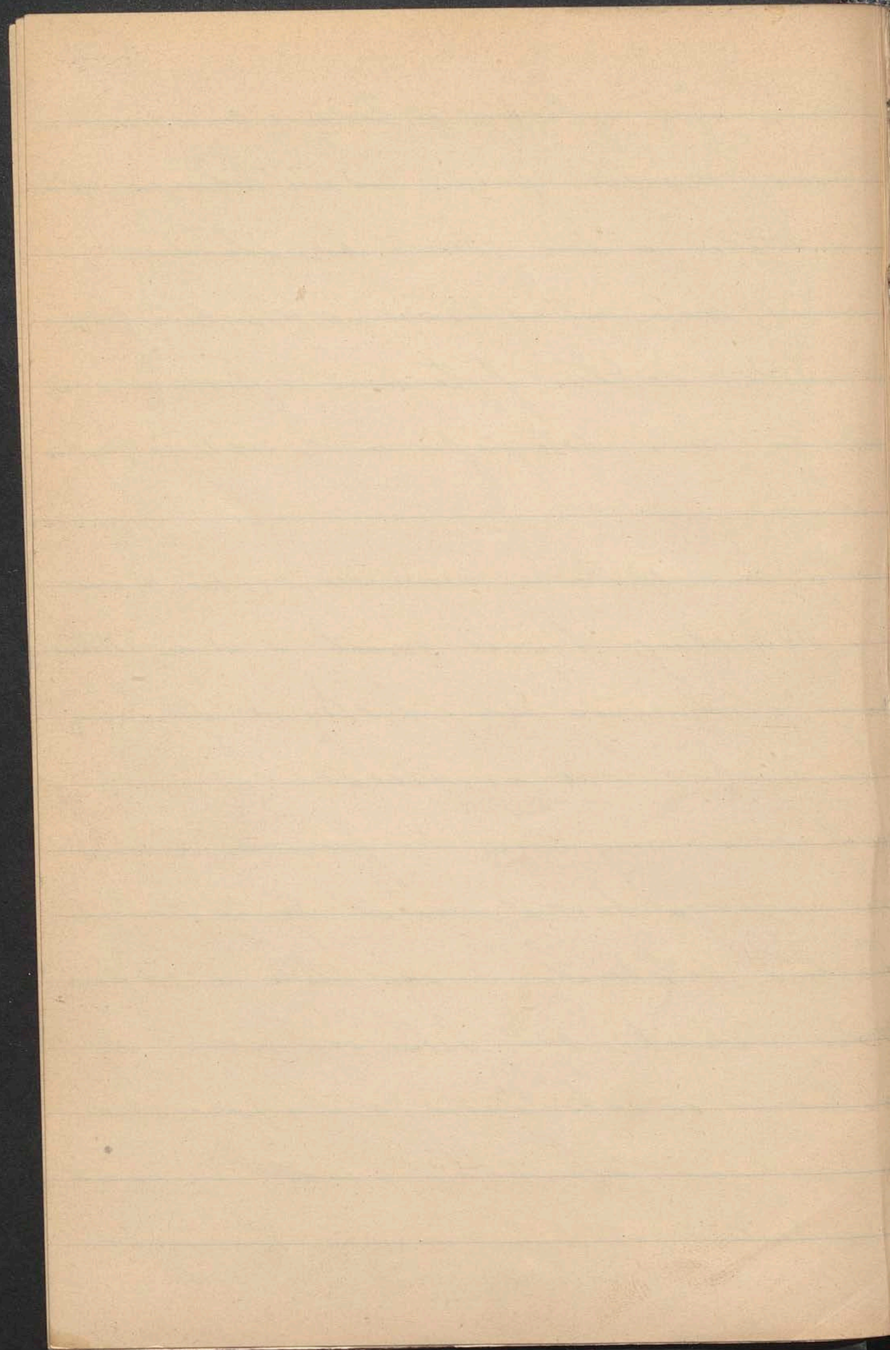
starała się moralizować – w „twoim stanie" to ci może być szkodliwe. Mnie przerażasz czasem – taka jesteś szczęśliwa, w takich opływasz dostat-kach – tak jesteś kochana, a nie umiesz tego cenić. Co ci jest? Czego ci brak? Zastanów się co sobie ludzie pomyślą – widząc cię zapłakaną, zmienioną.

– Co pomyślą! że jestem ohydna. Przecie to i sama widzę w lustrze. Potworna jestem, sama sobą się brzydzę – och – i wszystko mi obrzydło. Niech mama mnie nie nudzi – jestem i bez mamy morałów – najnieszczęśliwsza istota na świecie

– Maniusiu – przestań – grzeszysz ciężko to mówiąc. Każdy ci losu zazdrości – masz wymarzoną dolę!

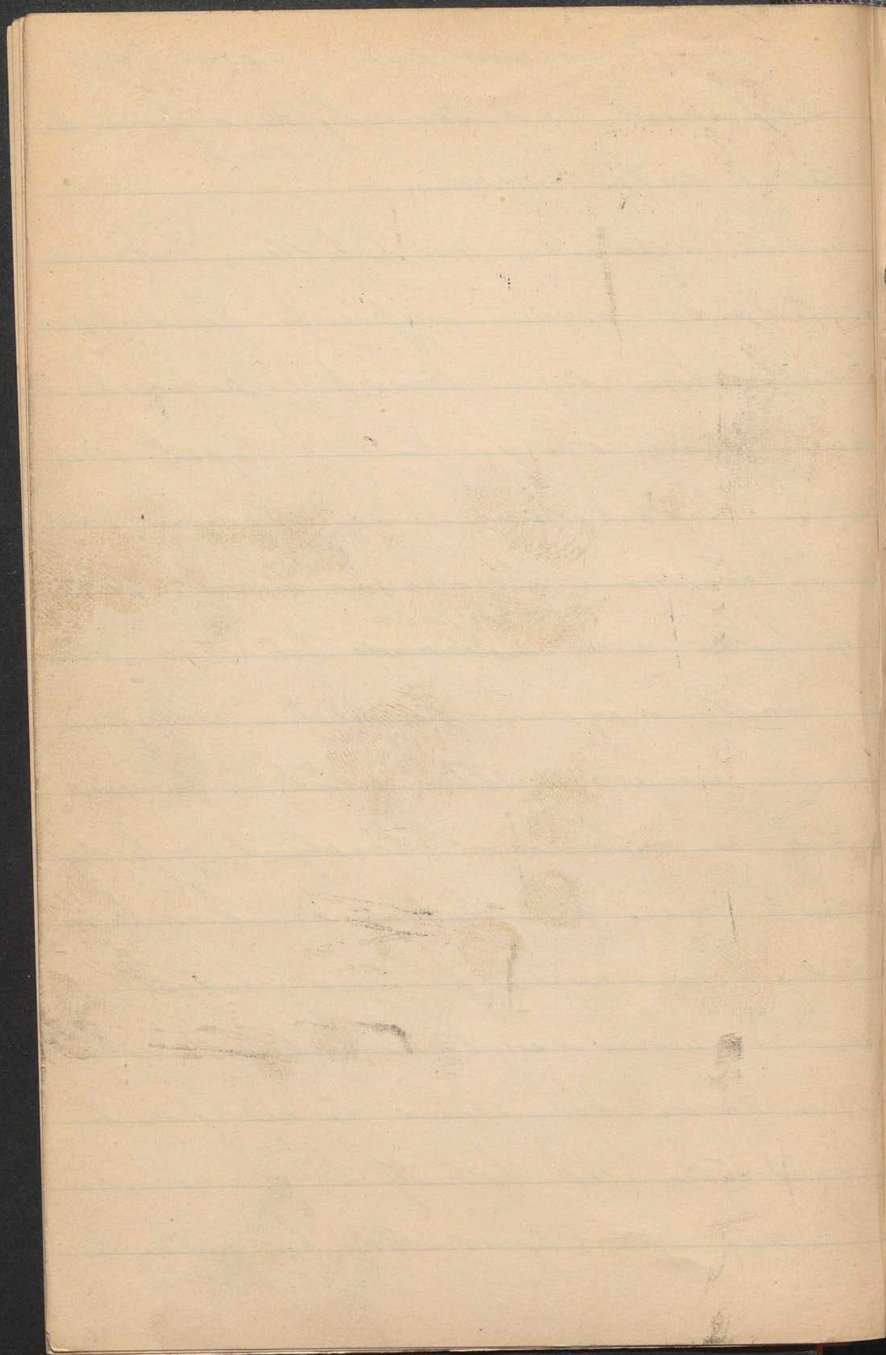
– Mam dość tego losu i doli – dość, dość! Nudzę się, nudzę, nudzę. Wszystko mi wstrętne. Ach, żeby umrzeć!

pomimo tych wybuchów rozpaczy i zniechęcenia do życia, wzywała prawie codzień lekarza, i lękała się i drżała o swe zdrowie bezustannie.
Bardziej może niż o zdrowie – o wdzięki i formy. Zamudzała doktora pytaniami i prośbami – nigdy nie była syta zapewnień – że zostanie piękną i zgrabną.
Były to niespokojne, nerwujące, ciężkie czasy dla Salnickiego. Bywał nawet w winnie roztargniony i nieuważny, mniej bystry w sprawach pieniężnych – i widocznie starzał.
Co prawda mniej teraz się forsował, żeby udawać młodego, bo nie uważał tego za potrzebne.
Zarębina zalokowała się na stałe u córki, czemu Salnicki był bardzo rad, bo czuł się zwolnionym od eskortowania i pielęgnowania żony – bardzo skrzętnie usunął się nawet z sypialni, ustępując miejsca teściowej.

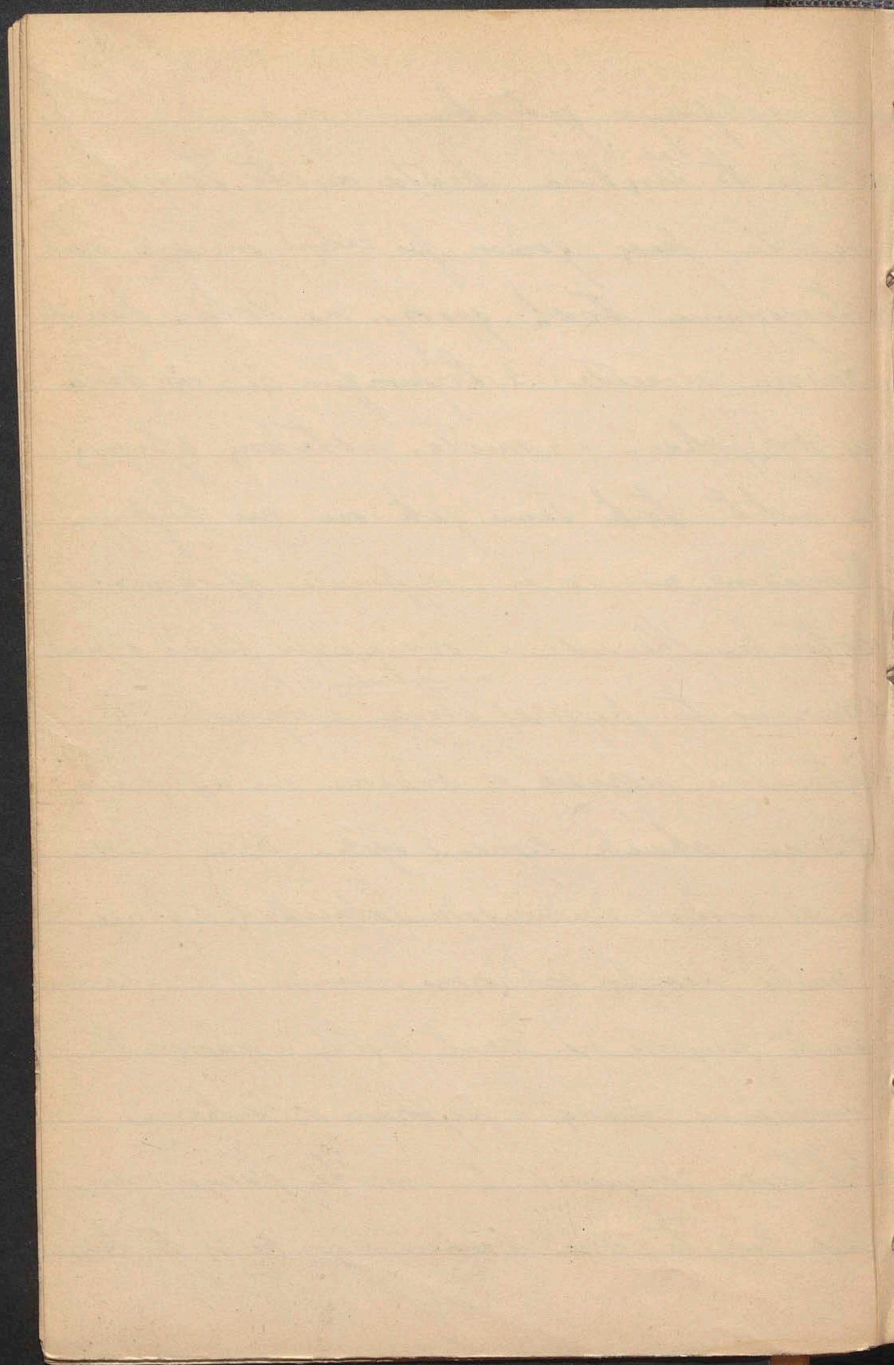


i pokazywał się w domu tylko w porze po-
siłków, i rzadko wieczorem.

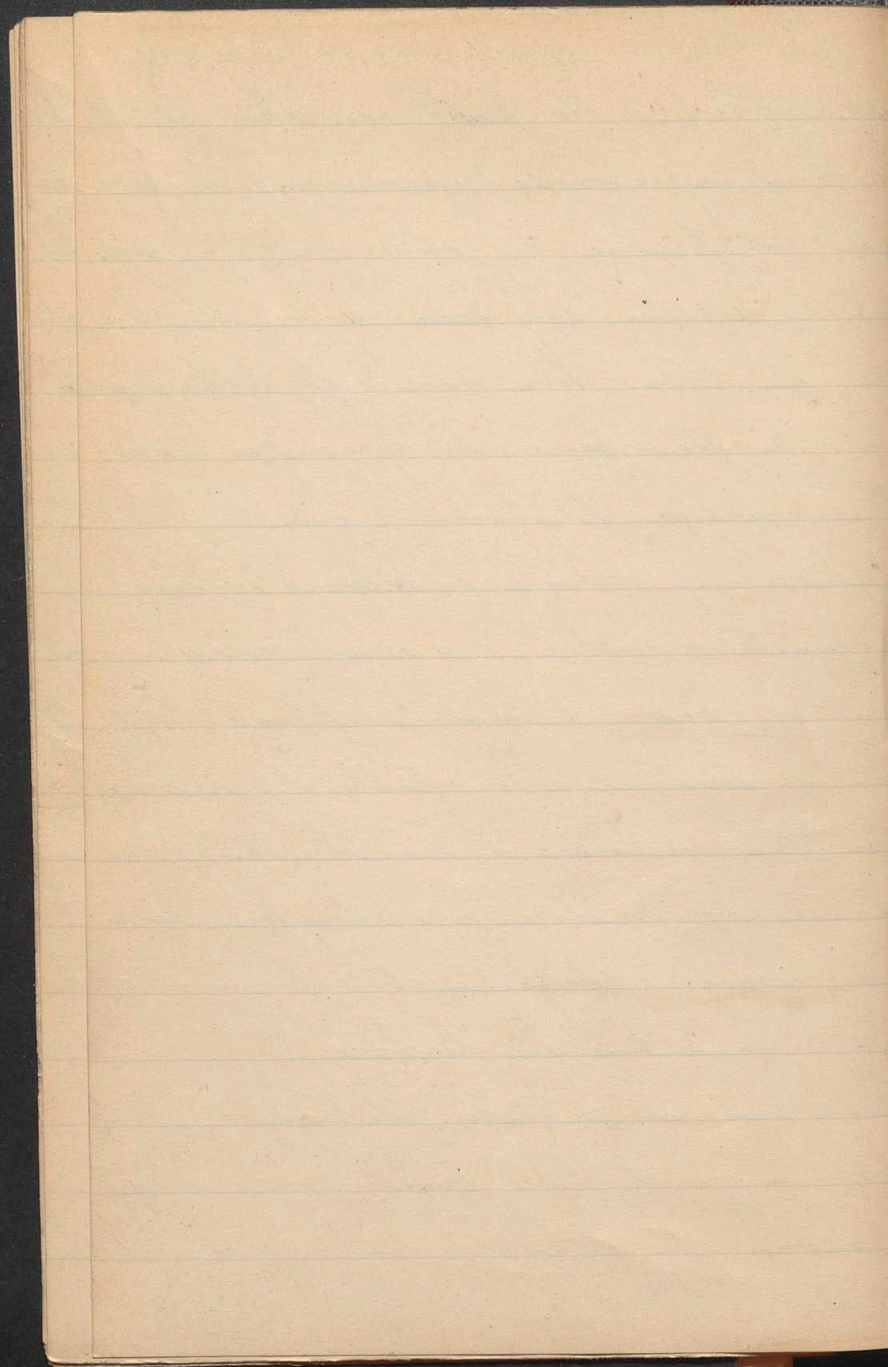
Jarzębina napełniła dom batystami i koronka-
mi, zajęta niby szyciem wyprawki dla wnuka.
W rzeczywistości szyły szwaczki i hafciarki, ale
„panie” miały okazję „pracy” tojest: spro-
wadzania próbek, przerzucania magazynów, debato-
wania, targowania, przeglądania żurnali, narad
i namysłów, co im ~~zapełniało~~ zużywało tyle czasu i siły,
że bywały wieczorem kompletnie wyczerpane.
Bywały sesye wszystkich ciotek i kuzynek
niekiedy - w ważniejszych kwestyach - n. p. czy
czepeczki mają mieć haftik czy koronki - i jakie.
lub czy hygieniczniejsze płótno czy batyst.
Czasami wzywano nawet Sielnickiego do narady,
ale on zawsze był zdania, że najlepsze to
co najdroższe - zaś kobiety to oburzało, bo
ich zasadą było - żeby wszystko było jaknajtańsze



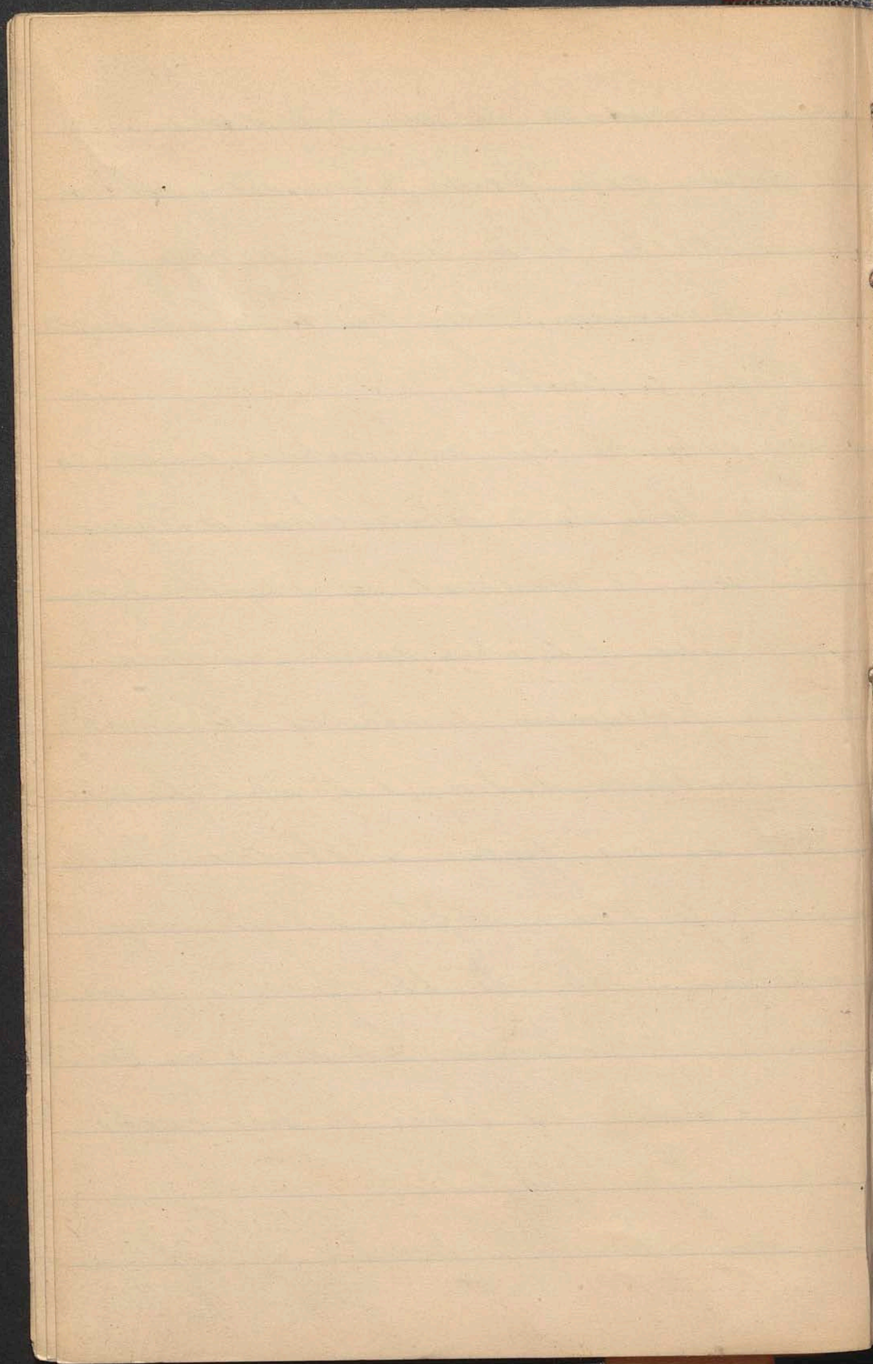
i w najlepszym gatunku.
Wskutek to Jarębina brała często dorożkę i jeździła parę godzin po całem mieście, w celu odtargowania trzech groszy na łokciu koronki i zawsze wracała z tryumfem, że „nie dała się wyzyskać" i miała ustaloną opinję że nikt tak tanio jak ona nie kupuje.
Opowiadano cuda o tej wyprawce spodziewanego potomka Maniusi, i odwiedzające panie oglądały z zawiścią te pajęcze miniaturowe stroje i wymysły.
Naturalnie wszyscy w rodzinie, nie wyłączając Maniusi chcieli syna, i ogólna była radość gdy się urodził dziedzic rodu Salnickich, którego z wielką pompą ochrzczono imieniem Bolesława.
Dziecko przyszło na świat wątłe i chorowite – z nieforemną głową i pajęczemi członkami.
Doktorowie zdecydowali, że matka karmić nie może – zaczęto więc szukać mamki, i po kilku



kandydatkach - wybór padł na pewną Bronkę dziewczynę, importowaną z prowincyi, od tej pory teraz już Tarębina na stałe osiadła u córki, i objęła zupełnie rządy domowe w swe ręce.
Maniusia była temu rada, i gdy tylko wróciła do sił, zaczęła bawić się, wynagradzać sobie długie miesiące przymusu i nudy.
Piękność jej rozwinęła się całym blaskiem - widziała to w lustrze - i w oczach mężczyzn - którzy ją znowu otoczyli, zasypywali komplimentami śmiałemi, jako mężatkę, i dwuznacznikami wcale nie zagadkowemi. Z dniem każdym - i ona stawała się śmielsza i zalotniejsza - bawiła się bez trwogi i skrupułu - była pewna swej cnoty - bo nikogo nie kochała.
Dziecko zajmowało ją zrazu, ale znudziło ją prędko i drażniło nawet. Było brzydkie, zawsze chore, grymaśne, otoczone służbą, bawić się z niem nie



mogła, pochwalić się, nie było czem.
Po pewnym czasie - prawie zapomniała o istnieniu
syna, i rzadko tylko zaglądała do niego - pochło-
nięta karnawałem, który tego roku był wyjątko-
wo długi i świetny.
Biedny Salnicki był męczennikiem, nużyły go
i nudziły bale, ale z bohaterstwem dotrzymywał
placu żonie i spełniał jej wszystkie życzenia.
A Mamusia literalnie szalała - upojona
hołdami, powodzeniem, świetnością strojów i klej-
notów. Cnotliwe matrony, i brzydkie panny
poczęły się nią gorszyć, i obmawiać. Zaczęto
wyliczać jej ofiary, szeptać o bardzo żywych
sympatyach. Ale to był fałsz i zawiść.
Mamusia kokietowała wszystkich, nie kochała
żadnego, i czuła się dumną ze swej cnoty -
siły w tylu pokusach.
Zakończenie karnawału powitał Salnicki, jak



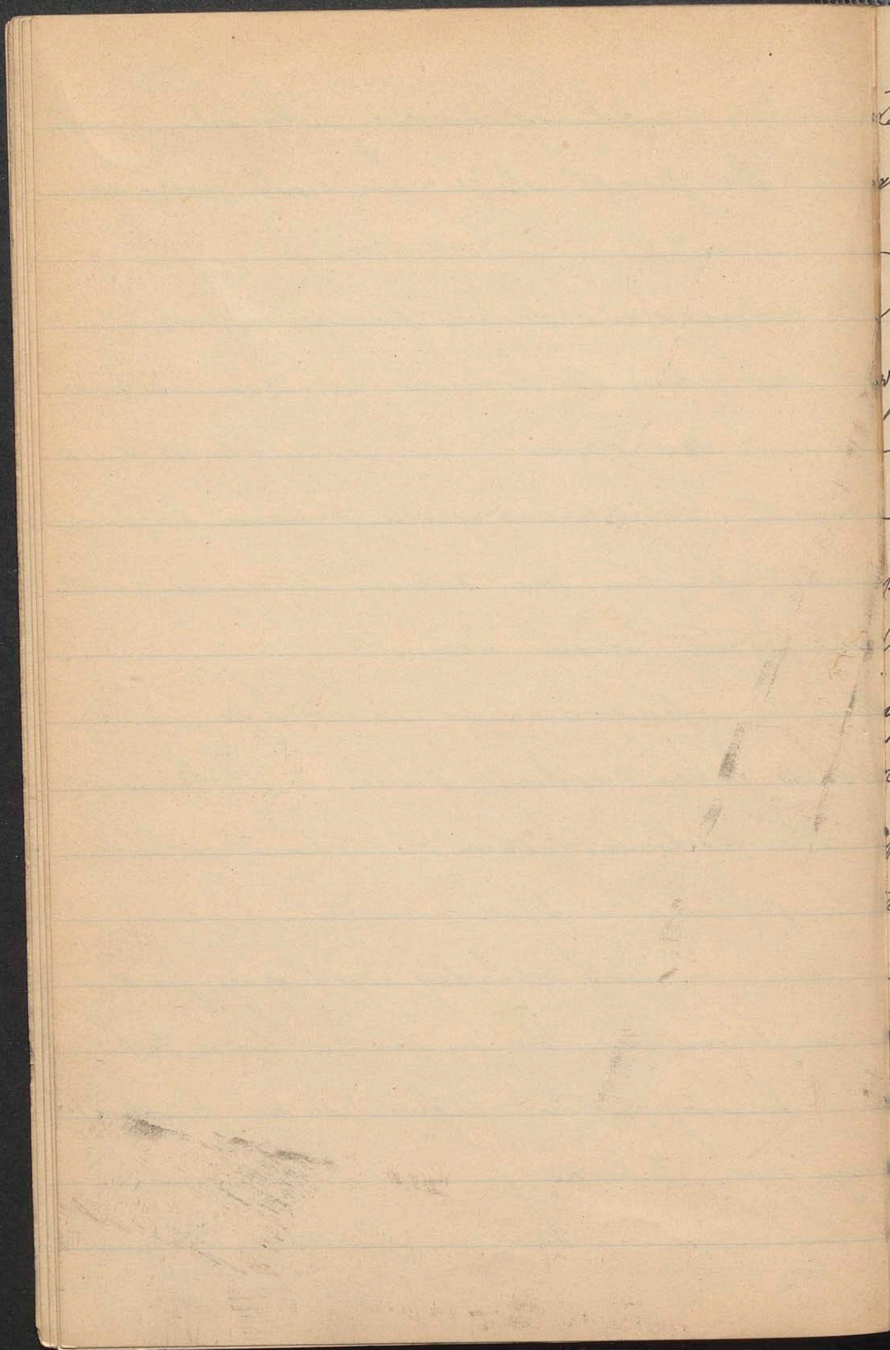
wyzwolenie z ciężkiej pańszczyzny. Maniusia z wielkim żalem. On począł chodzić na wista wieczorami - ona się nudzić.

Ale zabicia czasu czytała powieści, rozpoczęła haftować ekran do kominka, uczęszczała na modne kazania, i na operetki; ale wszystko to nie wystarczało - zmysły, rozegrane tańcem, bezsennemi nocami, flirtem nie zawsze się uspić i uspokoić, żądały wrażeń, wrażeń!

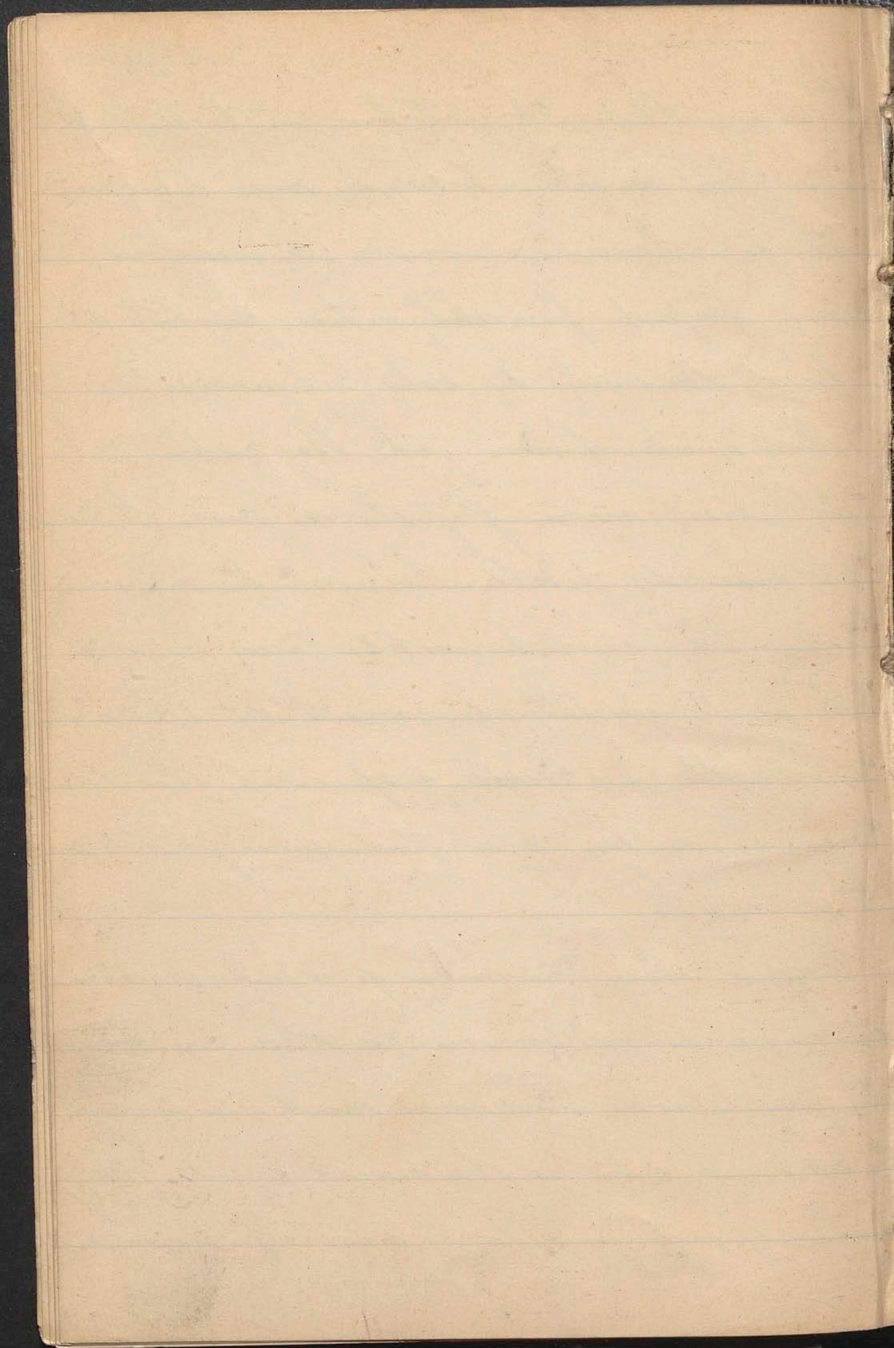
Miewała napady czułości dla dziecka - wtedy nosiła je na rękach, brała do łóżka, zacałowywała w łakomie. Potem następował okres zniecierpliwienia i prawie niechęci.

- Mamo, on jest wstrętny, idyotyczny, patrzeć na niego nie mogę. Czy on zawsze będzie taki łysy, bezzębny, żółty! Pfuj - on mi przypomina twego ojca. Zabierzcie go!

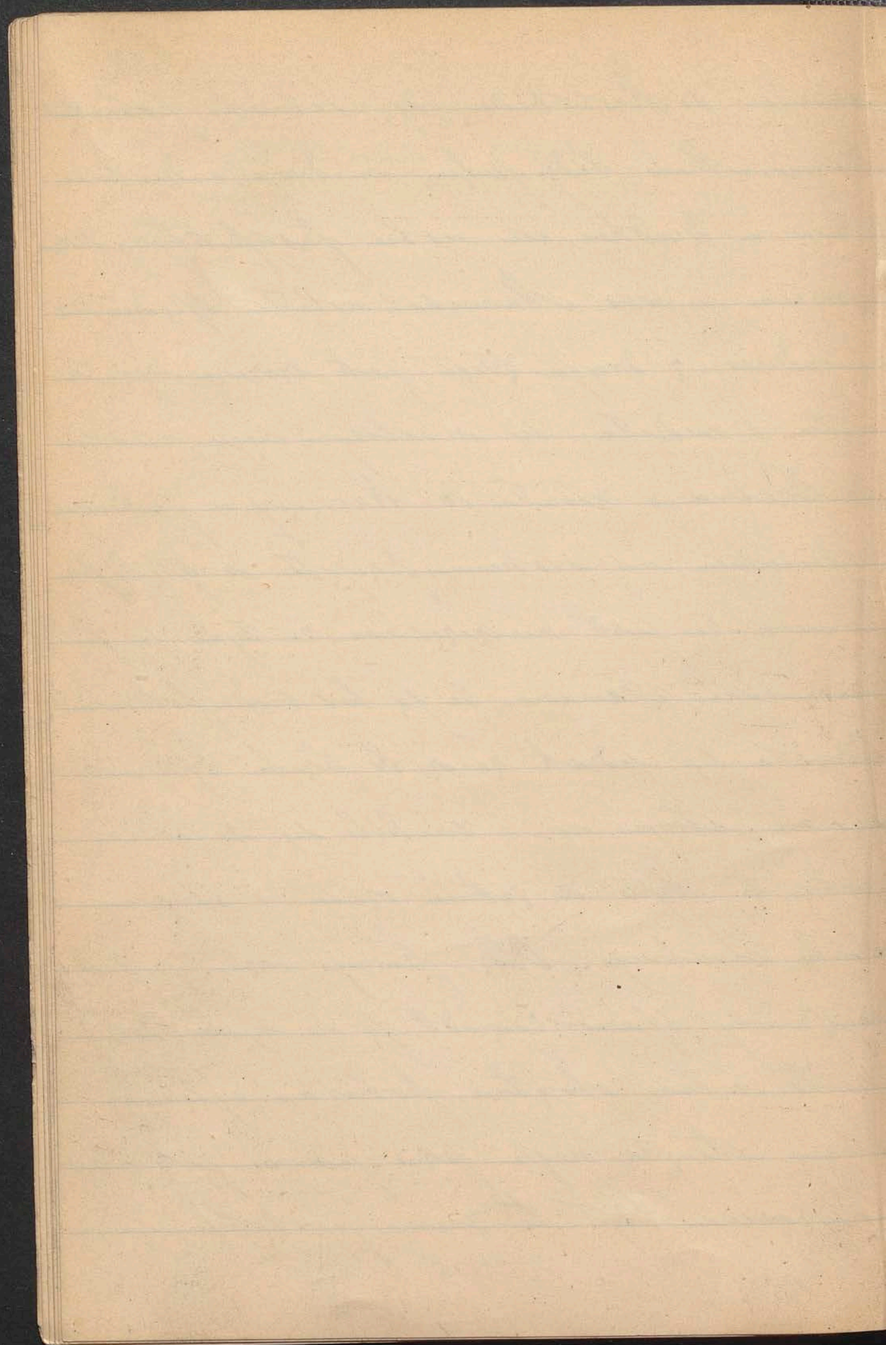
- Maniusiu, ciszej. Służba posłyszy! upominała



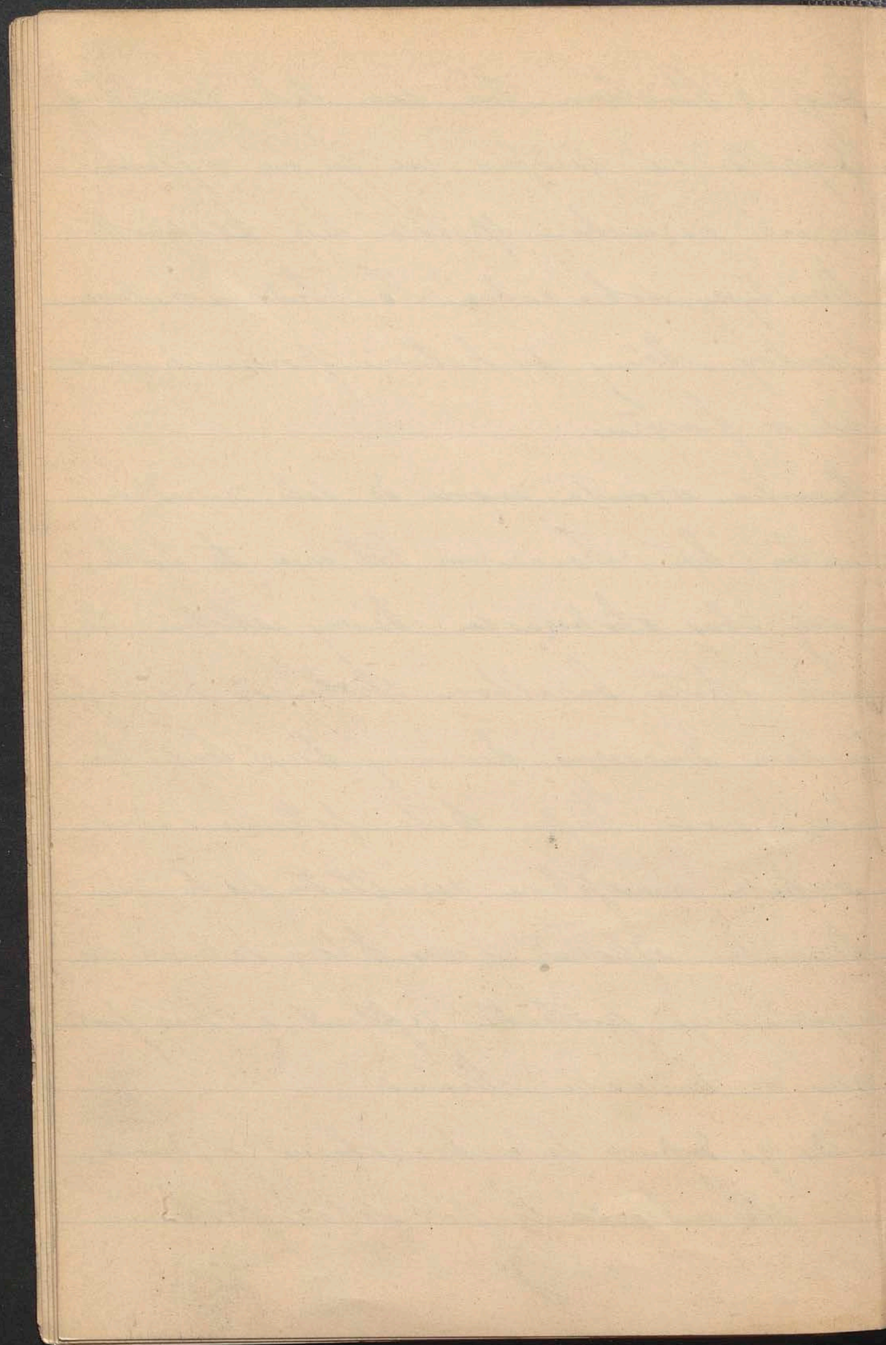
-zarobina. Biedaczek istotnie, nie bardzo ładny, ale on z tego wyrośnie. Zobaczysz, drugi będzie inny.
- Drugi! Maniusia zaśmiała się ironicznie. Niema głupich. Pięć centymetrów przybyło mi w pasie. Nie myślę się dalej defigurować!
- Moje dziecko. Będzie, jak Bóg zechce!
- Et - niech mama głupstw nie prawi! Będzie jak mnie się podoba. Ach, jak tu nudno!
Czasami dla rozrywki, robiła scenę mężowi - o byle co, ale gdy Talnicki, zamiast się sprzeciwić, we wszystkiem się zgadzał, przepraszał, starał się podwójnie czułym i uległym - nie cierpliwiło ją to i nudziło.
- Głupiec stary! nazywała go w duchu pogardliwie, nie czując ani wdzięczności za dobroć tego człowieka, ani przychylności i życzliwości nawet - za to wszystko co jej dawał, czem ją obsypywał.
W ten sposób doczekała się do lata. Postanowiono



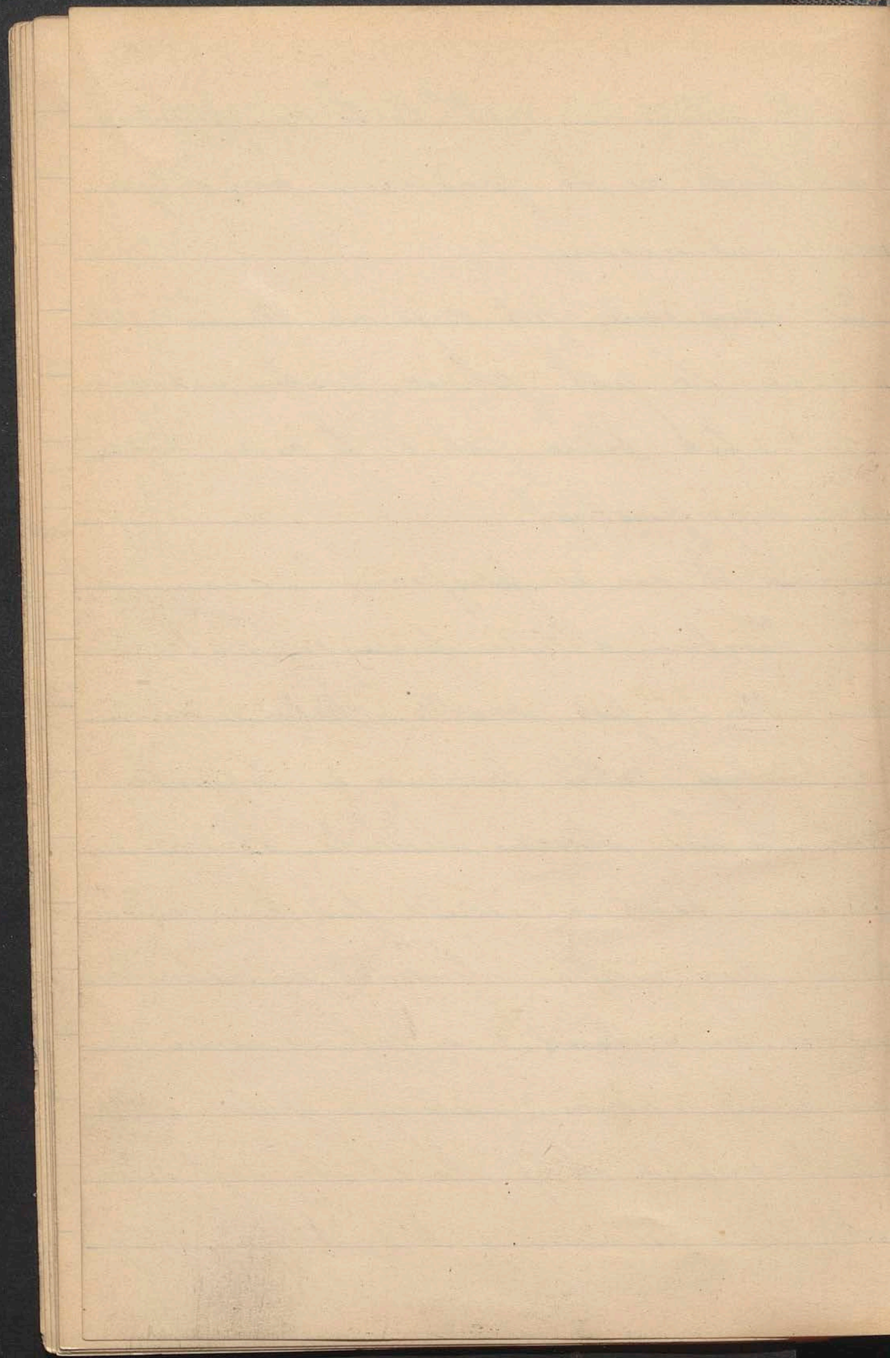
wyjechać do Karlsbadu, gdyż Selnicki potrzebował kuracyi. Mieli tedy jechać we dwoje, a dziecko zostawić u dziadków, ale wobec perspektywy pobytu z mężem u wód, Maniuta wolała spędzić lato u rodziców: „z dwojga złego” jak szczerze wyznała matce, i nudziła się w dalszym ciągu na wsi do Września, i wróciła do Warszawy w jakiemś desperackiem usposobieniu, przejęta do głębi przekonaniem, że jest nieszczęśliwa, że życie jej jest zmarnowane, złamane, że ją los srodze pokrzywdził. Ożywiła się jednak zaraz, bo trzeba było robić sezonowe stroje, no – i znalazły się satellici. Dobre to było do zabicia czasu i oderwania choćby chwilowego. Otóż pewnego razu jakiś próżniaczy spacer zawiódł ją na wystawę do Krywulta – i tam obojętnie, pobieżnie oglądając obrazy stanęła nagle przed jednym – jak zahypnotyzowana. Był to znany jej dobrze morski



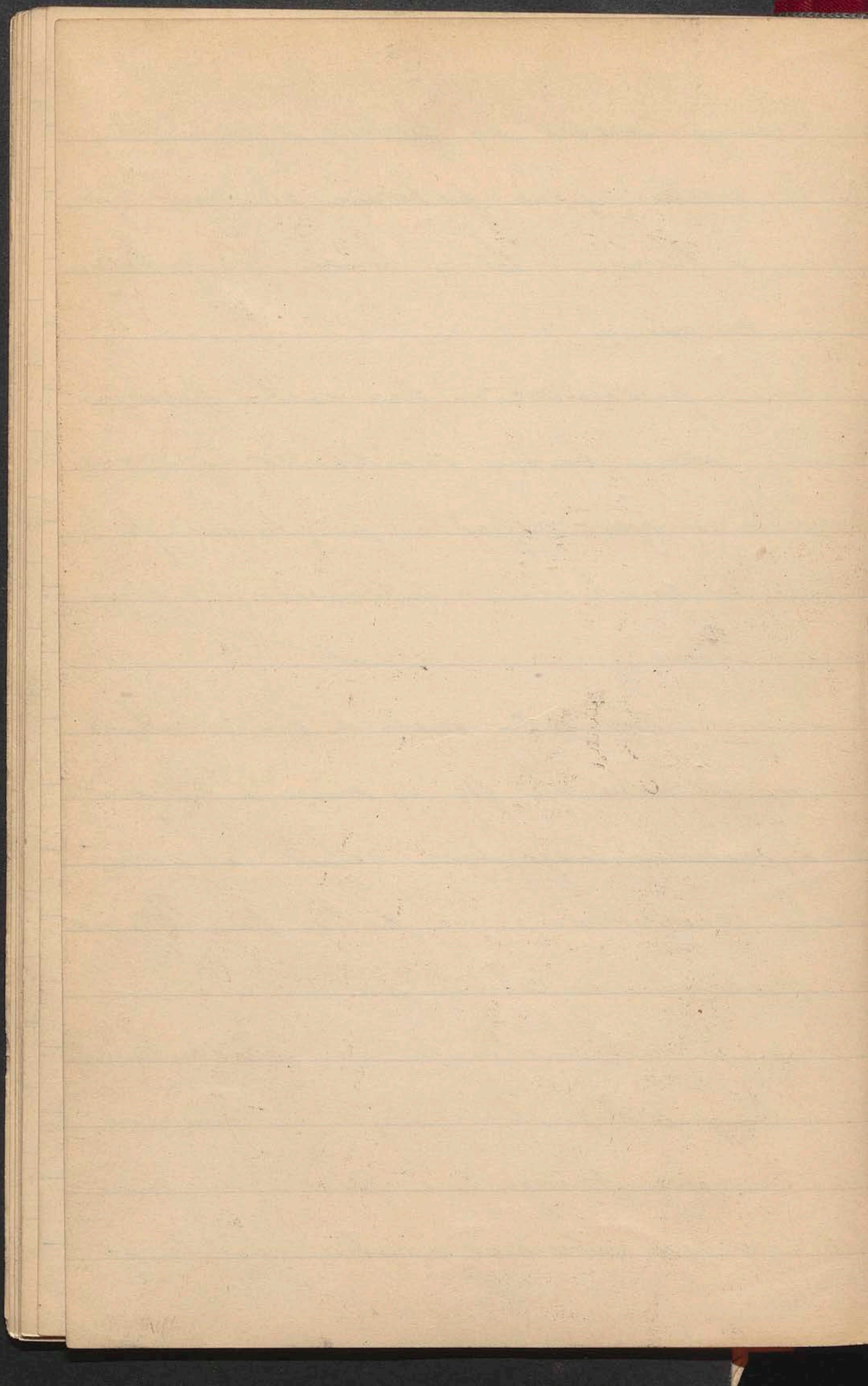
brzeg z Bretanii – ten sam, tak pamiętny.
Spojrzała na podpis – nie jej nie wyjaśnił
nieznane nazwisko – spytała tedy kasyerki
– pani życzy sobie nabyć? To studyum malarza
Bretony. Możemy się listownie porozumieć – mieszka
stale w Paryżu.
Manuśka wróciła znowu do sali, zawiedziona.
Tamten był Francuzem, był więc to tylko
dziwny zbieg okoliczności. Dziwny istotnie – ta
sama skała bazaltowa, śliska od bicia fal,
ten sam dziwaczny kamienny krzyż. Kupi ten
obraz – musi kupić. Dała polecenie i adres
i czekała niecierpliwie rezultatu. Po tygodniu
otrzymała odpowiedź i cenę, którą Zalnicki bez
najmniejszego protestu zapłacił, i obraz powie-
szono w buduarze Manuśi.
Wtedy go dopiero Zalnicki zobaczył i zdumiał.
– Co – sto rubli – za ten pół łokcia płótna.



I co to w takiem jest? Co to ma przedstawić.
Rozbestwiło się to pendzlarze, i drwią w żywe
oczy z publiczności.
— Już lepiej milcz, jak czego nie rozumiesz, obu-
=rzyła się. To jest plener — świetnie uchwycony.
— Niech i tak będzie, jeśli cię to cieszy, kup sobie
jeszcze więcej podobnych.
— Mamie to nic nie przypomina?
— To. Jarzębina włożyła pince-nez, i obejrzała
od światła i pod światło. Może być, że widziałem
coś podobnego — jakieś premium do Tygodnika.
— Eh — dla was stworzono oleodruki! oburzyła się
Maniusia, i nawet nie raczyła podziękować mężowi.
Od tej pory zaczęła interesować się malarstwem
i bywać na wystawach, i na jakimś raucie pozna-
=jomiła się z jednym z malarzy, i spytała o Brzeźnę
— O to szczęśliwy chłop. Ma okrutny zbyt do Ame-
=ryki, przytem odziedziczył grubo po stryju, który



we Francji dorobił się fortuny w przemyśle.
On tu wcale się nie pokazuje, ale nasi bywają
u niego w Paryżu. Dobry kolega - zna go Kolonja
- Stary czy młody?
- Młody - i podobno ma u pań wielkie powodzenie.
Maniusię jeszcze bardziej rozciekawiła ta rozmowa
i myślała o tym wypadku parę tygodni - potem
znudziła się, zniechęciła - i zapomniała i o obrazie
i o jego twórcy.
W karnawale tego roku omal się nie zakochała
w tenorze Włochu, ale gdy się dowiedziała, że ma
żonę i dwudziestoletniego syna zapał jej ostygł.
Potem przeflirtowała na potęgę przez trzy bale
z rozczochranym dekadentem, ale ten ją oburzył
cynizmem - i tak uchowała swą wiarę małżeńską
do postu - i jak zwykle poczęła się nudzić na
zabój. I wtedy pewnego dnia, gdy szła bez celu
na spacer, by zabić czas i nabrać apetytu - spot-



kała oko w oko – towarzysza z morskich kąpieli.
Oboje drgnęli, zatrzymali się – jej krew zalała
policzki – on zaśmiał się po swojemu – szeroko,
niefrasobliwie, i jakby się wczoraj rozstali – uchy-
lił kapelusza, pozdrawiając swobodnie:

– Tiens, quelle chance, bonjour – comment va?

– Co pan tu porabia? odparła, ochłonąwszy.

– Je vagabonde, comme toujours. Arrivé hier. Et vous?

– Domiciliée depuis deux ans.

– Mariée.

– Skąd pan to wnosi?

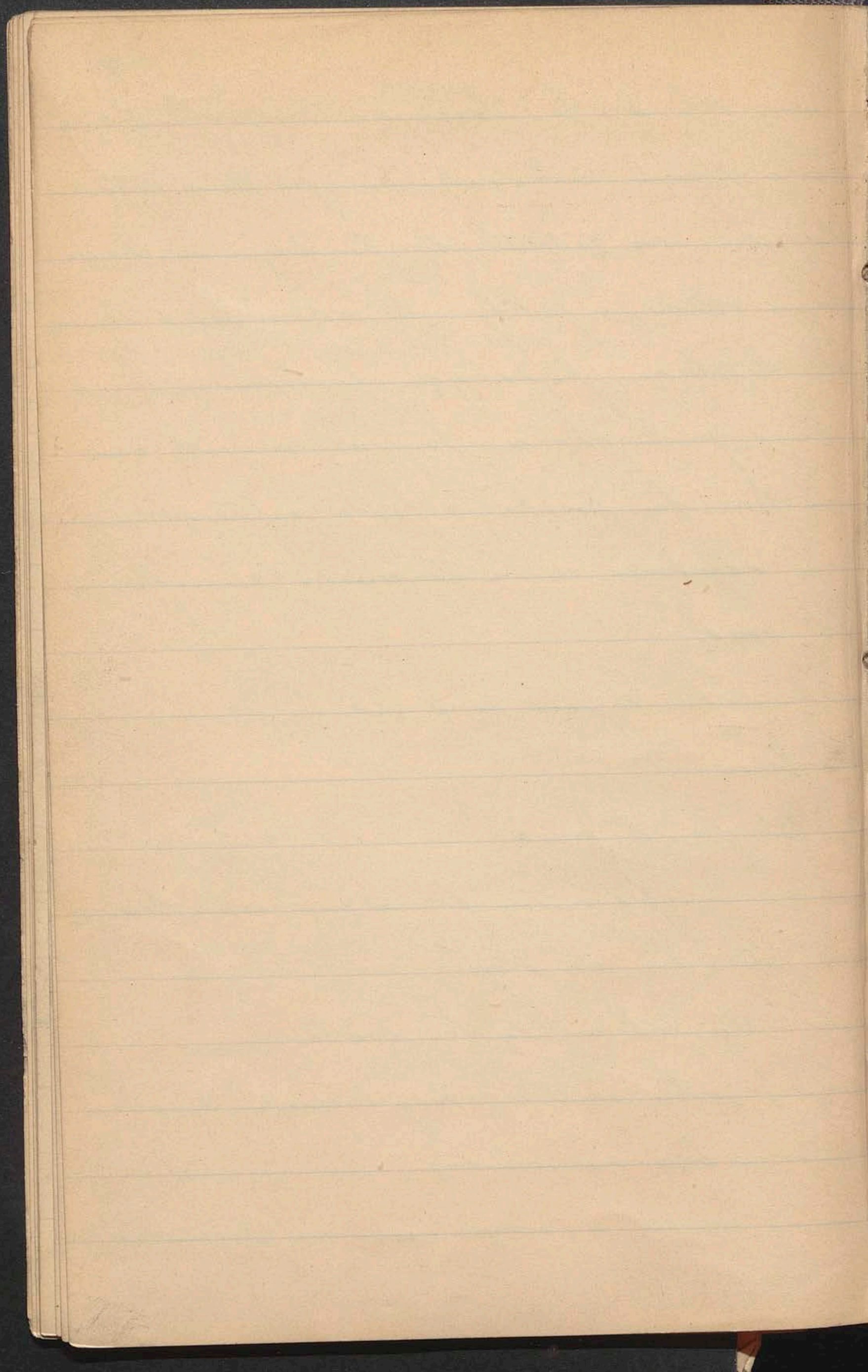
– No, widzę. Pożegnałem Primaverę – witam Dogaresę.

– A pan tu na długo?

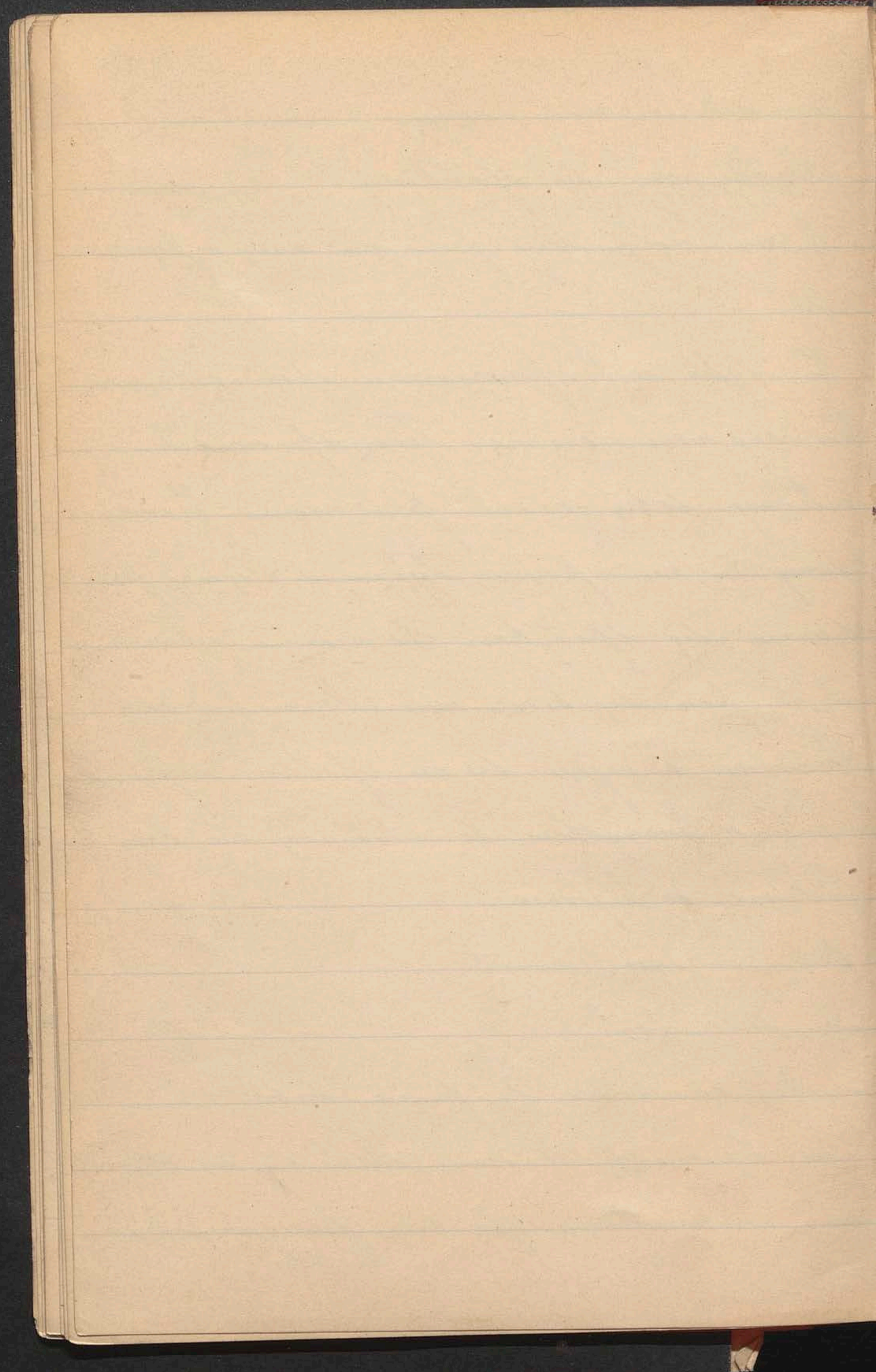
– To zależy jak mi się tu podoba.

– Życzę zatem wesołej zabawy, i żegnam! rzuciła
urażona bezceremonjalnością.

Czy on myśli w dalszym ciągu nie prezentować się.

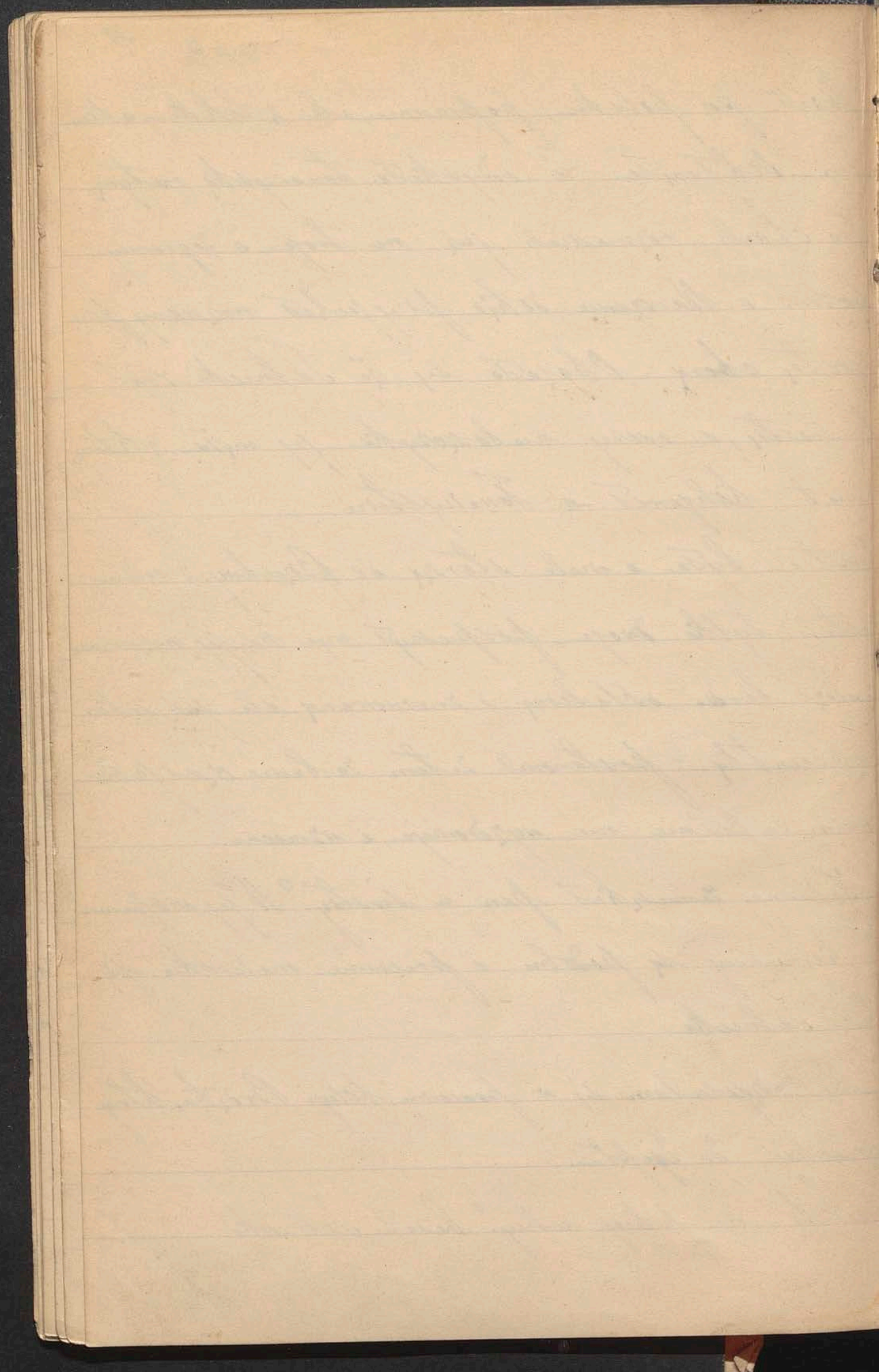


— Do widzenia, mam nadzieję.
— Wątpię czy się spotkamy.
— Ja nie wątpię. Czy pan nie wierzy w przeznaczenie
— Nie!
— Ja tylko w to. Przeznaczenie sprowadziło nas
tam nad morze — ono nas teraz sprowadziło — i
jesteśmy sobie nadal przeznaczeni. Jestem
pewny — że nie upłynie tydzień — a będziemy już
codziennie się spotykać! Do widzenia zatem.
— O, to pan się bardzo myli. Możemy być rok
w Warszawie i nigdy się nie spotkać — nigdzie —
naszym — w towarzystwie — bo ulica się nie liczy
— Parions — do tygodnia.
— Ach — do dwóch nawet
— A discrétion?
— Soit! roześmiała się, pewna siebie.
Z tem się rozeszli. W domu Maniusia nie wspom-
niała nic matce, że spotkała przygodnego znajomego



Zarębina zresztą nic o tej znajomości nie wiedziała.
W trzy dni potem Salniccy byli na ~~[illegible]~~ dobro-
czynnym [illegible], gdzie Maniusia miała własny namiot.
i zajadle karotowała znajomych, gdy w tem ~~po~~
~~[illegible]~~ ujrzała zdumiona, że mąż rozmawia
z „jej" nieznajomym. Po chwili zbliżyli się do niej, i
Salnicki przedstawił:
– Maniusiu, pan Brzechwa, malarz, chce się z tobą
zapoznać.
Pomimo całej wprawy i rutyny światowej, nie umiała
ukryć wrażenia, i znaleźć tonu zdawkowej uprzejmości.
On z uśmiechem rzekł:
– Pragnąłem poznać, i podziękować za zlitowanie nad
moją pracą. Oprócz mnie, nikt nie lubił, ani chciał
mieć ~~tego~~ wspomnienia zapadłego kąta Bretanii – a
oto pan radca mi mówi, że pani ten obrazek
nabyła. Nie marzyłem, że taką piękną i uroczą
będzie mieć właścicielkę.

Mówił po polsku, poprawnie, ale z lekkim akcen-
tem. Ochłonęła i odzyskała towarzyską rutynę.
Po chwili rozmawiali już we dwoje - o zagranicy -
potem o Warszawie, dokąd przyjechał wezwany przez
siostrę chorą. Okazało się, że Salnicki znał
tę siostrę, a raczej nieboszczyka jej męża, z którym
nawet kolegował w Towarzystwie.
Siostra była o wiele starszą od Brzechwy, z rodziny
zostali tylko dwoje - pospieszył więc na jej wezwanie,
znalazł bardzo osłabioną i zdenerwowaną, ale już rekon-
walescentkę - postanowił zatem zabawić czas jakiś
zanim zupełnie nie wyzdrowieje, i wzmocni.
- Zapewne zamieszkał pan u siostry? W jej wspania-
łej kamienicy są podobno i pracownie malarskie, spy-
tał Salnicki.
- Nie - rozgościłem się w pracowni kolegi Bróżka, który
wyjechał do Egiptu.
- A to na jakiej ulicy? badał Salnicki.



— Na Marszałkowskiej, bliżej ogrodu, nie pamiętam numeru – orjentuję się po cukierni.

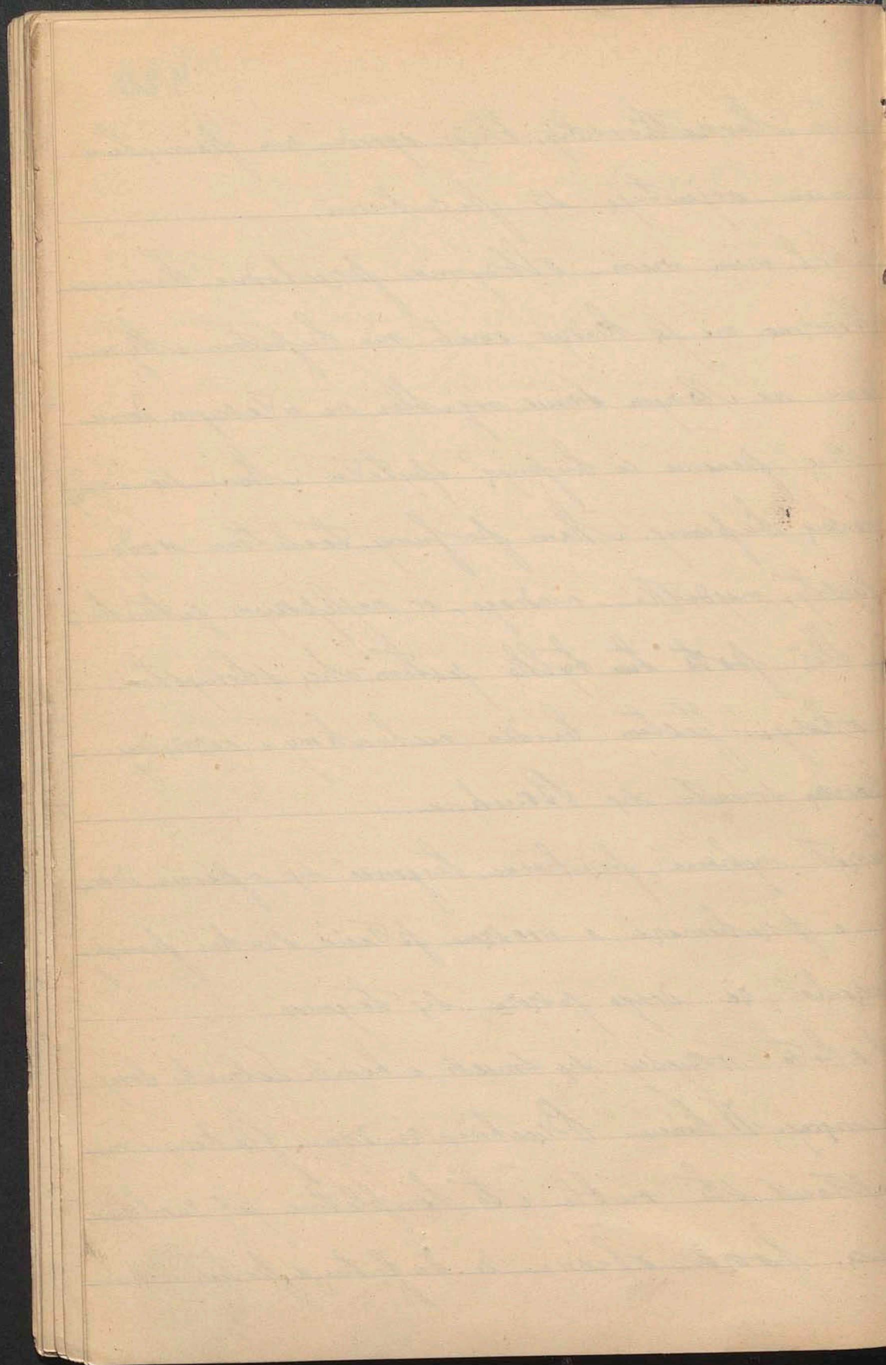
— Ach, wiem wiem – olbrzymia przechodnia kamienica. Ostrzegano mi ją kiedyś, omal nie kupiłem. My mieszkamy na Nowym Świecie, róg Alei, we własnym domu.

— Czy panowie co kupują? spytała Meniusia z uprzejmością kupcowej. Mam perfumy, toaletowe wody – pasty, mydełka – niedrogo – w najlepszym gatunku.

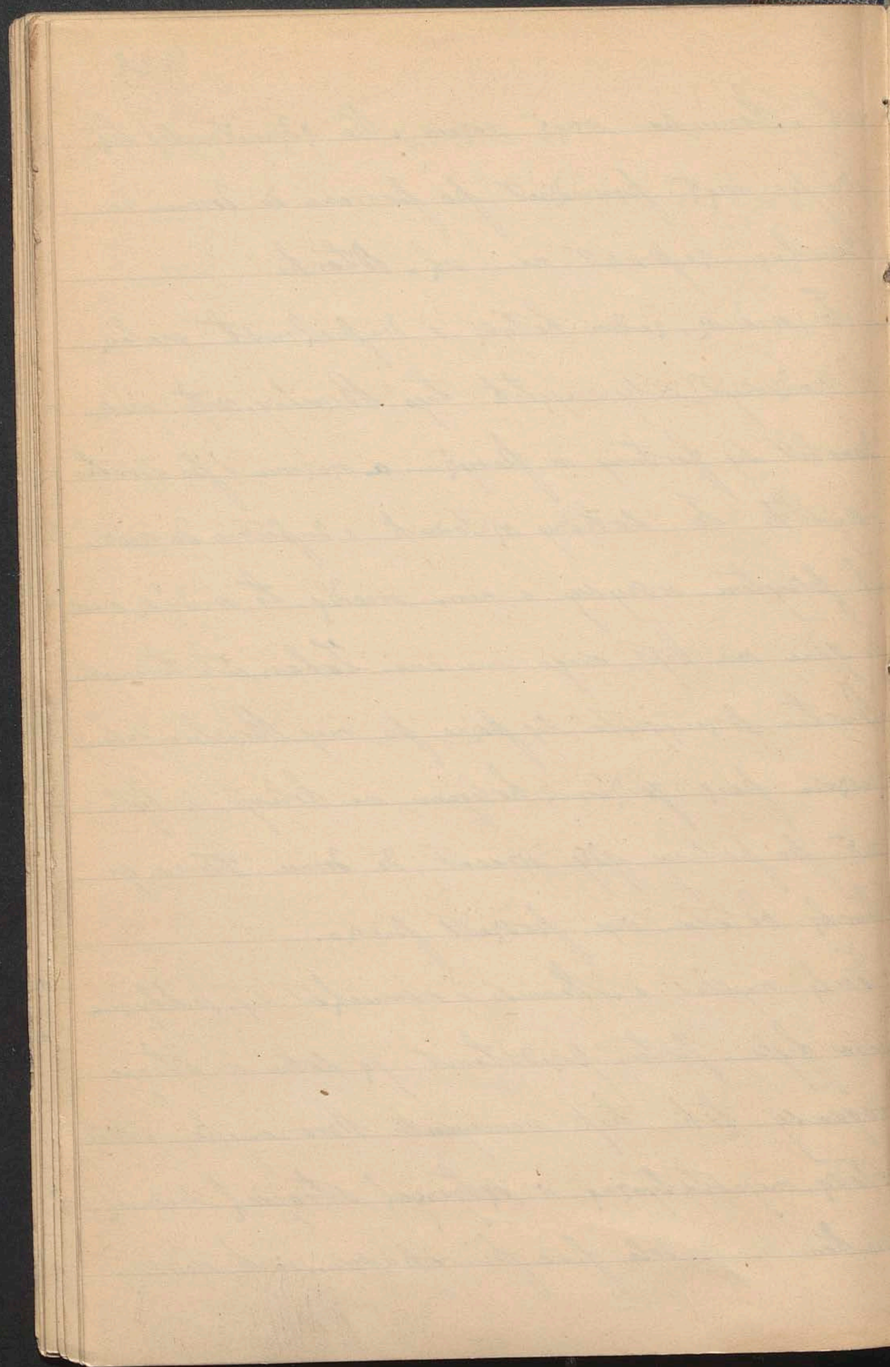
— Ależ po to tylko jestem, chcę skorzystać z okazji. Jestem bardzo rachunkowy i oszczędny. ~~[illegible]~~ śmiał się Brzechwa.

Zaczął wybierać, przebierać, targować się uparcie, drażnić się i przekomarzać, a wreszcie płacić, szukać pieniędzy, narzekać, że drogo, jeszcze się targować.

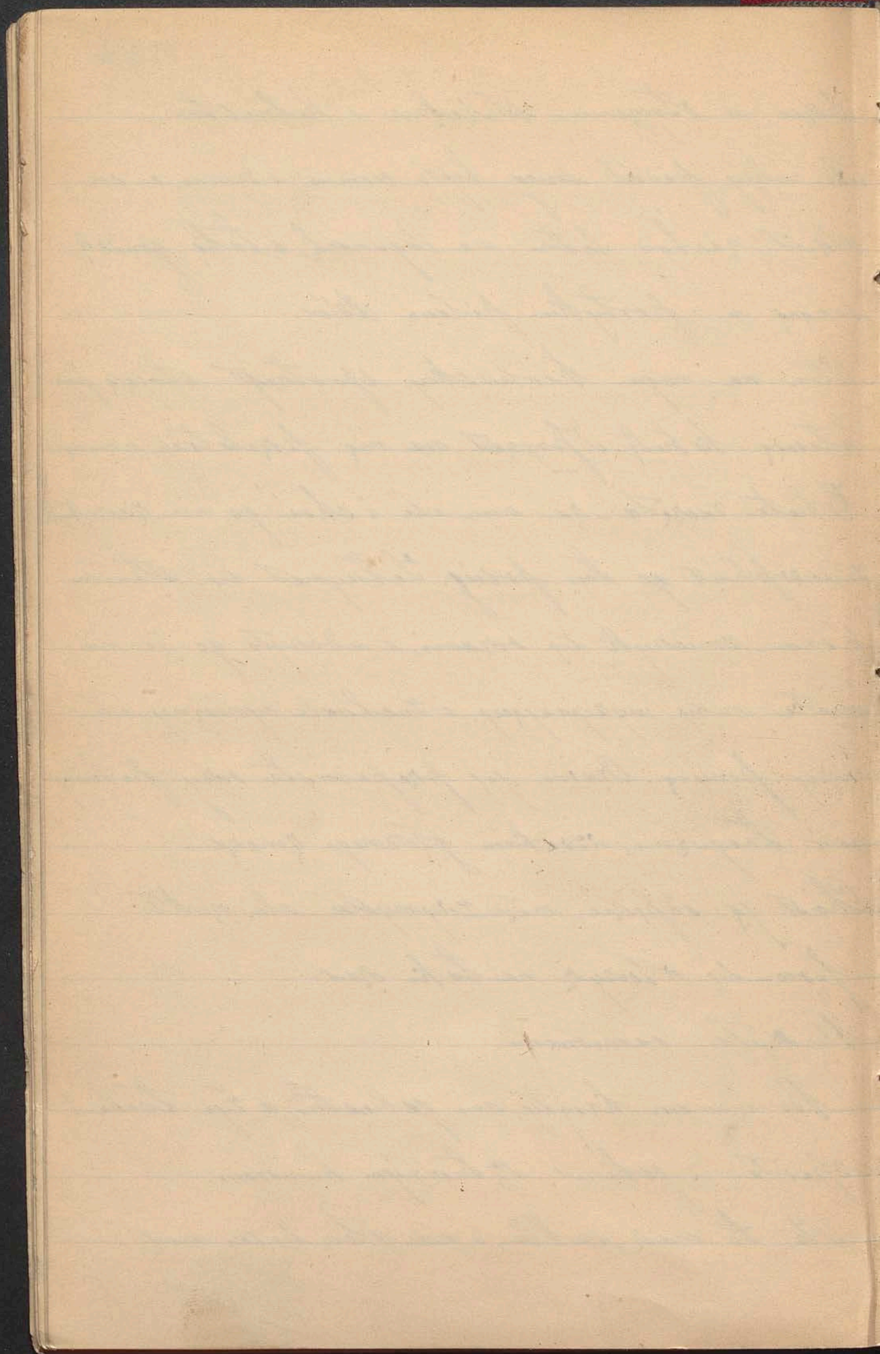
Wokoło wszyscy się śmieli i bawili, Salnicki bodaj najwięcej. W końcu Brzechwa zebrał flakony i mydła, zapłacił sto rubli – i to kompletnie już zachwyciło radcę. Poszli obydwa do bufetu, a potem widziała



ich Maniusia wciąż razem. Nie zdziwiła się też.
gdy jej mąż powiedział po powrocie do domu, że
Brzechwę zaprosił na ich „Wtorki"
– To, widzisz, żaden hołysz i drapichrust – malarz.
Odziedziczył cały majątek tego Brzechwy, co to, wiesz
dorobił się fortuny w Paryżu, a weźmie i po siostrze
wszystko. To solidny człowiek – i zupełnie do rzeczy.
A przytem – wszyscy o nim wiedzą – to widział, mas[illegible]
a gdzie nie był, czego nie zna. Zabawi całe towarzystwo.
Wenta przeciągnęła się późno – po niej Brzechwa zabawił
jeszcze parę godzin z kolegami na kolacyi – i było
już po północy, gdy wracał do domu. Głowa go
trochę bolała, więc poszedł pieszo.
Trochę myślał o Maniusi, i uśmiechał się, jakby z uda-
=nego figla – potem przedstawił ją sobie w stroju
dogaressy – taki typ wenecjanki Weronezyka, złoto-
-włosą, majestatyczną, w sztywnych strojach średnich
wieków – w gondoli, pod piuropuszem, w królewskiej



pżcie, w otoczeniu służebnic i lutnistów.
Na ulicy padał śnieg - było ciemno i zimno, a on widział zachód letni na lagunach, i tak gondolę sunącą u portyku pałacu Dożów.
Wtem na rogu Królewskiej spostrzegł stojącą pod latarnią kobietę. Spojrzał na nią przelotnie, i minął.
Kobieta zaczęła za nim iść, i choć go nie zaczepiła zniecierpliwił go ten pościg. Zatrzymał się - stanęła i ona - zmierzyli się oczami, i uderzyło go że nie miała miny wyzywającej, i zuchwale cynicznej, ale raczej ponurą. Czarne jej przepaściste oczy patrzały nań tragicznie, wzrokiem głodnego zwierza.
Chciał ją odpędzić, może zgromić - ale rzekł:
— Poco się włóczysz na taki czas.
Ruszyła ramionami:
— Bo niemam karety, ani gabinetu, a żyć trzeba.
odparła z jakimś szczerym humorem.
— No, to masz rubla, i nie włócz się za mną!



Zdawało się, że się zawahała chwilę, ale wreszcie w milczeniu wyciągnęła rękę, zgrabiałą od zimna i wzięła monetę. Potem stanęła znowu pod latarnią

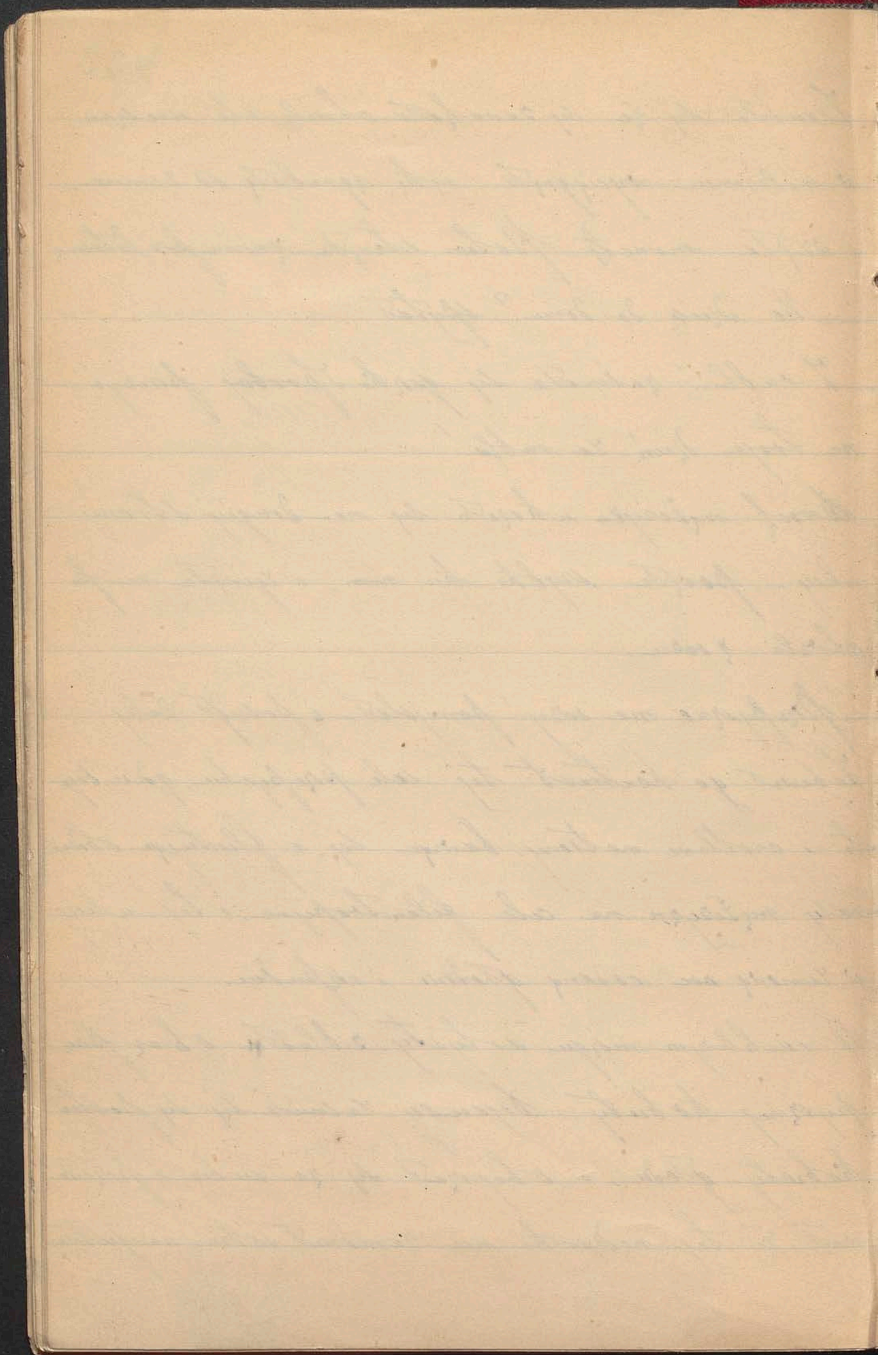
— Nie idziesz do domu? spytał

— Z rublem! zaśmiała się gorzko. Sprobój przeżyć we troje dzień — za rubla!

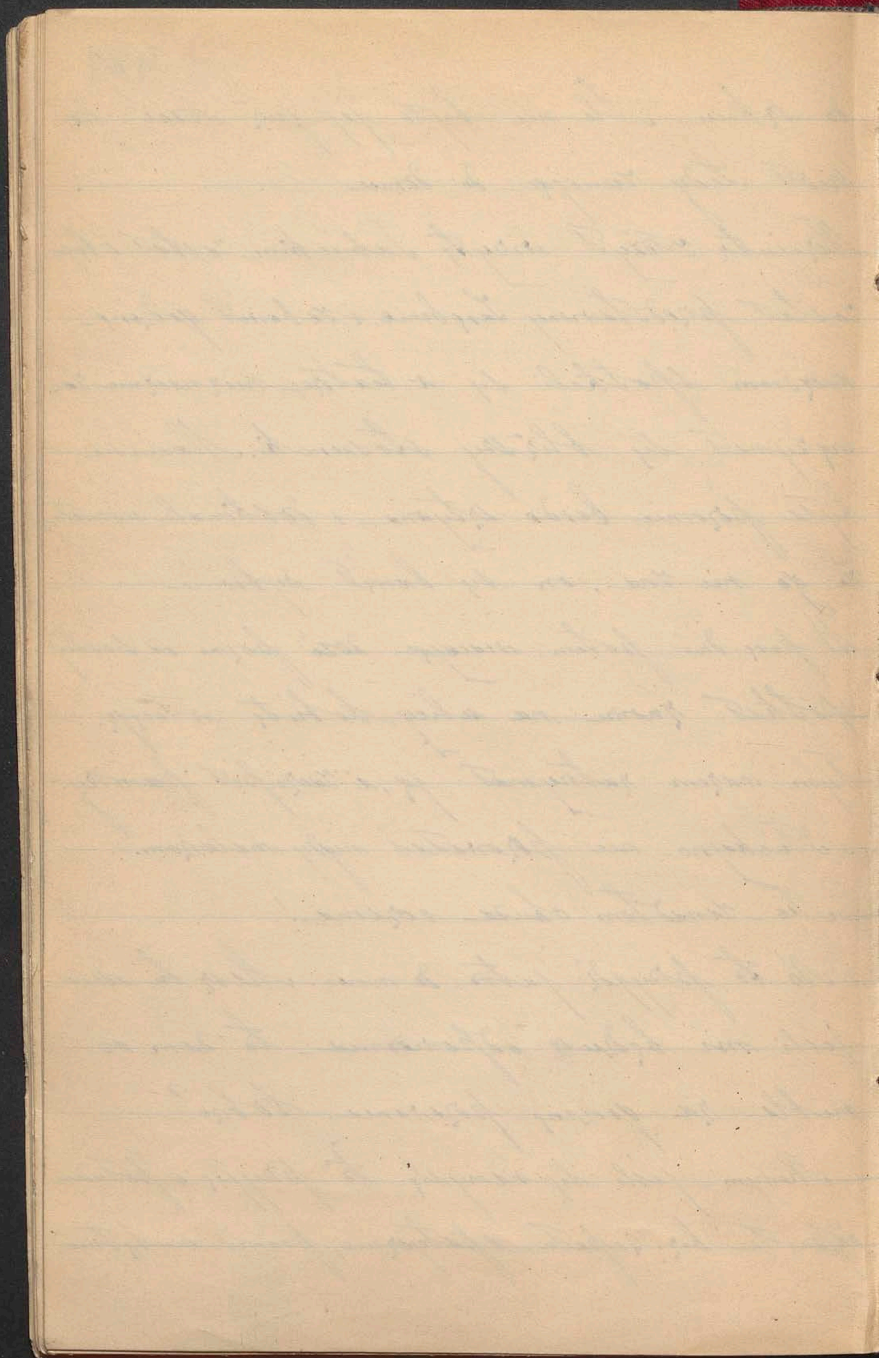
Dwóch mężczyzn ukazało się na drugiej stronie ulicy — poszła szybko ku nim — i zginęła mu po chwili z oczu.

— Przepyszne ma oczy! pomyślał — i poszedł dalej. Zabawił go kontrast — tej sali przepychu, gdzie boga=te i czułe matrony, bawiąc się i flirtując, obdzie=rały mężczyzn na cele filantropijne, i tej ulicy w zimową noc, oddaną głodowi i rozpuście.

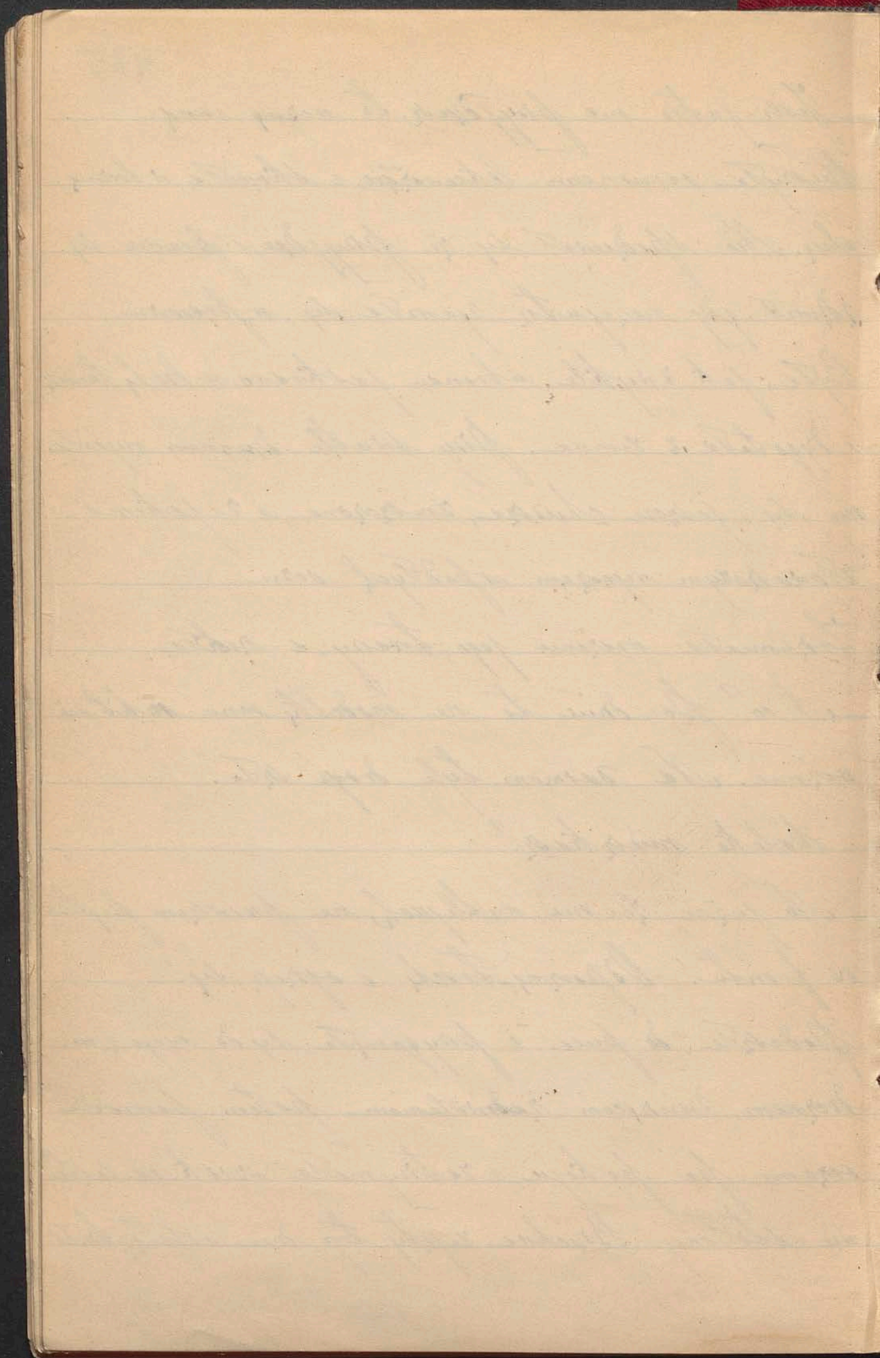
W ruchliwym mózgu artysty — zbladł obraz prze=pysznej kobiety — bogaczy — zasnuła się się postać kobiety — głodu — i obejrzał się za siebie, i poża=łował — że tej nędzarki nie zamówił sobie — na jutro,



do szkice. Ale nie było jej już więcej - po-
-szedł tedy - wracając - do domu.
Nazajutrz złożył wizytę Salnickim, zastał oboje,
został przedstawiony Jarzębinie, i zabawił godzinę -
wieczorem spotkali się w teatrze - nieznacznie za-
-wiązywał się bliższy stosunek. Mamusia
była pozornie bardzo sztywna, i doskonale udawała
że go nie zna, on się bawił wybornie.
W parę dni potem, wracając dość późno od siostry
spotkał znowu na ulicy, kobietę w łosiach.
Tym razem zatrzymał ją, i zaczepił pierwszy.
— Słuchajno - nie pozowałaś nigdy malarzom?
— Nie - zanadtom chuda i czarna!
— No to przyjdź jutro - do mnie. Masz tu adres -
jeśli mi będziesz odpowiednia - to dam ci
ruble za godzinę - pozowania. Dobrze?
— Niewiem - jeśli się namyślę - to przyjdę o południu.
odparła bez zapału, apatycznie, prawie niechętnie.



— Jeśli jutro nie przyjdziesz, to wezmę inną.
Ruszyła ramionami lekceważąco, i skręciła w boczną ulicę. Nie spodziewał się, że przyjdzie, i prawie się zdziwił, gdy nazajutrz zjawiła się w pracowni.
Była jak zwykle ubrana jaskrawo, w kiepską tandetę i dygotała z zimna. Przy świetle dziennem wydała mu się jeszcze chudsza, zniszczona, i z jakimś złowieszczym wyrazem wpadłych oczu.
Zrozumiała wrażenie jego twarzy, i rzekła.
— A co? po dniu to na modelkę mnie nikt nie weźmie. Na darmo tyle drogi szła.
— Daleko mieszkasz?
— No pewnie, że nie w Alejach, na pierwszem piętrze od frontu! Odpocznę trochę i ogrzeję się.
Podeszła do pieca i przygarnęła się do niego z wi=docznem, zwierzęcem zadowoleniem — potem powiodła oczami po pokoju, i zatrzymała wzrok na zasta=wie stołowej. Brzechwa zajęty tego dnia robotą kazał



sobie przynieść śniadanie od siostry, i padł właśnie, gdy ona przyszła.

— Zdejm kapelusz i żakiet. rzekł

Nie zdawała się słyszeć, patrzała uparcie na jedzenie

— Jak się nazywasz? spytał

— Ja? ocknęła się, i pomyślała — Wójtówna, czy pies tak! rzuciła niedbale

— Sama mieszkasz?

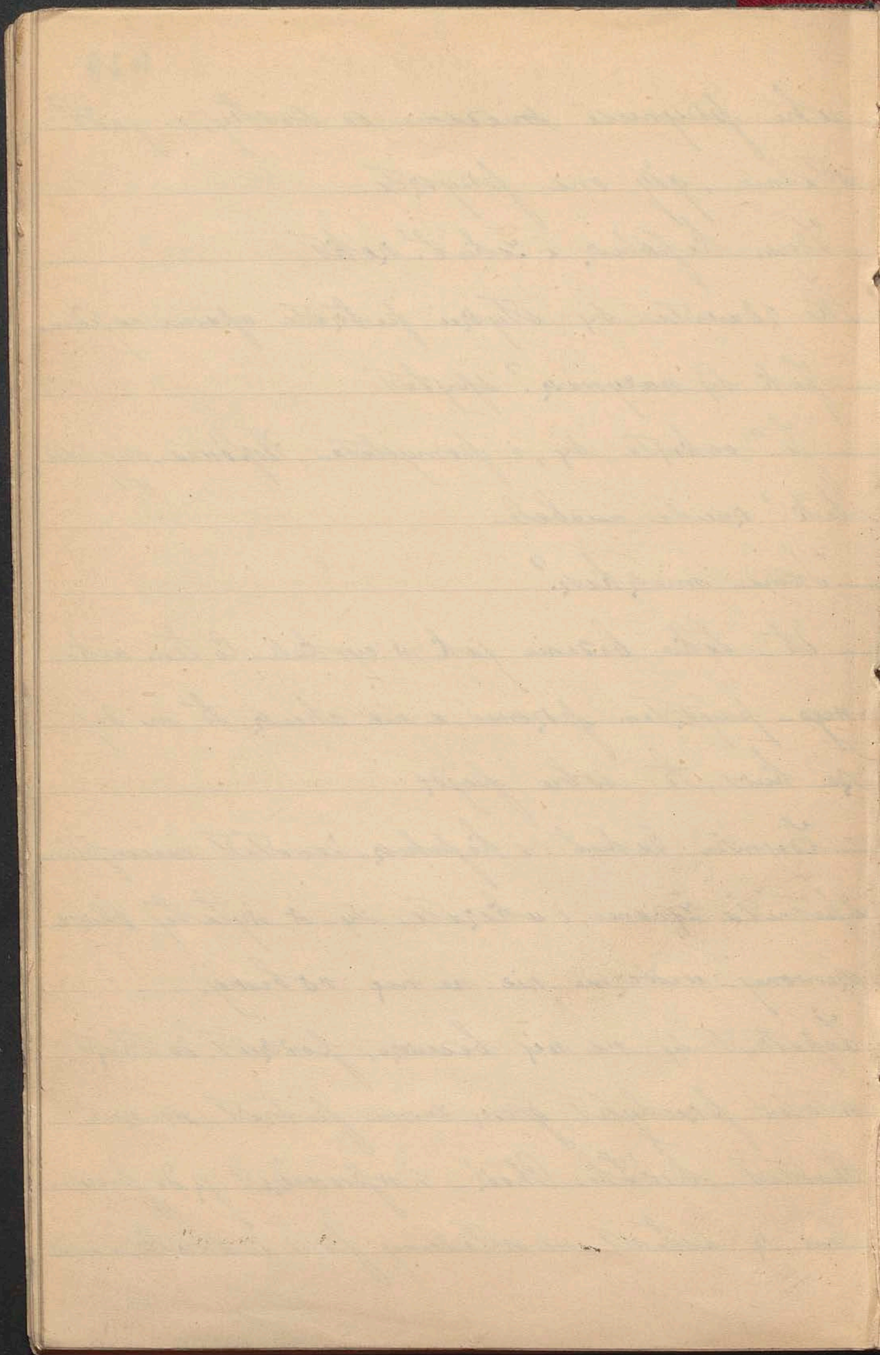
— Et — takie badanie jak w cyrkule. Co tam ciekawego — przyszłam pozować, a nie chcesz, to mi daj za kurs, to sobie pójdę

— Zdejmże żakiet i kapelusz, zawołał niecierpliwie

Spełniła żądanie, i ukazała się w wytartej bluzce czerwonej — widocznie nie na nię robionej.

Zapatrzył się na nię badawczo, podszedł, dotknął włosów, przechylił głowę, znowu patrzał — wreszcie zawołał krótko: Chodź — i wprowadził ją do pracowni

Tam ją ustawił we właściwej pozie i świetle, i usiadł.



się naprzeciw, zaczął szkicować. Oczy jego przecho-
=dziły z niej na płótno, skupione, pochłonięte myś-
=lą. Po chwili zaczął pogwizdywać przez zęby polkę
z „Ptasznika".

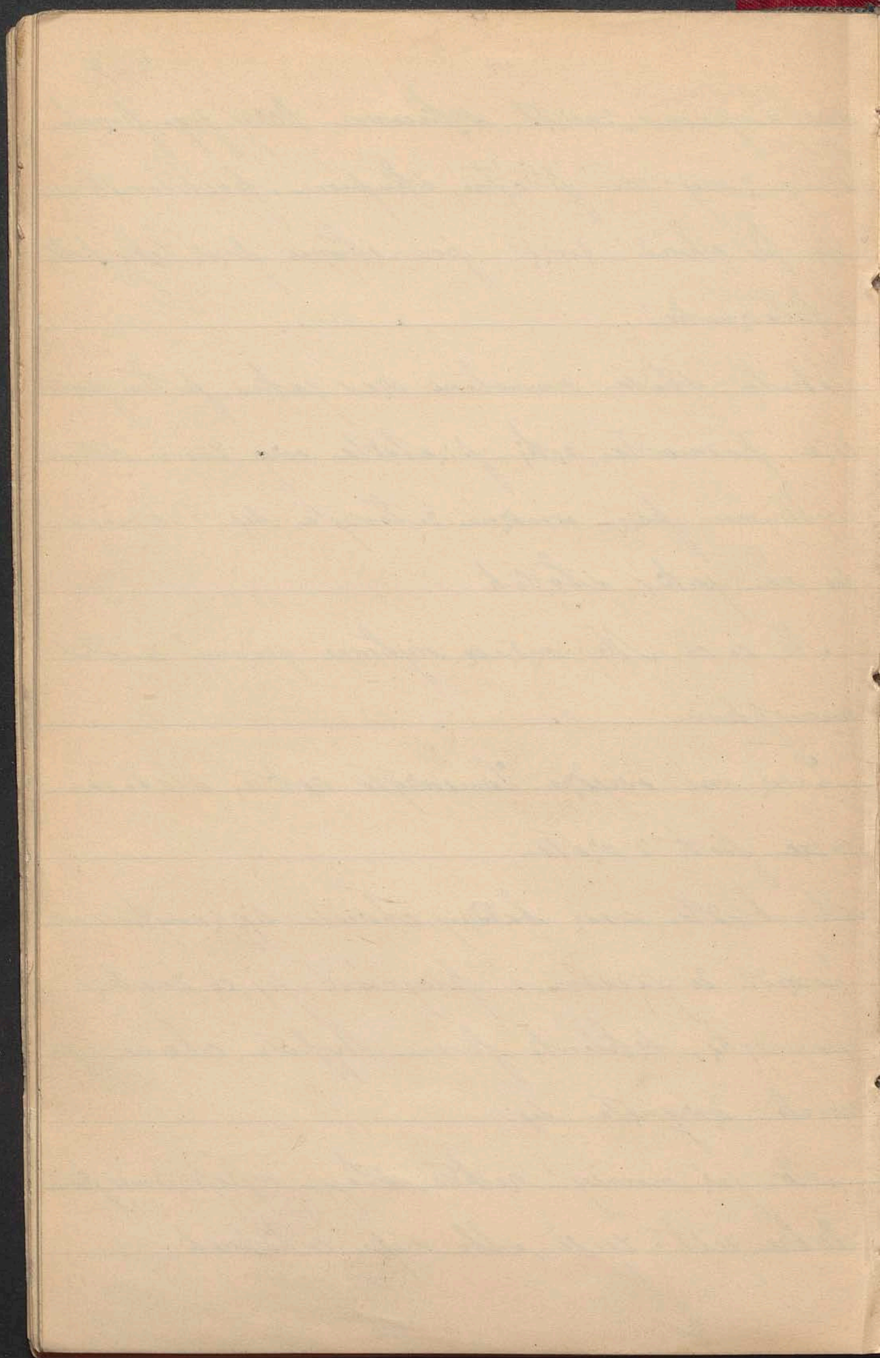
Kobieta stała nieruchomo czas jakiś, potem pocz[?]-
dzić, podniosła rękę - przetarła oczy - znowu starała
wytrzymać pozę - wreszcie zatoczyła się - i osunęła
~~się~~ na jakiś stołek.

— No, co ci. Nie możesz wytrwać godziny! zawołał
niecierpliwie.

— Zaraz mi odejdzie. Zamroczyło. rzekła słabo, ocie-
=rając pot z czoła.

Ale bladła coraz bardziej, chwiała się, zamykała oczy
poszedł do jadalni, i przyniósł jej, co znalazł
pod ręką, szklankę piwa. Wypiła chciwie, i po-
chwili dźwignęła się.

— No - już mocniej! rzekła, stając w poprzedniej pozie
Dobrze jest - zjeść, albo wypić cokolwiek.



— Możeś ty głodna?

— No, a co myślisz? zaśmiała się. Nie zarobiłam od wczoraj nic, to i nie jadłam. U nas tak.

— Jedzże! Dlaczegoś nie powiedziała!

— Eee — dotrwam i tak. Daj jeszcze piwa — będzie mi dość — jakbym zjadła, tobym w cieple wnet zasnęła. Ale jeśli mi dasz, co tam na stole zostało to zabiorę wychodząc do domu.

— Masz rodzinę?

Ruszyła milcząc ramionami tylko, i wypiła piwo.

Wziął się znowu do roboty, ale już nie gwizdał. Zacie-kawiła go, tą jakąś dziką zawziętością i skrytością. Prędko skończył szkic.

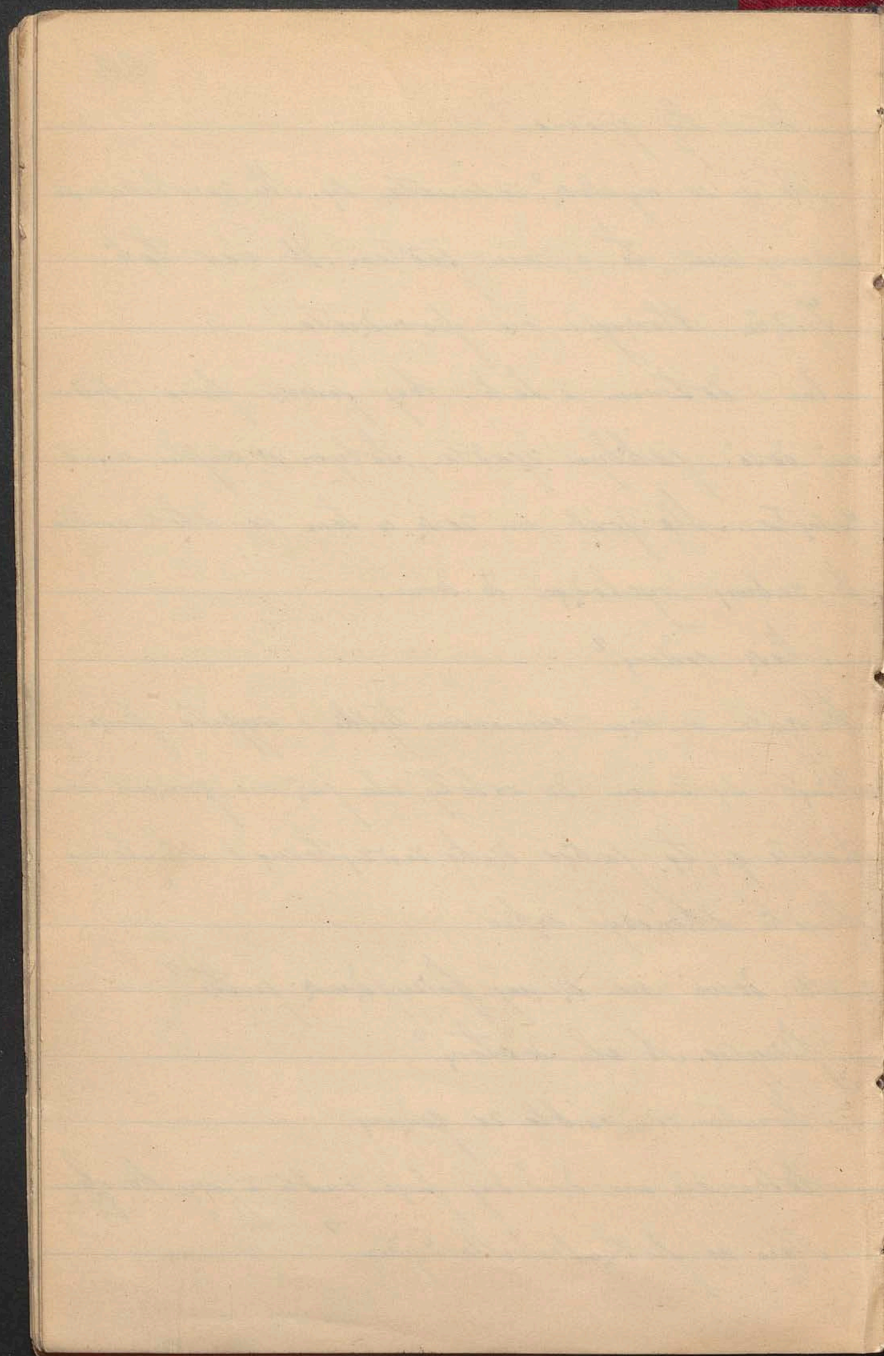
— No, dosyć na dzisiaj. Przyjdziesz jutro?

— Przyjdę. A ile dostanę?

— Mówiłem ci — rubla za godzinę.

— Dobrze, ale mi dziś daj pięć rubli z góry. Odrobię.

— Naco ci potrzebne? Na życie?



— Przesby tego życiem nie nazwać, ale tak się mówi.

— No, dam ci pięć rubli, ale mi daj swój adres, imię, i opowiedz jakie to masz życie.

— Bardzo proszę. Adres mogę dać fałszywy, a historyę zełgać, jak mi się podoba. Nikomu nic do mojej historyi, a adres to: Czerniakowska 52 – Józef Siwiec.

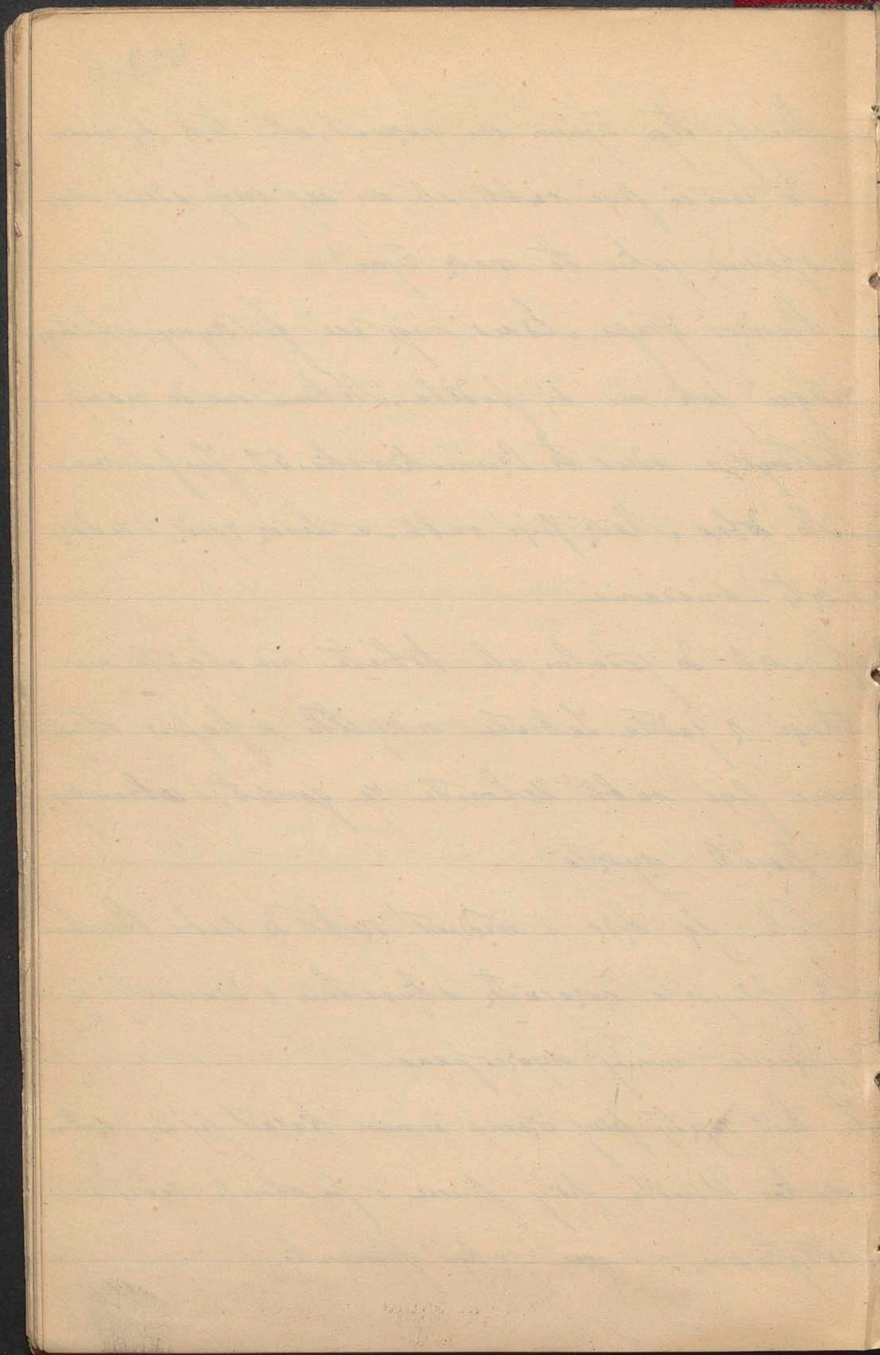
— No, dobrze. Masz pięć rubli – a teraz zjedz, i zabierz resztę śniadania.

Przeszli do jadalni, ale kobieta nie chciała nic tknąć z jadła. Zabrała wszystko w papier – otrzymane pięć rubli schowała za gorset, i ubrawszy się prędko wyszła.

— Tyle ją będę i widział! rzekł do siebie Brzechwa.

Ale przyszła nazajutrz akuratnie o dwunastej, i wyglądała mniej wyczerpana.

Że był zajęty przy czemś innem kazał jej się rozebrać i czekać. Usiadła przy piecu, i po chwili zaczęła półgłosem nucić jakąś piosenkę.



— Musiałaś dziś dobrze zjeść? zaśmiał się.

— Wyspałam się za całe dwa ruble.

— Jakto?

— Ano, dałam Józefowi, to sobie poszedł pić na całą noc, a ja już w domu nocowałam.

— No, a trzy ruble naco poszły?

— Długi popłaciłam

— I nic nie zostało?

— A nie. Dziś już trzeba iść na robotę.

Skuliła się przy piecu, i mruczała jakąś niewyraźną ~~roboty~~ melodyę, która zapewne była skoczna, ale w jej wykonaniu miała coś okropnie rozpacznego

— To z tym Józefem mieszkasz?

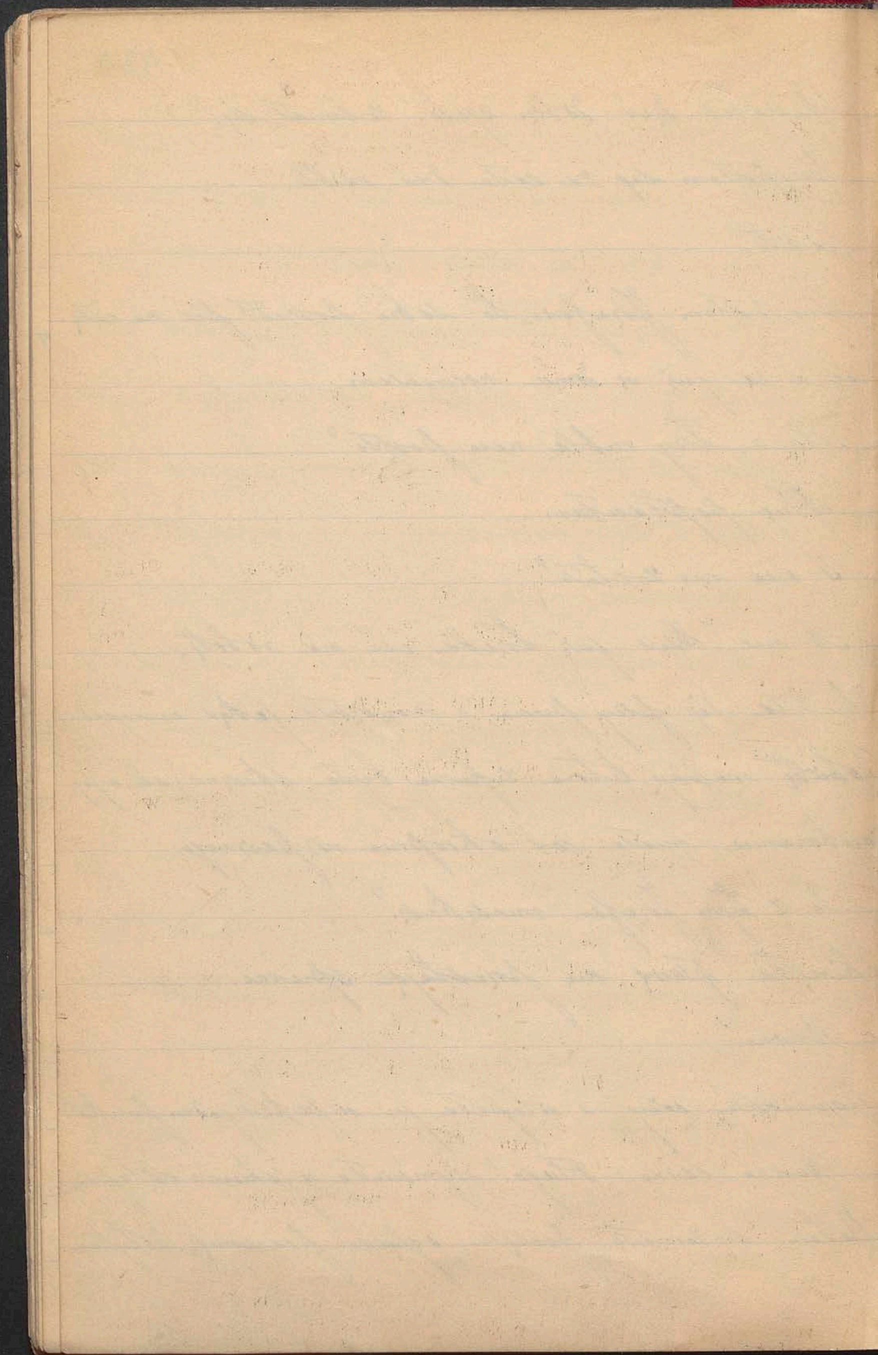
Skinęła głową, nie przestając śpiewać.

— Dawno?

Podniosła oczy i wlepiła je w jakiś jeden punkt.

— Dawno-dawno-długo! wymówiła w jakiemś osłupieniu.

Potem się zerwała, poczęła oglądać pracownię, dotykać



makat i sprzętów - spojrzała też na swój wczorajszy szkic i zaśmiała się.

— Oto i mój portret będzie na świecie, jak takich co jeżdżą na gumach i mają brylanty.

— No, a ty się nie spodziewasz zrobić karjery?

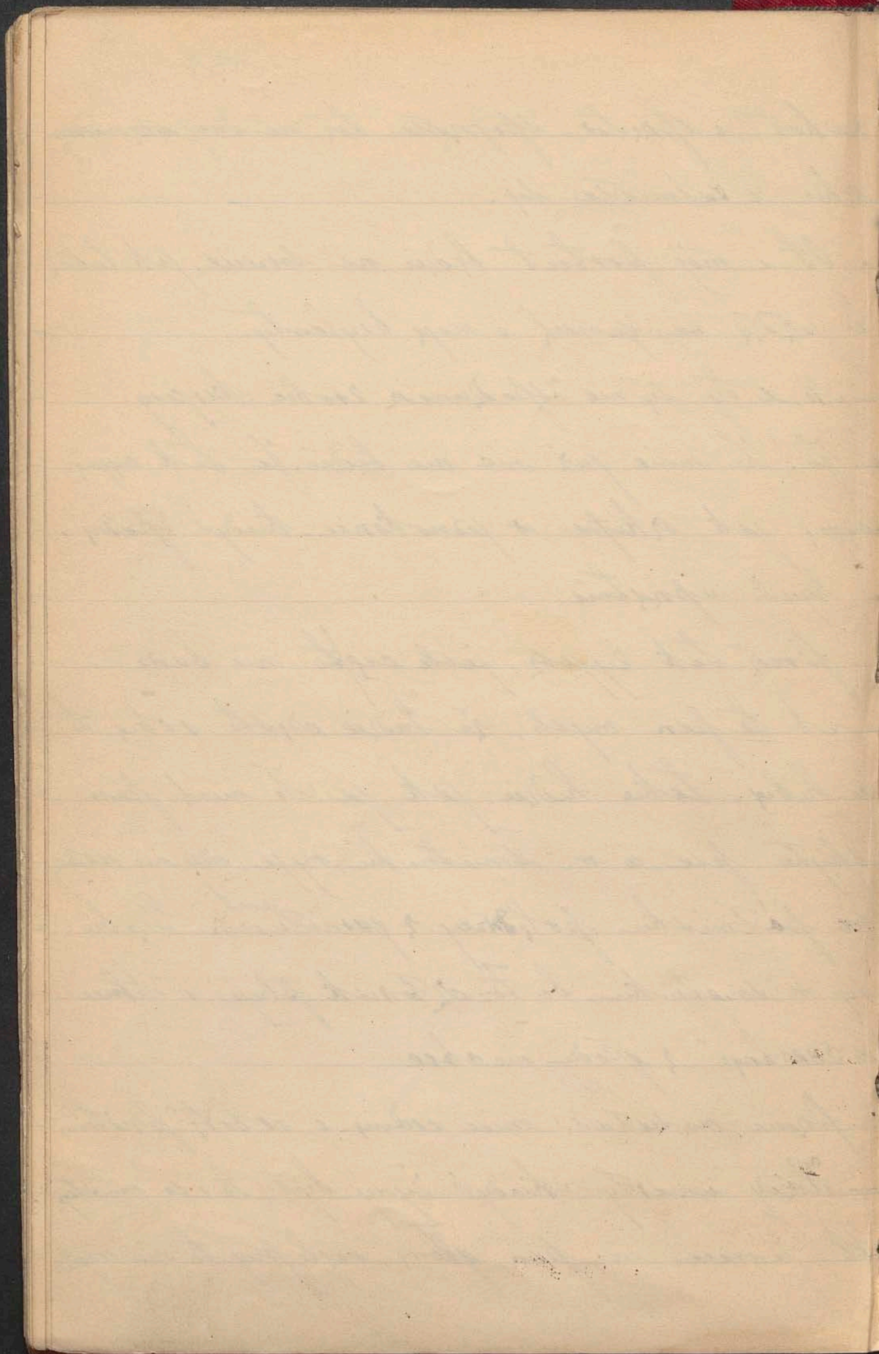
— Ja! Ze mnie już nic nie będzie. Ja tak ciągnę, ciągnę jak szkapa w jednokonce - kiedyś padnę - i hycel uprzątnie.

— Pocóż tak żyjesz, jeśli cię to nie bawi.

— A to pan myśli, że ludzie często robią, to co lubią - takie ludzie, jak ja. To niech pan spyta psa, co w śmietniku ryje - czy nie wolałby na półmisku polędwicy z garniturem. Grzebie się w śmietniku - bo to - człowiek pluje i klnie a zdechnąć z głodu nie chce.

— Przecie musiałaś mieć rodzinę i robotę przedtem.

— Każdy umarły kiedyś żywy był - to i co mu z tego. Ot - zawraca mi pan głowę - najlepiej to nie myśleć



bo i co to pomoże. Co było - to się nie wróci, co jest - to i bez myślenia pamiętne - a co będzie - to ochoty nie doda, żeby nad tem rozmyślać. Żeby człowiek mógł być ciągle pijany, albo ciągle spać! Czy pan mi dziś każe pozować?

— Źle ci tak siedzieć?

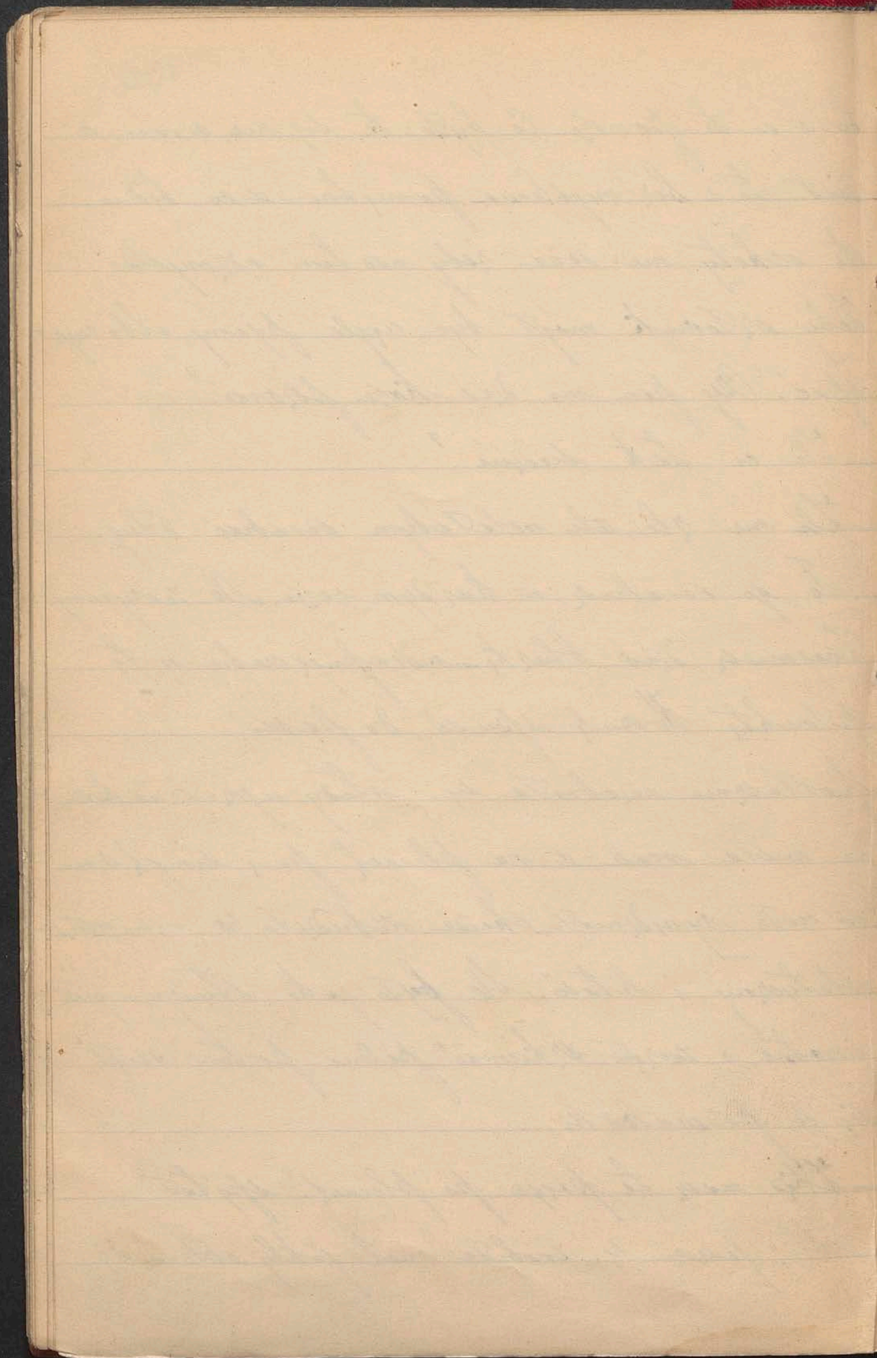
— Źle nie źle, ale wolałabym odrabiać dług.

— To go odrabiesz w każdym razie. No - zaczynamy. Zdejmiesz dziś bluzkę - udrapuję ciebie w tę płachtę. Koszulę spuść do pasa.

Posłusznie rozebrała się - wtedy ujrzał, że koszuli nie miała wcale, a na plecach parę sinych szram. To ciało wynędzniałe, chude wzbudziło w nim wstręt estetyczny, i litość. Ale było jako studyum ...sumienne, i zaczął szkicować pilnie - potem wziął się do podmalówki.

— Skąd masz te pręgi po plecach? spytał.

— Ali, jeszcze są! zrobiła ruch jakby osłonić się



chwiała, ale machnęła ręką i zaśmiała się

— Zamaluj ją pan na zielono.

— A koszulę też zamalować na zielono?

Zaśmiał się i on.

— Śmieszna ja, prawda? Bo to mój ojciec był murzyn a matka biała – z tego ja jestem w paski – i koszuli nie potrzebuję – bo w Afryce ciepło.

— No i zapewne z tej racji murzyńskiego pochodzenia jesteś czyjąś niewolnicą.

— A jakże – tak wypada.

Spojrzał jej w oczy badawczo. Bezdenna, czarna, ponura była głąb tych źrenic.

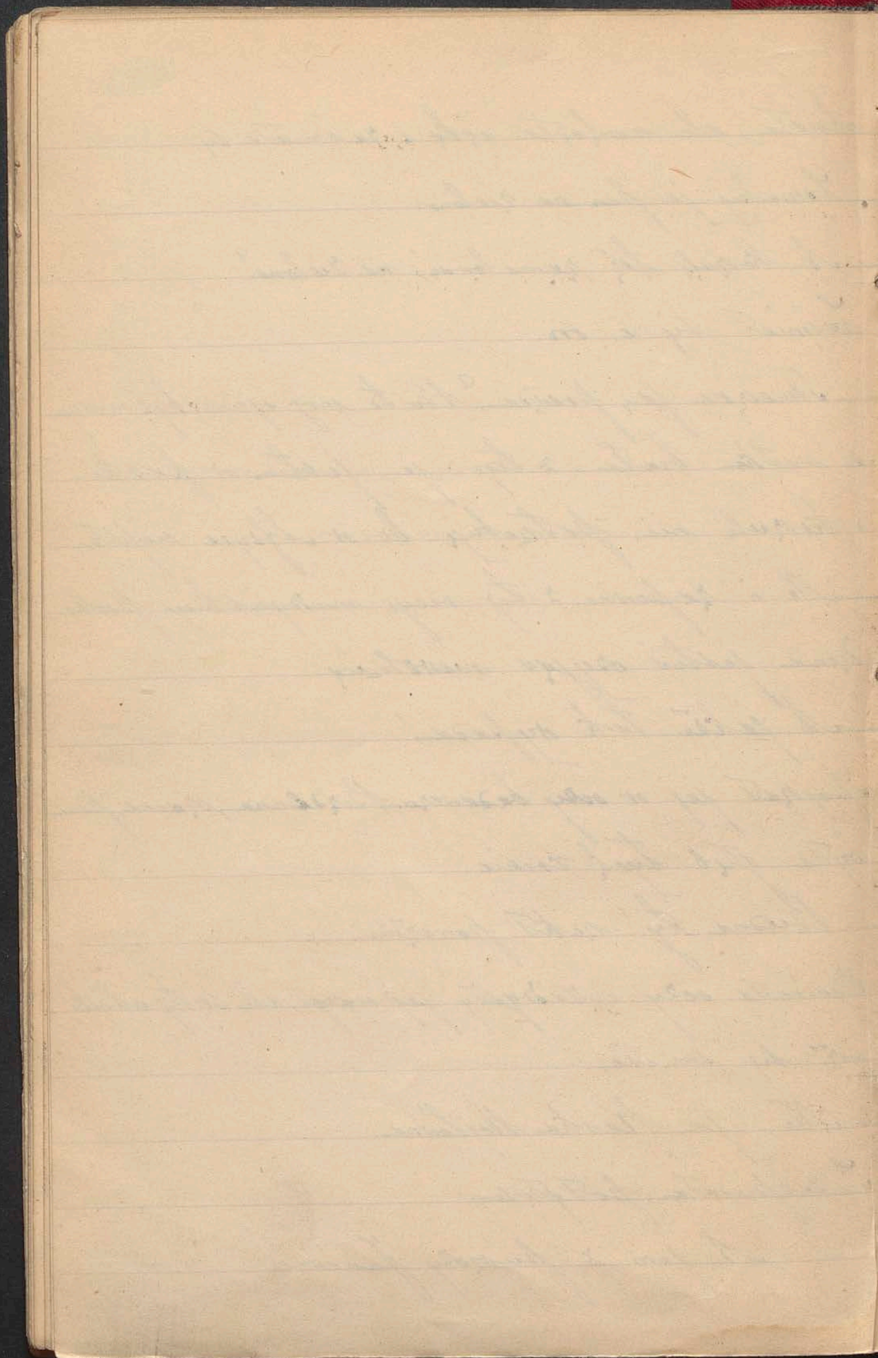
— Biedna ty – rzekł poważnie.

Odwróciła oczy. i zadrgały jej wargi, ale w tej chwili już się śmiała

— Nie – ja Kaśka Wójtówna.

I zaśpiewała półgłosem:

A jam z puszczy Janówna



A do tego Wójtówna

— Coto za piosnka?

— Ot - taka chłopska. Stróżka jedna mnie nauczyła

Wesoła ona? Co?

— Bardzo - tak jak i ty wesoła dziewczyna!

— Co też ludzie wszystkie do mnie się uwzięli!

Śmieję się i śpiewam - a każdy mi dogaduje, żem

nie wesoła. Licho wie, jak wam dogodzić!

Taką już mam gębę nieszczęśliwą! Przecie

i mało zarabiam - nie dogodzić ludziom.

— Nie oszukać ludzi! poprawił ją Mucha. Umiesz

ty cokolwiek - szyć, prać, prasować, cerować?

— Aha, pan mi chce niby dopomóc. Ci - próżne

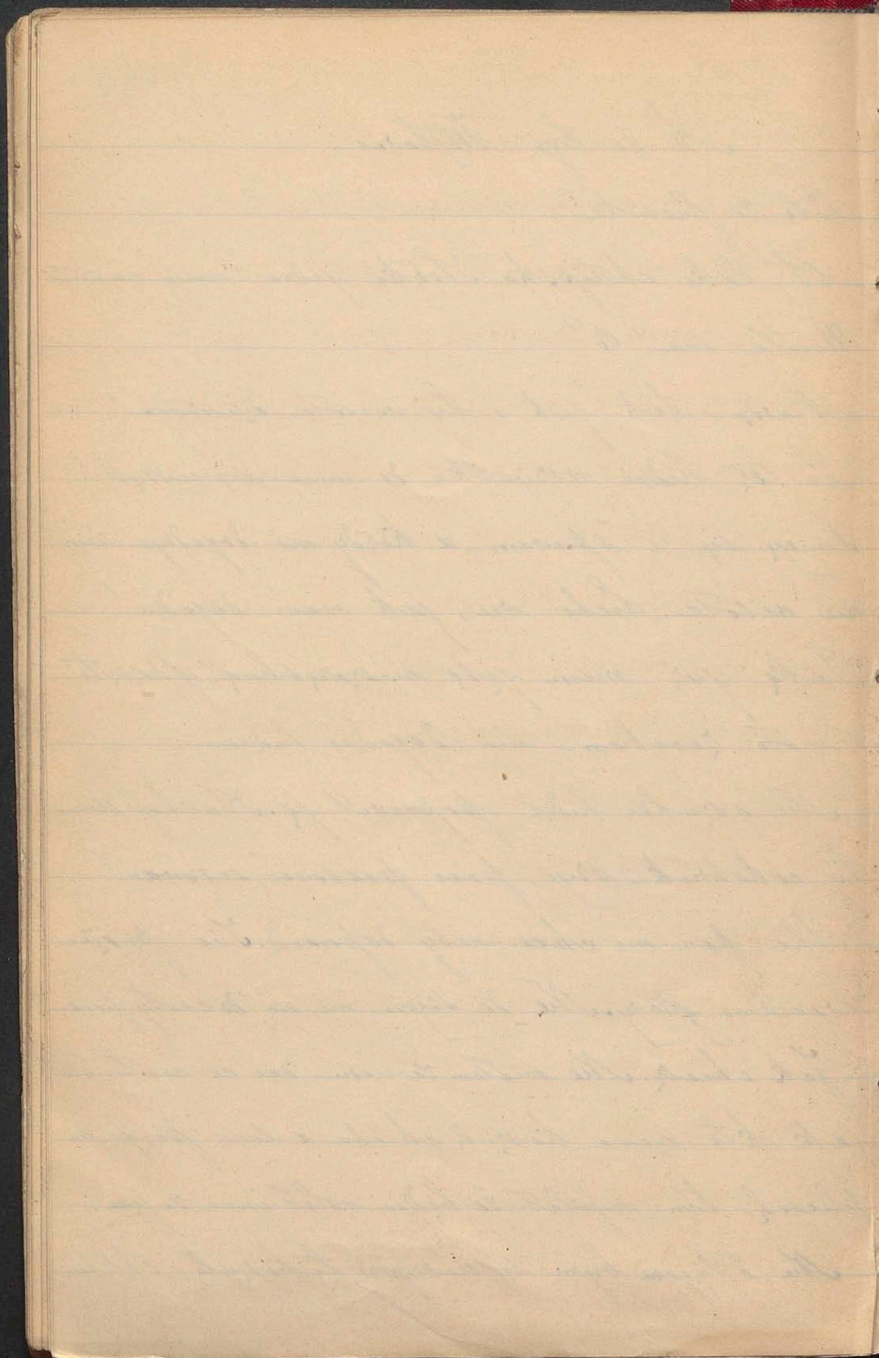
zawracanie głowy. Nie do szycia mi, ni do cnoty pora

— Jak chcesz. Nie miałem zamiaru dać ci cnoty, ale

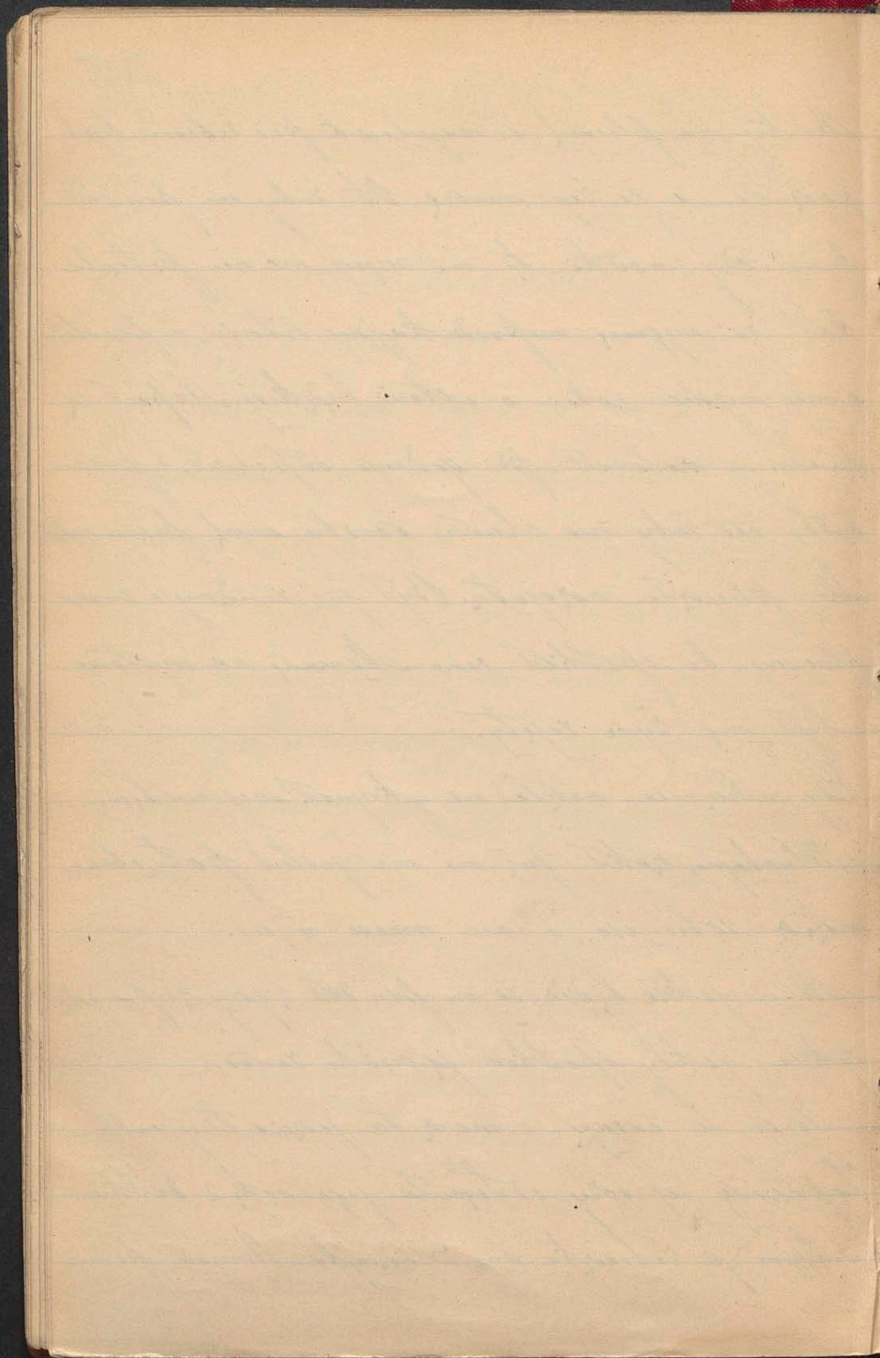
jak kto nie ma koszuli, chleba, a sine pręgi po

plecach - tom myślał, że będzie wolał inne zajęcie.

— Nie długom bym się cieszyła tą koszulą i chlebem



Nie kij na plecach, a majcherek pod żebrami bym poczuła - a ja żyć muszę. Oh, żeby mi pan dał piwa czy wódki - to mi więcej nic nie potrzeba.
Dał za wygraną nieprzeniknionej ktosi, i przestał o niej myśleć jako o istocie ludzkiej. Napoił ją piwem i malował - po godzinie odprawił, i prawie byłby rad, żeby nie chciała odrobić owych pięciu rubli.
Ale przyszła nazajutrz. Był już znudzony i zniecierpliwiony - bo spotkał rano Manię na wystawie i był nią żywo zajęty.
Gdy ulicznica weszła, nie ukrywał swej niechęci.
— Słuchajno, rzekł - już mi nie jesteś potrzebna - możesz sobie iść, i nie wracać więcej.
— No, a jakże będzie - że mi pan dał z góry za pięć godzin, rzekła, jakby spotkał ją ciężki zawód.
— To ci je daruję - i masz tu jeszcze trzy ruble.
Zapłonęły jej oczy, odtrąciła jego rękę z datkiem
— Anim ja żebraczka, ani złodziejka. Winnam panie



trzy ruble, to je odniosę. No pewnie, moje ciało nie na model dla malarza, to pan mnie brakuje. Dziękuję i żegnam. Tak tu czysto, cicho i ciepło - to wiadomo, że nie dla mnie.

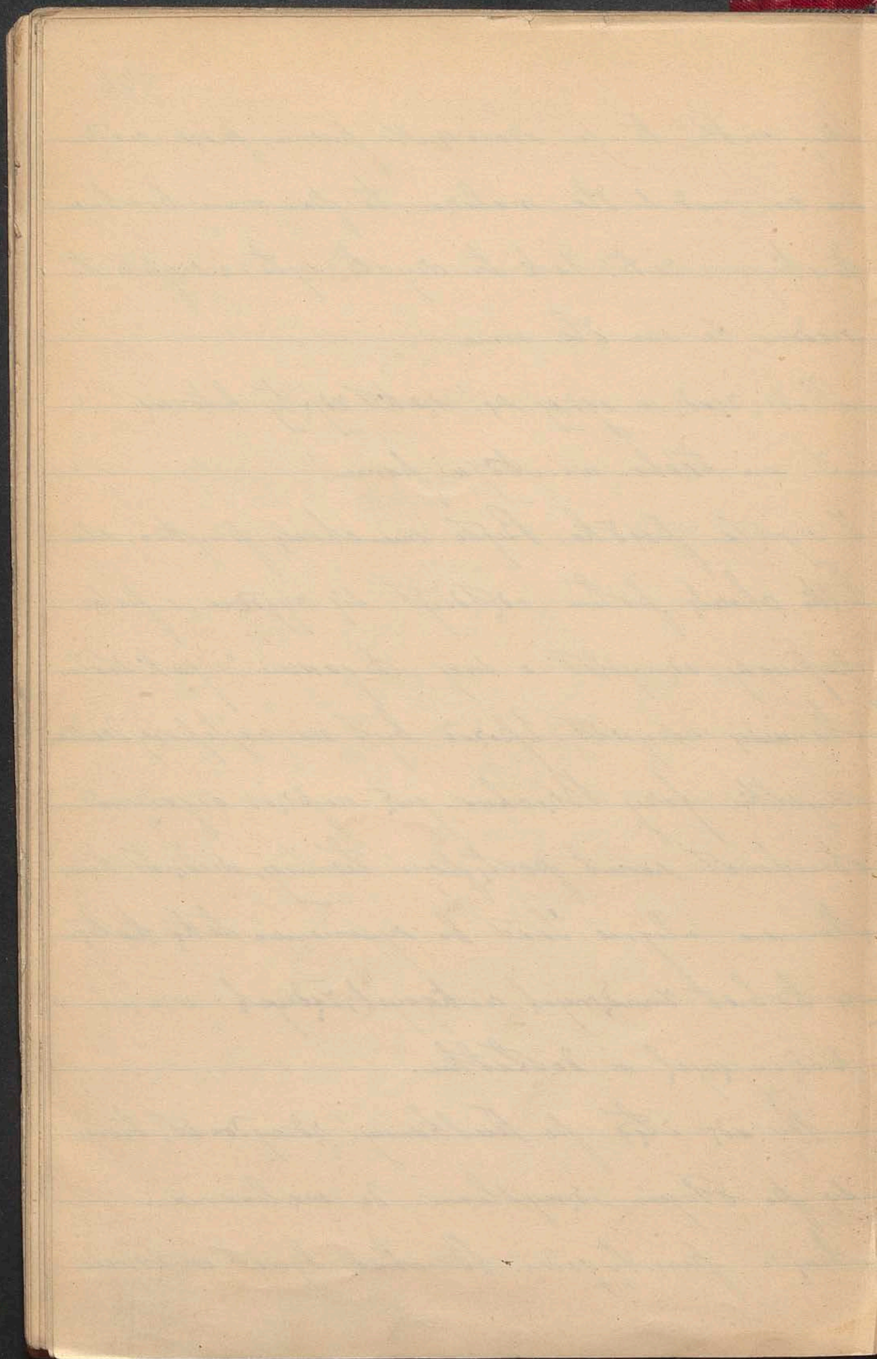
— Chodź, zjedz i ogrzej się! rzekł zdjęty litością.

— I nie trzeba mi. Adieu, panie!

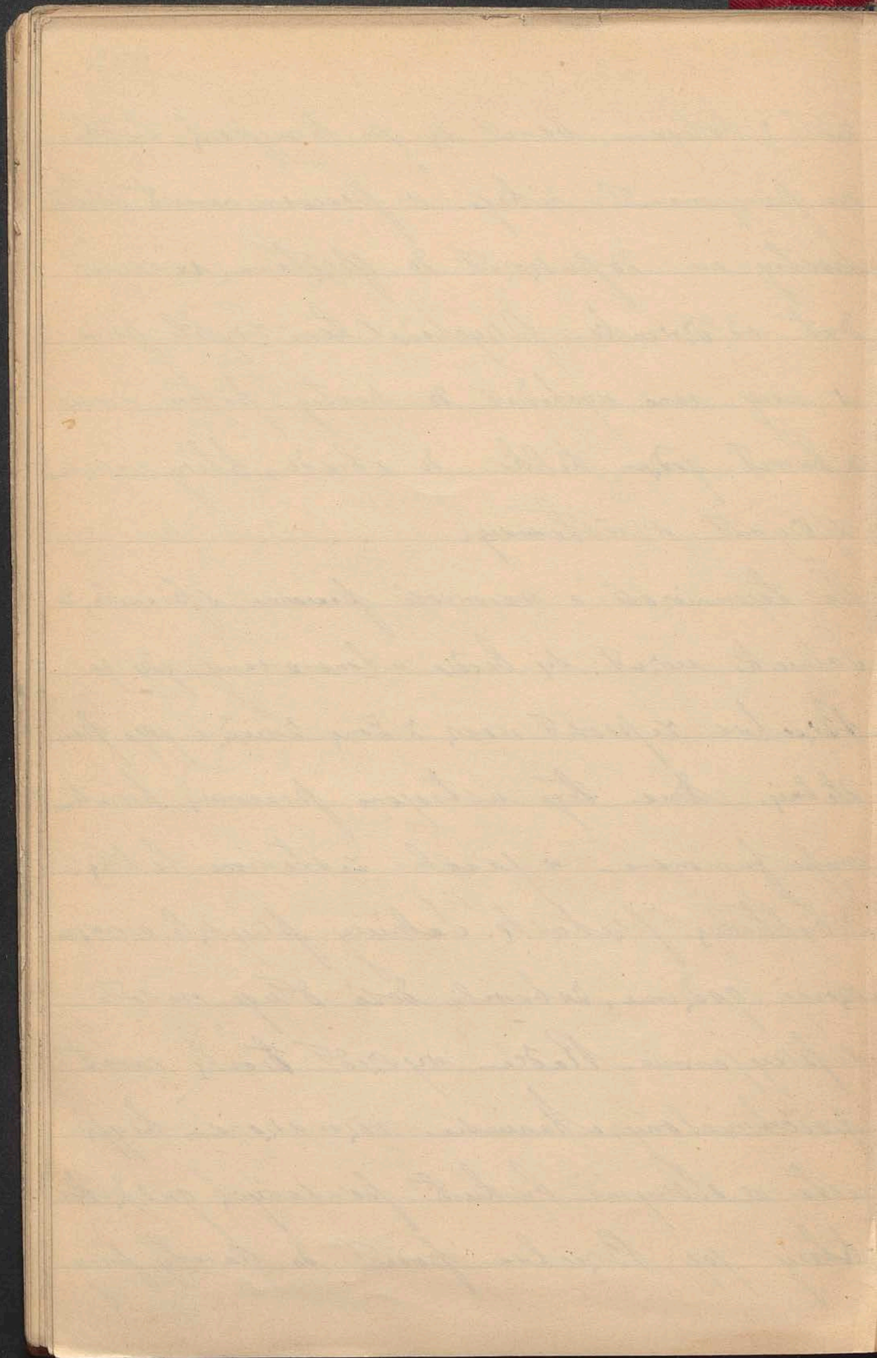
I wyszła prędko. Było mu chwilę przykro, ale tylko chwilę, potem rozsiadł się wygodnie, i paląc papierosy rozmyślał o swej „Dogaresie" jak stale Manusię nazywał. Epizod był na najlepszej drodze, wszystkie fazy Brzechwa już naprzód odgadywał, obrachował nawet postępowe terminy, wiedział kiedy Manusia ulegnie. Znał bo wyśmienicie tą kategoryję kobiet znudzonych, ciekawych, żądnych wrażeń, próżnujących w dostatku.

— Wyjadę stąd po Wielkanocy! zdecydował, biorąc się po długiem rozmyślaniu do malowania.

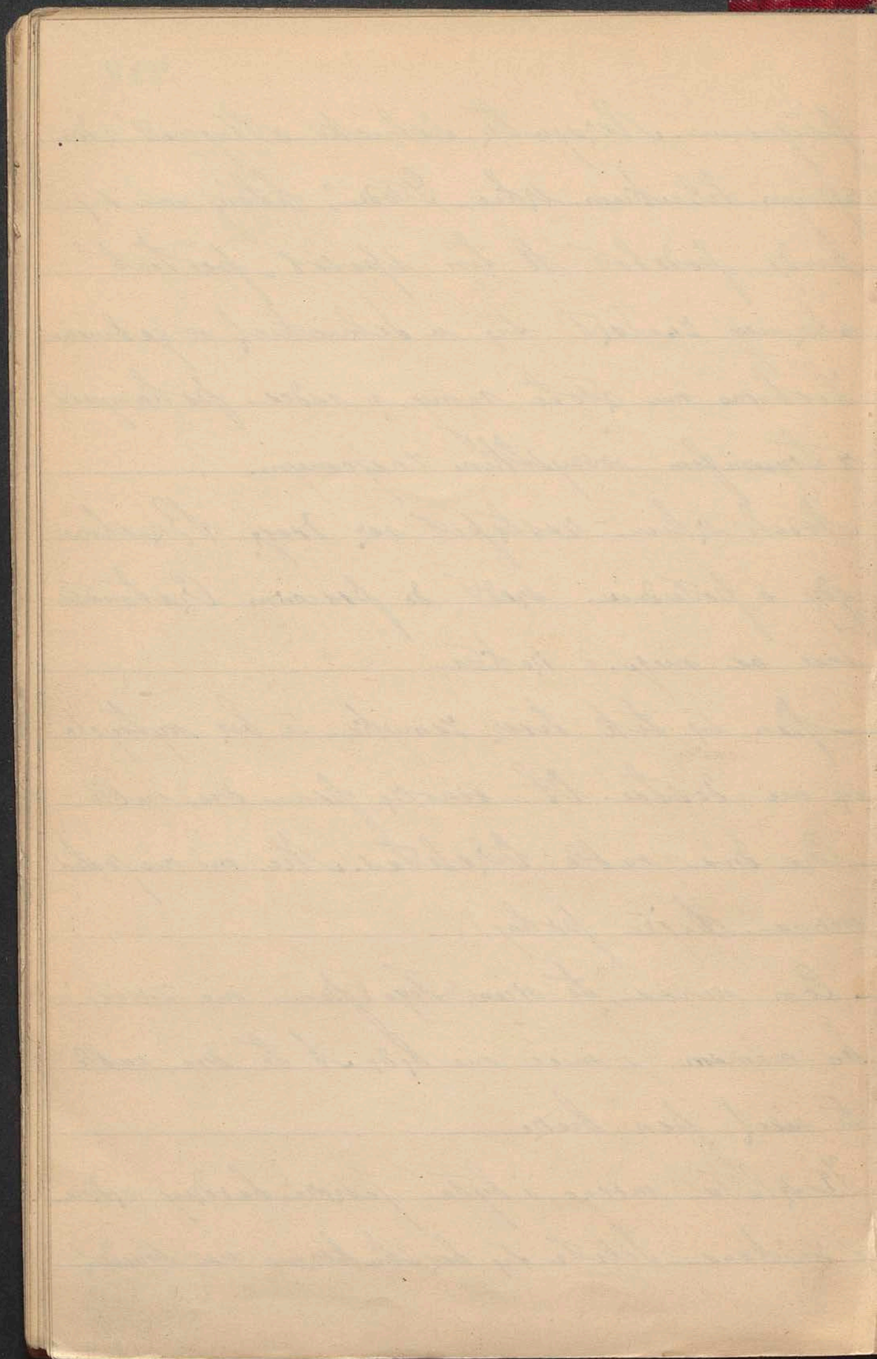
Minęło parę tygodni. Brzechwa bywał w świecie,



żył z kolegami, bawił się po knajpach, tylko nie przyjmował nikogo w pracowni, nawet starszy siostry nie dopuszczał do sprzątania, aż zerwał drut od dzwonka. Przychodził tam zwykle późno w nocy - rano wychodził do siostry - potem wracał i bawił godzin kilka - do obiadu, który najczęściej spożywał w restauracji.
Ta tajemniczość i wabność pracowni sprawiło, że Salnicki uczuł się bardzo uhonorowany, gdy go Brzechwa zaprosił wraz z żoną zwiedzić jego pa=stelnej. Dnia tego ustrojono pracownię kwiatami wyperfumowano - w jadalni zastawiono lekką wybytkowną przekąskę. Salniccy przyszli o naz=naczonej godzinie, zabawili dość długo, wesoło i przyjemnie. Radca wyszedł trochę nawet podchmielony, Maniusia rozmarzona, kryjąc usta w olbrzymi bukiet ponsowych goździków który jej Brzechwa podał do karety, przy



pożegnanie. Naczelnik Salnicki otrzymał z dow-
-cipnym bilecikiem szkic „Stodoły", który mu się
bardzo podobał. W ten sposób „portret"
ulicznicy znalazł się u Salnickich w gabinecie.
Zrobiono mu złote ramy, i radca pokazywał
z tryumfem wszystkim znajomym.
Model szkicu zastąpił raz drogę Rzechowie
gdy o południu szedł do pracowni. Czatowała
tuż na niego, i rzekła
— Pan się tak teraz zamyka, że bez wytrycha
się nie dostać. Oto — odnoszę panu dwa ruble.
— Cóż dwa ruble. Oszalałaś. Nic mi nie jesteś
winna. Dajże pokój.
— Com winna, to wiem. Tego panu nie zwrócę,
bo niemam i mieć nie będę. A te dwa ruble
to niech pan bierze.
Kaszlała mocno, i była jeszcze bardziej nędzna
i znękana. Siliła się bezskutecznie na śmiech.



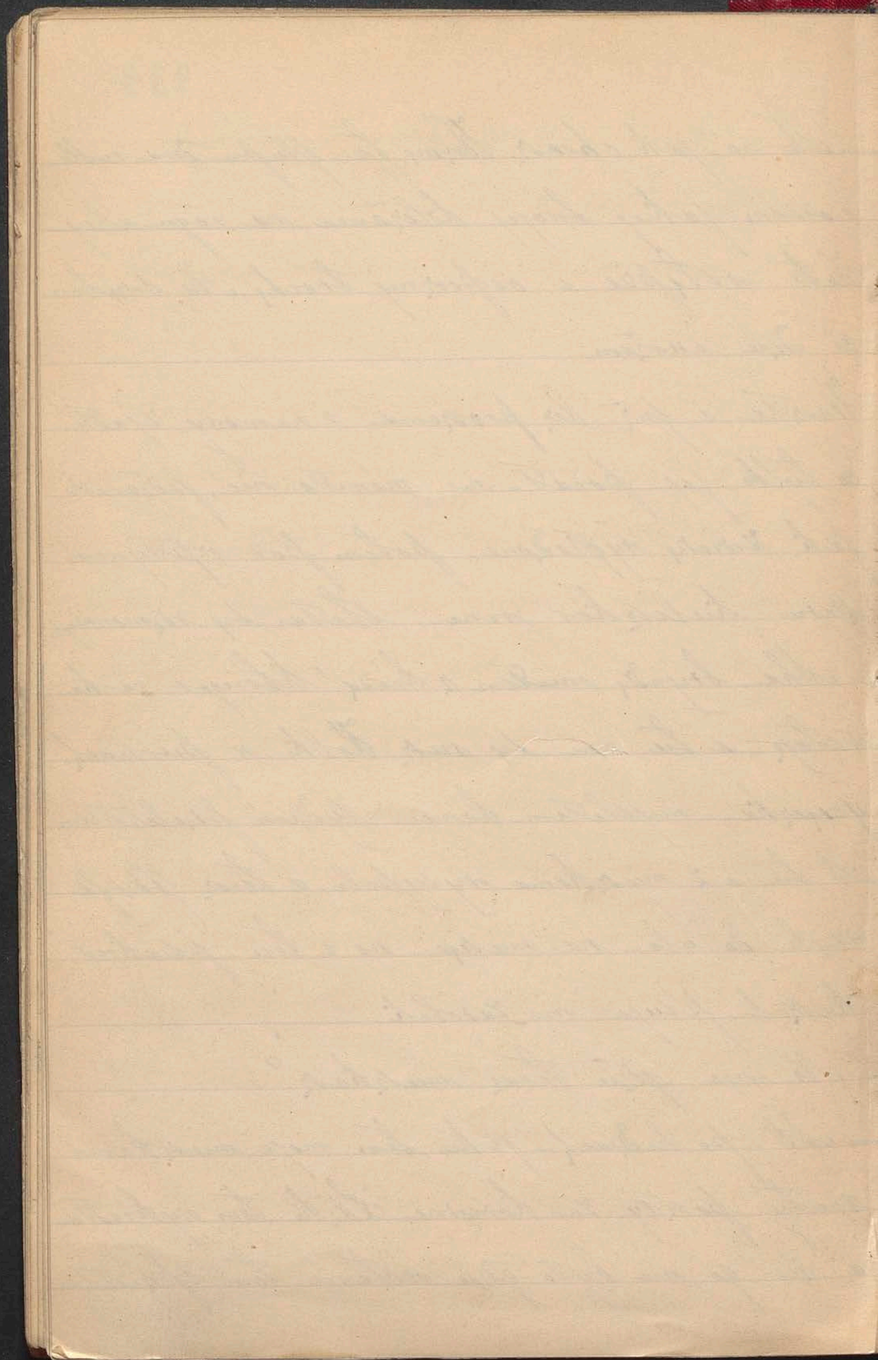
— No, no — jak chcesz. Wezmę te głupie dwa ruble — i oddam jakiej twojej koleżance na rogu ulicy. Zato wstąpże — i odpocznij trochę. Nie świetnie ci idzie — uważam.

Weszła, i już bez proszenia i namowy zjadła co tylko jej podał — nie mówiła nic, pożerała jak zwierzę wygłodzone — potem pod wpływem paru kieliszków wina, stała się rozmowniejszą.

— Aha — bryndzę miałam z kredą! Któregoś ranka wstaję — a tu ani się ruszę. Kolki w piersiach, gorączka — myślałam — koniec. Tydzień przeleżałam. A tu i z mieszkania wysypali, a teraz Józefa wzięli do ula na miesiąc — no i ten, psiakrew kaszel — psuje mi zarobek.

— No, więc gdzie teraz mieszkasz?

— Ot — po ludziach — jakie tam moje mieszkanie — graty poszły za komorne. Łóżko tom wykradła — a że go nie było gdzie wstawić tom sprzedała.



Śpimy na ziemi – u jednej znajomej.

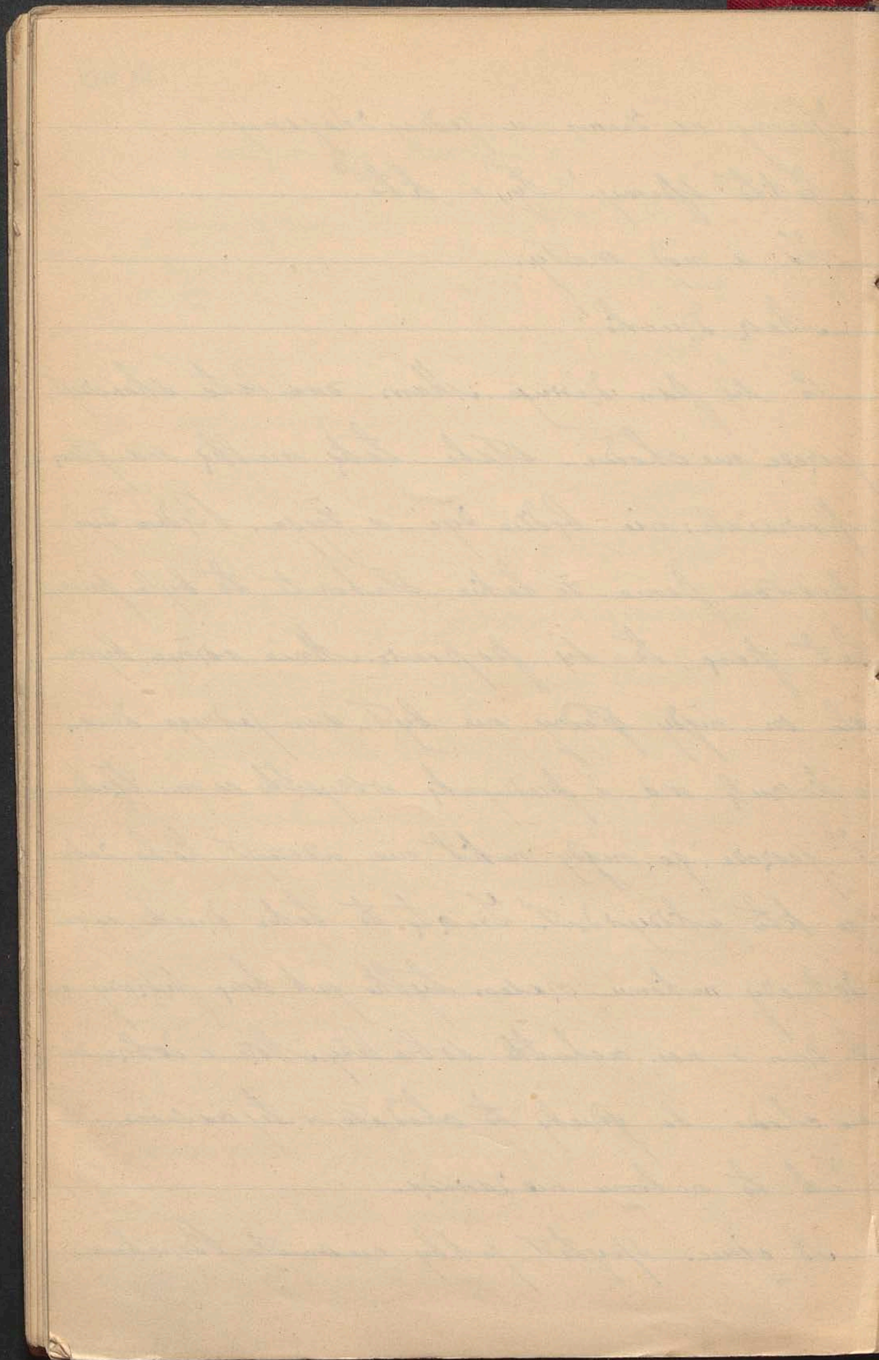
– Jakto śpimy? Ty, i kto?

– Ja, i mój mały.

– Masz dziecko!

– Co się pan dziwuje. Mam – dwa lata skończył – jeszcze nie chodzi – słabe – taką wielką ma głowę. Powiadali: nie będzie żyć – a żyje. Będzie żyć – prawda, panie – że takie słabowite, to byle przeżył lat parę, to się poprawi. Mnie różnie bywa – ale on nigdy głodny nie był – ani jednego dnia, i koszulę ma i pierzynkę – wszystko co mu trzeba. I jeszcze go nigdy nikt nie uderzył – ho-ho – żeby go kto ukrzywdził. Zresztą to takie dziecko, co nie dokuczy nikomu – czasem tylko jak kocię piszczy – a to dzień i noc cichutko sobie leży. Może i dobrze, że nie chodzi – bo gdzieby to chodziło w tej ciasnocie. Tak – to nikomu nie zawadza.

– A ojciec? spytał jakby nieśmiało Brzechwa.



Kobieta nagle umilkła. Oczy jej — prawie jasne gdy mówiła o dziecku — zaszły jakby czarną chmurą. utkwiła je w próżnię — nieruchomo, przez długą chwilę. Zerwała się nić zwierzeń i szczerości — odpowiedziała krótko, z pogardliwem rzuceniem ramion

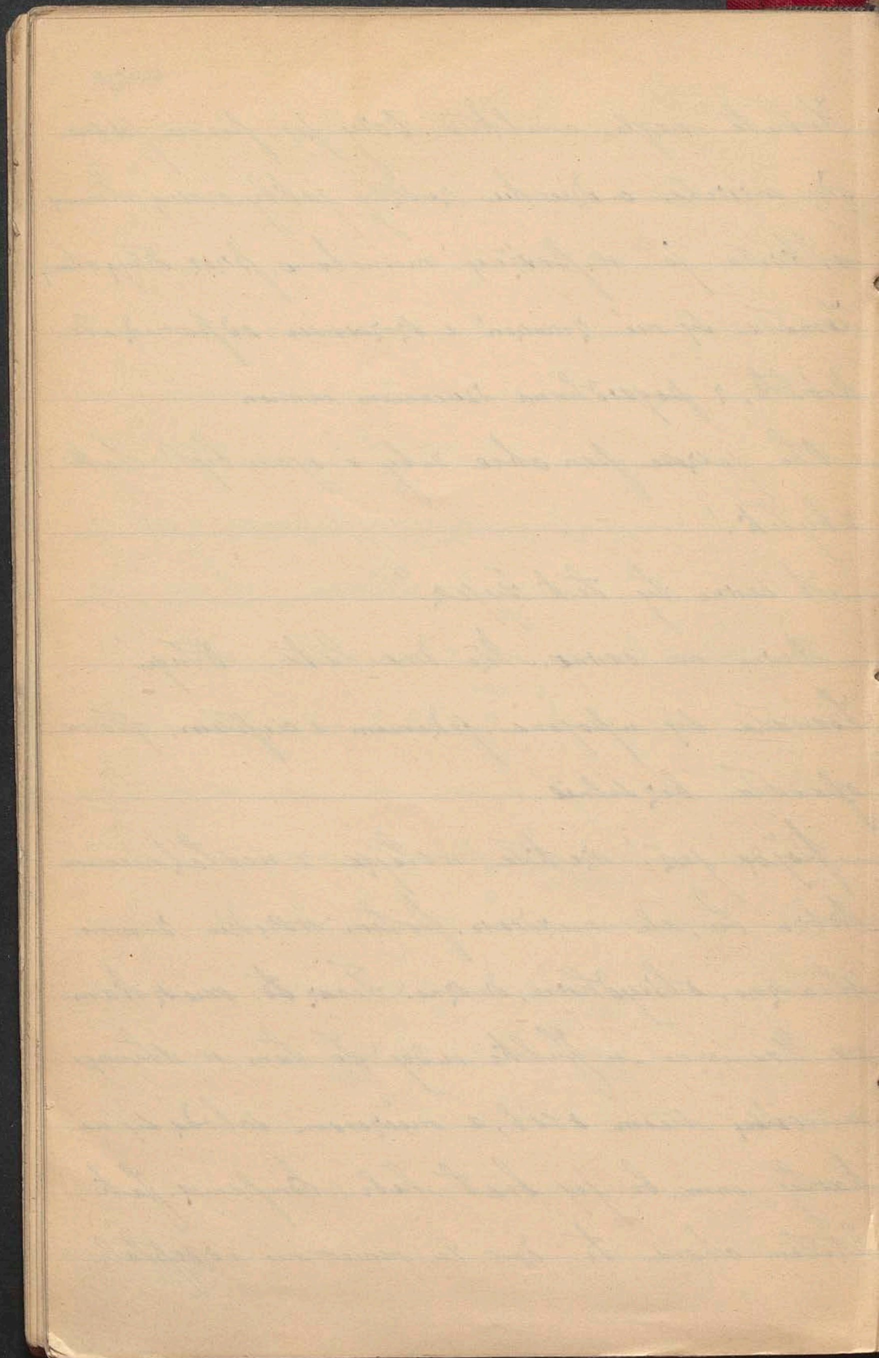
— Oho — jeszcze pan chce żeby i ojciec był! Taki zbytek!

— A dawno tak żyjesz?

— Dawno — nie dawno. Może dwa lata. Długo!

Zdawała się upojona jęczeniem i ciepłem, głowa opadała bezsilnie.

— Pójdę już! rzekła, wstając z westchnieniem. Dobrze tu, ale niezdrowo. Potem wszędzie zimno, straszno, obrzydliwie, duszno. Teraz to mieszkam na Granicznej, u Julki rudej. To tam w stancyi mieszka siedem osób, a wieczorami schodzą się na karty inni, bo jej brat lubi kompanię. Jak leżałam chora to dziw, że mnie nie rozdeptali.



— Zostań i zaśnij na otomanie.

— Eee — pan żartuje.

— Wcale. Idę malować. Zbudzę cię — jak będę wychodził.

— Pan, dalibóg, dziwny człowiek. Nie boi się pan że ja co ściągnę i drapnę.

— Co prawda nie pomyślałem o tem.

— Czy tu do pana przychodzą kobiety?

— Przecie i ty jesteś.

— Ho, ho! Do pana to pewnie przychodzi — jedna. To ci musi być pierwsza klasa.

— Nie, żadna nie przychodzi — żadnej nie chcę.

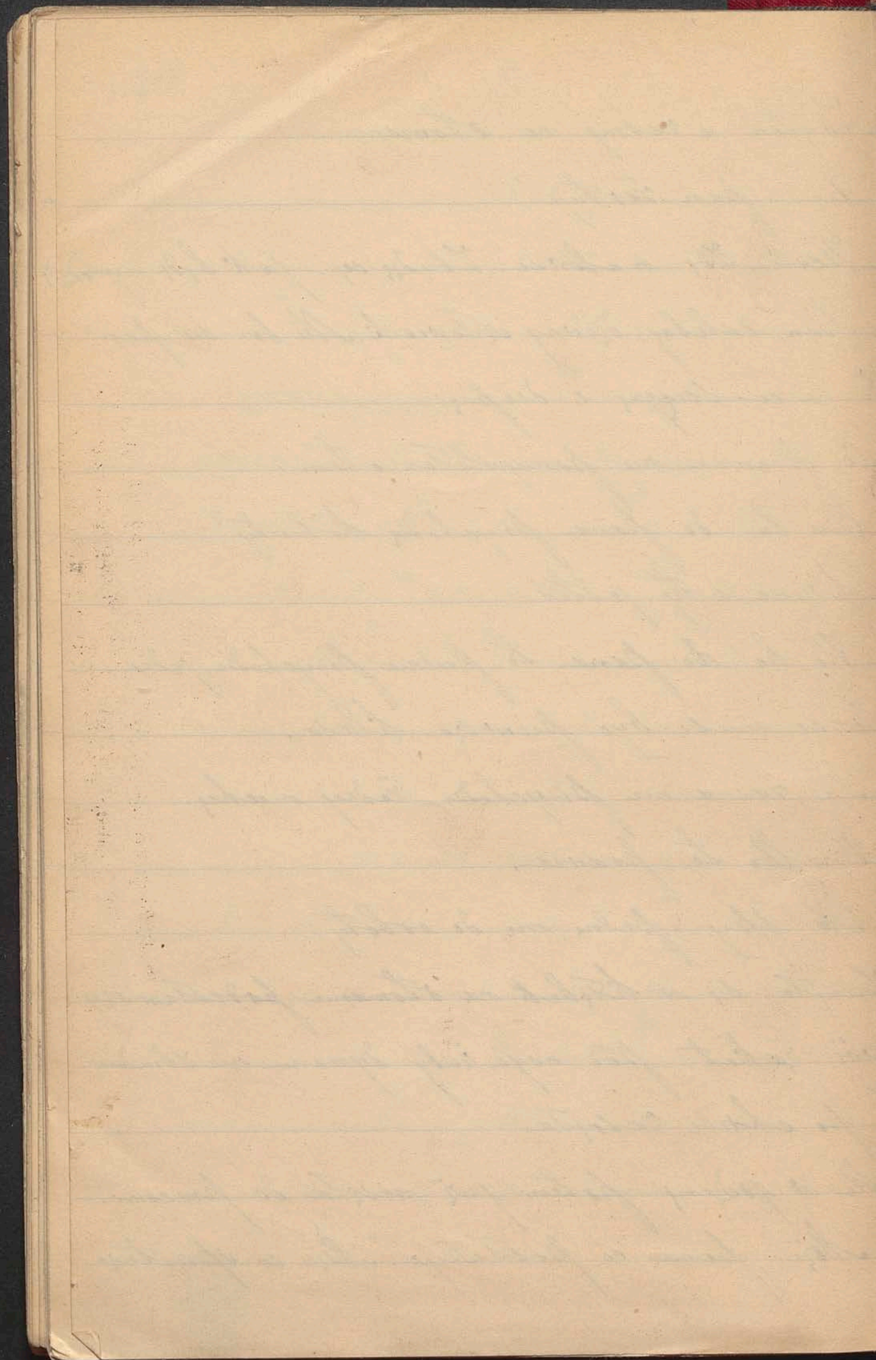
— O, albo to prawda.

— No, śpij — pilno mi do roboty.

Zwinęła się w kłębek na otomanie, podesławszy swój żakiet pod nogi, żeby dywanu nie zbrudzić i po chwili zasnęła.

Ale w godzinę potem już weszła do pracowni.

— Może panu co posłużyć? Może co sprzątnąć.



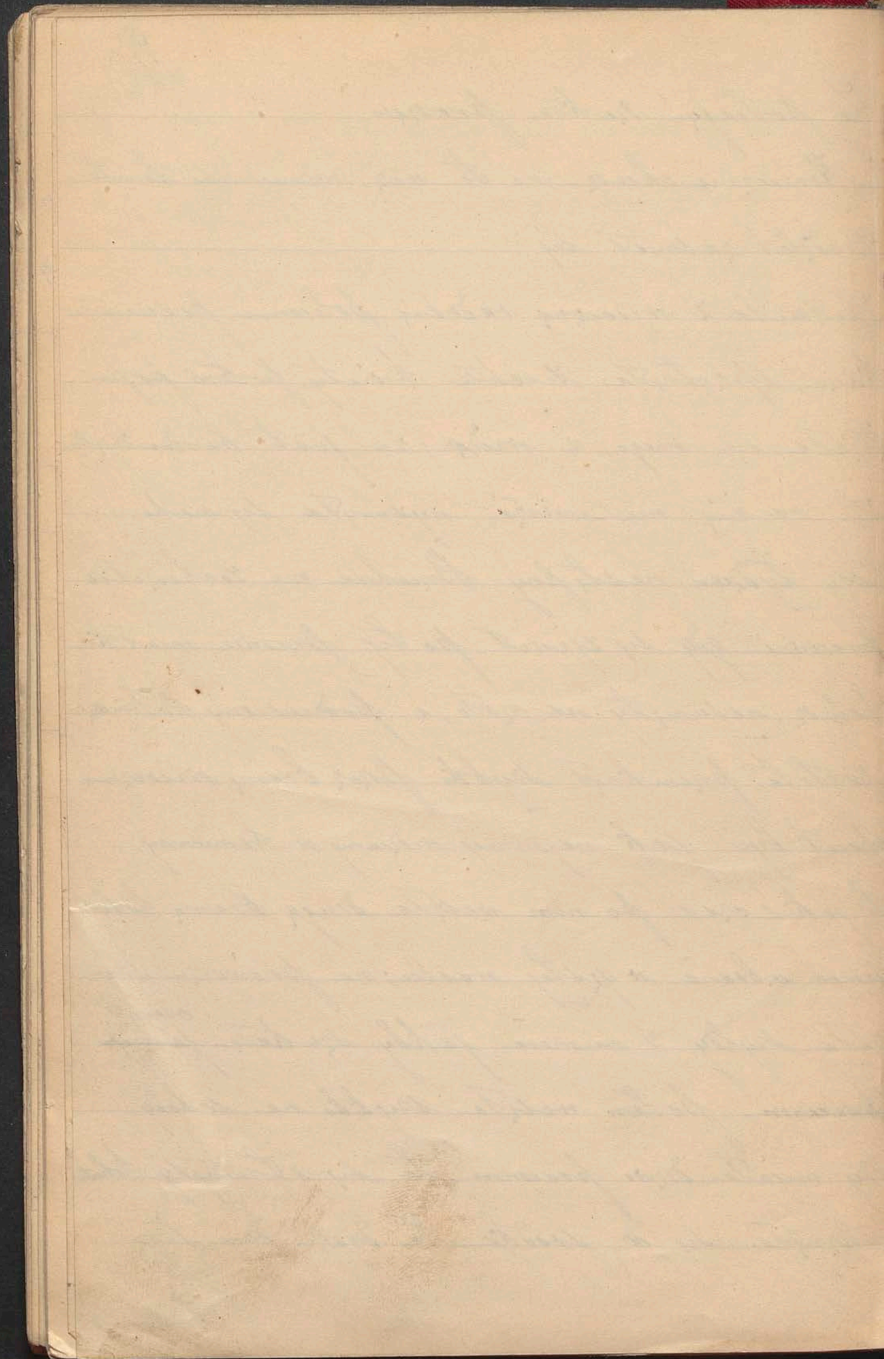
Ja potrafię - rzekła prosząco.

— Koniecznie chcesz - no to weź, wymyj mi tamte pendzle - zaśmiał się

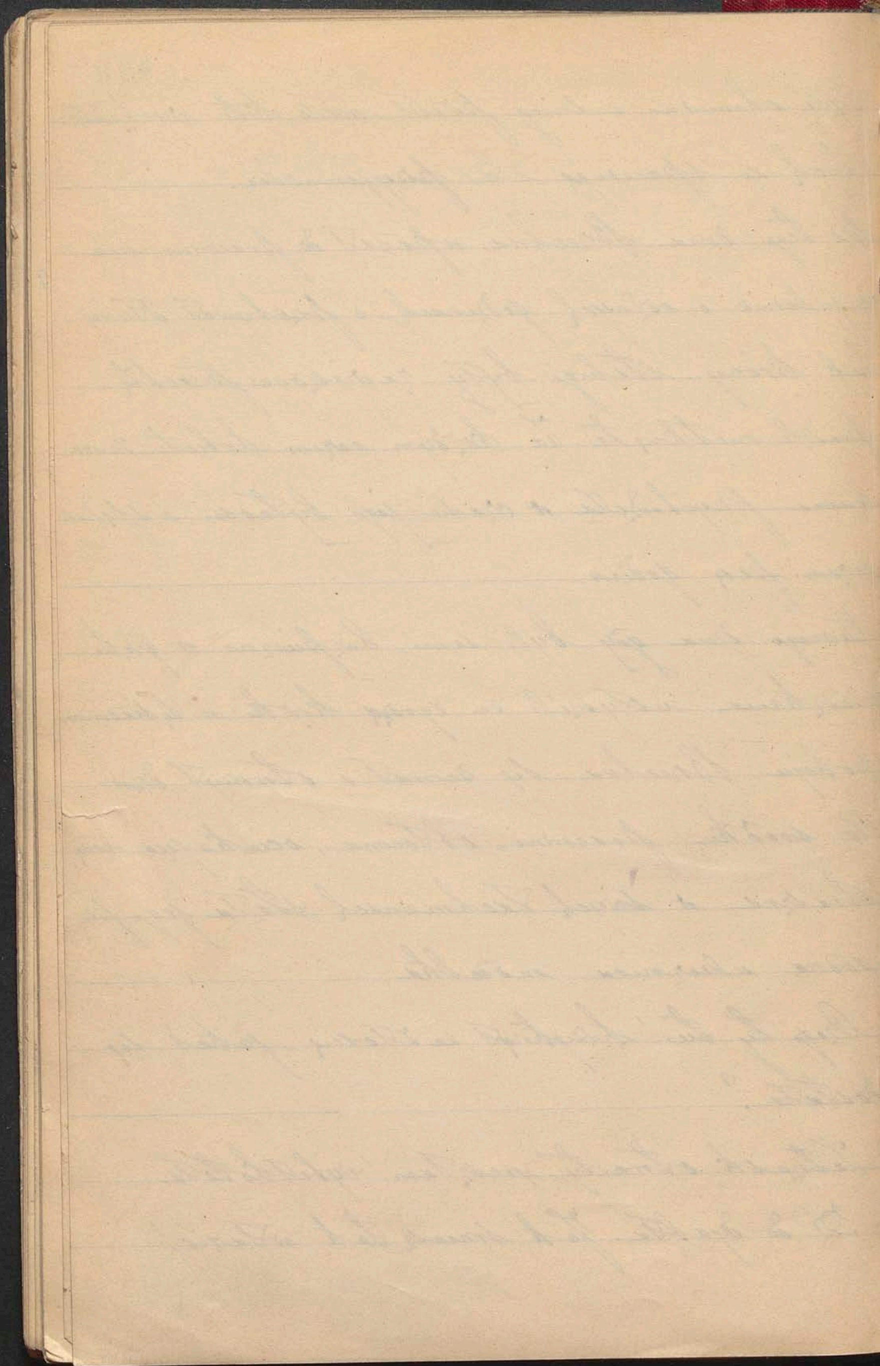
Spełniła z widoczną radością polecenie, pościerała kurze, sprzątnęła zeschłe kwiaty, potem popatrzała na niego, a widząc, że jest bardzo zajęty i że na nią nie uważa, wysunęła się cicho.

Cały tydzień następny Brzehwa nie zachodził do pracowni - gdy się zjawił po tej przerwie, miał kapelusz nasunięty na czoło, i podniesiony kołnierz paltota, przemknął szybko przez bramę - widocznie chciał być jak najmniej widziany w kamienicy.

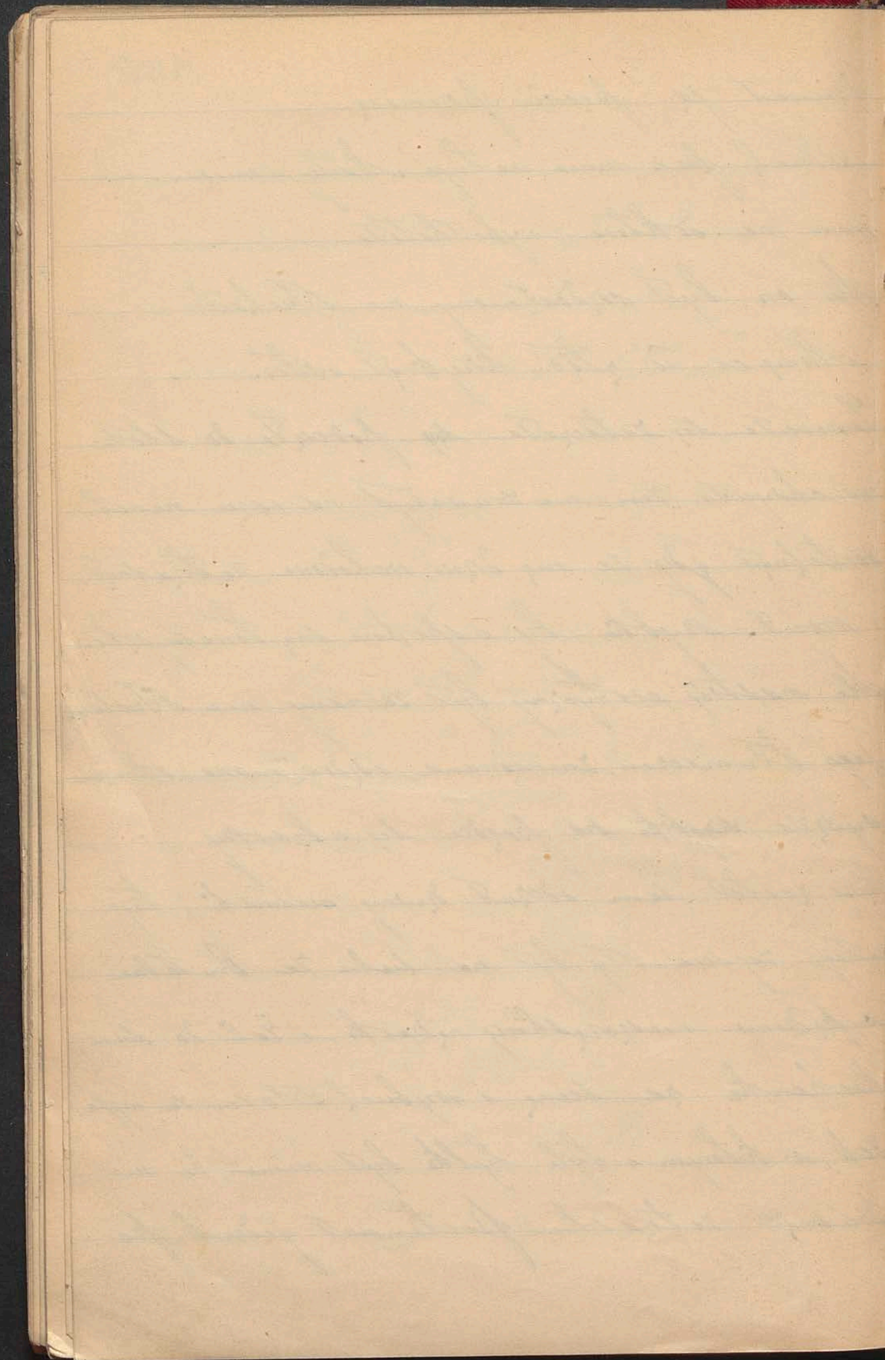
W jakiś czas po nim weszła drugą bramą kobieta ciemno ubrana w gęstej woalce; na podwórzu obejrzała szyldy i numera jakby szukała ~~jakiejś~~ czegoś ~~pracowni~~ - potem weszła szybko na schody - gdy mijała drzwi pracowni - te się otworzyły - kobieta wśliznęła się do środka. Na drugi dnia tego



było chmurno i śnieg padał – mało kto wychodził
z tych co spacerują dla przyjemności.
Od tego dnia Brzechwa wpadał do pracowni – nie
regularnie – o różnych godzinach – i przebywał dłużej
lub krócej – stalugi były zawieszone płachtą –
pendzle nietknięte. Za każdym razem kobieta zawoa-
lowana przychodziła w czasie jego bytności, i spędzali
razem parę godzin.
Pewnego dnia gdy byli sami, bezpieczni w głębi
mieszkania usłyszeli ze zgrozą kroki w sąsiednim
pokoju. Brzechwa się zerwał i otworzył drzwi.
Na środku pracowni – obłocona, ociekająca wodą
straszna w swych łachmanach stała jego przy-
godna uczennica modelka
– Czego tu chcesz! krzyknął ze złością – jakeś się
dostała?
– Zamek otwarty – weszłam! wybełkotała
– Idź do djabła. Jak śmiesz tak włazić!



Usuwał ją prawie przemocą.
— Niech pan mnie ratuje. Mały umiera — nie mam na doktora. wybełkotała
Ale on był rozdrażniony — nie słuchał.
— Mówię ci — idź stąd — krzyknął ostro.
Zawróciła się, zatoczyła ~~się~~ — podeszła do stołu coś chwyciła z niego — nie zauważył na razie nawet — odetchnął gdy za nią drzwi wchodowe zatrzasnął — i wrócił szybko, by uspokoić swą towarzyszkę.
Ale nastrój erotyczny był zerwany — nie słuchając jego tłumaczeń, zdenerwowana, rozdrażniona, obrażona wyszła, ~~krzycząc~~ ona prędce się ubrawszy.
Gdy został sam odczuł dziwny niesmak z tego całego zajścia — zły był na siebie za brutalne wypędzenie nieszczęśliwej nędzarki — i żal do swej kochanki za scenę i wybuch złości za wypadek, w którym o tyle tylko był winien, że nie domknął zatrzasku. Postanowił jednak po



namyśle iść ją przebłagać, a że to właśnie był Włorek — ubrał się — i udał na przyjęcie do Jabnickich.

Maniusia przyjęła go bardzo sztywnie; była mocno upudrowana dla zamaskowania łez. To go wzruszyło i gdy tylko znalazł sposobność chwili poufnej rozmowy — zaczął się tłumaczyć i przepraszać.

Była niewzruszona, nieufna i obrażona

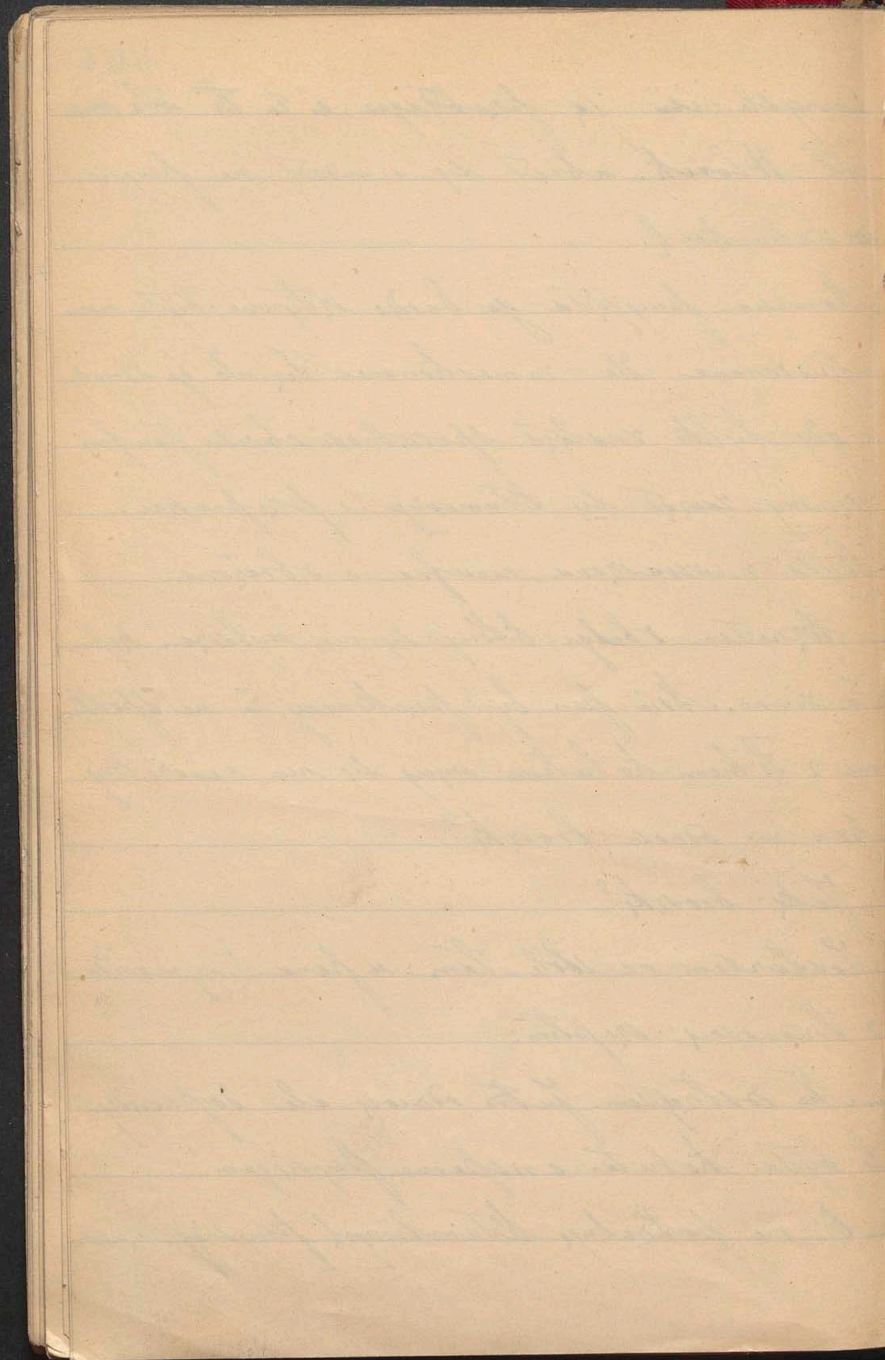
— Doznałam obelgi, której się nie wybacza — szepnęła zimno. Może pan być przekonany, że na spotkanie z takiemi kobietami więcej się nie narażę. Czy pan mi odnosi broszkę?

— Jaką broszkę?

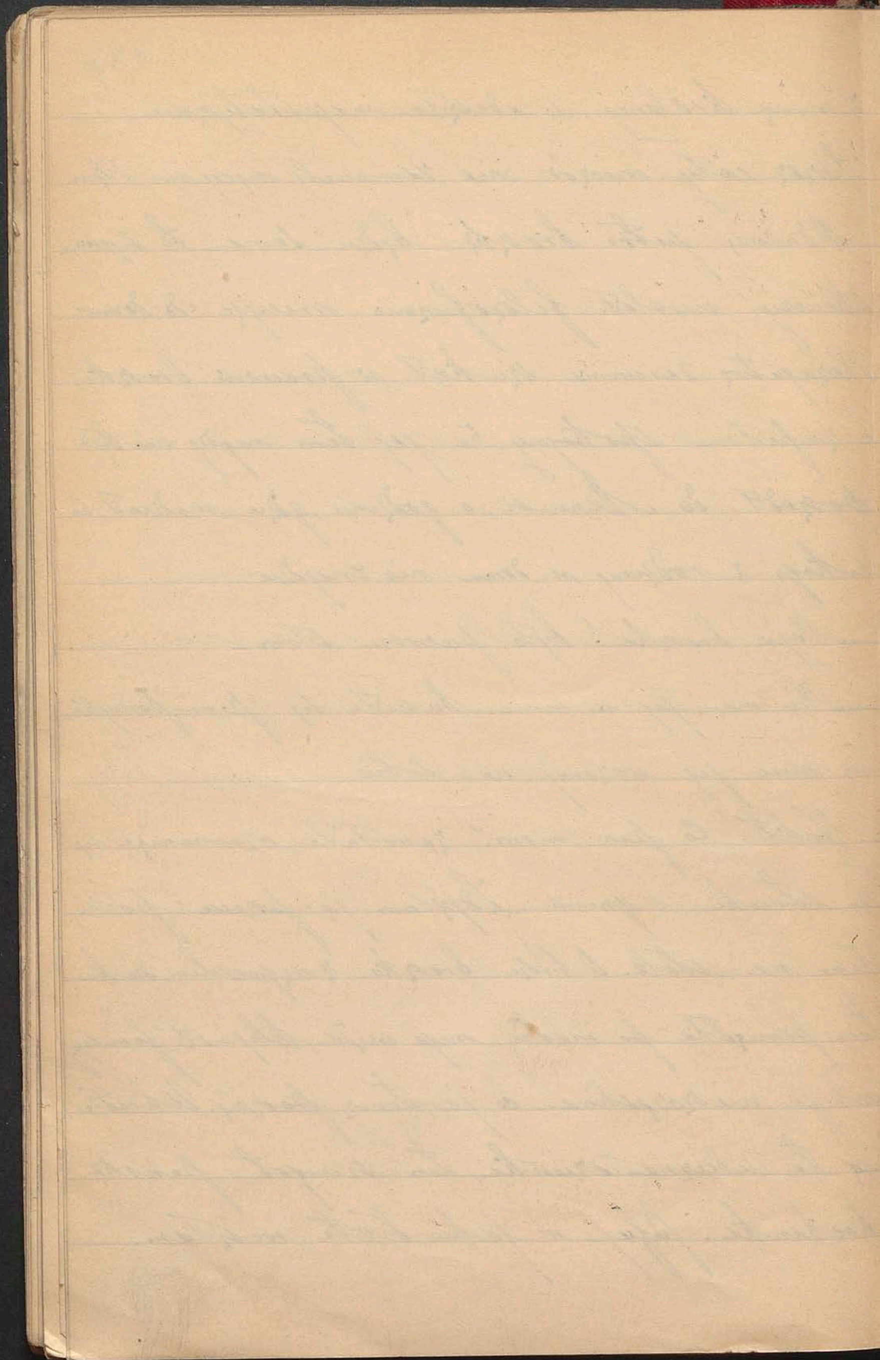
— Zostawiłam na stole — tam — u pana — wymówiła z trudnością — szeptem.

— Nie dostrzegłem. Jutro odniosę — ale doprawdy to była kobieta z wsparcia. Przysięgam!...

— O — nie potrzebuję kłamliwych przysiąg — rzuciła

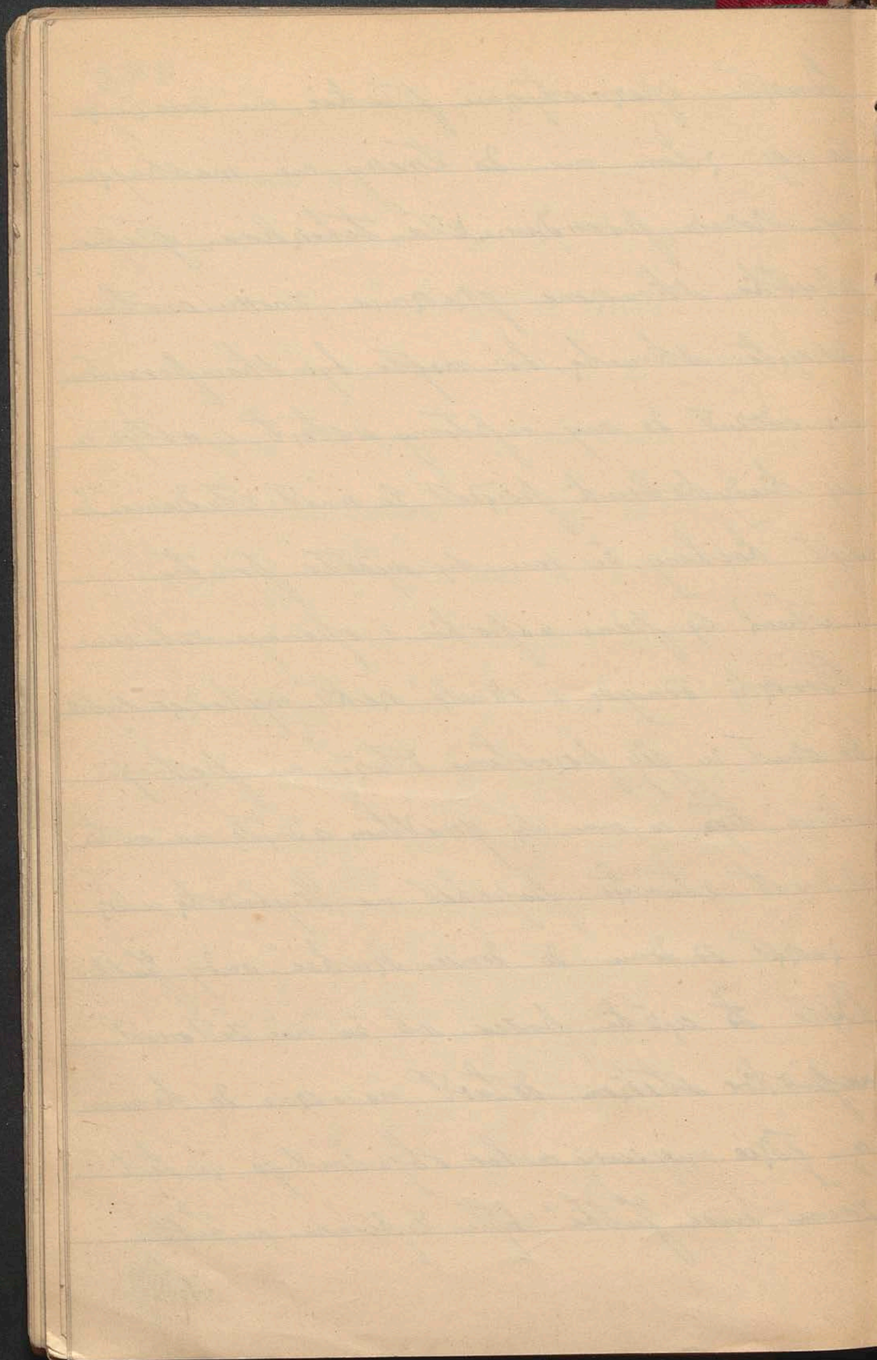


z miną królowej, i odeszła majestatycznie.
Przez cały wieczór nie zamienili więcej ani słowa.
— Odniosę jutro broszkę — będzie lama — to się chyba skończy! myślał filozoficznie wracając do domu.
Nazajutrz daremnie szukał w pracowni broszki, i zupełnie spokojny, że jej tam nigdy nie było poszedł do Maniusi, o godzinie, gdzie wiedział, że nikogo z rodziny w domu nie znajdzie.
— Moja broszka! było pierwsze słowo.
— Nie ma jej u mnie. Musiała się pani pomylić nie mieć jej wczoraj na sobie.
— Jakto! Co pan mówi! zawołała czerwieniejąc się ze strachu i gniewu. Zdjęłam ją przecie — położyłam na stole. O Boże — broszka z węgierskim dukatem, pamiątka po matce mego męża, klejnot familijny ach ja nieszczęśliwa — co ja teraz pocznę. Ukradła ją ta uliczna dziewka, ten szurgot — pańska kochanka. Pfuj — w jakie błoto weszłam.

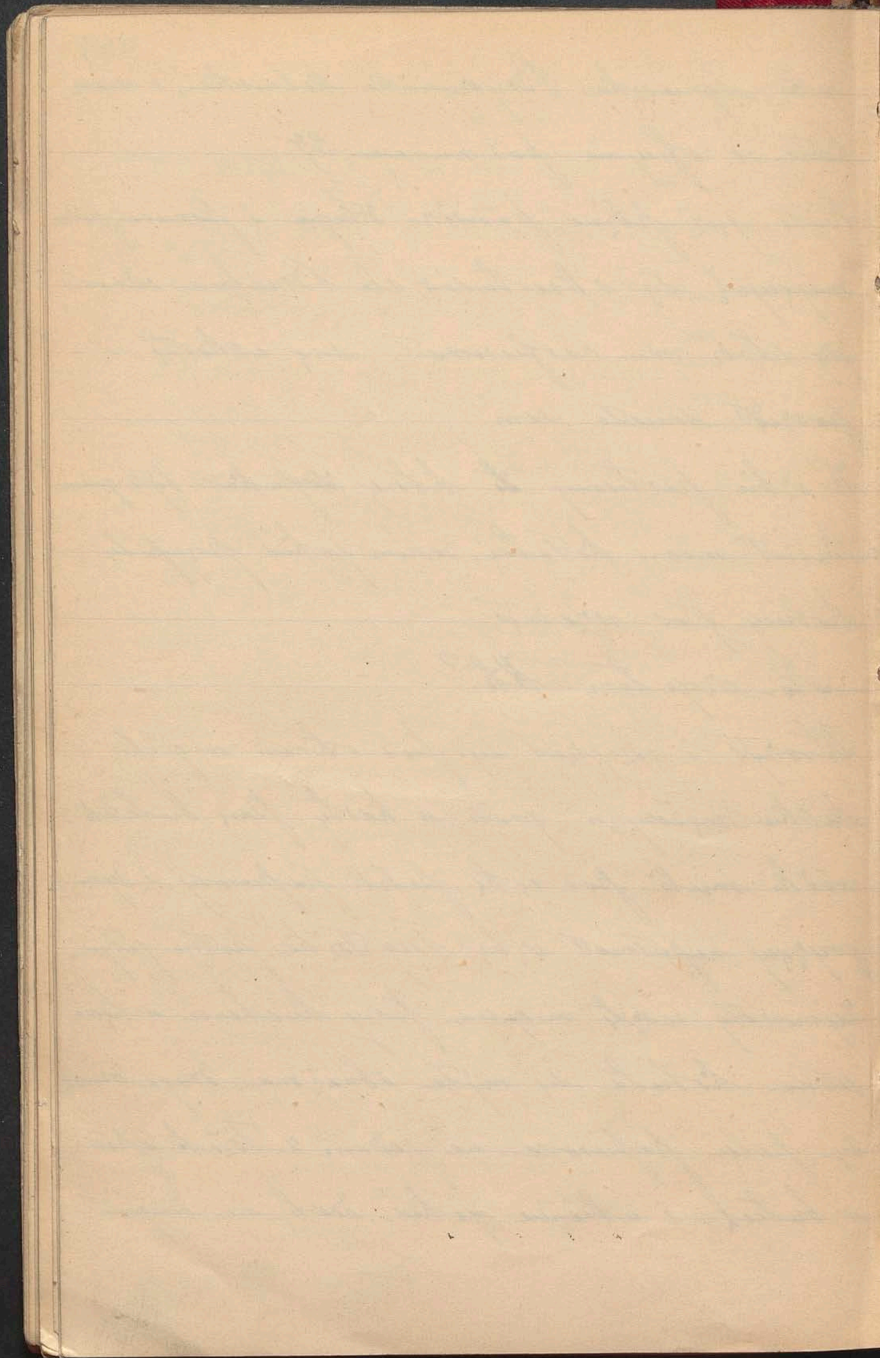


poczęła spazmatycznie płakać, nie zważając że jej z tem nie do twarzy, nie maskując się szczerze, prawdziwie, ze wszystkiem, głupia, płytka, skruszona grzesznica - znowu cnotliwa przejęta skruchą, bo: - mogła być skompromitowaną. On odczuł do niej naprawdę wstręt - i wstyd, że jej kiedykolwiek pożądał - że miał złudzenia, że był kochany, że mu się wydała ponętną.

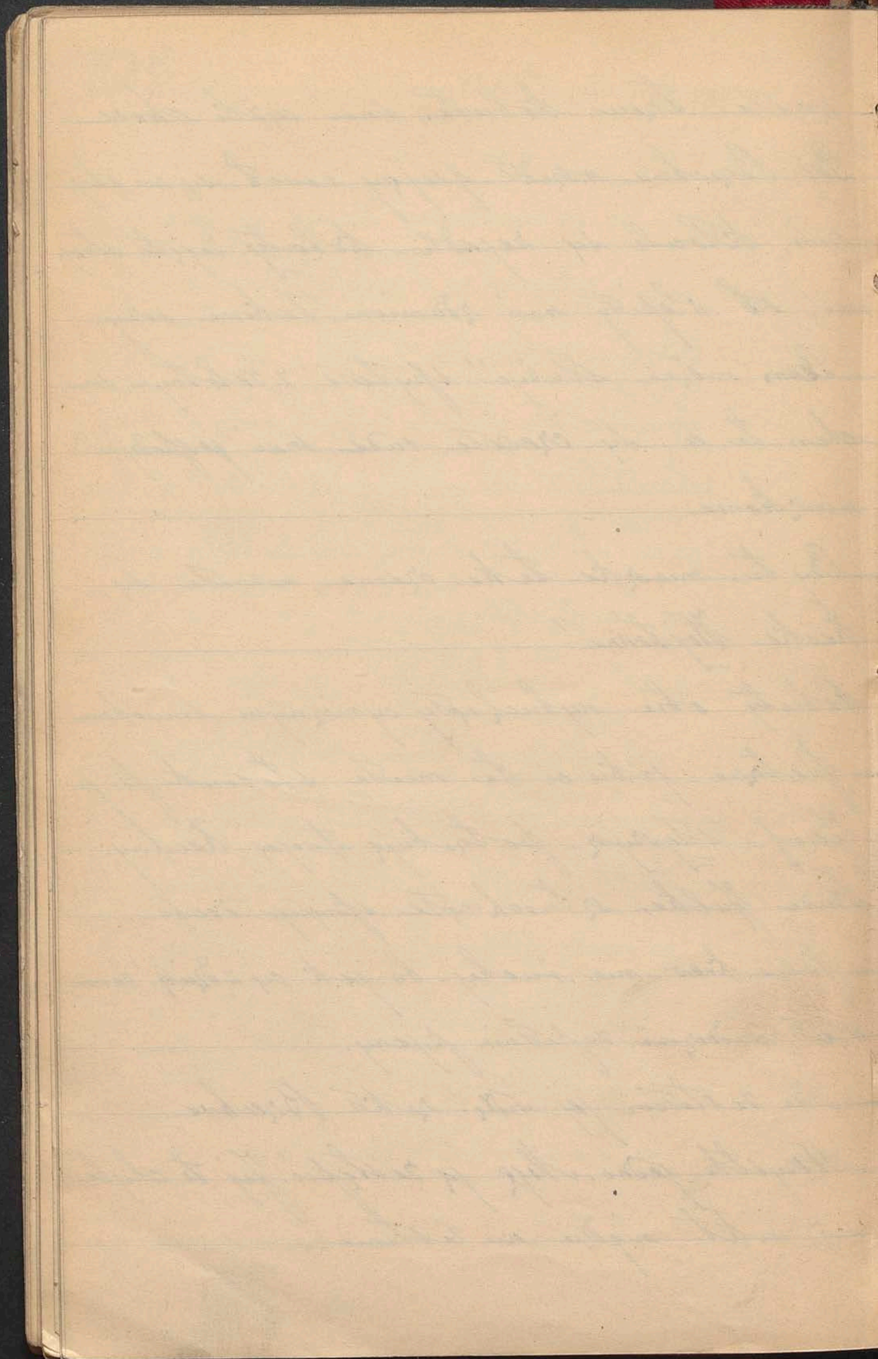
— Niech się pani uspokoi - i opanuje wzburzenie. Broszkę odnajdę, i odeślę - rzekł - wychodząc szybko, bo czuł, że gdy pozostanie dłużej, nie potrafi ukryć, tego co mu się gwałtem cisnęło na usta. Wprost stamtąd pojechał na Grzybowską ulicę i zaczął od domu do domu szukać „rudej Julki" Była to ciężka praca, ale że nie żałował napiwków stróżom, dostał nareszcie do kamienicy - gdzie miejscowy cerber objaśnił go, że tak zwana „ruda Julka" była zapisana na tablicy



jako Agnieszka Brzezińska, kelnerka, i miesz-
kała w oficynie pod numerem 37.
Było już późno, podwórze długie i ponure, pełne
śmiejących się obdartusów, ale Brzechwa odmówił
gdy stróż mu zaofiarował swą eskortę, i
poszedł śmiało sam.
W izbie parterowej, do której zapukał — było gwarno
Musiał mocno kołatać, zanim jakiś przepity
kobiecy głos wrzasnął
— No — czego tam? Kto?
Otworzył, i rozejrzał się. Pod oknem w głębi
kilku mężczyzn grało w karty. Parę butelek
wódki mieli pod ręką, palili papierosy, i dym
gryzący napełniał izbę. Trzy łóżka, pełne gałganów
zajmowały resztę miejsca. Przy kuchence w kącie
jedna kobieta się myła, obnażona, druga siedziała
się paląc papierosa — na jednem z łóżek spał
w butach i ubraniu jakiś drab — na drugiem



przała. Trzecia kobieta, snać ciężko chora.
Gdy Brzechwa wszedł - gracący nawet się nie obej-
=rzeli, któcili się zajadle - kobiety zajęte sobą
=mi, ~~ot~~ wlepiły weń zdumione, tępawe oczy.
— ~~Czem~~ można służyć!" spytała z załośnym śmie-
=chem - ta co się czesała, ruda, snać gospodyni
mieszkania.
— Czy ta mieszka taka czarna, naswała się
Kaśka Wójtówna?
Kobiety obie wybuchnęły cynicznym śmiechem.
— Patrzcie - jakie ci ta miała szłosonki. psi, psi.
Józef - słyszysz - potrzebują twojej Kachny.
Ruda Julka szturchnęła śpiącego draba.
— Psia krew - nie ruchaj - bo jak cię zdzielę. zamru-
=czał, widocznie zupełnie pijany.
— Nie zastałem jej, widzę, rzekł Brzechwa.
— Wszystko jedno. Może ją zastąpić. Jej to chyba
już nikt, nigdzie nie zastanie.



— Dlaczego? Wyniosła się? Czy to tylko napewno ta, której szukam. Tamta ma dziecko.

— Ale — ładne było dziecko. Dobrze, że już go niema.

— Umarło?

— A cóż. Miało takie żyć. Gniło i zgniło.

— Dziś umarło?

— Wczoraj. No — ona przyszła z miasta, to już zgniło.

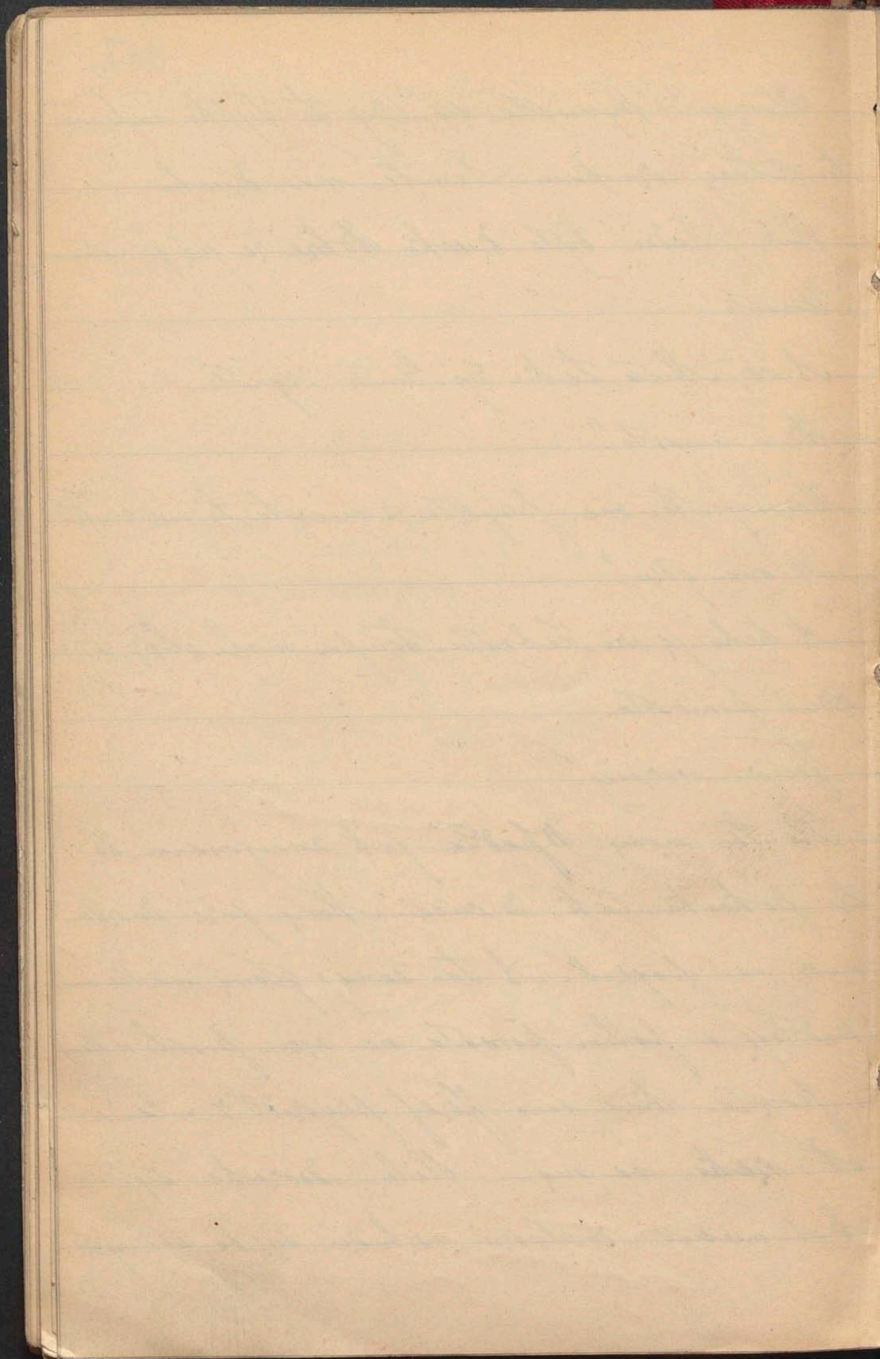
— A ona gdzie?

— A kiho ją wie. Zabrała trupa w chustkę — i gdzieś poniosła.

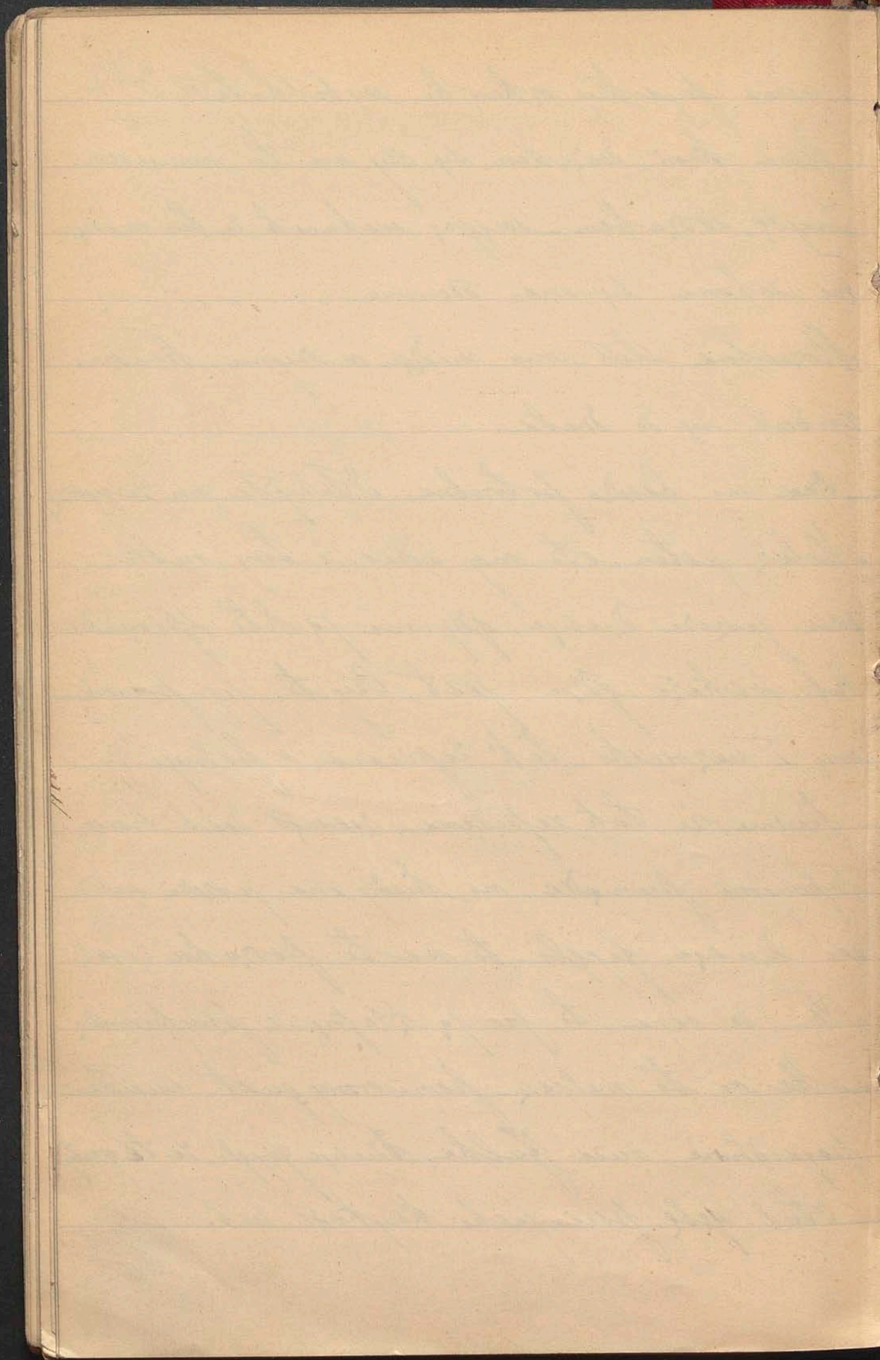
— Jeszcze wczoraj?

— No toć mówię. Wpadła jak zwarjowana, do tej pokraki — jak do cuda. Mówię — jużci dostaniesz na pogrzeb? A ta, zaraz głową walić o podłogę, a potem porwała na ręce, prosto w drzwi i poszła. Dziś rano Józef przyszedł z ula — i ot — czeka na nią — Ale — doczeka się!

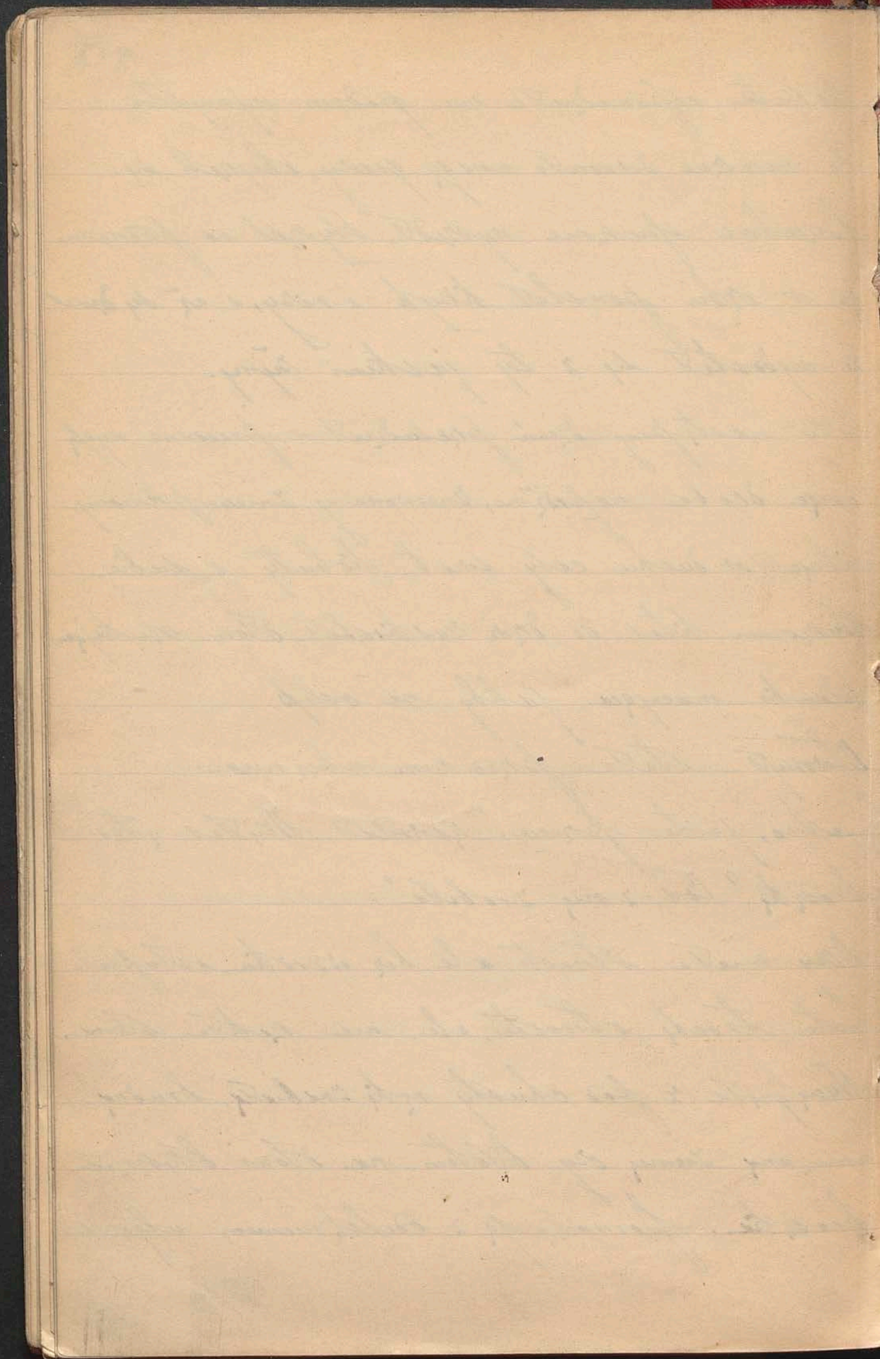
Dziad musiał dosłyszeć, rozbudzić się, bo się drągiem



i wśród pijackiej czkawki wybełkotał.
— Psia krew, doczekam się, czy nie — to mniejsza
znajdę, odszukam — zwiążnę rachunek za ten miesiąc-
-nie schowa się ona odemnie.
Brzechwa stał — nie wiedząc co czynić. Wreszcie
zwrócił się do draba.
— Ona mi bardzo potrzebna. Służyła mi za modelkę
Malarz jestem — oto mój adres i trzy ruble —
dam jeszcze dziesięć, gdy mi ją kto sprowadzi
lub wskaże gdzie jest. Czy to jej prawdziwe
imię i nazwisko — tak zapisana w policji?
— Pewnie, że tak zapisana' rzucił drab, biorąc
łapczywie pieniądze — no, kiedy ona jeszcze może
dać dziesięć rubli — to warto poszukać zaraz.
No — do rana — to ja ją złapię — i przyprowadzę
— Ma ci to malarz — pomidorowy gust. rzuciła
pogardliwie ruda Julka. Dziesięć rubli — za to graty.
— Stul gębę, psia jucho! krzyknął drab.



Kobieta odpowiedziała mu gradem wymysłów.
To nareszcie zwróciło uwagę graczy, obejrzeli się.
Brzechwa spiesznie wyszedł, słyszał na podwórzu,
że w izbie powstał krzyk i razy, i aż się dziwił,
że wydostał się z tej jaskini żywy.
Cały następny dzień przesiedział w pracowni, wyglą-
dając draba napróżno, zdenerwowany, zniecierpliwiony,
klnąc w duchu cały świat, kobiety i siebie.
Wieczorem ktoś do drzwi zaskrobał - dłonią - szukającą
klamki - macającą, jakby na oślep.
Otworzył - stała przed nim ulicznica.
- Aro, jesteś przecie! zawołał. Wzięłaś z sobą
broszkę? Coś z nią zrobiła?
Oczy miała otwarte, ale bez wzroku, osłupiałe -
usta trochę otwarte, ale nie rzekła słowa.
Wyciągnęła z pod chusty rękę zgrabiałą, brudną -
umazaną ziemią czy błotem - na dłoni błyszczała
broszka. Porwał ją z odetchnieniem ulgi - i



dopiero zwrócił na nią, na jej wygląd i twarz uwagę.

— Pochorowałaś dziecko?

Skinęła głową, i zwróciła się by odejść.

Zatrzymał ją za ramię.

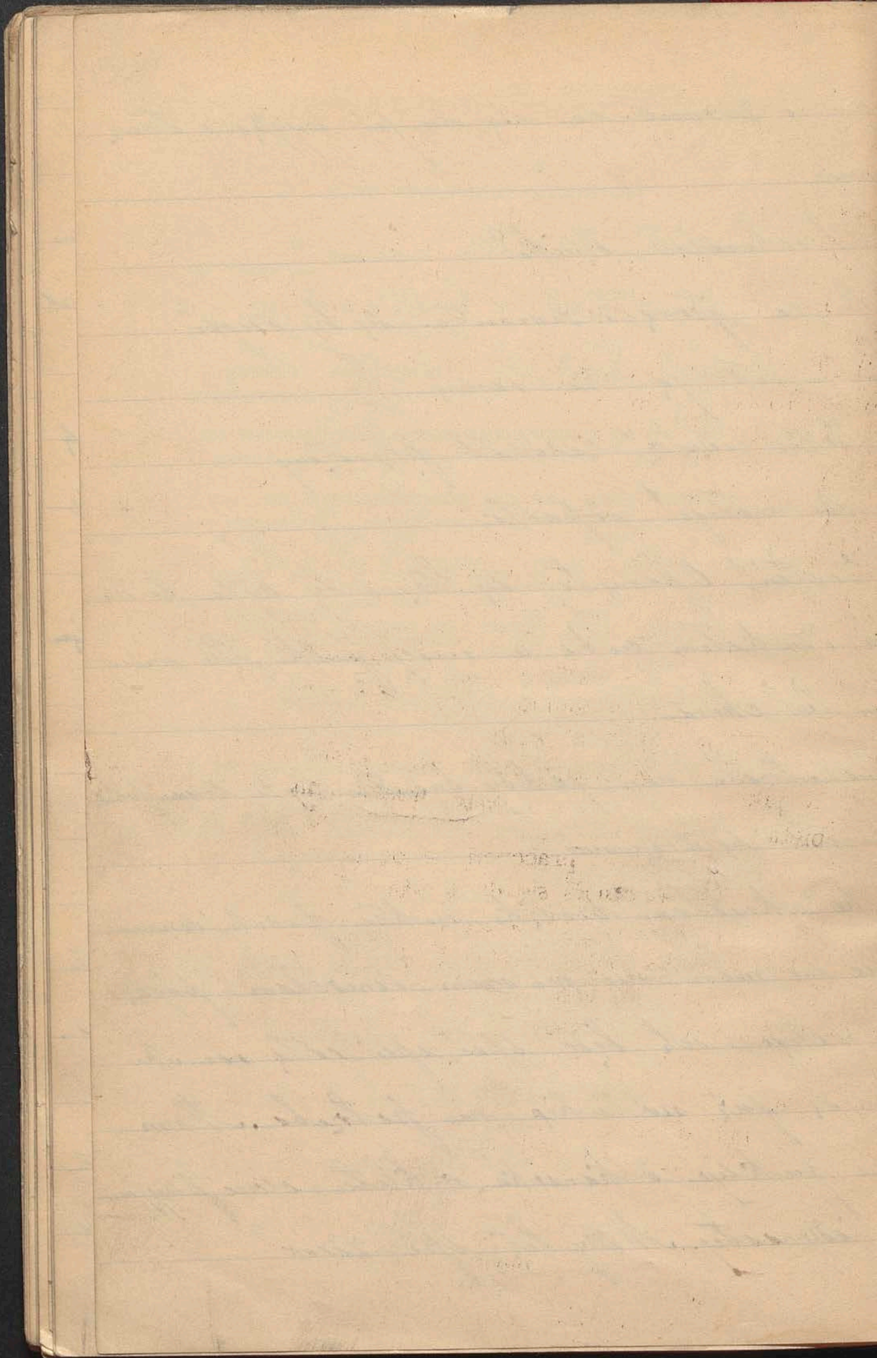
— Dokąd idziesz? zawołał przerażony

— Do małego! odparła

— Zostań! Opamiętaj się. Dzieci tu były ze dwa dni. Szukałem ciebie u rudej Julki. Nie wracaj tam, tyś chora.

Popatrzała nań — jakby budziła się ze snu, jakby starała się zrozumieć.

— Nie ukradłam broszki — rzekła powoli, sennie — Nic nie mam — nic nie mam — odniosłam — pójdę do małego — och będę spać, spać — całą noc. Nie pójdę już na ulicę — nie potrzeba. Mam dwie fuksye, i kanarka w klatce — ojciec przyjdzie o jedynastej. Mały też śpi — zdrów!



— Poczekaj, przeprowadzę cię! rzekł, tknięty prze-
=czuciem, że albo mówi z gorączki, albo jest obłą-
=kana.

Zawrócił do mieszkania, chwycił tylko paltot i kape-
=lusz - już jej na schodach nie było - zeszedł
szybko na dół - do bramy - stróż jej nie widział
musiała pójść w drugą stronę.

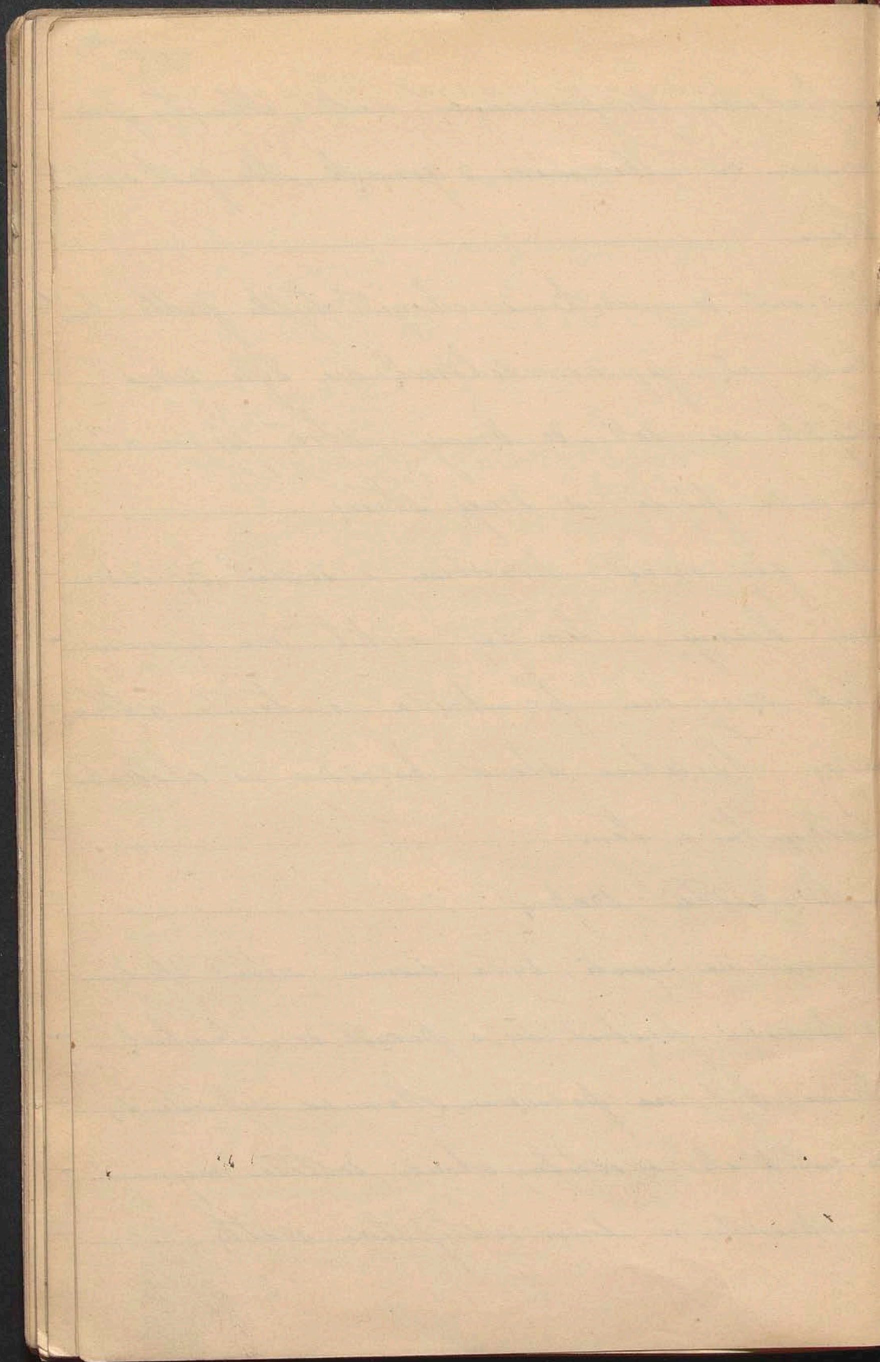
Ale gdy minął podwórze - i dostał się do dru-
=giej bramy - i tam jej nikt nie zauważył.

Jak szary cień przemknęła - i utonęła w tłumie
ulicy. Brzechwa stanął bezradny na chodniku
patrząc tu i tam.

— Przepadła! szepnął.

Spojrzał na zegarek - była siódma - wrócił spiesznie
do pracowni przebrał się, i poszedł do Salnickich.

Radca był na posiedzeniu, Maniusia wybierała się
do ciotek, ale w ostatniej chwili dostała migreny
i wyprawiła w swem zastępstwie matkę.



W eleganckim negliżu przyjęła go pomimo bólu głowy i wprowadziła do buduaru słabo oświetlonego. Nie była już sztywna, z lekka tylko nadąsana, pragnąca przeprosin i pojednania. Nie spytała o broszkę, a gdy ją podał - rzekła z żałosnym grymasem:

— Ach, ile ja przeszłam zgryzoty i strachu z pana powodu. Powinnam nienawidzić!

— Strachu? Co pani mogło grozić?

— Jakto? A żeby się broszka nie odnalazła?

— Och - byłaby po panu zniedz akuratna jej kopija.

— Dobrze panu mówić. To przecie pamiątka.

— Po matce pani męża. Mój Boże - pani aż tak szanuje takie pamiątki!

Roześmiał się, uraziło ją to, poczuła w jego głosie lekceważenie i szyderstwo.

— Pan w ogóle nie ma pojęcia o jakiemkolwiek poszanowaniu!

— Niestety - nikt mnie tego nie nauczył.

— Wierzę - sądząc po pana niewybrednych gustach.

— Mianowicie? spytał, patrząc na nią bystro.

— No, kiedy uprawia pan stosunki ze złodziejkami

Wstał, czując że kipi, że jeszcze chwila, a powie słowo obelgi - tej „kobiecie z porządnego towarzystwa”.

— O pani - kto z nas nie jest złodziejem? Wszystko zależy od punktu ~~złodzieja~~ widzenia. Dziecięciem, złodziejka odniosła pani klejnot rodzinny - u mnie zapomniany. Ale gdzie pani nie. Pozwoli się pani pożegnać - wyjeżdżam jutro.

Maniusia zachwiała się, krew jej uderzyła do głowy

— Jakto? pan odjeżdża. To niemożliwe. O Boże! A - a - a cóż będzie ze mną - z nami.

— Zapomnimy - jak każdej zabawy. Nas przecie stać na taką zabawę - z nudów! Żegnam panią.

— Potwór, oprawca! O Boże, com ja uczyniła, nie.

=szczęsna.

Padła na otomanę, kryjąc głowę w poduszki.

On nawet nie spojrzał na nią, i wyszedł.

— Rok nie spojrzę na żadną! zamruczał, schodząc na dół.

Następnego dnia składał pożegnalne wizyty.

Wieczorem zaprosił kolegów na kolację, i tam któryś najpóźniej przybyły rzekł:

— Czytaliście wieczorne gazety?

— Nie - co tam ciekawego?

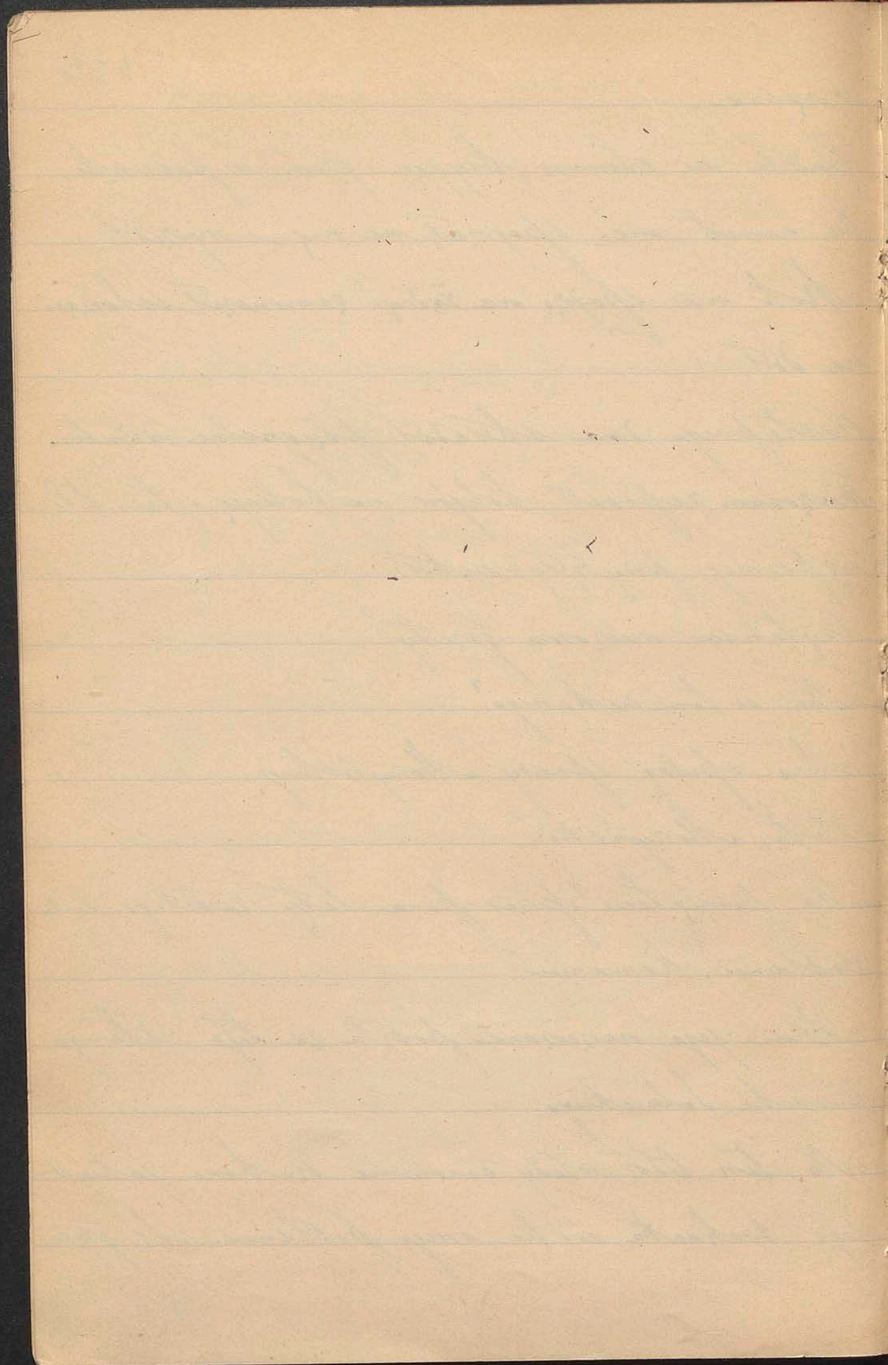
— Ano - epilog sprawy Morzyńskiego.

— Co to, Morzyński?

— Nie pamiętacie? przed parą laty - zabił go jakiś powstaniec, kamieniem.

— Aha - jego narzeczona poszła za tego starego piernika, Salnickiego.

— No - ten. Otóż wtedy daremnie szukano jakiejś jego kochanki, córki owego powstańca. Aż, głośne



była sprawa – dlatego go bronił.

– Więc co?

– Dziś rano na grobie Moszyńskiego na Powązkach znaleziono trupa kobiety. Jakiś dziad znalazł i uwiadomił stróżów. Gdy ją podjęto – znaleziono poruszoną ziemię – zaczęto szukać – i wydobyto płytko zagrzebane zwłoki dziecka.

– To pewnie moja! zawołał Brzechwa.

– Co, twoja?

– Modelka. Wczoraj jeszcze u mnie była – wydawała się obłąkaną – po śmierci dziecka. Jakto – więc ona była kochanką – narzeczonego tej pięknej Sal=niczkiej?

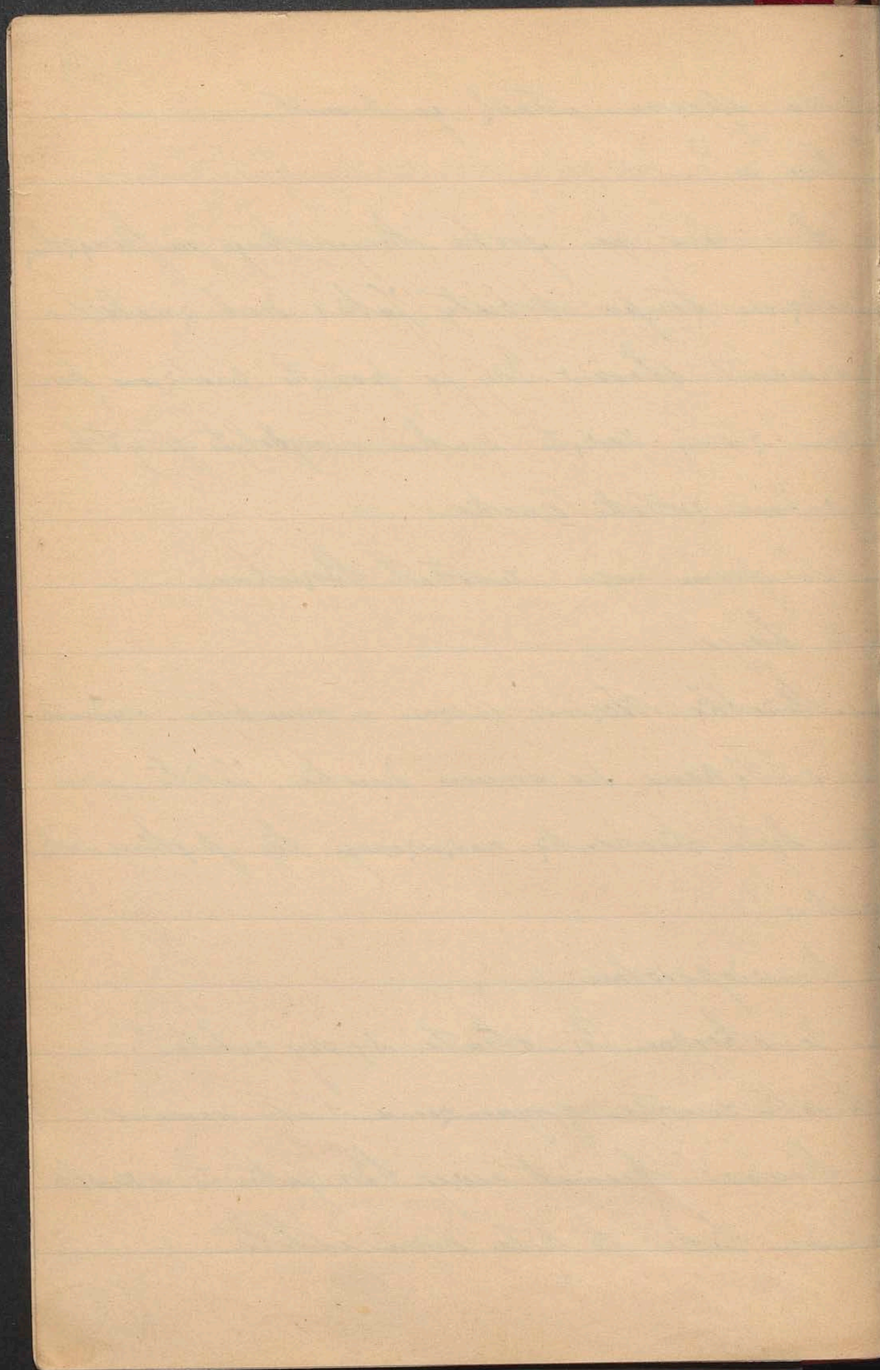
– Prawdopodobnie.

– To okropne. Cóż – otruła się, czy zabiła?

– Podobno zmarła z wycieńczenia. Cały romans.

– Romans! dramat raczej. Brr – jakie to wszystko ohydne. Jaka to była dziwna istota.

–



— Ech — może to wcale inna. Zresztą, możemy się dowiedzieć. Ot — tam — przy tym stoliku pod oknem stróż siedzi. Znam go. to się spytam, chcesz?

— Chodźmy razem — przedstaw mnie!

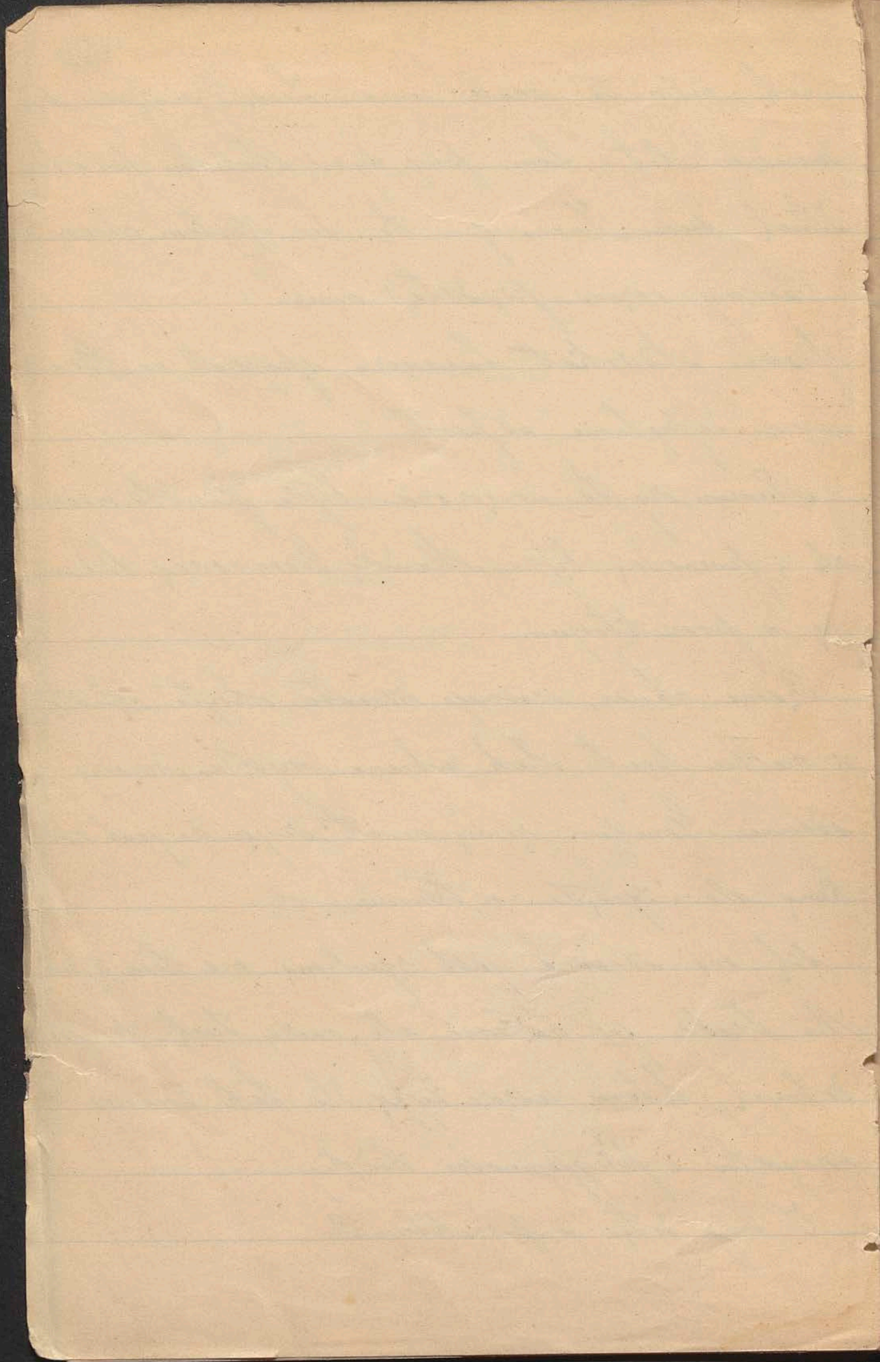
Poszli. Adwokat badawczo spojrzał na Brzechwę, a na zapytanie odparł.

— Niewiem, czy ta umęczona była panienką modelką, ale z pewnością była Marką Gorasówną. Widziałem ją w prosektorjum.

— Czarna, chuda, średniego wzrostu, okryta chustą w wielkie kraty. Tak ubrana wyszła wczoraj odemnie. Goniłem za nią nawet, czując, że jest obłąkaną — ale zginęła w tłumie.

— Ech — ona oddawna jest zgubiona — nie teraz spotkał. Nie trzeba jej żałować — ale raczej tych — jej podobnych, które jeszcze żyją, dla tak zwanej owrywki i przyjemności ludzkiej.

— I leży dotąd w prosektorjum?



— Nie. Zapłaciłem za jej pogrzeb

Tu spojrzał znowu badawczo na Brzechwę — i dodał

— Mieszkam w tym samym domu, gdzie pan miał pracownię — o piętro niżej tylko. Spotykałem pana parę razy na schodach.

— To dziwne, że w takim razie i tej dziewczyny pan nie spotkał. Przychodziła prawie codziennie o dwunastej.

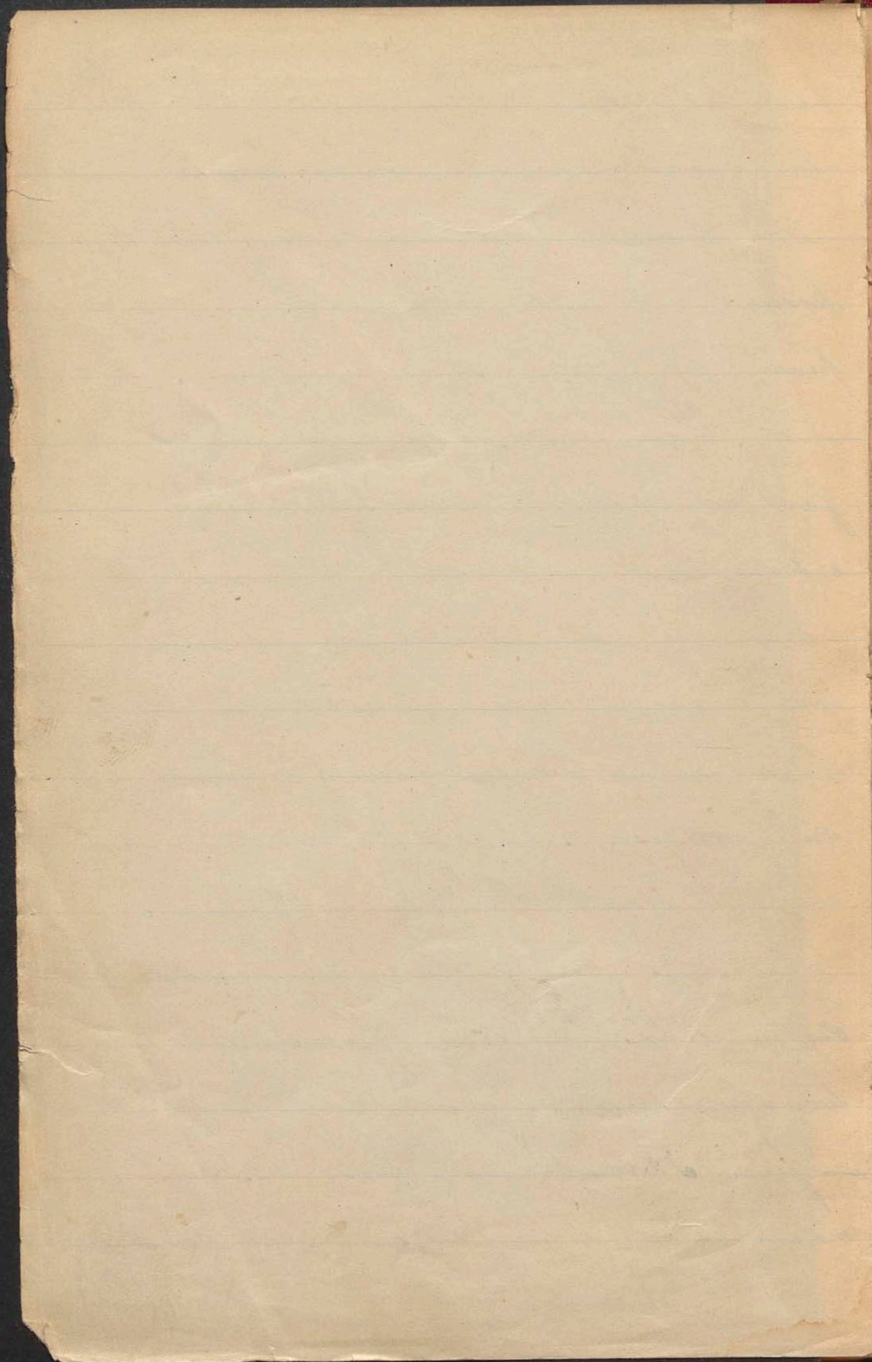
— O tej porze nie jestem nigdy w domu. Widywałem inną panią — modelkę' rzekł

Brzechwa nic nie odpowiedział. Zrozumiał, że dłuch wiele wiedział

Tu się odezwał kolega malarz.

— Jednakże pani Zalnickiej nie będzie miło przeczytać o tym wypadku. Podobno przechorowała ten skandal z narzeczonym.

— Pani Zalnicka jest ponad skandalami. Który może istotnie — jako pannie godziła kompromitacja



ale teraz — jest w niezdobytej twierdzy — pod strażą
męża, towarzystwa, praw, przywilejów, fortuny.
Rzecz wreszcie, że mało kto — a ona może najmniej
pamięta sprawę Moszyńskiego. To są takie
sezonowe epizody.

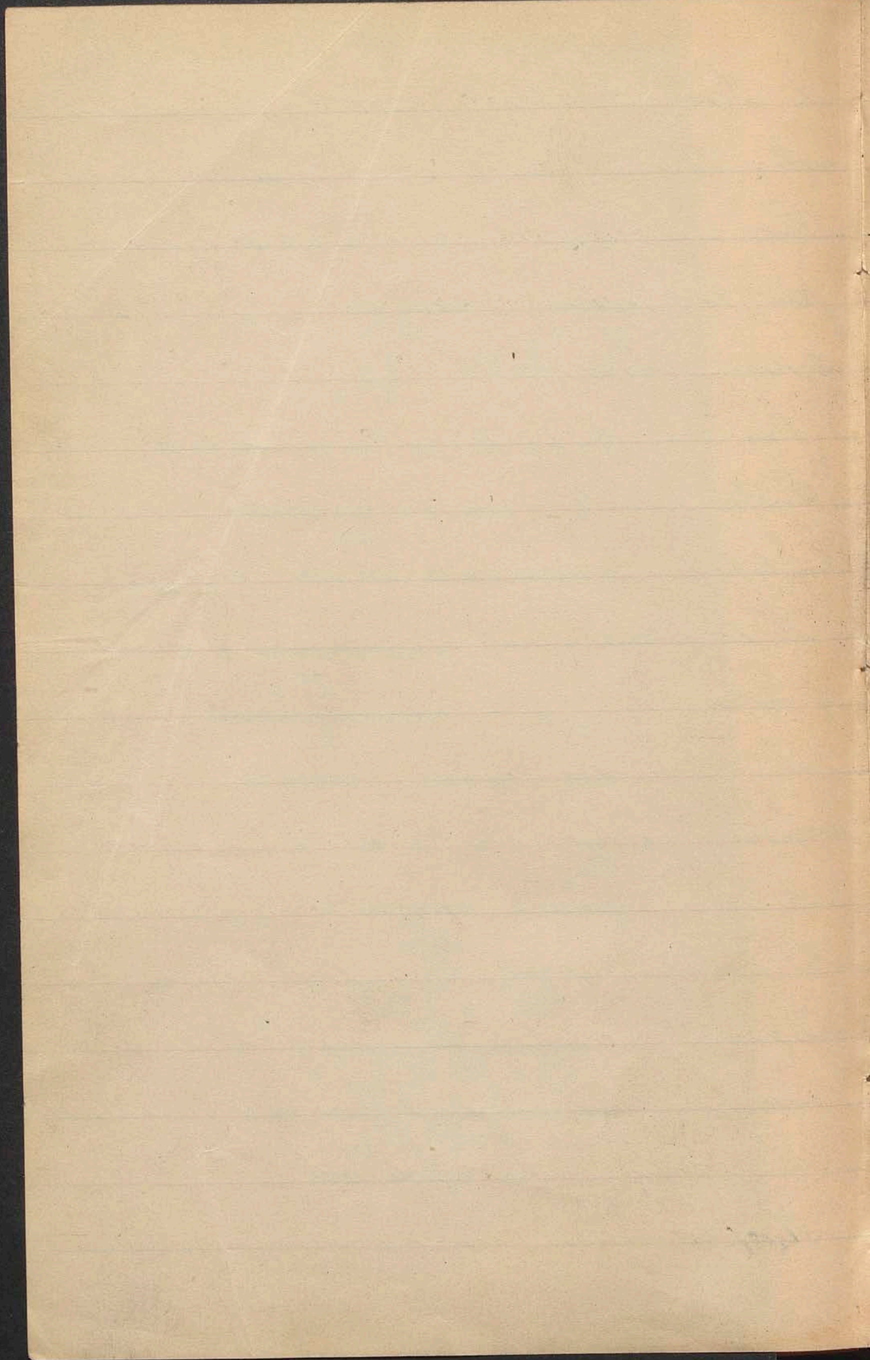
— Pan zna panią Talnicką? spytał Brzechwa.

— Rosła i wychowywała się na moich oczach. Byłem
korepetytorem jej braci.

— No, ci panu sławy nie przysporzą! zaśmiał
się malarz.

— Ani ja im dogadzałem — bo mnie stamtąd wypędzono
sromotnie! odparł Dołęga z uśmiechem. Uraziłem
zanadto ich pojęcia przyzwoitości i moralności.
To jest rodzina szanująca stare zwyczaje, tradycje,
bogobojna, konserwatywna i porządna — a ja kapcan
i wiercioch. Zgubiłem się do reszty obroną Tedrasa
i — nie znają mnie już teraz.

— Rzecz, że posądza pana o umyślne wyzyskanie tej



historyi z trupem na grobie Mozyńskiego

Dłuck się zamyślił, gorzki uśmiech miał na ustach.

— Wątpię — teraz oni są zanadto spokojni, pewni, bezpieczni, syci, żeby chcieć myśleć, przypominać, gniewać się, wyciągać jakieś wnioski. Zresztą to temat nieprzyzwoity z obrzydliwy i w dobrem towarzystwie unikany, żenujący.

W każdym razie (z tedrasami wyczerpany — ma on naco zasłużył — ma i ona słuszną karę za grzech i bezwstyd. Jest na świecie nagroda za cnotę w uznaniu i szacunku ludzkim — jest pogarda i ohyda dla jawnego występku, i obrzydzenie nawet dla takiego trupa. Tak jest!

Mar Rodz

5 Sierpień 1908.

